JULIUSZ

SŁOWACKI.



Listy do Matki i wszystkie inne

Mikołów-Warszawa K. Miarka.


EX LIBRIS
WOJEWÓDZKIEJ
I MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI
PUBLICZNEJ
IM. EMANUELA SMOŁKI
W OPOLU



Salomea Słowacka
z domu Januszewska.

KORESPONDENCYA
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

TO JEST

LISTY DO MATKI I WSZYSTKIE INNE

WYDANIE ZUPEŁNE PIERWSZE

ILLUSTROWANE

W SETNĄ ROCZNICĘ NARODZIN POETY

ZEBRAŁ

Ks. KAMIL JULIUSZ KANTAK

TOM I.

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1910.

Biblioteka Uniwersytecka w Opolu
4017 S
ZBIORY ŚLĄSKIE
884-6 : 92
Akc V Nr 243/70/S

Przedmowa.

Listy Słowackiego stosunkowo lepszego się doczekały losu od dzieł jego. Od razu bowiem prof. Małecki wydał korespondencyę do Matki, stanowiącą i jakościowo i ilościowo (dwie trzecie) najważniejszą część korespondencyi poety. Później ogłaszano listy do innych osób; wydania zupełnego dotychczas nikt się nie podjął.

Niniejsze wydanie obejmuje całą korespondencyę Słowackiego tj. wszelkie listy do wszelkich osób, jakie do końca r. 1909 ogłoszono. Oprócz listów do Matki zawiera więc korespondencyę z Krasińskim, Stattlerem, Niedźwiedzkim, Wiszniewskim, Pettiniaudem, listy do Mickiewicza, Towiańskiego i Goszczyńskiego, a nawet wszelkie inne znaczniejsze, przedrukowane podług wydań najlepszych.

Ze względu na to, że przeznaczone dla szerokiej publiczności, listy francuskie (Niedźwiedzkiego, Georges Sand (?), Pettiniauda) przełożyliśmy na polski, podaliśmy wymowę wyrazów obcych i przekład opatrzyliśmy objaśnieniami.

Całe wydanie obejmuje oprócz listów do matki korespondencyę z 30 osobami w przeszło 60 listach.

Nakoniec spełniam miły obowiązek składając JWP. prof. Hahnowi, prof. Gubrynowiczowi Dr. Szucy podziękowanie za radę i pomoc jakiiej mi udzielili.

W Londynie w maju 1910 roku.

Ks. KANTAK.

LISTY DO MATKI
I TEOFILOSTWA JANUSZEWSKICH.

1.

Warszawa, dnia 15 września 1830.

Kochana mamo! Miałem pisać do was w przeszłą niedzielę, ale odebrany list z Krzemieńca, w którym Teofil wypytuje się o okolicznościach, potrzebnych do naprawy języka, skłonił mię, iż zatrzymałem się trzy dni z listem, żeby mu coś pewniejszego donieść, ale napróżno. Kaczkowski dopiero jutro będzie miał o tem pewną wiadomość; na przyszłą więc pocztę odkładam list pana Pawła Jarkowskiego o introligatorze, i list do Teofila o sztuce wymowy, podług prawideł Lahnsena. Dzięki, tysiąc razy dzięki kochanym Państwu za list ostatni, gdzie tyle osób pismo spostrzegłem, tyle miłych, przychylnych a nawet pochlebnych dla mnie wyrazów wyczytałem. Chciałbym wszystkim poosobno wyrazić przyjemność i wdzięczność, jaką dla wszystkich przejęty jestem. Kochana mamo, ucałuj ode mnie po tysiąc razy rączki kochanej pani Michalskiej i powiedz, że już teraz zazdrosnem okiem nie patrzałbym na Mniszeczkę, bo wczoraj jedna nieznajoma dama, wszystkie Mniszeczki wyrugowała mi z głowy...

W tych dniach bardzo wiele miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz, kochana mamo, że dzień 23 sierpnia, jest dzień moich urodzin; wymówiłem się z tem przed jednym z moich znajomych i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski; nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach, przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przepijała do mnie szampanem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział u końca stoła, zdawało mi się, że kochany dziadunio był na jego miejscu. Winogrona, kawony, melony Wołyń mi przypominały, i jeszcze bardziej dopomagały iluzyi.

W kilka dni potem, jednego poranku przyjechał do mnie Potocki, prosząc, żebym z nim jechał do Ursynowa, maleńkiej wioseczki Niemcewicza; muszę więc mamie opisać obszernie tę wizytę. Ursynów leży o maleńką milę od Warszawy za Mokotowem; śliczny był ranek, trochę zimny, mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piasczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto, niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz, przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśnym; nareszcie stanęliśmy u celu podróży. Pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której z daleka widać już było dom poety; nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed gankiem. Podobnie więc jak Lubańska do Częstochowy, zbliżaliśmy się pieszo z sercem skruszonem; przywitał nas dosyć obojętnie, ułożyłem mu jakiś na prędce kompliment, któren przyjął z uśmiechem; zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał; szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła. „Panie Hrabio“ rzekł do Potockiego, wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach, ja się muszę tymczasem przebrać. To mówiąc, ukłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie.

Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkiemi drzewami, bardziej do dzikiego lasu, niż do ogrodu podobny; w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza; z tej krowy, jak mi sam mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu. Przybyliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać kazał przez

skromność. Usiadłem w altanie. Potocki stał nade mną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, spytał mię o pczyczynę. „Myślę, odpowiedziałem mu, iż szczęśliwy, kto może tak pisać jak Niemcewicz słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem; szczęśliwy odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas, gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie."

Wtem lokaj przysłany od starego, zaprosił nas na śniadanie; właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń. Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza i podano herbatę z pasztetem na zimno; wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samej tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały maleńkie dziewczynki: są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić ze sobą: jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: „Pan jesteś tak głupi jak ja." A stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny kompliment. Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia mych robót, chociaż wprawdzie dość obojętnie; kazał zdjąć herbatę, kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego „kto jesteś?" odpowiedziała: „żona panowa." Potem kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedyi „Mindowe"; na wezwanie powtórzone staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku, siedząc bokiem odwrócony; gdy przyszło do drugiej sceny, w której Mindowe zrywa z krzyżakami, obrócił się nagle, czoło jego pomarszczyło się, widać było znacznie natężoną uwagę; patrzał mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć; a oczy ma szare, przenikliwe i z wielkiemi najeżonemi brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego; przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno: „Ach czemuż tej tragedyi grać nie można!" Ten wykrzyknik bardziej mnie pochlebił, niż wszystkie po-

tem dawane pochwały. Czytałem dalej, słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent, i duch obywatelski utrzyma“; potem dodał: „Przepisz pan tę tragedyę na kilka rąk; warto, niech czeka szczęśliwszych czasów, chciałbym ją całą czytać.“ Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: „Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.“ Prawda, jak to po staropolsku? Otóż cała wizyta; nie gniewaj się, kochana mamo, że ją tak obszernie opisywałem. Tego dnia, przyjechawszy do domu, zastałem przyjemny list Olesi; tegoż dnia odebrałem wiadomość o śmierci Hrehorowicza, który na rozszerzenie serca na Litwie zakończył życie; dziwny to był dzień dla mnie.

Mieszka teraz ze mną przybyły z zagranicy Januszkiewicz, ten sam, którego mama zaraz po przyjeździe do Karlsbadu na ulicy spotkała, a z miny poznawszy, że Polak, prosiła go po francusku, żeby mamie dopomógł w wyszukaniu mieszkania. Opowiadał mi o mamie anegdotkę, która krąży w Karlsbadzie, że kiedy chłopiec w oberży pytał się, czy mama chce ze śmietanką pić kawę, omylona podobieństwem wyrazu „śmietanka“ z wyrazem innym, który znaczył pułkownika, odpowiedziałaś chłopcowi po niemiecku: „Nie, ja bez pułkownika chcę pić kawę, ja sama chcę pić kawę!“ Czy to prawda? Podziękowałem Januszkiewiczowi, że na wstępie do obcego miasta mamie usłużył i obiecałem mu, że od niego kłaniać się będę mamie w tym liście.

Chciałbym wiele jeszcze pisać, ale list ten kończę w biurze, nie staje mi więc czasu ani na podziękowanie kochanej Julce i Jasiowi za ich przypiski, ani do dłuższego pogawędzenia z wami.

Kochanej babuni za karteczkę po tysiąc razy rączki całuję; czy wyczytacie ten list? wyczytajcie, jeżeli mo-

żecie i jeżeli was w połowie nie znudzi. Adieu, kochana mamo, adieu, uściskaj wszystkich ode mnie.

Julek.

Do Teofila i Hersylki pod Pawła kopertą na przyszłą pocztę napiszę.

2.

Wrocław, dnia 17 marca 1831.

Kochana mamo! Zadziwisz się zapewne, odbierając ode mnie list datowany z Wrocławia: dopełniając woli kochanej mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałem za granicę, i teraz z wielkim strachem oczekuję listu od mamy, nie wiedząc, czy mój wyjazd podoba się mamie, czy nie; ale niestety, podróż moja nie zaczyna się przyjemnie; mając weksel przysłany sobie na Drezno, musiałem jechać na Prusy, a w Prusiech odebrano mi mój paszport, i zatrzymano mnie w Wrocławiu, obiecując dać nowy paszport pruski. Siedzę więc już od kilka dni w tem nudnem mieście, a co gorzej, że mię pobyt w niem drogo kosztuje. Mamo, nie jest to miejsce, abym ci tu moją wdzięczność wyrażał za dobroć, z jaką moje chęci przewidziałaś; gdybym ci mamo, chciał opisywać, jak mię rozczuliło odebranie wekslu na Drezno, ten sposób delikatny oddalenia mnie od niebezpieczeństwa, wzięłabyś może, mamo, wyrazy wdzięczności za przypochlebianie się synala, który wyjeżdżając za granicę, chce od dobrej matki pieniędzy dostać.

Wyjechałem w podróż 8-go tego miesiąca; nudną miałem drogę, czas dosyć brzydki, wyjechałem w nocy, smutno mi było, zdawało mi się, że uciekam, i teraz jeszcze często się kłócę z mojem sumieniem. Mamo moja, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić. W drodze nic mi się jeszcze szczególnego nie przytrafiło, ale przykrości wiele. Szczęśliwy będę, kiedy do Drezna paszport dostanę, a dostać

spodziewam się, bo otrzymałem świadectwo jednego z pierwszych tutejszych doktorów, jako wyjeżdżam dla poratowania zdrowia. Mamo moja, nie lękaj się tego świadectwa.

Do Wrocławia jechałem przez Zulau[1]), gdzie widziałem piękny zwierzyniec napełniony jeleniami; przez Kremnitz[2]), gdzie pokazywano mi plac batalii, gdzie Prusacy kiedyś zbili na głowę Austryaków. Samo miasto Wrocław jest dosyć ładne, niezmiernie stare, wszystkie domy podobne do siebie, tak, że dla kierowania się w tem mieście, kompas bardzoby się przydał. Kilka ślicznych gotyckich kościołów, dwa place, z tych jeden nazywa się placem Blüchera, na którym stoi statua tego pruskiego bohatera; drugi plac wielki jest to rynek, pośród którego stoi śliczny gotycki ratusz, a na około mnóstwo bud i szop ogromnych; przybyłem tu albowiem w czas jarmarku. We Wrocławiu szczęście tak zdarzyło, że znalazłem Kubusia Gaja; jadąc z wielkiemi pieniędzmi, został także we Wrocławiu zatrzymany, i już od tygodni 7-miu siedzi tutaj. Zrobił się z niego bardzo dobry chłopak, we wszystkiem mi usługuje i wszystko mi ułatwia. Jest tu jeszcze kilku Polaków, z któremi zabrałem znajomość, wszyscy zatrzymani i dręczeni. W drodze także poznałem się z jednym pruskim oficerem. Bardzo dobry chłopiec, cały pierwszy wieczór, gdyśmy się z nim poznali, prawił mi różne awantury, z których chociaż ja bardzo mało rozumiałem, umiałem jednak tak zręcznie uśmiechać się, wtenczas gdy z miny jego wyczytałem, że mi coś śmiesznego opowiadał, iż przez kilka dni byliśmy z sobą w najlepszej harmonii i sądził o mnie, iż daleko więcej po niemiecku umiem, jak jest w istocie. Nie lękajcie się jednak o mnie, mówię już i ja trochę tym językiem, i nie jestem przymuszony, chcąc jeść, zaglądać do roz-

---

[1]) Czyt. Culał.
[2]) Czyt. Kremnic.

mówek jak Kłębowski. A propos rozmówek: książeczka, którąś mi, kochana mamo, przy odjeździe z Krzemieńca do tłumoka włożyła, nieraz mi tu usługuje, ale uczę się pierwej frazesu, a potem go recytuję, w książeczkę nie patrząc, to jest bardziej honorowo.

We Wrocławiu bardzo jednostajne prowadzę życie, mieszkam z Gajem w jednym hotelu pod złotą gęsią, mam od dziedzińca mały na drugiem piętrze pokoik. Wyjeżdżając, rzeczy moje w tłumok opakowane i fortepian zostawiłem u Lapierów; jeżeliby kiedy w waszych stronach ucichło, Teofil może go sobie kazać sprowadzić, a mnie podług słuszności pieniążki za granicę przyśle; zresztą wszystko moje z sobą niosę, to jest mały tłumoczek, a w tłumoczku trochę bielizny i mnóstwo wierszy; szkaradne wiersze, wagę mego tłumoka do 46 funtów podniosły. Kochana mamo, nie pisz do mnie do Wrocławia, bo spodziewam się, iż tu nie długo zabawię, ale jak tylko przyjadę do Drezna, napiszę do kochanej mamy i czekać będę z niecierpliwością listu od was dłuższego, niż te, którem dotąd odbierał. Kaczkowscy kłaniają się wszystkim w Krzemieńcu. Stary się ożenił, jest naczelnym lekarzem. Młodszy także w wojsku, ja musiałbym był na tem skończyć.

„Mamo droga, żegnam ciebie. Nie wiem, kiedy się teraz zobaczymy. W Dreźnie znajdę Odyńca, Mickiewicz jest w Rzymie. Kochanych dziadunia i babuni rączki całuję. Teofil nabawił mnie niegdyś strachu, uboczną drogą dowiedziałem się, że się wszystko dobrze skończyło. Adieu, wszyscy moi mili; przygotuj się, Hersylko, iż kiedyś jak wrócę, Melankę twoją po niemiecku uczyć będę, bo to ładny w ustach dam język. Adieu, jeszcze raz całuję was serdecznie.

3.

Drezno, dnia 12 kwietnia 1831.

Kochana mamo! Co za szczęście! Wyrwałem się z nudnego Wrocławia, gdzie po długich korespondencyach odebrano z Berlina odpowiedź, żeby mnie puścić w dalszą drogę. Dano więc paszport do Francyi; ja zaś przyjechałem do Drezna i myślę tu czas niejaki posiedzieć. Bardzo mi się to miasto podobało, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony byłem po pięknych okolicach, tutaj zaś są prześliczne. Czy doszedł mamy kochanej mój list z Wrocławia? Byłem tam pod ścisłą obserwacyą i dla tego się o ten list pytam. Niegodziwy Wrocław, w Goldene Gans zdarli mię okropnie, bo za dni 16 zapłaciłem 30 talarów i miałem tylko tę przyjemność, że mieszkałem w zupełnie starożytnej kamienicy, której dachy wyższe są niż trzypiętrowe ściany, a pod dachami pieje kogut i krzyczą koty. Do Drezna przyjechawszy w Wielki Piątek, stanąłem w hotelu pod Złotą koroną; zdaje mi się, że tam i mama kiedyś mieszkała. Zaraz wyszedłem na miasto, albowiem mówiono mi, iż w katolickim kościele ma być ładna muzyka i słyszałem śpiewy; trafiłem właśnie na psalm, śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nutę. Pierwszy raz słyszany głos tego rodzaju, wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednej w trójkąt obstawiony palącemi się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie. Słyszałem potem podczas Mszy głos tego samego Tarquiniego; ale sztuczne wywodząc arye, nie tyle na mnie zrobił wrażenia. Po obiedzie, w dzień mego przyjazdu, wyszedłem na miasto w nadziei, iż chodząc po ulicach napotkam gdzie Odyńca. Błądząc różnemi drogami, zachodzę na wielki rynek, spostrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię (Baldyniego), nad drzwiami napisane:

Cafe de l' Europe[1]). Ha, myślę sobie, Odyniec musi być w Europie; wchodzę na pewno i za pierwszym rzutem oka spostrzegam naszego poetę, który mi zaraz na moje zapytanie: to Czatyrdach? odpowiedział: „aa!“ A nie przez jedno tylko: aa, wyraził niepospolite zadziwienie; przeprowadzał je przez wszystkie tony jak K... marszałek wileński. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania, i zaraz wziąwszy się za ręce, poszliśmy do Odyńca kwatery. Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez swojego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancyę, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, iż tu zadarmo przychodzi: za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o pięciu oknach, (a przez każde okno, jak powiada Odyniec, inną widzę panienkę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, podobną do tej, jaka jest u Hersylki, tylko trochę zapyloną, słowem, że mogę wieczorami lampę zapalać i bajronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach mieszkania dać wam wyobrażenie, donieść muszę, iż oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność, patrząc na ładną córkę mojej gospodyni; panienka mówi po francusku i ładnie gra na fortepianie. Waryacye Czernego zawsze mi Wilno i wszystkich was przypominają. Przez jedno okno mego salonu (najmniej przyjemne), mogę rozmawiać z Odyńcem, przez drugie okno (przyjemniejsze), mogę rozmawiać i rozmawiam z ładną sąsiadką, która v i s - a - v i s mieszka; tylko ten język niemiecki zawsze mi stoi na zawadzie, a jak na nieszczęście w rozmówkach, danych mi przez kochaną mamę, nie znajduję stosownych do okoliczności wyrazów.

Znalazłem w Dreznie wielu Polaków z Warszawy. Pozawczoraj z trzema z pomiędzy nich z Platerem,

---

[1]) Czyt. Kafe-del-Erop.

bratem Ludwika, z Chwalibogiem i z Mikuliczem byłem w Grüne Gewölbe, to jest w skarbcu tutejszego króla. Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu, tak, że mi nie zostaje w pamięci; ostatnia tylko sala mocno mnie zajęła. Widok tylu brylantów razem zgromadzonych nosi na sobie cechę jakiejś wielkości; jako szczególny w swoim rodzaju, przepyszne brylanty! widziałem brylant 7-my na świecie, zielony. Zrobiłem już w Dreznie jednę znajomość u pani Dobrzyckiej; poczciwa staruszka Polka, jej córka jest pierwszą damą dworu. Ta od dawna zachwycona hymnem Bogarodzica, przyjęła mnie z otwartemi rękoma, a nad moim Kulikiem, którego nie znacie, płakała; teraz często na herbatę mię zaprasza. Jest tu także panna Czacka, zdaje mi się, iż to mamy znajoma; mam jeszcze być u Komarów i u jenerałowej Dąbrowskiej. Z Polakami tu będącemi wybieram się do Szwajcaryi Saskiej. Urodził się tu teraz nowy królewicz; szczególna rzecz, iż w chwili jego narodzenia, kiedy armaty strzelały, grzmoty pierwszy raz dały się słyszeć. Z powodu jego narodzin wczoraj była wielka parada: z drugiej strony Elby dawano ognia z armat, cała publiczność patrzała na to z wielkiego bulwaru; te strzały armat, ten tłum publiczności wiele mi przypomniał, ale tamte były okropniejsze.

Kochana mamo, pisz do mnie do Drezna poste restante; jeszcze dotąd wekslu mamy nie zmieniłem: dotąd żyję i jeszcze żyć będę z miesiąc z 40-tą dukatami, z któremi wyjechałem z Warszawy. Pieniądze więc mi dosyć dotrzymują placu, lecz kiedy wyjechałem na wojaż, chciałbym dalej jechać, wszystko to jednak od woli mamy zależy. Dobrzeby było jednak, żeby na przypadek jakiej przerwy w naszych źródłach zabezpieczyć się przynajmniej na lat 2; jeżeli możecie gdzie podnieść z 5000, to mi je przyślijcie w wekslu na Paryż lub Genewę. Kochana mama nie uwierzysz, ile na tem cierpię, że ciebie tak ogałacam, że tyle wy-



Euzebiusz Słowacki
ojciec Juliusza.

magam, nie mając nawet nadziei kiedyś wywdzięczenia się za to. W biurze nie było żadnych widoków, nawet to biuro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane z powodu... Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci. Los jakiś rządzi moją karyerą i widzę, iż zawsze mi będzie na przeszkodzie stawał. Mamo, całuję Ciebie serdecznie w rączki, babunię i dziadunia D... o błogosławieństwo proszę, z dalekich gór Krzemieńca spłynie ono na moją głowę. Ściskam was Hersylko, Teofilu i Melanko.

4.

Drezno, dnia 3 maja 1831.

Mamo! Od trzech miesięcy jestem za granicą, z Wrocławia i Drezna pisałem do kochanej mamy listy, lecz próżno co dzień chodzę na pocztę, żadnego do mnie nie znajdję listu. Zdaje mi się, że może listy nie muszą rąk mamy dochodzić, bo inaczej znaleźlibyście sposobności przesłania mi odpowiedzi; ten więc list piszę przez ręce Bankiera Hausnera w Brodach prosząc go osobnym listem, aby znalazł sposobność przesłania go mamie. Kochana mamo, jeżeli obchodzi mamę cokolwiek moja spokojność, napisz mi jak najprędzej poste restante do Drezna, gdzie dopóty siedzieć będę, póki listu od mamy nie odbiorę. Gdyby nie ta niespokojność, która mnie dręczy o was, kochani moi, byłoby mnie bardzo dobrze w Dreznie: poznałem wiele polskich domów i żyję w dobrem towarzystwie. Czy przypomina sobie mama dom Poniatowskich, u których był niegdyś mój ojciec? Jedna z Poniatowskich, będąca teraz za Szymanowskim i bawiąca w Dreznie, dowiedziała się, że przyjechałem tu i oświadczyła mi przez jednego z bywających u niej Polaków, iż mnie koniecznie chce poznać. Nie wiem z jakich przyczyn przez kilka dni odwlokłem moją wizytę. Pani Szymanowska znów się wypytywała swego

znajomego, dla czego u niej nie byłem; ten, chcąc mnie uniewinnić, powiedział, że od kilku dni jestem chory. Na to Szymanowska z żywą tkliwością oświadczyła, iż mi pośle swego doktora i będzie mię sama doglądać jak brata. Doniesiono mi te słowa; tknięty niemi i razem bojąc się wizyty doktora, gdy byłem zdrów, poszedłem do Szymanowskiej. Bardzo przyjemna osoba, przypominała mi bardzo Balińską. Teraz przyjechała jej siostra Grocholska i Bobrowa. Dom, gdzie najczęściej bywam, jest to dom pani Dobrzyckiej. Godna bardzo staruszka, tak mnie polubiła, że gdy raz wyliczała swych przyjaciół przy Odyńcu, wyliczyła ich czterech, potem przypomniała sobie: A jeszcze pan Słowacki. Jej córka jest pierwszą damą dworu; u tej także jestem w łaskach, sama mnie zaprowadziła do biblioteki japońskiego pałacu, gdzie widziałem wszystkie osobliwości, jak np. listy oryginalne Lutra, Wiklefa, Koran Bajazeta i tym podobne...; z panną Dobrzycką byłem w Dolinie Plauen, śliczne miejsce, skały przypominają mi Krzemieniec. Widziałem już wszystkie prawie osobliwości drezdeńskie, oprócz galeryi obrazów, którą w tych dniach widzieć będę. Grüne Gewölbe nie podobał mi się; oprócz będących tam brylantów nic mnie nie zachwyciło. Ciekawszym jest daleko zbiór zbroi starożytnej; znajduje się w nim dwóch rycerzy na koniach, doskonałe dających wyobrażenie o ówczesnych walkach; widzieć to dla poety i malarza bardzo potrzebne. Opera włoska wyjechała teraz do Lipska na jarmark; póki była w mieście, zawsze prawie na niej bywałem, a najczęściej asystując jenerałowej Dąbrowskiej, żonie sławnego jenerała, której córka jest dosyć ładna i, gdyby teraz myśl nie była zajęta innego rodzaju sprawami, mogłaby zajechać w głowę.

Przez jakiś czas miałem zamiar do was powrócić; teraz już o tem nie myślę, wreszcie napiszcie mi, co ja mam robić, gdzie się obrócić, jaki jest stan naszych

interesów? Z jaką radością odebrałbym list od mamy!... Źle jest trochę, żem wyjechał za granicę, ale już się stało. Teofilu kochany, często myślę o Tobie i naszych ostatnich przygodach, często myślę, ale nie wiem, jak myśleć... Co tam twoja Melanka porabia. Zapach tutejszej biblioteki przypomniał mi krzemieniecką. O panu Pawle Jarkowskim ciągle myślałem; bibliotekarz tutejszy powiedział mi, iż pana Pawła widział w Dreznie trzy lata temu; domyśliłem się, że mówił o panu matematyku Jarkowskim. Kochani babuniu i dziaduniu dobrodzieju! wierzcie mi, iż często o was myślę i z niespokojnością czekam o waszem zdrowiu wiadomości. Hersylkę ściskając, proszę jej, ażeby do Olesi kilka słów ode mnie grzecznych napisała, bo ja nie mogę jej dać znać o sobie. Mamo, mamo droga! co się tam z Tobą dzieje? O gdyby ten list mógł przynajmniej dojść do rąk twoich. Adieu, Mamo kochana.

5.

Drezno, dnia 6 lipca 1831.

Kochana Mamo, z jaką radością odebrałem nareszcie list od kochanej Mamy, datowany z dnia 28-go maja; dzięki ci, dzięki kochana matko za wszystko, co robisz dla syna, który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał. O, mamo moja, nie gadaj teraz przed nikiem o mnie, aby mnie teraz zapomniano; może potem znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju. Kochana Mamo! w przytomności Odyńca czytałem list twój; nie mogłem się wstrzymać od płaczu, czytając myśl o twoim nagrobku; ponieważ łzy te miały świadka, nie chcę ich taić, tak jak wiele innych łez, wylewanych samotnie. Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte, ale przyjdzie chwila! Kochany Teofilu, jeżeli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w two-

ich listach nie przebija taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem, nie mogłem być użytecznym ojczyźnie, może usługi w biurze dyplomatycznem. Mój wielki niegdyś protektor książę Lubecki zaraz mi chciał dać pensyę, nie przyjąłem jej, cóż, byli tam hrabiowie — ja przepisywałem. Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem. Mamo, ty jedna przynajmniej, wiem, że mną zupełnie pogardzać nie będziesz. Interesa moje tylko tyle mnie obchodzą, ile to kochanej mamy wygód dotyczy się; ja przestałem już myśleć o wszystkiem, bylem mógł ochronić kilka tysięcy, żeby z tem kiedyś zacząć mój pracowity zawód, a wtenczas będę się zupełnie do moich przychodów stosował; teraz to, co od kochanej mamy dostałem, wystarczy mi aż do marca. Wyjadę przez Szwajcaryę do Neapolu, tam znajdę w jakim klasztorze, jak mi mówił Heryng, za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszem obchodzić będę się starał — przyjemność zaciszy wszystkie mi przyjemności zastąpi; czuję, że mi jej potrzeba.

Niech was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem, albowiem pisałem to wieczorem; a co wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie te myśli, bardzoby mi było dobrze w Dreznie; przez cały dzień czytam, w południe kąpię się w Elbie co dnia, co mi bardzo służy, bo woda tej rzeki ma w sobie z gór części żelazne a zatem jest wzmacniającą, czego na sobie bardzo doświadczam. Ileż razy, chodząc po ulicach, staram się domyślić, w jakim mama mieszkała hotelu, i zdaje mi się, że pod „Goldene Krone", „Złotą koroną" — czy zgadłem? O mamo, jak na naszym horyzoncie — na chwilę zachmurzyło się niebo! było to skutkiem stosu galwanicznego (niech to wiadomości elektryczności mamie wytłómaczą), stosu złożonego z krążków srebrnych i złotych, przekładanych sinym papierem — odkryto stos — fizycy od butelek lejdejskich poginą, bo tak byli nieroztropni, że robiąc

doświadczenia z elektrycznością, na ramionach nosili metalowe przewodniki. Otóż znów wpadłem na fizykę, jestem jak student z klasy trzeciej; to zdarzyło się w uniwersytecie Getyngi.

Śliczne są okolice Drezna. Wczoraj panna Dobrzycka, pani Asthon, Angielka, zaprowadziły mię do Brysnitz nad Elbą; nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół godziny na płaskim szczycie świątyni podobnej do „Chłodnika Tetydy“ w Zofiówce; byliśmy jednakże jak zawieszeni nad Elbą. Z drugiej strony rzeki śliczne równiny, z prawej strony w odległości ładne Drezno, a okna domów przy zachodzącem słońcu paliły się jak tysiączne lampy; kilka statków z rozpiętemi żaglami płynęło po wodzie i kilka czółen rybackich — oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyślenie, że przez cały czas, pomimo etykiety, słowa do dam nie przemówiłem. Znajomy wam zapewne dobry nasz plenipotent, co to nazwał siebie „kniaź“, chociaż jego imię, tak jak nasze szlacheckie, na „wicz“ się kończyło, jest teraz w Paryżu; pisał do nas, że dobrze jego pana idą interesa, że wkrótce ma być wezwany jako główny plenipotent, że tamci adwokaci pomagają mu w sprawie[1]); ale cóż nas teraz interesa mogą obchodzić, nudzę was niemi, może wolelibyście mieć nowiny polityczne, ale o tych nic nie wiem.

Dziwnie się teraz musi wydawać Krzemieniec, tak spokojny między górami, po których wiatr świszcze; opisujcie mi więcej ze szczegółami tę okolicę, bo bardzobym chciał poznać miejsce, gdzie mieszkacie. Przeraziła mnie cholera, która atakowała babunię; wszystkie się na nas biedy zwaliły. Mamo, kazałem dla ciebie zrobić mój portret, już jest prawie skończony, w bardzo ładnym guście; przed wyjazdem z Drezna

[1]) Są ludzie, co dla wiadomej nam rodziny pieniędzy starają się, będą je mieli; tego im potrzeba.

przyślę go mamie, jeżeli pisząc do Hausnera, zobowiążecie go, żeby się małą paczką nie przerażał; jak mi miło będzie, jeżeli to kochanej mamie zrobi jaką przyjemność. Najczęściej chodzimy z Odyńcem do „Wielkiego ogrodu“ na spacer, dziwimy się tam często, jak Niemcy mogą przepędzać cały dzień nad szklanką piwa z cygarem w gębie; gdzie się tylko zbliżyć do tłumu, wszędzie o nas gadają i lubią nas. Galerya obrazów w Dreznie wkrótce będzie otwartą, będę w niej całe poranki przepędzał i wielką stąd obiecuję sobie przyjemność. Gospodyni, u której mieszkam, i córka gospodyni bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, że chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domu, druga, iż jeżeliby chciała mieć brata, to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem ideą doskonałości; bardzo mi się podobała naiwność ładnej Saksonki; pochlebiła mi. Nigdzie nie widziałem tyle ładnych kobiet, jak tutaj. Niech teraz wasza Melanka wije laurowe wieńce i na turniejach rozdziela nagrody; niech zrobi podobne wieńce, jak zrobiła sześcioletnia dziewczynka właściciela Nieświeża.

Czy na tęgim rumaku, czy na chudej szkapie,
Ten mą rękę pozyska, co . . . . . złapie!

pójdzie za mąż za cholerę. Ciekawy jestem, co się dzieje z Olesią, z Zenonem; czy wiecie co o tym ostatnim? Wielu moich znajomych opuściło Drezno: Dąbrowska pojechała do wód z swoją ładną córką. Komarowie wyjechali do Karlsbadu, kilku z mężczyzn wróciło do swych majątków. Towarzystwo więc moje znacznie się zmniejszyło. Nic teraz nie piszę, to mój zwyczaj w lecie. Przeczytałem wiele ważnych dzieł, teraz czytam pamiętniki „d'une contemporaine“ [1]); nie podobają mi się.

Kochana mamo, całuję serdecznie twoje rączki i nóżki. Kochanym babuni i dziaduniowi dziękuję

[1]) djun' kątanporen' — współczesnej.

z uszanowaniem za kilka słów, któremi mnie w liście obdarzyli. Hersylko! bądź szczęśliwa i ty, Teofilu, nie gniewaj się na mnie, bo ja ciebie szczerze kocham. Adieu! Panu Pawłowi Jarkowskiemu pełne uszanowania ukłony. Pisałem do Hausnera, żeby mi te 300 r. s. przysłał wekslem do Drezna na Genewę.

6.

Londyn, dnia 6 sierpnia 1831.

Kochana mamo, otóż jestem w Londynie, jakim się to stało sposobem, do zagadek policzyć potrzeba. Dnia 25 lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie i zrana zapijałem niemiecką kawę, wtem drzwi się otwierają, wchodzi nieznajomy jegomość i powiada mi, że przywiózł listy od siostry mojej, z któremi jak najprędzej do Paryża i Londynu mam jechać. Siostrzyczka moja była trochę chora i chciała, żeby ją tamtejsi doktorowie ratowali. Nadto przywiózł mi od siostry na drogę pieniądze; zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą, i tak we trzy godziny po odebraniu listów ekstrapocztą ruszyłem do Paryża.

Wszystko koło mnie mijało jak cienie latarni czarnoksięskiej, podróżowałem dzień i noc jak Gryzomir Krasickiego, i nie wiele więcej od niego widziałem. Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem; płaciłem po królewsku.

O godzinie 12-tej w południe wyjechałem z Drezna, nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26-go byłem w Weimarze; interesowało mnie to miasto jako będące miejscem pobytu Goethego; bardzo ma ładną postać. Przez noc przejechałem przez Erfurt, Saksgota, a nad rankiem piłem kawę w Eisenach; śliczne miasteczko, a jeszcze piękniejsza droga, która z niego dalej prowadzi między ogromnemi górami. W Fuldzie zatrzymałem się godzinę dla naprawy powozu; zna-

lazłem tam w oberży chłopca, co pisze historyę teraźniejszej wojny czyli biografię jenerałów bardzo dobrze. Dnia 28-go z rana byłem w Frankfurcie, tam bawiłem godzinę dla zmienienia moich wekslów. O południu byłem w Moguncyi; śliczny Ren, jaka szkoda, że na niego dłużej popatrzeć nie mogę. Potem przeleciałem śliczne prowincye reńskie; dnia zaś 29-go wieczorem wjechałem do Metz [1]); co za przepyszny widok! miasto uilluminowane jako rocznica rewolucyi francuskiej; lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes do prefekta departamentu, był na balu; zabłocony i bez koszuli prawie, bo kołnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zadziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którem byłem przyjęty; krótki interes, który miałem do prefekta, odbywszy, pojechałem dalej.

Szkaradna Francya: miasteczka gorsze od naszych miasteczek, nędza. W południe minąłem Verdun [2]), wieczorem w Chalons-sur-Marne [3]) złamał mi się powóz; zostawiłem go tam i kazałem sprzedać na rzecz składek zbieranych. 31-go lipca o godzinie 12-tej w południe wjeżdżałem do Paryża. Postylion mój wiózł mnie najpiękniejszemi ulicami, i jemu winienem, żem widział Paryż. Zajechałem do Platerowej Ludwikowej, prosiła mnie, żebym poszedł spać; usłuchałem jej rady i przespawszy cztery godzin, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal [4]) i na posilenie żołądka, co uskuteczniłem w pierwszej paryskiej traktyerze; prawda, że z pożytkiem wojażuję?

O godzinie 5-tej wieczorem już siedziałem w chaise de poste [5]), leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem uiluminowane miasta, miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety... nic mi się szczególnego nie zda-

[1]) Czyt. Mes.
[2]) Czyt. Werdę.
[3]) Czyt. Szalą-sjur-Marn'.
[4]) Czyt. Pale Rłajal.
[5]) Czyt. Szez-de-post' — wóz pocztowy.

rzyło, oprócz (jak mówił ś. p. Strzelecki) oprócz powtarzam, tylkoco się nie spaliłem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał pode mną i zupełnie spłonął, na pole od surduta i na kawałku kołnierza od płaszcza. Wszystkiemu temu winno cygaro, odtąd też ani cygarów ani lulki nie palę, ale nie tak z bojaźni jak dla nadzwyczajnej tego drogości w Londynie. Ale wróćmy do podróży.

Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, t. j. 1-go sierpnia, przejeżdżałem przez Boulogne sur mer [1]), widziałem morze, przyjemne przypomnienie Odessy. O 12-tej godzinie w nocy wjeżdżam do Calais [2]), z Paryża mil 37. Śliczny tam widok latarni morskich, bo każda inaczej się pali dla rozróżnienia. Stanąłem w hotelu de Bourbon [3]). Okropnego mi wypłatał figla Paquebot a vapeur [4]), odszedł beze mnie. Nająłem więc statek, co mnie niezmiernie kosztowało, ale za to byłem panem okrętu i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecznie nająć statek, bo czekać do jutra było niepodobna. Wjeżdżając do Dover [5]), kazałem zatknąć francuski pawilon, i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebranym na brzegu Anglikom majtkowie odpowiadali, kto i skąd jedzie. Śliczna Anglia! murawa zieleńsza, a piasek czerwieńszej farby, co pejsażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona, śliczne miasteczka, Kanterbury [6]) jak mały Londynek wygląda.

O godzinie 5-tej z rana dnia 3-go sierpnia stanąłem w Londynie, zajechałem do hotelu Royal [7]) na ulicy St. Jermyn [8]); przeczytajcie Szyrmę o hotelu

[1]) Czyt. Buloń sjur mer.
[2]) Czyt. Kale.
[3]) Czyt. Burbą.
[4]) Czyt. Pakebota-vaper — parowiec.
[5]) Czyt. Daler.
[6]) Czyt. Kanterbery.
[7]) Czyt. Rojel.
[8]) Czyt. Sent Dżermyn.

londyńskim, a wystawicie sobie moje zachwycenie. Ci lokaje, co wystrojeni na głos dzwonka jak duchy po wysłanych dywanem schodach wchodzą, te wykwintne śniadania, wszystko mi się podobało, żeby nie droga cena. Znów odsyłam was do Szyrmy, je me suis mis en pension[1]) w bardzo pięknym i umyślnie na to urządzonym domu, u państwa Gordon. Pani sama bardzo dobra, prosi mnie, żebym, ile razy co jeść zechcę w dzień, do niej udawał się jako członek familii, i istotnie jestem jakby w własnym domu. Płacę na tydzień półtrzecia gwinei, to jest naszych 105 złotych: mam piękny pokój, z rana angielskie śniadanie, o godzinie 1-szej drugie śniadanie bardzo pięknie zastawione, o godzinie 6-tej obiad wykwintny; wino osobno kupuję; po obiedzie pijemy my mężczyźni aż do 8-mej, ale pijemy bardzo skromnie, nigdy więcej nad pół butelki; o godzinie 8-mej proszą nas na herbatę do salonu, gdzie są damy; wieczorem panienki grają na fortepiano i śpiewają, rozmowa. Jeden Anglik bardzo się do mnie przywiązał i uczy mnie po angielsku. Słowem, bardzo mi tu dobrze; Anglicy...[2]); Londyn przepyszny, Paryż ani w porównanie iść nie może.

Oj Teofilu, ty błądziłeś w Warszawie, a ja w Londynie nie błądzę, choć wystawić sobie nie możesz ogromu tego miasta; z jednej części do drugiej jeżdżą dyliżansem. Lokaj dyliżansu takiego wystawia palec, dosyć mu jest palec nawzajem pokazać, a już jesteś na drugiej stronie miasta za 1 szyling t. j. 2 złote. Miesiąc zabawię w Londynie. Nie troszczcie się o mnie; potem wracam do Paryża. Znalazłem tu doktora Heymana z Wilna, ów to ładny Heyman, Hersylko, bardzo dobry chłopiec. Poznałem jednego ze

---

[1]) Czyt. że-me-swi-mizan-pansją — zamieszkałem w pensyonacie.

[2]) Rękopis uszkodzony.

sławniejszych literatów Leitch Ritchie[1]), mam wyobrażenie życia literatów londyńskich; bardzo z nim dobrze jestem. Pierwszy wieczór przepędziłem u niego en famille[2]) bo jest żonaty, byłem na herbacie, a potem zatrzymał mnie na ostrygi i napój szkocki, t. j. wódkę z cukrem i z wodą, o której tak często Walter Scott[3]) wspomina. Prosił mnie na obiad, bardzo mi u niego dobrze. Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiej wagi, to co było w mojej mocy, i szczęście, że tylko fluksyi dostałem po tylu trudach; dwa dni prawie spałem w Londynie. O, moi mili, wierzcie mi, że o was nie zapominam, że mi tu bez was tęskno; ale dobrze jest, że widzę Londyn, rodzina nasza będzie zdrowa. Mamo kochana, nie zapominaj o mnie i kochaj przywiązanego syna.

7.

Paryż, dnia 10 września 1831.

Kochana mamo! Otóż jestem w Paryżu po 5 tygodniach pobytu w Anglii. Ach Londyn, co za miasto! Zaraz po przybyciu do Londynu pisałem do mamy; jeżeli więc ten list mój doszedł, wiedzieć będziecie o powodach moich nadzwyczajnych przejażdżek po świecie.

Pobyt w Londynie kosztował mnie dukatów 50, lecz mogę powiedzieć, iż nic mnie nie kosztował, bo tyleż pieniędzy wziąłem za małą broszurkę, po francusku napisaną, a którą Anglik ma tłómaczyć i pod swoim imieniem wydać. Żartujcie sobie teraz z mojej literatury. Podróż chociaż wprawdzie utrudzająca, nic mnie także nie kosztowała; przyjechałem więc do Paryża z mojemi pieniędzmi

[1]) Czyt. Lićz Riczi.
[2]) Czyt. An-famij' — w rodzinie.
[3]) Czyt. Łolter-Skot.

nietkniętemi, i te mi do miesiąca czerwca wystarczą. Myślę siedzieć w Paryżu przez zimę, nie dla zabaw, lecz dla łatwości z jaką tu dostaję książek i dla dogodzenia potrzebie cichego życia, która mnie się czuć daje. Co za dziwna myśl, w Paryżu siedzieć dla cichego życia? Ale wracam do Londynu. Wiele miałem w nim chwil zachwycających; przyjemne miasto; wszedłszy na samą kulę wieży św. Pawła, rzuciłem okiem wokoło i pomimo niezmiernej wysokości wieży, z żadnej strony końca nie było widać: domy aż za horyzont się rozciągały i pyszna Tamiza z ogromnemi mostami i za ostatnim mostem las ogromny masztów. Nad brzegami Tamizy do obelisków podobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu; wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiedzałem także, ale dla przygotowań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć K ą t a p o e t ó w, który mnie najbardziej interesował. Dziwny ma pozór dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowymi kamieniami, i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem zastanawiają się czytając je pod nogami. Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliżej sławnych ludzi spoczywać. Pyszny także, choć jeszcze nieskończony most podziemny, ogromna enfilada filarów, w każdym filarze lichtarz bronzowy, z którego gaz się pali: ten rząd świateł i filarów, niknący w oddaleniu, myśl wreszcie o ogromie przedsięwzięcia bardzo wielkie sprawia wrażenie.

Przez jeden dzień w Londynie byłem szczególniej szczęśliwy. Zszedłszy z rana do salonu na herbatę, odebrałem uwiadomienie, żebym się udał do jednego z londyńskich banków, który odebrał adresowany do mnie list z Paryża. Tego samego rana spostrzegłem w gazecie, iż K e a n [1]), sławny aktor, występuje w naj-

[1]) Czyt. Kin.

sławniejszej swojej roli, to jest, w Ryszardzie III. Co za radość! nie spodziewałem się widzieć Kean'a, bo przez lato wszelkie teatra londyńskie zamknięte, dopiero za dwa miesiące otworzyć się miały. Poszedłem do bankiera odebrać list i znalazłem list od kochanej mamy; wychodzę na ulicę koło św. Pawła katedry, czytam, potrącany od przechodzących, list tak miły i tak uspakajający moje sumienie. Dziękuję ci, kochana mamo, dziękuję ci, Teofilu i proszę, żebyście nie pamiętali moich dziwactw. Uszczęśliwiony listami, z pogodną myślą, zasiadłem do długiej angielskiej tragedyi (odsyłam was do wojażu Szyrmy), to tylko powiem, że Kean nieporównany i gra jego zupełnie jest w moim guście. Anglicy dobrze wystawiają tragedye. Byłem także w Vaux-hallu[1]); jest to ogród pysznie illuminowany trzy razy na tydzień; w dzień w którym byłem, illuminacya była piękniejsza niż zazwyczaj, albowiem były to imieniny króla; śliczny fajerwerk i balon, w którym dwóch ludzi poleciało w nadpowietrzne krainy. Przy końcu mego pobytu w Londynie przyjechał tam Niemcewicz; widywałem się z staruszkiem mile od niego przyjmowany; wyrzucał mi, że mojej tragedyi litewskiej grać nie kazałem. Staruszek trochę chory, smutny i niepewny przyszłości, ale Bóg czuwa nad nami. Nie możecie sobie wystawić, z jakiem wylaniem się, z jaką czułością żegnali mnie Anglicy; ręka mnie bolała od ściskania się. Wszyscy wstali od stołu (co u Anglików jest niesłychaną rzeczą), aby mnie odprowadzić do powozu. W nocy wyjechałem z Londynu, nad rankiem stanąłem w Dover, tam cały dzień czekać musiałem na odejście statku parowego; o 4-tej po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze, im dalej płynęliśmy, tem było okropniej. Calais choć mała cieśnina, a l e n i e z m i e r n i e b u r z l i w a; o godzinie 10-tej w nocy ciemność

[1]) Czyt. Woz-hol.

była okropna i fale tak wzburzone, że przelatywały przez pokład. Znużony i dręczony morską słabością, poszedłem do kabiny czyli do salonu; dziwny widok: ze 40 osób leżało na sofach i na podłodze, szczęściem miejsce maleńkie na sofie znalazłem, skurczyłem się i zasnąłem, a jednak pomyślałem sobie przed snem, iż może się gdzieindziej obudzę. O godzinie 12-tej w nocy obudzono mnie rozmową; dowiedziałem się z rozpaczą prawie, że do portu Calais wpłynąć było niepodobieństwem, bo tegoż ranka przy wejściu do portu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go, znów więc kilka godzin morskiej słabości, wracamy napowrót do Dover. Posępny był widok portu Calais. Latarnie morskie pogaszone dla ostrzeżenia okrętów, żeby nie wchodziły nocą, i szum okropny wzburzonej fali. Wracamy do Dover, lecz niemeśmy wrócili, wiatr ustał i napowrót kapitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8-mej z rana przybyliśmy; śliczne było słońce wschodzące na morzu; miałem więc wyobrażenie burzy. Po tych przeprawach szczęśliwie dostałem się do Paryża. W Paryżu piękne pałace. Ogród tuilleryjski z swymi drzewami bardzo piękny, ale cóż za podobieństwo do ogromnego parku James[1]) w Londynie, gdzie po obszernej murawie rozrzucone ogromne drzewa i pasą się najpiękniejsze trzody i na około ogromne pałace za drzewami się pokazują w pół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności widokom angielskim. Paryż podobny jest do innych miast... do Warszawy, — Londyn jest zupełnie oryginalnym. W Paryżu nie zastałem tych, których widzieć chciałem. Gorecki i Mickiewicz na kilka dni przed moim przyjazdem pierwszym do Paryża, wyjechali do Drezna; Odyniec, który w kilka dni przed moim wyjazdem z Drezna wyjechał do Litwy, dla za-

[1]) Czyt. Dżejmz

szłych zmian, jak się dowiaduję, znów do Drezna powrócił. W Paryżu mało jeszcze mam znajomości, a salonowych żadnych. Lecz dobrze mi z tem: mam śliczny mały pokoik z mahoniowemi meblami i marmurowym kominkiem; co za przyjemność w zimie!

Dzięki ci, mamo moja, że mi nawet w tych okolicznościach trudnych nie dajesz uczuć żadnych niewygód; o, żebyś, mamo, mogła czytać w moich myślach, zobaczyłabyś, ile tam jest wdzięczności i przywiązania. Myśląc o mamie, przychodzi mi na myśl Heryngowa; o synie tylko wiem, że jest w Warszawie i potrzebuje pomocy. Braknie mi miejsca na wyrażenie wam wszystkim mego przywiązania. Ściskam ciebie, kochana mamo, babuniu i dziaduniu, Teofilu, Hersylko, Melanko etc.

8.

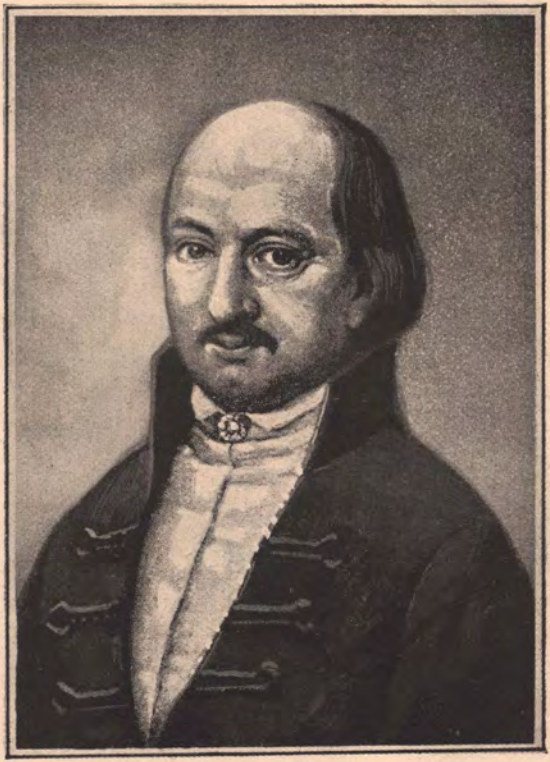
Paryż, dnia 20 października 1831.

Od dwóch prawie miesięcy jestem w Paryżu, i nie odbieram od was żadnego listu. W takich czasach możecie sobie wystawić jaka niespokojność dręczy mnie o was, jeszcze do tego mamy zdrowie z nadejściem zimy... wszystko to, wszystko okropnie mnie przeraża, a ja tak daleko, ani mogę tak jak niegdyś zlecieć do Krzemieńca, w nocy odbić waszą furtkę, obudzić dziadunia, uchodzić przez chwilę za złodzieja, co się wkrada do domu, i rankiem być przyjętym ze łzami od mamy! Cóżbym dał za taką chwilę! Zdaje mi się, że widzę i tę górę Zamkową oświeconą księżycem, i słyszę mój dzwonek pocztowy. A my mieliśmy się kiedyś zobaczyć szczęśliwie, i wszystko to być by mogło!

Czyście odebrali mój list z Londynu, a drugi z Paryża? Wiele zbiegłem świata, żyłem z Anglikami, bo mi się podobali, z Francuzami nie żyję, mam do nich jakąś nieprzezwyciężoną odrazę, taka nieszcze-

rość i tak wiele gadają. Samotny prawie przepędzam dzień cały; brałem lekcye hiszpańskiego języka, i teraz już doskonale rozumiem Don Kiszota; nic równego jak Don Kichote (notabene uczę Teofila, że jeżeli chce uchodzić za Hiszpana, niechaj to h wyrwie z głębi brzucha); uczyłem się po hiszpańsku jedynie dla Kalderona tragedyi, ale dotąd ich nie skosztowałem. Co to dla mnie będzie za źródło! jest ich kilkaset. W o j a ż b a r d z o w i e l e d a j e w y o b r a ż e ń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje się mniej pięknem, jak było w imaginacyi, i potem zostaje w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany, drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginacyę. Kiedyś utworzy się trzeci najpiękniejszy z imaginacyi i z sennego przypomnienia, i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z tych trzech obrazów. Nie pojmuję, jak Byron mógł pisać na miejscu. Jeden najmilszy z wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu P e r e l a C h a i s e[1]); nic nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju: za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto pokryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można; różne drogi krzyżują się w tym lesie; w cyprysach mnóstwo róż miesięcznych, bladych, ale kwitnących wiecznie, czasem ognistym kwiatem błyśnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie: najczęściej małe kolumny z marmuru białego, we środku na górze jest mała kaplica, stamtąd wzrok po murawie, z wierzchołków cyprysowych utworzonej, spada na dół, i z dala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swojemi gmachami; nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. Czarne wozy tam ciągle przez pryncypalną ulicę przejeżdżają, ale pogrzeby tu bardzo ciche; u nas tak żydów chowają. Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wian-

[1]) Czyt. Per-la-Szez'.



Teodor Januszewski
dziadek Juliusza.

kami z świeżych i artyficyalnych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów: każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoją boleść, a kiedy da kilkanaście, to kwiaty z płótna aż po roku trzeba będzie odnowić.

Byłem na kilku teatrach, nie możecie sobie wystawić, jak Francuzi szkaradnie grają tragedyę, każdy wiersz przez nadprzyrodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu: na piękne kawałki świszczą, nic nie lubią, tylko małe komedyjki, w każdej musi być dej algierski, tego wiecznie dręczą, i zdaje im się, że to jest sława narodowa. Byłem na takim wodwilu, zupełnie podobny do siedm razy jeden; Francuzi rozpływali się. Nie tak drogie życie w Paryżu, jak nam wojażerowie opowiadali; zapewne, iż bywać po balach i domach gry, to kosztuje, ale żyć można spokojnie i po kawalersku za 2000 franków. Za dwa franki mam w Palais Royal[1]) obiad bardzo dobry: zupa, trzy lub cztery potrawy i deser z pół butelką wina; potrawy wybierają się z karty, na której ze sto jest do wyboru i można kazać dawać najwykwintniejsze. Wino zwyczajne szkaradne; gazety czytam zawsze w ogrodzie Tuilleries,[2]) gdzie za jedną gazetę płaci się sous,[3]) tj. 2½ groszą, za tak małą liczbę można się dowiedzieć, co się dzieje na świecie — nic szczęśliwego.

Odyniec siedzi w Dreźnie na nowo, nie miałem od niego listu, pisuje tylko do Tedwena, z którym się bardzo dobrze poznaliśmy; jest to szambelan dworu saskiego, Polak, dawniej wojskowy. Ja się bawię jak mogę; w sztambuchu jednym napisałem następujące wiersze po angielsku. Ale wiersze białe, bezrymowe, niech tam kto nie upatruje rymu między m a d e a r e w a r d.[4])

[1]) Czyt. Pale-Rłajal.
[2]) Czyt. Tilleri'.
[3]) Czyt. su.
[4]) Czyt. mejd' i rełod.

It is probable to us, the bargain will be made:
France shall deliver the Africanean shores
To the English people, and take in reward
The country of the Rhine, perhaps the part of them;
And from another will be made a kingdom
And given tho the prince of orangean house
And whe shall be not free, but theutonian slaves
And shall have our laws, given but unobserved...
The fair land of Miaulis shall suffer, and sold
This bargain; and take king with a snowy crown;
It is but uncertain, I have not but dreamed;
If the dream is true, you will gain nothing there [1]).

Taka to jest dyabelna poezya, że nie umiejąc złożyć dwóch wyrazów, a już składam wiersze, i dziwić się temu będziecie, tak ja się dziwiłem w Anglii dzieciom, które pięciu lat nie mają, a już po angielsku gadają. Śliczny tu czas mamy, chociaż na drzewach mało już liści, czasem nawet bywa gorąco, dotąd nie widać żadnego płaszcza ani watowanego surduta; gdy ten list odbierzecie, zapewne już będę rozkładał ogień na kominku. Jeżeli kto będzie oddawał pieniądze, to weźcie; za kilka tysięcy wdzięczny wam będę, widzicie sami, iż dla mnie niema innego widoku, jak ta nieszczęśliwa poezya; czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja w moim życiu zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem, innej nie spodziewałem się karyery, kiedy z małego ułamku znanym byłem wszystkim Polakom w Paryżu i w Dre-

[1]) Prawdopodobnie układ nastąpi:
Francya uwolni brzegi afrykańskie
Dla narodu angielskiego, i weźmie za to
Kraje nadreńskie, może część ich,
A z reszty królestwo utworzą
I oddadzą księciu z domu orańskiego.
A my nie będziemy wolni lecz niewolnikami niemieckimi
I nadadzą nam prawa lecz ich nie dochowają...
Piękny kraj Miaulisa będzie cierpieć i zapłaci
Ten układ i otrzyma króla z śnieżną koroną,
Ale to niepewne, tylkom marzył tak.
Jeśli sprawdzi się sen, nie zyskacie na tem.

źnie, kiedy jeszcze dotąd każdy, poznając się ze mną, wykrzyka: „Ach, to autor Boga-Rodzicy!“ Czegoż spodziewać się mogę na przyszłość Przynajmniej nie zapomnienia. Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego co mi najwięcej w życiu zrobiło przyjemności. Jeżeliby mi się szczęśliwie z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpanii, a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym, Wenecyę, Tryest, Wiedeń wrócić kiedyś do was, jeżeli będzie można. Jakbym był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały. Wiecie, iż teraz snom wierzę, i mam przekonanie powzięte z doświadczenia, iż niektóre są prawdziwe. W domu, gdzie mieszkałem w Anglii, jednej nocy obudził mię sen okropny: było to 16 sierpnia; zdawało mi się, że należę do zaburzeń. Kiedym szedł na herbatę, wszyscy spostrzegli zmieszanie na mojej twarzy, wyznałem im ze wstydem sen nocy i przepowiedziałem na ten dzień coś ważnego. Anglicy mieli mnie potem za obdarzonego drugiem widzeniem. Dowiedziałem się, iż teraz do domu, gdzie mieszkałem, przeniósł się Niemcewicz; bardzo mi miło, że tam jakiś Polak mnie przypomina, zwłaszcza, iż tam dobre po sobie zostawiłem wspomnienie. Widziałem tu Rymgailę, tego to, który w domu Podczaszyńskiego w Wilnie był jak domowy, i teraz tu się uczy architektury. Ale z p. Michałem, co mówi, iż mnie na ręku nosił, dotąd się nie poznałem, nie wiem dlaczego. Często chodzę patrzeć, jak sztychuje Oleszczyński, jeden z najpierwszych sztycharzy w Europie, młody Polak; z ojczystej historyi bierze przedmioty i wydaje album rysunków różnych czynów i pomniki. Sowiński niejaki wydaje pieśni ukraińskie i polskie ludowe, z tłómaczeniem we francuskim, w którym się na sentymentalną muzykę zamieniają. Kobietom tutejszym niezmiernie się „Hryć“ podoba, także pieśń o Potockim, ale ja znajduję, że ją mama lepiej ułożyła. Jeżeli macie jakie

dumki z muzyką, ładne, a mało znane, to mi przyślijcie.

Ciągle tu wychodzą karykatury, król nawet nie oszczędzony i wszędzie doskonale podobny. Widziałem go wczoraj: jechał pod baldakinem, ubrany w mundurze bogatym, iskrzyła się czerwona liberya, srebrzyste koni chomąty, a za nim oddział konnicy a potem w karetach postrojeni ministrowie. Napiszcie mi co o cholerze, tutaj jej jeszcze niema, i nie prędko spodziewana, zupełnie o niej nie myślę; szkoda Urbańskiego. Czerwone jabłko zjadła. Zdrów jestem zupełnie. Choroba morska posłużyła mi, ale co to za niegodziwa choroba, będzie mnie zawsze odstraszać od przydłuższych wojażów morskich.

Bardzo tanio można tu kupować książki, i byłaby to dla mnie przyjemność mieć niektóre, ale ponieważ nie wiem, gdzie się obrócę, więc nie chcę się obciążać nielatającym tłumokiem. Nie chcę, aby mnie nic wstrzymywało daleko od was. Mamo kochana! tak bym chciał ciebie widzieć, tak bym chciał przywiązaniem mojem wynagrodzić matko tyle cierpień, któreś poniosła z mojej przyczyny! Potrzeba mi spokojności; nieraz sobie myślę, iż nawet w Krzemieńcu mógłbym mieszkać szczęśliwy, powiadam sobie nieraz z Chateaubrianem: Si j'avais encore la folie de croire au bonheur, je le chercherais dans l'habitude[1]). Francuzi piszą teraz mnóstwo romansów w różnym rodzaju; niekiedy używają starego zardzewiałego stylu, wprowadzając starych czasów osoby, tak właśnie jak gdyby na teatrze. Neron powinien po łacinie jak student trzepać; najlepszy z tych romansów jest „Les mauvais garcons“[2]), bezimiennie wydany; przeczytaj go, kochana mamo, jeżeli

[1]) Czyt. Si żawezankor la folí de krłar' o boner, żele szerszere dan labitjud — Gdybym był jeszcze takim waryatem, żeby wierzyć w szczęście, szukałbym go w przyzwyczajeniu.

[2]) Czyt. Le mowe garsą — Niegodziwi chłopcy.

dostaniesz. Strasznie zdrobnieli we wszystkiem Francuzi, nie mogę sobie wystawić żeby to był ten sam Paryż, tak świetny niegdyś za Ludwika XIV i nie powiem jak Trembecki, żem widział:

. . . . . w dalekiej krainie,
Ateńczyki w Paryżu, Rzymiany w Londynie.

Adieu, droga mamo, zaklinam ciebie abyś mi jak najprędzej choć kilka słów napisała i prosiła bankiera, aby je przesłał do Paryża. Adres mój: Rue neuve de St. Eustache Nr. 5[1]). Tak list niezawodnie mnie dojdzie. Adieu, droga mamo. Uściskaj ode mnie rączki babuni i dziadunia.

Nie, pocałunek ten składam na Melankę; ona już mnie musiała zupełnie z serca dziadostwa wyrugować. A Teofil cieszy się i schudnie z zazdrości, kiedy ja powrócę i jednem słowem hiszpańskiem serce Babuni i Dziadunia odbiję... Oj! tak będzie. Hersylko, Teofilu, bądźcie zdrowi.

Wasz.

Kłaniajcie się ode mnie jak najpiękniej Olesi. O! ta umie żyć na świecie. Dobrze się baba wybrała. Napiszcie mi czy prawda, że Ludwisia ma pomieszanie zmysłów? Nieszczęśliwa. Panu Pawłowi Jarkowskiemu moje ukłony. Często chciałbym być na jego miejscu i siedzieć spokojnie w murach jezuickich. A pan Paweł dla cholery możeby się ze mną na Paryż pomieniał. Powiedzcie także Makdonaldowi, iż znałem w Anglii i mieszkałem w jednym domu z człowiekiem, którego imię irlandzkie zawsze mi go przypominało. Nazywał się Mac Donell.

---

[1]) Czyt. Rjuj new' de Sęt-Estasz'.

9.

Paryż, dnia 10 grudnia 1831.

Kochana mamo! Doczekałem się był jednego od was listu, i z niewypowiedzianą radością dowiedziałem się, żeście zdrowi i spokojni; lecz teraz znów od was nie mam wiadomości, chociaż na mój list ostatni odpowiedź nadejśćby była powinna. Więcej o was mam przyczyn niepokoić się, niż wy o mnie, stąd i częstszych listów od was koniecznie wymagam; z mojej strony częstsze listy być nie mogą, kto wie, czy i te nie będą wam powodem do jakich nieprzyjemności, lub do fałszywych tłómaczeń nie dadzą powodu. Kochana matko, bądź zupełnie spokojna o mnie: byłoby mi dobrze, gdybym wiedział, iż wy za mnie gorzej nie będziecie; ty, kochana mamo, mogłabyś przede mną co ukrywać, i to mnie właśnie dręczy, bo nawet listy wasze nie mogą mi wybić tego z głowy. Wiele mam teraz znajomych, ale żadnego miłego, żadnego, z którymby mi było żyć przyjemnie i chciałbym jak najprędzej wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojej imaginacyi, bo Paryż bardzo prozaiczny, szkaradny, ani tak świetny, jak był kiedyś dawniej. Trzyma mię w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować, ale już tyle moich nadziei na niczem spełzło! Często dnie całe przepędzam w sławnej galeryi posągów i obrazów w Luwrze i już znam się nieco na malowidłach: często spojrzawszy na obraz, zgaduję autora. Szkoła francuska zupełnie mi się nie podoba, figury nienaturalne i wykrzywione, koloryt to nadto ciemny, to nadto światły; ulubiony mój malarz jest Paweł Weronese. Bardzo się ucieszyłem razu jednego, spostrzegłszy oryginał obrazu ulubionego babuni, oryginał tego obrzezania w pysznym kościele z kręconemi kolumnami. A więc, abyście wiedzieli, przez kogo ten obraz został skomponowany, donoszę

wam, iż go w tutejszej galeryi przyznają Giulio[1]) Romano. Niektórzy jednak sądzą, iż należy do jego współzawodnika, Bartłomieja Ramenghi[2]), nazwanego inaczej Bagnacavallo[3]); powodem do tego twierdzenia jest człowiek, po prawej stronie widza przy brzegu stojący, w którym niektórzy widzą portret tego ostatniego malarza. Pyszna galerya Luwru blizko tysiąca kroków ma długości, cała zapełniona najpiękniejszemi obrazami, lecz czy uwierzycie, spojrzawszy na dwa małe obrazki Rafaela, nie wiedząc, że były przez niego malowane, myślałbym, że je jakie dziecko nabazgrało; trzeba znać się na nich, żeby rysunek ocenić. Pomyślałem wtenczas, iż tak często nie znającym się na głębi poezyi Szekspir wydaje się dzieckiem albo waryatem wtenczas, kiedy każda jego scena odkrywa głęboką znajomość serca ludzkiego i napiętnowana jest wielkością poetycznego geniuszu.

Obchodziliśmy rocznicę urodzin naszej kuzynki; jedynie oglądając się na was, nie przyłożyłem się do tego obchodu tak, jakem to sobie wprzód, nie rozważywszy dobrze, zamierzył. Rej wodził na wieczorze znajomy niegdyś w Krzemieńcu tancerz, dzisiaj zjedzony przez mole biblioteczne, chudy, z dwoma czerwonemi plamami na policzkach, któremu do ozdoby jeszcze wąsy przybyły.

Proponują nam tu różne literackie zatrudnienia, myślałem nad tem, aby jaki romans napisać po francusku z naszej historyi, ale za pieniądze pisać nie mogę zupełnie, ile razy o tem myślę, imaginacyę mam zupełnie skrzepłą. Poznałem się także z kilku literatami mniej sławnymi, którzy proponowali mi wiersze moje po francusku tłómaczyć; zamówiłem sobie ich, aby to po wydrukowaniu moich wierszy uczynili.

---

[1]) Czyt. Dżulio.
[2]) Czyt. Ramengi.
[3]) Czyt. Banlakawalo.

Z poetami tutejszymi nie śmiem i nie chcę się poznawać, bo teraz nieznajomy cierpiałbym, nie mogąc sobie należnego między nimi zająć miejsca. Widziałem z daleka Wiktora Hugo[1]) na imieninach kuzynki; wcale z jego postawy geniuszu nie widać, patapuf zupełny; w życiu prywatnem szczęśliwy, ma żonę, dzieci troje, a to wcale nie na rękę dla romantycznej poezyi. Lamartine[2]) mieszka we Florencyi: klasycy francuscy uważają go za pierwszego poetę, co mnie nieskończenie gniewa. Jest w Paryżu Cooper[3]), Amerykanin, tego będę się starał poznać; wydał on nowy romans już nie w Ameryce, ale w Wenecyi odbywający się, pod tytułem: Le bravo; śliczny romans. Bravo nie znaczy tu oklasku, ale człowieka, który zabija za zapłatę sztyletem. Bravo Coopera, tak jak jego szpieg, jest to człowiek niewinny zupełnie, który rządom się zaprzedał dla uwolnienia z więzień stanu od kilkunastu lat jęczącego w nich ojca, a rząd sekretnie ludzi podejrzanych zabijając, składa to na sztylet niewinnego bravo; widząc nareszcie, iż się wszystko odkryje, oddaje go pod miecz katowski. Nic piękniejszego, jak widzenie się bravo ze starym uwięzionym ojcem. Nie mogłem się od łez wstrzymać, tak mocno i z taką prostotą odmalowano.

Chodząc raz po Palais Royal, słyszę, że ktoś mnie po nazwisku woła, zgadnijcie kto? Oto Hłuszniewicz, doktor, który mnie raz widział, przychodząc do chorej mamy; dziwiłem się, że mnie po tylu latach poznał, winien to jestem zapewne memu nosowi.

O Jasiu nic się dowiedzieć nie mogę, Zenon i Henryk bliżej was niż ja. Miałem teraz przyjemny obowiązek wybrania dla Tedwena, w Dreznie będącego szambelanem dworu, guwernantki dla dzieci; stąd widziałem wiele panienek, egzaminowałem je i nauczyłem się me-

---

[1]) Czyt. Jugo.
[2]) Czyt. Lamartín.
[3]) Czyt. Kuper.

tody Jacotot[1]), która teraz jest bardzo używana we Francyi. Dzieci tą metodą bardzo się prędko wprawiają do czytania i pisania, i rezonowaniem uczą się geografii i historyi; wyszły już o tem książki, i te kiedyś posyłając wam moje wiersze dla Melanki, przysłać nie omieszkam. Metoda ta zastosowana jest i do muzyki i do rysunków, ale czytanie i pisanie najlepiej mi się podoba: nie dręczy dzieci uczeniem się abecadła, ani długiem sylabizowaniem, ale pokazując dziecku na książce frazes, czyta go póty, póki się go dziecko na pamięć nie nauczy; a potem mu każe zgadywać, gdzie każda litera, a w następujących słowach powtarza na drugi raz litery, każe dziecku zgadywać, gdzie je już widziało; tak, kiedy się dziecko czytać jeden frazes nauczy, już drugi idzie łatwiej i widziałem, że postępy dzieci są zadziwiające. Spróbujcie uczyć takim sposobem Melankę, obracając jeden frazes tysiącznemi sposobami, rozdrabiając go na słowa, na sylaby, na litery, nie porzucajcie tego frazesu, póki się go doskonale nie nauczy, a upewniam wam, iż po kilku miesiącach czytać będzie doskonale.

Kilka dni temu byłem na sławnej nowej operze romantycznej: „Robert le diable“[2]). W całej Europie tej opery nigdzie nie wystawią, tak jest pyszną; trochę w guście Freischütza[3]), prześliczna muzyka. W życiu mojem nie widziałem tak wielkiego kościoła, jak tu przez złudzenie na teatrze. Piękny jest nad wszystko widok kolumnady przy świetle księżycowem, zrobiony zupełnie a jour[4]); za kolumnami widać cmentarz oświecony księżycem; z grobów między kolumnami wymykają się błękitne płomyki, i te tańcząc w powietrzu, potem rozchodzą się i każden ożywia jedną marmurową mniszkę, leżącą na grobie, te się zwolna podnoszą, z całego cmentarza schodzą się mnisz-

[1]) Czyt. Żakot.
[2]) Czyt. Robér-le-Diabl'.
[3]) Czyt. Frajszyca.
[4]) Czyt. A żur.

ki i zaczynają śliczny balet; za wybiciem zegaru wszystkie upadają; jest to śmieszne, ale wykonanie prześliczne. Wir mniszek ukręcających się na cmentarzu przy natężonem błękitnem świetle księżyca uderzył silnie moją imaginacyę. W orkiestrze po pierwszy raz użyto bębnów, kotłów, dzwonków i wszystkiego, co tylko można sobie wystawić; autorem muzyki jest Meyerbeer, słowem: l'opera a fait un pas.[1]) Mamo, jakbyś się ty rozpływała nad tą muzyką. Często sobie myślę: jeżeli mi Bóg w moim zawodzie poszczęści, jeżeli złączywszy kiedyś nasze, jeżeli będę miał jakie, przychody, co wynosić będą z 5000 franków na rok, wtenczas, matko, przyjedziesz do Drezna, tam życie bardzo tanie: widziałem jak panna Czacka mieszkała, najmiemy sobie także wiejski domek i może będzie nam dobrze.

Drezno bardzo lubię i radbym tam wrócić, mamo; będziesz zupełnie kontenta z domu Dobrzyckiej, gdzie mnie tak dobrze przyjmowano, wreszcie znajdziemy tam więcej domów naszych. Ten projekt koniecznie wykonać potrzeba, bo inaczej straciłem nadzieję, żebym mógł kiedy ciebie, kochana mamo, zobaczyć, a chciałbym ci dowieść, że wszystkie moje uchybienia teraz z dojrzalszą rozwagą, ze zmienionemi mojemi wyobrażeniami, już miejsca mieć nie będą. Okropnie mi nawet myśleć, że ty, kochana matko, wspominając o mnie, możesz powiedzieć: „on mi za moje przywiązanie nie odwdzięczył.“ Matko moja, widzę wszystkie twoje dobrodziejstwa, widzę delikatność twoją i umiem odgadnąć, że przedanie kocza, pozbycie się tej przyjemności jest nowym twoim dowodem przywiązania dla niewdzięcznego syna, dla którego wystarczyć nie możesz. Stąd nie dziw się, że ja będąc w Paryżu, nie puszczam się na świat wielki, gdzie teraz albo ogromne wydatki, albo poniżenie mojej miłości własnej spo-

[1]) Lopera a fet-ę-pas — Opera krok postąpiła.

tkać by mnie mogło; ale jeszcze ja żyć muszę, choćby rok tylko. Bądźcie zdrowi. Wszystkich was całuję i ściskam. Kochana mamo, całuję ciebie serdecznie.

Juliusz.

10.

Paryż, dnia 24 stycznia 1832.

Kochana mamo! Odebrałem drugi wasz list zaraz po oddaniu na pocztę mego poprzedniego do was listu; nie możecie sobie wystawić, ile mię każdy z waszych listów uszczęśliwia; tego tylko nie mogę darować, że mi do Paryża na jednej ćwiartce piszecie. Jabym chciał wiedzieć o wszystkiem: nasz kraj teraz tak mi się pięknym wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy; o powrocie ani myśleć, bo powiedzcie: cobym ja teraz robił? Różnica kosztów życia bardzo mała: czy tam, czy za granicą, a mniejsza jeszcze będzie jak się wyrwę z Paryża, pojadę do jakiego włoskiego miasta, gdzie, jak mówią wojażerowie, dukat tak się zdaje długim, że jego końca doczekać się nie można. Biedni wy teraz, myśleć o was spokojnie nie mogę.

Towarzystwo moje w Paryżu bardzo się powiększyło: wielu mam nawet szkolnych kolegów, ale wszystko nie ci, którychbym sobie życzył, słowem, że nie mam prawie towarzystwa. Życie moje bardzo jednostajne i gdybym go sobie literaturą nie urozmaicał, nudneby było. Najlepiej jestem z jednym Anglikiem, z którym często wieczory przepędzam i chodzę na spacer; temu winienem, że po angielsku już trzepię a rozumiem wszystko doskonale. Jedna więc z moich największych przyjemności jest to, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Walter Scotta pokaże. Ten ostatni wydał teraz romans pod tytułem: Le comte Robert de Paris[1]), z czasów pierwszej krucyaty,

[1]) Czyt. Le kąt Rober de Parí — Hrabia Robert z Paryża.

którego scena w Konstantynopolu. Jedna z najdoskonalszych osób jest Anna Komnena, córka cesarza greckiego, sawantka; drugą doskonałą osobą jest małpa, która czasem gra rolę dyabła, i właśnie w takim ostatnim charakterze dusi filozofa.

Życie moje, jak mówiłem, jest bardzo jednostajne. Z rana wstaję o godzinie 10, piję herbatę w domu, potem piszę, potem idę czytać gazety. O 4 idę na obiad, gdzie się schodzi wielu Polaków; tam się zawsze widzę i gawędzę z godzinę z Antonim Góreckim, dawniej pierwszym poetą. Jest on teraz w Paryżu, przyjechał z Drezna, i zrobił mi wielką przyjemność, przywożąc mi ukłony od ładnej Saksonki, córki mojej gospodyni. Trzeba wam wiedzieć, iż Górecki mieszkał w tym samym co ja mieszkaniu i ta panienka, zamiast odpowiadania mu na jego sentymenta, o mnie mu ciągle robiła pytania; znudzony tem, powiedział jej, że ja się żenię w Paryżu. Bojąc się zatem, aby ta plotka do was nie doszła i nie przeraziła was, muszę jej tu zaprzeczyć.

Dobrowolski doktor, któren tu jest, także wczoraj na obiedzie powiedział mi iż odebrał list ze stron waszych, w którym mu donoszą iż Jaś u was został i przez sąd Erazma Rakowskiego przechodzić będzie. Wiadomość ta pierwsza jaką o Jasiu powziąłem na pół mnie ucieszyła, na pół zasmuciła. Spodziewam się, iż to co piszę, już nie będzie dla was nowiną.

Między nami tutaj głupstwa się dzieją, ciągłe pojedynki: najlepszy był w tych dniach, bo oba pistolety pistonowe nie wypaliły, widać, że proch był z węgla, i pojedynkujący się spokojnie rozeszli. Nie lękajcie się jednak o mnie zupełnie, nie jestem w tym kole, w którym tak kule latają; gdyby nawet i nie pojedynki, tobym w nim żadnej nie znalazł przyjemności.

Odebrałem teraz list od Odyńca z Drezna, wyborny list: wszyscy moi znajomi koleją na wiersze się zdobywali, a Odyniec wierszami pisał nad tą poezyą

komentarze. On sam tłomaczy teraz wierszem Lalla Rookh[1]), tę dziwną mozaikę; nie wiem skąd ma do niej upodobanie.

Mickiewicz jest w Poznańskiem. Michała Podczaszyńskiego niema tu teraz, jest w jednym z miasteczek francuskich; wielką mi raz zrobił przyjemność, opowiadając mi o moim dzieciństwie. Mówił mi, iż raz strasznie zacząłem kaprysić. Ojciec więc kazał mi rozesłać dywan na podłodze, posadził mnie na tym dywanie, i kazał, żeby nikt do mnie nie gadał. Powiada Podczaszyński, iż dziwna była moja mina, kiedym tak na dywanie siedział; potem ochłonąwszy z gniewu, przeprosiłem ojca, mamę i wszystko było dobrze.

Muszę wam jeszcze donieść, iż we Francyi napotkałem raz w traktyerni soczewicę, której od śmierci ojca nigdy nie jadłem; jedząc teraz, smak mi się jej przypomniał, jak sen jaki mego dzieciństwa. I prawdziwe dzieciństwa piszę wam w tym liście, lepiejbym zrobił, pisząc wam o kolumnie Vendome[2]): cała lana z armat, zdobytych przez Napoleona; pomnik na ślicznym placu i najpiękniejszy w całym świecie, ale brakuje mu głowy, to jest statuy Napoleona. Zobaczymy, jak pójdą rzeczy: może na niej ta statua stanie, może jak na starych ruinach lilie porosną. Teraz jednak już nie lilia, lecz gruszka jest herbem Francyi, a to z następującego powodu: Malarz jeden, skazany za robienie karykatury na pięć miesięcy więzienia i zapłacenie 5,000 franków, wymalował następującą zemstę: na jednej ćwiartce wymalowana głowa Ludwika Filipa, potem ta głowa zwężona u góry, a szersza u spodu, potem trzecia jeszcze bardziej podobna do gruszki, a nakoniec czwarta zupełna gruszka, i podpisał: że ponieważ gruszka jest podobna do poprzedniej

---

[1]) Czyt. Ruk.
[2]) Czyt. Wandom.

figury, ta do poprzedniej, a ta do króla, a zatem za wymalowanie gruszki mogę być skazany na... Z tej karykatury urodziła się druga, daleko lepsza. Un crieur public[1]), jak u nas licytant woźny, trzyma wyniesiony sur une estrade[2]) gruszkę; pod spodem siedzi wiele osób z orderami; a ponieważ król domagał się w budżecie 14,000,000 franków dla siebie, których mu nie dano, więc malarz podpisał pod karykaturą, jak licytant krzyczy: „à quatorze millions!.. à quatorze millions! c'est pour rien... à quatorze millions, personne ne dit mot? à quatorze millions, adjugé![3]) Przyznajcie, że to dobra karykatura, przedają gruszkę za czternaście milionów.

Jedną także z największych nowości we Francyi, jest wystawienie historyi romansowej naszej kuzynki na teatrze Cirque Olympique[4]); byłem na niem: wielkie głupstwo. Nie możecie sobie wystawić, jak są głupi Francuzi, jak chcą coś wydać wielkiego: właśnie z prostoty wpadają w deklamacyę śmieszną. Dosyć powiedzieć, iż figura blada, która nosi buty z kutasami, siedziała przy mnie na krześle podczas reprezentacyi, i ta sama figura w czerwonym płaszczu cuda na scenie wyrabiała; smutne to było dla nas, i czasem łzy się kręciły w oczach, czasem śmialiśmy się do rozpuku. Teofilu! w życiu naszem nigdy nic podobnie pięknego nie zobaczymy, jak wtenczas, kiedyś ty się zachwycał i tylko machinka pod językiem zachwycenia wydać ci nie pozwalała.

Był tu teraz bal na dochód ubogich, na którym wielu z moich znajomych było, ale tylko głowy w tłu-

---

[1]) Czyt. Ę krier piublik — licytant.

[2]) Czyt. Sjur-jun-estrad — Na wzniesieniu.

[3]) Czyt. A katorz' milią — se pur rię — person ne di mo — adżjuże — za czternaście milionów — to za nic — nikt nie mówi słowa — przysądzono.

[4]) Czyt. Sirk — Olępik'.

mie widzieli, taki był ścisk; między temi była i gruszka. Nie byłem wcale ciekawy tej osobliwości. Są tu Władysław i Cezary, z któremi w Wilnie do szkół chodziłem; pierwszy jest nieznośną, nudną figurą, drugi bigot, tak jak Gorecki.

Mąż Wysogierdowej czeka z niecierpliwością żony. Napiszcie do Olesi, że o niej zawsze pamiętam i często tu z osobami, znającemi ją, mówię o niej. Napiszcie mi także, jak się im powodzi, jeżeli będą mieli syna, niechaj nazwą go Februarius; nie wiem, skąd ta anegdotka Güntera przyszła mi na myśl. Kręcą mi się teraz po głowie wszystkie anegdoty, bo powiem wam pod sekretem, iż piszę romans po francusku z naszych oryginałów; scena na Ukrainie; głównemi osobami są: ś. p. szlachcic, co obchodził święta Cerery, i drugi, co podróż do Turcyi czy do Arabii odbywał, a trzeci geometra Zszantyr, znajomy wam ze sztuki śpiewu i innych doskonałości. Wszystko sprzężone z wielu fikcyami i długiemi rozmowami w guście Waltera Scotta, i z długiemi objadami w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków, słowem, będzie do chef d'oeuvre[1]), za które mi powinni jak za takie zapłacić. Mam już pięć rozdziałów i tylko mi 25 nie staje, to bardzo nie wiele; ale nie mówcie o tem nikomu, bo wystawiając żywe oryginały, można się kiedy z niemi spotkać; j'aurais cependant la précaution de faire périr mes personnages à la fin de la pièce, pour qu'on ne puisse plus les retrouver dans le monde.[2]) Stąd możecie sobie wystawić, że będzie wiele krwi rozlewu — bardzo przepraszam, uniknę tego, połowę osób wieszając...

---

[1]) Czyt. Sze-dewr' — arcydzieło.

[2]) Żore sepandan la prekosją de fer perir me personaż' a-la-fę de-la-pies' purką ne plis' plju le retruwe dan-le-mąd' — Będę o tyle ostrożny, aby dać zginąć wszystkim swoim osobom pod koniec dzieła, aby nie można ich odnaleźć na świecie.

Mamo kochana, matko moja! odbieram list twój w tym momencie o godzinie 11 wieczór, tak rozdzierający, tak okropny. Mamo droga! ty mi życzysz, aby mi dobrze i długo dobrze było. Nie, to niepodobna, ja tyle cierpię, ile razy wspomnę o tobie, ile razy odczytuję który z twoich listów. O matko moja! jak ty dobra jesteś! Wierz mi, mamo, że gorzko płaczę, kiedy to piszę, chciałbym się tobie do nóg rzucić. O matko moja! gdybyś ty była bogata, gdyby tobie było dobrze, jak by mi było miło mieć wszystko z twojej dobroci! ale teraz to mi serce rozdziera; spokojniejszy byłbym prawie, gdybym musiał tak jak inni pochlebstwem lub różnemi sposobami datki na rodzicach wyciskać. A ty mi wszystko dajesz; czyż będziesz mnie jeszcze tak podłym sądzić, abyś myślała, że te wyrazy ze łzami pisane, są nieszczere. Matko moja! Jakżeż mogłaś twój list zakończyć słowami, iż mi nie wiele dobrego zrobiłaś na tym świecie? czemże ja byłbym, gdyby nie ty, mamo moja! Wszystko dobre mam od ciebie, wszystkiemu złemu sam jestem winien: wszystko mnie z n u d z i ł o, musiałem wszystko porzucić i jak waryat gonić za jakąś tam urojoną nieśmiertelnością; nieszczęśliwe jest to skierowanie moich myśli w dzieciństwie. Ale cóż robić! już tak być musi. Tylko ty, mamo, nie uważaj tego za dzieciństwo tego stanu, w jakim jestem. Wiesz, mamo kochana, powiem ci to, czegom nikomu nie mówił: w d z i e c i ń s t w i e, k i e d y byłem exaltowanie nabożnym, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie najnędzniejsze, żebym był pogardzony przez cały wiek mój, i tylko za to, żeby mi dał nieśmiertelną sławę po śmierci. Widząc teraz, jak się skierowały wszystkie okoliczności i uczucia moje, widzę wyraźnie i czasem przekonany jestem, że jakaś nadprzyrodzona moc pochwyciła moje dziecinne prośby i dotrzymuje mi układu. Straciłem nawet nadzieję być kiedyś szczęśliwym, i przysięgam ci, mamo, że nigdy nawet o żadnym szczęściu, o żadnej

przyszłości nie myślę. Piszecie mi, iż Jaś zginął; list, o którym wam wspomniałem, donosi tylko, iż został w kraju, ale nie wiadomo czy żywy, czy umarły, nie chcę więc robić żadnej nadziei; jeżeli umarł, zazdroszczę mu.

Dnia 25. Dziś rano odczytuję ten list i zły jestem na siebie: równie mnie gniewa wesołość pierwszej połowy jak koniec. Teraz kiedy wiem, że moje listy nic nie szkodzą, częściej pisywać będę.

Hauzner mi przysłał rachunek kosztów na listy, wynoszący 12 franków; cieszy mię to, bo teraz śmielej jego pomocy używać będę. Babuniu droga i dziaduniu, wdzięczny wam jestem, że mnie jeszcze trochę kochacie; teraz możecie być dumni z waszego syna, który tak skończył, jakbym ja kiedyś życie chciał zakończyć; i przyjdzie jeszcze chwila. Adieu, moja mamo droga! Twój... Teofilów całuję.

11.

Paryż, dnia 7 marca 1832.

Kochana mamo! Nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy, i tobie, matko moja, winienem jedynie szczęście, jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi; za dwa miesiące będziesz je, mamo, miała; to tak samo, jakbyś mnie zobaczyła, bo ja nie jestem niczem innem, jak mojemi poezyami. Od niejakiego czasu piszę dziennik umyślnie dlatego, abym tobie, mamo, szczegóły i wyjątki z niego mógł posyłać. Życie moje teraz jest daleko rozmaitsze, a przyczyną tego jest Skibicki, który tutaj przyjechał z Ameryki i z którym wzajemnie tak pokochaliśmy się, iż teraz wszędzie razem chodzimy. Chłopiec to, co się nazywa, do rzeczy; wrócił, chcąc walczyć, porzuciwszy drugą swoją ojczyznę, która dla niego rajem była. Na drugi dzień po poznaniu się (wyjątki z dziennika) jedliśmy razem obiad, gada-

liśmy o was, o naszym przypadku w Czernołówce, który nas do Korczówki zaprowadził. Pamiętasz, matko kochana, jak cię ten przypadek martwił, a teraz musi ci się tak błahym wydawać; otóż to nauka, aby się niczem nie martwić, bo wszystko złe i dobre przemija; ale to coś wpadłem w styl homeryczny. Dalej po krótce szczegóły mego życia. Napisałem po francusku odę, która mi ogromną sławę, ale tylko między rodakami zrobiła, bom jej nie drukował; za drugą odę, w naszym języku napisaną, 200 Polaków publicznie uradziło, aby mi dać pierścień jako poecie przeszłorocznych wypadków. Dotychczas nie dali mi go jeszcze, ale to jest bardzo korzystnem dla mnie, bo z niecierpliwością dzieł moich czekają. Nie przyślę wam wiele egzemplarzy tych dzieł, bo się lękam; do kraju zupełnie posyłać nie będę. Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem na zawsze, tak jak Murray Bayrona, i będzie mnie oszukiwał... Byłem dwa razy w teatrze na przedstawieniu nowej dramy Dumasa, pod tytułem: Teresa. Śliczna. Jest to pierwszy pisarz tragiczny francuski. Byłem na wielkiej operze: Niema z Portici, która tak jest ładna, iż oprócz Freischütza, nic podobnego nie znam. Najpierwsza tancerka baletu jest Taglioni[1]) nie ładna, ale tak zgrabna, iż mówią wszyscy, że na świecie nic podobnego widzieć nie można; wszystkim Polakom, oprócz mnie, głowy pozawracała. Ale największe wrażenie na mnie zrobiła uwertura, którą mi w Dreźnie moja panienka grała, kiedy po obiedzie leżałem w gorąco wyciągnięty na kanapie i przerzucałem drzemiąc książki.

Skibicki oświadczył mi, iż mnie anonsował bez mojej wiedzy u księżnej naszej Czartoryskiej: kazałem więc na łeb na szyję, żeby mnie krawiec stroił, tak jak można kij ustroić i nadać mu nieco z osą przeciętą podobieństwa; krawiec, jeden z pierwszych

[1]) Czyt. Talioni.

krawców, Polak, wysilił się i prawdziwie zdziwiającym sposobem jestem zgrabny. Ale te trzewiki te mnie zabijają, a bez nich ani się pokazać. Przed poniedziałkiem, który jest dniem wieczorów u księżnej, byliśmy z wizytą i nie zastawszy w domu, zostawiliśmy bilety (które są u mnie sztychowane pierwszy raz w życiu). Wystawcież sobie, co za grzeczność: księżna, chociaż mnie przez Skibickiego na wieczory zaprosiła, kazała Błotnickiemu list do Skibickiego napisać, prosząc mnie raz jeszcze. Dzień poniedziałku, 20 luty nadszedł; tego samego dnia siedzę rano u siebie, aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 franków i natychmiast składa mi na stole w biletach razem z listem od mamy. Od tej chwili inne zaczęło się dla mnie życie: ułożyłem zaraz nazajutrz pójść do drukarza, sam zaś w najlepszym humorze poszedłem na wieczór. Skibicki prezentował mnie; przerwaliśmy czytanie wierszy przez pana Julien[1]) de Paris, sławnego wydawcę Revue Encyclopédique[2]) i znanego z przyjaźni ku nam. Potem znów rozpoczęło się czytanie, podczas którego przybyło wiele osób, kłaniając się z daleka gospodyni i nie przerywając deklamacyi. Gdy się ta skończyła, księżna przyszła do mnie i przez kilka chwil gadaliśmy, ale na nieszczęście Skibicki wmieszał się do konwersacyi i powiedział, że Polska mnie mając, nie będzie Anglii Bayrona zazdrościć; te i tym podobne pochwały zmusiły mnie, iż się w tłum wmieszałem. Gdy błądzę w labiryncie osób, przychodzi do mnie Ludwik Plater i oświadcza, że żona jego życzy sobie mnie poznać; poszliśmy więc do niej. Sama Platerowa bardzo grzeczna, gadała o moim ojcu, ale zwyczajnie jak to pańska pamięć, nie wiedziała, że umarł; potem zaprosiła mnie na czwartki.

---

[1]) Czyt. Żjulię.
[2]) Czyt. Rewju Anslklopedik'.

Po tych prezentacyach nastąpiła nowa. Skibicki przedstawił mnie panu Julien: jest to człowiek bardzo stary, przyjął mnie jak najgrzeczniej, i zaczął rozmowę o literaturze; krytykowałem mu trochę literaturę francuską, nie oszczędzając nawet wierszy, które czytał, bo te były nie jego. Pan Julien zaprosił mnie do siebie — dzień czwartkowy jest u niego przeznaczony na przyjmowanie wizyt — i dał mi swój adres. Potem zaczął się mazur maleńki, bo bardzo mało dam polskich młodych. Księżna wybrała mnie nietańcującego w pierwszej figurze jako gościa. Potem walcowałem z nią i z innemi damami. Pierwszą tu polską pięknością jest panna Mierzyńska, której matce byłem prezentowany, potem wróciliśmy ze Skibickim do domu. Noc była śliczna, i przechodząc przez mosty, widzieliśmy księżyc odbijający się w Sekwanie. Otóż, kochana matko, masz obszerne opisanie mego wstąpienia na świat; tyle zaproszeń razem dziwne to na mnie wrażenie zrobiło, i przychodząc do domu, powtarzałem sobie mimowolnie smutne wiersze z Raju utraconego Miltona, cztery ostatnie wiersze, które się zaczynają: „świat był cały otwarty przed niemi", a kończy się: „tak oni spokojnym i powolnym krokiem przez Eden rozpoczęli samotną drogę."

Nazajutrz z rana poszedłem do drukarza Pinard[1]) o druk się układać, i tam zastałem bardzo ładną pannę Pinard, której narzeczony zawiaduje drukarnią. Ten narzeczony był bardzo grzecznym dla mnie, ułożyłem się o druk, i dwa tomy będą mnie kosztowały nie tak wiele, jakem się spodziewał. Potem zostałem z panną Pinard i z tą długo gadaliśmy; biedny narzeczony musi panienki słuchać, musiał ze łzami w oczach na obiad mnie zaprosić; pewny jestem, iż mnie na niczem nie oszukają. Chodźko mówił mi, iż ode mnie o trzecią część biorą taniej, niż brali za

[1]) Czyt. Pinar.

dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze się poznawać z panienkami, dobrze się zostać przy kominku i o czem innem niż o interesach pogadać.

We czwartek poszedłem na wieczór do Platerów; ci, jak wiecie, są aż do zbytku uprzejmi; widziałem tam pannę Komar, o której wam już pisałem, bo bywałem u Komarów w Dreźnie. Ładna to marmurowa osóbka. Znów była herbata, znów mazur. Dla Francuzów jeden kontredans, jeden, bo i Francuzów nie wiele. Tam miałem przyjemność widzieć jenerała Umińskiego tańcującego. Ale cóż pisać o tych wieczorach, które tak są do siebie podobne. Otóż zrana teraz jestem literatem, poprawiam korrekty, piszę, przepisuję, a wieczorem od godziny pół do dziesiątej staję się u n D a n d y[1]), angielski p e t i t-m a i t r e[2]), i przyznam się wam, że to lubię; staram się, żeby nikt wieczorem nie odgadł, czem ja jestem z rana, a z rana, żeby nic mi z wieczornej f a t u i t é nie zostało. Nie zawsze mi się to jednak udaje, bo na drugim wieczorze u księżnej przyszedł do mnie L. Plater z pochwałami o tryumfach, jakie moje ody odnosiły, i prosił mnie o wiersze; odpowiedziałem mu, że drukuję. Ta prośba pochodziła i od żony jego, bo ta, słyszałem, jak się pytała męża, kiedy wyjdą moje poezye. Ludwik P. zaparł mnie do kąta, i musiałem półgodzinną o literaturze i o Anglii odbyć rozmowę; widziałem, że mnie polubił, bo mnie usilnie na przyszły czwartek zaprosił.

To dotąd o mnie, teraz cokolwiek o Paryżu. Jest to ostatni dzień Zapust: przez te całe dnie maski jeżdżą w kabryoletach otwartych po ulicach, ale to nie osoby pierwszego tonu. Najwięcej arlekinów i pajaców. Dziś jednak spotkałem widok bardziej interesujący, jest to procesya wołu. Rzeźnicy wybierają najtłustszego woła, ubierają go w złociste szaty, złocą rogi, i sami

---

[1]) Czyt. Ę Dandi.
[2]) Peti-metr' — panicz.

przebierają się za dawnych rycerzy średnich wieków: i tak naprzód konno muzyka, potem tłum rzeźników na koniach w zbroi, potem dwa rzędy bogato przybranych rycerzy, majstrów cechowych, potem wół, który jak mówią, trzy tysiące funtów waży, rzecz niepodobna do uwierzenia, choć prawdziwie wół ten zdawał mi się olbrzymim; po wole jedzie wóz przybrany, powożony przez woźnicę ubranego za Saturna, na tym wozie na przodzie trzech rycerzy, a na ostatniej ławce dziecię między dwoma ładnie przybranemi rzeźniczkami; to dziecię dawniej siedziało na wole, lecz raz się jedno z dzieci zabiło, i od tego czasu na wozie je sadzają. Wół oddaje najprzód wizytę królowi, a potem wszystkim ministeryalnym wołom; wszędzie rzeźnicy dostają podarunki, nazajutrz zaś, to jest w Popielec, zabijają woła i wszędzie, gdzie był z wizytą, sztuki z niego rozsyłają. Smutnie patrzałem na to stworzenie, które jutro pod topór głowę odda. Czy mogliście sobie wystawić, aby wśród ucywilizowanego Paryża takie były farsy niezgrabne; kiedy to piszę, pod mojemi oknami dwie karety odkryte, napełnione maskami, przejeżdżają. Jest po co do Paryża jeździć; gdyby przynajmniej te maskarady miały koloryt romantyczny, jak weneckie, do tego potrzeba gondolierów; a tu proza, ulice napełnione żandarmami. Piszesz mi, mamo kochana, abym doniósł co o mojej kuzynce: biedna ona, nic ją dobrego nie czeka; a przynajmniej jeszcze tego przewidzieć nie można. Teraz żałuję, żem nie bogaty: tyle tu nędzy, że sobie wystawić nie możecie. Niektórzy w mieście nieco odległym od Paryża mieszkać przymuszeni, po złotemu na dzień biorą i bez butów prawie chodzą. Przeklęty to naród!

Piszecie mi, żebym książkę Mianowskiemu przysłał; nie wiem, jaką chce, bom listu od niego nie odebrał. Posyłając wiersze, napiszę do Olesi i do Ludwisi; wątpię, aby na tej moje rady co wymogły; przykro mi będzie pisać. Ze Skibickim robimy projekta wo-

jażu po Włoszech piechotą, ale nie wiem, jak to będzie, bo mi dzieła teraz wyciągną trochę groszów, a te z początku bardzo będą wracać powoli. Zawsze jednak mam zamiar mieszkać w Neapolu dla taniości życia. W Paryżu zaś zamówię i uproszę Chodźkę, aby nadal dzieła moje po umówionej już cenie drukował, bo żeby mieć czem przypomnieć się publiczności, nie drukuję teraz napisanego poematu „Lambro."

Kochana mamo! Zawsze powtarzam twoje: „jakoś to będzie", i może nieraz w jednej mówimy je chwili. Nie dziwcie się, że teraz używam j, jota, bo drukując, musiałem się ortografii nauczyć.

U nas wiosna, u was śnieg być musi. Wiele za moje listy płacicie? Czy dzieła moje dojdą? Wiele chcesz mama egzemplarzy? Kochana mamo, ściskam ciebie serdecznie. Napisz mi, gdzie mieszka kuzyn mamy w Galicyi, co fortepian sprowadzał i jak się nazywa? Adieu. Babunię, dziadunia, Hersylkę, Teofila, Melankę serdecznie ściskam.

Kochana mamo! Posyłam ci list Skibickiego, który z wielkim uszanowaniem na pół arkuszu był napisany; ja pozwoliłem sobie pół listowego czystego papieru odciąć i tylko uwiadomić mamę o tej formie uszanowania, i sam zabazgrzę jeszcze tę stronnicę. A to prawdziwie, że nie mam czem, bo nie spodziewając się takiego przybytku w papierze, wszystko, co miałem na sercu, to w poprzedzającym liście wypisałem. Spodziewam się, że mi Teofil w następującym liście pobyt swój w Wierzchówce opisze, bo mnie to bardzo interesuje, jak oni biedacy znoszą nieszczęście. Chciałbym być kiedy w takim położeniu, abym mógł Stasia małego za granicą wychować i tym sposobem dać poznać cieniom Jasia, iż go po śmierci więcej nierównie kocham niż za życia. Co porabia Zenonek? Jaki u was karnawał? Bo w Paryżu był bardzo świetny. Rząd płacił ludowi, aby przybierał postać wesołą, i wielu teraz z pajaców odbiera za śmiech poza-

wczorajszy pieniądze; tak to się tutaj bawią. Maskarady wszystkie w najgorszym guście, uczciwe damy prawie nie bywają; nie miałem tu wcale ochoty tak jak niegdyś w Wilnie przebierać się za Hiszpana, bo pewny jestem, iżbym nic podobnego jak Porcyankowa w ubiorze Westalki nie zobaczył.

Odyniec pisał do mnie z Drezna wyborny list z wierszami wszystkich moich znajomych, nad któremi Odyniec pisze komentarze; jest on, a przynajmniej był niedawno w Lipsku. Do domu wyjeżdża stąd Górecki poeta, nie żałuję go, bo ze swoją bigoteryą nudny człowiek. Na wiosnę będzie spokojnie... Źle w Tuilleryjskim ogrodzie postawiono śliczną statuę: jestto Spartakus, rwący kajdany. Statua ta patrzy na pałac królewski; ciągle otacza ją tłum ludzi i mówi: „gdyby nasze były z gipsu.“ Waryują Francuzi dla nowej tragedyi Kazimierza Delavigne[1]), pod tytułem: Louis XI; nie widziałem jej jeszcze, bo przed teatrem zawsze tłum ludu, który tu się ogonem nazywa i każdy przychodzący musi na końcu ogona stawać, tak, że nim się dociśnie, już biletów niema. Nie możecie sobie wystawić, jak Paryż nie jest nic osobliwego. Jeszcze raz całuję rączki kochanej mamy. Wszyscy, wszyscy, bądźcie zdrowi i kochajcie mnie trochę. Tak mi miło za granicą myśleć, iż mam przecię kogo, co mnie kocha, choć daleko ode mnie. Adieu.

12.

Paryż, dnia 13 kwietnia 1832.

Najukochańsza mamo! Nie śmiem ci napisać, iż mi teraz lepiej na świecie, niż kiedykolwiek było, bo sobie sam wyrzucam, że ja mogę być bez ciebie, kochana matko, szczęśliwy; jakoż to uczucie, którego teraz doznaję, nie jest zupełne. Was mi potrzeba, po-

---

[1]) Czyt. Delawiń.

trzeba mi cię widzieć, kochana mamo; kiedy będziesz wiersze czytała, potrzebaby mi było, abym ci je sam mógł przeczytać. Matko kochana, widząc jak to wiele ludzi teraz lubi mnie i kocha, i mogę powiedzieć, uwielbia, nie wstydziłabyś się swego syna. Czuję to, i to dumne uczucie sprawia mi przyjemność; widzisz, kochana mamo, że wiele myśli robiących mi przyjemność do ciebie odnoszę. Odebrałem list twój dnia 14 lutego datowany. O, jakie śliczne wspomnienie tej chwili, kiedyś mnie mama prosiła, abym ci słońca nie zaciemniał. Jaka śliczna modlitwa Melanki! Płakałem, czytając ją, i potem list czytałem Skibickiemu, który także, słysząc modlitwę Melanki, łzę z oczu otarł. Ta łza na jego posępnej twarzy dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Jak Stern chciałbym był mieć wówczas pod ręką tabakierkę Bernardyna. Kłaniałem się kutasom u butów, które mile to przyjęły; wy je uwielbiacie, szczęśliwi. Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi; jest to le prophète voilè de Khorafan[1]), tak go nazywamy z Skibickim. Manuskrypta Jasia są tam, gdzie fortepian, w tłumoku, razem z mojemi rzeczami. Starajcie się ten tłumok sprowadzić, bo i mnie miło by było żeby moich rzeczy obcy nie przetrząsali ludzie. Otóż są odpowiedzi na wasz list.

Teraz zaczynam wam dziennik moich czynności, tak jak go z mojego po angielsku pisanego dziennika tłomaczę, skracając nieco. Tylko ty, kochana mamo, nie czytaj tego listu nikomu, bo ja inaczej szczerze pisać bym nie mógł; sama tylko rodzina ma prawo w moje czynności wglądać.

Dnia 12 marca, poniedziałek. Panny Pinard, córki drukarza mego, który przed kilku miesiącami umarł, zaprosiły mnie na obiad; znalazłem tam Chodźkę. Średnia z panien nazywa się Kora: śliczna, zupełnie

[1]) Le profet wiale de korafan — prorok zasłonięty.

taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda, ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja nieszczęśliwy, więcej daleko podobałem się pannie Pinard najstarszej, która coś na sawantkę zakrawa, a ponieważ mam dobre uszy, podsłuchałem jej rozmowę z Chodźką; mówiła mu, że mnie znajduje bardzo do rzeczy i z dowcipem, a on jej na to odpowiedział: mais, les Polonais ne sont pas betes[1]). Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, iż zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupiemi. Po obiedzie zostałem sam z pannami i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse; siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypomniały mi się ciche domowe wieczory w Wilnie. Nazajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na teatrze słyszałem. Po obiedzie, a raczej po wieczorze u panien, poszedłem na wieczór do księżnej Czartoryskiej. Jaki kontrast! tak mi było nudno; gadałem cały wieczór z hrabią Ludwikiem Platerem, z którym bardzo jestem dobrze. Żona jego prosiła mnie, abym przyszedł do nich którego wieczora i co przeczytał; śliczna propozycya! Właśnie teraz więcej niż kiedykolwiek uciekam od salonowej reputacyi.

Pisał do mnie Odyniec. Tłomaczy Lallę-Rookh Moor'a. Byłem na obiedzie, dawanym na imieniny kutasów u butów.

Przez cały czas bardzo się dobrze prowadzę, żadnych zbytków i wyboczeń. Nie mam czasu nic czytać. Nic nie piszę, to dowodzi, żem zdrów i silny, przynajmniej taki jest barometr mego zdrowia. Dodałem kilka scen do Mindowy. Spodziewam się, iż wkrótce ze sprzedaży dzieła zbiorę dosyć na wydrukowanie Lambra, a wtenczas ruszę do Neapolu;

---

[1]) Czyt. Me, le Polone ne są pa bet — Ależ Polacy nie są głupi.

tam siedzę i patrzę na morze: oto są do końca marca szczegóły mego życia.

Dnia 25 marca, Niedziela. Był to dzień przeznaczony na obchód uroczysty urodzin naszej wileńskiej kuzynki. Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między któremi znajdował się podpis Julliena starego, list, zaklinający mię, abym na posiedzeniu literackim czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem odę, w której umyśliłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór: ogromne zgromadzenie, mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafayette[1]) prezydował; wszyscy czytali po francusku, kutasy także: czytano wiersze francuskie, potem na końcu wiceprezes, obracając się do zgromadzenia, rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich, aby po polsku deklamował, a stąd wzywa pana S., aby zasiadł miejsce. Pan S. nie zasiadł, lecz stojąc mówił... Co? trudno opisać; rzucałem całem zgromadzeniem; potem rozłamałem wiersz ody i powiedziałem jednę śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, znów wróciłem do ody i zakończyłem myślą z „Lambra“ wyjętą; wypiszę ją tu.

Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce...
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce...
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż tym liściem serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemne odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

Po skończeniu prezes ściskał mię za rękę i gadałem z nim przez chwilę: starzec interesujący. Francuzi mówili, że z taką duszą deklamowałem, że wszyst-

[1]) Czyt. Lafajet.

ko zrozumieli prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam, obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić, i znów spojrzałem, i jeszcze to samo spojrzenie; żeby tak długo, tobym zwaryował. Potem słyszę głos jednej damy, po polsku pytającej się wszystkich o mnie. Była to pani Białopiotrowiczowa, którą znałem w Dreznie; ta skoro mnie spostrzegła, przybiegła, wołając: „A, serce pana!...“ Odpowiedziałem, że się cieszę, jeśli się jej moje serce podoba; potem wymawiała mi, że u niej nie byłem, potem pytała mię, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce zapisać swój adres; gdybym był go miał, to ręczę, że w pugilaresie znalazłbym coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka. Ale ja z najzimniejszą krwią wziąłem ze stołu pióro i kawałek papieru i dałem jej materyały nieromantyczne, co znacznie wenę jej osłabiło, tak, że tylko o mieszkaniu samem dowiedziałem się.

Potem w kilka dni byłem na wieczorze u Platerów, gdzie znów nowe od obojej płci zbierałem pochwały, gdzie pan Jullien znów się do mnie przysiadł i upewnił, że odę zrozumiał. Dowiedziałem się, że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezyj pisać. Lemaitre[1]) jeden z francuskich poetów, wziął się do tłómaczenia mego Mnicha i Araba. Skibicki pisze artykuł do Revue Encyclopédique o moich poezyach i tam będą umieszczone dwa Lemaitra tłomaczenia.

5 kwietnia, czwartek. Cholera w Paryżu. Z rana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną: chłopiec mały 15-letni umarł na cholerę. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że kiedy chłopiec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy stali wokoło bladzi i przerażeni, tak, że nikt się tknąć chorego nie ważył.

---

[1]) Czyt. Lemetr.

moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała lekarstwo; gdy się o tem dowiedziałem, chciałem gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i pocałować; szczęściem, że rozwaga przyszła mi w porę.

Dnia 6 kwietnia, piątek. Z rana byłem na Mszy żałobnej, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za zmarłego ojca. Celebrował ksiądz Praniewicz, Polak Żmudzin, który aż po Ameryce wałęsał się i od 5 lat w Paryżu usługę ołtarzową pełni; wielki oryginał. Potem ksiądz zaprosił nas na śniadanie do siebie, ale fraszka śniadanie. Ksiądz jest poetą, pisze, drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze i te nam śpiewał przy fortepianie: nic dziwniejszego jak ta melodya. Najwięcej mi się podobała strofa, w której Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom marszałek francuski,
Narodowi temu wierny,
Z moimim szedł na kraj pruski
Przez Sasy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki dostaliśmy po egzemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Ksiądz sądzi, iż jest wielkim poetą; pochwały nasze utwierdziły go w tem mniemaniu; była to jednak dla mnie scena nauczająca mnie, aby mniej ufać miłości własnej, mniej pochwałom cudzym, scena bardzo potrzebna, bo czy uwierzycie, że dowiedziawszy się o śmierci Goethego, pomyślałem sobie, iż Pan Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie, wydającego poezye, miejsce zrobił na świecie. Matko moja, widzisz, jak szczerze piszę ten dziennik, nawet głupie moje marzenia. Niech ci przynajmniej, kochana matko, te listy dowiodą, jak ciebie kocham, jakbym chciał, abym się do szczęścia Twego mógł przyczynić. Ale lękam się więcej mówić o Korze, bo bym was znudził, a jednak szczerze pisząc, i o niej mówić muszę.

Dnia 7 kwietnia, sobota. Ze Skibickim chodziliśmy do szkoły gimnastycznej, gdzie znaleźliśmy Błot-

nickiego z jego pupilem, który się tam uczy. Sienkiewicz dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Błotnickiego z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzej poezye moje przysłał bo je chce na angielski język tłómaczyć. Widzisz, kochana matko, jak ja to będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze, i pewny jestem, że wszyscy moi tłómacze lepiej wyjdą, niż ja. Miło mi wreszcie, że to Sienkiewicz tłómaczyć będzie, i mimowolnie przypomniałem sobie Mikulskiego, który mi radził niegdyś poezyi zaniechać, mówiąc, że Sienkiewicz daleko większym ode mnie był poetą, a przecież tego błahego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykolę kiedyś oczy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłómaczone moje poezye.

Dnia 8 kwietnia, Niedziela. Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć; dziwne prawdziwie moje lekcye; starsza siostra bardzo z tego kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy jej mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny bardzo się kształcą, chce więc zapewne, aby się panna Kora uformowała; bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób. Panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem; dziwna dziewczyna, mówiłem wam, że Hiszpanki ma za krój. Wieczór ze Skibickim na włoskiej operze: pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków, a jednak nudziłem się i ze Skibickim kłóciliśmy się przez cały ciąg sztuki o włoską i niemiecką operę; ja byłem za ostatnią. Grano Il Pirata Belliniego, i Othello, operę Rossiniego. Rubini, pierwszy śpiewak, nieporównany.

Dnia 9 kwietnia, poniedziałek. Skibicki po wczorajszej kłótni przyszedł do mnie o 12 w południe, i pociągnął mnie na koncert historyczny w konserwatoryum muzycznem. Dziwne to jest zjawisko — koncert historyczny. Pan Fétis, profesor, czytał rozprawę

o sztuce oper od najdawniejszych czasów, a po każdej z trzech rozpraw następowały przykłady przez pierwszych śpiewaków i stare sztuki śpiewane były przy tych instrumentach, których dawniej używano. Nic piękniejszego dla mnie, jak słyszeć Rubiniego, naśladującego starego jakiegoś śpiewaka przy akompaniowaniu klawicymbału, harf i wiol; wystawić sobie nie możecie, jak to interesująco, jak miło wpada w ucho postęp sztuki, jak widać każdy przeskok do doskonałości, jak się wreszcie ładnie wydawały arye Webera i Rossiniego, na końcu śpiewane. Ściskałem Skibickiego za sprawioną mi przyjemność; nie możecie sobie wystawić, jakim on jest dla mnie, jak mnie w świat prowadzi, jak sam pomaga do tego, abym tam był dobrze przyjęty. Otóż to koniec życia dawnego Julka Słowackiego.

Dnia 12 kwietnia, czwartek. Mam poezye moje, i pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem nieskończonych przyjemności.

Matko moja, cóż ty, co wy wszyscy o waszym Julku powiecie? Matko moja, zdaje mi się, że ciebie te poezye nie zmartwią, chyba zasmucisz się temi kilką błędów drukarskich, których twój szalony Julek uniknąć nie mógł. Zwłaszcza pod koniec Żmii błyszczą te omyłki straszliwym blaskiem. Dziś obaczyłem u Pinarda rejestr ludzi sławnych, zawarty w biografii Contemporins[1]) (!) a pod literą S. taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej; widzicie, że w dobrem jestem towarzystwie. Ucieszyło to mnie bardzo. Jest to najsławniejsza biografia; ciekawy jestem, co o mnie piszą, będę się starać dostać jej. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye; a stąd nie wiem, z czego mię tam sławnym zrobili. Nieza-

[1]) Czyt. Kątanporen.

długo wyjdzie o mnie artykuł w Revue Encyclopédique, przyślę wam go; na końcu rozbioru moich dzieł będzie umieszczony poemat Arab tłómaczony przez Lemaitre. Posyłam wam egzemplarze z podpisami; nie wielu osobom posyłam, a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować; aby te osoby, które ode mnie dzieło otrzymają, wiedziały, że ja je szczególniej szanuję i kocham. Na drugi dzień po wyjściu dzieł, Oleszczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu portret mój zrobić pozwolił; jak wyjdzie, przyślę go wam. Wierz kochana mamo, że tyle tu mam uwielbienia od moich rodaków, że mnie już krytyki nie obchodzą; martwię się błędami druku, ale spodziewam się, że będę mógł prędko drugą edycyę wydać i te błędy zginą. Posyłam egzemplarz cioci Franusi i Pułaskiej, spodziewam się, że dla nich nie będą obojętne podpisy. A ty, kochana mamo, jakimże sposobem mógłbym ci dać poznać, że ciebie jeszcze z pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam? Czy ty nie odgadniesz, matko, co czułem, podpisując dla ciebie egzemplarz? Wiem, kochana mamo, że tobie to zrobi przyjemność, że kiedy będą chwalić Julka, to wreszcie uwierzysz, że to nie czynią osoby dla oszukania łatwowiernej, kochającej matki. Teofilu, Hersylió, widzę stąd mój egzemplarz naprzód na waszym stoliku, a potem w szafce, w pokoju, gdzie ja kiedyś mieszkałem. Widzę czasem dziadunia i babunię, kiedy w swoim pokoju przy oknie czytają fatałachy, przez Julka przysłane. Teofilu, gdybyś ty malował miniatury, prosiłbym cię, abyś mi teraz mamę, dziadunia, babunię, siebie, Hersylkę i Melankę przysłał: teraz, kiedy jestem oddalony od was, byłoby to dla mnie największą przyjemnością. Byłbym czasem w pośród was. Posyłam ci, kochana matko, 50 egzemplarzy na przedaż i 13 egzemplarzy z podpisami dla różnych osób.

Dwa tomy kosztują złotych 18 czyli dukata. Pamiętajcie ani groszem taniej nie sprze-



Mniemany dom, w którym urodził się Juliusz Słowacki.

dawać, bo na tem będzie cierpiał mój honor, nie miłość własna, ale honor, bo księgarze, dowiedziawszy się, że kto inny taniej przedaje, powiedzą, żem ich oszukał. Bądźcie zdrowi i szczęśliwi; ja jestem szczęśliwy, i gdyby nawet 2000 franków wydane na druk dzieła nie wróciły się, to powiem, żem nie drogo szczęście kupił. Wreszcie, kochana mamo, weź tyle egzemplarzy, ile ci potrzeba dla rozdania osobom, które kocham. Adieu, adieu! Proście pana Będzińskiego, aby sprowadzenie paki z książkami, którą dziś przez dyliżans wysyłam, ułatwił.

13.

Paryż, dnia 26 maja 1832.

Kochana mamo! Już miesiąc upłynął, jak posłałem mamie 62 egzemplarzy mego dziełka; będę bardzo szczęśliwy, kiedy się dowiem, że już go (!) otrzymaliście, ale to tak prędko być nie może, bo roulage[1]) francuskie, które przewozi książki, idzie bardzo pomału, nie tak jak poczta. Bankier trochę się gniewa na mnie za komis, starajcie się go przeprosić; bo dał mi to uczuć w liście, który do mnie napisał. Zaraz po oddaniu tamtego listu na pocztę, odebrałem wasz list. A naprzód odpisuję na niektóre w nim punkta. Zasmuciła mnie bardzo śmierć cioci Franusi; właśnie posyłając wam poezye, na jednym egzemplarzu, dla niej przeznaczonym, napisałem słów kilka, więc pierwsza moja pamiątka już jej nie zastanie; wszystko mi za późno przychodzi. Ofiaruj, kochana mamo, Beaupremu ode mnie jeden egzemplarz; ciekawy jestem, czy przeczytawszy go, nie domyśli się, żem się kiedy kochał namiętnie. Ja ciebie, mamo, zapewniam, że już dosyć kochałem się, i nie proście Boga, aby wasz Julek był kiedy drugi raz takim waryatem, jak wtenczas, kiedy miał lat 17, bo nie wiem, czy by wyszedł

---

[1]) Czyt. Rulaż.

z tego paroksyzmu; wiecie, że po tamtej słabości teraz jeszcze jestem en convalescence[1]). Heryngowa niech się dowiaduje o syna swego w Królestwie Polskiem; ja go zostawiłem w Warszawie i w niedostatku, któremu póki z nim byłem, jak mogłem, dopomagałem. Mieszkał u mnie, prawie bez grosza będąc; po moim wyjeździe nie wiem, co się z nim stało, ale tam go matka znajdzie, niech go szuka, i niech się stara wyrwać z nieszczęścia; ona jest jeszcze jednym przykładem, jak Bóg karze matki, nierówno kochające dzieci swoje.

Kochana mamo! Wszak ty byś mnie zawsze kochała? A kto wie jednak, gdyby jaka panna Słowacka na wydaniu teraz była przy tobie, to może byś, mamo nie bardzo myślała o tym biednym Julku! Jak mnie zasmucił frazes: „matka chciałaby do Ludzia dostać Francuza, a mieć go nie można.“ Więc jeszcze u was trwa systemat powierzania dzieci włóczęgom Francuzom, z których tu najuczciwsi nie wiele warci, a dopiero ta klasa, co się włóczy po świecie, na końcu języka szukając chleba!

Od czasu, jak pisałem po raz ostatni do was, miałem kilka dni dość interesujących, a przynajmniej dni te odbijały od monotonnego życia w Paryżu. Pierwszego dnia Wielkanocy odebrałem zaproszenie od księżnej Czartoryskiej na święcone. Święcone w Paryżu! Bardzo mi to było miło; znalazłem tam piękny świat, ale nasz: wszystko, co tylko jest znacznego, było zebrane koło stoła, na którym między potrawami francuskiemi świeciły się nasze kołduny, barszcz, nieznane tu naleśniki z konfiturami; ale nasze baby! O baby! tych już na całym świecie nie znajdę. Bab nie było, bo tutejszym biszkoptowym ciastom tego nazwiska dać nie mogę, i było to raczej polskie śniadanie, do czego jeszcze iluzyi dodawały zawijane zrazy, od których zacząłem, zupełnie takie jak u babuni. I powtarzam,

[1]) Czyt. An kąwalesans'.

niepodobne to było do święconego, bo nie było nawet w salonie tego zapachu, który jest właściwy naszemu święconemu, a który ja tak lubię: ten zapach nieopisany, niepojęty, rzekłbyś, że zapach święconej wody, pomieszany z emanacyą bab, barwinku, jajek, baranków, zapach który mnie ściga, jak sen dziecinnych lat. Ksiądz Praniewicz, o którym już pisałem, ów kaznodzieja-wojażer, muzyk i poeta, święcił stół, i w towarzystwie dziwnie się wydawał w swojej sutannie, bo tu księdza na ulicach nie spostrzedz, kilka tylko mniszek widziałem.

Otóż tak przepędziłem ranek pierwszego dnia Wielkanocy, a w wieczór rozmyślałem o 22 świętach, które przebiegły przez 22 lata życia; przyszłe święta może w Rzymie obchodzić będę. W tydzień potem miałem scenę innego rodzaju: musiałem być sekundantem jednego z moich przyjaciół, jednego z posłów: pojedynek miał być śmiertelny i muszę się wam przyznać, że chciałem koniecznie, aby na niczem się skończył. O godzinie 4 rano wyjechałem z moim protegowanym do lasku bulońskiego; wszak musicie znać ten lasek, bo jest sławny z pojedynków; śliczny lasek, zupełnie mi wieś przypomniał. Ranek był taki piękny. Widzieliście mię czasem, kiedy wzburzony chodzę prędkim krokiem; otóż właśnie miałem taką minę, chodząc po alejach ocienionych krzakami leszczyny wtenczas, kiedy mój towarzysz leżał pod drzewem i myślał zapewne o Litwie i o rodzicach. W godzinę przyjechali nasi przeciwnicy, a z niemi Hłuszniewicz jako doktor. Oznaczyliśmy plac, aż tu strażnicy lasów pokazują się, i widząc plac rozmierzony, oświadczają nam, że w lasku od niejakiego czasu strzelać się nie wolno. Wsiedliśmy do karet, i ujechawszy z wiorstwę, zastanawiamy się, obieramy nowy plac, nabijamy pistolety, aż tu znów ci sami strażnicy, już seryo na nas rozgniewani, iż za nic ważymy ich ostrzeżenia. Znów więc siedliśmy do powozów i wyjechaliśmy z la-

sku aż do St. Cloud.[1]) Tam zwierzywszy się woźnicom z naszego zamiaru; ci zawieźli nas o milę dalej od Paryża, do lasku ogrodzonego jak ogród, i tam oświadczyli, że możemy się strzelać, bo nam nikt nie przeszkodzi. W tym lasku odbył się pojedynek okropny, bo z taką zimną krwią się odbywał, że trwał półtorej godziny, a trzy razy strzelali się. Właśnie kiedy ja komenderowałem schodzenie się do baryer, kiedy oba przeciwnicy przybliżali się, mierząc do siebie i postępując żółwim krokiem, zegar jakiś z poblizkiego miasteczka uderzył godzinę 10, ale tak pomału, tak donośnie, że my sekundanci oparci o drzewa, spojrzeliśmy na siebie i zadrżeliśmy; przyznali się nam potem dwaj przeciwnicy, że i na nich zegar ten okropne uczynił wrażenie. Za trzecim strzałem mój towarzysz w rękę ranionym został, i dalszego strzelania nie dopuściliśmy, to jest oni nie dopuścili, bo ja z najzimniejszą krwią nabijałem pistolety. Aby się tu przed wami uniewinnić, muszę tu dodać, że mój towarzysz był obrażony tak, że widziałem, iż tylko przez domaganie się coraz nowych strzałów aż do śmierci, honor jego mogłem ocalić, jakoż mam w nim teraz wdzięcznego przyjaciela. Po pojedynku przywitałem się z jego przeciwnikiem i odwieźliśmy obu zwaśnionych do Paryża. Nie pogodzili się z sobą, ale są grzeczni nawzajem i w towarzystwie witają się z daleka.

Przeszłej Niedzieli wyczytaliśmy w gazetach rzecz bardzo interesującą, że w Wersalu, o dwie mile od Paryża, mają być puszczone wody; byłem, widziałem: nic na świecie podobnego; prawdziwie jest to cud świata, jeszcze nic tak ogromnego nie widziałem. Byłem kilka tygodniami wprzód w Wersalu i widziałem pałac, pokoje, widziałem wielki i mały Trianon, nie potrzebuję wam go opisywać, bo go znacie z memoarów rozwiązłego wieku Ludwika XIV i XV. Pokoje,

[1]) Czyt. Sę-Klu.

gdzie pani Maintenon[1]) mieszkała, malutkie i takie jak u nas pokoje ładnej szlachcianki; pokoje gdzie przyjmowała gości wielkie, ale bez żadnych bogactw. Ogród ogromny w guście francuskim, ale ogromny. Ostatniej Niedzieli zdawało się, że wody były duszą tego ogrodu, wszędzie widać było brylantowe kolumny, najpiękniejsze myśli z mitologii zrealizowane; tu w pośród okrągłej sadzawki wznosi się kilkostopniowa podstawa, na której szczycie stoi Latona, zamieniająca jakiś tam ród człowieczy w żaby i żaby te tryskają na nią kolumnami wody, tak, że ona cała jest nakryta brylantowym sklepieniem. W innym miejscu jest ogromna sala pod czystym niebem, otoczona kolumnami z marmuru, i między kolumnami stoi tyleż wazonów, a z każdego wytryska fontanna, tak, że sala ta jest otoczona ścianami z marmuru i wody. Dalej ogromny Tytan, rzucony przez Jowisza w skały, ciska do niego z gęby ogromny słup wody na kilkadziesiąt stóp w górę. Ale największe wody są nie do opisania, tysiące ludu otacza je. Na ogromnej przestrzeni kilkadziesiąt fontan strzela w różne strony, a wiecie, że fontanny wersalskie są najwyższe na całym świecie. Po każdym puszczaniu wód, skarb musi łożyć 13,000 franków na ich naprawę, i dlatego bardzo je rzadko puszczają, a kiedy ten dzień nadejdzie, to cały Paryż wylewa swoich mieszkańców do Wersalu. Wtenczas to miasto ożywiać się zdaje; ale widziałem je w inne dnie: wtenczas żadne jeszcze miasteczko nie wydało mi się tak smutne. Pałac ogromny i pusty, przed pałacem ogromny plac, otoczony domami dosyć nędznemi, i po całym placu ledwo gdzie można ujrzeć żywą duszę, wyjąwszy draganów, którzy zajmują będące na przeciwko pałacu i taką samą architekturą stawiane koszary. Kochana mamo! będziesz mi zazdrościć, że widziałem Wersal, bo wiem, że ciebie by bardziej interesował niż mnie, który pań i dam Ludwika XIV

[1]) Czyt. Mętenq.

nie znam, ani na miniatury ich nigdy nie patrzałem z ubóstwieniem à la dame [1]); damy są bohaterami przeszłości. Kochana mamo, otóż to są szczegóły mego życia w Paryżu; jeżeli się nad niem zastanowicie, to żałować mnie będziecie, że nie mam żadnych przyjemności uczuć, tylko przyjemności wrażeń.

Nie miałbym wam co pisać o obiedzie dawanym niedawno dla nas przez Francuzów, ani o śmierci Perrier [2]), pierwszego ministra i naszego nieprzyjaciela; umarł nieżałowany przez nikogo. Kochana mamo! o nic teraz nie proszę Boga, tylko aby mnie doszła od was wiadomość, żeście już odebrali moje poezye: chciałbym koniecznie, aby was doszły. Księgarze posłali je do Polski. Kochana mamo! ściskam ciebie serdecznie i całuję, powtarzam często twoje przysłowie: „Jakoś to będzie", i czasem w nie wierzę. Babuni i dziadunia rączki całuję; przypiski kochanej babuni zawsze mnie do łez rozczulają i słowa jej napisane w moim sztambuchu są często prawidłem mego życia; staram się od ludzi jak najmniej wymagać. Hersylko, Teofilu, wy nie gniewajcie się na mnie, jeżeli do was osobno nie piszę, bo uważam, że w ostatnim liście ukaraliście mnie, nie pisząc mi ani słowa o sobie. Ja was zawsze szczerze kocham i wspominam często. Panu Okraszewskiemu moje ukłony, jako też panu Pawłowi Jarkowskiemu i Beaupremu. Adieu, matko kochana, adieu.

Julek.

14.

Paryż, dnia 4 lipca 1832.

Najdroższa mamo! Odbieram już trzy listy od mamy w przeciągu tego miesiąca; w ostatnim lękasz się, mama, o mnie i posądzasz mię, żem może chorował; otóż upewniam ciebie, że zdrów jestem, od wy-

[1]) A la dame czyt. a la dam — na wzór damy.
[2]) Czyt. Perje.

jazdu za granicę nigdy mi na myśl żadna choroba nie przyszła. Co zaś do cholery, bądź spokojną, kochana mamo; słabość ta straszna z początku, dawno już opuściła Paryż. Że listy moje nie są bardzo częste, temu przypisać należy, że widząc, jak wszyscy koło mnie nie mogą mieć od swoich żadnej wiadomości, patrząc na nich, mam się za szczęśliwego, że od was regularnie listy odbieram, a boję się częstemi listami nadwerężyć jakimkolwiek sposobem tej drogi, przez którą się wzajemnie znosimy z sobą. Każdy mój list może być nieszczęśliwszym od innych. Ach mamo! Olesia, jakie nieszczęście! Długo, długo myślałem o niej; czemuż mi nie opiszecie jej śmierci? jej ostatnich słów? chciałbym wiedzieć o wszystkiem, ja, co ją przez całe życie widziałem. Ja będę miał także smutną chwilę: ten, któremu byłem sekundantem, i który mi za to najszczerszą wdzięczność chowa, także ma suchoty, i Hłuszniewicz powiada, że tego miesiąca nie przeżyje. Powiedzcie, że Henryczek w Dreznie, i jak słyszałem, ma tu przyjechać, niech będą spokojni o niego. Kuzynka moja, jak się zdaje, może przyjdzie do zdrowia, choć zawsze ślady słabości zostać muszą; doktorowie, a między innemi John, zrobili wielkie konsylium i zdaje się, że przedsięwezmą skuteczne lekarstwa; wszyscy co ją kochamy, mamy nadzieję; kiedyś więc może przywiozę do was tę kochaną dziewczynę. Skibicki listy odbiera przeze mnie. Co do mnie, gdybym chciał pisać wam dziennik, ten zawarłby się w trzech słowach: czytam, czytam i czytam, to jest całe moje zatrudnienie. Jest jeszcze drugie, nudne: oto dwóch ubogich chłopców uczę po francusku, i nie uwierzycie, jaka to dla mnie męka, bo oba mają tak ciasne głowy, iż od miesiąca jak bakałarz uczę ich sylabizować. Pytasz się, kochana mamo, czy nie potrzebuję pieniędzy? Otóż muszę tu napisać stan mojej kasy. Z początku roku odebrałem od was 3000 franków, przeżyłem już sześć miesięcy, 2000 równo zapła-

ciłem drukarzowi, teraz mam w biurku 1300; te mi wystarczą do lutego, jak się spodziewam, bo mi się do tego coś jeszcze wróci z książek, a zatem aż po Bożem Narodzeniu będę ciebie, kochana mamo, o jaki sukurs prosił. Kochana mamo, jaki ja niedołężny, że zawsze dla ciebie ciężarem być muszę!

W tym miesiącu pan Jullien, o którym wam już pisałem, przysłał mi zaproszenie na obiad uczony: jest to obiad Revue encyclopédique, na który wydawcy tego pisma zapraszają wszystkich sławnych i znacznych cudzoziemców. Byłem więc na uczonym obiedzie. Wiedziałem zawsze, że uczeni ludzie są nudni, ale nigdy nie sądziłem, aby ich obiady takie złe były; i nie myślcie, żeby każdy zaproszony był darmo: każdy musi płacić 7 franków, i za to ma prawo słuchać i mieszać się do nudnej rozmowy. Na obiedzie prezydował pan Jullien i sławny admirał Smith [1]), który niegdyś Jean d'Acre [2]), twierdzę, od Napoleona obronił i za to zyskał od Anglików wiele pieniędzy i sławy. Dzisiaj już stary, siedzi w Paryżu i bawi się mechaniką, różne wynajdując machiny do ulepszenia sztuki wojennej; ale te machiny, jak zwykle marzenia starców, tylko w modelach dobrze się wydają. Z Polaków było kilku generałów, kilku sławnych i wygnanych Włochów, Cooper Fenimore itd. Po obiedzie Jullien pił zdrowia, wznosił toasty, i między innemi mój toast, jako nowo przybyłego do grona i poety, na co mu podziękowaniem odpowiedziałem. A podczas tych toastów wzniosła się burza i piorunami towarzyszyła mowom, a potem towarzyszyła mi deszczem do domu, tak, że ledwie fiakra znalazłem. I wróciłem w złym humorze, bo się spodziewałem, że obiad uczony będzie to coś większego i bardziej wspaniałego. Niedogodnością tego obiadu jest to sprzeczność pomieszanych ludzi sławnych wojskowością ze sławnemi

[1]) Czyt. Smis.
[2]) Czyt. Żan-dakr.

nauką. Przed obiadem wszyscy zapisują się w księgę i tam można widzieć szereg wszystkich nazwisk, uczęszczających od początku na złe literackie obiady. Nie zrobiłem tam żadnej ciekawej dla mnie znajomości, bo siedziałem pośród dwóch moich kompatryotów, którzy mi nic ciekawego powiedzieć nie mogli.

Gniewasz się na mnie, kochana mamo, że nic o pannie Korze nie piszę; milczenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zakochał, nie: wszystko jak było, wiernie opiszę, choć może śmiesznym się wam wydam. Przez grzeczność kiedyś powiedziałem pannie Korze, że ją kocham, ona mi się także przyznała, że mnie kocha, a wtedy zapytałem ją, co zrobi, jak ją kochać przestanę; odpowiedziała mi, że się otruje, albo że się utopi, a z tej odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jej, że się ani zabije, ani utopi, chociaż ją kochać przestanę: więc zacząłem kaprysić, przyprowadzałem ją do gniewu, dawałem uczuć, że jeszcze dziecko, słowem, mściłem się na niej za wszystko, co kiedykolwiek od wietrznic, jak mówi Bohdan Zaleski, ucierpiałem. Nie wiem z jakiej przyczyny, ale wpadła w gorączkę, w gorączce miała delir, a z tego siostry musiały się tajemnicy jej serca dowiedzieć; widząc, że nadto zły byłem w moim postępowaniu, postanowiłem, żeby mnie zapomniała; powiedziałem jej to i przez miesiąc nie poszedłem do nich.

Pozaprzeszłej niedzieli, przechodząc przez modną aleję Tuilleries ogrodu, wśród tłumu wyelegantowanych dam ujrzałem znów pannę Korę z siostrami; ukłoniłem się z daleka i przeszedłem! Ale pani Barateau [1]), jej siostra, posłała swego kuzyna, żeby mnie szukał i przyprowadził. Wróciłem więc do miejsca, gdzie damy siedziały, z bardzo wesołą twarzą siadłem przy nich na krześle (a muszę wam to dla wiadomości dodać, że krzesła w ogrodzie są płatne, nie wiele, bo

[1]) Czyt. Barato.

2 sous, naszych 5 groszy), gadałem przez godzinę; panna Kora czerwieniła się i bladła; potem damy wstały, musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała siostry, z którego to mostu la duchesse de Guiche[1]) rzuciła się w Sekwanę? Uczułem, że to zapytanie było delikatnem przypomnieniem mojej niestałości, i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która znała kiedyś duchesse de Guiche, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie, siadam czasem przy nich na kwadrans.

Ale dosyć o tem, już i tak czuję, że się wy ze mnie śmiać będziecie. Miałem teraz wielką przyjemność: pan Zawierski, który bawi w Montpellier[2]), dowiedziawszy się z moich poezyi, że jestem w Paryżu, napisał do mnie prawdziwie przyjacielski list, dopytuje się o was, o Olesię; odpisałem mu nawzajem. Winienem moim poezyzom, że ze wszystkich końców Francyi znajomi moi przypominają się mi; wielu od ukończenia szkół nie widziałem.

Pierwszego tego miesiąca wielu winszowało mi imienin i odebrałem kilka bukietów róż, bo wiedzą, że ja kwiaty lubię, widząc często bukiety w moim pokoju. Ten, który miał pojedynek, przygotowywał dla mnie fetę w Wersalu, ale kilku dniami przedtem tak zasłabł, że na moje imieniny w łóżku leżał.

Przychodzi mi często gorąca myśl porzucić Paryż i jechać na morze, przynajmniej do Marsylii, żeby się w morzu kąpać; jedynie wstrzymuje mnie od tego bojaźń, abym przez zmianę miejsca pobytu nie utrudnił sobie komunikacyi z wami i nie stracił jakiego listu. Południowa Francya mocno mię wabi, a nadewszystko morze; wy nie możecie sobie wystawić, jaka to piękna

[1]) Czyt. La djuszes de Gísz' — księżna.
[2]) Czyt. Mąpelie — w południowej Francyi.

rzecz te (!) morze, jaki szum rzewny i smutny, byle tylko nie jechać na paketbocie, bo wtenczas słabość morska zabija mnie.

Jakby mi kiedyś dobrze było, gdybym siadłszy między wami, mógł opowiadać moje zdarzenia, chociaż wszystkie dosyć pospolite!

Wychodzi tu pismo peryodyczne po polsku, może kiedy dojdzie i do was; wydawcą jest Podczaszyński.

Zwiedzałem niedawno ogród botaniczny i gabinety, widziałem w ogrodzie żywe ogromne lwy z Algieru i żyrafę, która tak niegdyś zawracała głowę damom francuskim; nie znalazłem, żeby żyrafa mogła damom głowę zawrócić: strasznie niezgrabna, ale ogromnie wysoka.

Dobrze Zenon zrobił, że powrócił, jeżeli... Czekam niecierpliwie listu zapowiedzianego, w którym może i od kochanej Julki kilka słów znajdę. Dalibóg, ja może i wart jestem, żebyście mnie trochę kochali, dosyć dobry jestem chłopiec.

Posłałbym list Skibickiego, który kilka słów grzecznych do mamy pisał, ale na tak wielkim papierze i z takiem uszanowaniem, że bez wahania się listu tego nie posyłam, boby to uszanowanie i wdzięczność nadto wiele ważyły; i ja cierpię na listach, które do niego posyłacie, bo list mamy zawsze taki krótki.

Kochany dziaduniu, babuniu kochana, wdzięczny wam jestem, ile razy mi przysyłacie wasze błogosławieństwo; jemu to może winienem, że dotąd w życiu ciężkie nieszczęścia ode mnie odwraca. Mamo kochana, bądź zdrowa; wierszów Melanki na imieniny mamy nie miałem, przyślijcie mi je. Teofilu, Julko, Hersylko, Adieu! Wasz *Julek*.

15.

Paryż, dnia 30 lipca 1832.

Najdroższa mamo! Trudno mi opisać mojej radości (!), jaką miałem z ostatniego listu; więc czy-

tacie już moje książeczki! Ty, matko, może masz czasem jaką chwilę, w której uczucie dumy jest pociechą sieroctwa! Jest to najprawdziwszy wiersz Mickiewicza. Ale czemuż w liście, tak dla mnie interesującym, znalazłem kartkę czystego papieru, czemuś mi, mamo, nie powiedziała, którąś naznaczyła kartkę ołówkiem? Jak by mi było miło szukać u siebie tej samej kartki. Zdanie mamy o nich jest zupełnie słuszne, ale przeczuwam, że przestrzegany przez mamę brak w całościach, jest skutkiem rozpierzchłych pieśni Żmii; muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym, że Żmija zdaniem mojem i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najsławniejszych naszych krytyków powiedział o mnie, przeczytawszy Żmiję, że cały naród ożył w pieśni, że tam gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mię, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat. Widać więc, że postępuję i kształcę się. Kniaziewicz chory ozdrowiał, przeczytawszy pieśń pierwszą, i skoczył z łóżka do czytającego; a generał Umiński pytał się raz na wieczorze Skibickiego, jak po francusku sumak, bo chciał jechać do Jardin des Plantes[1]), aby to zwierzę widzieć.

Poezyom moim winienem pierwszą wizytę generała Paca, i miło mi było, że ten człowiek najwięcej szanowany zrobił mi tę grzeczność; piszę tu te błahe okoliczności, ale je piszę tylko dla mamy.

Tragedya Mindowe wiem, że bardzo słaba, oprócz kilku scen. Znajdują tu, że nie mam dramatycznego usposobienia, ale ja to przypisuję ich nieobeznaniu się z nowym dramatycznym rodzajem; oni przywykli do wiersza Barbary i nie wiedzą, jak wiele jest sztuki w wierszu przekładanym Maryi Stuart; lecz kiedyś dobry aktor da uczuć słowa wyrywające się

[1]) Czyt. Żardę de Plant — Ogród botaniczny.

z duszy, powiąże duszą te rozmowy, które teraz zdają się połamane.

Początek Jana Bieleckiego jest nie do rzeczy, jednak Bielecki jest najbardziej chwalony przez wielką liczbę, której takiej cichej poezyi potrzeba. Ludwik Plater hrabia przerażony jest bezbożnością Mindowy, bigot!! równie krzyczy na moją bezbożność Włodzimierzowa Potocka; spodziewam się, że taki sąd wszystkich dam nie będzie.

Egzemplarze rozpraszajcie tak, aby latały z rąk do rąk, a nadewszystko do Litwy i Wołynia (?). Mamo moja, choćbyś miała dwa egzemplarze, to jeden poślij Ludwisi, koniecznie, koniecznie.

Nagrobki będę się starał w przyszłym liście umieścić, ale nic tu ciekawego niema w nagrobkach, wszystkie na jeden kopyt z białego marmuru, jak małe kapliczki; cóż więc po nich, kiedy białego marmuru nie macie! A wreszcie żądanie nagrobków to mnie przeraża... czyż myślicie uciec z tej ziemi wprzód, nim ja do was powrócę? Czekajcie! ja wrócę, i razem pójdziemy.

Piszcie mi o Julce... nieszczęśliwa!... porównywam ją z Olesią: szczęście i nieszczęście jednakowym dla nich było ciosem, ale szczęśliwa umierała z boleścią, gdy nieszczęśliwa skona z pociechą, że wszystko zakończy. Myśląc o Jasiu, napisałem Dumę o Emirze Rzewuskim, i zbieram wiersze do następnego tomu.

Teraz, kochana mamo, będę ci pisać wyjątki z dziennika mego, tylko nie zdradź mama mego zaufania i nie dawaj czytać obcym tego listu.

12 t. m. Od spotkania się w ogrodzie zaczynam się znów widywać z Korą; bawi mnie bardzo jej otwartość, wszystko mi gada jak pacierz; bywam więc często z rana u tych panienek, i często przez długie siedzę godziny. Młodsza siostra Nelly powiedziała mi, że czytając Korynnę, wyobrażała sobie, że ja mu-

szę być podobny do Oswalda, to samo mówiła mi kiedyś Kora, widzicie więc, że temu zgodnemu sądowi muszę trochę wierzyć. Po przeczytaniu romansu Pelham[1]) przez pana Bulwer[2]), z zamyślenia Oswaldowskiego przeszedłem trochę do dandyzmu, i dziś właśnie udała mi się rola w ogrodzie Tuilleries; pierwszy raz ubiorem zwróciłem oczy dam, bo miałem białe szarawarki, kamizelkę białą kaszmirową, w ogromne różnokolorowe kwiaty, tak jak dawne suknie damskie, i kołnierz od koszuli odłożony; do tego dodajcie laseczkę z pozłacaną główką i glansowane rękawiczki, a będziecie mieli Julka. Jeden z moich kolegów słyszał nawet damę mówiącą: Jaki ładny kostium! — I tak przybliżyłem się do kompanii Ludwika Platera i kilka słów powiedziawszy, odszedłem pewny, że powiedzieli o mnie: Quel fat insupportable![3]) I zapytasz zapewne, mamo, dlaczego to robię? Oto dla tego, iż raz zostawszy poetą, chcę ujść powszechnej nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały, i nie chcę, aby mię tak jak Mickiewicza do domu gry nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę. Choć tu użyłem takiego przykładu, winienem dodać, że nigdy do domów gry nie chodzę; byłem tylko dwa razy z uczciwym towarzyszem, i dla próby przegrałem raz 30, drugi raz 10 franków.

16 lipca. Zienkowicz, o którym wam pisałem, że ma suchoty, ten sam co miał pojedynek, wyjechał na mieszkanie do Wersalu dla czystszego powietrza; pisuje do mnie co dnia, ja też mu odpowiadam, i czasem wierszami robię gryzące obrazy naszych tu ziomków... i to mię trochę zaczyna zrażać od Litwy, którą dotąd bardzo kochałem; nie uwierzycie jakie

[1]) Czyt. Pelem.
[2]) Czyt. Baller.
[3]) Czyt. Kel fatęsjuportabl' — Jakiż to nieznośny człowiek.

zebranie głupców, zwłaszcza litewskie posły są nieporównane. Poeta Gorecki siedzi w Ems, Mickiewicz blizko jest Paryża i o paszport się stara, bo tu nas do stolicy puszczać nie kazano. Chodząc na spacer ze Skibickim, wymyślaliśmy różne bajki czyli kłamstwa wojażerskie, któremi będziemy bawić kiedyś naszych rodaków za przyjazdem do kraju.

20 lipca. Byłem na wieczorze muzykalnym u panien Pinard. Widziałem, że Kora uprzedziła dobrze o mnie panienki, bo patrzały na mnie z ciekawością. Anais, najstarsza, uprzedziła mnie, żebym ściśle strzegł mego serca, bo mi go jedna z panien ukradnie; nieszczęściem panienka owa była zakatarzona, i z sercem nie przeszytem strzałą uszedłem, a może dlatego, że była nieładna. Zły byłem na Korę, że się koło mnie ciągle kręciła, i kiedy mnie prosiła, abym przyszedł we czwartek, odpowiedziałem zobaczę — z najzimniejszą krwią. Odebrałem znów list z Wersalu; wspominam o nim dla tego, że słowa napisane na końcu — twój do śmierci, — przez człowieka, który wie sam, że jest jej tak blizkim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie; skąd ten człowiek mógł zawrzeć w dwóch słowach tyle poezyi? Znów mi przybyło 250 franków za moje poezye, i już robię projekt jechać do Marsylii nad morze. Tu muszę wypisać słowo w słowo z dziennika dzień przepędzony w Wersalu dlatego, bo różni się kolorytem od innych, bo ci, kochana mamo, da najlepiej mnie poznać; gwałt sobie zadając, nie opuszczę w dzienniku żadnego słowa; ty pojmiesz, mamo, jak wielką z mojej skrytości robię ofiarę.

Dnia 23 lipca. O godzinie 11-tej wyjechałem do Wersalu, który leży o 2 nasze mile od Paryża. Zienkowicz przyszedł na moje spotkanie, ale w drodze ominął się ze mną; przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu. Dom ten trochę dzikiemi chwastami zarosły i opuszczony, ale bardzo miły dla mnie, bo

właśnie w tych dniach, pisząc moje pamiętniki dzieciństwa, tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie, koniecznie dzień jeden musiałem przepędzić w wiejskim cichym domu. Ogródek pięknym mi się wydawał. Było tam kilka winogronnych pni rozpiętych na murze, morel owocem okrytych, kilka kwitnących róż, gruszki pachnące, i około mur szary, a w kącie ławka z drzewa szara i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi co dnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże, blade i już osypujące się z liści. Na tej ławie usiedliśmy i często przerywając rozmowę, zastanawiałem się, słuchając tej wiejskiej ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą, nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko, blady, i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. O piątej godzinie siedliśmy z nim do domowego obiadu; jak zwykle u chłopców, było dobre wino, porter angielski, a wtenczas rozmowa zaczęła się weselsza; do stołu posługiwała nam córka gospodyni, 13-letnia dziewczynka, bardzo do Hersylki podobna. Stawałem w jej obronie, ile razy mój towarzysz, jak zwykle cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia w potrawach popełnione, bo często widział, że nie dopełnili jego rozkazów, gdy chciał, aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę zmieszaną wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachnący różowy groszek, zatknięty w jej pelerynce; wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukiecie poznałem groszek, który zniknął z jej pelerynki, bo wszystkie inne, może umyślnie przez nią były zerwane z ciemniejszego koloru. Udając, że tego nie spostrzegłem, powiedziałem do niej: Ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem. — Uśmiechnęła się, zarumieniła i odpowiedziała pokazując na bukiet: l e s t l à;

vous le reconnaissez bien[1]). Bardzo mi się podobała ta delikatna scena i bądź pewna, mamo, że żadnem słowem nie zniszczyłem jej uroku. Potem Zienkowicz sporządził litewski kaliszan, taki jakeśmy go w Wilnie pijali: było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna i grzanki, słowem, było wszystko, co tylko się mogło w razie pomieścić, a tak był dobry, że się nawet mojej dziewczynie podobał. Po obiedzie poszliśmy do królewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę i patrzała długo; odwróciłem się jeszcze z daleka i uśmiechnąłem i lekko schyliłem głowę. Chodziliśmy długo po parku i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami, tak że się nań patrzeć można było; o godzinie 9-tej wsiadłem do dyliżansu i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem, jeśli chce mama wiedzieć o czem, to o dziewczynce, i wkrótce ujrzałem coraz gęściejsze latarnie, potem Elizejskie pola, a potem ogłuszył mnie huk miasta, o godzinie 11-tej wysiadłem na oświeconej gazem ulicy Rivoli. Wracając do domu, ujrzałem w jednej bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarzy dojrzeć nie można było, w obu rękach trzymał kapelusz, ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Rzuciłem mu do kapelusza pieniądz miedziany, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzącej się nędzy postać; stał nieporuszony, milczał; wstyd mi było myśli krzywdzącej starca, wróciłem się i rzuciłem do kapelusza pieniądz srebrny; milczał... to milczenie tak mnie zastanowiło, że gdybym miał pieniądz złoty przy sobie, wróciłbym i chciałbym był, aby jeszcze raz milczał. Kochana mamo, nie czytaj nikomu tego listu, bo mię wezmą za głupca, że będąc w Paryżu,

[1]) Czyt. Il e la, wu le rekonese-bię — Jest tam, poznaje pan go dobrze.

piszę o dziewczynie, co miała groszek i o żebraku, który, milcząc, przyjął jałmużnę.

Dnia 28 lipca, sobota. Właśnie kiedy wychodziłem z rana z domu do panny Kory, portier oddał mi list od mamy, w którym wiadomość o dojściu moich poezyi; czytałem go, idąc ulicą, i z twarzą wesołą wszedłem do panienek; opowiedziałem im o mojej radości i ucieszyły się ze mną. Kora bardzo często wypytuje się o mamę. Anais zawsze mi donosi, co o mnie Polacy drukujący tam różne dzieła, mówią, i tym razem powiedziała mi, że Podczaszyński chwalił się jej, że mu dałem moje poezye, że mówił jej, jak mię kiedyś na ręku nosił, jak mię kobiety i panienki psuły; na co mu Anais odpowiedziała, że nie widać po mnie, abym był zepsuty, bo jestem bardzo a i m a b l e [1]). Podczaszyński wydaje pisemko po polsku, co tydzień wychodzące.

Odebrałem list od Zawierskiego drugi, w którym tak mi źle Francyę południową wystawia, że mój projekt jechania do Marsylii upadł. Kiedym o tem panienkom powiedział, Kora zarumieniła się, bo myślała, że jej prośby zatrzymują mię w Paryżu.

Dziś i jutro obchodzą tu rocznicę rewolucyi, są fety dla ludu; chodziłem po obiedzie na pola elizejskie i widziałem, jak się lud francuski bawi, jeździ na drewnianych koniach, i na maszty oblane mydłem pnie się, po zawieszony na nich zegarek, albo łyżkę srebrną! Wieczorem chodziłem po iluminowanym Tuilleries ogrodzie.

Dnia 29 lipca. Na czółnie przypatrywałem się fajerwerkowi przepysznemu; cały jeden most w chwili okrył się sztuczno-ogniowymi gmachami, i z pod tych mostów ognista jak most długi spadała do Sekwany kaskada. Potem wszystko zciemniało i znów wybuchnął bukiet olbrzymi, chyba Wezuwiusz będzie pię-

[1]) Czyt. emabl — przyjemny.

kniejszy. Fajerwerk aż do krawędzi czółna, na którem siedziałem, w wodzie odbijał się i złocił Sekwanę. Potem przez kilka ulic, wiodących do Sekwany, przebić się nie można było, tak były zapełnione powracającym ludem; przez całą noc spać mi nie dawały wysadzane po ulicy petardy, bo tu takim sposobem lud radość okazuje. Były tu także dla ludu wyścigi konne, wyścigi pieszych żołnierzy i jeleni, ale tych nie widziałem, nie chciało mi się mieszać w tłum ludu, który ta wolność uczyniła nieznośnie grubiańskim; przez niegrzeczność starają się próbować, czy równość trwa zawsze.

Dziś zaledwo wstałem z łóżka, ujrzałem z wielkiem zadziwieniem wchodzącego do mnie Henryczka Chońskiego. Przez kilka godzin opowiadał mi o swoich przygodach. Mówił mi, że pisze w tych dniach do rodziców. Dobrze wygląda, zdrów i wesół, i teraz nie mogę go w domu zastać, tak się włóczy po Paryżu.

Przyjechał tu także Bohdan Zalewski (!), poeta, i wielu innych z waszych stron. Czyście odebrali mój list ostatni, przed miesiącem pisany, z listem do siostry Skibickiego? Mój portret jest źle zrobiony, ale podobny bardzo; zdaje mi się nawet, że mu niewłaściwie Teofil wadę w oczach zarzuca.

Dnia 31 lipca. Spotkałem dziś rano Bohdana Zalewskiego, zaszedł mi drogę i poznał z daleka, choć bardzośmy się mało znali przedtem. Zaproszony dziś byłem przez jednego z moich kolegów na angielski obiad, który mi zupełnie Anglię przypomniał, tylko pani Gordon nie było. Właśnie rok temu przejeżdżałem przez Paryż, nie, raczej wczoraj rok. Mickiewicz przyjechał do Paryża, ale nie pójdę pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze.

Kochana mamo, napisałem list do Ludwiki Sniadeckiej. Odeślij ten list, moja mamo, ale tak, żeby pewnie doszedł, i żeby go przeczytała... o gdyby ona odpisała do mnie!... Ale nie spodziewam się... tylko co napisałem ten list, i dlatego widzisz tu, mamo, tak

przerywane frazesa, pióro rozkołysało się; smutno mi, ale co robić.

Jutro pójdę do Kory; może, kiedy zacznie mi patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy, choć dalibóg nie kocham jej. Przyszedłszy do domu, zastałem bilety wizytowe Skibickiego i Sienkiewicza, z tych się dowiaduję, że Sienkiewicz przyjechał do Paryża. O kuzynce nic nowego, nic dobrego, zawsze chora, już wiecie o tem lepiej ode mnie, a ja wiem lepiej od was, że na jej słabość nie ma lekarstwa; list chorego (niegdyś) w karczmie oddałem Skibickiemu, do którego na moje ręce był przysłany; czy Skibicki odpisał? nie wiem.

Matko moja, kochaj mnie, kochaj, ja się często będę starał poezyami nowemi przypominać się tobie, bo mam zamiar ciągłym szturmem dzieł dobywać sławę. Teofilu kochany, nie piszę do ciebie osobno, bo ty czytając listy moje, pomyśl że to, co do mamy mówię, i do ciebie chciałbym powiedzieć. Chciałbym ci zastąpić choć w części Jasia.

Mamo moja, całuję ciebie, rączki twoje i rączki babuni i dziadunia. *Julek.*

16.

Paryż, dnia 3 września 1832.

Kochana mamo! Jak wam teraz dobrze być musi wszystkim razem w spokojnym Krzemieńcu; wystawiam sobie wasze koło domowe, z panią Michalską, z wami, i Melanką, kręcącą się koło smutnego Stasia. Jak wam teraz dobrze być musi. Koło moich znajomych także się trochę powiększyło, ale zawsze dosyć nudne. Jak mi okropnie myśleć, że kiedyś powróciwszy do was, nie zastanę tylu osób, a tak często marzyłem, jak to ja będę kiedyś w domu Olesi, jak będę z Julką odwiedzał podrosłe Julinki; nie możecie so-

bie wystawić, jak to jest trudno oddalonemu o mil kilkaset wystawić sobie, że to wszystko snem nie jest. Wilno bez Olesi! Wierzchówka bez Julki! Często wystawić sobie nie mogę. Cieszę się, że mój portret przypomina mnie mamie, ale muszę tu napisać, że nie mam ani ciężkiego odetchnienia, ani obłąkanych oczu — mam tylko jakąś myśl ciągłą i ponurą, która mi zawsze marszczy lekko czoło i zdaje się wisieć nad oczyma. Przypomnij także sobie, mamo, że panienka w Dreznie, kiedy mój portret zobaczyła powiedziała, że piękniejszy jestem od niego i dodała, że to jest zdanie jej matki.

Dnia 3 sierpnia. Pojechałem na dwa dni do Wersalu, gdzie były różne fety, i wielkie wody puszczano. Dobrze się przez te dwa dni zabawiłem; o wschodzie słońca wychodziłem na spacer do lasu, bo już się stęskniłem w Paryżu do drzew i murawy, zwłaszcza murawy rosą okrytej i pachnącej dziką wonią. O wodach Wersalskich nic pisać nie będę, bo chybabym powtórzył to, co w dawniejszym liście napisałem. Zawsze mi się najwięcej podoba sala marmurowa, której ściany à jour[1]) zapełniają tryskające fontanny z marmurowych wazonów; możecie wszystkim mówić, że w tej sali wiszą pająki z fontan brylantowych utworzone, a w tych nadpowietrznych pająkach wieczorem woskowe świece się palą; jeżeli kto nie uwierzy, będzie miał ze mną sprawę, gdy wrócę, ale dlaczegoby temu nie miano dać wiary? Wszakże dziwniejszą są rzeczą w Anglii powozy, do których z pary uwiane zakładają konie, które zamiast owsa, węgle ziemne jedzą.

Chodząc wieczorem po parku między tysiącem ludu, przypatrującym się fontannom, spotkałem Antoniego Goreckiego poetę, świeżo przybyłego z Drezna. Ten mi dwie różne powiedział wiadomości: Stara Dobrzycka umarła ze smutku. Żal mi dobrej staruszki,

[1]) Czyt. a żur.

u której tyle wieczorów przesiedziałem. Drugą wiadomością jest ożenienie się Odyńca; napisał do swojej kochanki na Litwie, aby przyjechała do Prus, sam pojechał do Królewca, i pobrali się; niechaj więc im Pan Bóg dopomaga. Słychać, że Odyniec ma osiąść w Poznaniu i utrzymywać się tam, wydając pismo peryodyczne. Mówią, że bardzo ładnie przetłómaczył wierszem Czcicieli ognia i Lalla Rookh Moora i Korsarza Byrona. Od Goreckiego dowiedziałem się, że mnie panienka w Dreznie zawsze czule wspomina. Mickiewicz mieszkał w tem samem co ja mieszkaniu, ale na próżno starał się dobyć serce tej panienki; ja, czyli pamięć o mnie jest jak Horacyusz Kokles, który broni mostu wiodącego do jej serca: jak uschłe drzewo zawaliłem drogę, i nikt przestąpić zawady nie może, i mógłbym tu jeszcze wiele napisać takich porównań. Widziałem się także z Sienkiewiczem, któremu stary nasz patryarcha poetów kazał mi podziękować za przysłane mu poezye. Mówił, że wdzięczny mi jest za dar piękny, który wiele mu przyjemnych chwil sprawił! Zawsze mu się bardzo podoba akt 3-ci Mindowy; musiał sobie przypomnieć staruszek ów ranek, kiedy w małej swojej wioseczce, przy stole pijąc herbatę, słuchał tej sceny bezbożnej ze zmarszczonemi brwiami.

Dnia 7 sierpnia. Od kilku dni przyjechał Mickiewicz; żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania się kroku, a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć; starano się więc nas sprowadzić gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie; Mickiewicz improwizował, ale dość słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplimenta. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... przypomniałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim. Śmiał się z przypomnienia, potem przypomniał mi, że mu Maleski moje wiersze za

granicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplimenta, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę... jeden z Polaków, stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: „nadto jesteś skromny", i temi słowami pomięszał zupełnie naszą rozmowę. Podczas obiadu, Cezary biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie; był to wieczór z mężczyzn samych złożony. Szopen, sławny fortepianista, grał nam, gadaliśmy różne poezye, słowem, że dobrze nam zszedł wieczór; wielu było Wołyniaków, wiele wypiliśmy szampana. Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy; na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek. Wojażerowie opowiadają swoje podróże, uczeni swoje odkrycia itd. Pani Tastu [1]) jest najsławniejszą poetką francuską. Pani Allard [2]) wydała romans w guście Koryanny pod tytułem: le Romain du Maremnes [3]), dosyć chwalony. Kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak i na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10-tej do 2-giej w nocy, pod koniec jednak Szopen upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie.

Dnia 12 sierpnia. Anais, Nelly i Kora zaprosiły mnie na obiad, potem musiałem z panienkami pójść na spacer i znów mi Kora mnóstwo rzeczy nagadała przy księżycu pod pomarańczowemi drzewami Tuilleries ogrodu.

Muszę się tu przyznać mamie, że darowałem jej prześliczny sztambuch; dziwiłem, się, że jej siostry nic w nim nie pisały, i dowiedziałem się, że w Paryżu nie

---

[1]) Czyt. Tastju.
[2]) Czyt. Alar.
[3]) Czyt. Le romę de Marem'.

znają sztambuchów, tak jak u nas dla przyjaciół poświęconych; starają się tylko o napisy ludzi sławnych, imię w świecie mających. Nawet rysunki powinny być szkicami, przez sławnych malarzów robionymi. Jak to doskonale maluje próżność Francuzów, ten brak czucia nawet w kobietach. Ponieważ u tych panien mam opinię niepospolitego poety, którą winienem kilku bawiącym w ich domu Polakom, stąd silnie napierały się, abym co napisał po polsku w sztambuchu; w kilka dni odniosłem im sztambuch, ale z wierszami francuskimi. Nie mogły panienki same zgadnąć, czy te wiersze są dobre lub nie, dopiero kiedy je pokazały jednemu z francuskich poetów, gdy ten je pochwalił, i bardzo pochwalił, więc i panny tysiąc komplimentów, tysiąc ekstazyi z powodu wierszy powiedziały mi. Może mamę te wiersze będą interesować, więc je posyłam w tym liście. Teraz dopiero, kiedym się nauczył reguł wierszowania francuskiego, powiedziałbym naszym sawantkom, aby nigdy nie śmiały dwóch wierszy po francusku napisać, bo nie uwierzycie, ile w wierszach francuskich jest kaprysów i trudności, o których u nas ani się nie śniło. Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach: powiedział, że moja poezya jest śliczna, że jest to gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga nie ma. Prawda, że śliczne i poetyczne zdanie? podobne do jego sonetu pod tytułem „R e z y g n a c y a.“ Zegatowicz jest w jednem z tutejszych miasteczek.

Dnia 25 sierpnia. Wyjechałem znów do Wersalu i chodząc sam jeden po ciemnych alejach parku, myślałem o Litwie, bo dziś dzień imienin niegdyś... Czy mama odesłałaś list mój do Wilna? Koniecznie chcę odpowiedzi. Pakę z książkami z przeciwnej strony odbić musiano, bo inaczej znalazłyby się owe 13 egzemplarzy z napisami dla wszystkich miłych i kochanych... teraz lub dawniej.

Dnia 27 sierpnia. Odebrałem list od was. Cieszy mię, że Żmija w gazecie umieszczona; chcę więcej o tem szczegółów, jeżeli co jeszcze będzie nowego; nawet krytyki nie wahajcie się pisać, bo prawdziwie, że na nie jestem obojętny; dziwnie się w tem zmienił mój charakter. Henryczek zdrów, cieszy się emeryturą ojca, nic jeszcze z sobą nie zrobił, ale podobno ma zamiar wejść do szkoły handlowej; kto wie, czy Rotszyldem nowym nie będzie.

A propos, wyborne są brzoskwinie, o których Jan Śniadecki zawsze wspominał; kiedyś i ja na starość z wami zasiądę do stołu, jak Jan z siwym włosem i z białemi, najeżonemi brwiami (bo brwi mi teraz trochę się zgęściły), wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach, bo wyborne, jak lody się rozpływają; najpiękniejsze po 4 do 5 groszy naszych się sprzedają, to jest po 1½ lub 2 sous. Wydaje to nam się bardzo tanio, bo mimowolnie sous przywykliśmy za grosz uważać, a frank za złoty, mało co więcej, co niezmiernie jest niedogodnem dla nas cudzoziemców. I tak dawniej jadłem obiady po 2 franki, wyborne na pozór, ale przekonałem się, że mi szkodzą, bo w tych traktyerniach skupują potrawy z innych drogich restauracyi i różnymi sposobami chronią je od zepsucia, tak, że na stół podane, pięknie się wydają i są smaczne, ale przez długi czas używane, niszczą zdrowie. Ponieważ zaś nie życzę sobie otruć się obiadami, chodzę więc do traktyerów, gdzie à la carte[1]) jeść dają: bifsztyk tam sam franka bez 2 sous kosztuje, ale przynajmniej zdrowy i posilny, a zjadłszy zupę, dwie potrawy i desert, można być sytym, obiad zaś taki 2½ franki lub 3 kosztuje. Są Polacy, którzy po 18 sous obiad jedzą i mają 3 potrawy, desert i pół butelki wina. Boże zmiłuj się nad niemi! W menażeryi królewskiej, gdzie dawniej co miesiąc dla zwierząt dostarczano z pewnego okręgu

[1]) Czyt. a la kart. — według karty.

miasta 15 zdechłych koni, teraz tylko dwa przysłano, więc trzynaście musiało dwunożne żywić zwierzęta.

Dnia 3 września. Pojechałem na cmentarz Père la Chaise[1]), aby Teofilowi rysować nagrobki, ale prawdziwie, że napróżno czegoś pięknego szukałem: jedne są nadto kosztowne, i całą ich zaletą są posągi z białego marmuru, po 100.000 fr. płacone, mniejsze zaś są zupełnie pospolite, małe kolumny z... na wierzchu, małe piramidy, bo ten cmentarz, jest to las cyprysów i nagrobków tak gęsty, że z trudnością między nie wejść można; są jednak szersze drogi, któremi publiczność się przechadza. Odmienny nieco od innych jest grób wynalazcy telegrafów: jest to skała maleńka z kamienia, na której mały telegraf żelazny świecznikiem, z niego ogień jasno pozłocony. Groby marszałków francuskich są z białego marmuru i piękne, ale nie mają nic nadzwyczajnego, oprócz napisów: Massena, Cambacérès[2]) itd. Najpiękniejszy grób pani Demidow, z domu Strogonow. Między kolumnami z kararskiego marmuru stoi trumna marmurowa, a na niej poduszka i hrabiowska korona. Chcąc widzieć wszystkie groby, byłem w Panteonie; jest to budowa w mieście na kształt katedry wileńskiej, z kopułą, podobną do kopuły św. Piotra w Rzymie. W tym kościele mają Francuzi składać swoich wielkich ludzi; mają, powiadam, bo dotąd oprócz Woltera, Russa, nic nie ma, tylko na ścianach cztery tablice w złotych ramach, w których są imiona poległych w rewolucyi. Ze szczytu kopuły, która jest najwyższą z wszystkich gmachów w Paryżu, widziałem śliczne panorama całego miasta, mrowisko ludzi, gdzie sobie gwarzą, rodzą się i umierają. Kiedy chodziłem po grobach Père la Chaise, spotkałem śliczną pannę, w czarnym ubraną kolorze, ale na kulach, bo jednę stopę miała skrzywioną, a je-

[1]) Czyt. per la szez.
[2]) Czyt. Kanbaser'.

dnak kształt nogi bardzo piękny; lekko i wesoło chodziła pomiędzy grobami i tłómaczyła napisy idącej za nią staruszce, dugennie; bardzo mnie zainteresowała. Wesołość przy tej ułomności pięknie się wydawała, jakby przymuszona; zdawało się, że pod nią smutne musiała ukrywać myśli, bo czegóżby przyszła na groby; zdaje mi się, że ją musiałem trochę zainteresować, bo także w czarnym byłem ubrany tużurku, i byłem sam, i częstośmy się spotykali, choć jej nie szukałem. Bardzo była ładna, kiedy schodziła do mnie cyprysową aleą i czasem podniosła głowę, a wtenczas słońca promień obłąkany w cyprysowym liściu padał na jej twarz białą. Śmiać się ze mnie będziecie!

Michaś odebrał list od siostry. Kochany Teofilu, dziękuję ci, że mi w twoim domku pokoik na wschód masz wybudować; nie uwierzysz, jakbym chciał kiedyś wrócić, przynajmniej mieć nadzieję, że wrócę. Kochana mamo! Każdy twój list dla mnie tak miły, że ci tego wyrazić nie mogę; staram się nawzajem wszystko pisać, i dla tego może śmiesznym jestem w moich listach. Adieu! Adieu!

Julek.

17.

Paryż, dnia 4 października 1832.

Mamo! Teofilu! Łączę was w tym liście, bo wiem, że potrzebujecie pociechy. Ale ja nie mam słów, abym trafić mógł do waszego serca. Okropne! Prawdziwie okropne były te dwa dni dla mnie: zdaje mi się, że mnie rokiem w przyszłość posunęły. Słuchajcież, opowiem wam wiernie te dwa dni mego życia, chociaż uszanowanie dla mamy kazałoby mi o niektórych rzeczach zamilczeć. Oszalałem był dla jednej młodej Francuski, która, jak mi się zdaje, także dla mnie oszalała. Nowa ta Fornarina oczarowała mnie, bo

nigdy o podobnie pięknej nie marzyłem w snach gorączkowych. Wczoraj rano o godzinie 9-tej położyłem się, aby zasnąć; zaledwo zamknąłem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi: list od was... Senny siadłem do czytania, list ten spadł całym ciężarem na rozigrane i drżące prawie zmysły. O, bo też nigdy nic podobnego nie czytałem jak list mamy: w nim tak ogromna poezya smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niej się nawet nie zbliżył, matko moja! Tyle w liście twoim prawdziwej boleści, tak wiernej, że płakałem, czytałem i znów płakałem; potem na kawałku papieru, leżącym na stoliku, napisałem trzy nagrobki, i posyłam je nieprzemienione. A potem zeszło się do mnie wiele osób, musiałem gadać przez dwie godziny o obojętnych rzeczach. A twarz moja była tak zmieniona, że pierwszy, co wszedł, powiedział: „Ty musiałeś dziś noc waryacką przepędzić“, a potem drugi raz spojrzawszy na mnie, rzekł: „przepraszam cię za moje słowa, ty musisz mieć smutną jakąś wiadomość.“ Tak twarz moja zdradza mnie przed ludźmi. Darujcie mi, że tak jak były pomieszane w życiu mojem uczucia i zdarzenia, tak i w tym liście piszę. Nie dawajcie mi napomnień, bo zbieg tych dwóch okoliczności przerażającą był dla mnie nauką. Ale jeszcze nie wszystko. Teofilu! znoś nieszczęście a Bóg ci pobłogosławi: ty będziesz kiedyś jak twoi rodzice widział trzecie dzieci z dzieci twoich. Bo nasza rodzina nie popełniła zbrodni, za którą by Bóg ją mógł karać. A spojrzyj na twoich rodziców, wszak i oni dziecię małe niegdyś stracili, a czyż kiedy o niem wspominają, zaleją się łzami? Wszak nawet nie wspominają o niem, a ja wnuk ich, który przepędziłem z niemi lata, nie wiem nawet, jak się to dziecko nazywało. Teofilu! wierzaj mi, że my ludzie nieszczęśliwi; zostanie nas mało, ale my będziemy siebie kochać przywiązaniem, z wielu osób przeniesionem na jednę, dwie lub trzy osoby; żebym ja był szczęśliwszym, to bym wam

może przywiązanie dzieci zastąpił. Ale ja złym jestem kaznodzieją szczęścia; te dwa dni mną całym zatrzęsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami. I czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią poetyczną egzaltowaną rozkosz. Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobny do ludzi, a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka.

Zmęczony porankiem dnia tego, poszedłem na obiad, jadłem gwałtem wiele, i piłem, aż póki mi się w głowie nie zakręciło, i wróciłem do domu; a wieczorem przyszedł do mnie Michał po list, i gadaliśmy długo. Musiałem mu przeczytać list mamy, i gdy przyszedłem do miejsca, gdzie mama o naszych portretach piszesz, rozpłakałem się, i on miał łzy w oczach, a potem wspólnym rozpłakaliśmy się śmiechem i powiedzieliśmy sobie: C e t t e v i e c ' e s t u n e f a r c e u n p e u t r o p l o u r d e[1]). Tak ludzie tego wieku kończą smutne uczucia bluźnierstwem. W dziwnem byliśmy oba usposobieniu, i może dla tego napis dla Jasia straszne na nim zrobił wrażenie, i powiedział, że chciałby umrzeć dla takiego nagrobka.

Na drugi dzień, to jest dzisiaj, wstałem rano i skomponowałem rysunek, który posyłam. Wierzcie mi, że z cmentarza P è r e l a C h a i s e żadnego nagrobka przenosić do was nie warto. Ten zaś, który tu wyrysowałem, zdaje mi się pięknym. Macie kariery kamieni, będzie więc może nie zbyt trudnym do zrobienia; chciałbym, żeby w ściany wmieszać kilka ułamków naśladowanych kolumn, żeby się ten grób wydawał, jakby z gruzów i kamieni ułożony. Jeżelibyście tego nagrobku nie zrobili, to go dla mnie zachowajcie. Jeślibym zaś umarł za granicą, to wtenczas każę testamentem zrobić sobie krzyż ogromny, z jednego kamie-

---

[1]) Czyt. Set' wi e tjun fars' ę-pe-tro-lurd' — To życie jest farsą nieco zbyt ciężką.

nia chropowato wyciosany i nad nim cyprys posadzić i po łacinie imię moje na krzyżu napisać.

Kiedy grób rysowałem, przyszło do mnie dwóch znajomych; odwiedzają mię teraz często, bo w założonem towarzystwie, w wydziale literackim, Mickiewicz jest prezesem, a ja radcą wydziału. Właśnie mi w porę przyszła praca, kiedy nic robić nie mogę. I tak pan radca siedział, gadając o zajęciach literackich. Wtem przynoszą mi list, spojrzałem na kopertę, list był z daleka, ze stron gdzie się wychowałem, z czarną pieczątką, na której cyfra L. S. Nie możecie sobie wystawić, jak się przeraziłem! Mimowolnie list przy obecnych gościach konwulsyjnie zgniotłem, tak, że się pieczątka rozsypała, a potem położyłem go na stoliku i patrzałem pomieszany na moich gości; zrozumieli mię i wyszli.

Wtenczas otworzyłem list okropny! Płakałem z takiem łkaniem, jak dawniej, kiedy byłem dzieckiem, bo też list ten na nowo dzieckiem mię zrobił. Smutne nadzwyczaj wrażenie uczyniło na mnie opisanie jednej sceny. Antosia czytała M n i c h a i A r a b a dla Zosi Balińskiej. Julka patrzyła jak Ludwisia wyszywała kwiaty do ołtarza na grób matki. Ludwisia spytała Julki, czy pamięta Julka Słowackiego? Powiedziała, że pamięta, że on był blady, miał czarne włosy i bawił się z dziećmi.

Świat ten, w którym starsi zapominają, a dzieci pamiętają, c'est une farce un peu trop lourde. Te dwa dni były dla mnie prawdziwą szkołą uczuć i smutku, a kiedy wychodziłem z domu, to mnie coś tak korciło wrócić do tych dwóch listów, jak gdyby czekał na mnie w domu przyjaciel, co zwykł gorzkie ale zbawienne mówić prawdy. I tak całe dnie były zapełnione odczytywaniem tych dwóch listów, że nie przeczytałem słowa z książek interesujących, które leżą na moim stoliku. Te dwa dni tak dalece odepchnęły wszystkie inne, że nie wiem, co o nich mam pisać.

Posyłam list do Ludwisi; ostatni on będzie, i już dosyć tego.

Piszesz mi, mamo, w poprzedzającym liście, żebym 3-ci tom drukował; muszę się wprzód z kasą porachować, bo tu pieniądze lecą. Wasze zaś milczenie o interesach przeraża mnie; może ty, mamo, cierpisz niedostatek? A wtenczas pomyśl, jakby to okropnie było, gdybyś to kryła przede mną, gdybym sobie wyrzucał każdą uciechę. Teraz już nawet po ostatnim liście Ludwisi i sławy mi się nie chce; nie wiem, jak ja bez tego ostatniego uczucia na świecie zostanę; może powróci. Z Korą także rozstaliśmy się, nie gada do mnie: nie kochałem jej, spostrzegła to; i widać, że dumna dziewczyna; ale widzę ją czasami, a zawsze coraz bardziej blada. Szczęście, że zima nadchodzi, będzie więc tańcować, a ma lat tylko 16 i ładna, więc zapomni.

Pan Barateau [1]) poeta, kuzyn ich, po przeczytaniu moich wierszy francuskich między innymi komplimentami powiedział: Ah! si je savais écrire des vers français comme vous! [2]) Powiedział to wobec koteryi, która go przywykła uważać jako wyrocznię, a zatem to wyznanie musi być prawdziwe.

Przyjechał ks. Czartoryski do Paryża, byłem u niego z ranną wizytą; przyjął mnie nadzwyczaj grzecznie, bo się wprzód kilku osób pytał o mnie. Wiersze moje czytał u wód nad morzem w Anglii. W ciągu rozmowy pytał się o mamę, zaprosił mnie nakoniec na niedzielę na wieczór. Byłem na tym wieczorze, było tylko kilkanaście osób płci męskiej i kilka dam francuskich. Na wieczorze miałem z samą księżną bardzo pochlebną dla mnie rozmowę: zaczęła się od Anglii, a potem powiedziała mi: „Winniśmy panu wiele przyjemnych wie-

---

[1]) Czyt. Barato.

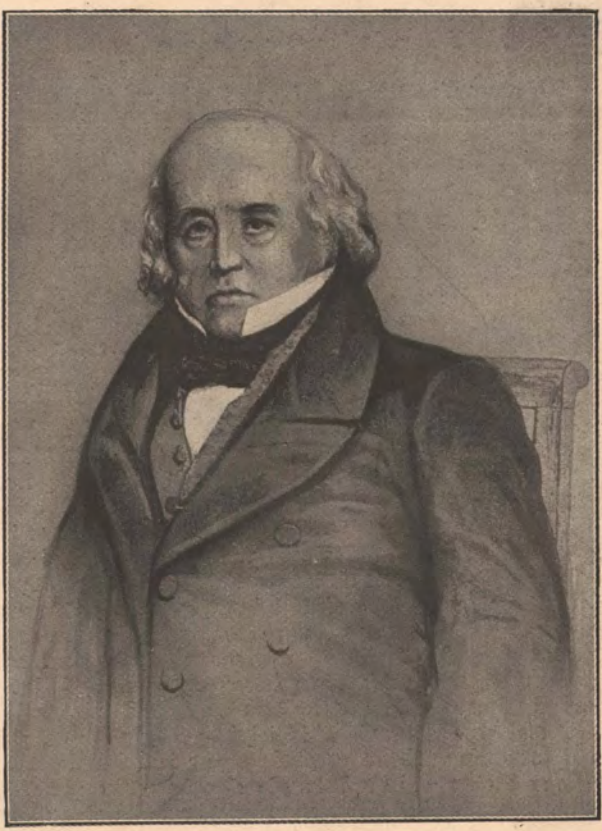
[2]) Czyt. A si że sawez-ekrir de wer franse kom wu! — o, gdybym ja umiał pisać wiersze francuskie jak pan!

czorów. Dawny przyjaciel, pan Błotnicki, czytał nam z całym swoim talentem pana poezye, chociaż te poezye nie potrzebowały talentu czytającego, aby się podobać mogły.“ Skibickiemu mówiła księżna zaraz przy przyjeździe, że długo nie czytała moich poezyi, bo jej hr. Ludwik Plater powiedział, iż bezbożne i brak w nich czucia, że potem kiedy jej przeczytano „Mnicha“ i „Araba“, dziwiła się, że pan Ludwik mógł tak źle o rzeczach sądzić. Ja się wcale temu nie dziwię, bo stary i bigot.

Przyjechał do Paryża Stefan Witwicki; widziałem się z nim. Na wieczorze był Mickiewicz; nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichowsku wygląda: z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym. Zbliżywszy się do mnie, powiedział: „Jeżeli teraz co porodzę, to będzie coś zapewne o oku dziecięcia, które dziś widziałem; na oku tem jest napis: Napoléon Empereur [1]), i to oko ciągle tkwi w mojej pamięci.“ Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego imaginacya tak tem okiem, zapewne udanem a może szklannem, dla wyłudzenia pieniędzy wsadzonem, zapaliła. Wolałbym, żeby pisał o dziecku z złotymi zębami. Strasznie mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie; resztę wieczoru przegadałem z dwiema panienkami farncuskiemi, i panienki francuskie znudziły mnie; nie wiem, z kim mam teraz żyć, a przynajmniej gadać.

Dnia 5-go, godzina 11-ta wieczorem. W tej chwili Michał przyniósł mi list do siostry; gawędziliśmy sobie dosyć wesoło, a potem spadliśmy na smutną stronę. Sama ks. Czartoryska wyjechała dziś do Galicyi, więc nie będzie już wieczorów: więcej to mego towarzysza, niż mnie zasmuca. List do Aleksandra Mickiewicza trochę u mnie zależał, więc powiedzcie, że się cały ten list w drodze zatrzymał; bo ja czasem nie mogę przełamać lenistwa, a potem częstych listów lękam się dla

[1]) Czyt. Anperer.



Julian Ursyn Niemcewicz.

was. U nas tu nic nowego, nic dla nas. Mój przyjaciel w Wersalu wyzdrowiał prawie, cud to, bo miał suhoty i bardzo posunięte daleko.

Zaglądając do dziennika, patrzyłem, com robił w dniu 28-go w niedzielę, kiedyście tracili Melankę, i znalazłem słowa: „Smutno mi, jak gdybym miał jakie przeczucie.“ Prawdziwie, że to jest coś niepojętego ta magnetyczna władza przeczucia: tak przeczułem był przyszłego roku w Anglii dzień okropny dla nas, kiedy rzeź była. Śniło mi się o tej rzezi, i gdy zszedłem na herbatę, Anglicy mnie dopytywali się o przyczynę pomieszania; odpowiedziałem im że musiało się stać coś dziwnego w mojem domostwie, i Anglicy śmiali się ze mnie, a ja tryumfowałem, kiedy w dni 15 nadeszły gazety i Anglicy patrzyli na mnie jak na człowieka obdarzonego władzą drugiego widzenia Szkotów.

Sen był dnia 15-go, miesiąc przypomnijcie z listu w Anglii pisanego. Od tego czasu wierzę więc w przeczucia, jest to jedno z niepospolitości w życiu więcej; teraz zła dygiestya albo za późne wstanie może mi tysiąc przeczuć utworzyć. Co do projektu krakowskiego bardzo dobry, ale nie zupełnie bezpieczny.

Teofilu! Zdaje mi się, że tobie dobrze by było w Kijowie; miasto tanie i przyjemne; ja kiedyś także bym tam rad z mamą mieszkał, żeby mi to nie krępowało mojego zawodu, bo L a m b r o straszny. Ale nareszcie trzeba myśleć o punkcie zjechania się, bo tak błąkać się po zagranicy, to okropnie, zwłaszcza kiedy to długo pociągnie. Lękam się także o egzemplarze z napisami, i dla stryja tam były: chciałbym, żeby mogły być wszystkie wszystkim rozesłane; i teraz widzę, że pani Balińska jest trochę może obrażona, posądzając mnie o zapomnienie; bo choć była tam, gdzie list pisano, a przecież ani słowa nie napisała, ani słowa nie kazała mi napisać. Jeżeli możesz, Teofilu, to się dowiedz w Mińsku o Hrehorowiczu, dawniej w Warszawie ze mną mieszkającym, i poślij mu jeden egzemplarz, pisząc, że ja

o to prosiłem, bo to godny człowiek. Że zaś moje wiersze nie mogą was skompromitować, to się przekonywam z tego, że teraz je Glüksberg do Warszawy sprowadza, nie wiele wprawdzie egzemplarzy, ale zawsze pisał otwarcie o nie. W tych czasach otwartość ta nie jest moją zaletą i dla tego muszę koniecznie przed Nowym Rokiem zacząć drukować Lambra, ale osobno, nie jako tom III, bo nie chcę, aby tym tomom przeszkadzał.

Ale nie czas to pisać o interesach moich, kiedy wy przyciśnieni jesteście boleścią. I znów na wasz list spojrzałem, i znów mnie przeraża, i wiersz napisany przez kochanego dziadunia zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje jak jakiś anioł — duch z tamtego już na wpół świata wyglądający, który wśród płaczących, zawsze jedne i znane mi napisał słowa: — Ja ciebie, mój kochany wnuku, pozdrawiam i powodzenia życzę. — Ta jednotonność słów robi te słowa tak uroczystymi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga. Więc, dziaduniu kochany, klękam przed tobą, a przyrzekam ci, że wnuk twój będzie umiał kiedyś jak twój syn starszy dług wypłacić, którego ty dla starości wypłacić nie mogłeś. I ty, kochana babuniu, nie wstydź się wnuka wierszoklety, bo on oprócz wierszy ma jeszcze do rozrządzenia życie, a może Bóg mu pozwoli skonać jak skonali...

Teofilu! Hersylko! Nie, do was nic nie napiszę... Płakałem... Mamo kochana! Czuję, jak tobie teraz smutno... List twój, kochana mamo, zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem, i list ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że jeżeli miałem jaką poezyę w sercu, to ją od ciebie wziąłem. Zwłaszcza to wyrażenie mama powtarza: Niech się dzieje wola Boga, ja zaś wspomniawszy na ciebie, nie zdolna do wyrzeczenia słów tych, — jest ogromnym obrazem matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa, i Bogu nawet, jeże-

liby je miał zabić, broni. Te słowa miłości i przywiązania twego do mnie z duszy wyrwane, słowami mojemi zapłacone być nie mogą, lecz całem życiem.

Wasz *Julek.*

18.

Paryż, dnia 9 listopada 1832.

Kochana Mamo! Siadam z przerażeniem do tego ogromnego papieru, bo prawdziwie przez cały ten miesiąc tak siedziałem w domu, że przebiegając mój dziennik, nic nie znajduję, tylko wasze listy, które mi jednobrzmienność czasu przerwały. Jesień nudna, jesień jest tego przyczyną; ciągłe słoty, mgły angielskie przeniosły się do Paryża, i często wieczorem nie można znaleść dobrze znajomej ulicy; dziwnie się wtenczas miasto wydaje, słychać huk i turkot niewidomych powozów i tylko latarnie kabryoletów czyli fiakrów we mgle płyną i migają.

Mamo moja! przysłany mi przez ciebie list Ludwisi przykrość mi zrobił, bo ona do mnie zupełnie inaczej pisała; szalona, chciałaby być poetyczną istotą, a jest śmieszną; smutek ją pewnie nie zabije. Zdaje mi się, że się trochę gniewa, że w moich poezyach nic o sobie, a zatem o niej nie pisałem; poznała mnie jednak czasem, pisze to sama, a ja się domyślam, że poznać musiała w scenach między Rizzio i Maryą Stuart, zwłaszcza w ostatniej scenie aktu drugiego. Po odebraniu listu do mamy pisanego, żałowałem, żem do niej drugi raz pisał, choć wprawdzie dosyć dumnie.

Zdanie mojego stryja, czyli raczej jego wymówka, bynajmniej mnie nie dotknęła. Chciałbym był jednak, żeby brat mego ojca był rozsądniejszym człowiekiem; odtąd nigdy dla niego egzemplarza nie poślę, i ty, mamo, nie posyłaj mu, jeżeli chce, niech skąd inąd stara się. Cieszę się nieskończenie, że Fortunat do

matki wrócił, oby się mu znowu nie zamarzyło po świecie wędrować.

Żebyście wiedzieli, jak ten świat nudny: zupełnie inny, niż się nam wydaje; zwłaszcza Paryż, jest to prawdziwe więzienie dla człowieka bez wielu pieniędzy, bo w innem miasteczku i nawet mieście cudzoziemiec wchodzi zaraz do dobrych towarzystw. Tutaj zamknięte są domy; trzeba mieć kabryolet własny, żeby się otworzyły; zwłaszcza teraz La noblesse wyniosła się prawie z Paryża, la bourgeoisie,[1]) ta brylantowa poczwara, która zajęła jej miejsce, nie przypuszcza do siebie tylko bogatych. Chcąc zainteresować jaką damę, trzeba po angielsku gladać, udawać Anglika bo wiedzą, że Polacy nie mają pieniędzy; udawać zaś Anglika, trzeba udawać głupca i oryginała, bo takiemi są Anglicy. W jednym tylko względzie Paryż mi się lepszym wydał, niż o nim marzyłem; gdy bowiem do nas kto z Paryża przyjedzie, zaraz ma jakiś dziwny, spiczasty kapelusz, jakiś frak wywrócony i t. p.; w Paryżu zaś przeciwnie, nie widziałem tu elegantów, tak jak u nas z połkniętym kijem, z nakrochmalonym halsztuchem; wszyscy skromnie i zgrabnie ubrani. Ubierać się zaś można, jak się komu podoba: śmiałobym wyszedł na ulicę w dziadowej lisiurce, którą niegdyś jak syn marnotrawny dziaduniowi zarwałem.

Widziałem tu niegdyś ludzi trochę podstarzałych, na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w błękitnym, jasnowatowym szlafroku, na frak zamiast płaszcza wdzianym. Jeżeli chcecie sobie Julka wystawić, chodzi on w dnie mniej zimne w długim aż po kostki, ciemno-ceglastym surducie, krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy; w dnie zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowem futrem, które mam

[1]) Czyt. La-burżuazi — Mieszczaństwo.

od kochanej mamy, a w dnie ciepłe w czarnym tużurku krótkim. W tym miesiącu byłem sześć razy na tragedyach francuskich, w teatrze Porte St. Martin,[1]) który romantyczność wprowadził na scenę, i w teatrze Français, dawny sławny teatr klasyczny. Chodziłem na tragedye dla poznania się lepiej z Francuzami teraźniejszemi i z grą aktorek, albowiem pod sekretem powiem ci, mamo, że piszę tragedyę dla pierwszego z tych teatrów; nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą i zechcą wystawić, i czy zechcą zapłacić; dobrze by to było, żeby mi się w tych wszystkich zamiarach powiodło. Żebyście mieli wyobrażenie o smaku i obyczajach teraźniejszej publiczności, doniosę wam, że najbardziej tłum paryski na teatr St. Martin ściąga tragedya z następującego ułożona podania: W dawnych wiekach królowa francuska Marguerite miała w Paryżu wieżę nad Sekwaną, gdzie teraz jest Luwr, i wieża ta nazywała się tour de Nesle. Tam królowa udawała się potajemnie w nocy, i dawała rendez-vous młodym chłopcom, dzieciom, które potem do rzeki, u stóp wieży płynącej, rzucano dla pokrycia wieczną tajemnicą postępków królowej. La tour de Nesle[2]) jest tytuł zrobionej z tego tragedyi. Panna George, sławna tutejsza aktorka, gra przewybornie; zawsze biorę miejsce w jednej z pierwszych lóż, żeby widzieć grę jej twarzy; śliczna jest, ona sama już stara, otyła i nieraz wpada w zadyszenie, kiedy mówi; przenoszą ją nad pannę Mars, najsławniejszą teraz na świecie z tutejszych aktorek. Panna Mars ma lat około 50, dosyć brzydka, grywa na teatrze Français, z figury bardzo mi mamę przypomina. Sceny najsmutniejsze mówi zawsze cienkim, jednobrzmiennym i przerywanym co kilka wyrazów głosem, ale głos ma jakiś czarujący: zdaje się, że najpiękniejszą muzykę słyszę,

[1]) Czyt. Port' Sę-Martę.
[2]) Czyt. La tur-de Nesl'.

kiedy mówi. Nie zaczyna ona tak jak nasze aktorki w tragedyi pierwszego zaraz wiersza płaczącym głosem, ani niesie ciągle do oczu chustki, ale chowa łzy i smutek na najsmutniejsze sceny; ona zdradza to przysłowie Horacyusza: jeżeli chcesz do płaczu pobudzić, powinieneś sam naprzód płakać. — Przysłowie to jest fałszywe: smutek zdradzający się tylko mimowolnie, a nie smutek okazywany, łzy wyciska; dowodem tego jest list Ludwisi. Po większej części wszystkie kobiety dobrze grają, ale mężczyźni są szkaradnymi aktorami... Teofilu! Dzięki ci po tysiąc razy za wypisy twoje, tak starannie zrobione; wierz mi, że umiem czuć wszystko dobre, które od ludzi odbieram. Przedziwne wyrażenie: chcesz wiedzieć, co o tobie mówią gazety? Tak znarowiony jestem, bo ja od dzieciństwa przywykłem w gazetach figurować, i gniewa mnie to, że mnie teraz minuskulami drukują, kiedy dawniej drukowali wielkiemi jak woły literami (jako celującego ucznia), cóż to dalej będzie, jeżeli tak zmniejszać będą?... Prawda, że głupi dosyć ten, co wyjątki umieszczał: nie położył n. p. pierwszej części pojedynku „Ż m i i", i zaczął od wierszy: Daleko słychać szczęki pałaszy; nie położył łowów na sumaki, ani opisania pożaru okrętu w trzcinach; niech mu Bóg przebaczy, że mnie tak obciął. — Odyniec nie w porę sprzeczki o romantyczność wznowił: ma on szczególną chęć wiązania swego imienia z innemi imionami; dziwię się, że nie położył w przypisku, że ja mu do „I z o r y" cztery wiersze dorobiłem. Artykuł o balladzie: C z y t o p i e s, c z y t o b i e s, — bardzo dobry; zrobiliśmy tę balladę w Dreźnie, powracając wieczorem z Grossen Garten, pięknego ogrodu. Zaczyna się od słów:

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Wtem pies czarny bieży drogą:
Czy to pies? czy to bies?
Rzecze jeden do drugiego:

Czy ty widzisz psa czarnego?
Czy to pies? czy to bies?
A obydwom z wielkiej trwogi
Włos się jeży — drgają nogi,
Czy to pies? czy to bies?

Tak dalej ciągnie się ballada, pies bieży ciągle przez kilka zwrotek, nareszcie sobie pobiegł, a poeci kończą:

Oni stali i myśleli,
Lecz się nic nie dowiedzieli:
Czy to pies? czy to bies?

Nie spodziewałem się, żeby Odyniec umieścił tę balladę jako epilog do swoich poezyi.

W tych dniach wychodzi z pod pras panien Pinard tom czwarty Mickiewicza, zawierający trzecią część D z i a d ó w. — Jeszcze jej nie znam, ale Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religię na plac wyprowadza, uniewinnia papieża, nawet bullę, słowem, że mi się, jako obecnie żyjący człowiek, nie podoba. Nie mówię tego jednak nikomu, bo ja teraz z profesyi chwalę wszystkich poetów i poezye. Odyniec z żoną w Dreźnie siedzi i ta go namawia do powrotu; zdaje się, że ulegnie Armidzie. Jest to panna niegdyś Tańska, i pisze jak słychać opisanie Paryża dla dzieci: może to być bardzo ładne. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda, literatura kobieca, garbata trochę, literatura kłótliwa, trochę paszkwilowa, a została się tylko u siebie literatura klasyczna czyli niema.

Jeżelibyś mogła, kochana mamo, to mi przez jadącą siostrę Michała przyślij dzieła Jana Kochanowskiego, które masz w twojej szafce; a jeżeli można, to dostańcie także przekładu Jerozolimy przez Piotra, bo mi tu te dwa dzieła dla języka bardzo są potrzebne: teraz albowiem nie mam jak tylko Trembeckiego, i uważam, że mój styl twar-

dzieje nieznacznie. Pamiętam ja dobrze, że tego miesiąca kochanej mamy imieniny; oby ci, kochana mamo, od tego dnia lepiej było na świecie, żeby się już Bóg znudził zabierać od ciebie wszystkich tych, których kochasz.

Dzień mamy imienin wszyscy obchodzić będziemy; wielki będzie obiad, sam cicho kieliszek jeden za ciebie, mamo, wypiję. Może w przyszłe imieniny lepiej nam będzie: kto wie, czy kuzynka nie wyzdrowieje...

Zdaje się, że będzie wojna, i dlatego proszę ciebie, kochana mamo, o cokolwiek pieniędzy po Nowym Roku; co możesz, mamo kochana, byle tylko tobie na niczem nie zbywało, ja się będę starał do wszystkiego zastosować. Mów szczerze ze mną, kochana matko, zaklinam ciebie, bo ja sobie tu Bóg wie co wystawiam.

Teofilu kochany, nie posłałem ci kwitu, bo tego uczynić nie mogę bez pójścia tam, gdzie pójść nie jestem w stanie; bądź jednak pewny, że na przypadek śmierci urządzę wszystko tak, abyś przed stryjem rachunku zdawać nie potrzebował.

A ty, mamo, nie przerażaj się tem wyrażeniem, bo ci ręczę, że nigdy tak zdrów nie byłem jak teraz. Zdrów jestem i czasem mam dnie wesołe; wtenczas idę do panienek wieczór przegawędzić, i niestworzone o sobie a najczęściej kłamane zręcznie prawię anegdoty; lubią mię wtenczas i zdaje mi się, że wszystkiemu wierzą. Doktor Hłuszniewicz prosił mamy, abyś mi kilka słów o stanie zdrowia swojego napisała; miło mi było, że pamięta o was. Brat Olędzkiej także mówił przede mną z wdzięcznością o dobru, jakie mama jej biednej wyrządziłaś.

Kochana mamo! Gdyby ludzie o wszystkiem nie zapominali, ty, matko, i mój ojciec zostawilibyście mi na świecie wiele przyjaciół; ja nie powinienem mieć syna, bo nawet dla siebie jednego przyjaciela znaleść nie mogę, cóżbym mu więc zostawił? Tej zimy, jeżeli

będę w dobrym humorze, zamierzam sobie bywać na balach teatralnych, są to bardzo przyjemne zabawy: na scenie wyrównanej z parterem uwija się mnóstwo kobiet zamaskowanych, ale najczęściej tylko do połowy. Bale takie zaczynają się o 12-tej godzinie i trwają aż do białego dnia; jest to jedyna zabawka dla cudzoziemców, niekosztowna i szalona. Mężczyźni bez masek bywają. Dzisiaj zabezpieczyłem się od zimna: kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał, a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moją uwagę. Zdaje się, że nam zima tęga zagraża, bo już śnieg mieliśmy, gdy przeszłego roku raz tylko dachy pobielały. Odebrałem znów list od Zawierskiego, czy nie macie o jego matce wiadomości? Henryczek zdrów. Człowiek z kutasami u butów, jak entreprener w kłopotach, traci szacunek u ludzi, bo się ciągle intrygą zajmuje, i w tutejszej babilońskiej wieży pomieszał języki. Smutno jest patrzeć na to, co się tu dzieje, i chciałbym się wyrwać jaknajprędzej z Paryża i jechać na południe. De Lamartine popłynął z żoną i z dziećmi do Palestyny; będzie tam znowu pisał harmonie religijne; nie znajdę go we Florencyi, mała szkoda. Rambell, poeta angielski, jest prezesem towarzystwa w Londynie, zajmującego się nami. Wychodzą w Albionie dwa pisma peryodyczne, naszej sprawie poświęcone, i Anglicy zaczynają się przekonywać, że my po niemiecku nie gadamy, dotąd bowiem tak o nas sądzili. W Paryżu mamy dwie gazetki polskie dosyć dobre, kilku z naszych pisze dzieła po francusku, dziwna się utworzy literatura.

Przyślijcie mi o Jasiu wiadomości, gdzie się urodził i kiedy, słowem krótki rys biograficzny. Czy odebraliście list z nagrobkiem dla niego? Nagrobek ten bardzo się tutaj wielom podobał. Przybyło tu znowu kilku moich szkolnych kolegów, a każdy goły jak bizun, aż smutno patrzeć.

Adieu, moi mili! Adieu, kochana mamo! Hersylko, stęskniłem się już, nie widząc tak dawno twego obosiecznego charakteru, czyli raczej pisma, bo charakter twój słodki nie zasługuje na takie nazwanie... Fortunatowi podziękujcie za pamięć. Panu Pawłowi moje ukłony, może już zapomniał o mnie; posłałem mu był z napisem egzemplarz, czy go odebrał? Do biblioteki nie posłałem, bo kto wie, gdzieby z nią zajechał. Sienkiewicz blizko was będzie. Błotnicki niańką został, bo starszy jego dyscypuł na pensyi, już się wyrwał z pod Jackowej dyscypliny. Adieu, całuję was wszystkich, babuni i dziadunia nóżki ściskam. Winszuję pannie Sabinie zmienionego szczęśliwie stanu. Sierotka wasza niech będzie grzeczna i niech na mnie czeka z zamążpójściem. Wszak ja za lat 14 nie będę bardzo stary.

Wasz *Julek.*

19.

Paryż, dnia 8 grudnia 1832.

Kochana Mamo! Pobyt mój w stolicy nachyla się już do końca: za dni kilkanaście wyjeżdżam do Genewy; potrzeba zmusza mię do wyjazdu, więc i dobrze, że mię przynajmniej w poetyczniejsze kniny posyła. Wiele miałbym pisać o tym miesiącu, ae nie wiem jakiemi słowy. Więc zacznę od podziękowania za list ostatni, list z podarunkiem miłym mi neskończenie. Wierzę słowom listu choć znając mamy serce, łatwo byłoby wątpić. Matko moja! wierz wdzięczności syna; jakżeby on po tylu łaskach śmiał ci obłudę za wdzięczność przysyłać? Porównywając los mój z innych losem, nie raz mówię sobie, że ty, matko, jesteś najlepszą z matek! Kiedyż ciebie, matko, uścisnę, kiedyż rzucę się przed tobą na kolana, i powiem ci, żeś

była moim bogiem, aniołem stróżem życia mojego! Miałem w tym miesiącu kilka zdarzeń pochlebiających mojej dumie, więc doznałem kilka chwil szczęścia; wyznajcie, że to nędzne życie, co w tem szczęścia szuka! Jest tu zakon święty, który chciał odlać patynę złotą, świadczącą o męce Chrystusa Pana, i znalazł się w smutnej okoliczności, bo ubogi, jak wszystkie księże zakony, co na ubóstwo przysięgają, nie miał na to funduszów. Chciano go oszukać, stanąłem w obronie, dostałem dlań pieniędzy, i ten co napisał: „Regina pacis“ w kościele, nikomu innemu jak tylko mnie zgodził się pożyczyć 500 franków. Wspomógłem księży, a zysk z odpustów dług zapłaci. Wy, którzy mnie znacie religijnym, dziwić się nie będziecie, że księży pogardzonych we Francyi wspomogłem. Zyskałem przez to opinię poczciwego człowieka. Z drugiej strony nie powiodło mi się w romansach, bo pogodziwszy się zupełnie z moją młodą dziewczynką, obiecałem że pewnej niedzieli przyjdę do kościoła, do którego ona sama ze służącą chodzi. W niedzielę więc bardzo rano wchodzę do jednego z dalekich kościołów, widzę z daleka jej ubiór, postać, zbliżam się, ona się odwraca, i poznaję w niej starszą siostrę; musiała zrozumieć, o co rzecz chodzi, gdyż pośród rozmowy głośno zapytałem niegdyś mej belli, czy chodzi do kościoła, a ta mi z najskromniejszą miną powiedziała do którego i o której godzinie. Widzę więc, że starszej siostrze próżno oczy mydlić, nie przekonałem jej nawet, mówiąc, że od pewnego czasu zwiedzam kościoły, aby się przypatrzyć obrazom. W dzień imienin mamy był wielki wieczór, na którym była porządna kolejna rozmowa, jak za zwyczaj pół po polsku, pół po francusku, ułamkami dawnych czasów. Pan Adam, właśnie gdy kolej przyszła na niego, zachorował i wyszedł, więc koledzy do mnie w prośby; próżno szukałem kogo, aby mnie zastąpił. Lelum po lelum nie chciał, inni improwizować po francusku nie mogli,

musiałem więc się podjąć, i wszyscy kontenci byli z mojej improwizowanej przemowy, a stary Francuz (Lafayette), stojący słuchał mię i równie ex promptu odpowiedział; było wiele dam przytomnych, i kilka ładnych. Była to piękna chwila w mojem życiu, jest to jeden skarb, przydany do moich wspomnień.

Wracam teraz właśnie z teatru le Gymnase dramatique[1]) i siadam do pisania dalej listu. Przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd, będę ciągle zwiedzał teatra, bo mi się zdaje, że do Paryża nie prędko a może nigdy nie powrócę, bo tu przykro, drogo, niespokojnie: między nami ciągle zwady, a w tych zwadach wykrywają się tak puste głowy, że aż to obraża dumę narodową. A potem, będąc w Genewie, między Paryżem i Florencyą, któżby do Paryża wracał? Pisałem już, że interes zmusza mię do wyjazdu, ale zapewne z własnej woli w Genewie zostanę na mieszkanie, i wiele sobie obiecuję przyjemności, a listy moje może ciekawsze będą, jak wam doniosę o mieszkaniu Rousseau'a, Voltaire'a, a nadewszystko jako pielgrzymkę na mamy intencyę zwiedzę Coppet, gdzie pani Stael mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad jeziorem Genewskiem, w jakim wiejskim domku, i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowemi; bo ja stworzony jestem do życia mniszego, spokojnego, i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność, ale nudną, przerywaną hukiem powozów, rozmową nudnych znajomych, więc mię nie obwiniaj, matko, że cichszej samotności szukać będę. Jak mię jaka gosposia zacznie karmić nabiałem, to metuzalemowych lat dożyję; tu zaś zatrważa mię widok mojego przyjaciela (o którego pojedynku pisałem). Suchoty, od których się na czas pobytu w Wersalu uwolnił, wróciły znów z okropną mocą, skoro w pary-

[1]) Czyt. Żimnaz' dramatik'.

skich zamknął się murach. Najczęściej przy nim przepędzam godziny; smutny to widok młodego człowieka na łożu boleści, z którego się ruszyć nie może, bez familii, jak Łazarz wyniszczony. Zapadł obłożnie pozawczoraj, i kiedy sługa z hotelu musiał go nieść z kanapy na łóżko, płakał, i sługa hotelu płakał. Wieczorem weszła do niego cicho stara hotelu kucharka, która widząc, że chory nie brał przez cały dzień nic z kuchni, sądząc, że mu nagle zabrakło pieniędzy, i że wstydząc się nędzy, nic nie jadł, przysunęła się cicho do łóżka i powiedziała: „Pan może potrzebujesz czego? Niech pan mi tylko pozwoli, ja mu przyniosę dobrego rosołu, tak, że tego nikt widzieć nie będzie." Chory z uśmiechem podziękował starej kobiecie; ja na jego miejscu dziękowałbym ze łzami. A potem mówiła mu kucharka, ciągle o jego nędzy przekonana: „Niech pan pozwoli, ja się przy nim położę na kanapie i noc przepędzę, ale to bez żadnego interesu", i kilka razy powtórzyła: „bez żadnego interesu." Boże mój, czyż w kuchni szukać dobrych ludzi? Ale ty, matko, nie myśl, żeby on cierpiał niedostatek; ma pieniądze, a gdyby nie miał... Lecz on nie w niedostatku; ma także matkę. Zły jestem na siebie, żem o nim mamie napisał, ale cóż robić, piszę o tem, o czem myślę, i mimowolnie on mi się nasunął na oczy. Teraz, matko, na pamięć ojca przysięgam ci, że nigdy tak zdrów nie byłem jak teraz, a znajomi, co mię niegdyś widzieli w Wrocławiu bladego, bo mię wtenczas niespokojność dręczyła, dziwią się, że tak dobrze wyglądam. Nawet przy wzmocnieniu sił, uczucia moje niegdyś drżące i rozkołysane, teraz tak stwardziały, że mi już nadto zimne dają życie; nie cieszy mię to, ale mamę ucieszyć powinno.

Właśnie w tych dniach przyjechał znów z Anglii do Paryża mój przyjaciel Anglik, śmieszna dosyć figura, z czerwonymi włosami; ręce jego stężały jak żelazo od boksowania się, i cierpi na tem, że ze mną

nie może się dalej w tej szlachetnej sztuce egzercytować. Nic nie umie po francusku, wszystkiemu zaś, co nosi polerowaną świata cywilizowanego postać, dziwi się jak dziecko i co niedziela chodzi za miasto patrzeć na walkę zwierząt, na którą sam tylko najpodlejszy lud paryski patrzeć może, tak jest przerażająca. Od dawna w Paryżu zapatrywałem się na sztychowane dwie ładne Angielki, które po oknach sklepów wystawione, sprzedają się jako obraz imaginacyi malarza, i noszą podpis: „kwiaty wiosenne.“ Czy uwierzycie, że teraz od Polaków z Anglii przybyłych dowiedziałem się, że ładniejsza z tych panien jest siostrą mego przyjaciela z rudymi włosami, że ta siostra jest piękniejszą od obrazu i ma blond włosy, czemu bym nie uwierzył łatwo, patrząc na brata? Widzisz, mamo, że gdybym ja miał siostrę, mogłaby być ładną, doskonałą pięknością. Chcesz, mamo, żebym ci przysłał kopię listu Ludwisi; długiego by tu miejsca potrzebował ten list, a nic w nim nie ma szczególnego. Ciekawy jestem, czy mi drugi raz odpisze, i czy mi przyśle miniaturę swoją, o którą ją prosiłem w ostatnim liście. Ile z listu sądzić mogę, nie gniewa się za pamięć moją, owszem gniewa się za mało pamięci o niej w książkach; oto są słowa listu:

„Miło mi było w mojej cichej samotności przebiegać te odcienie myśli i uczuć znajomej mi duszy. W tych tworach poetę tylko widać, chował się człowiek, nieraz się jednak człowiek zdradził, a ja go poznałam. Żadnej już nie czytam książki, ale poezye pana, jak przyjaciela dawnego, nie jak książki przyjęłam, i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć muszę na ziemi.“ Dając potem zdanie o poezyach, krytykuje wykrzyknik: Oh! w tragedyach. Najładniejszy ustęp jej listu jest ten, gdy podczas czytania moich poezyi przez Antosię, pyta się Julki, czy pamięta Julka Słowackiego? Spodziewam się, że jak wydrukuję „Lambro“, to mię nie będzie obwiniać, ażebym się krył z mo-

jemi uczuciami; myślę tylko nad tem, czy trudno go będzie przesłać. Już więcej miesiąca, jak wyprawiłem do Hausnera 63 egzemplarzy moich książek; chciałbym, żeby doszły przed kontraktami kijowskimi, to może znajdziecie sposób przesłania ich tam. O kuzynki naszej zdrowiu nic pocieszającego donieść nie mogę; smutno! Mamy tu niektóre zabijające recepty, przez naszych wydawane doktorów, i okropność zdejmuje, widząc, że już trucizn używają.

Jeśli u was panuje choroba, dla której każą klimat doktorowie odmieniać, to niech Teofil wcześnie o sobie zaradzi; może to jest marzenie, ale zdaje się, że on będzie skłonny do tej choroby. Czy odebraliście nagrobki, które posłałem? Henryk zdrów, widziałem go dzisiaj w teatrze; podoba mu się Paryż, ale coś od jakiegoś czasu rzadko się ze mną widuje, więc o jego interesach nic nie wiem. Wiem, że starał się wejść do szkoły kupieckiej, ale czy mu się udało, nie wiem. List ten zastanie zapewne u was Mianowskiego, więc przypominam się jego pamięci; inne to były czasy, gdyśmy razem na perekładnych w nocy z Jaszun wracali, dobrze nam wtenczas było, dobrze nam było w Jaszczunach. Kiedy o tem wspominam, zdaje mi się, żem już stary; prawda, że już wtenczas miałem siebie za słusznego człowieka, a inni mię za dziecko uważali. Staraj się, kochana mamo, od Lapierre mój tłumok odpytać, bo mi żal listów Olesi, w ostatnim roku pobytu mego w Wilnie do mnie pisanych, a które w tym tłumoku zostawiłem; jest tam nieco książek, pościel i toaleta karlsbadzka, to wszystko chciałbym kiedyś w moim pokoju widzieć w tym domku, który Teofil budować zamierza i gdzie dla mnie jak dla starego kawalera dwa pokoiki od wschodu ma urządzić.

Spotkała mnie smutna awantura. Jeden z tutejszych malarzy zrobił śmierć Ż m i i, ale tak mu się nie udała, że wszyscy z szyderskim uśmiechem donoszą mi o tym obrazie, a ja odpowiadam, że tylko dobre dzieła

parodyowane być mogą. Wynagradzając mi to, jeden z najsławniejszych sztycharzy w Europie, Oleszczyński, dedykował mi sztych piękny, wystawiający Chmielnickiego; przyślę wam go kiedyś.

Adieu! matko najdroższa, do zobaczenia się. Wszak jeżeli się mamy kiedyś zobaczyć, to każda chwila przybliża nas do siebie. Ale tak nie jest, bo ja z każdym dniem widzę coraz wyraźniej wasze rysy, więc z każdym dniem muszę być was bliżej. Adieu! Babuni i dziadunia ręce całuję! Teofilu drogi! Chciałbym, żeby tobie dobrze było! Adieu, Hersylko! Adieu, mamo kochana.

Wasz *Julek.*

20.

Genewa, dnia 30 grudnia 1832.

Kochana Mamo! Nie masz smutniejszej dla mnie chwili jak ta, w której przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5-tej wieczór przyjechałem do Genewy, wniosłem się do hotelu „Pod wielkim orłem", a nie mogąc w nocy włóczyć się po nieznanem mieście, kazałem sobie do pokoiku przynieść herbaty i przy ogniu kominka marzę i piszę list do kochanej mamy.

Nic jeszcze o Genewie powiedzieć nie mogę, ale zamierzam sobie długo bajać o moim pobycie w dniach ostatnich w Paryżu i o mojej podróży. Jaką mi przykrość robi ten wiatr, co szumi i wyje po jeziorze genewskiem! Oto powiem ci, kochana mamo, że mię kilka osób w Paryżu żałowało: Kora płakaał i z drugiego pokoju słychać było łkanie, a kiedy weszła do salonu, czerwone tak miała oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przede mną, że ma mocny katar mózgowy, nad czem bardzo ubolewałem.

Dwoma dniami przed wyjazdem, Michał rano wchodzi do mnie i w pośród rozmowy wspomina coś o wróżce sławnej w Paryżu, pannie Lenormand;

musisz ją mama znać z reputacyi, bo ona niegdyś cesarzowi wróżyła. Ułożyliśmy natychmiast projekt iść do panny Lenormand. Szczęściem, wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała, dom zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: „Librairie de Mlle Lenormand“ [1]). Wchodzimy do sieni, wita nas stara duenna, pytając, czy przyszliśmy na konsultacyę. Odpowiadamy, że tak, i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umalowanego, w którym całe ściany okryte obrazami najrozmaitszych cudów przyrody, a wśród tych malowideł wisi ogromny portret samej wróżki w aksamitnej czarnej sukni, ze złotą w dole frenzlą i w zamyślonej postaci odmalowany. Kilka osób, przybyłych przed nami, czekało na kabałę, w drugim pokoju słychać było ciągłe mruczenie czarownicy. Wpuściła nas nareszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę. Jest to baba stara, ma ze 60 lat, otyła, nizka, z garbem na plecach, ubrana w czarnej sukni, na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier aksamitny ogromny czarny beret, jak miękka czapka; rysy twarzy niezupełnie polskie, trochę ciocię Pałuską przypomina. Siadła na krześle z poręczami, przy biurku z wytartem suknem, na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitej wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. Zapytana odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite: od 6-ciu aż do 60 franków. Prosiliśmy o 6-cio frankową przyszłość. A więc przyznacie sami, że ludziom, co po 6 franków płacą za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć. Zadała mi pierwszemu następujące pytania: W którym miesiącu rodziłem się? w Auguście; którego dnia? 23-go; jaka pierwsza litera imienia? J; pierwsza litera kraju? P; jaki kolor najwięcej lubię w ubiorze? czarny; jakie zwierzę najlepiej lubię? psa; jakiego zwierzęcia najbardziej nie cierpię? pająka; jaki kwiat

[1]) Czyt. Librerí de Mad'mlazel' Lenorman' — Księgarnia panny L.

najbardziej lubię? różę. Na tem zakończyła i wziąwszy talię kart zwyczajnych, ułożyła z nich długi szereg, dwie karty zawsze odrzucając. Potem wzięła ogromne karty z dziwnymi wizerunkami, i kazała mi z nich wybrać jedenaście lewą ręką, inne zaś odrzuciła. Potem z trzeciej, równie ogromnej talii, kazała mi wybrać 23 kart, z wybranych ułożyła ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć, jak ekscytarz jednym głosem i niezmiernie prędko. Wróżby zupełnie pospolite: między innemi powiedziała, że będę się dwa razy kochać; że rozpoczynam podróż, której mi rozpoczynać nie radzi, aż do odebrania pewnych wiadomości; że dopiero za dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie wiadomości; że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował; że między 27 i 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele zajdzie dla mnie wypadków. Oto są wszystkie prawie przepowiednie, ostatnia tylko dosyć interesująca. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż, a ponieważ jej mówił, że kocha konia, wróżyła mu, że się na polu walki odznaczy. Tumani baba i niczem zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacyentów.

Po tak przepędzonej godzinie, wyszliśmy z Michałem do ogrodu Luxembourg [1]). Gadaliśmy długo, drwiąc z siebie nawzajem, a potem mimowolnie wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: „Wiesz, szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków, możeby nam co więcej powiedziała.“ Odpowiedziałem śmiechem na te jego słowa; malowały one doskonale łatwowierność człowieka, zdradzały go aż do głębi serca. W wilię mego odjazdu jeden z moich znajomych żegnał mię obiadem, który nie był ani smutny, ani wesoły.

Dnia 26-go grudnia wieczorem, z 5 przyjaciołmi jedliśmy razem obiad w traktyerni przy dyliżansach

[1]) Czyt. Liuksanbur.

położonym; wybiła 7-ma godzina, wsiadłem do dyliżansu; przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mię czekało, stali wokoło, gadając ze mną przez okno karety... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika, który się wywlókł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu; widzę go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojej, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę. Ruszył dyliżans, to ogromne zwierzę, nadziane różnonarodowym tłumem, i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potem przez Pont Neuf,[1]) a potem przez ulice, w których nigdy nie byłem, choć blizko półtora roku siedziałem w Paryżu, i tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy, nie mogąc niczem rozerwać mojej uwagi, przebiegłem myślą mój pobyt w tem mieście, i nic nie znalazłem przyjemnego, żadnego wspomnienia, oprócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezyi.

Powiem ci tu jeszcze, moja mamo, że mię w jednem zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażebym został, ale już było za późno: przygotowania do podróży były porobione. Teraz w Genewie trzeba sobie ułożyć sposób nowego życia; ale póty spokojny nie będę, póki w Genewie od kochanej mamy listu nie otrzymam, bo list twój ostatni przerażał mię, on mi zatruł wszystkie myśli, wszystkie marzenia w mojej podróży; tyś znów chora, moja kochana mamo, leżysz w łóżku... teraz zima... Boże, zlituj się nade mną.

Żądanie mamy o przysłanie kanwy nie może być spełnione jak przez jadącego w tamte strony, bo kanwy są kontrabandą, zatrzymanoby je więc na granicy jak towar. Wyjazd Michała bardzo niepewny. Cierpię

[1]) Czyt. Pą-Nef — most w Paryżu.

na tem, że żadnego żądania mamy uskutecznić nie mogę. Nie posądzajcie mnie jednak o niewdzięczność.

Ale wracam do opisu mojej podróży: przejeżdżałem przez ładną Francyę, ładną nawet w zimie, bo pola choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. — W dyliżansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą; zacząłem ich naśladować i często po całej mili chodziłem. Co dziwniejsza jeszcze, że w towarzystwie naszem znajdował się jeden sławny szybkobiegacz, który się w Paryżu popisywał i któremu dotrzymywałem kroku. Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszemi wędrówkami, i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jednę górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą, murawa była cała szronem obsuta. Futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedzałem z daleka dyliżans i stałem sam jeden, a widząc na około skały, waszemi imionami próbowałem ich echa. Jechałem przez Tonnèrre[1]), Dole[2]), Dijon[3]), wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie 5-tej z rana przyjechaliśmy do St. Laurent[4]), położonego na górze Jura, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi tej góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie budy się zabrało, bo było nas już tylko czterech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem Szwajcarem w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzech spakowano rzeczy, i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz: śnieg dawno nie widziany, tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. »Co za rozkosz jechać na południe sankami! O siódmej za-

[1]) Czyt. Toner.
[2]) Dole czyt. Dol.
[3]) Czyt. Dizą.
[4]) St. Laurent czyt. Sę-Loran.

czynało się wyjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou[1]), która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tem ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi jak srebrna kortyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarzły obraz. W oberży samotnej na górze Jura[2]) jedliśmy obiad, a po obiedzie pokrzepieni zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dosyć wam powiedzieć, że prędkim kłusem jechaliśmy z tej góry godzinę, i porzuciwszy śnieg na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak, że spojrzawszy na otaczający nas wokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wmówić w siebie, aby o tej porze na szczycie góry słońce świeciło. Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Jechałem koło Ferney[3]), widziałem z daleka zamek Woltera i kościółek, który Bogu postawił. Ferney mniej na mnie zrobiło wrażenia, niż sama droga. Przez dwanaście godzin widząc śniegi w koło, o was marzyłem, marzyłem o dawnem dzieciństwie, o dniach, przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wysłowić nie potrafię. O półtorej mili od Genewy, znów siedliśmy w dyliżans na kołach, a o 5-tej wieczorem wjechaliśmy do miasta. Teraz patrzcie na początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w tej mieścinie przepędziłem.

Dnia 5-go stycznia 1833. Czekałem z wysłaniem tego listu, póki pewnego nie obiorę sobie mieszkania, abym wam adres mój mógł napisać. Przyjechawszy do Genewy, na drugi dzień znalazłem tu kilku z moich

---

[1]) Mijou czyt. Miżu.
[2]) Czyt. Żjura.
[3]) Ferney czyt. Ferne.

znajomych, którzy mi obiecali dopomódz w wynalezieniu mieszkania. Genewa jest niezmiernie droga, i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy, mieszkają w tak nazwanych pensyonach. Pochodziwszy trochę, znalazłem bardzo ładny pensyon w wiejskim domu, o kilkadziesiąt kroków od miasta położony; kosztuje mię na miesąc 130 franków bez opału. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinię. Gospodyni tego pensyonu nazywa się Mme Pattey. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego lub Kościelskiego, powiedzcie im, że zaraz na wstępie zapytała mię panna Pattey, czy ich znam, i odtąd ciągle mi o nich mówi. Oni kiedyś mieszkali u tej samej pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę, ale na ten czas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

Muszę wam opisać pensyon genewski. A naprzód d o m, w którym się mieści, a potem gospodarstwa moich portrety skreślę, potem opiszę mój pokój, a potem moich towarzyszy. Dom leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiej stronie Genewy. Bo Genewa mniejsza jest prawie od Kamieńca, tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest mała, kiedy pomimo największej drogości mieszkań, liczy tylko do 24.000 mieszkańców. Otóż dom, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie, za miastem, wysoki na 3 piętra, szary, z zielonemi okienicami. W ogrodzie najwięcej jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów z okien nie widać.

Pani Pattey jest to stara kobieta przyjemnej twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuwam, że gdybym kiedy zachorował, w jej domu nie byłbym jak obcy. Córka jej , panna Eglantyna Pattey wszystkiem w domu się trudni. Jest to panna, mająca około lat 30;

ładną być dawniej musiała, teraz pokazują się w niej wady starej panny. Z tem wszystkiem bardzo przyjemna w konwersacyi i dobrze gada o wszystkich znajomych. Czule wspomina Grocholskiego i Kościelskiego, z uśmiechem mówi o Ilkiewiczu, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakeśmy go widzieli, bo wystawiła mi go panna Pattey jako nadzwyczaj wesołego i miłego towarzysza.

Przybywszy na pensyon, zastałem w nim familię francuską, starego pana z żoną i synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali, jeden mi tylko więc został towarzysz. Jest to Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonaryuszów powiększa się nieskończenie w lecie. Wtenczas mnóstwo przyjeżdża Anglików, często ładne przybywają Angielki, a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt, bawią się, wieczorami pływają po jeziorze i późno przy księżycu wracają do domu. Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski, z obiciem w kraty zielono-karmazynowe, biurko czeczotkowe, ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak siędę, to mię nie widać, i krzesła i stolik i piec okrągły; okna jak zwyczajnie w Szwajcaryi z małemi szybami, a przed oknami dwa świerki, sosna, dąb stary, wiele krzewów, murawę teraz nawet zieloną i kląb z róż. Okna moje są obrócone na wschód, będę więc miał w lecie słońce, i w ładny poranek otworzę sobie okna, i będę miał zapach róż, zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz mamo, jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemna ta wiejska cisza, która mnie wokoło otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają, jakobym był za pieniądze, i to mi bardzo przyjemne.

W pensyonie tym wstają wszyscy o 9-tej rano, o 10-tej schodzą się do wielkiej sali na śniadanie, złożone z jajek miękko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie dwa napitki przyprawiają tu doskonale, ale kawa w mieście jest niegodziwa. Potem rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściej do miasta do salonu l e k t u r y, odwiedzam moich znajomych, znów o 4-tej schodzimy się na obiad. Ile razy jem obiad smaczno zgotowany, dziękuję Bogu, żem się od paryskich traktyerów wyzwolił, i czuję, że mi tu daleko lepiej na zdrowiu. Po obiedzie często kto z dam genewskich do pani Pattey przychodzi z wizytą, i tam pozawczoraj wieczór przepędziłem na rozmowie z panną Liną: jest to ładna z czarnemi oczyma Szwajcarka, i we czwartek mam pójść do jej rodziców na wieczór. O 9-tej godzinie pijemy herbatę i potem przy kominku ciągnie się rozmowa, po której każdy do swego pokoju odchodzi. Wszelka wolność wyjścia prędkiego lub bawienia się z damami w salonie zostawiona jest mieszkającym w tym domu.

Otóż masz, kochana mamo, wszystkie detale mojego pobytu w Genewie, czyli raczej sposobu, jakim tu przebywać będę; starać się muszę, aby mi tu jak najmniej smutno było; spodziewam się wejść do kilku polskich domów, a jednak uczynię to z przykrością, ale się trzeba przezwyciężyć.

Pytasz się mię, kochana mamo, wiele mi potrzeba po Nowym Roku; mówię otwarcie: abym był na cały rok spokojny, p o t r z e b a m i k o ł o 450 rubli; ale jeżeli mi je mama zdołasz przysłać teraz, to upraszam, abyś mi za 60 egzemplarzy poezyi odebranych pieniędzy nie odsyłała, bo mi już będą niepotrzebne. Odebrawszy sumę, o którą proszę, będę mógł utrzymać się przez rok cały i nadto wydrukuję L a m b r a, — bo czuję konieczną potrzebę nowego ukazania się na literackim świecie.

O kochani moi, smutno mi, smutno czasem i często, bo się już przerabiam na obywatela świata: już się ani do miejsc, ani do osób, z któremi żyję, nie przywiązuję tak silnie jak w dzieciństwie, i to jest jedną z wad, jakiej nabywa serce tułacza.

Starajcie mi się cokolwiek donieść o Grocholskim i Kościelskim, a jeżeli możecie, to proście którego, aby sami do panny Pattey napisali, bo tu po nich czułe zostało wspomnienie; spodziewam się, że i ja na podobne zasłużę. Piszcie jak najprędzej do mnie, upraszam was o to, adresujcie list tak: A Monsieur... chez Mme Pattey, campagne de Lonthoux aux Paquis, près Genève, en Suisse[1]). — Słowa podkreślone są koniecznie potrzebne, albowiem Paquis nazywa się wioska, w której mieszkam; zamiast nazwiska damy i Campagne, można położyć numer 10, ale lepiej do damy adresować, zawsze jednak kładąc moje nazwisko. Kochana mamo! O jak by ja chciał przez jakiego gołębia list mieć prędko, abym się o twojem zdrowiu dowiedział! Gdyby ty zdrowa była, to by mi może i dosyć miło przeszło lato między górami szwajcarskimi. Teofilu kochany! Myślę często o tobie, patrząc na śliczne góry, na cudowne widoki, które mnie otaczają; gdybyś był kiedyś ze mną posiedział, możebyśmy oba teraz u pani Pattey biedę ciągnęli, ale i dobrze, że się tak stało, jak się stało; pomimo niezawisłości życia, jest tu wiele chwil nieprzyjemnych, a najwięcej dręczy niespokojność o los oddalonych osób. Kochana mamo! Bądź ty zdrowa. Dziś właśnie musicie myśleć trochę o mnie, łamiąc opłatek? Jak was mało przy stole! Cóż robić? z babunią powtarzam: Niech się dzieje wola Boża! A od mamy przyuczyłem się przysłowia: Jakoś to będzie,

---

[1]) Czyt. A M'sie... sze Madam Patte, kanpań' de Mątu o Paki pre Żenew' an Swiss — Do Pana... u pani P. dom w P. przy G. w S.

powinno być kiedyś dobrze. Adieu! Adieu! Adieu! Piszę do Hausnera w Brodach, posyłając mu także mój adres. Kłaniajcie się wszystkim moim znajomym — i bądźcie zdrowi.

Wasz *Julek.*

21.

Genewa, dnia 10 lutego 1833.

Odebrałem, najukochańsza matko, w Genewie twój list, do mnie pisany do Paryża, a przy liście przysłane mi podarunki. Kochana mamo! już to setny raz dzięki tobie.

Jestem już od 40 dni w Genewie, pisałem do was zaraz po moim tu przyjeździe, list zaś ten, który teraz piszę, opóźniony został o dni kilka, albowiem w tych dniach ostatnich pracowałem nad moim Lambrem, — i wczoraj posłałem go do druku. Smutno mi, żem się z nim rozłączył, smutno mi, kiedy myślę, że ty go, matko, nieprędko czytać będziesz. Smutno mi, że tak jak ludzie zupełnie obcy, będziesz go musiała od księgarza sprowadzić. Mam teraz bardzo dobrego księgarza. Sławny Korn w Wrocławiu napisał do mnie list grzeczny, prosząc o 100 egzemplarzy moich poezyi i po ich odebraniu ma mi natychmiast wypłatę zaasygnować. Posłałem mu więc żądaną ilość, i po wydaniu „Lambra“ poślę mu także ze 200 egzemplarzy.

Co do mojego teraźniejszego położenia, bardzo miłe życie prowadzę, mieszkam na wsi, jak już wam pisałem, u ludzi, którzy kazali mi mamie napisać, że mię bardzo kochają i starają się to samo dla mnie uczynić, co chcą, aby dla ich oddalonego syna czyniono. Stara dama, pani Pattey, ciągle mię się pyta o moje chęci, gusta, we wszystkiem mi chce dogodzić, nad zdrowiem mojem czuwa, słowem, mogę was zaręczyć, że bardzo

godna i poczciwa osoba. Jej córka, panna Eglantyna, która ma około lat 30, bardzo mię także lubi, stara się mię bawić, w kilku domach mię zapoznała, a w domach tych przyjmują mię ze znaczną atencyą i rozróżniają od innych. Winien jestem pannie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na kasyno i bywam na niem często dosyć. Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki, jak śnieg, mieszają się w kołach walca z zamyślonemi Angielkami, których tu jest najwięcej. Tańcują tu tylko kontradanse, walce i galopy.

Zaproszony byłem także na kilka balów, przez nieznajome dawanych osoby; dziwny to wcale zwyczaj. Byłem na jednym z nich, i z trudnością wyśledziłem przeczuciem prawie gospodynię, której się trzeba było ukłonić. Na takich balach tańcują mazura i to mi największą sprawiło przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi: z rana po śniadaniu wychodzę z panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł, niebo błękitne, a na horyzoncie wysoko wznosi się Mont Blanc śnieżny, lekko jak chmura skreślony, czasem wiankiem białej chmury okryty. Wyrysuję wam kiedyś i przyślę widok domu, w którym mieszkam, wzięty z ogrodu. Chodząc tak z rana, często pannie Egl. opowiadam różne wypadki mojego życia, i zbieramy fiołki, które się już pokazują. Kilka dni temu pani Pattey umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła, i kilka było dam ładnych. Bawiłem towarzystwo, jak mogłem, nauczyłem mazura, z trudnością przypomniałem sobie z dziesiątek figur, i bardzo były panny kontente. Potem ustawiłem wszystkie do Angleza i znów im różne figle pokazywałem. Kręciłem wszystkich w długiego gęsiora, i tak się rozhasałem, żem im wszystkie tańce pokazał, aż do kozaka.

W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek: wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy, i napełniały puste serce. Miałem jeszcze jedną wielką przyjemność. Jednego wieczora przyszła do nas pani Morin[1]). Jest to żona jednego z pierwszych doktorów; bywam u nich, ona sama Włoszka, trochę sawantka, ale w miarę; ma ładną córkę, która się nazywa Lina, i sama śpiewa prześlicznie metodą włoską.

Otóż pani Morin przyszła do nas wieczorem, i wśród konwersacyi powiedziała mi z uśmiechem: „Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuskich czytał długi i pochlebny artykuł o poezyach Juliusza Słowackiego. Czy pan znasz tego poetę?“ Udałem, że mię ten artykuł mało obchodzi, ale nazajutrz z bijącem sercem pobiegłem do Société de lecture[2]), gdzie znajdują się wszystkie dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezyi w Revue Européenne[3]). Bardzo pochlebnie mówią; zaczynają od wyjścia na świat „Bogarodzicy“, dają tłómaczenie tego hymnu, potem mówią o „Żmii“ z pochwałami, potem przytoczony jest w tłómaczeniu wyjątek wiersza do Skibickiego, rozbiór dość obszerny tragedyi z cytacyami, pochwała śmierci błazna, i charakteru jego w Maryi Stuart, nakoniec tłómaczenie całego „Araba“, wcale niezłe. Jest wszędzie trochę i ocukrowanej krytyki, ale jest i to, że mam lat 22, i że rzuciłem podstawy wielkiej literackiej sławy. Widziałem potem w Société de lecture czytających artykuł o mnie, widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blizko niego stałem, a to mię nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w gazecie czytających samego poważnego pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbio-

---

[1]) Czyt. Morc.
[2]) Czyt. Sosjetc de lektjur' — Towarzystwo czytelni.
[3]) Czyt. Rewiu Eropecn'.

rem moich poezyi siedział. Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać i wiedzieć, co ja za jeden. Spodziewam się, że Francuz, który ten artykuł pisał, przetłómaczy mego „Lambro“, który jako romans może się podobać Francuzom.

Artykuł twój, kochany Teofilu, o twoim bracie, prześliczny, odebrałem; jeżeli zamierzone dzieło do skutku przyjdzie, to go umieszczę tak jak jest, boś go ślicznie, z boleścią i z oburzeniem napisał. Okropne to zdarzenie, kto wie, czy na wiosnę nagrobek się nie spełni choć w części. Lepiej mi jest w Genewie, niż w Paryżu; odbieram mnóstwo listów, i wiem, co się tam dzieje.

Pisałem wam o moim wyjeździe; o moim chorym przyjacielu okropną odebrałem wiadomość; w kilka dni po moim wyjeździe mocno zasłabł, był bez nadziei, siedział nieruchomy na łóżku i ciągle powtarzał: „nie ma Julka“, a wymawiając te słowa, płakał. Kilku znajomych ciągle go pilnowało; kilkoma dniami przed śmiercią odebrał mój list, a list był wesoły, szalony prawie, bo nie wiedziałem, że się tak źle miał; czytano mu ten list i płakał. Dnia 18 w nocy o godzinie 10-tej wszyscy go opuścili, i został tylko służący, w pół godziny potem chory otworzył oczy, westchnął trzy razy i skonał; pochowano go na cmentarzu Père la Chaise, gdzie tyle razy całe ranki przepędzałem. Kilka dni potem odebrałem list, donoszący mi o jego śmierci; było to rano, ślicznie słońce świeciło, przeczytałem list; płakałem, czytając, że mnie wspominał, bo może już na ziemi nie będę miał przyjaciela, któryby mię przed śmiercią wołał częściej, niż rodzinę swoją. Po przeczytaniu listu myślałem długo, a potem czułem gwałtowne zachcenie, ale bardzo gwałtowne: oto chciałem być w tej chwili w Paryżu, chciałem pójść do Père la Chaise i usiąść na jego grobie, bo ranek był tak piękny i cichy, a gdybym siadł milczący na jego mogile to byłoby to samo jak wizyta, którą choremu

co ranka oddawałem; był to zwyczaj prawie, co dzień musiałem u niego z godzinę najczęściej milczący przesiedzieć. Matko moja! pomódl się za tego, który kochał do śmierci twojego syna i któremu twój syn nic w zamian nie dał, tylko łzę po śmierci.

Pisano mi z Paryża, że mię Kora zawsze wspomina. Druk mego „Lambro“ przypomni jej, jak niegdyś drukując poezye, chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny; będzie jej trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie przed oczyma. Właśnie rok temu, jak drukowałem poezye...

Pobyt w Dreznie, w Londynie, w Paryżu, zupełnie inne obrazy i bardzo wydatne odcienie zostawiły w mojej pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie, i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy, i najprzyjemniejszy, bo dom, w którym mieszkam, latem napełnia się mnóstwem wojażerów, najwięcej Anglików. Co rok prawie, jak mi mówi panna Eglantyna, wyjeżdżają i mieszkają u nich piękne damy; bardzo to będzie korzystnie dla mnie, że nie wychodząc z domu, będę się w różnych towarzystwach ocierał. Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mię w salonie w dobrem świetle wystawia. Pomaga mi w tem rodzaj małej sławy, która rzuca jakiś urok na moje rozmowy, a przynajmniej dobrze ludzi o mnie uprzedza, i często wybaczy mi milczenie nawet, które zgubiłoby w opinii innych; i sam nie czując się w potrzebie ciągłego gadania, gadam więcej, bo nie doświadczam żadnego przymusu.

Teatr tutejszy szkaradny, albowiem wiele jest metodystów w arystokracyi, którzy teatr za zakazaną i zgubną uważają zabawę. Obyczaje genewskie zadziwiają: nigdzie nie ma mniej intryg, ale wiele jest plotek, jak zwyczajnie w małem mieście. Zwyczaj tutaj jest, że panny same chodzą po ulicach, zwyczaj także, że przed pobraniem młodzi ludzie kochają się po lat

10, słowem, wiek tu złoty trwa dotąd, i z tego względu miasto dziwną ma postać moralną. Dziwię się jednak, że go tak cudzoziemcy lubią. Arystokracya tutejsza, złożona z kupców i zegarmistrzów, nudna bardzo i płaska. Otóż macie w kilku słowach rys Genewy. Drugi raz obszerniej pisać będę, teraz lękam się ten list spóźniony już długiem pisaniem opóźnić. Czekam niecierpliwie wiadomości od was, moi mili; wdzięczny jestem Hersylii za słów kilka. Tobie, kochana matko, za wszystko wdzięczny jestem, ale bardzo, bardzo, kochana mamo! Całuję ciebie serdecznie, pisz mi często, bo tego do mojej spokojności potrzeba. Adieu! Teofilu, ściskam ciebie. Babuni i dziadunia rączki całuję. Adieu!

Wasz *Julek.*

22.

Genewa, dnia 15 marca 1833.

Kochana mamo moja! odebrałem list od was w Genewie i ten mi dopiero dozwolił oddać się całemu wiejskiej ciszy, która mię tu otacza. Matko moja, gdybyś wiedziała, jak mi do szczęścia listów twoich potrzeba, to byś je częściej wysyłała. Mię tu listy od was mało kosztują, a zatem niech was nie zatrzymuje bojaźń narażenia mię na wielkie wydatki. Odebrałem list wasz i nie uwierzysz, jak pani Pattey i jej córka cieszyły się, że mama kontenta jesteś z mojego u nich pobytu. Po waszym liście, w dwa dni potem odebrałem odesłany mi z Paryża Ludwisi list długi, ogromny, z którego dowiedziałem się, że została dewotką. Pisze do mnie, radząc mi się nawrócić; z tej strony niewielki list odniósł skutek; znalazłem w nim jednak wiele uczucia i wiele pokarmu dla mej dumy. Obiecała mi z Odesy, gdzie na wiosnę jechać zamierza, przysłać swój portret; napisz jej więc, kochana mamo, ale nie

wyszczególniając powodów, gdzie się ja teraz znajduję, i daj jej mój adres, bo mi pisać zakazała; list ten był wypadkiem w mojem wiejskiem życiu. Wkrótce potem przyszedł mi z Paryża pakiet, zawierający 10 egzemplarzy dzieła p. t. „Notice sur les poésies de Jules Słowacki[1]). Artykuł, który był osobno z Revue Européenne przedrukowany i zrobiono z niego małą broszurę. Żałuję, że go wam przysłać nie mogę pocztą, albowiem hymn w nim zawarty zahaczyłby się. Rozdałem kilka egzemplarzy moim znajomym, a resztę chowam, czekając sposobnej pory do przesłania.

Czy nie wiecie, gdzie się obraca Odyniec, pisałem bowiem do niego do Drezna, i list mój został bez odpowiedzi. W Dreznie ulokowałem był 50 egzemplarzy moich poezyi, ale z nich ani grosza mi nie odesłano. Lękam się, aby 63 egzemplarze, które do ciebie, matko, wyprawiłem, nie zaginęły; muszę się o nie w Paryżu dopomnieć, jeżeli was nie doszły; teraz drukuję tom III, a już mi przysłano arkusz pierwszy korrekty. Zawierać będzie ten tom poemat w 2 pieśniach pod tyt. Lambro, następnie różne wiersze, znane w nieszczęściu naszej kuzynki, dumę o ukraińskim panie, co miał arabskie konie; na końcu umieszczam poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo. Dla tego jednego poematu chciałbym, abyście tom III czytali; kiedyś, matko moja, kiedyś w Westminstrze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki! Śmiej się ze mnie, ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzeć nie może.

W ostatnim poemacie ukradłem jednę myśl z twojego listu, ale ją znacznie osłabiłem w wierszu. Co do książek polskich, przyślijcie mi je dyliżansem, to jest Kochanowskiego Jana, Kochanowskiego Piotra Jero-

[1]) Czyt Notis' sjur le poezi de Żjul' Sł. — Wzmianka o poezyach J. S.



Widok Wrocławia w 1848 r., według spółczesnego sztychu.

zolimę gotyckiemi literami; jeżeli zaś można, przyślijcie dykcyonarz sławnych ludzi służący za materyał do wieku Zygmunta III, zdaje mi się, że przez Siarczyńskiego, ale nie pewny jestem autora; są to dwa tomy, wydane przez jednego z członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pan Paweł powie wam, jakie to jest dzieło, może go w Glüksberga księgarni znajdziecie; to dzieło wielkim by było dla mnie skarbem. Ta mała biblioteka polska wiecznie mi będzie towarzyszyć i będę bogatszym od wszystkich moich kolegów. Co tylko, mamo, ci wpadnie w ręce ze starych kronik, które się czasem w rękach żydów walają, to mi przyślij.

U nas tu niedawno graliśmy w domu komedyę po francusku, ja miałem grać także i znajdowali wszyscy, że wybornym jestem aktorem. Ale po kilku próbach tak mię zajął drukujący się tom poezyi, że abdykowałem moją rolę i cała komedya upadła. Na miejsce tej komedyi wybrano inną, mniejszą, a ja ofiarowałem się być suflerem; jakoż po wielu próbach stanął teatr z parawanów, z wazonów i z sosen wybudowany; bardzo przyjemnie przeszedł ten wieczór. Panna Pattey gra wybornie; jeden malarz, podobny do Teofila, upudrowawszy trochę włosy, grał wujaszka, dwóch innych młodych chłopców rolę kochanków, a ja suflerem byłem. Potem tańcowaliśmy, i czy uwierzycie, ja tu pierwszy animuję towarzystwo. Kiedy tańczę, młodzież ściga mię oczyma i zgodnie mi pierwszego miejsca ustępuje; na tym wieczorze zadziwiłem ich walcem, tańcowanym jak u nas tańcuje wojsko, to jest uderzając ostrogami. Ja zaczynam mazura, ja prowadzę kotyliona i pokazuję nowe figury, jako to z szalem, z czterema królami kartowemi itp.; często gram do tańca na fortepianie, potem panna Pattey opowiada mi, co o mnie damy gadają, i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czem wy z trudnością wierzyć możecie, widzieliście mię bowiem dzieckiem nudnem, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chopca, i tylko domowi widza

mię smętnym i posępnym; nie odraża ich to ode mnie, bo moje położenie oddalone od was i od kraju usprawiedliwia tygodniowe spliny.

Po całych rankach teraz pracuję nad moją nową produkcyą literacką, przez kilka dni jednak malowałem nielitościwie, i wiecie co? oto widok Krzemieńca, z ławki pod topolą w botanicznym ogrodzie, dalej kościół pojezuicki, dom, w którym mieszkałem, dalej zamkowa góra i księżyc wschodzący z za murów starego zamku. Pejzaż ten udał mi się dosyć dobrze, i darowałem go pannie Eglantynie na pamiątkę; ona także rysuje dosyć ładnie. Dobrze z nią żyjemy, zwierza mi się ze wszystkiego i mówi, że żadnej ze swych przyjaciółek tego co mnie nie wyspowiadała. Posyłam tu karteczkę do Grocholskiego pisaną, odeślijcie mu ją.

Wiecie, jak najczęściej przepędzam wieczory? oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do p. Lebrun podobna, z żywszą tylko imaginacyą; oto ta dama, pani Pattey, ja i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona. Gram doskonale w bostona i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo: bo pamiętam, jak niegdyś leżąc na sofie w Mianowskiego jeszcze mieszkaniu, widziałem mego ojca, Rustema, Bogatkę przy zielonym stoliku, i mówiono mi, że grają w bostona, że do Słowackiego przyszli na bostona. Od śmierci mego ojca nigdy grających w bostona nie widziałem a teraz boston jest to dla mnie wspomnienie dzieciństwa. Gra ta nie jest tak trudna, jak mi ją wystawiano, owszem daleko łatwiejsza od wista i ma tysiąc rozmaitości.

Ogród nasz okrył się tysiącami fiołków i pierwiosnków, które tu żółtego i różowego są koloru. Drzewa już się zaczynają rozwijać; piję wszystkiemi zmysłami poezyę wiosny i szwajcarskiego powietrza. Listy wasze często odczytuję nad genewskiem jeziorem, a po przeczytaniu myślę o was, patrząc na rozległe błękity fali. Nie uwierzycie, ile ten obraz ma smutku

i myśli: szum jeziora zaledwo słyszeć się daje, cicho, cicho, i słyszałbym głos wasz, gdybyście mię wołali. Tu wszystko cichą przybiera barwę, nawet wspomnienia wszelkich ludzi są wspomnieniami cichego życia.

Raz wieczorem zapytałem pannę Pattey o Kościuszce. Powiedziała mi o nim następujący rys: „Po śmierci Kościuszki, jeden z obywateli kupił po nim konia, na którym stary Kościuszko często jeździł, lecz koń poszedłszy do nowego pana, ilekroć zaprzężonym był do woza i wiózł szlachcica drogą, zatrzymywał się i stawał przed każdym żebrakiem, tak go dawny pan przyzwyczaił rozdawaniem jałmużny. Nowy nabywca znudził się takim narowem konia i odprzedał go.“ Nieprawdaż, że ta powieść ślicznie maluje ostatnie chwile życia naszego bohatera? Spokojność i dobroczynność w konia się nawet wsiąkły. O matko moja, jakbym ja chciał być dobrym człowiekiem!

O Michale Skibickim okropną mi wieść doniesiono: splamił się brudnym postępkiem, oszukaństwem pieniężnem, i wyjechał z Paryża, mówią, że do Wiednia. Ten wypadek zachwiał moją wiarę w cnotę ludzi. Zatrzymajcie to w sekrecie przed jego siostrą; gdym czytał list, donoszący mi o tem, zarumieniłem się wstydem, chciałbym zapomnieć, że go znałem! ale niestety, piśmienny mi został dowód mojej oszukanej przyjaźni. W ostatnich czasach rzadko on mię widywał, widać, że splamiwszy się, nie chciał mi spojrzeć w oczy; obwiniałem go o niestałość przyjaźni, teraz mu wdzięczny jestem, że mię pierwszy porzucił.

Rzadko tu bywałem w teatrze, bo tak zły, że nawet głupstwem się bawi. Dziś zaproszony jestem na wieczór, będę tańcował, jeżeli mi się uda być wesołym.

Adieu, kochana mamo. Panna Eglantyna chce do ciebie kilka słów napisać; zostawiam jej miejsca, co zostanie papieru, zapełnię.

Twój syn *Juliusz.*

Nie zostawiła mi panna Eglantyna papieru, więc skończę na tem, prosząc ciebie, matko, abyś w moim liście napisała kilka słów po francusku do niej, bo prawdziwie, że ich postępowanie ze mną jest nader delikatne i niepospolite. Adieu, adieu! babuni, dziaduniowi rączki całuję. Teofilów ściskam.

23.

Genewa, dnia 24 kwietnia 1833.

O najukochańsza! najmilsza! Nie będę ci wyrzucał teraz, co ucierpiałem; list odebrany wszystko zatarł radością, ale dwa miesiące, a raczej cały miesiąc drugi, tortury moralne wycierpiałem. Co dnia czekałem posłańca poczty od godziny jedenastej aż do drugiej, a od drugiej godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mię porywała. Dopiero kładąc się spać, myślałem znowu o godzinach nadchodzącej poczty, i tak było przez cały miesiąc; a ja mógłbym był ten miesiąc, jeżeli nie wesoło, to przynajmniej spokojnie przepędzić. Kochana Eglantyna cieszyła mię jak mogła, często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając pocz-mistrza... często, widząc go mijającego dom, biegła za nim, lękając się, aby nie zapomniał by wstąpić. Nie uwierzysz, mamo, jaki to jest mój stróż anioł Eglantyna, ale teraz nie ma jej tutaj, wyjechała do starej i chorej ciotki w Lyonie, i dopiero za dni czternaście wróci. Jestem sam, z jej matką, która mię kocha i nudzi często, chcąc bawić rozmową i rozweselić, bo ona myśli, że kiedy nic nie gadam, to smutny jestem; a przymus gadania jest dla mnie przykrym w teraźniejszych czasach, a jednak przymuszam się, bo ona mię kocha.

Dnia 25-go kwietnia o 11-tej godzinie w nocy. Wracam teraz z ogrodu, całą godzinę po herbacie chodziłem po alei sam jeden: księżyc świecił mi, i w ciszy

głębokiej śpiewał jeden słowik smutno, jakby płakał. O, matko moja! myślałem o twoich projektach kupienia domu, mebli i cichego życia. Niepodobna! niepodobna! Przebacz mi, matko, że ja tak niczem jestem dla twojego szczęścia — ja nic nawet dla własnego nie robię. Twoje pismo okropne mi przedstawiło obrazy. Wy coraz mniej macie dostatków, zdaje się, że los teraz wziął na cel naszą rodzinę.

Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności. Po takich mowach ludzi często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małymi talentami utrzymują całe rodziny, zasłaniając je od niedostatku — a ja jestem jak niepotrzebne ziele, jestem nawet ciężarem dla ciebie, mamo moja; przebacz mi, matko moja, że taką drogę obrałem, ale wrócić nie mogę. Teofilu, czuwaj tam nad wszystkiemi, strzeż i bądź ich aniołem, a ja kiedyś zapłacę za ciebie dług, podczas księżycowej niegdyś nocy zaciągniony.

Nie śmiejcie się z tego listu, bo ja go ze łzami piszę. Ty mi matko piszesz o ożenieniu; nie chciałbym niszczyć twoich marzeń, a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę, dosyć, że nim jestem dla ciebie. Wierzę w przyszłe życie, bo to niepodobna, aby Bóg ciebie nie nagrodził za to, że ci dał takiego syna. Jedna stara dama przeczytawszy artykuł w Revue Européenne, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach nareszcie napisała: Heureuse votre mère[1]). Ona także jest matką, więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy nieco słowa mego sumienia, które mi powiada, że ty jesteś nieszczęśliwą przeze mnie.

Dnia 26 kwietnia. Ile razy wieczorem siadam do pisania listu, zawsze zły jestem, że piszę smutno; a zatem postanowiłem list ten wam dokończyć

[1]) Czyt. Erez wotr' mer. — Szczęśliwa matka pańska.

innym stylem, wesołym, o ile mi moje usposobienie pozwoli. Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się tobie, mamo, dla widzenia jednej miłej osóbki, która mi wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla przyjemności, gdybym sobie mógł każdej chwili powiedzieć: jeżeli zechcę, mamę za dwa miesiące zobaczę, wtenczas obecne życie wydawałoby mi się bardzo przyjemne. Panny nie opuszczają mię. Dawniej Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach, po ogrodzie; dziś, gdy jej nie ma, stokroć ładniejsza od niej panienka odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczego nas odwiedza? Zapewne nie dla widzenia starej pani Pattey. A zresztą sądź sobie, mamo, jak chcesz, ale prawdziwie, zdaje mi się, że glina, z której mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien... Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienka, jest to osóbka mała, bardzo podobna do Kaźmiry Niepokojczyckiej: ma czarne oczy, pełne iskier, wiele dowcipu i miłości, w mówieniu wiele prostoty i ma tak około 24 lat. Dawniej bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach; wtenczas podobała mi się bardzo, ubierałem ją zawsze, gdy wychodziła, a dla tego ubierałem, że podobał mi się jej kapelusz. Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych, z czarnej lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się c a l è c h e, kocze, i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz panny Elizy, chociaż do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką i spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżej róży, rozkwitłej na oknie gotyckiem; więc dla tego ubierałem ją, gdy z wieczorów odjeżdżała. Matka jej jest wdową; ma córkę przy sobie, i syna ładnego w Paryżu. Życie jej matki jest teraz bardzo piękne.

Gdy widzi gdzie dom jaki osierocony śmiercią, dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściej z córką przepędza wieczory, u starych, u chorych. Eliza musiała się nauczyć bostona, aby grywać w takich domach ze starcami i z nieszczęśliwymi, dla tego twarz jej nosi wyraz dobroci i spokojności. Często, chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margeritki. Raz, gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jej dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niej; więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów; wróciwszy do domu ułożyłem je, naśladując twój gust, mamo, w układaniu bukietów; a potem w ogrodzie zerwałem dwie margeritki małe i wśród ogromnego bukietu włożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie, ale od pani Pattey. Nie zawiodłem się: przypomnienie było skuteczne, przyszła z mamą wieczorem i mówiła mi, że złą była na margeritki naszego ogrodu, które jej nieprzychylny dały wyrok. Widzisz, mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. Ja zawsze mnóstwo mam po niej słów cichych, łagodnych i smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mię kocha? Bo mówiła mi, że była smutna przez cztery dni, a ja nie pytałem dlaczego. Gdy chciałem wiedzieć, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: „Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10 i czytałam.“ — Jaką książkę? zapytałem. — „Nowy testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę“ — i mówiła dalej: „Dziś rano, obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli i przeczułam, że dzień ten będzie szczęśliwy.“ W tym dniu odebrała bukiet i chodziliśmy wieczorem po ogrodzie; kochana mamo, zdaje mi się, że powiesz na nią: dobra dziewczynka!

Nie wiem, czy ciebie takie detale interesują, ale te detale są całą rozmaitością życia mojego: bardziej mię zajmują, niż mój tom III, który za 8 dni wyjdzie z druku. Wydawca dzieł mego ojca będzie go miał, bo

jego korespondent, księgarz paryski, zgłaszał się już do mnie o kilkadziesiąt egzemplarzy, targując się niemiłosiernie o cenę. O jakżebym chciał, abyś go, mamo, czytać mogła, zwłaszcza ostatni poemat o mojem dzieciństwie. Nauczony doświadczeniem, nie będę go posyłał przyjaciołom do przedania. Drezno zjadło mi 50 egzemplarzy. Zapewne wesele Odyńca opędziło się nimi, bo mi od otrzymania tychże słowa nie odpisał. Dziwi mnie to jeszcze mocniej, gdyż wiem, że list mój z Genewy pisany otrzymał; mniejsza o to, ma on na sumieniu bardziej ciężką winę, i dziwię się, że do ciebie, matko, śmie pisać. Brakowałoby ci jeszcze listu Mickiewicza.

Panna Eglantyna przypisała się do ciebie, mamo, w poprzedzającym liście; odpisz jej kilka słów po francusku w liście do mnie pisanym. Różne tu odbieram wiadomości o zdrowiu mojej kuzynki, ale te mię nie cieszą. Panna Eglantyna z Lyonu, gdzie teraz bawi, pisała do mnie długie listy, bardzo miłe i sentymentalne; odpisuję jej w podobnym guście, i tak skracamy sobie czas oddalenia. Raz waryatka mówiła, że gdybym ja umarł, to by ona moje serce w urnie srebrnej piechotą do kraju poniosła; ale ja wolę nie umierać, niż takim sposobem wojażować.

Mało tu znam ziomków. Niedawno miałem tu u siebie pierwszą wizytę hr. Ludwika Jelskiego. Dziwiła mnie bardzo ta nadzwyczajna grzeczność. Nie mogłem mu oddać rewizyty, bo do Drezna wyjechał; zawsze jednakowy, elegant, włos mu bardzo poszpakowaciał. Niestety! jacy my starzy kiedyś wrócimy do was, ile kłamstw i przesadzonych opowiadań będzie grzmiało pośród towarzystw. Myślę czasem o takiej starości.

U nas tu zimno dosyć, bo śniegi, topniejące na górach, ciepło kradną, słowem, wiosna nie jest przyjemną w Szwajcaryi, i dziś nawet od rana deszcz pada. Siedzę więc w domu i bawię się wnuczką pani Pattey:

jest to dziewczynka czteroletnia, dosyć dowcipna i bardzo mię kochająca; w dobrej jesteśmy harmonii, ona woli się ze mną bawić, niż z siostrą Rozalią. Siostra Rozalia jest to stara mniszka, która ją czytać uczy. Patrząc na nią, myślę często o biednej Melance.

Adieu, moi kochani! babuni i dziadunia całuję z uszanowaniem ręce. Teofilowi życzę szczęśliwej podróży, kto wie, może mu i dobrze będzie w nowem mieście, do którego się przenosi, a kiedyś kupi sobie kawał ziemi i koniec. Oby wszystkim nam spokojnie skończyć! Adieu, Hersylko, całuję ciebie, mamo moja, kocham ciebie mocno, mocno, mocno.

Julo.

24.

Genewa, w czerwcu 1833 r.

Kochana mamo! Czy zaczynasz już zapominać o mnie? Listy twoje, o dwa miesiące jeden od drugiego odległe, napełniają mię smutkiem i rozpaczą. Matko, koniecznie proszę ciebie o więcej otwartości w twoich listach; zdaje mi się, że jestem już człowiekiem i mam dosyć mocy do znoszenia nieszczęść.

Donoszę ci, kochana mamo, że od dni 20 wyszedł na świat tom III moich poezyi. Wydawca dzieł mego ojca mieć je będzie; spodziewam się więc, że i was kiedyś dojdzie, ale kiedy? Pierwszego dnia po wyjściu zwróciło mi się pół kosztu druku; spodziewam się, że wkrótce cały wyprzedażą pokryję. Przedmowa, krótka i gryząca, trochę obraziła Mickiewicza: zemścił się w jednem z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo, ale nie wiem, jak u was o nim sądzić będą ludzie; o ten tom najbardziej jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze. Napiszcie mi, jeżeli co o nim usłyszycie. Jeżeli tak dalej płodną będzie moja imaginacya, jeżeli

co roku zacznę tomy nowe drukować, to wkrótce w waszej małej szafie będziecie mi musieli poświęcić całą jedną półkę, a po mojej śmierci, ten, co mnie poznać zechce, będzie musiał miesiąc cały ze mną obcować.

Takie są teraz sny moje. Żyję sobie dosyć przyjemnie i spokojnie: horyzont mój zamknięty drzewami okrył się tysiącem róż, bzy przekwitły. Laur największy stojący pod mojem oknem, usechł, chociaż go sam podlewałem; prawda, że to zła wróżba? Są to najważniejsze nowiny.

W domu, w którym mieszkam, uwijają się różne cienie, jak w czarnoksięskiej latarni: naprzód z jaskółkami przyleciał młody Anglo-Szkot, niezmiernie cichy i nabożny, młody i dziecinny. Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowej łące; jak mi to boleśnie przypomniało moje dzieciństwo, Mickuny, Wilenkę, lasy sosnowe, i jeszcze coś... To dziwnie, że już teraz nie mogę łowić motylów. Anglik ten po 2 tygodniach pobytu wyjechał do Lozanny.

Panna Eglantyna wróciła z Lyonu; pierwszego dnia po powrocie przy śniadaniu oddała mi przywieziony stamtąd prezent, obwinięty, starannie w cienki papier: rozwijam go, i znajduję nóż, czyli raczej scyzoryk, za dwa grosze kupiony; nic jeszcze bardziej barbarzyńskiego nie widziałem, chowam go, i kiedyś w kraju będę pokazywał. Dowodzą, że Francuzi od Hotentotów mało się różnią cywilizacyą; scyzoryk malowany żółtym pokostem, na którym świecą czerwone kwiatki, z jednej strony w rozszczepionem drzewie nóż, do ćwieka podobny, z drugiej strony flecik, jeden tylko cienki głos wydający. Dar ten przypomniał mi owego staruszka gipsowego z kiwającą się głową, któregoś mama Jędrzejowi Śniadeckiemu na imieniny ofiarowała. Ale przy tym nożyku dostałem także śliczną kieskę na pieniądze, z największym wytworem haftowaną przez damy lyońskie. Jest to miesiąc podarunków, bo Anglik, o którym pisałem, chcąc

się także wyryć w mojej pamięci, przy odjeździe dał mi na pamiątkę trybuszon; nie śmiejcie się, jest to dar podobny do tabakierki kapucyna ofiarowanej Sternowi.

Dom po odjeździe Anglika został pustym przez czas niejakiś. Wtem jednego poranku zwaliła się jak lawina ogromna familia rossyjska: pani Uwarow córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia; teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmiernie grzeczni dla siebie. Pani Uwarow sama już jest w dosyć podeszłym wieku, żywa i krzycząca, córka najstarsza dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włochy mało się odbiły na jej imaginacyi, została nieociosaną statuą. Ma sztambuchy, w których włoscy artyści, stosując się do jej gustu, wszystko jaskrawymi kolorami malowali. Śpiewa, robiąc zawsze trzy omyłki w aryi każdej, nigdy mniej ani więcej. W nutach mnóstwo polskich teraźniejszych, śpiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójdą za powrotem. Młodsza jej siostra żywa i ładna, jeszcze dziecko. Synek mały, w czerwonej huzarce, haftowanej złotem, bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciel syna, karzeł 40-letni, łokieć i ćwierć wysokości, ma twarz pomarszczoną, ale głowę nie zbyt wielką; uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniej gniewliwy. Przy dzieciach guwerner, ze wszystkiego do Szantyra, mierzącego pola w Jaszunach, podobny. Przy pannach guwernantka, ze wszystkiego do siostry Pelikanowej w Wilnie podobna, dwie panny służebne i służący. Oto jest cała familia wojażerów, zdaje mi się, że dostatecznie odmalowana. Całe 3 piętra domu rozlegają się od ich krzyku; mówią różnymi językami i nieraz mi się zdaje, że jestem w babilońskiej wieży.

Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karła. Doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną;

przy herbacie wyciągał małą chusteczkę od nosa z kieszeni, i ocierał łzy, które mu mimowolnie płynęły. Okropnie było myśleć, że on wracając do kraju, nie znajdzie osoby, któraby go może jedna tylko nie z urąganiem przyjęła. Została mu wprawdzie siostra, która w Petersburgu lekcye na fortepianie daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swego pokoju, gdzie śpi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za rękę. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia, witając się z rana i odchodząc wieczór, zawsze się zbliża do mnie i biorąc rękę moją w dwie swoje małe rączki, ściska z całej siły.

Całe ranki przepędzam zawsze w publicznej bibliotece, gdzie się znajdują wszystkie dzienniki i pisma peryodyczne; codzień więc czytam mnóstwo gazet i wiem doskonale, co się dzieje w Europie; nic nazbyt pocieszającego, dla nas bieda i smutek. Po przeczytaniu gazet siedzę kilka godzin w bibliotece, gdzie czytam różne dzieła, a najwięcej dzieł filozoficznych. O czwartej wracam do domu; na odgłos donośnego dzwonka schodzi się do salonu całe towarzystwo, a stamtąd udajemy się do jadalnej sali, dziwnie ozdobionej dwoma gipsowymi posągami, z których jeden wyobraża Apolina belwederskiego a drugi jakąś Wenerę. Po obiedzie z pannami gram w wolanta i w obręcze czyli kółka; w obu tych grach doszedłem do wysokiego stopnia doskonałości i zręczności, choć mi wyższości nad sobą panny przyznać nie chcą. Często w takich grach przychodzi do walki, wtenczas zrywamy róże i rzucamy na siebie, słowem, wesoło nam czasem.

Pytałaś się, mamo, czy gram na fortepianie? Otóż donoszę ci, że gram bardzo często, a to tylko fantazye i słyszane aryjki z oper. Największą przyjemność mi robi jeden polonez Sokołowskiego, który sobie przypomniałem. Żałowałem bardzo, że nie mogłem słyszeć bawiącego teraz w Paryżu Fielda; jest

on zawsze ulubieńcem moim w muzyce: lubię wszystko, co się wiąże ze wspomnieniami.

Napisz mi, kochana mamo, czy Ludwisia Śniadecka wyjeżdża do Odesy? Spytaj ją się, czy o przyrzeczeniu swojem pamięta; spodziewam się, że mój tom III pogodzi ją trochę ze mną. Czy Hersylka trwa w przedsięwzięciu wyjechania do Burkutu?

O matko moja! Rzadkość twoich listów przerażające często mi nastręcza myśli. Lękam się nadewszystko kochanego Stryjaszka. Ma obecnie pole pokazania się. Czy nie słyszeliście co o Michale Skibickim? Obym go nigdy nie spotkał na tej ziemi.

Napada mię czasem chęć czynniejszego życia, marzę o różnych projektach, ale wszystko to na próżno; nic mi nie pozostaje, jak cicho siedzieć, myśleć i pisać. Gdybym jeszcze mógł wybierać kraj do mieszkania, przeniósłbym się do Niemiec i żył spokojnie i tanio; ale teraz wszystkie kraje zamknięte są przede mną, nawet do Francyi powrócić trudno. Nie możecie sobie wystawić naszego położenia... najsmutniejsze... Ja dziękuję Bogu i tobie, matko, bo w porównaniu z innymi jestem zupełnie szczęśliwym, i gdyby nie myśl, że co chwila nieszczęście spaść na mnie może, niczegobym więcej nie żądał; ale ta myśl jest jak miecz zawieszony na włosku nad głową moją. Zamykam oczy i spuszczam się na Opatrzność, która prawdziwie cudownie mi dotąd sprzyjała.

Matko moja najukochańsza! najdroższa! Żegnam ciebie, ale nie na zawsze, musimy się kiedyś zobaczyć. Kochanej babuni i dziadunia z uszanowaniem rączki całuję. Teofila i Hersylkę serdecznie ściskam.

Wasz *Julek.*

Dwaj wojażerowie, którzy niegdyś u pani Pattey mieszkali, gdzie są i co robią? Czy otrzymali kar-

teczkę panny Eglantyny? Zawsze ich tu mile wspominają.

25.

Genewa, dnia 15 lipca 1833 r.

Najukochańsza mamo! Czas ciągle upływa dla mnie bez żadnej zmiany, ani nawet nadziei zmiany; siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora i myślę o was. Czasem jestem otrętwiały, że potrzebowałbym, aby mię pszczoły twojej, mamo, pasieki pokąsały; smutno, smutno. Przez jakiś czas, póki wielka familia Uwarow bawiła w naszym domu, miałem nieco roztargnienia. Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowej: zdaje mi się nawet, że te osoby mię dosyć polubiły, bo po odjeździe, w listach pisanych do pani Pattey, dały mi długie dowody pamięci, a panna Aleksandra odjeżdżając, zostawiła mi rysunek przez siebie zrobiony, domu wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron, bawiąc w Genewie.

Kilka razy towarzyszyłem im konno na spacer. Jeden z tych spacerów, najprzyjemniejszy, był na góry otaczające jedną stronę Genewy, góry, z których mniejsza równa waszej zamkowej górze. Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapę i tak przybyliśmy aż do stóp Salève [1]). Tam wszyscy wsiedliśmy na osły; moje zwierzątko, największe i najmocniejsze, prowadziło cały orszak, orszak wesoły, śmiejący się, błyszczący różnymi kolorami sukien damskich. Na górze czekało nas wiejskie śniadanie na długim stole z desek pod gruszkami i jabłoniami. Potem oczy nasze rzuciliśmy na ogromną dolinę, po której płynie kręty Rodan, jezioro, w końcu jeziora najeżona dachami Genewa i kilkanaście in-

[1]) Czyt. Salew.

nych miasteczek, łąki, drzewa, słowem, widok ogromny, rozległy, prawdziwie prześliczny! Po górach snuło się mnóstwo dzieci, ubranych fantastycznie w pióra, z chorągwiami, z muzyką. Były to dzieci Szwajcarów, bawiące się w niedzielę, jak przystoi na potomków Tella. Uformowani w dwa oddziały, snuli się po wąwozach, strzelali z pistoletów, podobni niegdyś do Julka-Achilesa w zbroi... Kilka razy pływaliśmy w czółnach na jeziorze. Majtek, który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona i dlatego często z nim wchodzę w rozmowę. Stary wioślarz dotąd o niczem nie gada, tylko o angielskim poecie; zdaje mu się, że jakaś część sławy przy nim została po długiem obcowaniu z lordem. Między innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o luidora, kto z nich prędzej na drugi brzeg jeziora dopłynie. Nie dziw, że mię lord wyprzedził, powiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czółno, a służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do gardła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało. — Powiada dalej. że przegrawszy zakład, oddał Byronowi luidora, który się długo wzbraniał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawą nogę, nie większą od jego dłoni. Bardzo czasem wielką przyjemność znajduję w rozmowach majtka, i patrzę na wielkich ludzi z tej samej strony, z jakiej się na nich lud zapatruje.

Patrząc co dnia na szczyt góry Mont-Blanc, przychodzi mi często na myśl Malczewski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że nawet głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont-Blanc, znalazłem na ostatniej karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia, imię Malczewskiego, ale skaleczone tak, że gdybym skądinąd o jego wędrówce na górę nie

wiedział, tobym się był tożsamości osoby nie domyślił. Nie wiem dlaczego, ale myśl o Malczewskim została głęboko w moich dumaniach, utkwiona; zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, ale burza jeszcze mię nie złamała. Wiesz, matko, że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzeć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa, że przyjdzie na mnie nędza, że mię duma moja zabije, to prawdziwie, że mię okropność takiego losu przeraża.

Pytasz się, matko droga, co zrobił Michał Skibicki? Wzdrygam się na samo wspomnienie tego człowieka. Przybywszy do Paryża oczarował wszystkich; w najpierwszych domach najlepsze znalazł przyjęcie, ze mną ciągle obcował i prawdziwie że był to jeden tylko człowiek, z którym przebywać lubiłem. Tęskno mi było, kiedy dzień jaki bez jego wizyty przeminął. Kilką miesiącami przed wyjazdem moim zaczął stronić ode mnie. Smutno mi było, przypominam nawet że mu raz wyrzucałem zmianę zaszłą w jego postępowaniu. Dziś mu wdzięczny jestem za ten postępek, bo mi dowiódł, że spodlony nie śmiał mnie swoją obecnością kalać.

Teraz opiszę, jak się rzecz stała. Jeden z obywateli waszych, Skibickiego niegdyś szkolny kolega, wyjeżdżając z Paryża polecił mu aby listy z Polski odbierał. Między listami przyszedł rewers wekslowy na 600 fr. Skibicki za tym rewersem odbiera przyjaciela swego pieniądze i następnie listy przejmuje, aby się z nich właściciel o pieniądzach nie dowiedział. Kopczyński oszukany przybywa do Paryża, dowiaduje się z ubocznego listu o przyjściu pieniędzy do Skibickiego, ten mu opowiada, że żadnych nie odebrał i mając już paszport bierze konie pocztowe i zmyka do Austryi. Ale telegraf dogonił go i zatrzymał. Dziś piszą mi, że na Skibickiego wyrok zapadł jako fałszerza, skazuje go na 15 lat więzienia i piętnowa-

nie. Mówią także, że niektórzy z jego znajomych chcąc oszczędzić plamy imieniowi (!) ofiarowali mu dozys trucizny, ale nie przyjął daru.

Okropność! Nic mnie tak w życiu nie przeraziło. Powiadają, że Kopczyński żałuje teraz swego kroku w pośpiechu uczynionego. Zachowajcie to w największej tajemnicy. Prawdziwie że nie wiem co w mojem sercu się dzieje. Ale zostało mi jeszcze jakieś przywiązanie do Skibickiego i wielebym dał abym z ust jego mógł jeszcze jakie usprawiedliwienie się usłyszeć.

Odebrałem tymi dniami list od Odyńca. Czy prawda to, że waryuje dla jakiejś awanturnicy i ma się z nią ożenić? Co też ci ludzie wyrabiają. Matko, przypomnij Ludwisi jej obietnicę mi uczynioną. Odyńca list bardzo przyjazny ale w przypisku odkrywa się powód listu: oto dowiedział się o wyjściu tomu III, i prosi abym mu znowu 50 egzemplarzy posłał.

Czy Teofil zapomniał o mnie? Czekam z niecierpliwością dzieł Kochanowskiego: zastąpią one mi w pewnym względzie obcowanie Polaków i pomogą wiele w pisaniu nowego poematu, którego pierwszą część pod zmyślonem imieniem wydać sobie zamierzam. Jeżeli was jaka wiadomość o moim tomie III dojdzie, to mi napiszcie, bo bardzo jestem ciekawy, jak mu się powiedzie.

Zamyślam siedzieć w Genewie i nie robię żadnych wędrówek po Szwajcaryi, bo to niezmiernie kosztuje wiele; tu zaś żyję tak, jak zagranicą najoszczędniej żyć można. Czasem gwałtem chce mi się wioski na Podolu, chce mi się własnego domu, ale o tem już podobno myśleć nie należy. Jak mogę, przypominam sobie moją ziemię: niedawno nauczyłem moich gospodarzy robić chłodnik, ale nie bardzo w nim smakują. Wprowadzenie nowej potrawy jest niezmiernie trudne u cudzoziemców, zdaje się, jakoby celne komory stały temu na zawadzie.

Jeden z Genewczyków wykłada tu publicznie kurs historyi polskiej, mnóstwo dam uczęszcza i uczy się i połyka nasze dzieje, pełne błędów i skaleczonych imion. Każdemu tu wolno wejść na katedrę i uczyć; bilety na takie kursa płatne są przez uczniów; panna Eglantyna żadnej takiej lekcyi nie opuszcza. Przypisek do dam moich gospodyń w liście bardzo im był przyjemnym, musiałem im go kilka razy odczytywać i żałowały, że go z listu wydrzeć nie mogły.

Wiecie zapewne, że Odyńcowi ojciec umarł, że żona zagraża mu potomkiem, że go zawiodła nadzieja otrzymania placu w Poznaniu.

Czas mamy teraz dosyć chłodny. Podczas dni gorących wstawałem zawsze o godzinie 6-tej z rana i kąpałem się w jeziorze: kąpiele te bardzo na zdrowie mi były i zdrów jestem do zadziwienia: nigdy mię piersi nie bolą. Nie wierzycie, jaka to przyjemność kąpać się w jeziorze, pod drzwiami pięknego ogrodu, zdaje mi się, że kiedyś będę żałował dni teraz upływających; wy mi może teraz gór szwajcarskich zazdrościcie?

Niedawno byłem przytomny w Genewie obiorowi króla strzelców: w środku jeziora wystawiono żagiel, na którym odmalowany Negr trzymał białą tarczę; do tej tarczy strzelali, płynąc na łodziach strzelcy. Jeden z bogatych obywateli ogłoszony królem w orszaku dawnych królów szedł przez ulicę, odprowadzony do domu. Godność taka kosztuje wiele, bo obrany musi w kilkanaście dni wyprawić fetę wielką, fajerwerk, ucztę, muzykę na jeziorze; ma to być bardzo piękne; jak będzie opiszę.

Panna Eglantyna chce się przypisać, zostawiam jej miejsca i całuję ciebie, kochana matko, i wszystkich serdecznie ściskam.

Wasz *Julek.*

26.

Genewa, dnia 23 sierpnia 1833.

Najukochańsza matko moja! Oto dzień moich urodzin. O matko, zacząłem rok 25-ty; jak ten czas płynie! Wczoraj odebrałem list wasz, który mi był najmilszem wiązaniem, choć smutny; zdaje mi się, że z rozpieczętowanego krople łez się polały. Dziś moje urodziny: obudziłem się o godzinie 7-mej i spostrzegłem rękę, która naprzód odchyliwszy firanki, rzuciła na moje łóżko bukiet kwiatów; zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny. Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużej, choć zazwyczaj do 10, to jest do śniadania, łóżko zalegam: ale pomyślałem sobie, że milej mi będzie pierwsze dwie godziny dnia tego tobie, mamo, poświęcić i oto piszę do ciebie. Wprzód jednak podziękowałem Bogu, że mię od wszego złego przez ten rok mego życia uchronił. Gdybym miał co do wyznania, uczyniłbym ci tu, kochana mamo, spowiedź ogólną i szczerą, zacząwszy od mego od was wyjazdu; ale prawdziwie, że nie popełniłem żadnych wykroczeń, nic sobie nie wyrzucam, więc pobłogosław mię, matko, na moją dalszą wędrówkę. Bukiet dany mi na wiązanie stoi przede mną: w głębi jednej róży śpi spokojnie zielony żuk; zdaje mi się, że on ma teraz los podobny do mnie, który spoczywam cicho w głębi szwajcarskiego ogrodu... Pode mną z salonu dochodzi mię głos pięknej muzyki: jedna z młodych Angielek wstaje z rana, aby korzystając z samotności, grać na fortepianie, i gra bardzo ładnie; ta muzyka dziś ma dla mnie coś smutnego.

Dom nasz pełny jest teraz różnych wojażerów: wiele oryginałów różnej płci i wieku; opiszę wam pokrótce osoby, z któremi żyję. Będzie to jakby katalog osób grających razem ze mną tragi-komedyę życia. Naprzód przybyła tu familia Rosyan i na długo w domu naszym osiadła. Jest to, jak u nas nazywają, poczciwa

szlachta: wdowa Potopof, ładna jeszcze kobieta, choć ma w Rosyi córkę dorosłą; bardzo dobrego serca, łagodna jak anioł i prostoduszna. Kuzynka jej, panna Aneta, zupełnie ze wzrostu i twarzy do Maryi Kukulnikównej podobna, także bardzo dobra i prosta. Kuzyn obu tych dam, pan Szaszin, brzydki z twarzy, ale szczery i otwarty, nie mówi po francusku, tylko po rusku. Z temi osobami jestem jak można najlepiej. Kuzynowi gadam, co mi przez głowę przejdzie, z panią Potopof także często po rosyjsku rozprawiam.

Obok mego pokoju ma mieszkanie la comtesse Seidwitz[1]), lat 65 (z wszelką grzecznością dla dam to piszę), trochę uróżowana, co dnia w innej sukni, wygorsowana, krzyż dworu wiedeńskiego, zawieszony na ogromnej kokardzie, nosi przy boku; za nią zawsze lokaj Niemiec z dwiema poduszkami, które kładzie, gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Z tem wszystkiem jest to bardzo dobra osoba, wesoła, przyuczona u dworu do grzeczności, każdemu ma coś powiedzieć, bardzo lubi kalambury, wozi z sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy a oprócz służącego ma służącą Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wielkiemi pokusami, a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda, i cały dzień śpiewa nie uczonym lecz łagodnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda! Ta pani la comtesse siedzi przy mnie u stołu, ciągle mam z nią konwersacyę, ciągle wyciąga szklankę, do której wina nalewam, a baba cukru nasypuje, a ja znów trochę wody dolewam i jestem podobny do Ganimeda.

Z drugiej strony mego pokoju mieszka Anglik, oryginał: łysy, z ogromnym nosem, trochę głuchy, ograniczony, i całą sławę swoją ufundował na dobrem graniu w wista, i choć tu po 5 sous punkt gramy, on jakby o wielkie sumy chodziło, łaje, jeśli który z gra-

[1]) Czyt. Zajdwic.

jących słowo przemówi. Wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku ubrany. Otóż są osoby, które ze mną zajmują pierwsze piętro domu. Dół jest zajęty salonami i pokojem jadalnym; na drugiem piętrze mieszkają gospodynie, dwie Angielki, matka z córką. Córka trochę do Julki Michalskiej podobna, naiwna, żywa, jak dziecko. Matka ładna jeszcze, tak że za siostrę córki mogłaby uchodzić. Przyjechały ładną karetą, z dwoma służącemi, widać że bogate; nazywają się Donnellan, jadą na zimę do Włoch. Nakoniec mieszka z nami Anglik Hamilton, ładny chłopiec, wysoki, zawsze pięknie ubrany, mało mówiący, z powagą i przymusem. Oto jest nasze towarzystwo.

O godzinie 10-tej schodzimy się na śniadanie, potem po kilka osób rozchodzimy się po ogrodzie, potem o godzinie 1-szej odbieram listy z poczty, które z różnych stron Europy do mnie spływają, potem idę do miasta, czytam gazety, i parę godzin przepędzam w bibliotece Société de lecture; o 4-tej schodzimy się na obiad, na który dwa razy dzwon domowy zwołuje. Wtenczas wypiększona comtesse Seidwitz, w salonie siedząc na kanapie i dwóch poduszkach, zaczepia którego z kawalerów do rozmowy. A po obiedzie bawimy się razem w salonie, często idziemy nad jezioro. Wieczorem zaś siadamy zazwyczaj do wista, który składają osoby: La Comtesse, Anglik w nankinie, Szaszin i ja. Dwie Angielki wyszywają na kanwie grube dywany; panna Eglantyna często moje miejsce przy grze zabiera.

Dnia 24 sierpnia. Otóż wczorajszy dzień, dzień moich urodzin, przeszedł bardzo mile dla mnie i smutno; zszedłem na śniadanie i zastałem pannę Eglantynę samą, która mnie zniewoliła, abym przyjął od niej złotą obrączkę; obrączka ta otwiera się, i we środku napis: 23 Aout[1]) 1833. To dziwnie, że

[1]) Czyt. U.

tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem, a tego miesiąca zapytywany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę z pierścionkiem, niegdyś od babuni darowanym, na jednym palcu noszę. Po śniadaniu przyszedł mi powinszować jeden z Polaków i pani Pattey zaprosiła go na obiad; na obiedzie całe towarzystwo piło zdrowie moje szampanem. Pani Seidwitz nachyliwszy się do ucha, szepnęła mi: „à la santé de Mme votre mère[1])." Widzisz więc, matko, że ciebie nawet nieznajome tobie osoby wspominały w ten dzień, a cóż dopiero twój syn! Wieczorem przyszło z wizytą kilka panien i trochę tańcowaliśmy do godziny 11-tej w nocy. Otóż masz, matko, opisanie dnia tego. Ci, którzy mię otaczają, starali mi się osłodzić moje położenie i prawdziwie, że nie byli dla mnie tak jak obcy.

W tym miesiącu miałem jeszcze przyjemną scenę. Wizytator szkółek tutejszych uprosił panią Pattey, aby mu ogrodu na majówkę pozwoliła; porobiono więc w ogrodzie wielkie przygotowania. Jako to: zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszone były cacka dla dzieci, pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki, pozastawiano stoły, i do tak urządzonego ogrodu o godzinie 1-szej weszły dzieci ordynkiem z bębnami wojskowemi na czele i niosąc mnóstwo chorągiewek. Nie uwierzysz, mamo, jaki to ładny widok 100 dzieci ładnie ubranych, ubogich, bogatych, z jaką wesołością wchodzili do ogrodu, jak mrówki rozsypali się po trawie, potem znów około chorągiewek zasiedli. Pani Potopof, która zostawiła w Rosyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając, czy którego podobnego nie znajdzie i łzy miała w oczach. Ja także, nie wiem dla czego, oczy miałem łez pełne, i coś mię dusiło w gardle. Prawdziwie, że nie wiem, jakie to było uczucie. Czło-

[1]) Czyt. A la sante de madam wotr' mer. — Na zdrowie Pańskiej matki.

wiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecinnego oddzieliła. Podczas gier, cała nasza kompania domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego, przypomniałem sobie własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na egzaminach, i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12-letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas; wziąłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojej kuzynki, zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy, i dałem mu ładny medal mój, prosząc, ażeby sobie kiedyś, będąc starszym, przypomniał tę chwilę. Wiecie, że podczas tej sceny wielu przytomnych łzy miało w oczach; mały chłopczyk ściskał mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Eglantyna mi potem mówiła, że chciała była mię w tej chwili uściskać. Droga mamo, są czasem chwile, w których myślę, że ty byś była ze mnie kontenta, i myśl ta będzie mi zawsze przytomną w życiu, bo pewny jestem, że mię do dobrego prowadzi. Matko moja! Życie moje jest teraz spokojne i bezpieczne, jeśli się kiedy troszczę, to tylko o was; w gospodarzach moich mam przyjaciół, mówią mi to samo sami stokrotnie i okazują szczerą przychylność.

Co do twego pytania o pieniądzach, wyznam ci, matko, jak się rzecz ma. Spodziewałem się dotąd, że do końca tego roku żadnej pomocy potrzebować nie będę, aż tu nieprzewidziana okoliczność dotknęła mię: mój przyjaciel, trudniący się w Paryżu książkami, otrzymał rozkaz opuszczenia Francyi. Ministeryum francuskie prawdziwie się pastwi nad nieszczęśliwymi wygnańcami. Kilkaset moich franków, które po kilkakrotnie chciał mi odesłać, a których dotąd nie potrzebowałem, teraz jemu były gwałtownie potrzebne.

To en petit[1]) bankructwo mojego księgarza. Korn także nie odsyła należących pieniędzy, słowem przekonywam się, że księgarze jest to najgorsza klasa, wszyscy do Zawadzkiego podobni. Teraz więc jestem bez pieniędzy i 1000 złotych potrzebowałbym do końca roku, bo przykro by mi było w domu nie płacić, zwłaszcza, że jako wygnaniec płacę mniej od innych. Nadto mam potrzebę sprawienia sobie koszul i bielizny, słowem pieniądze toczą się tu niezmiernie prędko, a w tym roku zapłaciłem jeszcze za druk III tomu.

Wyobrażam sobie, jak mi kiedyś będzie miło spoczywać na sofie włóczkowej, twoją ręką, kochana mamo, wyszytej; dziś najpożądańszą od was rzeczą byłaby mi twoja miniatura, matko kochana, jeżelibyś, matko, mogła mi ją przysłać; bo w dnie samotne, w dnie pełne wspomnień, patrzałbym na nią, i byłoby mi lżej i milej. Żadnej teraz okazyi znaleźć nie mogę przesłania wam kanwy, możebym mógł ładne desenie znaleźć w Genewie. Czasem natężam tak moją imaginacyę, że was widzę, widzę Krzemieniec, dywanki rozkwitające pod waszemi rękami i przez wiele godzin dnia z wami jestem.

O kochani moi! Nie zapominajcie o mnie, niech ja nie przestaję zasiadać w kole waszem rodzinnem. Adieu! Hersylce za kilka słów wdzięczny jestem; widok sam jej kruczkowatych liter ucieszył mię. Dziaduniowi za błogosławieństwo wdzięczny jestem, i stopy jego i babuni całuję. Teofil niech przyjmie moje uściśnienie, Beaupré i pan Jarkowski zawsze są przytomni mojej pamięci, a ty, matko! ty mój aniele stróżu... Ludzie wszyscy płyną jak rzeka do jednego celu... w jedną stronę... zejdziemy się kiedyś, matko... Słowa Nicka nastręczają mi się tutaj: Przyjdę tam

---

[1]) Czyt. An petí — małe.

do chaty. Odpocznę... ja myślałem zawsze do was wrócić.

Adieu! Adieu! Twój *Juliusz.*

27.

Genewa, dnia 22 września 1833.

Najukochańsza mamo! Otóż masz wizerunek Genewy, ale nie takiej, jaką ją co dnia widzę: sztycharz bowiem, jak zwykle, wlazł na jakiś komin i stamtąd niewidzianą dla chodzących po ziemi Genewę odmalował; widzicie zdala góry: jest to Mont-Blanc, widzę go co dnia lepiej z mojego ogrodu. Woda, która tu odmalowana, jest to rzeka Rhodan. Ja zaś widzę Genewę wyciągającą szyję nad jeziorem; nie mogłem dostać lepszego wizerunku, więc wam siaki taki posyłam... Piękny to kraj! patrząc na niego, mimowolnie nieraz myśląc o tobie, mamo, powtarzam słowa piosnki Goethego:

Czy znasz ten kraj, znasz go, o moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

Odebrałem nowy dowód twego przywiązania, tem dziwniejszy, że jak się mama przekonasz, uprzedziłaś zupełnie moje żądanie. Miłość twoja, mamo, dała ci zapewne szósty zmysł przeczucia, ale list był okropny, matko! Wyrzucasz mi nieszczerość, kiedy ja nigdy tak daleko od niej nie byłem jak teraz; wszystko co tylko mogę, wyjawiam ci, mamo! Spokojne i ciche życie jest teraz mojem szczęściem, a tobie je w całości winienem; wyraz n ę d z a w moim liście, który cię tak mocno dotknął, potrzebuje usprawiedliwienia z mojej strony: lękam się tego nieszczęścia ale tylko na przyszłość, bo Bóg mi może zabrać mego anioła stróża, a wtenczas stryj... Ja zaś zupełnie będę niemy: jest to niemoc, która mi nie dopuści mówienia za moją sprawą. Mamo, oto jest otwartość twojego dziecka; przebacz

mu, że on w dobroć Boga nie ufa, niech cię odmalowana tu przyszłość dziecka twego nie zatrważa, bo ona mi się tylko taką zdaje w godzinach spleenu i rozpaczy. O mamo! Czemuż tobie mój ojciec, umierając, wszystkiego nie oddał zupełnie.

Matko! odwróć myśl od tych wyrazów i słuchaj, co twój syn robić zamierza przez zimę. Oto naprzód zostaje członkiem tutejszego literackiego towarzystwa; płacąc 50 franków na rok, mam prawo brać książki do domu z ogromnej biblioteki: otoczę się więc dziełami filozoficznemi, historycznemi dla odpoczynku zaś położę przy nich jaki romans i tak przy trzaskających na kominku drzewkach będę ranki zimowe przepędzał; wieczorami mam domowe towarzystwo, które zimą może będzie bardzo małe, a stąd będę jak w familijnem gronie.

Nie uwierzysz, mamo, jaką mi przychylność okazują pani Pattey i córka jej: dogadzają mi we wszystkiem i starają się ciebie zastąpić. Wszyscy moi znajomi zazdroszczą mi mojego położenia z tego względu, i gdybym był pewnym, że mię w życiu nigdy nic mniej dobrego nie spotka, byłbym szczęśliwym, o ile to w mojem oddaleniu być może. Prawdziwie, moja mamo, nie mam ja tych snów złotych, któreby mi mierne szczęście niedostatecznem ukazywały; przyrzekłem sobie nigdy za znaczeniem i bogactwem nie gonić; a jeżeli sława łechce czasem moją próżność, to prawdziwie, że jest to szlachetne uczucie, bo sławy nie dla mnie, lecz dla mojej biednej kuzynki pragnę; wierz mi, matko, że to jest jedyny cel w mojem życiu. Drogo i poświęceniem własnego szczęścia kupuję możność służenia temu celowi, bo inaczej byłbym przy was: ale powiedzcie mi, bez książek i bez pióra czemżeby było moje życie?

Tej zimy zamyślam pisać i pisać: jestem jak góra w połogu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami, przepełnia, wylewa, i znów jestem, jak Turek

przez pół roku, po wytrzeźwieniu się z opium, zupełnie zimny i prozaiczny. Mówcie sobie co chcecie, a zdaje mi się, że gdyby mię los Andrzeja Chénier spotkał, gdyby mię na śmierć prowadzono, mógłbym jak on uderzyć się ręką w czoło i rzec: „A wszakże ja miałem coś tutaj.“ Nie, to jest może tylko ów ćwiek Klembowskiego, który nas kiedyś tak ubawił; cokolwiekbądź, ten ćwiek odróżnia mię od ludzi, dla których to życie jest wszystkiem. Gdyby kiedyś systemat Galla wydoskonalono i gdyby, pomacawszy głowę, powiedzieć można było człowiekowi: będzisz tym a nie innym, to ludzie nie tłukliby się po tej ziemi i nie wałęsali się jak ślepi; a wszakże ja tyle mam guzów, że sam Gall możeby nie odgadł, czy ja pisać wiersze, czy kraść będę.

Gawędzę sobie z tobą, matko moja, jak gdybym siedział na twojej kanwowej poduszce. Otóż opowiem ci ważne w mojem życiu zdarzenie: jesień nadchodziła (lubię pasyami jesień, lepiej niż wszystkie pory roku), aż tu ból zębów napadł mię: zęby chciały mię pozbawić wszelkiej przyjemności jesiennej. Jednego więc poranku wstałem rano o 7-mej godzinie i poszedłem do dentysty. „Panie Chavans, rzekłem, wyrwij mi ząb trzonowy.“ „Bardzo dobrze“, odpowiedział; usiadłem, przyszła służąca dla potrzymania głowy, zakręcił mi ząb i złamał... „Cóż teraz będzie?“ — zapytałem. Odpowiedział: „weźmiemy go z korzenia.“ Jakoś dziąsła mi rozłamał, i ząb wydobył; zaledwo lekki krzyk wydałem podczas operacyi... Mamo! jak się Julek odmienił, wszak pamiętasz, jak kiedyś płakał, kiedy mu zęby wyrywano, choć tyś mi, matko, trzymała głowę a dziś służąca doktora!

Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci, kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa na którem wyrósł. Waham się i do samej godziny pocztowej wahać się będę, czy posłać przy tym liście mój tom III, czy nie? zdaje mi się, że go poślę.

O jakby mi było miło, gdybyś, matko, znała moje trzecie dziecko.

Przybyła tu do naszego miasta nowa trupa aktorów, lepsza od poprzedzającej i przez całą zimę dość nie zły będzie teatr. Byłem na pierwszej reprezentacyi, na Fra Diavolo, operze, którą niegdyś we Wrocławiu słyszałem; dziwne sprawia wrażenie ta sama sztuka w różnych słyszana okolicznościach. Publiczność tutejsza bardzo jest niesforna, wygwizdano kilku aktorów, a między nimi jedną aktorkę; biedaczka w okropnem była położeniu.

Towarzystwo nasze domowe znacznie się umniejszyło. Pani Seidwitz, la comtesse, o której wam pisałem, że chodzi z ogromnym krzyżem w pętlicy, wyjechała do swoich dóbr we Francyi. Możeście czytali wojaż po Anglii, Irlandyi, pisany przez prince Pückler-Muscau; otóż ten książę dziwnego imienia jest synem z pierwszego małżeństwa pani Seidwitz. Zabawiło nas to odkrycie, albowiem dzienniki francuskie niedawno mniemały, że prince Pückler-Muscau[1]) nie egzystuje i że jakiś inny autor kryje się pod tem imieniem: dziś o jego tożsamości żadna nam wątpliwość nie pozostała. Matka nawet uskarża się, że jej synalek regularnie pensyi nie wypłaca.

Wczoraj wieczorem byłem na przechadzce z Anglikami: przepłynęliśmy jezioro i na drugiej stronie widzieliśmy dom, w którym mieszkał niegdyś Byron, bawiąc w Genewie. Dom ten teraz zamieszkały przez kogo innego, oddalony jest o 3 werstwy od miasta; dom mały, murowany i wcale pospolity; nie wchodziliśmy do środka. Dziedziniec nadzwyczaj smutny, otoczony stajniami; z drugiej strony ogród na schodzącej do jeziora płaszczyźnie. Wioska, w której mieszkał, nazywa się Cologny[2]). Wracaliśmy po jeziorze przy

[1]) Czyt. pręs Piukler-Muskał.
[2]) Czyt. Koloni.

świetle księżyca; nie możecie sobie wystawić, co za przepyszne jezioro przy księżycu: z jednej i z drugiej strony błękitniejące brzegi mgliste, a w końcu jeziora widać migające światła i rzędy oświeconych okien — to Genewa; z czwartej strony brzegów nie widać przy świetle księżyca. Taki spacer byłby zachwycającym z miłemi osobami, ale wy sobie nie możecie wystawić, co to są Anglicy i Angielki; jest trzech Anglików w naszym domu, żaden z nich nawet jednej myśli w głowie nie ma. Skrzywione wyobrażenia, stare, la morgue au lieu de la dignité[1]). — Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem: wcale nie sentymentalne, i nigdy jeszcze z Anglikami w naszym domu nie było interesującej rozmowy, a ciągle muszę odpierać rezonowania głupie pana Wolfa, który, dowiedziawszy się, że jestem autorem, a będąc wysłany z Anglii, aby ludzi na metodystów nawracał, przedsięwziął mnie metodystą protestanckim zrobić. O! gdybyście widzieli jego tłustą, okrągłą postać, przy chudej żonie, jego uśmiech jezuicki, gdybyście widzieli, jak przy stole z jezuicką miną spożywa pokarmy, śmialibyście się, jak ci się śmieją, którzy z boku na nas patrzą.

Brat Aleksandra Mickiewicza był tu, ale wyjechał, nie mogłem więc mu udzielić otrzymanej wiadomości. Odyniec musiał już zostać ojcem, żadnych od niego nie mam nowin. Zdecydowałem się posłać wam jedno moje trzecie dziecko, polecę je dobrze opiekunowi Hausnerowi.

U nas tu jesień zaczyna się, ale piękna; często z panną Eglantyną siadamy na ziemi w ogrodzie i, słuchając szmeru spadających liści, marzymy o wielu rzeczach. Mamo! twoje imię często jest wtenczas na naszych ustach: ona chciałaby ciebie znać zupełnie, i dopytuje się o wszystkie szczegóły ciebie dotyczące,

---

[1]) Czyt. la morg' o lie de la dinité — pycha zamiast godności.

a mnie miło o tobie, matko, rozprawiać. Czy przyjdzie ten czas, że z tobą o osobach zagranicą spotkanych rozprawiać będę? To niepodobna, aby moje życie, tak młode, miało już być bez przyszłości. Kochanowskiego jeszcze nie otrzymałem, i niecierpliwie czekam. Przeczytawszy treny, przeczytam list o zgonie Melanki i porównam je. Mamo, ten list gasi wszystkie treny, taki śliczny, tak głęboko smutny.

Żadnych nie mam nowin, nudno wszędzie, głucho; czy Kosielski wrócił, czy się żeni? interesują się tu nim bardzo, równie jak Grocholskim; nie mogą się oni uskarżać na zapomnienie. Adieu, kochani drodzy moi. Niech was Bóg chowa i strzeże, jest to samo jak gdybym rzekł: Niech mię Bóg chowa i strzeże... czy to egoizm? Nie, mamo droga! wierz mi, że Julek ma nieco szlachetnych uczuć... że cię kocha najwierniej i najszczerzej. Kilka dni temu przypomniałem sobie pacierz Melanki, i łzy nagle chciały się rzucić z oczu moich; powiedzianoby, żem oszalał... Któż się teraz za nas modli; mamo droga? Adieu! Adieu! Kocham ciebie nad życie, mamo moja!... *Julek.*

28.

Genewa, dnia 17 października 1833.

Droga, najukochańsza mamo moja! Cóż ci w tym liście opisywać będę? spojrzawszy na cały miesiąc upłyniony, nie widzę żadnego interesującego wypadku. Anglicy, Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napełniały, z przyjściem jesieni uniosły się jak jaskółki na południe i nie ma nikogo, oprócz młodego Anglika, który jest doskonale nudny. Wystawcie bowiem sobie młodego chłopca, wysokiego niezmiernie, dość przystojnej twarzy, który nigdy prawie nie gada, a kiedy się wyda z jakiem zdaniem, to go i sam dyabeł o mylności zdania nie przekona; wystaw-

cie sobie tę machinę, grającą cały dzień na gitarze pierwszą lekcyę ze szkółki, a będziecie mieć obraz doskonały pana Speare [1]), co znaczy po polsku dzida. Jest to więc ostatni z gości letnich, i ten porzuci nas wkrótce, co uczujemy tylko po ogłuchłej gitarze w murach naszego domu. W takiem towarzystwie, dodawszy do tego Anglika moje gospodynie, może bym się nudził szalenie, gdyby nie kraina marzeń i urojeń, która silniej niż kiedykolwiek oddzieliła mię od świata.

Piszę wielkie dzieło, napisałem już 1300 wierszy, ale to jest jeszcze niczem w porównaniu do całej budowy. Cały dzień jestem tak roztargniony, że dziś płacąc szewcowi za buty, dałem pieniądze, nie dołożywszy jednego sous, który mu się do okrągłej sumy należał i wyszedłem z jego sklepu. Nie wiem, jakim sposobem przypomniałem sobie o tej pomyłce i zacząłem się śmiać głośno, bo prawdziwie, że nie wiem, co ten szewc o mnie pomyśli; płacąc, miałem rękę pełną sous, a nie dodałem mu jednego.

Czemuż: z tobą, mamo droga, nie mogę pogadać o moich pismach przeszłych i przyszłych. Jakie by to było szczęście dla mnie. Pisałem, że posyłam wam moje trzecie dziecko; nie dziwcie się, że nie doszło, odesłali mi go (!) z granicy szwajcarskiej, jako złym sposobem posłane, to jest, nie tyle się zapłaty należało... mogłem je inną drogą posłać, ale wypadek ten uważałem jako przestrogę losu i wstrzymałem się. Przesądny jestem w niektórych rzeczach.

Pisano mi, że dzieła Kochanowskiego już są w drodze, zapewne je w tych dniach otrzymam. Pusty dom nasz, a dla mnie pustynią się zdaje, mówiąc romantycznym czyli raczej klasycznym, idylowym stylem, od czasu wyjazdu młodej Angielki, która tu mieszka, przeze drzwi tylko oddalona ode mnie, i z którą po całych

[1]) Czyt. Spir.

dniach szaleliśmy; prawdziwie, że dziwno, jak wiele dotąd we mnie dziecinnego, a czasem jak wiele spleenu.

Pan Wolf, minister protestancki, wysłany z Anglii, aby nawracał ludzi, wyjechał już z żoną; przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbywał, a do mnie się przyczepił wszelkimi argumentami, podobnymi do katechizmu szkół nowych u was. Chciałbym wam pokazać próbkę takiego rodzaju ludzi, bo prawdziwie, że ich jeszcze nie widzieliście. Ten pan Wolf, wyjeżdżając, zostawił mi na pamiątkę Stary i Nowy Testament, za co jemu bardzo wdzięczny jestem, bo ta księga każdemu człowiekowi w życiu towarzyszyć powinna. Darował mi także dwie inne książki, których nie czytam i nawet czytać nie będę: jedną z nich jest kazanie, które miał w kościele protestanckim w Rzymie. Nim się goście stąd rozjechali, przepędzaliśmy często wieczory na czytaniu tragedyi: byłem lektorem towarzystwa i zdaje się, że byli kontenci ze sposobu, jakim wydawałem różne role, przynajmniej widziałem często na ich twarzach, że dobrze czytałem.

Córka pani Pattey, która jest za jednym bankierem, zamierza tej zimy urządzić teatr i liczy na mnie, że się niektórych ról podejmę. Będzie to więc jedna z moich zimowych zabaw. Nastąpią niektóre godziny, w których będę musiał śmiać się szczerze z musu i rozśmieszać widzów.

Mamo kochana, napisz mi, jaki jest adres do twego kuzyna w Galicyi. Chciałbym poznać się z nim listownie, bo może go będę potrzebował. Jeżeli będziesz kiedy pisać do niego, powiedz mu, aby mię jak krewnego uważał; gdybyś ty, mamo, mogła kiedyś osiąść we Lwowie, to możebym po jakim roku otrzymał pozwolenie mieszkania w Galicyi i dobrze by nam było. Myśl o tem, kochana mamo, może to żądanie moje jest tylko złotem marzeniem; ile razy o takiej przyszłości myślę, to mi lżej na sercu.



Panorama Paryża.

Niespokojność jakaś dręczy mię ciągle: często zatrudniony czytaniem albo jaką cichą pracą, wstaję nagle, jak waryat chodzę z myślami, od których opędzić się nie mogę. Ta niespokojność prawdziwie ma jakąś twarz ludzką i bladą, którą widzę nieraz nagle wyrastającą z kart książki, którą czytam, i nie rozumiem książki. Niespokojność ta często jak jakaś gorycz odbiera nagle smak pokarmom, które do ust niosę. I muszę z nią walczyć jak z domowym wrogiem. Mamo! to dziwnie, że imaginacya moja jest jedynem źródłem wszystkich moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi... bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków, szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę, każdego ranka, kiedy chodzę po suchych liściach w ogrodowej alei.

Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tutejsza jesień: dotąd czas najpiękniejszy, słońce, świecąc na wpół pożółkłych drzewach, zdaje się być bardziej złociste i piękne, murawy nie tak jak u nas spalone i bez życia. Kilka dni temu o południu pływałem czołnem po jeziorze: wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło, tak równe, że kiedy po mnie przepłynął z daleka parowy statek, w kwadrans potem widziałem zbliżający się fałd czarnej, rozbitej kołem parowego statku wody. Fałd ten posuwał się zwolna, wspaniale i czołnem mojem lekko zakołysał, przeszedł, popłynął dalej, a czółno znów stało nieruchome na zwierciadle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone, nad brzegami w oddaleniu topole, pożółkłym liściem okryte, jak złote kolumny; wiele drzew zielonych, wiele białych domków i pałacyków; a za tym brzegiem Mont-Blanc biały, świeżym śniegiem z przyległemi mu górami okryty, podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu sybirskiej krainy. Wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać. Na mnie Bóg rzucił jakieś przekleństwo: na mojej drodze

stawia mi lalki, zabawkę, serce moje żywię okruszynami uczuć... i w moich uczuciach nic nie ma wielkiego, oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkiemi zmysłami.

Mamo, nie dziw się stylowi tego listu, ani się lękaj o mnie: jest to proste jesienne usposobienie duszy, jest to tylko skierowanie wszystkich władz do przemagającej we mnie teraz imaginacyi. Żyjąc od dni kilkunastu tym chlebem, nie mogę się nagle przemienić, nie mogę wam opisywać płaskich, codziennych wypadków, powtarzać słów jakiej panienki, które mi przez jedno ucho weszły, przez drugie wyleciały, opisywać rozmowy w gronie kilku nudnych osób toczącej się i t. d. Gdybym był nawet z wami, widzielibyście mię myślącego i zachmurzonego, patrzcie więc tak na ten list pusty, jak na myślącego Julka. Mamo! wystawiam sobie często, że chodzę po ciemnym pokoju, gdzie nad framugą wisi biały z kości słoniowej Chrystus na czarnym krzyżu. Wystawiam sobie, mamo, że ty leżysz na małej kanapie w drugim pokoju, oświecona płomieniem zapalonego ognia w piecu. Jak tam cicho i smutno musi być w waszych pokojach.

Matko! list ten może otrzymasz w dzień twoich imienin. Syn twój z daleka ręce do ciebie wyciąga i prosi cię, matko, abyś mu przebaczyła, że cię tak samą na świecie zostawił, bez żadnych przyjemności życia, pomiędzy pomnażającemi się co dnia grobami rodziny. Mamo moja! czy myśmy starzy, czy myśmy przespali wiele lat, że tak nam wiele osób brakuje? Czy nas Bóg złączy kiedyś dlatego, abyśmy przed śmiercią mogli sobie powiedzieć, żeśmy żyli? abyśmy na zmienionych twarzach naszych wyczytać mogli te (!) same słowo: żyliśmy?... Matko moja, uśmiechnij się, niech ci przyjdą wesołe myśli, wesołe marzenia; wrócę kiedyś, a jeżeli nie, to znajdę sobie za granicą, ładną, dobrą, może nawet bogatą żonę. Będę miał sy-

nów, córki, wybiorę ci najpiękniejszego z synów, posadzę na twoje kolana: tylko, matko, odpędzaj go od książek, niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza z Iliady zmarszczeniem brwi świat wstrząsać; daj mu zimną Eneidę, której Julek częstem czytaniem nie odparł, niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci, niech nic nie zostawia po sobie, czego by mógł żałować.

Babuniu, dziaduniu, drodzy mi, Teofilu, Hersylko, otoczcie wszyscy mamę moją tak ścisłem kołem, aby nie widziała, że jej kogo brakuje.

Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi, moi mili i najukochańsi! Ja zdrów jestem jak ryba, powietrze tutejsze bardzo mi służy, albowiem nigdy nie doświadczamy wielkiego zimna, a góry śniegiem okryte chłodzą nas w wielkie upały. Prawdziwie, że ta ziemia, to raj dla szczęśliwych. Mamo droga, całuję ciebie po tysiąc razy. Twój *Julek*

29.

Dnia 30 listopada 1833.

Najukochańsza, biedna mamo moja! Chciałbym cię pocieszyć w boleści twojej i czuję, że jedno moje uściśnienie byłoby ci milsze nad wszystkie listu wyrazy. A ja ciebie, mamo, uścisnąć nie mogę. Widząc tak mrące osoby kochane i drogie, czasem krzyczę całą mocą duszy mojej: czekajcie, czekajcie na mnie, może jedna chwila upłynie, a wrócę i uścisnę was jeszcze! Ale ty, mamo droga, nie będziesz sobie smutkiem życia ukracać, boś ty wszystkiem dla mnie, bo ci przysięgam, że żadne inne przywiązanie nie dzieli serca mego na dwoje i żadnej jego części nie odrywa od ciebie.

Przez dwa miesiące oczekiwałem z największą niespokojnością jakiej wiadomości. Odebrałem książki

Kochanowskiego, list od tych, którzy mi je przysłali a od was ani słowa: to niespokojność moją okropnie zwiększyło, domowi moi podzielają ją. Nakoniec ranku jednego przybiega do mnie ze łzami radości w oczach panna Eglantyna i wyciąga do mnie rękę z listem. Porwałem go... niespokojny... i przeczytałem, a potem padłem w moim pokoju na kolana i modliłem się ze łzami... a tak rzadko się modlę..., więc Bóg musiał łzy i modlitwę przyjąć jak łzę i modlitwę grzesznika. Na drugi dzień rozczytałem się w liście i znalazłem jeszcze inne powody smutku. Więc wiecie o Adamie... Ach! teraz dopiero powiem, ile mię kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy. Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała Skibickiego, przyjaciela mego niegdyś, aby mi pomocy swojej użyczył. Przyszedł Michał wieczorem i różnemi radami odwiódł mię od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dlaczego do Genewy wyjechałem, i teraz nie uwierzycie, ile męki cierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie słyszeć. Nienawidzę go... Wyjątek z mojej przedmowy on obciął i umieścił w pisemku, ale tak obciął, że mu dał całkiem inne znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości, a przedmowa moja jest raczej mojem usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił, on bowiem o dziełach literackich w pisemku pisał. Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne pociski ludzi dojść nie mogły. I muszę tego dokonać, Bóg mię sam natchnął, bo rozwinął w myśli mojej wielkie dzieło. Część pierwszą za kilka dni posyłam do druku i teraz przepisuję. Wierz mi, matko droga, że się nie zaślepiam, żem te (!) dzieło osądził po napisaniu obcego człowieka rozwagą... I drukuję bezimiennie. Będzie tak równiejsza walka z Adamem. Jeżeli przygotujecie się na to, to teraz

poślę kilka egzemplarzy, napiszcie tylko czy? Bo całe jest o chorobie kuzynki.

O matko moja! jakżebym chciał zwrócić list mój ostatni z powinszowaniem imienin tobie pisany: myślę teraz, o ile on będzie bolesny dla ciebie. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślę, jak kiedyś na starej, czarnej Znajdzie wjeżdżałem na mały, spokojny dziadostwa dziedziniec. Imieniny twoje, mamo, musiałem wczoraj obchodzić ze znajomemi: chłopcy młode przyjechali po mnie o godzinie 10 z rana i powieźli z sobą na obiad na wieś, pod góry genewskie. Było nas kilkunastu; kiedyśmy jechali, chmury czarne snuły się po niebie, sam tylko Mont-Blanc biały świecił się od słońca jak posąg Sybiru. Potem deszcz lunął rzęsisty, ale po deszczu najśliczniejsza tęcza rozwinęła się nad nami. Wszystko to poruszyło aż do głębi serca nasze: w tej tęczy widzieliśmy jakąś wróżbę. Zasiedliśmy do stołu, jeść niewiele znaleść mogliśmy w wiejskiej oberży, ale szampan wszystko wynagrodził. Na prośbę kolegów pierwszy raz improwizowałem i domyślicie się, że ta tęcza była treścią mojej ody. Koledzy klaskali w ręce, a potem ściskali mię ze łzami, następnie pili moje zdrowie, a kiedy im powiedziałem, iż ty, mamo, nazywasz się Salomea, pili twoje zdrowie. Najbardziej rozczulającą była chwila, kiedy po różnych pieśniach zaintonowaliśmy wszyscy pieśń: Święty Boże! święty mocny, święty nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami! Ten hymn kościoła naszego nieraz mię do płaczu pobudzał, a w tej chwili miał w sobie coś ogromnego. Młodzi około stołu oparci na dłoniach, podobni byliśmy do dawnych... naszych. Wystawcie sobie tę garstkę na obcej ziemi, a pewno uczujecie wrażenie, jakiem nas natchnęła ta pieśń pobożna. Nasze uczty połączone są ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach i kielichy są pełne goryczy, dopóki Bog ich od nas nie odwróci.

W tym miesiącu miałem kilka wieczorów; wprowadzony byłem do domu pani Wodzińskiej, która tu mieszka z synami i z dwoma córkami: starsza dorosła już panna, ale bardzo brzydka, gra ślicznie na fortepianie. Field, będąc tu, dawał jej lekcye i gra zupełnie Fielda metodą, więc jej gra bardzo mi była miła. Dwunastu młodych Polaków, uczących się tu na jednej pensyi, chcąc mię poznać, dawali dla mnie wieczór, na którym tylko sami chłopcy znajdowali się. Bawiliśmy się dosyć dobrze i gdyby nie zapytania, które mi ciągle robili: co ja myślę o Adamie? byłoby mi zupełnie miło między niemi; tańcowaliśmy szalonego mazura. Tych kilka wieczorów rozerwało mię trochę, zwłaszcza, żem jeszcze nic o naszem nieszczęściu nie wiedział.

Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 220 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc że moja młodość nie jest zupełnie straconą dla dobra ojczyzny mojej, przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko. Spokojne teraz wiodę życie. Sam jestem w domu z matką i córką Pattey; kochają mię jak syna i brata, podzielają wszystko ze mną, słowem, że mię Bóg do ich domu przyprowadził. Kiedyś, wróciwszy do mojej krainy, nieraz będę tęsknił może za tem cichem i teraźniejszem życiem; prawdziwie, że źle ulepione serce człowieka: przeszłość nie powinna się nam piękniejszą wydawać niż była.

Książki Kochanowskiego odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki ojca i twoje kilka wyrazów, mamo, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemiany i znajduję, że Treny są niezrównanej piękności. Uwagi ojca mego po większej części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczesny klasyczny a raczej francuski trochę obłąkał. W teraźniejszej poezyi Brodziń-

ski najczęściej się do Kochanowskiego zbliża, ale jest od niego niższy o 3 wieki. Oprócz tych dzieł nic więcej teraz nie czytam, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się Kordyan. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka znalazłem.

O mamo, czemuż nie jestem z tobą! Teofilu, Hersylko, dzięki wam za wasze słowa w liście; dzielę z wami całą boleść, bo uważam się jak wasz brat i brata prawdziwie mam do was przywiązanie. Chcę, abyście spokojnie na wsi osiedli i pozbyli się wszelkich trosk i nieprzyjemności. Niech się wam kłosy żółte do nóg kłaniają, niech w waszym ogrodzie rośnie [1]) a przyjdzie jeszcze z nieba między was jaki aniołek z błękitnemi oczyma, i usiędzie wam na kolana, i uśmiechnie się do was; a w domu waszym wiejskim, tak jakeście mi przyrzekli, zbudujcie mały pokoik z dwoma oknami na wschód i w ogrodzie zasadźcie aleję z kasztanów i jodeł na przemiany, aby mi przypominała aleję, po której teraz chodzę... o! gdybyście mogli górę Mont-Blanc z daleka w perspektywie postawić. Dziadunia mego rączki ode mnie ucałujcie. Mamo moja kochana! bądź ty spokojna i znoś nieszczęście z całą mocą duszy, bo cóż się ze mną stanie, jeżeli ty, mamo, boleścią zbytnią usuniesz się z tej ziemi. Matko moja! kiedyś wezmę cię za rękę i pójdziemy na cmentarz płakać i modlić się. Matko moja! pani i panna Pattey kilka razy widząc, że list piszę, przychodziły pod moje drzwi i wołały, abym nie zapomniał od nich tysiąc ci rzeczy powiedzieć. Panna Eglantyna płakała, dowiedziawszy się o nieszczęściu, które na was spadło; one także, matka wdowa i córka sierota, mają tysiąc zmartwień i nieprzyjemności, one

[1]) Brak wyrazu.

także nieszczęśliwe! Mamo moja, całuję ciebie z całej duszy, całego serca mojego!

Twój *Julek*

30.

Genewa, dnia 3 stycznia 1834.

Najdroższa mamo moja! Otóż znów dożyliśmy, czyli raczej przeżyliśmy rok cały. Nie wiem dlaczego, ale lata galopem przede mną uciekają: może to dlatego, że teraźniejszość uważam za czas czyścowej próby i odkładam do szczęśliwszych czasów używanie tego świata; dlatego nic mię teraz nie bawi, nie cieszy, zdaje mi się, że sobie przygotowuję przyszłość, ale ta przyszłość może nigdy dla mnie nie nadejdzie. Bo nie wszystkie moje przeczucia tak się sprawdzają, jak przeczucia nieszczęścia. Kiedym pisał list w dzień eksportacyi ciała mojej babuni, zalewałem się łzami, i panna Eglantyna po oczach moich czerwonych odgadła, żem płakał. Zdaje się, że mój anioł stróż przelatuje ciągle ode mnie do was i wracając znów do mnie, opowiada mi nieszczęścia. Mamo najdroższa, obiecujesz mi przysłać jaką pamiątkę, pozwól, że ci powiem, coby mi największą rozkosz sprawiło. Oto każ komu zrobić miniaturę z portretu, który niegdyś odmalował Klembowski, i przyślij mi ją: niechaj w smutnych godzinach patrzę na twarz twoją, niech sobie przypominam szczęśliwe lata cichego dzieciństwa. Czy pamiętasz, matko, że kiedy raz, jeszcze w pokoikach matematyków, służąca pytała mię, która z dam znajomych wydaje mi się najpiękniejszą, odpowiedziałem, że ty, mamo, jesteś najpiękniejszą ze wszystkich dam znajomych. Wiem, mamo, że we wspomnieniach moich znów jesteś taką, jakąś była w oczach dziecinnych. Panna Eglantyna śniła raz, o tobie, mamo, i potem opisywała mi twoją postać; były niektóre rysy

podobieństwa, ale co mię najbardziej zadziwiło, to jedna okoliczność jej snu: Weszłam, mówiła, do pokoju twojej mamy, który był nieco ciemny, tak jak zwykle bywają pokoje na r e z - d e - c h a u s s é e[1]). — Zdziwiło mię to bardzo, że osoba niewiadoma twoich pokoików, odgadła je; kto wie? może we śnie zupełnie rzeczywistość widziała.

Kochana mamo! żądasz abym ci radził względem naszych interesów; jedną tylko radę dać mogę: żyj, matko droga! żyj dla mnie i zachowuj twoje zdrowie! Chciej żyć, bo przekonany jestem, że wola robi cudy, przekonany jestem, że kiedy w dzieciństwie chorowałem śmiertelnie, nie lekarstwa, ale wola silna twoja i ojca mego wyrwały mię śmierci. Jeżeli zaś, matko robić będziesz rozporządzenia, wszystko twoje zostaw Teofilowi, bez żadnych na piśmie warunków. Teofila zawsze uważałem jako najlepszego mego przyjaciela: on łagodnością i dobrocią swoją był dla mnie bratem, ani mię odepchnął od siebie wymaganiem uszanowania, więc zyskał przeto, że go szanuję i kocham. Ufam jemu zupełnie, że mi z głodu umrzeć nie dopuści. Skoro zaś fundusze moje uszczuplą się, rzucę Genewę i pójdę gdzie żyć w wieśniaka szwajcarskiego domu — byle piękną naturą otoczony, nie dbam o zwierzęce wygody życia. Dziś nawet, mamo moja, gdybyś mi szczerze napisała, że interesa nasze wymagają tego, dziś nawet uskuteczniłbym ten projekt cichego życia w górach, albowiem nie widzę w tem ani upodlenia, ani śmieszności. Wierz mi, mamo, że nie odbierając długo listu od ciebie, kiedy najokropniejsza niespokojność mną miotała, ułożyłem ten projekt i mówiłem o nim pannie Eglantynie, a ona ani się śmiała z niego, ani go potępiała, jak szaleństwo... i tylko mię prosiła, abym nie zapominał, że ona mię uważa za brata a matka jej za syna.

---

[1]) Czyt. Re-de-szosé — parter.

Dzień pierwszy Bożego Narodzenia przepędziłem smutno: wszyscy domowi wyjechali na wieczór, zostałem sam w domu, ale nie sam zupełnie, bo właśnie w tym dniu odebrałem do poprawy 1-szy arkusz druku nowego poematu, który wydaję na świat. Na drugi dzień po Nowym Roku przysłano mi drugi arkusz; wkrótce spodziewam się, że wszystko mi wydrukują. Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką. Pracuję teraz ciągle, czytam bardzo wiele, rzuciłem się cały w filozofię niemiecką; pomimo wielu czczych marzeń idealizmu, karmi ona moją imaginacyę. O, gdybyście wiedzieli, jak mi się nasz kraj pięknym teraz wydaje! szczególniej Litwa, do niej kiedyś świętą zrobię pielgrzymkę.

Ledwo wierzyć mogę wieści o Ludwisi: niepodobną mi się wydaje. Jeśli Teofil kupi Hawryszówkę, będzie mi kiedyś miło odwiedzić go w tej wiosce, która tak pełna dla mnie smutnych wspomnień. Czasem marzę, że kupię u Michalskich Julinki i mieszkać w nich będę jak Kochanowski w Czarnolesiu. Prawdziwie, że gdyby taki domek i 2000 złotych dochodu, byłbym zupełnie szczęśliwym. Dziwisz się czasem, mamo, że siedzę na jednem miejscu i różnych krajów nie zwiedzam: otóż napiszę ci, że robię to z przymusu; oprócz Szwajcaryi, wszystkie kraje są dla nas zamknięte; z sąsiednich wam miejsc łapią nas, pakują na okręta (!) i wysyłają niechętnych do Ameryki. Pomimo chęci wojażowania, nie chciałbym z przymusu odbywać tej dalekiej podróży, zwłaszcza, że Ameryka nie jest tak miłym pobytem, jak nam się zdawało. Wielu wojażerów teraz pisało o niej, a z tych opisów pokazuje się, że jest to kraj pełny egoistów, ludzi, którzy nie mają żadnej imaginacyi i nieznośni są w pożyciu. Takiemi są przynajmniej Stany Zjednoczone. Z Drezna wszystkich Polaków do Anglii wysłano. Nie wiem, co się z Odyńcem stało, bo przerwałem z nim wszelką korespondencyę. Mic-

kiewicz przetłómaczył „Giaura“ Byrona i wydaje go. Ukazał się był na chwilę nowy talent poetyczny, Garczyński; wydał 2 tomiki poezyi, w których było wiele pięknych rzeczy, a więcej jeszcze nadziei, ale nieszczęściem suchoty zniszczyły go i umarł... Ciągle wzdychał do Neapolu i miał nadzieję, że tam dojechawszy, uzdrowi się, ale nieborak w drodze w Avignonie [1]) życie zakończył.

To dziwnie, że ci, którzy w kraju żadnej skłonności do suchot nie mieli, tutaj za granicą dostają ich; inni zaś, którym w kraju niebezpieczeństwo groziło, tu są zupełnie zdrowymi. Przykładem ostatnich jestem ja sam: piersi moje wzmocniły się zupełnie, nawet oddech stał się dłuższym i pełniejszym. Prawdziwie ręka Boska jest nad każdem stworzeniem. Śliczny klimat tutejszy zachwyca mię: dotąd raz tylko śnieg, padał, ale tak lekko, że śladów na ziemi nie zostawił; dzisiaj najpiękniejsze świeci słońce, w ogrodzie uzbierałem bukiet fiołków; szron rannego przymrozku stopniał na nich i zamienił się w brylantową rosę.

Na Nowy Rok było u nas kilka osób. Zwyczaj tu jest na Nowy Rok dawać różne podarunki, damom najczęściej dają się cukierki. Ładne panny odbierają ich tyle, że potem kilka miesięcy karmią się niemi jak kanarki. Odebrałem jeden prezent tylko, i to od panny Eglantyny; dała mi wyszyte przez siebie włóczką pantofle, na czarnem dnie dwie gałązki koralowe. Mężczyzni tutejsi często także haftują włóczkami; takie jest najulubieńsze zajęcie męża młodszej córki pani Pattey, bankiera tutejszego. Córka pani Pattey z czworgiem dzieci i z mężem mieszka z nami przez zimę, i co wieczora albo oni do nas albo my do nich schodzimy na wista; dosyć dobrze gram teraz i grając po trzy sous punkt, nie mogę się ani zbogacić ani zruj-

[1]) Czyt. Awinionie.

nować przez jeden wieczór, ani nawet przez całą zimę. Wist, czytanie i dumanie zapełniają wszystkie godziny życia mego i mogę powiedzieć, że taka cisza koło mnie, że słyszałbym głos od was.

Nie dziw się więc, mamo droga, że listy moje tak nudne i puste: biała karta papieru mogłaby być godłem mojem, tłómaczem i najlepszym dziennikiem. Adieu, droga mamo! do zobaczenia się, adieu! Twój syn, który cię za wszystkich kocha. *Juliusz.*

Panna Eglantyna zapisała ćwiartkę, którą w liście posyłam.

31.

Genewa, dnia 20 lutego 1834.

Najukochańsza mamo moja! Od dnia do dnia ociągałem się z tym listem, albowiem co chwila spodziewałem się od was jakiego słowa. Od dwóch miesięcy tak czekam w wielkiej niespokojności; myślą rozbieram różne prawdopodobieństwa, a czasem jak talizman jaki powtarzam mamy przysłowie: „jakoś to będzie.“ Smutne to życie przepędzam w tak ciągłej niespokojności. Jakiś autor angielski powiedział żartobliwie, że człowiek, oddawszy się ciągłej samotności, zamienia się w ostrygę; otóż ja wkrótce, jak mi się zdaje, dam przykład takiej metamorfozy; oby przynajmniej nie w ostrygę, ale w perłową zamienić się konchę. Przez całą tę zimę nie przyjąłem żadnego zaproszenia na bale, bo mię nudzą. Byłem tylko na kilku małych wieczorkach, na których główną zabawą jadło i picie: o godzinie 7-mej zaczyna się kolacya, zasiadają damy i mężczyźni około stołu pełnego szynek, jendyków (!) zimnych z truflami i ciast cukrowych, któremi Szwajcarowie nad innymi narody celują, i przy takiej kolacyi trzeba siedzieć aż do godziny 11-tej czasem; potem tańce. Dwadzieścia już z górą osób płci obojej uczyłem z różnym skutkiem tańcować mazura, ale ża-

den mężczyzna nie umie ani w takt biegać, ani à propos uderzyć w podkówkę: widać więc, że do mazura potrzeba wrodzonej skłonności, to jest geniuszu, nie zaś talentu. Na jednym z tych wieczorów, gdzie było wielu starych tatusiów, wzięto się do dawnych szwajcarskich tańców, i te możeby się bardzo niektórym z waszych podobały: oto jedna osoba staje pośród sali, inne zaś biorąc się za ręce, kołem kręcą się koło niej, śpiewając starą piosnkę, najczęściej śmieszną; stojący w kole wybiera jaką damę i całuje ją w twarz, a dama taki tryumf odniósłszy, idzie do środka i znów czeka, póki kręcące się koło nie skończy drugiej strofy piosnki, a po skończeniu jej całuje mężczyznę itd. Taniec ten wybornie maluje dawną prostotę Szwajcarów; otóż i ja byłem w takiem kole, ale nie lękajcie się: zwyczajem naszym damy w rękę tylko całowałem, a to podobno, po głębszem rozważeniu rzeczy, czyniłem dla tego, że między damami żadnej dosyć ładnej nie było.

Spojrzałem przez okno; wnuczki pani Pattey bawiąc się na dziedzińcu, krzyczą na mnie: Lulli méchant[1]). Lulli jest to moje imię, dawane mi przez dzieci; najstarsza córeczka, 6 lat licząca, jest moją żoną; w wieczór kładąc się spać, biegnie do drzwi mego pokoju i krzyczy: bonsoir[2]), Lulli a czasem przynosi mi bukiet fiołków. Spodziewam się, że mama pobłogosławisz temu związkowi. Staram się różnymi talentami umeblować głowę mojej żony i uczę ją rysować: już stawia kółka na papierze, używam bowiem metody krzemienieckiej; co do innych nauk, opowiadam jej o stworzeniu świata i już doszedłem aż do potopu; widzicie więc, że wkrótce całą historyę powszechną przejdziemy. Co do kobiecych robót, donoszę wam, że mi żona obrąbiła całą chustkę do nosa. Chociaż smutne są okoliczności, niedawno śmiałem się do rozpuku:

---

[1]) Czyt. Liulí meszan. — Lulli niegrzeczny.
[2]) Czyt. Bą-słar — dobry wieczór.

przysłano mi bowiem z Paryża wiersze poety z muzyką poety, z tłómaczeniem francuskiem poety, a tym poetą jest pewien ksiądz Praniewicz, Baka naszych czasów; na karcie 72 i 73 znajduje się o mnie strofa po polsku i po francusku do muzyki zastosowana, która brzmi w obu językach jak następuje:

Pięknie Słowacki w swym kwiecie
Już za krajem się ujmował,
Rzekł: masz i medal Lafajecie,
Byś tylko Polskę ratował.
Czacki za krajem wylany
Dochodził tegoż losu bez odmiany.

Słowacki dans sa jeunesse
Defend deja son pays,
De medaille il fait largesse
Ce qui bat ses ennemis.
Czacki le sage aurait pour la patrie
Sacrifie ses biens comme sa vie [1]).

Upewniają mię korespondenci, że ta strofa jest jedną z najlepszych w całem dziele i że Homer w niej nie śpi. Piszę ją dla tego, aby ciebie, moja mamo, choć na chwilę rozśmieszyć. Co do mego poematu, dotąd jeszcze nie wyszedł na świat, ale za kilka dni dopiero ukaże się.

Niepewność o was wprawia mię w taką otrętwiałość względem innych celów mego życia, że o niczem myśleć, niczem się cały zająć nie mogę. O mamo droga, czy dla nas już żadnej nie ma nadziei? Odbierając takie próżne listy, może pomyślisz, mamo moja, że ci szczegółów życia nie piszę; wierz mi, moja droga, że od dwóch miesięcy nie było dnia, któryby się od innych dni w życiu mojem odróżnił. Kolorem głównym dni moich jest teraz ciągle wzrastająca niespokojność: ta

[1]) Czyt. S . . . dan sa żenesse Defan deża są pei. De medaj il fe larżesse Sy ki ba sez-ennemi. Czacki le saż ore pur la patri Sakrifie se bię kome sa wi.

budzi się razem ze mną i czarniejsza jest, ile razy czas mglisty i smutny dopomaga splinowi.

Dzięki Bogu śliczne tu dnie mamy, ledwo raz śnieg się pokazał; murawa ogrodu ciągle zielona jak szmaragdy, ogród pełny małych jodeł, ciągle ma przyjemną postać. Fiołki zawsze kwitną. W takim czarującym kraju potrzeba mieć tylko serce napełnione i spokojne; ani jednego, ani drugiego nigdy w życiu nie miałem. Braknie mi wiele, a nadewszystko braknie mi przyjaźni; ostatnia próba Michał odstręczył mię od niej, a co dziwniejsza, że zostawił mi w sercu jakieś przywiązanie do siebie, którego nawet brakiem szacunku zatrzeć nie mogę. Jaki on musi być nieszczęśliwy w swojem więzieniu: tyle talentów i tyle wspomnień skalanych! Czy rodzina wie o tem?

Jakże się Teofilowi powodzi z nabyciem Hawryszówki? powinien tak postąpić, jak zamierzył. Niech będzie podporą naszą, a za to niech mu Bóg błogosławi we wszystkiem. O gdybyście wiedzieli, jak tu ludzie są szczęśliwi, jak spokojni: nędzy nigdzie nie widać, nigdzie uciemiężenia, wszyscy w spokoju spożywają kawałek chleba; płakać powinniście, myśląc o tem.

Jest tu teraz w Genewie Regner, ten sam, który był guwernerem przy Ogińskim młodym; samo imię jego przypomniało mi wiele rzeczy, tyle razy słyszałem je powtarzane w mojem dzieciństwie. Z nikim tu nie żyję, nie mam siły poszukiwać zabaw, bo mi trzeba szczęścia; zdaje mi się zawsze, że musi kiedyś nadejść.

Pani Pattey i panna Eglantyna ciągle mi dają dowody swojej przyjaźni; jestem z niemi, jak z krewnemi, największa delikatność pokazuje się w ich postępowaniu ze mną. Z tego wszystkiego wnoszę, że Bóg dotąd mną się opiekuje i dzięki mu za to składam, ale nie codziennie, wtenczas tylko, kiedy do łez jestem wzruszony czy to przez nadspodziewane szczęście, czy przez spodziewane oddawna nieszczęście. O moi mili,

uspokójcie mnie, każda pewność znośniejszą będzie od tego stanu, w jakim teraz zostaję.

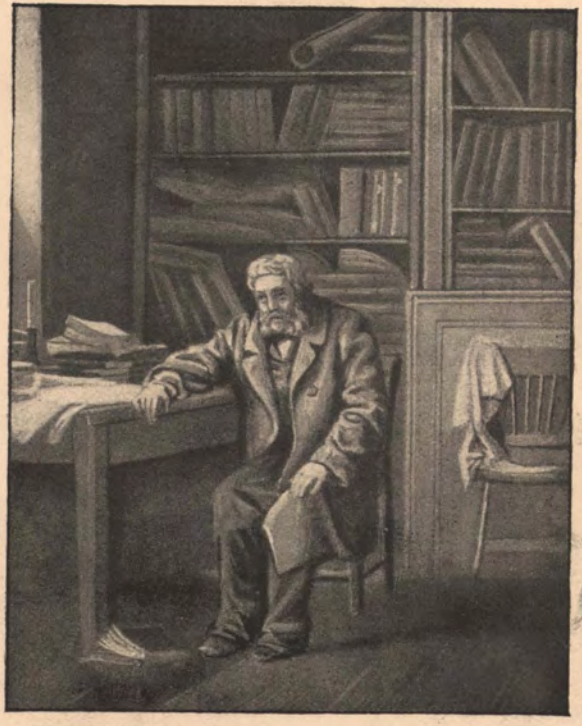
Zbliża się wiosna, znów mnóstwo nowych figur przesunie się przez nasz dom; wszystkie te chwilowe znajomości podobne są do widm we śnie widzianych, zaledwo myśl zatrzymuje pamięć ich rysów. A ja zaś dla nich muszę być podobny do kamiennego słupa na drodze, przy którym zatrzymują się, starają się wyczytać niezrozumiany często napis i ruszają dalej w drogę.

Adieu, matko moja! Całuję ciebie i was wszystkich po tysiąc razy. *Juliusz.*

32.

Genewa, dnia 24 marca 1834.

Kochana mamo! List mój uprzedni pisałem w niepewności i niespokojny o was, wina to była tutejszych ludzi, którzy czekając na zgłoszenie się moje, znać mi nie dali i tak miesiąc mię trzymali w zawieszeniu. Nazajutrz po odebraniu daru twojego doszedł mię list drugi; wystawcie sobie radość moją, zdawało mi się, że o kilka mil tylko od was jestem, że codzień piszemy do siebie, i takie omamienie było rozkoszne, jak rozkoszne, to wystawić sobie nie możecie. Pierwszy list, rozpaczający napełnił mię także rozpaczą... Prawdziwie chyba głową bić o mury: tak trudno żyć, tak niepodobne do przezwyciężenia trudności w życiu! O gdybyś, mama, tak jak mówisz, mogła się zabrać ze wszystkiem, to żylibyśmy gdzie spokojni w jakiem taniem miasteczku Szwajcaryi, spokojni o siebie i o przyszłość; mówisz, mamo, że mię nie chcesz pozbawiać swobody; czyż ty mię, mamo, zawsze bierzesz za owo marzące i kapryśne dziecko, które ciebie tyle razy udręczało. Dawniej byłem jak mały ptaszek niespokojny w gnieździe, chciało mi się spróbować skrzydeł; dziś przeleciałem wiele drogi i prawdziwie, że jestem znużony.



Joachim Lelewel.

Czwarte dziecię moje wyszło na świat, nie wiem jeszcze nic o zdaniach, ani go wam posłać mogę, a to dla wydarzeń, jakie tu zaszły, do których się nie mieszałem, a które zwracają uwagę na to, co z tej ziemi wychodzi. O mamo, wierz, że najszczęśliwsza chwila dla mnie była ta, gdyś pierwsze moje książki otrzymała, teraz tylko rozwaga hamuje mię.

Ponieważ o wszystkich moich czynnościach donosić ci zamierzałem, otóż donoszę ci, mamo, że teraz zajęty jestem pisaniem nowej tragedyi o Wallasie, szkockim rycerzu. Wiesz, co mię do niej przywiodło. Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą: przypomniało mi się, że niegdyś w dzieciństwie, kiedyś mię, mamo, do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz Wallasa życie.“ Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie na moją imaginacyę. Wystawiłem sobie coś podobnego do burzy, która wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd. W kilka lat potem czytałem romans: Les Chefs Ecossais[1]). Mama wtenczas grałaś na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedyi nie romansowo, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka, ale układając tragedyę i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca, aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty. Tragedyę tę poświęcę pamięci Jasia. Napisz o tem, mamo, kochanemu Teofilowi. Zobaczycie, że będzie jeżeli nie dobra, to przynajmniej niepospolita.

Otóż widzisz, mamo, że ja zawsze taki sam. Ciągle układam kamyki na własny grobowiec, a życie pusz-

[1]) Le széf-ecosé — Wodzowie szkoccy.

czam mimo siebie. Wszystkie przyjemności życia mijają mię i obchodzą kołem, mówiąc, „nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy.“ O mamo! ale ja jestem szczęśliwy tak jak jestem, i czasem nie mogę zrozumieć, jak inni ludzie bez takich wrażeń żyć mogą; zdaje mi się, że chleb, który spożywają, musi pachnąć nicością. Piszę i chodzę po ogrodzie i tak całe długie dnie mi spływają; śliczny czas mamy, słońce, listki na drzewach pokazują się, a murawa już okryta białymi kwiatkami wiosny; sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą i zdaje mi się, że czuję ją do głębi jej duszy.

Ostatnich tych dni mieliśmy wielki wieczór w domu, salony dwa otwarte, oświecone, napełnione kwiatami, piękny przedstawiały obraz. Było wiele dam i trzech moich ziomków; młode chłopcy zgrabnie się wydają przy ciężkich tutejszych tancerzach. Szał mazurka opanował wszystkich, wszyscy się uczą mazurka i wszyscy prawie już tańcują, ale niektórzy dosyć śmiesznie się wydają; bawiliśmy się do dwunastej, bo jest prawo zabraniające dłuższych nad północ zabaw: dziwne prawo, które pokazuje, jak tu jeszcze patryarchalne życie. Weselne tylko gody mogą się dłużej w noc przeciągnąć, inaczej, za przestąpienie prawa trzeba pieniężną, dosyć znaczną karę zapłacić. Matko moja! mam ci wielką wdzięczność, żeś czuwała nad mojem światowem ułożeniem, że nie tańczę jak niedźwiedź, że mogę zagrać tańczącym na fortepianie. Ach, za wszystko, mamo droga, mam tobie wdzięczność; dotąd wszystko mam od ciebie tylko a nic od ludzi, dotąd jeszcze w rzeczach najpotrzebniejszych widzę twoją rękę; dotąd chodziłem w koszulach, które miałem od ciebie, i dopiero teraz, gdy się podarły, sprawiam sobie nowe za pośrednictwem pani Pattey, która zna się na tem; mała to rzecz, ale wiesz, mamo, że mię smuci rozłączenie się z dawnemi mojemi koszulami. Wszyst-

ko, co otacza człowieka, odmienia się jak liście na drzewie; wkrótce oprócz kilku książek nic nie będę miał z kraju, nic dawnego przy mnie nie zostanie, a jeszcze za lat kilka nic oprócz kilku książek nie zostanie po mnie.

Teofil prosi mię, abym kiedy pamiętał o synie Jasia, jeżeli pomocy mojej potrzebować będzie; ach, bądźcie pewni, że nigdy nie zapomnę o tym świętym długu, który rodzina nasza względem Stasia sieroty zaciągnęła, i jeżeli będę w stanie, to roję sobie często, że Stasia małego wezmę do siebie, dam mu wychowanie, pozbawione wszelkich przesądów i obrębów, aby kiedyś mógł być chwałą kraju. Z jakąż rozkoszą miałbym go przy sobie, zdaje się, że wkrótce przywiązanie do tego dziecka napełniłoby serce moje. Często rozmyślam, jakbym w jego głowie wiązał nauki w jednę budowę, nie tak jak one u nas pomieszane kładą w głowę przepełnioną dziecka.

Mamo kochana! Otóż u nas w niedzielę Wielkanoc, u nas święto największe pamiątek; tu w protestanckiej ziemi ledwo uważane. Otóż mam do ciebie prośbę, mamo, prośbę dosyć śmieszną, abyś mi przysłała przepis b a b naszych, ale przepis bab prawdziwych, z szafranem i bez szafranu, z opisem, jak ma być piec gorący, kiedy je kłaść do pieca itp. Mają tu doskonałe cukierki i ciasta, ale ja zawsze o babach gadam, tak jak niegdyś Jan Śniadecki o paryskich brzoskwiniach; więc się babom zachciało widzieć baby, wiedzą bowiem, że to ciasto żeńskiej płci nosi nazwisko. Byłem tymi czasy u pani Wodzińskiej na wieczorze, o której podobno już raz wam pisałem. Ta chciała koniecznie na swoim stole mieć babę, ale jej zrobić nie umiano. Kosielski, kiedy tu był, wyćwiczony w kulinaryjnej sztuce, uczył pasztetników tutejszych różne ciasta robić, dotąd go kuchciki z uwielbieniem wspominają; jadłem w lecie melszpajs, który on robić nauczył, a jeżeli sława przyjemna, to niech wie, że jedno

ciasto nazywają u Werassa, pierwszego pasztetnika, Le baba de Kosielski; żaden wieczór panny Eglantyny nie obejdzie się bez tego baba de Kosielski.

Panna Eglantyna i jej matka kazały mi tysiąc i tysiąc czułych rzeczy powiedzieć tobie, mamo! Prawdziwie, że szczerze interesują się twojem zdrowiem i powodzeniem. Co do mnie, ledwo nie powiem, że już musisz ty prosić Boga, aby ja zachorował, a to, aby mi dać dowody swojej troskliwości i przywiązania, które w innych okolicznościach nie w wielu miejscach na scenę wystąpić mogą z równym blaskiem: ale ja żartuję a oni szczerze mię kochają.

Byłem tego miesiąca kilka razy na teatrze; dziwię się, że mię teraz teatr nie bawi. Chciałbym usłyszeć na nim ludzi mówiących po polsku, zdaje się, że rozmowy innym językiem prowadzone nie interesują mię, a potem, tragedyi tu nie grają, opery tylko i wodwile: pierwsze źle dosyć mi się wydają po paryskich, i aktorski trudnem przełamywaniem trudności dręczą zawieszoną uwagę; co do drugich, to jest wodwilów, uważam je za najgłupsze wynalezienie Francuzów: ani w nich serca, ani wesołości, ani muzyki dobrej nie ma, wolę proste i szczere farsy, takie jak nasze Damy i huzary. — Wiesz mamo, że we Francyi jest teraz nowa autorka, która wkrótce panią Stael zaćmi: jest to rodzaj Byrona w spódnicy, to jest Byrona w prozie; nie wiadomo dotychczas z pewnością jak się nazywa, bo się ukrywa pod męskiem imieniem Georges Sand[1]), ale pewnie jest kobietą; niektóre dzienniki pisały, że się nazywa pani Dudevant.[2]) Napisała trzy romanse prześliczne: 1. Indiana — 2. Valentine[3]) — i teraz 3. Lelia; — pierwsze

---

[1]) Czyt. Żorż San.
[2]) Czyt. Diudewan.
[3]) Czyt. Walantin.

dwa prześliczne, ostatni dziwny i bardziej do poematu, niż do romansu podobny. Otóż to jest literacka wiadomość, która damy powinna interesować. Staraj się, mamo, przeczytać który z jej romansów, a mianowicie który z dwóch pierwszych.

Donieś mi nieco, mamo kochana, o osobach znanych mi w szkolnym czasie mojego życia; Fortunata uściskaj ode mnie i powiedz, że dotąd wspominam nasze niegdyś rozmowy. Teofilów w liście pisanym do nich pozdrów, mamo, niech cierpliwie znoszą dolegliwości tego świata. Adieu, droga, najukochańsza matko moja, niech wiosna owieje ciebie miłym powiewem zdrowia, niechaj topola botanicznego ogrodu szemrze listkami, kiedy spoczniesz na wzgórzu, gdzieśmy razem siadali; o jakże to być musi smutnie, patrzeć z góry na te (!) miasto ciche i nieszczęśliwe!

Całuję ciebie, droga, najdroższa; włosy twoje i babuni chowam święcie i wdzięczny ci jestem, matko droga, za ich przysłanie. Adieu.

Juliusz.

33.

Genewa, dnia 27 kwietnia 1834.

Najukochańsza, najdroższa mamo! Wiosna! dziś w nocy spadł deszcz wiosenny, wszystkie drzewa rozwinęły się; chodziłem po ogrodzie i ustami piłem pachnące powietrze. Czy to deszcz wiosenny, czy jakiś anioł stróż, przyniósł mi tej nocy sen o was: śniło mi się, że byłem w dawnem dziadostwa mieszkaniu, przy tobie, mamo droga, układaliśmy sobie rodzaj życia; ponieważ nie mogłaś mi dać osobnego pokoiku, postanowiłem był nająć sobie mieszkanie blizko w innym domu. Kiedym się do mojego apartamentu wynosił, mama mi powiedziałaś, że mi przyślesz służącą, nie służącego. Długo we śnie zastanawiałem

się i ciekawy byłem, czy mi też, mama, przyślesz ładną dziewczynę i nie wiem jak się skończyło. Dzięki temu snowi, że mi wasze twarze pokazał, chciałbym był, obudziwszy się, znaleźć ten sen odmalowany na firankach łóżka i schować, a przynajmniej drugi raz obaczyć. A propos firanek, wiedzcie, że wszędzie tu i w innych stronach śpią pod firankami ludzie, i dziwią się, jak my barbarzyńcy inaczej spać możemy. Z razu firanki były mi obojętne, teraz przyzwyczaiłem się do nich, lubię i kiedyś, wróciwszy starym kawalerem, będę miał łoże z firankami i fontaziami, jak niegdyś Jan astronom.

Chciałem tej wiosny pojechać do Clarens[1]) i w miejscu gdzie Heloiza żyła, przeżyć kilka miesięcy, zwłaszcza, że było to dobrze na moją kieszeń. W Clarens bowiem trzeba mieszkać u wieśniaków, więc można mieszkać tanio. Nieszczęśliwe polityczne wypadki, do których się bynajmniej nie mieszałem, nie pozwalają mi ani w prawo, ani w lewo: miejsce gdzie teraz jestem, mogę w pewnym względzie za rozległe uważać więzienie; nie pojmiecie tego, jak nam źle, jak nigdzie przytułku nie ma. Śpiewajmy: ja więc śpiewam, mój śpiew ostatni jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jednem z pism po francusku wydawanych czytałem o nim zdanie i rozbiór, pochlebne o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może, a tą przeciwną mi partyą są nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam, od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem. Wielu jednakże w Paryżu przypisuje pieśń moją Adamowi; oto wyjątek z listu do mnie pisanego: byłem przytomny jak Ogiński atakował Adama i kiedy ten się wypierał, że nie jest autorem dzieła i że nie wie o niczem, odrzekł: to przynajmniej wiemy, że pan chce to mieć tajemnicą. — W drugim li-

[1]) Czyt. Klaran.

ście pisze mi jeden ze znajomych: Z Memla, dokąd egzemplarze posłałem, piszą mi o Kordyanie z wielkiem uniesieniem i biorą to za pracę Adama. — Z tych dwóch doniesień widać, że w wielu miejscach bezimiennie wydaną moją pracę przypisują innemu; znając uprzedzenie naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka. Ach, kiedyż będę wiedział wasze zdanie?

Prawdziwą rozkoszą dla mnie są obaj Kochanowscy; codzień odczytuję ich dzieła. Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swej chacie, z żoną, z dziećmi; pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać, i do tej lipy tak piękne wiersze napisał; prawdziwie mu zazdroszczę jego chaty, lipy, żony, dzieci i czasów szczęśliwych, w których żył... Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego, abym w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył; dotąd już tyle w nauce tej postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniony przez godność natury człowieka. Zewsząd widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności próżno się o zewnętrzną starają.

Moja gospodyni, którą miałem za dosyć szczęśliwą, pani Pattey, ma tysiąc nieprzyjemności, i nawet proces miała tej zimy z właścicielem domu, w którym mieszka; proces ten, przez wielkiego łajdaka wytoczony i bez żadnej słuszności, wygrała pani Pattey, ale zdrowie jej pogorszyło się znacznie skutkiem ciągłych frasunków. Dobra to bardzo kobieta; kilka słów mamy przyjęła z niejakiemś oburzeniem, ale tylko z tej przyczyny, że smutno jej było, żeś ją (!) mama z moich listów lepiej nie poznała i żeś sądziła potrzebnem prosić ją o przychylność dla mnie. Zawsze jednak twój listek był jej miłym. Możesz, mamo kochana, odtąd nie do mnie, ale do niej pisywać, to jest początek

zapisania do niej odsyłać; będzie mi to bardzo miło, bo imię moje trudne do wyczytania i niepewne.

Żadnych tu prawie od was nie mamy wiadomości. Niedawnemi czasy w jednej z gazet czytałem, że Kukolnik, Paweł zapewne, wystawił na teatrze stolicy swoją tragedyę, i że ją z oklaskami przyjęto; zapewne nie ta sama, którą mi niegdyś z takim zapałem, skacząc po pokoju, opowiadał. Widzicie więc, że nie poznaliśmy się na wielkim poecie a dalibóg, może on i miał talent. To naucza, aby nigdy z uprzedzeniem nie potępiać.

Moje życie tutaj zawsze jednostajne i spokojne, cały tydzień jest niedzielą: lecz jeżeli nie mam przymuszonych zatrudnień, to mam dobrowolne i nie nudzę się nigdy. Czasem w dzień dżdżysty wyjmuję z szuflady dawne moje korespondencye, a małe różne świstki papieru wiele mi przypominają. Żałuję zawsze listów Olesi, zostały w moim tłumoku, w którym była szkatułeczka Pawła. Między innemi, łzy wyciskającemi relikwiami chowam małą książeczkę Ludwika Spitznagla, pełna dziecinnych rysunków i wierszy. W sztambuchu moim dziecinnym mam was wszystkich; połowa napisów w tym sztambuchu już do umarłych należy; jak wcześnie!

Kochana mamo! jak mi smutno, że nie mogę sobie wystawić twojego nowego pomieszkania: nie wiem nawet, na której leży ulicy, czy tam, gdzie Beaupré mieszkał za mego pobytu w Krzemieńcu? Czy z okien twoich widać zawsze górę zamkową, ową górę, do której nieraz przystosowywałem owe (!) zdanie Sienkiewicza: że ściga ludzi jak sumienie. — Powiedział on to o górze Mont-Blanc i prawdziwie powiedział, choć takie naciągane porównania są tylko wyskokiem dowcipu, ale nie mają w sobie nic pięknego. Górę Mont-Blanc widzę co dnia z moich okien; przez te kilka dni księżyc w pełni wschodził za tą górą: nie możecie sobie wystawić jak to smutno i pięknie, kiedy

noc czarna, kiedy samotny w moim pokoju, otwieram okno i czuję zapach wiosenny liści, i słyszę słowika w alei ogrodowej, a potem widzę zwolna wschodzący za górą księżyc. Uczucia, których wtenczas doznaję, można zamknąć w tych dwóch wyrazach: smutno i cicho. Dziś księżyc wschodzi około 2-giej w nocy, więc go czekać nie będę. Lubię bardzo teraz kwiaty i teraz bukiet żółtych pełnych fiołków i lewkonii mam przed sobą na trójnożnym stoliku, na którym piszę do ciebie mamo. O jak my kiedyś będziemy z tobą sadzili kwiaty i drzewa, matko moja. Po wygranym procesie ogród będzie należał do pani Pattey: robimy więc już projekta z panną Eglantyną, aby się zająć sadzeniem i zbieraniem kwiatów; będę chował nasiona, to kiedyś może w naszej ziemi zasieję.

Chcieliśmy tu bardzo o Wielkiejnocy zrobić babę potężną, ale napróżno tłómaczyłem im sposób pieczenia bab naszych, napróżno rozkładałem całą moją imaginacyę na części, z których się składa, nie chcieli się za mojem sternikowstwem puszczać na morze doświadczeń, i baba dotąd w Szwajcaryi nie zakwitła. Przyślijcie mi opis tych piramid egipsko-polskich, abym mógł je postawić na złość górze Mont-Blanc, oko w oko z tą górą. Ludzi tutejszych tak góry znudziły, że na półmiskach zawsze kładą równiny placków; zdaje się że w charakterze każdego narodu takie są kontrasty. Uważaj to, mamo, za głębokie psychologiczne spostrzeżenie, jedno z tych które zebrałem na wojażach ku oświeceniu ludzi.

Pisesz mi, mamo, żeś smutno przepędziła karnawał; ja także nie byłem na żadnym wieczorze, ale też zrozumieć nie mogę, aby się kto teraz bawił. Trzeba Bogu dziękować, ilekroć w łasce swojej nie rozpacz ale smutek tylko zsyła na nas. O, byleś ty, mamo, była spokojną, zdrową, to moje życie, wyznam, prawdziwą łaską Boga.

Droga mamo, muszę w tym liście zostawić miejsce pannie Eglantynie, bo chce koniecznie odpisać tobie na twoje słów kilka. Kocha cię ona bardzo i nieraz mówi, że do ciebie pojedzie i będzie się starała syna zastąpić, a przynajmniej ulżyć ci, mówiąc o twoim synie. Droga mamo, całuję ciebie z całej duszy i z całego serca mojego. Matko moja, ty nie wiesz, ile przez to oddalenie zebrało się w sercu mojem łez i miłości dla ciebie, tak że serce mi cięży, że chciałbym gwałtownie upaść na kolana u nóg twoich i płakać. Adieu.

Juliusz.

34.

Genewa, dnia 6 czerwca 1834.

Najdroższa! najukochańsza! Odebrałem dwa pisma: pierwsze napełnione wyciągiem listu wieśniaczego Fortunata, który mi się wydawał prawdziwym fortunatem, skoro żyje tak spokojnie i cicho w małym glinianym domku. Drugi twój list, mamo droga, trzy razy łzami oblałem, rzewnemi łzami, po których doznałem jakiegoś uczucia, które mię przeniosło do dawnych lat dziecinnych. O, jak często zasypiałem wtenczas znużony płaczem; dziś smutek mój ma jakąś twarz i zimność bronzową i trzeba mi chyba tak mocnego wzruszenia, jakie na mnie twój list wywiera, abym odmłodniał płaczem. Kiedym twój list, matko droga, czytał, zdawało mi się, że chodzę z tobą po botanicznym ogrodzie, że widzę księżyc i słyszę głos twój, i słyszę imię Julka. Powtarzałem po kilka kroć do siebie imię moje własne, próbując, czy go twoim matczynym głosem nie wymówię. Mamo droga, jaki twój list piękny i smutny: przechodziłem z tobą koło pustej furtki naszego dawnego mieszkania, patrzyłem twojemi oczyma na kościół pusty pojezuicki i szukałem myślą osieroconej ławki, ławki babuni. Mamo moja, co raz mo-

cniej wierzę w przyszłe życie, bo cała rodzina nie może się tak rozejść po samotnych grobach bez pożegnania i bez nadziei zobaczenia się.

Jestem teraz samotniejszy niż kiedykolwiek. Panna Eglantyna wyjechała przed 5-ma dniami do Paryża, gdzie na nią jej wuj czeka i dziwy paryskie chce jej pokazać. Odjazd jej bardzo mi smutny, bo ona szczerze do mnie przywiązana, jak siostra i bardziej może niż siostra. Nie uwierzysz, mamo, jak smutny mi był ranek jej wyjazdu. Miała odjechać o godzinie 4-tej z rana, przyrzekłem więc, że ją o 3-ciej obudzę: jakoż nie położyłem się spać i czytałem, leżąc na kanapie do godziny 3-ciej. Srebrne jakieś światło porankowe oblało drzewa i murawy ogrodu, przeszedłem przez pokoje i stukaniem do jej drzwi obudziłem ją. Ty wiesz, mamo, jaką posępność ma w sobie chwila odjazdu. Ubrała się, wyszliśmy z domu przez rozwidniający się ogród; wschód słońca blaskiem złocił się, ptaszki śpiewały i zimno poranku przejmowało jakiemś dziwnem elektrycznem drżeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórku, na którym staliśmy, czekając powozu. Z tego wzgórka widać było całe błękitne jezioro, za nim śnieżne góry, nad któremi wstawał ze snu biały Mont-Blanc. Eglantyna płakała jak dziecię; ja byłem takim, jakim mię często, mamo, widziałaś, z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia, każda chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którem całe moje smutne życie widzę w zmieszanych kolorach. Zaszedł wreszcie powóz, wsiadła do niego a ja zostałem sam jeden, jak słup na zielonej murawie, patrząc na ozłocone niebo. W kilka chwil potem wzeszło słońce: naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi i wahały się, przelewały, aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. O godzinie 5-tej wróciłem do siebie, pozamykałem okienice i dziwnie posępnego wrażenia doznałem, widząc na kana-

pie rozrzucone książki, które chwilą przedtem czytałem i które porzuciłem w nieładzie, idąc zbudzić pannę Eglantynę. Zdaje mi się, mamo kochana, że ty pojmiesz, co było smutnego w tym powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin. Po wyjeździe Eglantyny smutno mi było bardzo. Ona miała nade mną jakąś panującą władzę siostry. Kiedy mię list jaki zasmucił, jaka wiadomość zła zgryzła, ona umiała z twarzy mojej wyczytać smutek i zawsze jej się umiałem wyspowiadać, a po spowiedzi lżej mi było.

Teraz po ostatnim twoim liście, mamo droga, już od trzech dni jestem ponury; ten list gryzie mi serce i nikt się ze mną nie smuci, nikt mię o nic nie zapyta. Nie mogę sobie wybić z głowy tego pieska, który się przy twoich nogach, mamo droga, kładzie i tuli do ciebie; on zabiera miejsce syna twego. O mamo, gdybym kiedy mógł usiąść przy twoich stopach i położyć czoło na twoich kolanach, i pomyśleć o tym świecie, który teraz przebiegam.

Wiele zamorskich figur przemija teraz koło mnie: jaskółki angielskie rozpoczęły swój przelot na południe, i teraz dwie damy i jeden Anglik mieszkają w domu Monthoux[1]). Nie możesz sobie wystawić, jak ci wszyscy wojażerowie są głupi, jak wszystkim czegoś nie dostaje: jeszcze nie widziałem w domu naszym do rzeczy człowieka, ani przynajmniej kobiety; z żadnym nie można mieć rozmowy interesującej, wielu Anglików nie czytało Byrona, inni o nim jak przez sen gadają. Cóż dopiero zapytać się ich o europejskiej literaturze. Dwie damy, które są w naszym domu, prześliczne z twarzy, z urody, ale już mię piękność ich gipsowa doskonale znudziła. Chciałbym, żeby przez dzisiejszą noc zbrzydły a nabrały dowcipu i przyjemności, ale one zapewne nie chciałyby takiej metamorfozy.

---

[1]) Czyt. Mątu.

W Genewie od mojego pobytu przybyło (!) dwa cuda: postawiono długi most przez jezioro i wybudowano ogromny hotel czyli dom zajezdny przy moście; hotel ten ma 140 pokoików i 40 służących, śliczne salony i doskonałe obiady. Dwóch moich znajomych zaprosiło mię przed kilku dniami na obiad do tego hotelu; w jednym z salonów postrzegłem nowego rodzaju krzesło poręczowe a ponieważ myśl moja zawsze o dalekim powrocie do mamy, co tylko widzę nowego, myślę zaraz że za powrotem u siebie taką nowość zaprowadzę. Krzesła te z dwóch stron mają poręcze, jak dwa boki trójkąta, tak, że siedzący grzbiet w trójkąt poręczowy wsuwa; dwa takie krzesła przystawione do siebie, stanowią małą berżerkę, kanapkę dla dwóch osób, czyli, aby wam lepiej wytłómaczyć, kanapka rozcięta na dwoje po środku daje dwa takie poręczowe krzesła; nic ładniej nie wygląda w salonie. Most nowo wybudowany jest teraz modnym wieczornym spacerem tutejszych mieszkańców; do mojego regularnego życia przybyła jedna rozmaitość. O ćwierć mili od tutejszego miasta płynie rzeka Arwa; woda jej z roztopionych śniegów, niesie z sobą cząstki mineralne gór i jest nadzwyczaj zimna; z różnych stron przyjeżdżają tu ludzie osłabionych nerwów, aby się w tej rzece kąpielami wzmocnić; więc i ja teraz od dni sześciu chodzę do tej rzeki a w wodzie Arwy nie można siedzieć długo, trzeba tylko skoczyć, zanurzyć się i wybiedz. Są ładne łazienki, w których abonując się, płacę 5 fr. na miesiąc; od 6-ciu dni kąpiąc się, czuję już bardzo znaczną odmianę w sobie. Mówią mi ludzie, że jak się w tej rzece pokąpię, to moje spliny ode mnie uciekną i będę wesoły; jeżeliby tak było, to prawdziwie Arwa musi być Letejską wodą. Cokolwiekbądź, będę chodził co dnia do Arwy. O godzinie 2-giej w południe jestem w łazienkach, rozbieram się i leżąc na ławce, czytam przyniesioną z sobą książkę, aż póki nie ochłodzę się, potem po trzykroć skaczę do wody i rzeźki

powracam do domu na obiad. O tej samej godzinie niegdyś kąpałem się w Elbie pod Dreznem i pamiętam, że mi te kąpiele nadzwyczaj wiele dobrego zrządziły. Widzisz więc, mamo, że musi mi być znośne życie, kiedy o zdrowiu swojem nie zapominam. Prawdziwie, że Bóg czuwa nade mną i od wyjazdu mego od was odwraca ode mnie wszystkie choroby, oprócz bolu zębów, który czasem dręczy mię, nie tak jednak, aby go wytrzymać nie można było.

Co do moich brzęczących interesów, przyznam ci się, kochana mamo, że mi dosyć źle idzie; do druku nowych dwóch książek musiałem coś ze swojej kieszeni dopłacić, a ci, którzy je wyprzedzają, tacy są hołysze, że mi przychody moje kręcą i długo zatajają. Dzięki ci więc, matko, za obietnicę, twoją przysłania mi pomocy; musiałem teraz sprawić sobie koszule i inne części bielizny. Wierz mi, matko droga, że się oszczędzam, ile mogę ale tutejszy frank, to tyle prawie co nasz złoty, a nie można nam tańszego wybierać kraju. Jakoś to będzie, droga matko moja. Tyle tutaj biedaków, że aż smutno pomyśleć: wielu wypędzono do Anglii i tam prawdziwie, że głodu doznają, co drugi dzień tylko obiad jedzą i jaki obiad! Kiedyś może Bóg zlituje się nad nami. Niech wasze dzieci proszą o to w pacierzach. Czekam z niecierpliwością tej chwili, w której mama poznasz moje ostatnie dziecię; nie wiem, czy prędko nowe urodzę, bo teraz nie ma ich jako w świat puszczać, wszystko zamknięte.

Przepis twój na baby odebrałem i już przetłómaczony na francuski język. Pani Pattey ma go wkrótce spróbować, ale wątpię, aby się jej udał, bo pamiętam, jakich trosk doznawałaś, piekąc baby wielkanocne, z jakiem drżeniem odmykaliśmy piec, w którym się rumieniły.

Nie wiem, gdzie się teraz obraca Odyniec; musiał wrócić, bo nic o nim nie słychać, ani o moich 50 egzemplarzach.

Wiecie zapewne, że stary wielki człowiek Lafayette, któremu niegdyś ofiarowałem patenę umarł; ogromne to zdarzenie i smutne dla nas. Fortunatowi kłaniaj się, mamo; przeczułem, że go znudzi gospodarstwo: podobny on jest do Rénégo Chateaubriana; niech się tem pociesza, że jest człowiekiem wieku. Nuda i zniechęcenie są dwoma głównymi charakterami ludzi teraźniejszych. Bo też nienawidzę z drugiej strony tych ludzi, którzy mówią: „niech będzie tak, jak jest.“ Jest to chrześcijańskie bluźnierstwo, Chińczyków prawidło.

Mamo droga, czy posadziliście śliwkę na grobie babuni? prawdziwie, że jej by potrzeba posadzić sad cały, aby jeszcze po śmierci była dobroczynną. Teofilów uściskaj, mamo, w listach ode mnie; smutno mi, że nie znam miasta, w którem żyją, nawet sobie wystawić nie mogę. Dziadunia rączki z uszanowaniem całuję. A ty, matko droga, ciebie po tysiąc razy ściskam, całuję, cierpię z tobą, myślę o tobie, zawsze będę twoim, jedynie twoim, póki będę żył na tej nędznej ziemi, a potem... będziemy spoczywali w Bogu. Adieu, droga moja!

Twój *Juliusz.*

35.

Genewa, dnia 13 lipca 1834.

Najukochańsza Matko moja! Znów nowy miesiąc upłynął spokojnie, bez najmniejszych wydarzeń: żyję, jak kwiat na jednem miejscu, tą samą rosą i tem samem słońcem, dziś jak wczoraj, jutro jak dzisiaj. Jednostajność tę przerywa czasem smutna myśl o tobie, mamo moja, czasem gorące zachcenie obaczenia ciebie, czasem mimowolne drżenie, przeczucie jakby nieszczęścia: ile razy zdołam odpędzić od siebie te trzy natrętne mary, wtenczas spokojny jestem i z zamknię-

temi oczyma pozwalam płynąć czasowi. Nie mogę jednak zataić przed sobą samym, że mi jest dosyć znośnie na tym świecie. Uskarżanie się na mój los byłoby ciężkiem bluźnierstwem; ale też z drugiej strony przyznać trzeba, że tak się teraz ograniczyłem w moich żądaniach, że żadne błyszczące marzenia nie śmią kłócić mojej spokojności. Inaczej to było, kiedym był jeszcze dzieckiem: pamiętam, że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia, bogactw i sławy obrazy; nizki sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojej bujającej myśli. Żal mi teraz nieraz, że ta władza marzeń zagasła we mnie. Jedyna myśl mię teraz pociesza w życiu: oto zdaje mi się, że jestem tem, czem być powinienem: zdaje mi się, żem nie minął mego powołania, że zapełniam sobą jedną małą kratkę na świecie. Tak nienawidzę czczo żyjących ludzi, że gdybym dziś odkrył w sobie szczególną skłonność do robienia butów lub zegarków, jutro przystałbym do szewca lub zegarmistrza na naukę.

Słyszę zegar bijący głośno jedenastą w nocy godzinę; nie uwierzysz, mamo, jak coś dziwnego jest w głosie tutejszych zegarów: niektóre dzwonią zwolna i ponuro, inne wybijają coś nakształt uciętego kuranta, ulubioną zapewne piosnkę jakiegoś zegarmistrza, który przed stu laty ją śpiewał i potem śpiew swój wszczepił w starą wieżę kościelną. Więc dziś zegarmistrz w grobie spoczywa a wieża powtarza co godzinę jego ulubioną piosnkę. Ludzie, którzy się tutaj urodzili, muszą być smutni, ile razy oddalają się tak daleko, że już tej pieśni nie słychać. Takie same (!) wrażenie sprawia na nas dzwonek szkolny, rozbity, krzemieniecki: niestety, dzwonek ten ogłuchł; głos i śmiechy żaków grających w piłkę, nie rozlegają się więcej po pustej galeryi waszego kościoła. Widzę stąd umarłą twarz waszej mieściny i z większym smutkiem patrzałbym na nią dzisiaj, niż na marmurową i umarłą Wenecyę.

Panna Eglantyna po 5-ciu tygodniowym pobycie w Paryżu wróciła nakoniec do nas; podczas swego wojażu pisywała mi czasem długie i miłe listy, które mi trochę jednostajność życia urozmaicały. Przynajmniej w godzinie nadejścia poczty oczekiwałem czegoś, gniewałem się, kiedy pocztylion z pustemi rękoma przeszedł koło domu i znów nadzieję obracałem na jutro. Nie myśl, mamo kochana, aby te listy przynosiły mi nadzwyczajne szczęście; oczekiwałem każdego jak małej jakiej nowości. Karmię się teraz ułamkami uczuć i szczęścia.

Dziś właśnie tydzień, jak panna Eglantyna powróciła do domu; wyjeżdżałem na jej spotkanie o pół mili stąd do wioski, w której mam znajome damy, żonę i ładną córkę doktora Morin. Nie chciałem jednak oddać im wizyty i kazałem powozikowi memu schować się do oberży, sam zaś usiadłem na trawie, zapaliłem cygaro i roztoczyłem dzieło Herschla[1]) o fizyce, chemii, astronomii itd. Niestety, ledwom zaczął czytać, los czy bies sprowadził w stronę, gdzie byłem, żonę i córkę doktora. Musiałem się różnymi sposobami wykręcać z zarzutu, dlaczego, będąc w ich wiosce, wolałem dzieło o fizyce niż ich towarzystwo, i nakoniec ze spuszczoną głową udałem się z niemi do domu. W drodze spostrzegłem żeńców zbierających zboże, to mi tak mój kraj przypomniało, że mi się łzy zakręciły w oczach: rzadko tu bowiem widać zbierających zboże, wszędzie winnice okrywają wzgórki, a pejzaże tracą na tem bardzo wiele; nic nudniejszego dla wzroku jak winnice: całe jezioro genewskie zbrzydło obsadzone winnicami. Fasola nasza stokroć piękniejsza, bo na wyższych rośnie kijach i kwitnie czerwono, a któż z nas lubi pod oknami w ogrodzie fasolę? Widok żeńców przypomniał mi jakiś tłum obrazów, począwszy od Mickun do Wierzchówki; żeńce, chociaż porządniej trochę

[1]) Czyt. Herszla.

ubrani, podobni byli naszym, toż samo mieli ujęcie, takież kapelusze słomiane, ekonoma tylko strzegącego nie było, ani beczki z piwem ze dworu, ani dworskigo panicza na koniku. Wkrótce potem nadjechała panna Eglantyna i galopem odwiozłem ją do domu matce. Paryż podobał jej się bardzo, i nie dziw, bo tyle zadziwiających i pięknych rzeczy jest w Paryżu. Nie chciałbym jednak wrócić do tej stolicy, chyba gdybym miał 20.000 fr. na rok dochodu. Wolę moją cichą Genewę z błękitnem jeziorem, wolę moje mieszkanie w ogrodzie, wolę moje kąpiele codzienne w Arwie. Pisałem ci już, mamo kochana, że co dnia po południu idę się kąpać do zimno-lodowej rzeczki, płynącej stąd o ćwierć mili; kąpiele te znaczny już skutek wywarły na moje zdrowie a nawet na mój humor: spokojniejszym jestem a nawet i weselszym. Gdybym był zabobonny, powiedziałbym, że Arwa cudowną płynie wodą. Doktorowie tutejsi mówią, że woda Arwy ten sam wpływ ma na zdrowie, co kąpiele morskie. Łazienka, w której się kąpię, stoi w małym ogródku, pełnym kwiatów; często po kąpieli odpoczywam sobie w altanie, winną macicą osłonionej; malwy, moje ulubione kwiaty, zaglądają do altany. To dziwnie, że ja tak lubię malwy, które nie mają zapachu. Sądziliby z tego ludzie, że jestem zupełnie nieczuły. Mamo moja, kiedyś mały nasz domek, biały jak śnieg, z zielonemi okienicami, z czerwonym dachem, obsadzimy różnobarwnemi malwami; z tyłu będzie rosło kilka jodeł i kilka brzóz drżących, i ścieżki wysypane będą żółtym piaskiem, i jaskółki będą nad gankiem się gnieździły; o, jakieby to szczęście było!

Panna Eglantyna przywiozła mi z Paryża ładny kryształowy kielich: moda tu jest bowiem, aby każdy miał przy stole swoją ulubioną i różniącą się od innych szklankę; ja wolę jednak ten kielich napełniony kwiatami trzymać w moim pokoju, bo lubię kwiaty tak jak ty, mamo; tak jak ty jeszcze powziąłem zwyczaj długiego chodzenia w kółko po pokoju; śmieją się nie-

raz domowi, widząc mię krążącego jak gwiazdę około marmurowego stołu w salonie. Jedni myślą, że agitacyi używam dla zdrowia, inni, że wiersze składam i komponuję, a to jest tylko familijny mój nałóg. Tak chodząc, najczęściej nie myślę o niczem, dogadzam tylko niespokojności nerwów moich. Salonik naszego przyszłego domku, mamo moja, obszernym dosyć być powinien, abyśmy oboje mogli krążyć i wymijać się łatwo, ale wszakże życie nas nauczy dobrze ciągłego rozmijania się.

Mamo droga! co się z tobą dzieje? Od jakiegoś czasu sny mi nawet ciebie nie pokazują. Napróżno, zasypiając, staram się, myśląc o tobie, sny takie przywołać.

Z wiadomości nic nowego od dawna nie zaszło; świat idzie, jak może, ziemia się obraca i nie dostaje zawrotu głowy — przeklęta!

Wkrótce będzie w naszej mieścinie wielki koncert narodowy, z kilku tysięcy osób złożony, a po koncercie różne zabawy na jeziorze.

Z wiadomości literackich to tylko słychać, że Adam wydał poema nowe pod tytułem: Pan Tadeusz; nie znam jeszcze tego dzieła, bo w kurs nie puszczone, wiem tylko, że pan Tadeusz, jest to szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811—1812 rokiem.

Donieś mi, mamo, jeżeli co wiesz, o Antonim Odyńcu, bo ja nic o nim nie wiem.

Do mojej polskiej biblioteki przybyła mi Biblia w naszym języku, którą często z rozkoszą czytam. Dzieła Kochanowskich są dla mnie także niewyczerpanem źródłem pociechy. Na fortepianie gram prawie codzień, ale niestety bez nut; mam jednak dosyć łatwości w improwizowaniu i fortepian mi uprzyjemnia wiele chwil szarej godziny. Angielki mieszkają u nas, dosyć nudne zawsze, choć bardzo ładne; z ich towarzystwa odnoszę tę korzyść, że codzień większą mam

łatwość w tłómaczeniu się ich językiem; myślę nieraz, że może kiedyś wróciwszy do was, kiedy mi zabraknie innych sposobów, będę mógł dawać lekcye angielskiego języka. Oby nigdy do tego nie przyszło. Droga, najukochańsza matko moja! żegnam ciebie! jeszcze zapewne na długo, ale nie na zawsze. Mam jakąś tajemną nadzieję w głębi serca, że nie na zawsze. Panna Eglantyna chciałaby ciebie pozdrowić, ale chora po powrocie z Paryża, od kilku dni leży w łóżku; prosiła mię, aby ci od niej, mamo, tysiąc, tysiąc rzeczy przyjemnych napisał. O, droga mamo! całuję ciebie z duszy całej! Całuję ręce dziada. Kochanym Teofilostwu zasyłam także wiele uścisków; ubolewam nad nimi i kocham ich, ale co czuję dla ciebie, mamo, ile przywiązania, ile smutku, to tego nigdy nie wyrażę, chyba milczeniem i łzami, jak się zobaczymy. Twój *Julek.*

36.

Genewa, dnia 21 sierpnia 1834.

Najdroższa matko moja! List ten kilką dniami opóźnił się, a to z przyczyny mego wojażu po górach; podróż ta była prawie niespodziewaną. Pani Wodzińska, bawiąca tu, wyjeżdżając z familią, namówiła mię, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje przydały do mojej wypróżnionej kasy potrzebne pieniądze, i wziąwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te, które przez dwadzieścia dni przemijały przed mojemi oczyma. Nim przystąpię do opisania podróży mojej, muszę, matko droga, rzucić się do nóg twoich i podziękować ci za to, że wróciwszy do domu, zastałem od ciebie przysłaną mi spokojność; niepewność o ciebie dręczyła mię podczas całej wę-

drówki, myśl o tobie nie odstępowała mię; ileż razy chciałbym był trzymać ciebie za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami! Zmiana ciągła miejsca, sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnemi miejscami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przede mną: różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię jak wierne przyjacioły; różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich! było mi smutno i miło. Abyś mię sobie, mamo, dobrze wystawić mogła, muszę ci opisać mój fantastyczny ubiór: miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć nizki, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką! do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij wyższy ode mnie, biały, z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani Wodzińska, dwie jej córki, panna Maryanna, młoda, ale niełądna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernantka Francuzka, panna Malet, trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów pani Wodzińskiej, jeszcze jeden młody Żmudzin i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne, owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię. Najmłodszy z synów pani Wodzińskiej był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie z suchot umarłą kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem z suchot kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak. Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi, po-

żegnałem oczyma Paquis i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora Coppot, gdzie pani Stael mieszkała, potem Lausanne [1]), za Lausanne Vevey [2]), z drugiej zaś strony skały Meilleries, sławne skały, skąd kochanek Heloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon i nakoniec wylądowaliśmy w Villeneuve! [3]) Tam najęty powóz zawiózł nas do Bec, miasteczka sławnego solną fabryką i minami. Nazajutrz zwiedzaliśmy miny solne: pół mili prawie szliśmy podziemnemi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w tej podziemnej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacyą, zwłaszcza prochem rozsadzać skały. Nie będzie ciebie, mamo moja, interesował wojaż, wyszczególniający tylko miejsce popasu i noclegu, opiszę ci więc tylko niektóre bardziej zajmujące miejsca. Trzeciego dnia naszej podróży wędrowaliśmy do klasztoru św. Bernarda. Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały drogą przez Napoleona wykutą; z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami, chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb biednego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Mamo moja, jak mi się ludzie wydawali mrówkami! O godzinie 5-tej wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów, potem między skałami w ciemnem, mglistem powietrzu ukazał się klasztor. Ksiądz gwardyan w czarnym habicie stał na ganku, pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty, za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarno ołowianego koloru jezioro. Klasztor ten, gdyby nie był przez mnichów zamieszkały, byłby prawdziwie zachwycający. Niestety! ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz gwardyan, świecki

[1]) Czyt. Lozan.
[2]) Czyt. Wewe.
[3]) Czyt. Wilnew.

i światowy, uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nie źle by się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Spaliśmy w celach zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy a siedzące towarzystwo koło kominka śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blizko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok. W różnych pozycyach zmarli siedzą, leżą, jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni... okropny widok, mamo moja.

Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny: po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Ghemi! Trzy godziny jechać na nią trzeba na mułach, a tak jest sterczącą, że nie do góry, lecz do muru gładkiego podobna; droga w zigzag wykuta, ciągle wisi nad przepaścią. Kto na tę górę nie wszedł, to stojąc u jej stóp wierzyć nie może, aby wejść można było. Na zielonej równinie pod tą górą leży miasteczko sławne wodami Luèche[1]); żadne opisy nie odmalują wam zieloności smaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem. I znów po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzieniegdzie śniegami pokrytych... i znów nic nie widać było, tylko skały, śnieg, czarne jezioro i niebo. Po zejściu z tej góry, na drugiej stronie, znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty i kaskady srebrne z gór spadające i prześliczne szalety. O matko! ileż razy w tych pięknych miejscach myślałem o tobie, ileż razy cisnął się do moich ust refrain Goethego piosnki:

Czy znasz ten kraj? znasz go, o moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

---

[1]) Czyt. Liuesz.

Po trudach pieszej podróży przyjemnie nam było siąść do łódki i przepłynąć jeziora Thoune [1]), Brienz [2]), do sławnej kaskady Giesbach; patrząc na nią, przychodziła mi na myśl Zofijówka, a potem łańcuch myśli i rozciągał się dalej, do Wierzchówki, byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu. Po odwiedzeniu kaskady Giesbach, damy nasze zmęczone i przerażone podróżą po przepaściastych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Lucern, my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej wolności, poszliśmy pieszo przez góry: tu dopiero wojaż nasz zachwycającemi nas zaczął karmić dolinami; Lauterbrunn i Grindelwald nic podobnego nie mogą mieć w naturze. W Lauterbrunn spada ze skał wysoka na 800 stóp kaskada Staubach, woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały. Druga dolina Grindelwald jeszcze piękniejsza, bo do niej wypływają dwie rzeki lodów; lody te aż do jej głębi dochodzą i promienna ich białość ślicznie odbija w pośród muraw, drzew i kwiatów. Nigdy mi się nic podobnego nie śniło; tam widziałem z gór spadające awalansze. Huk podobny do piorunu rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór. Matko moja, wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko, że wstawaliśmy o wschodzie, że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów. Matko moja! jakieby to były czarujące wspomnienia, gdybym kiedyś między wami mógł przypominać je i o przeszłości marzyć.

Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróżnych. Oberża na tej górze jest najwyższem mieszkaniem w Europie. Wojażerowie, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci;

[1]) Czyt. Tun.
[2]) Czyt. Brięs.

mróz nam dopiekał, ale też jaki widok! O zachodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu; słońce czerwone było od nas niżej na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych, niktby w godzinie nie obliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w oberży i z rana widzieliśmy wschód słońca, czysty, żadnej mgły; przepaście, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya pod nami, widna, jasna, a jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Righi. Na tę górę wchodzą wszyscy podróżni; widok z niej rozleglejszy, ale mniej piękny: góry śniegowe w oddaleniu nie przerażają wielkością swoją rozumu a nawet imaginacyi człowieka: można z niej patrzeć na Szwajcaryę bez przerażenia, a ja, patrząc o wschodzie słońca, mimowolnie płakałem, nie wiem dlaczego, ale mi żal było ludzi... Z góry Faulhorn przechodziliśmy znowu do czarujących dolin Oberhassli; byłem w Rosenlauen[1]), prześliczne widziałem glaciers[2]), byłem w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu; u nóg moich ogromne przepaści, i potok lody podrywał; ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze.

Jak to smutno pomyśleć, że ty, mamo, z tych krótkich opisów nie będziesz sobie mogła wystawić miejsc, gdzie twój syn był, gdzie myślał o tobie. Obrazy, które sobie twoja imaginacya utworzy, będą może piękne, ale nie będą tymi samymi obrazami, które teraz ja widzę we wspomnieniach. Czyż ludzie nie wynajdą kiedy jakiego środka, któryby lepiej niż pismo i malarstwo wystawiał przedmioty! Dziwna i głupia myśl. Byłem po raz czwarty jeszcze na śniegach Grimsel, po raz czwarty nocowałem w zimnej oberży, przechodziłem śliczną drogę świętego Gotarda, widziałem na niej

[1]) Czyt. Rozenlałen.
[2]) Czyt. Glasje — lodowce.

sławny most dyabła, nareszcie po 9-dniowej podróży przybyliśmy do Lucern, gdzie na nas nasze damy od 7 dni czekały, a przybyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro Czterech Kantonów. Byłem w kaplicy Wilhelma Tella, łódka nasza zatrzymała się na skale, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy; kaplica ta tylekroć restaurowana, znajomą ci, mamo, być musi... Wreszcie przez Bern wróciłem do domu; zastałem tam pełno cudzoziemców, i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie, gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością; stara jej matka także mię po macierzyńsku uścisnęła, więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że na mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia.

O matko moja! Dziś dzień moich urodzin; gospodynie moje pamiętają o nim, a ty, matko, ty także musisz pamiętać, żeś ty kiedyś cierpiała tak mocno w ten dzień, dając życie twemu biednemu dziecku. Biedna matko moja! dziękuję ci dziś ze łzami, żeś przez lat 25 czuwała nade mną, jak anioł stróż, Bóg ci jeszcze za to nie zapłacił niczem. Ale, matko moja, po 25 latach, dzisiaj mógłbym ci zrobić spowiedź ogólną życia mojego i nie skalałem się żadną ciężką zmazą. Mogłabyś się może, mamo, uśmiechnąć i pocałować mię w czoło. Błogosław mi, mamo droga; panna Eglantyna zajrzała do drzwi moich, wiedząc, że do ciebie piszę i prosiła, abym od niej zasłał ci czułe pozdrowienie. Ona się o tobie, mamo, zawsze z najczulszą troskliwością dowiaduje. Ona ciebie kocha, mamo, i przyjmij tę miłość, wszakże mię tyle osób kochało niegdyś dlatego, że ciebie kochały.

Napisz, kochana mamo, Teofilowi o mojej po-

dróży. Teofil mi także najczęściej w zamyśleniach moich stawał w pamięci. Jakby on był szczęśliwy, gdyby zamiast nudnych rachunków, mógł liczyć wierzchołki śnieżne gór, albo leżące pod stopami jeziora. Często zdaje mi się, że kradnę przyjemności, które się całej mojej rodzinie należą. Ale wierzcie mi, że chętnie bym się z wami podzielił... o, nawet oddałbym je wam wszystkie za jeden wasz uścisk. To dziwnie, mamo moja, że ja, który widziałem tyle miejsc i krajów, który zebrałem w pamięci tyle obrazów świata, spać będę może kiedyś cicho na cmentarzu krzemienieckim pod cieniem tej czereszenki, która ocieni grób babuni. O gdyby tak było!

Adieu, droga, najukochańsza mamo, boję się dłużej pisać i nowe brać kartki, abym nie opóźnił bardziej i tak już opóźnionego listu. Ale z gór pisać nie mogłem, bo co dnia byłem pieszą podróżą zmęczony, bo co dnia około 6 lub 7 mil drogi robiłem, i to z góry na górę; do tego dodajcie i to, że na górach nigdzie poczty nie ma, to uniewinnicie mię. Całuję rączki kochanego dziadunia; niech pomyśli o wnuku i spojrzy na zamkową górę. Mamo, a ty przy księżycu wystaw sobie, że na waszych górach stoją inne góry ze śniegu, że na tych białych imaginacyjnych górach ja jestem i że stamtąd patrzę na mały domek, który jest twojem mieszkaniem. Adieu, matko moja.

Twój *Julek.*

37.

Genewa, dnia 28 września 1834.

Najukochańsza mamo moja! Wróciłem znów od miesiąca do cichego mojego życia: jesień, ulubiona moja pora roku, zachwyca mię bardziej teraz, niż kiedykolwiek; kąpię się w złotych promieniach słońca, chodzę po ogrodzie, słuchając z rozkoszą lekkiego szelestu spadających liści; nie dosyć jeszcze opadło, jesz-

cze nie wydają smutnego szumu pod mojemi stopami. W tej ciszy usypiającej natury, marzę często o twoich projektach ostatnich. Mamo droga, nie uwierzysz, ile mi zrobiły rozkoszy; o, bodajby je można kiedyś do skutku przyprowadzić! Wierz mi, mamo droga, że gdybyś ty ze mną była, nic by do szczęścia mego nie brakowało, prócz zdrowia kuzynki; ale więcej miałbym cierpliwości czekać z tobą razem na polepszenie się jej zdrowia, a gdyby nawet ozdrowieć nie miała przed moją śmiercią, to przynajmniej my bylibyśmy dwoje wyjęci z zarazy, jaką jej choroba osobom przy niej będącym może udzielić. Mamo droga! myśląc o zdrowiu twojem, widzę, że ci najlepiej byłoby mieszkać w południowych Włoszech, ale ja nie mógłbym ci tam towarzyszyć. Tu, gdzie jestem, nadto drogie życie, tak, że oboje utrzymać byśmy się nie mogli, chyba ciągle zarywając co z naszego kapitału, a jednak życie tutaj na pensyi najwygodniejszem by było dla nas: płacąc 270 fr. na miesiąc, nie potrzebowaliśmy myśleć o niczem, o nas by się troskano. Muszę się jeszcze o Nicei[1]) dowiedzieć, ale te wiadomości, jakie o niej zebrałem dotychczas, nie bardzo są zachęcające. Ma być tam niezmiernie gorąco w lecie, tak, że prawie niepodobna wytrzymać. Zawsze jednak, kochana mamo moja, potrzebowalibyśmy najmniej 4500 fr., aby się porządnie gdziekolwiekbądź utrzymać. Mniej zapewne potrzebaby było w Niemczech, ale tam nie dla mnie jest miejsce; jeszcze gorszy dla mego zdrowia byłby klimat Krakowa: pewny jestem i wielu mi mówiło, że tam choćbym największe ostrożności koło mego zdrowia przedsiębrał, dłużej nad miesiąc nie mógłbym wytrzymać. Tak się więc rzeczy mają i często, kiedy o tem myślę, rozpacz mię porywa.

Tego roku wcześniej niż kiedykolwiek goście z naszego domu rozjechali się. Zostałem sam z Włochem wojażerem i z mojemi gospodyniami. Ten Włoch ko-

[1]) Nizza (czyt. Nica) w poł. Francyi.

rzystnym jest dla mnie, bo gadam z nim często po włosku i wprawiam się. Tego lata było wielu wojażerów i z różnych narodów, z wszystkiemi mniej więcej dobrze mogłem rozmawiać i Anglicy, którzy z taką trudnością uczą się języków, uważali mię za cudowne prawie zwierzę, i nie uwierzycie, jak tu łatwo uchodzić za uczonego, albo za przyjemnego człowieka. Tutejsza młodzież tak jest ciężka, tak mało ma resursów, że dosyć jest przez pół godziny prowadzić w towarzystwie rozmowę, aby dokazać tego, czego inni dokazać nie mogą: nietylko rozmową, pokazując nawet sztuki kart, można zabawić towarzystwo, i potem rozchodzi się sława po mieście. Często przychodzi mi na myśl opis Renégo w Chateaubriand, który powiada, że musiał się zmniejszać niezmiernie i zmaleć, ile razy chciał, aby ludzie z nim obcowali. Towarzystwa nasze tysiąc razy są przyjemniejsze: oświeceni nasi ziomkowie są daleko więcej oświeceni niż tutejsi.

Bardzo kontent jestem, żem odbył podróż po górach tego roku: obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci; imaginacya moja jak salon pałacowy ustrojona jest nowemi malowidłami. Od powrotu mego do Genewy nie często widuję się z towarzyszami podróży. Pani Wodzińska zaprosiła nas raz na podwieczorek do swojej małej córeczki, za miasto; tam ułożyliśmy, że kiedyś, jeżeli wszyscy razem będziemy w Warszawie, pani Wodzińska wyda bal kostiumowy na który każdy z nas przywdzieje swój podróżny ubiór, a nawet swe grube trzewiki, w których łaził po skałach; projekt ten bardzo mi się podoba. Jakieby to było smutne i zachwycające uczucie, po 10 lub 20 latach ubrać się tak, jak się człowiek ubierał młody, będąc na obcej ziemi; jak miłoby było powinszować sobie wtenczas przebytych bied i młodym ludziom o przeszłości rozpowiadać. Starość musi mieć także wielkie przyjemności, jak pora roku jesienna. I ty, mamo moja, przyjdziesz na ten bal kostiumowy i dasz mi czerwoną wstążkę do

mego słomianego kapelusza, bo ta, którą nosiłem po górach, zblakowała od słońca i deszczu.

Przyjechał znów na zimę teatr do naszgo miasteczka i rozpoczął widowiska; mało mię to obchodzi, bo nie lubię złych komedyi i wodewilów. Oszczędność także każe mi jak najrzadziej bywać w teatrze. Włoch, z którym mieszkam, prawi mi cuda o włoskich operach, a kiedy słucham jego opowiadań, myślę o tobie, mamo moja; we Włoszech teatr bardzo tani, najdroższe miejsca są po 2 złote nasze, inne miejsca jeden złoty tylko, to jest pół franka. Życie we Włoszech także nadzwyczaj tanie; oswojony z cenami tutejszemi, nie mogę nawet pojąć tej różnicy i zły jestem na los, który mię przykuł do drogiego i nudnego kraju, wtenczas kiedy gdzieindziej mógłbym żyć taniej i przyjemniej. Mamo moja, chyba głową mury tłuc, tak wszędzie opór wielki na tym świecie, taka ciasnota, jak żeby ludzi było zanadto wiele. Niektórzy mówią, że ze znajomością kilku języków mógłbym korzystne mieć miejsce w dyplomacyi kraju Inez de Castro, ale ja do dyplomacyi nie stworzony, mało mam talentu do przewidywania politycznych wypadków; wreszcie puszczać się do tak zamieszanego kraju, trzeba byłoby wiele pieniędzy i może podróż napróżno bym odbył. Nakoniec krótkie to życie nie warte tylu zachodów.

Zapomniałem zapewne donieść ci, kochana mamo, że przed miesiącem odebrałem był list od Odyńca przez jedną panią przejeżdżającą tu z Drezna; dziecię, które miał, umarło, czyli też nieżywe urodziło się; może też to i dobrze dla niego, bo nie wiele ma funduszów. List jego dosyć wesoły, zdaje się jednak, że mu niedługo w Dreznie siedzieć dozwolą, a wtenczas zapewne powróci.

Adam w Paryżu wydał nowy poemat w dwóch tomach p. t. Pan Tadeusz, — czyli ostatni zajazd na Litwie w r. 1812, powieść szlachecka. Nie czytałem jeszcze tego nowego utworu, bo mi go

jeszcze nie przysłano. Cieszę się zawsze, ile razy coś nowego wychodzi, bo dla literatury naszej nietylko trzeba, aby było dobrze, ale też aby i wiele było, inaczej zawsze francuzczyzna będzie w modzie.

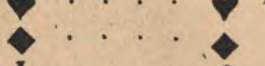
Piękna literatura francuska mało mię teraz obchodzi. Zjawiła się w Francyi nowa pani Stael, którą ja przekładam nad dawniejszą: nowa ta autorka kryje się pod nazwiskiem George Sand[1]) i pod tem imieniem wydała 4 romanse, z których dwa pierwsze są prawdziwie zachwycające; staraj się mamo, dostać Indiana — i drugi romans Valentine[2]) — przez George Sand, a przepędzisz kilka godzin rozkosznie. Ta nowa autorka nazywa się prawdziwie pani Dudevant; o ile mogłem się o niej dowiedzieć, nie wiele uważa na opinię publiczną; rzuciła męża i żyje z uczniem uniwersytetu paryskiego, ze studentem prawa. Dotąd jednak jakaś tajemnica ją okrywa, nikt jej nie zna osobiście, nikt nie może z pewnością wiedzieć, kto jest autorem tych zachwycających romansów.

Śmiałem się kiedyś z Jasia, kiedy go widziałem w Wierzchowie, siedzącego przy stoliku i ciągnącego kabałę czyli patience[3]); otóż gdybym miał teraz siostrzeńca, śmiaćby się mógł ze mnie, bo co wieczór, wyjąwszy wtenczas, kiedy są goście, ciągnę patience w salonie, przy okrągłym stoliku; skoro mój patience skończę, Włoch drugi zaczyna i tak cicho wieczór przechodzi aż do godziny 9-tej, o której pijemy herbatę. Zdaje mi się, że mama ciągniesz tę samą kabałę, jeżeli nie, to prawdziwie chciałbym cię, mamo, nauczyć, żebym mógł czasem pomyśleć sobie, że o tej samej godzinie, temi samemi sposobami staramy się dowiedzieć o naszej przyszłości. I tak: trzeba wziąć dwie talie kart, zmieszać, potem trzeba zamyślić so-

---

[1]) Czyt. Żorż Sand.
[2]) Czyt. Walantin.
[3]) Czyt. pasjans.

bie rzecz jaką; wszak ci, kochana mamo, nie będzie brakowało pytań, które przyszłość ma spełnić, a których spełnienie kabała obiecać może; potem kładzie się kart 9 jedna po drugiej, w miarę wychodzenia asów i królów; 4 asy kładą się po jednej stronie, 4 królowie odmienni po drugiej; od królów karty zstępują, od asów kładą się karty coraz wstępujące, jako to: as, dwójka, trójka itd. król, dama, walet itd., zachowując zawsze kolory słowem pasyans ma taki kształt:



Z wierzchu i z dołu wolne karty można brać tylko; karta, która jest pomiędzy dwoma kartami na górze i na dole, nie może być wziętą; mama która umiesz kilka patienców, z tego opisu może dojdziesz ładu, jeżeli nie, to mi napisz, abym ciemne punkta wyjaśnił. Co też ty, kochana mamo, pomyślisz, czytając tę receptę kabaliczną... powiesz może, żem zdziecinniał, czyli, żem jeszcze na człowieka nie wyszedł. Wiem, mamo, że wszystkie twoje projekta przeszły przez wyrocznię kabały.

Dnia 30. Obudziłem się dziś rano, aby ten list ukończyć i odebrałem wizytę syna pani Wodzińskiej, który w imieniu swojej matki przyszedł zaprosić mię na wieczór: mają się znajdować na tym wieczorze wszystkie damy polskie, przebywające w Genewie; jedna z nich nawet jest sławna nieszczęściami. Poznam więc je wszystkie, jeżeli ich towarzystwo jest przyjemne, to rozszerzę koło moich znajomości i przez tę zimę nie będę siedział jak wilk w norze. Ty mi, moja mamo, zawsze słusznie wyrzucasz, że nie żyję



Cenewa, miasto położone w Szwajcaryi.

z ludźmi; czuję sam sprawiedliwość twoich wyrzutów i co zimy staram się poprawić: zaczynam robić wizyty i znów popadam w dawny grzech samotności; widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą, jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie. Szczęściem to dla ludzi, że nie jestem niczem.

Kochana, droga mamo! jeżeli będziesz pisać do Teofilów, napisz im o mnie, napisz, że ich zawsze kocham, a ich oddalenie czuję tu nawet, bo już nie mam tej przyjemności, jaką miałem dawniej, czytając ich przypiski listowe. Nie mogę sobie wystawić teraz waszej na pół wyludnionej mieściny: trawa musi rosnąć na ulicach i zawiasy drzwi waszych muszą rdzewieć. Projekt twój względem małego Stasia bardzo dobry, koniecznie go trzeba wychować na człowieka pożytecznego, a zdaje mi się nawet, że on niepospolitym będzie człowiekiem... Nie uczcie go tylko czytać na bajkach Krasickiego, ale na starej Biblii Wujka. Dziadunia mego rączki z uszanowaniem całuję; nie zapominam nigdy, że widziałem łzy w jego oczach, kiedym raz ostatni żegnał się z wami. Jakie to było pożegnanie! Droga, luba moja mamo! całuję oczy twoje, jedno oko po drugiem, pocałowanie tak dalekie, tak lekkie, ze snu by cię nawet, mamo nie zbudziło. Adieu! Odebrałem 200... Adieu, droga, miła mamo moja! Fortunatowi, jeżeli kiedy zjedzie do was, powiedz, że często wspominam o nim, ale wspominam sobie samemu. Beaupré niech także przyjmie moje przyjacielskie pozdrowienie. Bądź zdrowa i szczęśliwa, kochana mamo moja.

Twój *Juliusz.*

38.

Genewa, dnia 7 listopada 1834.

Najukochańsza mamo moja! Oto znów nadchodzi dzień twoich imienin. Któryż to dzień od czasu mego rozłączenia się! Liczbę straciłem, smutno, smutno. Czegoż ci będę życzyć, mamo, w tym roku? Ach, gdybym mógł u Boga dla ciebie szczęście uprosić, to bym je i dla siebie samego uzyskał, bo nasze losy ściśle teraz powiązane. Ale tobie, mamo, połączonej z Teofilami, przyjemniej upłynie ten dzień, niż gdybyś samą była. Nie uwierzysz mamo, jak powrót Teofilów ucieszył mię. Chciałbym was wszystkich w jednem zgromadzić miejscu, w okolicy dobrze znajomej, a to dlatego, aby myśl moja łatwo was wszystkich znaleść mogła, jak osoby chodzące po scenie w teatrze, które mi ciągle moje wspomnienia grają; a chciałbym widzieć i aktorów i kulisy, inaczej iluzya nie jest doskonałą; bo też prawdziwie, że teraz myśląc o was, muszę was zgromadzać i łączyć i kłaść wam w usta słowa, jako osobom mojej imaginacyi, moje własne słowa, te słowa, które chciałbym od was słyszeć. Więc Teofil nie wróci więcej do tego Kijowa, miasta, o którym myśleć nie mogę bez wstrętu. O, jakże mu zazdroszczę! Jeżeli osiędzie na wsi, jeżeli będzie sobie siać szerokie łany i sam będzie je zbierać, a żonie odda bławatki, bo Hersylka zawsze trochę sentymentalna być musi, a zatem niech zbiór wszystkich bławatków Teofil przeznaczy jej na szpilki, tak to się podobno nazywa u was każdy dar od kupca zakupującego zboże, dla żony przedającego przeznaczony.

Bredzę, bredzę, bredzę, bo nie mam o czem ważniejszem rozprawiać; a propos, ostatni list ukończyłem, donosząc wam, że jestem zaproszony do pani Wodzińskiej na wieczór. Oto na tym wieczorze naprzód zrobiono mi kompliment taki (a bardzo ładne i różowe usta mówiły jak następuje): „Znaczno, że pan z Wo-

łynia Wołyniak Wołynianin, bo po wołyńsku tańcujesz mazurka." Nie chciałem Wołyniowi ujmować sławy, jaką z mego tańca odnosi i ukłoniwszy się, powiedziałem: „Ha, prawda, że my Wołyniacy, to dziarskie chłopcy." Trzeba widzieć moją teraz cienką postawę, aby sobie wystawić, jak mi te junackie słowa były do twarzy. Otóż potem siedziałem przy stole przy jednej grubej i świeżej matuli, z dwoma różowemi córkami, która mię nagle zapytała o mamę, pytając, czy jestem synem mamy? Pani ta, jak mi powiedziała, znała mamę w Wilnie, a potem w Karlsbad u wód: jest to pani Jezierska; nie uwierzysz, mamo, jak mi miło się zrobiło razem, słysząc mamy imię, patrząc na kogoś, co był kiedyś z tobą, co jeszcze może kiedyś będzie razem; przez całą wieczerzę nadskakiwałem jej i ciągłą prowadziłem rozmowę.

Otóż wytańcowawszy się na tym wieczorze, wróciłem do domu i jak na nieszczęście, ponieważ to zwykła pora roku (jesień), w której mię napada poetyczna kanikuła, już od lat czterech bez wyjątku, ponieważ w tej porze rodzę zwykle, nazajutrz po wieczorze przyszła mi do głowy myśl jakaś: myśl ta galopowała tak przez cztery godziny, że stała się długa na pięć łokciowych aktów. I nie dziw, że galopowała, bo też myślałem o galopującym Mazepie. Jakoż we dni kilkanaście napisałem tragedyę, na którejbyś płakała, mamo, jeżeli nie po Mazepie, to po Julku. Mazepa ten jednak nie wygalopuje na świat tego roku, bo handel przecięty i z książkami źle idzie. Więc będę cierpliwy, poczekam rok jeden, czy się spusty bibliotekarskie nie otworzą... Tymczasem niech Mazepa leży w tece; a jeżeliby mię wicher jaki zmiótł z tego świata, nim go wydam, to proszę was i zaklinam, abyście się o ten płód u pani Pattey dopomnieli i wydali kiedyś na świat, nie zapomnijcie! Ale co ja bzdurzę o wichrach zmiatających ludzi ze świata, kiedym zdrów jak ryba, kiedy nawet krew, co mi nieco do gło-

wy biła po napisaniu gwałtowno-krwawej tragedyi, Bóg łaskawy nie pijawkami, ale po prostu krwiotokiem z nosa sprowadził na dół, i nawet od lekkiego zapalenia takim prostym sposobem mię uchronił.

Co się też dzieje Fortunatowi, że tak melancholiczne listy pisze? co się jemu dzieje? dlaczego żałuje szkła zielonego młodości, kiedy ma teraz zielone łąki i drzewa? Nie piszę tego mojem piórem, ale piórem świata, zwykłem gęsiowem piórem, które potępia wszystko, czego zrozumieć nie może; co do mnie, pojmuję Fortunata: gdybym sam osiadł na wsi, której tak pragnę, zrobiłbym się do niego podobnym słowem, kilka jego słów tak mi go dobrze odmalowały, że czułem to, co on czuje. Biada tym, którzy zasmakują w błędnem życiu na świecie i przywykną do nadziei znalezienia czegoś dobrego na końcu wędrówki; w oczekiwaniu takiem wszystko teraźniejsze niesmaczne. Z tego względu już się bardzo poprawiłem: pan Dziś lepszy od hrabiego Jutro... Bieda wielka że mój ojciec, kiedy mi dał życie, zajęty był nadto swoją tragedyą Mindowe i tobie, kochana mamo, musiał nią głowę nabić. Bez tego nieszczęśliwego wydarzenia byłbym wcale do rzeczy człowiekiem, nie lunatykiem, nie powietrzno-chodzącym; przebacz mi, mamo, te (!) tworzenie wyrazów; są to drożdże, które po napisaniu tragedyi osiadły w mojej głowie. Czekałbym, aby wyfermentowały i napisałbym potem list rozsądny, ale ten list, czekając na rozsądek leniwo nadchodzący, spóźniłby się może tygodniem, a stąd niespokojność; wolę tak fatałaszkami szastać po papierze, aż póki nie wpadnę w ton smutniejszy, czego nie daj Boże, bo zaraz zejdę do nieszczęśliwych interesów naszych.

Niedawno uczyniłem filozoficzną uwagę, że Bóg, tworząc człowieka, jeden tylko błąd popełnił, to jest ten, że człowiek bez jedzenia żyć nie może; o, gdyby nie to, jacyby ludzie byli poczciwi, jak rzadko człowiek przedałby swoje sumienie, swoją godność za misę so-

czewicy! jedną by tylko miał wadę: lenistwo, ale ja lenistwa do grzechów śmiertelnych nie liczę. Najpiękniejszą religią na świecie byłaby sekta bezjedzących. Otóż z tych uwag filozoficznych przyjdziemy do tego, że gdyby można za cokolwiek sprzedać kawałeczek chatki i ćwierć karczmy, to byłaby rzecz święta. Bo muszę ci, mamo, uczynić wyznanie mojej kieszeni ustami: i tak, bardzo sobie wyrzucam podróż po górach, bardziej jeszcze mój pobyt w Genewie, bo prawdziwie, że tu dosyć nudno a niezmiernie drogo, prawie tak jak w Anglii. Teraz już wyjechać z Genewy nie mogę, bo jak mi nadleci 100 dukatów, będę musiał za przeszłość zapłacić około 80 i znów pozostawszy z 20 dukatami w kieszeni, nie można szukać na świecie nowego gniazda. W Genewie nie mogłem porzucić domu, w którym mię za syna uważają i dogadzają we wszystkiem; uważaliby to za niewdzięczność, a ja i cienia jej nie mogę przyjąć na siebie; a więc jedyną moją ucieczką byłoby wyjechanie do południowej Francyi. Inne miasta tutejsze tak są pozbawione wszystkiego, takie mieściny nudne i bezksiążkowe, że mieszkać w nich niepodobna. Pozostawszy w Genewie, po zapłaceniu moim gospodyniom 900 fr. długu, znów mogę u nich mieszkać przez rok nawet! ale cóż z tego stanu nieszczęsnego, w którym będę miał zawsze coś do płacenia! Wypadnie jednak tak zrobić, jeśli Bóg jakim sposobem nie pożywi mię; wtenczas odjadę aż nad Pireneje, gdzie jest małe miasteczko Pau[1]), bardzo ładnie położone wśród łąk i gór; będę tanio i spokojnie mieszkał i będę pewniejszy na dłużej mojego losu. Nie myślcie, żeby mi pozostanie w Genewie nie smakowało: nigdzie może tak mi dobrze nie będzie jak tutaj, mam wszystko, jestem spokojny, prawie szczęśliwy; ale cóż, gdy na takie życie potrzeba najmniej 2400 fr. na rok, a ja tego nawet wymagać nie mogę

[1]) Czyt. Po.

i czuję, że połową powinienem się obchodzić, zwłaszcza, gdy w innym kraju uczynić to bez wielkiego uszczerbku w przyjemnościach można. Otóż takie jest moje położenie: dopóki miałem nadzieję, że mię prędko z tej ziemi poetyczna konsumpcya albo langory zabiorą, to nie myślałem tak o przyszłości; ale teraz, kiedy widzę, że mi może długo na tej ziemi bazgrać wypadnie, to muszę szerszym cyklem rozmierzyć, aby kiedyś innej i nie piersiowej nie doznać konsumpcyi. Bodajto umieć sobie zaradzić! Oto Joaś, co chodził z kutasami u butów aż do roku 1827 Chr. P. został profesorem w Brukselli, profesorem historyi, i spokojny sobie na przyszłość, znów będzie zbierał numizmaty i ususzy się jak kwiatek między książkami. Oto drugi z naszych, pan Adam, zamiast profesury, pojął w małżeństwo córkę muzyczki Szymanowskiej. Widać, że to był dawny romans, jeszcze w stolicy waszej zaczęty; nie wiem, którą to Marysię capnął, czy piękną, czy dobrą. Prawdziwie, że nie mogłem wierzyć z razu, gdy mi o tem powiedziano, bo ten Adam, to czysty szczep suchy, ma minę lokaja najczęściej, czasem szalonego, od Bonifratrów, i nie lubi nosić guzików rzędami usadzonych na sukni, ale je obrywa, gdy są do pary. Otóż to są najświeższe wypadki: małżeństwo poety i profesura profesora.

Przypomnijcie dawnemu memu guwernerowi, a teraz Achillesowi bitnemu, aby nie zapomniał obietnicy. Pan Józef obiecał mi dać swoje stare kroniki; nieoceniony byłby to dar dla mnie. Przesłanie bardzo mało kosztuje.

Zmiłuj się, mamo droga! dopomnij się o te kroniki. Czegobym także bardzo żądał, to dzieła Czackiego, ale te dzieła bardzo trudno u was dostać. Tytuł: O litewskich i polskich prawach. Droga mamo, czy ty przynajmniej masz jakiekolwiek książki? Napisz mi, co czytasz, co ci się podoba, abym mógł to samo odczytać i przez kilka godzin przy-

najmniej mieć oczy zwrócone na takie same karty i myśli.

Zmiłuj się, mamo! staraj się czytać romans „Indiana“ i drugi „Valentine“, a zobaczysz, co to za śliczne romanse. Zresztą mało tu nowego w literaturze tutejszej, prawie cała literatura krwawa i nienaturalna.

Kochani Teofilowie! wy już pewnie będziecie czytać mój list, a w następnej odpowiedzi spodziewam się od was przypisku. Jakże wam nie zazdrościć, że już jedną nogą wchodzicie w wiejskie wrota, już wam widać gołębnik waszego domu, już słychać zapach lip waszej alei; niech wam sady obradzają, niech pszczoły miód dawają; jak mówi mój Kochanowski, skaczcie, jak Faunowie leśni, a jeżeli potrzeba, to ja wam na fujarze będę grał proste pieśni; widzicie, jakie to częstochowskie wiersze, jakimi niegdyś winszowałem wam Bożego Narodzenia. Dziś chciałbym znaleźć moją wenę, abym kochanej mamie rozweselającą na jej imieniny napisał kolendę, ale napróżno. Nie winszować z nas żadnemu, ale wszystkim nam trzeba wołać do głuchego nieba: „szczęścia! szczęścia, trochę szczęścia!“ tak jak tu dzieci żebrzą po drogach i wołają za powozami: „litości! litości! trochę litości nad nami biednemi!“

Bądźcie zdrowi, najukochańsi, najlepsi, najmilsi! Matko, mamo, mamuniu, wszystkiemi imionami, jakie ci dawałem w życiu, wołam ciebie i zaklinam, abyś mi nie płakała, mamo moja, bo trzeba cierpieć, co się Bogu podoba i póki się mu podoba; kiedyś zlecimy się jak liście jesienne, które wiatr w jeden tuman zbija i pędzi nie wiem gdzie? Całuję oczki twoje, mamo, was całuję, Teofilowie drodzy. Dziaduniowi posyłam pełne uszanowaniem wnukowe pozdrowienie. Fortunata ściskam i całuję w żółte okulary, które włożył na nos,

kiedy mu jego szkło zielone Roussel[1]) roztłukł. Adieu, kochani, mili. Adieu, droga matko.

Twój *Juliusz.*

39.

Dnia 18 grudnia 1834.

Najukochańsza mamo moja! Jakie znów długie milczenie twoje, mamo droga, zwłaszcza, kiedy ja taki ciekawy jestem o wiadomość, czy jesteś mama już z Teofilostwem, czy dotąd sama przepędzasz długie zimowe wieczory? Co do mnie, nigdy jeszcze tak smutno nie przepędzałem zimy. Nie wiem dlaczego, ale głębsza niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie. Całe dnie przepędzam w domu przy moim kominku, całe długie wieczory przez te dwa miesiące trawiłem na pisaniu, od kilka dni dopiero skończyłem moje prace i teraz czuję jakąś otrętwiałość; zdaje się, że przez ten czas natężone władze myślenia rozkręcają się teraz, jak struny jakiego instrumentu, i za kilka dni powrócą do zupełnej ciszy zwyczajnego życia; to smutno: już wieczorem żadne mary nie przyjdą mię nawiedzać, żadna idealna piękność nie uśmiechnie się do mnie, a tyle idealnych figur przeszło przez mój pokój w ciągu tych dwóch miesięcy. Niektóre wyszły przez okna, inne spaliły się w żarze kominka, inne nareszcie zostały zasuszone w papierze, jak bratki albo inne kwiatki niepełne. Panna Eglantyna wiedząc, że do mamy piszę, przerwała mi ciąg listu i myśląc, że się chwalę mamie z mojej dobroci, napisała na boku zaprzeczenie, a to stąd pochodzi, że we mnie dotychczas jest wiele dzieciństw: często zamyślony wobec tych pań ubolewam nad sobą jak dziecko, mówiąc głośno: p a u v r e L u l l i[2]), często chwalę sam siebie, mówiąc: b o n L u l l i[3]). Sam so-

[1]) Czyt. Rusel.
[2]) Czyt. powr' — biedny.
[3]) Czyt. bą — dobry.

bie nadałem takie spieszczenie mojego imiena, i damy już przywykły i często mię Lulli nazywają, ale zaprawdę nikt mniej do dziecka podobny niż ja, i dlatego sprzeczność nazwiska z moją zachmurzoną postacią przez zbytek przesady, jak powiada Kochanowski, uchodzi. Panna Eglantyna myślała, że mój cały list do mamy napełniony będzie wykrzyknikami: b o n albo p a u v r e L u l l i, i dlatego pierwszemu zaprzeczyła, drugiemuby zaprzeczyć nie mogła, bo też ja prawdziwie biedny jestem! ani teraźniejszości dobrej, ani złotej nadziei! Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami mojemi podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jednem miejscu, nakoniec znużony wywraca się i usypia przed kominem.

Tego roku imieniny twoje, mamo, samotnie przepędziłem: złe dosyć nowiny wyczytałem z rana w pismach, potem z różnych innych przyczyn tak mi smutno było, że natychmiast po obiedzie uciekłem do mego pokoiku, tak jak mama zwykłaś czynić. Zagasiłem świecę; mały ogień na kominku słabo mi przyświecał. Samotny, milczący, myślałem o różnych czasach, o różnych wieczorach, a kiedy na zegarze uderzyła głośno nad moją głową siódma godzina, ogromna niegdyś godzina, łzy rzuciły mi się z oczu potokiem i chodziłem po pokoju, i modliłem się, i płakałem... Tego wieczora nie było we mnie ani iskry nadziei... Cóż tedy, kochana mamo, robiłaś o siódmej godzinie wieczór w dzień twoich imienin? Wieczór ten imienin twoich przerwał mi wątek myśli i uczułem, że już przyszedłem do tego wieku, w którym łzy szkodzą, bo nazajutrz byłem bardziej jeszcze ponury... Towarzystwo moje domowe także ma różne smutki i procesa, słowem, że wszyscy w naszym domu mamy zachmurzone czoła; prawdziwie zdziwaczeć trzeba: gdzie stąpię, wszyscy martwią się i płaczą; bądź pewna, mamo droga, że pod żadnem niebem ludzie nie są szczę-

śliwsi, niż pod naszemi chmurami, ale czy to nas ma cieszyć? Trzeba koniecznie jakiegoś poetycznego świata, trzeba koniecznie włożyć na nas inne okulary, niż te nasze oczu soczewki.

Od ostatniego mego listu, w przeciągu miesiąca upłynionego, napisałem nową sztukę teatralną niby tragedyę, pod tytułem: Balladina. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła, ta tragedya jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednek, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca... Nie mogę ci tu dać, kochana mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności w mojej tragedyi. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Learem [1]) Szekspira. O, gdyby stanęła kiedy przy królu Learze! Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami i już tak jest od dwóch lat; im więcej się w obydwóch wczytuję, tem więcej widzę piękności, mamo moja! Jakże ja byłbym szczęśliwym, gdybym mógł z tymi dwoma umarłymi usiąść pod jaką lipą albo dębem, przed moją własną chatą, w mojej rodzinnej ziemi, i marzyć, i pisać marzenia, i gwarzyć z tobą, kochana mamo, i opowiadać ci z zapałem moje plany poetyczne, tak, jak niegdyś bywało. Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń. Jak dobrze Szekspir maluje ten stan w Ryszardzie II. Rycerz skazany na wygnanie ubolewa nad swoim losem i mówi: „Język mój teraz będzie mi odtąd niepotrzebnym, tak właśnie jak rozstro-

[1]) Czyt. Lir.

jona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Uwięziłeś język w ustach moich. Zanadto już jestem stary, abym jak dziecię wziął znowu mamkę; wyrokiem twoim skazałeś mię na bezmowną i niemą śmierć." Te słowa zawsze czytam z głębokim smutkiem, chociaż wyznaję, że szczęśliwszy jestem niż rycerz Szekspira, bo nie potrzebuję mamki dla nauczenia się po francusku i mogę się rozmówić z ludźmi, ale to jednak zawsze smutno.

Miasteczko nasze tej zimy dosyć nudne dla tych, co się chcą bawić. Teatr taki zły, że raz będąc na nim, nasyciłem się zupełnie; mieszkając za miastem, nie chce mi się w chłodne i wietrzne wieczory włóczyć tak daleko, szukając nudy. Przeszłoroczny teatr, trochę lepszy od dzisiejszego, zbankrutował, albowiem tu zaraza metodyzmu tak owładała najbogatsze familie, że uważając teatr za grzech i za dyabła pokusę, usiłują wszelkimi sposobami wygnać aktorów i nie bywają nigdy na teatrze, ujmując zysku; kilka familii na tak małe miasteczko, to bardzo wiele znaczy. Co za dziwactwa na świecie; podług mnie, ludzie ci obrażają Boga, nie korzystając z niewinnych przyjemności życia, których on im żadnym nie zatruł piołunem, oprócz nieodstępnych od natury ludzkiej dolegliwości. Niech mię Bóg zrobi bogatym bankierem w naszej stolicy a obaczy, jak się ja będę bawił.

Zimę mamy tęgą tego roku w porównaniu z innemi latami: przed trzema dniami upadł śnieg, cieszyłem się jak dziecko widokiem białej ziemi i oprószonych jodeł przed mojemi oknami, i razem doznawałem jakiegoś smutnego uczucia. Różne wspomnienia cisnęły mi się do głowy a nadewszystko wspomnienie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy byłem w uniwersytecie; patrząc na śnieg, zdawało mi się, że zajeżdżam z dzwonkiem przed ganek Jaszuński, potem wyszedłem do ogrodu i robiłem śnieżki i rzucałem je

na wiatr północny, jak na imaginacyjną osobę przeszłości, chciałem ją śnieżkami zasypać.

Co dnia prawie, patrząc na mój ogień na kominku, staje mi w oczach postać mamy, leżącej wieczorem na małej kanapce pod oknem w średnim pokoju, naprzeciw palącego się pieca. Teraz przy zbliżającem się nowem Bożem Narodzeniu, chciałbym, żeby mi kto mógł zaśpiewać kolendę taką, jaką słyszałem ostatniego roku, będąc w Krzemieńcu. Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos.

Adama nowy poemat obudził także we mnie wiele dźwięków przeszłości: bardzo piękny poemat, podobny do romansu Waltera Skota, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świeżość dawnych opisów, coś dziwnie zachwycającego prostotą. Wiele opisów miejsc nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych; natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy niż smutny a jednak często z najweselszych na pozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poemat zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca, dmącego w róg myśliwski: cudowny opis, trochę mi przypomniał pana Jakóba trąbiącego w lesie; i drugi opis żyda grającego na cymbałach także prześliczny; chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli. Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepianie; nie dziw, bo córka Szymanowskiej. Co wieczora mnóstwo naszych ziomków schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on, ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z moimi samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną jak Bóg chce w tej smutnej wędrówce życia.

Droga, kochana mamo! tylko ty nie opuszczaj mię myślą swoją, bo tak, to mniej jestem samotny niż

wielu ludzi, bo wiem, że posiadam coś, czego mi ludzie zazdrościć mogą: twoje przywiązanie; kiedy myślę przed zaśnięciem o mojem położeniu, to mi nieraz włosy na głowie wstają. Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie. Jakoś to będzie. Życzę ci, mamo droga, dobrego roku, a kto wie?... a może... Te (!) dziwne słowo „może“ ma czarujący dźwięk lutni Eola: każdy najmniejszy wietrzyk wygrywa na naszych myślach to słowo „może“ i zawsze tylko „może“; to słowo musiało istnieć przed stworzeniem świata. Ostrzeż mię, mamo, jeżeli już w mizantropię wpadam, ale zdaje mi się, że nie, bo smutek tylko właściwy mojemu usposobieniu i czasowi, w którym Bóg kazał myśleć mojej machinie. Droga mamo moja! co ty powiesz na tak pusty list, napełniony samą gawędą. Prawdziwie, że zbiwszy mię całego młotem w jeden list ten, list nie byłby ciekawszy niż ten kawał papieru. Myślę, marzę, a czasami czekam i mam nadzieję. Droga mamo, miej ty także nadzieję i proś Boga mocno, aby cię do brzegu cichego doprowadził. Twój przywiązany

Juliusz.

40.

Genewa, dnia 5 lutego 1835.

Najukochańsza matko moja! Po długiej niespokojności, po długiem oczekiwaniu, odebrałem nakoniec wiadomość o tobie. O, jaka ty matko jesteś łaskawa! co ja biedny zrobię na świecie, żebym ciebie, mamo, o mojej wdzięczności i o mojem przywiązaniu przekonał. Czasem mi się marzy, że do Indyi pojadę, zrobię ogromny majątek, wrócę jak Nabab milionowy, a to wszystko dlatego, abym kupił piękny pałac, ciebie w nim, mamo droga, posadził i służył tobie na kolanach. Marząc o tobie, wracają mi czasem sny szalone

mojego dzieciństwa: ale ty, moja mamo, jesteś tych snów zakończeniem, w dzieciństwie zaś mojem nieraz inne mary mieszkały w Nababa pałacach, dziś wszystko przeszło: muszę już być tem dziwnem stworzeniem, co się nazywa człowiekiem.

Miło mi bardzo było dowiedzieć się o waszych stronach; pamiętają o mnie; wizyta Zenona zabawiła mię, widzę go przed sobą z hajdukiem, słyszę turkot pańskiego powozu; kto wie, czy ja bym tak nie jeździł, gdybym mógł, ale nie jeździłbym, mając długi.

Mamo moja, ostrożnie obchódź się z mojem czwartem dziecięciem, choć to dziecię nie nosi mego imienia; ile razy nie mam od ciebie długo listu, to mi się zdaje, że to dziecko temu winne i stąd milczenie twoje jeszcze jest dla mnie okropniejsze. Zaufanym tylko doktorom powierzaj zdrowie jego. Co do mnie, zdrów jestem i uśmiecham się do wiosennego słońca, bo już u nas błyskają czasem dni piękne. Zima ta jednak była nadzwyczaj ostra w porównaniu z innemi zimami: mieliśmy kilka dni śnieżnych i niektóre kanały zamarzły; cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że nigdy nauczyć się latać po lodzie nie mogłem. Dzisiaj pierwszy raz tegorocznego słyszałem skowronka, gdzieś daleko na niebie błękitnem śpiewał nade mną, a u was jeszcze wrony czarne muszą krakać po ulicach. Zakończyłem moje zimowe prace i z dwóch tragedyi jedna mi tylko została, bo jednę spaliłem w moim kominku. Mazepę taki smutny los spotkał: druga zaś pod tytułem Balladina, jest moją faworytką i będzie czekała, aż będę miał czem posmarować prasy drukarskie. Zdaje mi się, że mię moi księgarze haniebnie oszukują, bo mi przestali przesyłać rachunków i milczą jak krety w norze, czekając zapewne mojej osobistej wizyty; prawdziwie, że nikomu na świecie zaufać nie można, a mniej niż innym ufać trzeba ludziom, którzy nie mają pieniędzy. W tem położeniu

jest jegomość, który się trudni mojemi książkami; cóż więc robić, trzeba się spuścić na jego grzeczność i sumienie.

Dziwię się, że o Henryku Chońskim nie macie wiadomości; jest on zawsze w stolicy i wiem, że niedawno drukiem sprzeczał się z jakimsiś ziomkiem o pieniężne zarzuty; nie wiem, jaki koniec tej kłótni.

Wyszedł w Paryżu „K o r s a r z“, tłómaczony przez Edwarda Antoniego i „G i a u r“, przez Adama; jeszcze tych dwóch tłómaczeń nie czytałem; zresztą nic nowego. Czy też znasz, mamo, romanse przez G. Sand, o których ci pisałem? Jest to pod męskiem nazwiskiem ukryta autorka, bardzo sławna i nowa, pani Stael.

Jak tam u was zakątnie i cicho; prawdziwie, że żyjecie, jak święci. Jakże to być może, aby kabała przeze mnie opisana nie udawała się, dwoma taliami kart ciągniona? Tego miesiąca byłem na dwóch wieczorach: na jednym u pani Wodzińskiej bardzo się dobrze bawiłem; graliśmy w szarady, i ciągle mi były przytomne w pamięci nasze wieczory wileńskie, kiedy układaliśmy żywe obrazy, kiedy Olesia była Judytą, a Masalski Holofernesem, kiedy Teofil na czterech nogach wchodził do salonu, wioząc na grzbiecie ciebie, mamo, i małego Ferdusia, udając niby ucieczkę do Egiptu. Szarady przypomniały mi to wszystko; ubieraliśmy się dziwnie w różne szale i kapelusze; w jednej wystawiałem c z a s, czyli Saturna; kij z kijem związany, jeżeli nie kosę, to cep przewybornie udawał, w zębach trzymałem ogromną lalkę i pożerałem jej głowę; jeżeli nie do Saturna, to do Ugolina byłem podobny, bo lalka była ogromna i straszliwa. Nareszcie chciałem skosić razem stojących w kącie trzech głupców towarzystwa, mówiąc im bardzo grzecznie, że są nadzieją przyszłości, ale że czas na nic, nawet na rozum nie ma względu; przyjęli ten kompliment z grzecznym uśmiechem. Jedna szarada bardzo pię-

kną była: N o n c h a l a n c e.[1]) N o n, rycerz zazdrośny, wyjeżdżający do Palestyny, żonie swojej rozkazał, aby nikomu zamku nie otwierała, aby na każdą prośbę rycerza odpowiadała n o n i zawsze n o n. Rycerz odjechał. Wielu rycerzy przyjeżdżało do zamku, prosząc, aby im wolno było wejść do bramy; żona wierna, na wszystko wszystkim odpowiadała: n o n. Nakoniec rycerz jeden, przewąchawszy rzecz, prosił pani, aby do zamku wejść zabroniła; żona swoim sposobem odpowiedziała n o n i rycerz zdobył fortecę a mąż zginął w Palestynie.

Druga syllaba c h a.[2]) Stare damy miały kochanego kota i kot zginął, więc damy opis jego dokładny umieszczają w pismach publicznych, i wnet tysiące różnych kotów znoszą do ich domu, a koty byli to kawalerowie naszego towarzystwa, a damy między nimi szukały swojej zguby; nie wiem, czy która znalazła. L a n c e, wystawiliśmy ogromne szranki i królowę, rozdającą wieńce, i dwóch rycerzy z poduszkami, zamiast tarcz, z papierowemi od głów cukru szyszakami na głowach, tłukli się o wieniec zielony z rąk piękności i kruszyli dla niej lance. Otóż tak bawiliśmy się na wieczorze naszym prawie familijnym. Sama pani Wodzińska bardzo dobra dama; córka jej niełądna, ale także ma wiele wdzięku i dobrego serca. Zajęty pisaniem, długo u nich nie byłem i wymawiali mi te (!) zaniedbanie, które jako w towarzyszu podróży po górach było dosyć niegrzeczne i dziwne. Lecz ja zawsze w takich razach tłómaczę się chorobą splinu i wolę uchodzić za dziwaka mglistego, niż za niegrzecznego.

Na drugim wieczorze w domu jednego z panów włoskich tańcowaliśmy; widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły, na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już się ni-

[1]) Czyt. Nąszalans.
[2]) Czyt. Sza — kot.



Teofil Januszewski
wuj Juliusza.

gdy kochać nie będę. W mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobne do osiągnienia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami jak wróble i bawią się; czasem im zazdroszczę, czasem chodząc po alei ogrodu przy świetle księżyca, mam jakieś uczucie samotnej dumy, które mię pociesza. Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie, a kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły, leżące po zielonych cmentarzach może także i mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrocie. Chateaubriand chce być pochowanym nad brzegiem morza, aby słyszał po śmierci szum bijącej fali. W zachceniu takiem musi coś być prawdziwego. Podziękuj, mamo, metrowi memu niegdyś angielskiego języka za jego pamięć; gdybym się teraz z nim spotkał, moglibyśmy rozmawiać jego rodzinną mową, zawsze jednak znalazłby błędy do poprawienia. Angielski język jest tak trudny, że coraz więcej odkrywa się kruczków, im dalej człowiek w nauce postępuje. Jakbym ja chciał być o tej godzinie w małym pokoiku Teofilów, jak niegdyś.

Na jednym z wieczorów spotkałem p. Sismondego, autora wielu sławnych dzieł historycznych: na pierwsze wejrzenie dziwną i śmieszną dosyć wydaje się figurą, twarz ma zupełnie pospolitą, a zmarszczki na twarzy jakiś śmieszący nadają jej wyraz. Wielki ten historyk i ekonomista ma żonę Angielkę, która dzieła swego męża na angielski język tłómaczy i przyczynia się do upowszechnienia sławy; szczęśliwe małżeństwo, ocienione jedną laurową koroną. Mówiąc o sławnych ludziach, zapytam o jednego, który ma do sławy prawo. Co się dzieje z autorem P r ó b d r a m a t y c z n y c h? A n i e l a jego często mi przychodzi na pamięć jak sen jakiś smutny i miły. Chciałbym bardzo wiedzieć, czy zawsze pracuje czy może pracować i nad czem pracuje. Jest to

jeden z tych ludzi, którym dotąd nie oddano słuszności; potrzebaby mniej być w pochwałach oszczędnym.

Michał, o którym wiecie, wkrótce zapewne zakończy swoje 3 lata więzienia; nie chciałbym się z nim spotkać na ziemi, bo on wiele zaszkodził moim wylewającym się przyjaźni uczuciom. Lubiłem z nim rozmawiać i długo rozmawialiśmy do późna w nocy, nieraz ze łzami w oczach; raz tak zapomnieliśmy się, że portyer paryski spać się położył i zamknął był bramę, a portyerzy paryscy nie kładą się spać z kurami.

Prawdziwie, że jakiś zły duch musi czuwać nad każdym z nas z osobna i czeka na najmniejsze potknięcie się stopy, aby nas na zawsze zabił. Teraz nie mam nikogo, coby mi najmniejszą chwilę życia przyjazną rozmową skrócił, nikogo, coby mię przyjaźnie w rękę ścisnął; wina to mego odludnego życia, wina miejsca, w którem żyję; nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego i znaleść nie mogę. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakim cichym klasztorze; dlaczegoż nie dał mi tej mistycznej pochodni, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności. O, gdybym raz jeszcze usłyszał dziadunia mego, śpiewającego prostą kolendę w dzień Bożego Narodzenia razem ze służącemi domu; zdaje mi się, żebym do dziecinnej wiary przeszłości mojej powrócił, bo czuję koło siebie jakąś dziwną czczość i samotność.

Prawda, mamo moja, że to niepodobna, abyśmy się kiedyś nie zobaczyli. Familiami zapewne Bóg postawi dusze na Józefata dolinie, tak, aby rodzice mogli zobaczyć, co się stało z ich biednemi dziećmi. Mamo moja! tobie Bóg nagrodzi za miłość twoją dla syna jakiemś dziwnem i niewymówionem szczęściem.

Musiałem uspokoić i zatrzymać pióro, bo zaczęło pisać łzami, a może tobie te słowa, zimno przeczytane,

wydadzą się jakąś nienaturalną egzaltacyą. Bije dwunasta godzina w nocy, zawsze się lękam odczytywać rano nocą pisanego listu. W nocy nieraz zdolny byłbym zginąć jak Agis król spartański; kilka godzin snu dziwnie zmieniają człowieka, ciało bierze przewagę nad duszą i myślą; rano nieraz przedałbym moje pierworodzeństwo za misę soczewicy. Mamo moja droga, pisz mi obszerniej niż dotąd o stanie twojego zdrowia: czy sypiasz dobrze nocami? możeś ty uprosiła Boga, żeby snu twego cząstkę do mego przyłączył, bo ja sypiam jak zabity i długo; długo o 10-tej godzinie budzić mię muszą na śniadanie i zawsze mię ze snu głębokiego budzą. A co dziwniejsza, że im więcej pracuję umysłem, tem lepiej śpię. Imaginacya tak mię morzy i morduje jak całodniowe chodzenie po górach. Są jednak noce, w których zasnąć nie mogę, i tak było, kiedym przez miesiąc był niespokojny z powodu twego, mamo, milczenia. Moje dziecię lęka mię.

List ten zapewne Teofila zastanie, a może go powita; miło mi będzie odebrać od niego wiadomość, jak też on przebył te lata pod złocistymi dachami kościołów, przy ciemnych pieczarach świętych.

Jak się ma mały Stasio? czy już szczebioce? chciałbym bardzo kiedyś zająć się jego wychowaniem, bo zdaje mi się, że to dziecko będzie kiedyś zaszczytem naszej rodziny; pamiętajcie, że od pierwszego wychowania wszystko zależy. Teofil zapewne przez Wierzchówkę powracać będzie: jaki ten dom musi być teraz smutny, jak mury jego muszą mieć wiele wspomnień dla biednej pani Michalskiej. A kiedy wiosna przyjdzie, kiedy ogród zakwitnie, kiedy na drugiej stronie stawu Julinki ożyją, jaka boleść wtenczas, jakby się chciało cofnąć nazad przeszłość i wskrzesić umarłych; przynajmniej że mi otaczające góry nic nie przypominają, nie patrzyłem na nie nigdy weselszemi oczyma.

Bądźcie mi zdrowi, moi najmilsi! Kiedy Mni-

szeczka mię porzuciła, przypomnijcie mię mojej narzeczonej Julce w Jaszunach, niech się przynajmniej nie bardzo śpieszy z wyborem. Mamo droga, ty mię swataj i zalecaj, jak możesz, twój zły towar. Adieu, mamo. Całuję ciebie w oba oczka twoje, Hersylko, Teofilu, ściskam was, moi wujostwo; chciałbym, abyście wszyscy mogli żyć razem, w jednem gronie, pod jedną jaką wiejską lipą, nie w ruinie mądrego miasteczka. Dziadunia kochanego z uszanowaniem rączki całuję. Adieu, droga, do zobaczenia! Twój *Julek.*

41.

Genewa, dnia 7 marca 1835.

Najukochańsza mamo! Otóż znów mam za co nowe składać ci dzięki; doniesiono mi, abym się zgłosił po twój nowy upominek; nie wiem jeszcze, czy znajdę przy nim list, bo dziś niedziela i bióro zamknięte. Do wdzięczności jaką ci niosę mamo moja, łączy się zawsze okropna myśl, że ja jestem ciężarem dla ciebie i chciałbym się gdzie rzucić w jezioro. O, jak ja sobie inaczej wystawiałem przyszłość, ale zaradzić temu nie jest w mojej mocy. Trzeba cierpliwości i odwagi. Robię teraz różne projekta na wiosnę. Chciałbym bowiem nieco wyrwać się z tego nudnego miasteczka, gdzie pleśnieję jak ostrzyga nad jeziorem: może więc schronię się na lato do jakiej pobliskiej wsi, może pojadę do Clarens, gdzie kiedyś była Heloiza: tam będą mi dosyłać książki, będę chodził po trawach, kąpał się i marzył. Muszę tylko zaczekać, aby się wiosna pokazała, bo tego roku niesłychane tu mamy zimna, dziś nawet śnieg pada. Nudzi mię ta białość, zimno, odwykłem już od naszego śniegu, i wyznaję, że wolę południowe zimy, ozłocone pięknem słońcem a ciągle pachnące fiołkami; taką była przeszła zima. Mieliśmy wielką uroczystość w naszem mieście: oto na pięknej wysepce, połączo-

nej małym mostkiem z wielkim mostem jeziora, zrobiono prześliczny ogródek, przechadzkę i postawiono statuę Russa. Odkrycie tej statuy było wielkiem świętem, cała ludność wyszła na brzegi na wysepce znajdowali się tylko urzędnicy, komitet, wojskowi i armaty. Odkryto posąg, włożono mu na głowę złoty wieniec, armaty biły na wszystkie strony jeziora, ktoś powiedział krótką mowę, potem wszyscy ludzie w mundurach wojskowych wzięli się za ręce i zaczęli koło posągu tańcować. Muzyka grała taniec, wyjęty z opery przez Russa napisanej. Patrzyłem na to z okna domu, gdzie mię zaproszono, i ten taniec, ta wesołość, widok tego posągu, który nieruchomy siedział nad trzecią generacyą ludzi, wszystko to razem wzruszyło mię nadzwyczajnie. Ferney samo milczało, kiedy Genewa się cieszyła, ale słychać aż tam było huk całodzienny dział, słychać było w Coppet. Arystokracya genewska dotychczas Russa za wielkiego człowieka nie uznaje i nie cierpi go! lud wymógł statuę, komitet ją kazał odlać, zrobił ją zaś Genewczyk Pradier[1]), jeden z pierwszych snycerzy tegoczesnych. Widzicie stąd, co to sława; ludzie starzy tańcują jak dzieci koło posągu człowieka umarłego dawno. Gdyby to można wiedzieć, czy ten człowiek wie o tem po śmierci? Wszyscy przytomni robili sobie to zapytanie a nie pomyśleli, że ten człowiek wiedział przed śmiercią o tem, iż mu kiedyś posąg wystawionym będzie. Wieczorem na teatrze grano operę W i e s z c z e k w i e j s k i, — i małą komedyjkę z życia Russa napisaną, i znów na teatrze biust autora uwieńczono laurem; wieczorem na wysepce pomimo deszczu były fajerwerki i cała ulica, nosząca imię Russa, rzęsiście oświecona! „rzęsiście oświecone", są to wyrazy ulubionego jednookiego gazeciarza w grobie Gedymina; jak on często musi ich teraz używać.

[1]) Czyt. Pradje.

Głównem zatrudnieniem mojem teraz są marzenia, ale marzenia te ograniczają się do bardzo małej rzeczy: oto do własnego byle gdzie domku: chciałbym mieć coś swojego na tej ziemi, coś bardzo maleńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów, drzew, zieloności. Mówiono mi o jednym domku w Dauphiné [1]) we Francyi, o kilka mil od Genewy. Domek ładnie umeblowany, maleńki, wśród łąk, otoczony małą błękitną rzeczką, z ogrodem, słowem, ładna mała pustelnia na pustyni; o 3 i pół mil od niej Lyon, miasto wielkie i największe po Paryżu we Francyi; domek ten możnaby, jak powiadają, mieć za 20,000 fr., tj. za 18,000 złotych polskich. Prawda, że ziemia przyłączona do niego nic prawie nie przynosi, bo mały kawał tej ziemi, ale życie w tym domku byłoby wcale nie drogie; jakby mi tam dobrze było z mamą! Na zimę moglibyśmy jechać do Lyonu albo do Genewy, a skoro tylko słoneczko dogrzeje, uciekalibyśmy do naszej chaty. W około najpiękniejsze okolice, śliczne góry, po górach zamki dawne i odnowione, w tych zamkach na lato często przyjeżdżają i mieszkają panowie. Powiedz mi, mamo, czy ci się nie podoba ten projekt? czy może myślisz, że ja tak jak Fortunat zniechęciłbym się prędko cichem i samotnem życiem? Tobie się może, mamo, wszystkie takie projekta wydają romansowe i niepodobne do uskutecznienia; ale prawdziwie, że w tym wieku, gdzie tyle jest oschłości i rzeczywistości zimnej w wypadkach, ludzie szukają cichych schronień, jak dawniej ludzie szli do klasztorów. Gdybym wiedział, że jest jaki sposób zgromadzenia i zebrania naszych funduszów, to mówiłbym ci, mamo, o tym domku z jak najusilniejszem naleganiem; kiedyś możebym pomyślał o ożenieniu się; jeżelibym miał syna, byłby obywatelem szczęśliwego kraju. Widzisz, mamo, że ja aż do dalszych pokoleń sięgam oczyma marzeń. Jeżeli

[1]) Czyt. Dofiné — prowincya francuska.

się te marzenia nigdy nie zamienią w rzeczywistość, to przynajmniej służą do zapełnienia pustych godzin mojego życia. Wieczory moje często teraz przepędzam w gronie moich kolegów i ziomków; gawędzimy, gramy na fortepianie i czasem tańcujemy mazurka. Wszyscy moi koledzy chorzy na epidemiczną chorobę: wszyscy się kochają w jednej Angielce, a miłość różnie ubarwia ich charaktery: jedni ciągle śpią, drudzy ciągle piją, inni ciągle wzdychają, słowem że to dla mnie prawdziwa komedya. Chcą koniecznie zaprowadzić mię do domu tej Armidy, ale ja się wzbraniam, jak mogę, lękając się, abym także w jakie nie wpadł szaleństwo; jestem wszakże i bez tego dosyć sentymentalną figurą, mam czasem dziwne przeczucia. I tak: panna Wodzińska zaatakowała mię niedawno, abym jej w sztambuchu kartkę białą zabazgrał; zaraz przy stole usiadłem, umoczyłem pióro i te płaczliwe wiersze napisałem mojej towarzyszce podróży po alpejskich górach:

Muszę ci tu, mamo te wiersze napisać, abyś miała wyobrażenie, jak ja dziwnie czasem marzę[1])

Miałem także dziwną komedyę z powodu tej panny, której napisałem owe wiersze: oto dwie baby z naszej krainy przypomniały sobie jak to jest miłem zatrudnieniem swatać i żenić a zwłaszcza pannę dobrą, niewinną i posażną z głupcem i hołyszem. Otóż użyły tu owe dwie baby wszystkich sposobów, aby tę panienkę wydać za mąż i kuzyna swego podsunęły jej. Zdaje się, że rzecz przyjdzie do skutku. Nic śmieszniejszego jak te manewry. Zdaje się, że jestem w jednem z naszych miasteczek.

Z różnych stron dochodzą mię wieści, że moje czwarte dziecię z wielkim zapałem przyjęte zostało w Krakowie: jedna z tych wieści i pierwsza doszła mię właśnie w dzień, kiedy ze łzami patrzyłem na sta-

---

[1]) Wiersz ten znajduje się w Dzieł pośmiertnych tomie II czyli VI Poezyi Słowackiego na str. 103.

wienie posągu Russa; okoliczność ta miłe mi sprawiła wrażenie.

Nie odpisałem na zapytanie: zegarek za 15 dukatów można mieć ładny i dobry w naszych stronach, ale przesłać do Hausnera niepodobna, chybaby kto jadący w wasze strony mógł go zabrać; ale któż jedzie w wasze strony?

Czekam wizyty wiosną zapowiedzianej, czekam owej poduszeczki haftowanej na kanwie; chciałbym spać kiedyś na niej we własnej chacie mojej, a choćby ta chata była jak w piosence o Hryciu złożona z czterech dębowych desek, to każę sobie tę poduszkę pod głowę włożyć... Wystawiam sobie, nie wiem dlaczego, że dno musi być błękitne; szkoda, że nie umiem nut pisać; skomponowałem wcale niezłego walca do tańca, który możebyś ty, mamo, grała na fortepianie; dosyć jednak trudny.

Nic teraz nie maluję, trzeba bowiem wiele do tego przyborów i przestałem na wymalowaniu widoku Krzemieńca. Patrząc na ten rysunek, nieraz głęboko dumam. Przybyła mi także jedna ozdoba do mego pokoiku: oto wygrzebałem w domu cztery wielkie sztychy z Heloizy Russa, w starych złoconych ramach, i tego dnia, kiedy statuę odkryto, w moim pokoju powiesiłem te obrazy; w jednym z nich Klara, przyjaciółka Julii, zupełnie podobna do panienki, u której mieszkałem w Dreznie, więc ten obraz miłem jest dla mnie wspomnieniem.

Mało teraz czytam, ale często wieczorem przed zaśnięciem czytam głośno rozdział z biblii; mam ją po polsku; przedwczoraj tak mocno wraziła mi się w imaginacyę męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem; obudziłem się okropnie przerażony. Czy ty, mamo, widzisz mię kiedy przez sen?

Pani Pattey i córka jej przypominają mi po raz dziesiąty, abym nie zapomniał kłaniać się od nich; nie uwierzysz, mamo, jak się te damy interesują two-

jem zdrowiem i powodzeniem. Z listu tego przekonasz się, mamo, jak moje życie niezamożne w wypadki, co dnia to samo, jak w zegarku: wstaję o 10-tej, czytam w mieście gazety, jem obiad, wieczorem w domu albo u kolegów bawię się rozmową, nudną rozmową głów pustych, o godzinie 12-tej kładę się spać i tak zawsze i tak co dnia. Jeżeli na lato pojadę do Clarens albo do Bec, to będę jeszcze samotniejszy.

Z niecierpliwością czekam listu od ciebie, mamo, i od Teofila; chciałbym ich widzieć szczęśliwie osiadłych na wsi, bo przekonywam się, że w wiejskiem pożyciu tylko prawdziwie dobrze być może. Nieraz myślę sobie: coby to było dziś ze mną, gdybyśmy byli kupili ową wioszczynę blizko nieboszczki cioci Franusi; możebym teraz siał hreczkę i patrzył, jak jaskółki lepią nowe gniazdeczka pod belkami mojego ganku. Adieu, droga, kochana mamo moja! moja opatrzności, kochana mamo moja! Co się dzieje z Grocholskim? czy osiadł gdzie, czy się ożenił? Jak się ma maleńki Stasio? czy rośnie? czy już mówi? czy dowcipny? Adieu! Dziadunia mego z uszanowaniem pozdrawiam, Teofilów ściskam serdecznie, wszystkim znajomym kłaniam. Adieu, droga mamo moja! Twój *Julek.*

42.

Moja najukochańsza mamo! List twój zadziwił uszczęśliwił i zostawił po sobie takie uczucie smutku, jakie zwykle zostaje po zapowiedzeniu nazbyt wielkiego szczęścia. Jakże ja mogę ci radzić, mamo moja, kiedy serce moje mówi jedno tylko słowo: przyjedź — przyjedź. Niech się wam wojaż nie wydaje tak trudną i zatrważającą rzeczą — obaczycie sami, że mała różnica tłuc się po pińskich groblach czy po makadamizowanych jeździć gościńcach — w koszcie pożycia także nie wielka różnica — będziecie tylko frank jako wasz złoty uważać. Oto jest najpewniejsza miara

kosztów. Wreszcie we Włoszech życie tańsze niż w moich stronach ale trzeba się o wszystko targować. W Rzymie mieszkania drogie nadzwyczaj. Teraz pozwólcie mi wam radzić... Oto naprzód wyjechawszy z kraju, jeżeli jedziecie do Pizy, to nie tłuczcie się po niemieckich miasteczkach. Jest to główna przyczyna wielkich kosztów owo zygzakowate jeżdżenie po krajach; w każdym bowiem mieście osiadłszy na długo można miesiąc opędzić pieniędzmi, które przez tydzień dorywczowego (!) mieszkania w hotelach wydają się... Doświadczyłem ja tego, więc jeżeli we troje wyjedziecie, droga do Pizy będzie 1600 fr. kosztowała — mieszkanie i życie w Pizie 500 fr. na miesiąc od trzech osób — na rok więc trzeba 6000 fr. to jest, około 11,000 zł. pol. Gdybym ja z wami mieszkał, mało co drożej wypadnie, ale to wszystko tak zależy od targowania się i od sposobu życia, że nigdy zupełnie wyrachować nie można. Jeżeli Teofil z Włochami będzie się umiał rozmówić, to za 400 fr. na miesiąc żyć będziecie mogli, Piza bowiem jest miasteczko bezludne i pieniądz w nim rzadki. Spodziewam się więc, że słuchając rady mojej zamiast włóczenia się do Baden i do innych wód, pojedziecie prosto do Wiednia, z Wiednia do Tryestu, z Tryestu do Wenecyi, z Wenecyi do Pizy. W Pizie osiądźcie spokojnie i czekajcie na przybycie cudzoziemca — waszego niegdyś guwernera to jest guwernera dzieci waszych. Nie gadajcie nikomu o jego przybyciu, zwłaszcza ani słowa przed najlepszym waszym przyjacielem — a nadewszystko strzeżcie się sług — bo to wszystko nie dobrze... Inaczej cudzoziemiec nie będzie mógł ani was widzieć ani mieszkać z wami... Pisałem do Marsylii do tego guwernera, aby się w Marsylii na okręt parowy embarkował i płynął do Liwurny — a z Liwurny do Pizy bardzo blizko. Zapewne miło wam będzie go zobaczyć... Skoro będziecie we Włoszech piszcie do niego pod adresem siostry jego Eglantyny — a listy go dojdą...

Co zaś się tyczy miejsca, w którem macie przepędzić zimę to jest Nicei nie podobna mu będzie tam pojechać z wami, ale dlaczegoż wy zimę w Nicei przepędzić macie? Daleko lepiej jechać do Hyères[1]) miasta w południowej Francyi, które zupełnie taki sam ma klimat jak Nicea a mniej smutne, mniej nudne i dogodniejsze dla nas wszystkich. O co za szczęście byłoby pod pięknem błękitnem niebem przechadzać się, oddychać świeżem powietrzem, mówić o przeszłości i na przyszłość zabezpieczać się. Gdybyście się na miasto owe (!) zgodzili, pośpieszyłbym przed wami w miesiącu sierpniu, nająłbym małe pokoiki i czekałbym was mili moi. Zaręczam was (!), że nic smutniejszego jak Nicea. Od wielu podróżnych wiem o tem. Jacy my biedni, że nigdzie zupełnie spokojni w kraju Włoch, nigdzie razem i długo być nie możemy. Do Genewy was ani myślę sprowadzać: ciemno, nudno, drogo, dosyć zimno — słowem zupełnie nie miejsce dla jaskółek przelotnych. Proszę was także, niech was towarzystwo Balińskiej nie ciągnie. Skoro raz z zamożnymi i hulającymi rodakami spotkacie się, będą was wszyscy niemiłosiernie obdzierać. Żeby żyć za granicą, trzeba się zupełnie otrząsnąć z naszych przywyknień, trzeba nadewszystko wielkiego porządku w wydatkach. O gdybym ja mógł być waszym sługą, ręczę wam, nie poczulibyście wielkiej zmiany w ciężarze waszej kieski — i wszystkoby szło jak należy... Nie potrzeba być na to skąpym ale porządnym...

Więc, mamo moja, ty co jesteś na miejscu, dobrze tylko rozważ, czy przerwa w zwyczajnych naszych interesach nie zabije nas zupełnie. Jeżeli wszyscy nasi debitorowie są honorowymi ludźmi, jeżeli w kiesce z Teofilem będziesz mogła złożyć 4000 fr. to jest (trzecią) część wydatków, jeżeli na rok drugi popłacą ci procenta, jeżeli pewna jesteś że powróciwszy, znaj-

[1]) Czyt. Ier.

dziesz wszystko nieodmienione — jedź, przyjeżdżaj. Nadewszystko chciałbym, abyście się zdecydowali na przepędzenie zimy w Hyères. Przyjechawszy latem do Pizy, starajcie się wziąć mieszkanie nad brzegiem Arno — inaczej pomrzecie z gorąca. Letni pobyt w Pizie będzie za bezcen, albowiem miasto puste — a ci co w nim żyją, potnieją. Zdaje mi się, że takie poty będą dla was najlepszą kuracyą — przez poty trzeba wyprowadzić z ciała wszystkie złe pryncypia, a potem może człowiek żyły czystszą i lepszą krwią napełnić. Nie lękajcie się jednak nazbyt wielkich skwarów. Ja przebywszy kilka lat w dosyć ciepłych klimatach nigdy nie poznałem takiego gorąca jak u nas. We Włoszech musi być goręcej niż we Francyi, nie tak jednak, abym o tem sądzić nie mógł...

Najbardziej jednak zalecam wam i proszę was: obierzcie sobie pewny cel podróży i drogą jak najprostszą zmierzajcie do niego, inaczej podróż zje wasze fundusze i będziecie zadziwieni, że wam tak kieska schudła. Jeżeli będziecie na moją przestrogę pamiętać, podróż wasza bynajmniej mnie nie zatrważa pieniężnymi skutkami. Za powrotem będziecie mogli mniej o różnych i rozlicznych miastach rozprawiać, ale cel waszej podróży — zdrowie — zyska na tem i pieniądze oszczędzą się i nawet przyjemniej czas upłynie, niżby upłynął w ciągłych targach, przemianach miejsca, nieprzyjemnościach i nudach.

Ostatecznie taki skutek mego listu: jeżeli pojedziecie do Pizy, guwerner niegdyś dzieci waszych przyjedzie do was i zabawi z wami dłużej lub krócej jak będzie można. Jeżeli stamtąd pojedziecie do Nicei na zimę, guwerner wróci do Francyi. Jeżeli ty, mamo kochana, nie przyjedziesz, będę się starał również z Teofilami spotkać się. Może się zgodzą zimę w Hyères przepędzić.

Wszystko co mię spotyka, zdaje mi się podobne do jakiegoś czarodziejskiego wrażenia. Nie śmiem wie-

rzyć jeszcze w rzeczywistość waszego wojażu. Teofilu kochany, ciebie nadewszystko proszę, abyś dobrze miał wzgląd na to, czy zdrowie mamy, której doktorowie niegdyś zabraniali małego nawet ruchu, nie pogorszy się teraz wojażem dalekim. Radź o tem razem z doktorami, a jeżeliby było jakie niebezpieczeństwo, opieraj się jej podróży. Wzgląd na zdrowie mamy sprawia to, że nie nalegam na nią tak usilnie i tak gorąco, jak serce moje dyktuje. Dziwną tak mam naturę, że zawsze ogląda się na przeszłość i przyszłość a teraźniejszość lekko waży. Skoro tylko ostateczna decyzya zapadnie, napiszcie mi obszernie o wszystkiem: dzień, w którym wyjedziecie, miejsca, przez które wędrować macie i cel podróży. W oczekiwaniu tego listu będę niespokojnie zasypiał i budził się. Kto wie, jak się zjedziemy razem, jak się rozmówimy obszernie, może gdzie osiądziemy razem i będziemy spokojni.

Już u nas prawdziwa wiosna. Wczoraj cały dzień kopałem i sadziłem kwiaty. Przypomniało mi to twoje ulubione zatrudnienie niegdyś. Robimy z panną Eglantyną w ogrodzie małą altankę i ubieramy ją w piękne kwiaty. Podczas upałów tam będę czytał i myślał o was. Będę was widział, jak maleńkie biedne mrówki wędrujące po tej obszernej ziemi pomiędzy aktorami grającymi smutną i głupią komedyę życia. W domu gdzie mieszkam, będzie teraz mieszkała cała rodzina Wodzińskich, będę więc miał nieco roztargnienia i huku nad głową. Wszystko mi teraz milsze oświecone tą myślą, że was zobaczę, że pożyję trochę z wami. Jeżeli będziecie mogli, przywieźcie mi dzieła mego ojca, bo nie mam ich, ale to, jeżeli miejsce wam w pakach zostanie. Bierzcie mało pakunków, a broń Boże kołder, poduszek i prześcieradeł. To wszystko — niepotrzebne zagranicą; ale wy zapewne musicie od wojażerów wiedzieć o wszystkiem co się do podróży ściąga, pakować się zaś trzeba nie w polskich tłumokach, ale w walizach skórzanych.

Ufam w Bogu, że szczęśliwie wszystko pójdzie. Mamo moja, rób wszystko z rozwagą, ale staraj się przyjechać. Do widzenia, moi najmilsi. Kończę ten list, aby go dziś jeszcze wyprawić, aby was dniem prędzej doszedł. Zdaje mi się, że znajdziecie w nim odpowiedzi na wszystkie wasze zapytania. O kuzynie Idalki będę się starał dowiedzieć i posłać mu list. Dotąd nie wiem, gdzie się on obraca. Adieu. Całuję was wszystkich serdecznie i z wielkim szczęściem piszę słowo: do widzenia. Wasz *Juliusz.*

Genewa, dnia 1 kwietnia 1835.

43.

Genewa, dnia 24 maja 1835.

Najukochańsza mamo moja! Nie będę ci pisał tutaj, ile zasmucony jestem twojem postanowieniem niewyjechania z Teofilami; stało się, niech więc Opatrzność obróci to na dobre, niech ręka Boga złączy nas kiedyś później. Krótki twój list pokazał mi, jak musiałaś cierpieć, mamo, widząc odjeżdżających Teofilów; wszak ja cierpię nieraz, widząc jaskółki lecące na północ.

Teofilowie dziwnie mi donieśli o swoim wojażu: na przód napisali mi te kilka słów tak bladym atramentem, że śladów ledwo dojrzeć można było wyrazów, a potem, te ślady z wielką trudnością odkryte, o żadnych szczegółach nie doniosły. Chcą, żeby guwerner ich dzieci przyjechał do Pizy, lecz nie piszą, kiedy? Adres ich ma być guwernerowi dany we Florencyi przez jakiegoś Zeidlera[1]); nie piszą, kto jest ten Zeidler? Donoszą o jakimś zasiłku, nie wymieniając ilości, słowem, że biedny ten jegomość otrzymawszy taki list i nie mając obietnicy listu drugiego, nie wie co począć i ruszać się z miejsca nie może. Chcą także,

[1]) Czyt. Cajdler.

aby im kupił zegarek i przywiózł, nie myśląc o tem, że to może wyczerpie ostatnie fundusze jego, i że bez grosza nie będzie mógł z zegarkiem, ani na zegarku jak na koniu wędrować.

Otrzymałem list Odyńca, pełny ognia i mizantropii; zasmucił mię i odpiszę znów niezwłocznie, skoro uzbieram wiadomości o nowych osadach. Chciej go, mamo droga, upewnić, że zajmę się tem pilnie. Brata Idalki pobyt odkryłem z wielką trudnością i posłałem list. Odpowiedzi jeszcze nie mam.

Ja teraz w licznem towarzystwie domowem wesoło dosyć czas przepędzam, przynajmniej mam z kim pogadać a czasem potańcować.

Miałem bardzo przyjemną scenę: oto damy miały tu u siebie dzieła mojego ojca i raz położyły je na stoliku otwarte na portret mego ojca. Nie mogę ci opisać, mamo, jakiego doznałem wrażenia, spostrzegłszy nagle jego wesołą, pogodną i uśmiechającą się twarz. Zdawało mi się, że przyszedł do mnie pytać o moje życie i zostawić mi naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia. Mamo droga, moja mamo, on cię z taką przyjmie twarzą w drugiej krainie duszy, bo ty byłaś dobrą dla jego syna i nie opuściłaś go, i nie zapomniałaś o nim, i jeszcze raz poświęciłaś się dla niego, skazując siebie dobrowolnie na samotne życie, na kłopoty interesowe. O, jak ja się zawiodłem, myśląc, że pisząc, wyrobię sobie kiedyś pewny dochód niezależny od okoliczności, że kiedyś będę w stanie ofiarować ci, mamo, przynajmniej na rok gościnny pokój za granicą, że kiedyś będę ci służył do stołu i całował ręce twoje i klękał przed tobą i dziękował za wszystko, coś uczyniła dla mnie; nie, Bóg mię zapisał w księdze przeznaczenia w wielkiej rodzinie tych ludzi, o których po śmierci powiadają księgi, że... Nie chcę dokończyć, bo już cię raz, droga mamo, nieuważne słowo w liście mym przeraziło. Ale nie jeden ja nie mogę wyłamać z głowy chleba; oto Adam ożenił się,

co rok dwa wydał dzieła, i teraz musiał odprawić sługę a żona jego sama trudni się kuchnią. Czy tam u was kalendarze zajmują miejsca na policach bibliotek? Trzeba jednak nie upadać; walka z obojętnością ludzi podobną jest do walki tytanów, rzuca mi na czoło wielkie światło piorunu; będę pięknym kiedyś...

Pisałem ci, mamo, że tej wiosny sadziłem kwiaty: otóż napiszę, że mój ogródek coś nie rośnie, choć na słońcu, choć często polewany. Widać, że jak mówią perukarze, ciężką mam rękę; posiałem rezedę i nie zeszła a już to przecie więcej jak sześć tygodni upłynęło, więc nie zejdzie. Dlaczego? Człowiek rozsądny odpowie, że złe były nasiona. W altance mojej nieocienionej piekę się na słońcu.

Kilka dni temu odbyła się w naszym domu loterya dla naszych ziomków: z 500 biletów 100 było wygrywających; miałem biletów 5 i żaden nie wygrał; z powodu tej loteryi był świetny wieczór, dany przez panią Wodzińską. Chcieliśmy tańcować aż do wschodu słońca, ale się nie udało: o godzinie 2-giej wszystkie damy rozjechały się i zostało tylko kilku chłopców, którzy dla zamkniętych bram miasta do domu odejść nie mogli, z tymi doczekałem poranku. Wieczór był dosyć wesoły: trzy salony nasze, ubrane kwiatami, dosyć ładnie wyglądały; było kilka ładnych Angielek, a ja, przypomniawszy sobie zwyczaj Teofila, tańcowałem tylko z temi prawie pannami, których nikt nie chciał wziąć do tańca. O, młodości moja! Jakby to miło między swoimi bawić się i tańcować.

Dlaczego żaden wieczór teraz nie przypomni mi tego zachwycającego uczucia rozwijającej się nadziei i słodkiej melancholii, z jakiemi niegdyś suwałem się po wileńskich posadzkach. Teraz wszystko mi obojętne. Znużony tym wieczorem, zaduchem salonów, blaskami lamp, wyszedłem przed wschodem słońca na brzeg jeziora: ciche były wody jak błękitne zwierciadło, rybki wyskakiwały na wierzch; tak mi się zdawały wesołe



Hersylia Januszewska
z domu Bécu.

te rybki, które noc całą przepędziły w cichej wodzie i nad rankiem pluszczą się i szukają świeżego powiewu. Coś w tem życiu rybek było bardzo sprzecznego z huczną nocą człowieka. Marzyłem, patrząc na czerwieniejące się niebo; jakieś biedne kobiety przyszły prać bieliznę nad jezioro, grablami naprzód odgarnęły muł brzegowy i kamyki, a potem rozrzuciły kosz cały prostej, czarnej bielizny. Nie wiem dlaczego, ale to prozaiczne zatrudnienie ludzi dziwnie mię wzruszyło, mię, ubranego w balowym stroju. Zmysły moje rozigrane, zdolne były do przyjmowania najmniejszych wrażeń: spostrzegałem okiem prawie łzawem sprzeczności między celami życia różnych ludzi: prać bieliznę albo patrzeć na wschód słońca i topić się w marzeniach... po jakiej ogromnej drabinie te zatrudnienia musiałyby wchodzić i schodzić, aby się spotkać na środkowym szczeblu. Prawda, mamo, że najszczęśliwsze rybki, które połyskały srebrną skrzelą w chłodnej wodzie?

Widziałem wschodzące słońce, stanęły mi w oczach te poranki, które przepędziłem na szczycie gór alpejskich, patrząc na te (!) samo słońce wschodzące niżej ode mnie. Ty sobie, mamo, wystawić nie możesz, co to jest patrzeć ze szczytu Righi albo Faulhornu na wschód słońca: świat zdaje się być pod nogami; ten sam chłód, który przenika na szczycie gór, rodzi w umysłach jakąś drażliwość. Płakałem na Righi, rozczulała mnie cichość i małość chat rozsianych po górach, dolinach, między zwierciadełkami kilkunastu jezior! widziałem rzutem oka cały kawał ziemi, który się nazywa krajem i jest ojczyzną innych. Gdyby nie było na świecie poezyi, to ta sama myśl, że człowiek, który chodząc po ziemi, zebrał tyle jasnych i nadzwyczajnych obrazów i z niemi do grobu pójść musi, urodziłaby ją... Znów mię napada moja domownica, zwyczajna melancholia. Nie lękaj się, mamo, tej mgły przelotnej, która się znów rozpryśnie jak zazwyczaj.

Piszę teraz więcej niż kiedykolwiek, a co dziwniej-

sza, że piszę prozą; abym ci dowiódł, mamo, jak ty jesteś zawsze przytomna moim myślom, jak chciałbym wspomnienie twoje ze wszystkiemi marzeniami nawet poetycznemi połączyć, jedna z heroin mojej nowej tragedyi nazywa się Salomeą. Zobaczysz kiedyś, że piękna jak lilia i nieszczęśliwa prawie jak ty, tylko z innych przyczyn... Bóg wie dla kogo piszę i kiedy wydrukuję. Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie i stąd więcej może będzie naturalności i bardziej rozwiane zarysy; kiedyś to wszystko ktoś wyda na świat, może mały Stasio, jak dorośnie.

Teofilowie powieźli ze sobą kronikę Kromera i dzieła mego ojca; nie wiedząc prawdziwie, czy się z niemi zobaczę, nie wiem, kiedy i jak dojdą mię te książki.

Nim napiszę do Odyńca z podziękowaniem i z żądanymi szczegółami, podziękuj mu, mamo droga, bardzo pięknie. Chciałbym czasem bardzo pojechać znów do Paryża i nawet mam potrzebę tego dla sprawdzenia trochę zawiłych rachunków z księgarzami: oszukują mnie i mam prawie oczywiste dowody, że mię zbywają niczem, ale muszę ich zostawić wyrzutom sumienia, jeżeli jeszcze cokolwiek mają poczciwości. Prawdziwie, że klasa ta ludzi jest jedną z najgorszych: drą najbiedniejszych ludzi na świecie i mają do czynienia z ludźmi najgłupszymi do interesów, z pisarzami.

Poznałem się z panem Sobańskim, który mówił, że mnie znał dzieckiem. Jest to człowiek dosyć bogaty, kupił sobie obywatelstwo w Szwajcaryi i żyje spokojnie z ładną i przyjemną żoną w Vevey [1]), nad brzegiem jeziora. Poznałem także kilka dam polskich, między innemi panią Potocką, właścicielkę Starego Konstantynowa, która wraca niedługo do siebie. Dzisiaj była u pani Wodzińskiej: jest to bardzo nabożna kobieta; w wielkiej komitywie z księdzem proboszczem tutejszym. Ubolewała bardzo, słysząc z moich ust, że nic

[1]) Czyt. Wewe.

teraz nowego nie piszę: albowiem tak odpowiadam zawsze na zapytania pół litośne, pół uwielbiające naszych dam. Dziwiła się, że nie wstaję o 3-ciej godzinie rano, aby widzieć wschód słońca i musiałem ją zaspokoić, uręczając, że się nie kładę do 2-giej godziny w nocy i teraz, matko moja, spojrzałem na zegar i widzę, że jest właśnie godzina spania, muszę więc zakończyć na kropce albo na słowie dobranoc. Ty śpisz już dawno, kochana matko, a może, może bezsenna przewracasz głowę na zmiętej poduszce i myślisz o tej ciemnej przyszłości, w której nic dla nas nie widać. Matko, jak jabym nie chciał dla ciebie bezsennych nocy, jakbym ci chętnie połowę snu mego ustąpił, a co do życia, chciałbym, aby Bóg zmieszał nasze przyszłe lata w jednej urnie i rozdzielił je na dwie równe połowy; ale to niepodobna umrzeć o jednej godzinie.

Jeżeli będziesz, kochana mamo, pisać do Teofilów, proś ich, aby mi z większymi szczegółami o swojej podróży donieśli, bo na niepewne nie mogę się puścić.

Muszę ten list skończyć, aby go odnieść dzisiaj na pocztę. Wyczytałem z gazet, że podobno 500 domów w Brodach spaliło się; spodziewam się, że to nic nie wpłynie na naszego Hausnera.

Adieu, kochana, najdroższa mamo moja! Uściskaj ode mnie dziadunia i pokłoń się wszystkim; à propos, na Wielkanoc podług twojej recepty zrobione baby nie bardzo się udały, winien temu piec nie bardzo napalony; ciasto było ciężkie, zawsze jednak jadłem je z wielką przyjemnością.... Całuję ciebie, najukochańsza mamo, najserdeczniej. Twój *Juliusz.*

44.

Genewa, dnia 30 czerwca 1835.

Najukochańsza mamo moja! Od tak dawna żadnej wiadomości od ciebie a ostatnie słów kilka, które mi

napisałaś, mamo droga, nie mogą się nawet za list policzyć; bardzo mi smutno, bardzo jestem niespokojny. Teofilowie także nic nie piszą, nie wiem, gdzie są i co mam robić, aby się z niemi zobaczyć. Pytałem się o to ciebie, mamo moja, w ostatnim liście i czekając odpowiedzi, długo się spóźniłem z pisaniem, ale ty wiesz teraz, mamo, że ja zdrów, że mi żadne nie grozi nieszczęście, więc powinnaś być o mnie spokojną. Dobrze mi dosyć teraz na świecie: jestem w domu pełnym dźwięku mojej rodzinnej mowy; jeżeli sercami nie lgną do mego serca, jeżeli nie znajduję pomiędzy niemi takiego towarzystwa, jakiegobym duszą żądał, to przynajmniej często znajduję roztargnienie i cichą wesołość: słucham ładnej muzyki i słuchając, kryję się do muszli serca mego jak ślimak, odbywam powoli jak ślimak moją drogę w krainie myśli i staram się jak ślimak oślinić łzami ślad jakiś na ziemi, któryby po mnie pozostał. Zabawy nasze są teraz dosyć rozmaite: raz przejechaliśmy wszyscy czółnami na drugi brzeg jeziora, na obiad wiejski; całe towarzystwo ziomków moich zasiadło pod wielkiemi platanami u drewnianego stołu i ja z niemi. Sami widzieliśmy i wybieraliśmy w sadzawce żywe szczupaki i te przez nas zostawały skazywane na śmierć i autodafe ogniste; przywiezione w butelkach wino ciekło jak w Kanie Galilejskiej. Kamyki płaskie, ciskane naszemi dłoniami, skakały wesoło po jeziorze; graliśmy w zająca, jak dzieci w obliczu dam pozrzucawszy surduty i fraki; a kiedy przyszło do powrotu, niebo okryło się chmurami, jezioro kołysane burzą starało się nas ukołysać i zadowolnić jak dzieci, błyskawice wężami biegały po śnieżnych górach, a kropla deszczu nie śmiała nas uderzyć i zmoczyć; słowem, ładny był spacer, wesoły dzień, nikt nie zasmucił się i nie stetryczał bolem głowy, jak się to często zdarza, nikt nie lękał się gromu Boga, wszyscy byli razem aż do wieczora. Szczęśliwi ludzie, jeśli w teraźniejszym czasie mogą razem doczekać wieczora.

Wicher rozmiata żółte liście i spotykającym się tumanom śpiewa zawsze piosenkę pożegnania.

Mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi, wracają, wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście, żenić synów, wydawać za mąż córki, zasadzać ogrody, siać zboże, budować i przebudowywać domy, patrzeć na zachód słońca, wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciołmi, z wiejskiem sąsiedztwem... Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się czasem zdaje do kwiatowego cmentarza; bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć jak Luter, patrząc na groby Worms: Invideo, quia quiescunt. (Zazdroszczę, bo cicho spoczywają). Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz, mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą duszkę a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragedyach, z takiem długiem westchnieniem kona moja nadzieja. Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margeritki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnej koniczyny i dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka. Zdaje się jednak, że musi coś czekać.

Jeżeliby moje widzenie z Teofilami dla różnych przeszkód spełzło na niczem, to myślę za miesiąc wyjechać w góry i osiąść na kilka miesięcy w jakiej chacie, oberży, aby widzieć chmury jesienne, łamiące się po skałach, aby się napoić pięknością natury i mieć na długo serce pełne myśli, rozpływających się w Bogu. Nie uwierzysz, mamo, jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wiele na wewnętrznego mnie, a jak ja często

mówię: na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje się, że myśli moje odmłodniały. Jeden z tutejszych pierwszych malarzy ofiarował mi się być towarzyszem podróży; miło mi będzie siedzieć przy nim na ułamku skały i patrzeć na odbicie się natury w niedoskonałem sztuki zwierciedle; a kiedy tak będziemy cicho siedzieli między drzewami, wiewiórki przyjdą igrać koło nas, ptaszki będą pić krople rosy na listkach brzozowych. Tak przynajmniej malarz Guigon[1]) wystawia mi te ciche godziny, które przepędza na rysowaniu szwajcarskich skał i dolin. Czasem mówię sobie, że Bóg dobrze zrobił, zaprowadzając mię w te kraje; gdybyś ty, mamo, ze mną była!

Koszono siano w naszym ogrodzie; dziwna i interesująca nowina, że koszono siano, ale wystaw sobie, mamo, jak to miło czuć woń przeszłości. Pamiętam, że raz w Mickunach, stojąc na łące przy koszących ludziach, wyjąłem jakiś srebrny pieniążek, zdaje mi się, że złotówkę i dałem ją chłopowi, który wszystkich innych wyprzedzał. O laur! o nagroda! nie byłże ze mnie mały Czacki? Otóż, kiedy skoszono siano, wyszliśmy wszyscy po śniadaniu i położyliśmy się na kopach rozrzuconych panie, panny i chłopcy i tak leżeliśmy całą niedzielę, święcąc dzień Boży, nie myśląc o niczem, odurzeni zapachem umarłej i zabitej trawy, odrzucając tę myśl, że człowiek przechodzi jak trawa i kwiat polny, bo to nieprawda, bo trawę i kwiat polny już skoszono, wywieziono, sprzedano, już konie zjadły, a my jeszcze nie przeszliśmy i ja zabieram się na matuzalemowe lata. Szanowne zdrowie, jak mówi Kochanowski; co do mnie, ja czasem z przerażeniem patrzę na zdrowie i na przyszłość... Dlaczego? zwykła niespokojność jaskółki, co się boi, aby się dom z jej gniazdami nie spalił, nim dzieci się wychowają; jeszcze mistycyzm, czyli raczej ciemność porównania:

[1]) Czyt. Gigą.

trzeba wyjaśnić. Jaskółki, to moje szacowne dzieła dokonane i w przyszłości zamierzone, moje literackie gniazda, papiery, które można lepiej przyrównać do gniazd szczurów, niż do gniazd jaskółczych; ale co robić? piszę, jak gdyby mię kto gonił, przekonany, że taki list, nosząc cechę mego teraźniejszego usposobienia, najlepiej ci, mamo, przedstawi mię w takim humorze, w jakim teraz żyję: atmosfera imaginacyi, kraj przeszłości, wyspa ideału, przerżnięta rzeką łez. O, jakże to niemieckie! ale dalibóg prawdziwe. Panna Marya Wodzińska, która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczem nie marzy, jak o pustelniczym domku nad rzeczką, o czarnej sukience, o lekarstwach dla chłopów, o topolach, szumiących nad pustelnią i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem kiedyś. Tym mnichem-kartuzem mam być ja en personne[1]), nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej realności. Ty, matko moja, zdaje mi się, że przeciwnie: położenie twoje, umysł, ile razy wystawiam to sobie, zdaje mi się, że twoje serce musi być pełne wzniosłej poezyi, poświęcenie się twoje! Chciałbym być w sercu twojem, mamo, w godzinę, kiedy siedzisz sama wieczorem tak samotna na ziemi, jak ludzie przeszłych wieków, kiedy księżyc wschodzi nad górą Zamkową i mówi tobie o wielu rzeczach i o tej róży, z którą posyłałaś mnie kiedyś, małe dziecko do biednego M... Widzisz, matko, że ja te-

[1]) Czyt. An person — w własnej osobie.

raz pamiętam każde słowo rzucone kiedyś w duszę twojego syna. Przypomniałem sobie wiele rzeczy, o których jużem był zapomniał przed laty. Zdaje mi się czasem, że przypominam sobie coś z przeszłego życia na tej ziemi...

A p r o p o s. Zapomniałem z wszelką szczerością donieść ci, mamo, że przed kilkoma dniami miałem trochę gorączki i fluksyą; cały dzień przesiedziałem w pokoju i natychmiast dobry doktor tutejszy przyszedł do mnie i nic nie zapisał, ale na drugi dzień znów przyszedł i nie zastał mię, bo byłem na spacerze. Ta troskliwość doktora rozczuliła mię i pokazała dobroć serca ludzkiego i mówiłem temu doktorowi, że mu wdzięczny jestem z głębi serca mojego; a trzeba wiedzieć, że to człowiek bardzo zimny i nieczułą, twardą, ślimakową obdarzony skorupą. Magnes lgnie do żelaza... jeszcze porównanie niezrozumiane... trzeba ci wiedzieć, mamo, że mię ludzie trzymają za żelazo, bardzo zimne. Wszak pamiętasz, mamo, że jeszcze na Julka dziecko mówiono, że dumny; to wina mojej twarzy i Boga. Zdaje mi się, że Bóg kiedyś miał włożyć moją duszę w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wicher obrywa mu pióra, co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam patrzy na słońce. Szkoda, że nie poszedł Stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic; takby mi dobrze było ze skrzydłami i z jękiem ptaka w piersiach. Trzeba zniżyć lot, trzeba... przypomniało mi to gęsie pióro, którem piszę... gęsie pióro, narzędzie nieśmiertelności, a teraz słodsze daleko narzędzie wylewających się myśli w myśli matki. Trzeba zniżyć lot i napełnić koniec papieru wiadomostkami małemi. Oto przyjechała tu aktorka z Paryża, którą widziałem w Paryżu i teraz zobaczyłem niepodstarzałą i niezmienioną; z tego wnoszę, że ja także nie musiałem podstarzeć się. Może się trochę zmieniłem na duszy, ale też gdyby i tej aktorce zajrzeć do głębi duszy, kto wie, jakie tam przemiany! To

dziwnie, że ja ludzi uważam jak termometry, pokazujące ciepło żywotne mojego ja. Otrzymałem list z Paryża, z którego zaczynam wierzyć w cudy, a cudem jest, że panna Kora, o której pisałem mamie, pamięta o mnie. Trzy blizko lat pamięci! O! o! o! z takim jękiem konają osoby w moich tragedyach. Adieu, droga mamo, zawsze nazywam ciebie mamą, bo ci, co się oddalili i rozłączyli dziećmi, nie starzeją i wszystkiemi siłami chcą się zbliżyć do chwili pożegnania, aby rozłączenia się czas krótszym się wydawał i nie przerażał myśli odbiegającej w przeszłość. Bądź zdrowa i szczęśliwa, mamo moja!

Twój *Juliusz.*

45.

Veytoux[1]*, dnia 2 września 1835.*

Najukochańsza matko! Od dwóch miesięcy już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem, nad jeziorem Leman, w najpiękniejszem miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony, ludzie różnie o tem sądzą: jedni mówią, żem się był szalenie zakochał w pannie Wodzińskiej i uciekłem. Nie ma w tem za grosz prawdy, ponieważ z tobą, najdroższa matko, mówię otwarcie; otóż wyznam ci, że uciekłem, a to dlatego, że biedna córka domu, widząc mię dosyć zajętego panienką młodszą od niej i widząc tę panienkę dosyć mi przyjaźną, zaczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała, a matka domyślała się o co rzecz idzie; więc musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, chociaż żal mi było domu, gdzie przez dwa i pół roku mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dnie było wesoło bardzo. Otóż przeniosłem się do wioski Veytoux nająłem śliczny pokoik, błękitny, z okna

[1]) Czyt. Wetu.

widać winnicę, za winnicą jezioro, jak pół nieba wywróconego na ziemię, za jeziorem góry Meilleries[1]), sławne w Heloizie — Russa, słowem, trudny do opisania widok; ludzie, którzy Neapol i Helespont widzieli, mówią, że ten im wyrówna. W dzień pokój mój, jezioro, niebo, góry, wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przezroczyste; jaskółki przylatują do pokoju i tłuką się czasem piersią o zwierciadło. Pokój mój prześlicznie umeblowany; chodzę na obiad do pobliskiej wioski Montreux[2]), ale jestem bardzo samotny. Na dole w domu mieszka minister protestancki, dobry, do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci; z nim czasem gawędzę, ale smutny jestem.

Pani Wodzińska z familią wyjechała do Drezna; odprowadzało ją wiele osób. Panna Eglantyna umyślnie ją odprowadzała, aby potem mię odwiedzić i była u mnie i płakała i tysiąc próśb, abym wrócił i matka jej ciągle mię zaklinała, ale tak mi znudniało to, com porzucił, że wolę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mię karmili i kochali przez dwa lata i dlatego jutro wyjeżdżam, a przyjazd do nich bardzo łatwy i krótki: o godzinie 7-mej siadam rano na statek parowy a o 4-tej po obiedzie będę w dawnem mojem mieszkaniu. Ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleiło. Nudzi mię dom, gdzie mieszkałem i zasmuca mię ta myśl, że ten dom ma mi być obcym; znów szukać nowych ludzi, oswajać się z nowemi twarzami a tam byłem jak synem; płakałem, wyjeżdżając, płakany.

Odebrałem list od Filów: koniecznie chcą, abym przyjechał do nich; teraz pokazało się, że nie mogę. Odebrałem i twój list, droga mamo, list, który mię rozczulił i pocieszył: sąd o moich dzieciach jest moim

---

[1]) Czyt. Mejeri.
[2]) Czyt. Montre.

sądem, ale to, co po tych dzieciach narodzi się, będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze ciebie, moja droga mamo; nawet zamyślam ci ofiarować na pierwszej stronicy nowe, zapewne tej zimy wylęgłe dzieciątko. Dopiero to, zaręczam ci, matko, będzie twoim wnukiem; powiedz, czy ci to nie zaszkodzi? Wracając do Filów, nie mogę jechać do kraju, gdzie oni przebywają, żadnym sposobem, jednak jeden z moich przyjaciół otwiera mi drogę niespodziewaną. Piszę list do Paryża do wielkiej osoby, może jako chorego upoważni do jechania, a wtenczas nie będzie żadnych przeszkód; ale o takie upoważnienie bardzo trudno... słowem, robię to przez znaczne figury a robię, co mogę, jednak nie chciałabyś, matko, aby mi się w podróży przytrafiło jakie nieszczęście. Filowie zrozumieć tego nie mogą i w liście dają mi uczuć, że ja to robię przez skąpstwo. Boże! gdybym ja mógł zobaczyć te kraje, gdzie oni są, przebyć z niemi zimę... cóżbym ja za to nie dał? Ale mam za to dosyć rozsądku, że muszę sobie wyperswadować rzecz, która, jeżeli ostatnie moje staranie nie uda się, stanie się wtenczas niepodobną. Czy wrócę do pani Pattey, czy gdzieindziej zimę przepędzę, jeszcze nie wiem; listy mię zawsze pod dawnym adresem dojdą. O, moja droga! kiedy patrzę na ten ładny domek, w którym mieszkam, jakby mi się chciało ciebie tutaj sprowadzić i oddać ci mój pokoik błękitny, który zjadłabyś, taki ładny, jasny i tylko dla samotnego smutny; jaskółki biorą za kawałek nieba. Życie trochę mi (!) taniej kosztuje a taniej kosztowałoby jeszcze, gdybym nie był przymuszonym obiadu za domem szukać. Przy odjeździe taki smutek, taka mnie nuda opadła, że zakazałem, aby mi nie przysyłano książek, wziąłem tylko kilka moich ulubionych autorów, z tymi, jako to: Szekspirem i Byronem, chodzę po górach, kładę się pod drzewami i czytam; śliczne trawy, śliczne kwiaty, woń wiejska przypomina mi dziecinne czasy; myślę o Mickunach i Wierzchówce.

Prześliczne miałem księżycowe noce; wtenczas wychodziłem nad jezioro, siadałem na małym przylądku, wchodzącym do wody, z jednej strony miałem księżyc, z drugiej strony zamek Chillon, który z okna o 200 kroków widzę. Pierwszy raz słyszałem w starej wieży śpiewanie puszczyka. Co mi w takich nocach przechodziło przez głowę, trudno wypowiedzieć. Czasem żałowałem ludzi i rycerzy, którzy ginęli niegdyś w tym zamku, a dziś zapomniani i zamek ich tak cichy stoi w księżycowym blasku. Potem pytałem siebie, za co ci ludzie ginęli i odpowiedź była napisana we światełkach chat wieśniaczych. Nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach. Otóż ci rycerze, którzy dawniej ginęli, zapewnili zgonem swoim szczęście przyszłych pokoleń. Widziałem więzienie pyszne Chillonu, widziałem filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźni. Czytałem Byrona, patrząc z bliska na mury zamku i W i ę z i e ń C h i l l o n u piękniejszym mi się wydawał, ale okolice zamku nie są moją najulubieńszą przechadzką. Co dnia, idąc na obiad, przechodzę około ślicznego kościółka, otoczonego kwiatami; bluszcz się wije po szarych gotyckich ścianach, pełno róż i jaśminu wokoło, ławki, mur kościoła dziwnie porosły błękitnymi dzwonkami, a z muru najpiękniejszy widok: oko biegnie po zaroślach i zielonej spadzistości na zwierciadło jeziora; jak dobrze modlić się w takim kościółku, jak dobrze ludziom, którzy modlą się w nim od kołyski aż do grobu!

Byłem raz na wiejskim balu na górze: wieśniaczki i wieśniacy ubrani dobrze; kręcili się walca, a tak, że złudzonemu oku zdawało się, że cały taniec mijał nad brzegiem przepaści i zawsze jezioro było tłem obrazu; widać je z każdej ścieżki, z każdej doliny, z każdej góry. Nic piękniejszego jak okolica, w której żyję; ludzie wszyscy pięknie zbudowani, mnóstwo

kobiet prześlicznych, zgrabnych, wszyscy zdają się szczęśliwi. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie?

Filowie przysłali mi 200 rs.; książek mi jeszcze nie odesłali. Ja zaś twój list, moja droga mamo, zaraz im posłałem do Liwurny. Spodziewam się, że go odbiorą. Nudzą ich bardzo Włochy, a szczególniej Hersylkę.

Anglik jeden, który znał pana Okraszewskiego, chcąc mu podziękować za przysłanie łacińskiej kroniki, napisał do mnie list, prosząc, abym mały bilecik z podziękowaniem do mojego załączył. Ofiarowałem się chętnie to uczynić. Piszę ten listek dzisiaj, bo jutro w mieście otoczony osobami, co mię dosyć lubią, nie będę może miał spokojnej godziny na pogawędzenie z tobą droga moja matko; milsza to stokroć gawęda niż z moim ministrem protestanckim, który mi dowodzi, że tańcować jest grzechem i wszelkimi sposobami stara się ten grzech z pomiędzy śmiejących się ludzi wygnać; tak to ludzie sami znajdują sposoby dręczenia siebie, gdzie Bóg każe się cieszyć.

Gospodarzami mojemi są wieśniacy, którzy dom ładny wybudowali i drą jak mogą cudzoziemców, którzy tu dla kuracyi winogronowej i dziwnie ciepłego klimatu zjeżdżają się na zimę. Tego roku wiele familii chciało się tu usadowić, ale nie znaleźli dość wielkich domów. Jakbym ja chciał, abyś mi, mamo, poradziła, czy mam wrócić do pani Pattey? czy ich usilnym naleganiom odmówić? Listy ich rozdzierają mi serce: jutro będę musiał obecnych nalegań słuchać i opierać się im, a czuję że samotność tak zupełna, jaką mam teraz, złą jest dla człowieka. Nadto myślę i nadto zachmurzam się a potem, tam mię kochano i zdaje się, że bardzo i szczerze. Nie wiem sam, czy wrócę, czy nie. Widzenie się z Teofilami położyłoby koniec wymówkom; myślą, że się gniewam, że mi ich dom niemiły. Dobrze mi u nich było, spokojne wiodłem życie, jak we własnej rodzinie.

Od dwóch dni jestem w Genewie, gdzie mię przyjęto jak syna. Szwędam się i robię wszelkie starania dla uzyskania paszportu do Teofilów i mam nadzieję, że go mieć będę za kilka tygodni. O, jakieby to było szczęście! Jutro wracam do Veytoux, do mojego wiejskiego mieszkania i będę czekał rezultatów moich zachodów. W domu pani Pattey znalazłem ładne Francuzki, które tu mieszkają od cholery, bo słabość ta na umyśle Francuzów wielkie sprawia wrażenie.

Był tu teraz jubileusz protestancki, obchodzony z wielką pompą; właśnie przyjechałem statkiem parowym w sam dzień iluminacyi. Kto wie, może przyszły list z Teofilami pisać będziemy; oby tak było!

Moja kochana mamo! pisz do mnie zawsze pod dawnym adresem, bo listy mię pewnie dojdą. Muszę zakończyć moją bazgraninę, bo właśnie o godzinie pół do pierwszej muszę iść do doktora po otrzymanie świadectwa potrzebnego do wydania paszportu; nie lękaj się jednak, moja droga, o moje zdrowie; czerstwo wyglądam i piersi moje nigdy z taką mocą nie oddychały. Adieu, najdroższa! Odbieram właśnie w tej chwili list od Teofilów, w którym mi donoszą o przysłaniu książek i znów nalegają o wyjazd. Adieu; Całuję rączki, oczka, ściskam ciebie serdecznie i żegnam.

Twój *Juliusz.*

46.

Genewa, dnia 20 października 1835.

Moja najdroższa! Po trzech miesiącach pustelniczego życia nad jeziorem, wróciłem do mego dawnego pomieszkania i z przyjemnością osiadłem w moim dawnym pokoju, przed kominkiem, bo takie mamy zimna, że już się drwa palą w kominie. Pisałem ci już, droga moja, jak żyłem samotny w górach, jak odbierałem wizyty tylko jaskółek wlatujących przez

okno, albo rozmawiałem o przyszłości drugiego życia z ministrem protestanckim. Mgły i deszcze wypędziły mię z zaciszy, która przy złych niepogodach stawała się nadto ponurą i do mizantropii zaczęła nakłaniać moje władze umysłowe. Patrząc na jezioro, napisałem kilka lirycznych kawałków, które malują stan mojego umysłu przez te kilka miesięcy i dlatego może kiedyś spodobają ci się, moja droga. Postąpiłem także w moim nowym poemacie i chciałbym bardzo tej zimy coś wydać; zależeć to będzie od okoliczności i od projektowanego ciągle wyjazdu do Włoch, który się nie udaje: czekam do dziś dnia odpowiedzi na podaną do Paryża prośbę o paszport, i ani odmówienia ani paszportu nie jestem pewny. To oczekiwanie przykre mi jest i dręczy mię. Chciałbym widzieć się z Teofilami i ciągle nadzieja truje mi spokojność cichego zimowego życia; oni także nie wiedząc, jak się rzeczy mają, obwiniają mię o nieczułość i o skąpstwo, a tu zaprawdę niepodobna wyruszyć. Odebrałem list od nich przed kilku dniami; odebrałem pierwej jeszcze rs. 200, na których miałem straty 55 fr.; przysłali mi nareszcie i książki, ale tak źle postąpili i nierozważnie, że mi za tę paczkę każą zapłacić tutaj 40 fr., co jest niesłychaną ceną, zdzierstwem, jakie tylko we Włoszech może się popełnić, bo za taką paczkę z Paryża płaci się 4 fr., a za książki Kochanowskich z Brodów zapłaciłem 2½ franków. Odpowiedziałem więc Włochom co mię teraz chcą zdzierać, że jeśli z ceny nie spuszczą, zrzeknę się książek i zdaje mi się, że to ich do ustąpienia połowy przynajmniej ceny skłoni.

Odebrałem także jeszcze na pustyni list twój, miły twój list, moja droga, i odczytywałem go z wielkiem szczęściem po kilkanaście razy. Miło mi było sąd twój szczegółowy o moich dzieciach znać; zgadzam się zupełnie na wszystko i wyznam ci, moja droga, że list ten zapalił mię, abym podwoił usiłowania, abym ciebie, kochana matko, czem lepszem, udarował,

bo przyznam ci, że znienawidziłem moje pierwsze utwory: czuję potrzebę większej doskonałości, rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcej łez było w słowach. Mam lat 25, trzeba, abym już był tym, czem być mam i dlatego może nienawidzę moje pierwsze dziełka. Lubię jednak wszakże więcej nad inne Godzinę myśli; — coś w niej jest, co mię samego kołysze przeszłości dźwiękiem, jakąś cichą, dawną piosenką. Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrody były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonią, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i różnymi dźwiękami natury, widziałem ją z blizka błękitną albo chmurną. Raz, wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę rano; dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze: cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga.

Sam nie wiem, dlaczego z taką dokładnością opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że ty sobie mamo droga, lepiej mię wystawisz w takim obrazie. Jest to niby wizerunek symboliczny tego, co czuję teraz. Nie idę do kościoła, ale słucham z daleka między skałami dzwonu, co zwołuje spokojnych ludzi na modlitwę. Dlaczego ty, droga moja, pisząc mi o twoich zamysłach przyszłych, opisujesz starania, któremi chcesz zabezpieczyć mi ciche, spokojne i miłe życie; myślisz, że ja oddalony, innymi może projektami zajęty, uśmiechać się na to będę, jak na próżne marzenia? Nie, moja droga, jeżeli się uśmiechnę, to może tylko z niedowiarstwa w szczęście, czyli raczej z nieufności w ten



Panorama Rzymu widziana z dachów Bazyliki św. Piotra.

los, coby mi kiedy mógł pozwolić używać i być jak inni ludzie szczęśliwym. Za nic Bogu nie dziękowałbym tak, jak za cichy mały domek przy Teofilach, domek biały z ogrodem, z jednym sługą; skromny codzień obiad, mała szafa z książkami, oto jest zakres ograniczający moje marzenia. Przyrzekam ci tu, moja droga, że za niczem więcej nie goniłbym; chciałbym tylko mieć zupełną wolność głośnych marzeń, bo czemże ja byłbym, gdybym stracił te (!) okienko, przez które na świat patrzę i odzywam się do przechodzących pod domkiem moim ludzi? Teraz zdaje mi się, że jestem na coś potrzebny; gdyby mi powiedziano, że nie, to okryłbym się moim płaszczem i położyłbym się spokojnie do snu, pytając Boga, na co mi kazał grać rolę waryata na tym świecie. Bo już teraz byłoby zapóźno rozsądniejszą zaczynać wędrówkę: ani moje nauki, ani myśli nie przydałyby się na coś rozsądniejszego i pożyteczniejszego dla mnie. Zrobiłem z mojej głowy narzędzie na nic innego, tylko na to, do czego mi teraz służy, nieprzydatne. Zdaje mi się nawet, że ciągłem usiłowaniem w drodze wyższych marzeń zabiłem w sobie ten dowcip towarzyski, który w życiu popłaca. Są osoby, z któremi nigdy nic nie mam do czynienia i do powiedzenia, mimo tortury umysłowej, jaką sobie zadaję. Są zaś ludzie prostoduszni, jak ów minister protestancki, z którymi po całych dniach gadam i nie nudzę się, ani słuchacza dręczę. Co do płci pięknej, nieraz miło mi rozmawiać z młodemi panienkami, których wyobrażenia zupełnie są ograniczone: nieraz zaś znalazłem czczość w osobach okrzyczanych za dowcipne; słowem, nie znam jeszcze głęboko serca ludzi, wytłómaczyć sobie charakterów miłych mi albo niemiłych nie umiem. Zdaje mi się także, że umysł mój dojrzał, bo nie znajduję już żadnych przyjemności w romansach czytanych, ani w tłumie tych dzieł lekkich, jakiemi dotychczas mniej wię-

cej otaczałem mój rozum, słowem usposobiony już jestem do cichego, wiejskiego życia.

Gdyby można przez kupienie małego kawałeczka ziemi otrzymać pozwolenie zamieszkania w stronach gdzie Teofilowie osiąść zamyślają, bardzo byłbym szczęśliwy. Ale to trudne i może, bez zmiany okoliczności, niepodobne. Genewa nudzi mię już z bardzo wielu przyczyn: nie wszedłem w towarzystwo i chociaż bardzo by to łatwe teraz było dla mnie, lenistwo jakieś ciągle mię wstrzymuje, a najbardziej do tego lenistwa przyczynia się mieszkanie za miastem: trzebaby bowiem w zimne noce długą drogą powracać do domu. Fiakrów tu nie ma i na każdy wieczór trzeba brać powóz, kosztujący 6 fr. na raz; taki wydatek przy drogości życia jest niepodobny, policzywszy bowiem rękawiczki, każdy wieczór 8 fr. kosztuje, a kto się na wieczorach nudzi, to nudów tak drogo kupować nie powinien. Przenieść się do miasta na mieszkanie niepodobna, bo i więcej bym tracił, i domu, w którym mieszkam, porzucić nie mogę po tylu dowodach przyjaźni ze strony pań Pattey. Wyjazd do Włoch przeniósłby mię w nowe strony i może potem wybrałbym inne, przyjemniejsze i tańsze miasto na mieszkanie; modlę się więc o paszport, ale mało mam nadziei. Robię więc projekt, jeżeli z Teofilami nie połączę się, aby wyjechać po Nowym Roku do Brukseli, piszą mi bowiem, że tam życie nadzwyczaj tanie i przyjemne; znalazłbym tam znajomych i możeby mi tam dobrze było, ale projekt ten zapewne do skutku także nie przyjdzie, a to z powodu kosztu, jakie podróż pociągnęłaby za sobą.

Myślę nieraz, że mając ciągle i na długo gdzie się usadowić, trzeba niewiele tracić, aby na dłużej wystarczyło do życia. Nie uwierzysz, mamo droga, jak nie pozwalam sobie żadnych przyjemności, a jednak wyznaję ci, że wyjeżdżając nad jezioro, winien byłem p. Pattey 400 fr.; przysłane przez Teofila 750 fr. po-

szły na wypłacenie tego długu i teraz zostaje mi tylko 200 fr. Przymuszony sprawić sobie co na zimę, około Nowego Roku, winien będę p. Pattey 400 fr., i jeżeli otrzymam zwykły zasiłek, to mi 800 zostanie, z którymi pojechawszy do Brukseli, prędko byłbym bez grosza a w nieznajomem mieście trudno byłoby się załatwić.

Piszę ci, moja droga, otwarcie cały stan mojej kasy, boś mi kazała, abym tak czynił. Książki moje mało mi przynoszą, bo daleki od Paryża, wystawiony jestem na wszelkie szachrajstwa księgarzy: ci mi przysyłają rachunki, których sprawdzić nie mogę i czasem po kilkadziesiąt franków dają, kiedy im się podoba. Przychód dwóch tomów pierwszych poszedł na druk następnych a te zaledwo się teraz opłacają. Jeżeli co będę drukował, będę się starał przedać księgarzom z góry. Pfe! Jak to niegodnie łączyć pisanie z pieniędzmi. Lepiej jednak nic nie zyskiwać jak przedawać za pieniądze opinię i imaginacyę... Ty, moja droga, nie będziesz mną pogardzać za to, że ja na moje pióro wielkiego odbytu znaleźć nie mogę; ty nie będziesz z szyderską litością innych obcych ludzi patrzeć na mnie, kopiącego się w ziemi, jak biedna mrówka. Idę nieznany i smutny, ale kiedyś może powiedzą ludzie, że wart byłem własnego domku, ogrodu i kilku przyjaciół. Dlaczego takie zniechęcenie? — zapytasz, droga moja — dlaczego? Oto z bardzo małej przyczyny: dziś widziałem jednego z moich ziomków, który po kilka razy nazywał mię poetą, a nakoniec wyznał, że nic jeszcze nie czytał mojego. Prawda, że to był handlarz winny, który z próbkami jeździ po świecie i interesa domu swego załatwia; bierze kilka tysięcy franków na rok pensyi i zamyśla się ożenić ze starą wdową kupca i handel winny wziąć w posagu. Rozsądny człowiek!

Adieu, najdroższa, najukochańsza! Będę jutro pisał do Teofilów; jeżelibym wyjeżdżał do Włoch, to

przed wyjazdem listem uwiadomię. Jak się miewa kochany dziadunio? jakie teraz, moja droga, ma towarzystwo? kto najmilszy, kto najbardziej gawędką skraca godziny? Wziąłem się teraz do czytania nut na fortepianie. Dosyć mi ciężko idzie, bom odwykł, ale kilka miesięcy nauki pomogą; grywam po kilka godzin co ranka, czasem wieczorem gram wista nie drogo, ale zawsze przegrywam. Adieu! Całuję rączki i oczy po kilka set razy, moja droga, moja najmilsza!

Twój *Juliusz.*

Chociaż jak się spodziewam, list ten przed imieninami twojemi dojdzie, droga moja, życzę ci tu szczęścia, ciszy i spokojności. Będę o tym dniu pamiętał i przepędzę go jak wielkie święto wspomnień i żalu.

47.

Dnia 29 listopada 1835.

Najdroższa moja! W dzień smutny twoich imienin biorę tę ćwiartkę papieru, lecz po tak długiem rozstaniu nie wiem, czego ci mam życzyć? Nie wiem, czy w twojem biednem życiu jest jaki mały wypadek, którego mógłbym ci winszować. Niech Bóg czuwa nad nami. Stanąłem w oknie mojem, patrząc na dwa małe koty, które się uganiają po dziedzińcu za suchymi liśćmi klonu, wesołe jak dzieciątka, i myślałem o malowanych kotkach Melanki, które ci niegdyś dała na powinszowanie imienin; biedny aniołek! śnieg biały leży teraz na jej małej mogiłce.

Otworzyłem książkę Kochanowskiego i treny dwa, naznaczone twoim bladym ołówkiem, przywołały nowy łańcuch uczuć i pamiątek; pomyślałem, że gdzieś w innej stronie Teofilowie myślą o nas, także smutni w ziemi obcej i niemiłej. Z listów ich widzę, że są dziwnie znudzeni światem; starałem się, jak mogłem,

aby się z niemi połączyć i, pomimo nadzwyczajnych zabiegów, tracę nadzieję, aby się to kiedyś stać mogło, chyba będę ich czekał powracających na drodze, a oni także nieco z drogi zjadą, aby się ze mną zobaczyć. Wielka przyjemność w życiu mojem ubyła przez to, że z niemi zimy nie przepędzam: jużem marzył z rozkoszą o tych kilku miesiącach wędrówki w nowym kraju, z dawno ukochanemi osobami; już nawet przeczuciem doznawałem nowych wrażeń, smutku na dawnych ruinach i dopiero 2 tygodnie temu, jak list ostatnił pozbawił mię prawie ostatniej nadziei: osoby, które się podjęły były wyrobienia paszportu, tak opieszale chodziły koło tego, że rzecz zadawniała i prośby moje bez żadnego skutku zostały. Muszę więc siedzieć na miejscu. Pisałem do Teofilów niedawno, aby ich przekonać, że jeżeli nie jadę do nich, to nie przez opieszałość to czynię. Nie wiem, czy uwierzą temu, bo im się zdaje, że to wszystko łatwo w mojem położeniu a nie wiedzą, że przeciwnie. W listach wzajemnie pisanych wzdychamy wszyscy troje do cichego kąta w naszej rodzinnej ziemi i do spokojnego wiejskiego życia. Oni szczęśliwi zapewne to mieć będą: co do mnie, niech się dzieje wola Boża.

Zimę tę niewiedzieć jak przepędzam; ciągła nadzieja wyjechania stąd do Teofilów porwała łańcuch moich marzeń; ja, co zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu, tego roku głowę mam podobną do niezapalonej latarni; więc nudzę się, czczość myśli jest największą dla mnie męką: nie wiem, o czem marzyć, a nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnej rzeczywistości. Czas mamy bardzo brzydki, śnieg padał, teraz ciągle mgły i wilgoć: dolina, w której leży nasze miasteczko, skoro się raz mgłami napełni, mgły te kręcą się i wyjść nie mogą dla otaczających gór, trzeba więc czekać, aż się wypłaczą. Poeta, który robi sentymentalne porównania, przyrównałby miasteczko do serca,

które się samo w sobie zasklepia i, raz napełnione mgłami, nie wypogodzi się tak prędko jak serca na wszystkie cztery wiatry otwarte; ale ja, co kiedyś lubiłem takie naciągane porównania, znajduję je teraz smutnie śmiesznemi.

Dom nasz dosyć teraz wesoły: mieszka w nim jeden Francuz, jeden Anglik i jeden z mych ziomków, ale nie z liczby tych niedźwiedzi, co liżą łapę przez całą zimę: jest to ziomek wojażer, bogaty, lubi bawić się, trzyma powóz i konie, daje co tydzień wieczory, ma wszystko oprócz zdrowia. Lubię go, dobry to chłopiec, znałem go z widzenia na uniwersytecie, gadamy więc często o dawnych czasach. Nazywa się Rajocki. Od niego dowiedziałem się, że biedna Julka Sanders umarła; ze smutkiem wspomina o niej, bo się kiedyś w niej kochał i nosił jej na wieczory jabłka w kieszeni, bardzo bowiem lubiła ten owoc. Mamy więc co poniedziałku mały wieczorek. Pani Pattey zaprasza damy, mój ziomek chłopców i tańcujemy. Wojażer nasz, choć tyle lat (bo od sześciu roków) (!) za granicą, nie zapomniał polskich zwyczajów i zawsze zimną zastawia kolacyę i podług twego przepisu, moja droga, kazaliśmy piec baby, które się dosyć dobrze udały. Ostatniego poniedziałku nietylko mazura, ale tańcowaliśmy nigdy tu niewidzianego poloneza. Wieczorki te nasze bez żadnej etykiety bardzo wesołe.

Najdroższa moja! oddano mi w tej chwili twój list z zasiłkiem, list okropny dla mnie! Gdybym mógł się w ziemię żywy zakopać i jeść ziemię, tobym zrobił to tej chwili. Najukochańsza! powiedz mi, co mam robić, abym nie był ciężarem na tej ziemi: ty chodzisz w podartym szlafroku, ale ja także od czterech lat jeden frak mam czarny i tylko sobie co lato jeden tużurek robić każę, aby między ludźmi dziurami nie świecić. Kilka dni temu kazałem sobie frak robić, bo już w dawnym paryskim nie mogłem nawet na domowych wieczorkach pokazywać się. Wyrzucam sobie tylko stół

mój domowy, który dla mnie zanadto drogi i przyrzekam ci, najdroższa, że przed Nowym Rokiem wyjadę albo do Brukseli, albo do południowej Francyi, albo do jakiej innej mieściny kraiku, w którym teraz mieszkam i będę żył jak można najoszczędniej. Droga moja! od dwóch lat nic nie drukowałem i nie myślę drukować, a jako mi radzisz, jeżeli co mieć będę, sprzedam (ale kto kupi)? Więc ciebie obsiadają i objadają goście! Biedna ty, biedna ty! Gdybym był przy tobie, tobym pracował, bo ja teraz nie dumny, ale tu, czego się ja chwycę? Teraz, kiedy przebiegam wszystkie użyteczne zdolności, sława literacka czczą mi się wydaje, ckliwo mi, myśląc o niej i znów czytam list twój do Teofilów i płaczę jak dziecko; biedna ty, tobie zimno w twoich pokoikach a ja mam ogień na kominku. Ty wiesz, moja droga, że ja, nic nie zrobiwszy dla naszej kuzynki, nie mam prawa upominać się o szczupły zasiłek, jaki mają jej synowie ze szczodrobliwości tutejszych; ty wiesz o tem, ty wiesz, że ja mam na sumieniu, żem za mało czuwał nad nią, kiedy chora leżała; ja mam także sumienie a jeżelibym stetryczniał (!), to niemało się do tego przyczyniła ta myśl, że nieużyteczny byłem jak chwast, a każdy smutek w życiu zdaje się być słuszną karą Boga... Ale czemu ty nie opalasz wszystkich pokoików, dlaczego ty zimno cierpisz? Pomyśl, jeżeli ty siebie taką oszczędnością zabijesz, co się ze mną stanie? Zawołaj zaraz Ambrożego, niech zapali we wszystkich piecach; zaklinam ciebie, bierz z kapitałów i nie oszczędzaj się tak, że oszczędność do nędzy podobna. Ja wiem, moja droga, że ty mi odpiszesz list uspakajający, ale cóż, kiedy ja stąd widzę ciebie i dawno przeczuciem widziałem biedny twój stan; owszem, bądźmy szczerzy nawzajem: ja wyznaję ci, że abym się mógł zamenażować, muszę odmienić miejsce pobytu, bo to jest nadto gorzko i prawie niepodobnem z domu, w którym mieszkam, wyprowadzić się do jakiej małej stancyjki; na-

reszcie gospodynie moje nie pozwoliłyby na to, ofiarowałyby mi zmniejszenie ceny, która i tak mniejsza jest o wiele dla mnie niż dla innych; już mi nawet o tem przebąknęły, ale ja, widząc, że ich interesa także źle idą, nie mogę się zgodzić, abym zostawszy u nich, mniej płacił niż utrzymanie moje kosztuje. Pojadę więc, jak mi się zdaje, do Brukseli a tam może mi się uda stać się jakim sposobem użytecznym sobie; ale jak tu wyjechać przed Nowym Rokiem, kiedy w ostatnim liście pisałem do Teofilów, że będę ich czekał powracających wiosną na południowo-wschodniej granicy Alp? Widzenie się ich ze mną będzie takim sposobem bardzo łatwe, mało bowiem z drogi zboczą. Wyjazd więc mój lub pozostanie tutaj jeszcze od ich listów zależą: jeżeli mi napiszą, że będą wracać drogą, którą im wskazałem, to mi już ni serce moje, ani żadne widoki oszczędności nie pozwolą stąd wyjechać przed widzeniem się z nimi; będę musiał czekać do wiosny a zaś na wiosnę pojechać na ich spotkanie na drugą stronę naszego małego kraiku.

List ten pełny nieporządnych projektów i przedsięwzięć pokazuje ci, moja droga, jak ja pracuję głową, aby coś z niej dobrego wycisnąć. Nakoniec, ty sama życzysz sobie, abym się z Teofilami widział. Odebrałem także list, w którym mi donoszą, że pewna księżna pani chce za mną pisać do tego pana, który mi widzenie się z Teofilami, tam gdzie są oni teraz, ułatwić może; może więc jeszcze za tygodni kilka pojadę do nich, ale mało mam zaufania w tem ostatniem błyśnieniu nadziei.

Dnia 30 listopada. Wczoraj wieczorem gadałem do 1-szej godziny w nocy z panną Eglantyną otwarcie o mojem przedsięwzięciu wyjechania do Brukseli; płakała, płakała i płakała. Widzisz, droga, że ja mam teraz dosyć rozsądku i nie wstydzę się powiedzieć ludziom, że muszę się oszczędzać i szukać tańszego miejsca pobytu. Co przewidziałem, nastąpiło: chciała ko-

niecznie, abym za połowę ceny teraz płaconej żył w ich domu; odpowiedziałem stale i z uporem, że się na to nie zgodzę, że nie jestem przyprowadzony do tego, abym nadużywał przyjaźni biednej wdowy, która pracuje na kawałek chleba i z takim go zarabia kłopotem. Nieprawdaż, moja najdroższa, że ty sama nie chcesz po mnie takiego egoizmu? Wyjechałbym zaraz, gdyby nie to widzenie się z Teofilami, gdyby nie ten list, w którym mi dają nową nadzieję. Jakoś to będzie. Może, czekając na nich, przepędzę lato w jakim tanim domku szwajcarskim, a na drugą jesień wyjadę z uzbieranym nieco groszem; może co napiszę i sprzedam, jeżeli uda mi się co interesującego napisać. Słowem, będę się starał z mojej strony, aby nam obojgu lżej było na sercu. Ja wiem, moja droga, że ty mi z rozkoszą ostatnie dajesz, ale ja, co na własnej spokojności szczęście moje zasadzam, smucę się, myśląc, jakim jestem ciężarem; często nie mogę pojąć, skąd ty wydobywasz nowe grosze i myślę, że ci może anioł jaki sypie do twojej mahoniowej szkatułki. Bądź zdrowa, najdroższa, najukochańsza! Mam nadzieję, że ci z powrotem Filów lżej i lepiej będzie. Adieu!

Pisz, droga, zawsze pod ostatnim teraźniejszym adresem a listy i przesyłki dojdą.

Twój *Juliusz.*

48.

Rzym, dnia 28 maja 1836.

Najdroższa mamo! Ze smutkiem zapewne dowiesz się, że po trzech miesiącach pobytu z Filami w Rzymie, muszę się znów teraz z niemi rozłączyć i puścić ich samych do Neapolu; wszystko mi się nie splata, muszę znów zostać sam, a że nie lubię wrażeń niezupełnych, chcąc, aby ta samotność głębszą była, wyjeżdżam na mieszkanie do Tivoli, stamtąd zamierzam udać się da-

lej w góry i po samotnych przesiadywać oberżach, aż trudność doznawana teraz nie ułatwi się, lub też póki Filowie nie wrócą z Neapolu.

W ostatnich czasach żyłem w Rzymie z kilku ziomkami moimi, młodymi, zapalonymi i tych towarzystwo ożywiło mię nieco: jeden z nich miał wiele podobieństwa do dawnego dziecinnego przyjaciela mojego, Ludwika. Rozmawiając z nim, przyszło mi na pamięć wiele dawnych uczuć i wiele dawnych wyrazów. Chodziliśmy razem na spacery i najczęściej przepędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jest to ogród, pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich. Przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające tę willę, przybierały kształt duchów a Rzym daleki w mgle sinej tonął, z dziwnem rozemdleniem serca myślałem o przeszłości. Nieraz ciebie, moja droga, wspomniałem cicho i głośno, opowie ci to kiedyś Zygmunt, mój towarzysz romansowych wędrówek, bo może on prędko ciebie widzieć będzie, a obiecał mi, że to uczyni, jak będzie mógł najśpieszniej po powrocie z zagranicy. Jak dziwnie powietrze działa na moje zmysły, tego ci opisać nie mogę: mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba, chciałbym tu był przepędzić moją przeszłość.

Byłem niedawno na cmentarzu tutejszym angielskim, widziałem groby dwóch poetów, jeden z nich kiedyś mógł być dla mnie przestrogą; młody Keats [1]) leży pod małym kamieniem: ów poeta wydał kiedyś swoje wiersze; krytyka jednego z pism angielskich zabiła go, to jest, dostał melancholii, potem suchot; pochowano go w Rzymie. Miło leżyć (!) na takim cmentarzu: mały, kwadratowy, pod piramidą Cestiusza, dawnego Rzymianina nie wielu dotąd grobami zasiany, a te, co są, ciche i z białego marmuru; w jednym kącie

[1]) Czyt. Kits.

cmentarza przezroczysty kląb cyprysów i innych lekszych (!) drzew, zupełnie jak gaik Elizejski w Eneidzie Wirgiliusza, po którym błądzą cienie kochanków — samobójców. Drugim śpiącym poetą na tym cmentarzu jest Schelley[1]), przyjaciel Byrona; bezbożny, utopił się, ciało jego spalono na stosie, wśród równiny nad morzem w Lido; prochy leżą na cmentarzu, lecz niespokojne, tablica marmurowa pękła na dwoje, może jaki duch w bezksiężycowej nocy rozłamał ją na dwoje i uniósł duszę ateisty. Cóż, moja droga, gdzie mi wybrać miejsce? czy na krzemienieckim cmentarzu pod śliwą babuni nie będzie mi spokojniej?

Tymczasem ja, co myślę o pewnym odpoczynku dla ciała, nie mogę teraz posłać go z Filami do Neapolu i nie wiem, co z sobą robić; nie wiem, czy rzucić Rzym dla jakiej bezludnej okolicy, czy pozostać w tem samem mieszkaniu, co teraz. Smutno mi będzie i pusto. Zostanie mi tylko jeden dom, w którym będę mógł przepędzić wieczory: są to pewni baronowie Richthoffen, mąż Niemiec, żona Polka, bardzo miła osóbka, wiele gadająca, z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich. Gdybyś sobie, moja droga, wystawić mogła, co to za urok jest dla nas w Polkach, jak one zdają się nam z innego świata, lekszego, zgrabniejszego stworzeniami, to byś się nie dziwiła, że słysząc tylko o tej pani, lataliśmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć. Ideał utworzony w imaginacyi rozprysnął się za pierwszem spotkaniem tej damy w ogrodzie Borghezych[2]) i teraz została mi w niej tylko milutka znajomość, bo mię Aleksander Potocki zarekomendował, a moje nazwisko już trochę znane, pomogło mi do otrzymania dobrego nader przyjęcia.

Filowie zdecydowani na wyjazd, za dwa dni ruszają, widzisz więc, moja droga, że i tak blizcy siebie,

[1]) Czyt. Szely.
[2]) Czyt. Borgezych.

nie możemy zawsze być razem; jakiś zły duch rozwiewa nas po świecie jak nędzne słomki. Patrzę z przerażeniem na mieszkanie, w którem sam zostanę, chciałbym, żeby imaginacya przyszła mi na pomoc i zapełniła jakiemi marzeniami dni moje; ta szalona władza tworzenia jest dotąd moim aniołem stróżem, bez niej nie wiem, co bym począł na świecie.

Ponieważ wszystko ci piszę otwarcie, moja droga, powiem ci, że mi smutno, bo pod koniec mojego tu pobytu straciłem serce Fila; jest w tem wiele mojej winy, wiele może uchybienia, ale też z jego strony skłonność do złego humoru wiele się przyczyniła.

Oto na początku mego tu pobytu żyłem z niemi ciągle razem, całe dnie i wieczory przepędzałem na gawędce, razem chodziłem na obiad, słowem, bez żadnej myśli zapisałem im wszytkie godziny mego życia. Tymczasem przybyło tu wiele ziomków moich, sami Filowie powiedzą ci kiedyś, że nie szukałem ich znajomości i tak dalece stroniłem, że wszyscy prawie musieli mnie pierwsi szukać w mojem mieszkaniu i pierwsi robić znajomość; a chociaż wszyscy zapoznali się z Teofilami, przywykli do kawalerskiego, biegającego i cygara palącego życia, powoli wszystkimi sposobami starali się mię przyciągnąć do swoich mieszkań, bo moje mieszkanie tak jest z Filów salonem połączone, że u mnie przesiadywać bez żenowania się nie mogli; stąd poszło, że po kilku tygodniach zacząłem rzadziej w domu siedzieć.

Z Zygmuntem biegaliśmy po odległych spacerach, wieczorami tak na żywych i pasyonowanych rozmowach czas nam zbiegał, że często wracałem do domu, kiedy się już Filowie spać położyli; przeczytałem był wszelkie moje prace Filom, które się im niebardzo podobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem; wiesz, droga, że dusza najmędrsza wiele ma miłości własnej i choć się jej broni, jak może, mi-

mowolnie jednak woli pełne zapału pochwały, niż zimne i grzeczne pochwalenie krewnych. Nawet w tej smutnej walce z imaginacyą ostygającą potrzeba czasem, aby obcy dodali jaką skrę, aby obronili człowieka od rozpaczy, do której wieść zwykła oziębłość ludzi sądzących mnie. Rzadsze przesiadywanie w domu stało się przyczyną, że Filo okazywał mi się nieraz z zimną twarzą, często, wróciwszy ze spaceru, szedł prosto do okna i słowa do mnie nie wyrzekł; to mnie od siedzenia w domu do reszty zniechęciło. Mając z niemi rok cały przepędzić, nie sądziłem, abym przez cały rok miał w domu siedzieć i tylko nad wieczór krok za krokiem wychodzić na zwyczajną przechadzkę z niemi razem, ja, co przywykłem prędko latać, czasem nic nie mówić, a czasem z jakim drugim szaleńcem gadać po szalonemu językiem imaginacyi.

Teraz Filowie wyjeżdżają może rozżaleni na mnie, że nie byłem takim, jakim być należało; czuję i cierpię na tem i tobie, moja droga, powierzam tę jedną nową z moich żałości, abyś ty mię utuliła i przyrzekła mi, że kiedy mnie wszyscy porzucą i kochać przestaną, ty mnie nie porzucisz i będziesz kochała tak, jak gdybym ja był dobrym i szczęśliwym w zarabianiu na miłość ludzką! O! przeczuwałem ja, że oni nie przywiążą się do mnie i ze strachem rzucałem obcych ludzi, którzy się byli przywiązali do mnie i lubili; piszę ci to, moja droga, abyś mogła mnie jeszcze pojąć i żałować, że ja z tak smutnemi myślami zostaję sam w Rzymie.

Ułożyłem już sobie, jak mam przepędzać mój dzień samotny: o godzinie 7-mej z rana będę wychodził na spacer, aby cokolwiek się chłodem orzeźwić, potem zajdę do kawiarni, potem około 10-tej wrócę do domu i w płóciennej belluzie będę marzył, pozapuszczawszy żaluzye i gryść się zapewne będę aż do godziny 4-tej, o której wyjdę na obiad, po obiedzie na spacer i wieczór albo samotny, albo u pani Richthoffen, w której domu pierwszy raz w życiu będę się starał być jak

domowym i wyrobić sobie prawo przychodzenia nawet co dnia.

Wystaw więc sobie, droga, życie takie, wymaluj myślą naokoło młodego chłopca Rzym spiekły upałem przez dzień cały, bez drzew, bez zieloności i pomyśl, co on będzie robił? Jak na dobitkę przyjechał tutaj Gaj z żoną, ów młody niegdyś sowizdrzał; ten chce koniecznie, abym się z nim po Rzymie włóczył, bo on lubi gadać dużo, jak sam powiada, i potrzebuje koniecznie kogoś nudzić. Już dwa z niemi spacery odbyłem: wczoraj byłem na kopule św. Piotra i wlazłem aż do kuli pod krzyżem, gdzie 16 ludzi pomieścić się może. Widok na Rzym stamtąd bardzo piękny; cały dach kościoła podobny jest do jakiejś kolonii, nawet jest kilka domków rzemieślniczych i fontanna ciągle ciekąca. Chodząc po nim, człowiek czuje, że nie jest na ziemi i doznaje takiego wrażenia, jak chodzący po pokładzie okrętu; stamtąd idzie się na kopułę po bardzo dobrych wschodach, bez żadnego niebezpieczeństwa, do samej zaś kuli włazi się po drabinie, na którą ty, moja droga, pewnie byś polazła, bo pamiętam, jak jesteś odważną do takich przedsięwzięć. Architektowi zdawał się taki kościół bardzo łatwym do zbudowania, ja zaś myślałem sobie, że kiedyś jeszcze będę tak się drapał na piramidy, bo tak ciągle błąkając się po ziemi, może kiedyś aż tam zabłądzę.

Moja droga! w ostatnim liście tak mało miałem od ciebie i o tobie, że mi dotąd smutno, aż mi żal dawniejszych twoich listów, gdzie przynajmniej musiałaś, myśląc o mnie, dwie całe stronnice napełnić. Wożę z sobą ogromny pakiet twoich listów od najdawniejszych czasów, bo nie mogę się odważyć, abym najmniej z nich ważne i miłe zniszczył; osobno leżą w mojej komodzie, patrząc na listy siostry mojej Eglantyny, które także miłe mi są, bo sercem pisane. Odpisz, droga moja, do Filów do Neapolu a oni mi

list odeślą; lepiej bowiem zawsze pisać pod znajomszym adresem.

Jeden tu z mieszkających malarzy zrobił teraz mój portret, osobliwie trafiony bardzo ładnie i bardzo podobny; zachowam go, bo mi kiedyś do litografii może bardzo będzie potrzebny, ale ci się postaram o dobrą kopię, którą przez wracających Filów odbierzesz. Jednak mam jeszcze trochę nadziei, że ty, droga moja, może z Mianowskim choć do Florencyi przywędrujesz; słaba to nadzieja i nie śmiem jej myślami karmić, aby nie rozkwitnęła nadto i nadto dręczyć mnie nie zaczęła. Jednak myśl ty o tem, droga! i napisz do Mianowskiego czyby się to uskutecznić nie mogło; tylko, moja droga, pamiętaj, że ja na spotkanie twoje nie mogę dalej pojechać jak do Florencyi; każdy do innego miejsca twój wojaż nie zbliżyłby nas i tylko mocniej dałby uczuć smutek i żal rozłączenia.

Adio! droga, luba moja, bądź zdrowa i nie potępiaj mię, nie wszedłszy w serce moje, serce pełne łez i boleści, przywykłe do jakiejś dzikiej samotności, albo do wzruszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapiecowego życia; tak się Bogu podobało mnie stworzyć... a Sylka mówi, że jestem zupełnie stworzony na podobieństwo twoje.

Adieu, droga! Twój *Juliusz.*

49.

Neapol, dnia 20 czerwca 1836.

Najdroższa moja! Od piętnastu już dni siedzę w oknie mojem, przy ulicy św. Łucyi w Neapolu, patrząc na błękitne morze, na Wezuwiusz, na Neapol, ciągnący się w półkręgu na lewo, w dzień — biały, w nocy — jaskrawy tysiącem świateł. Mam balkonik mały nad morzem, na balkoniku stoi krzesło i róży

wazon; w tem krześle siedzę jak śpiący, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tureckiego tytoniu; czasem podnoszę głowę i widzę... co? Teofilów z Gajostwem, siedzących na drugim balkoniku na górze i patrzących na morze. Tak zwyczajnie część dnia upływa w kontemplacyach. Pod wieczór robimy różne projekta spacerów, które czasem przychodzą do skutku a czasem, niezgodnością głosów zerwane, kończą się na tem, że każde z nas idzie w swoją drogę, to jest: Filowie na ludną i publiczną promenadę prowadzą się jak dwoje gołąbków, Gajostwo idą skupować lawy i obrazki, a ja wracam znów na moje siedzenie na balkoniku i przemarzam cały wieczór. Takie jest życie moje, niech go (jak powiada Adam) Słuchacz w duszy swej dośpiewa. Teofil lepiej i z większymi szczegółami opisze ci, moja droga, miasto, w którem mieszkamy; ja chciałbym ci tylko dać ogólne wyobrażenie kształtu tej stolicy: wystaw sobie brzeg, zabudowany domami w kształcie wielkiej litery E, z przydaniem kaligraficznego ogona pod spodem; na szczycie tej litery stoi Wezuwiusz, na pierwszym ząbku latarnia morska, na niższym, drugiem załamaniu się litery, naprzeciw Wezuwiusza, nasz dom; cały zaś ogon ciągnący się dalej, zabudowany wielkimi domami, zamieszkany przez najmodniejsze figury, nazywa się Chiają[1]). Wyjechawszy na morze, wykąsy brzegowe nikną i miasto wydaje się wielkim białym półksiężycem. W całem mieście mało rzeczy do widzenia, dosyć jest poznać ogólnie fizyognomią tej stolicy. Domy jasne, pańskie, bez dachów, oświecone słońcem, wielki ruch na ulicach, mnóstwo powozów, mało zawijających do portu okrętów. Zamek królewski wielki nad morzem, mnóstwo wojska ładnie i różnobarwnie ubranego, ciągle w ruchu, z muzyką, mniej księży niż w Rzymie, ale więcej niż w innych mia-

[1]) Czyt. Kiaja.



Cytadela w Kairze, Egipt.

stach: wszystko tak kolorowe jak bańka z mydła wypuszczona przez jakiego morskiego trytona, z daleka białe jak piana morska leżąca na brzegu, z której ja chciałbym, żeby wyszła jaka idealna Wenus i przejrzała się w tem wielkiem zwierciadle błękitu. Oto masz, moja droga, wyobrażenie Neapolu. Nie wiem, czy ty, co jak biedna jaskółka mieszkasz w glinianym domku, w cichej dolinie krzemienieckiej, będziesz mogła z tych kilku słów utworzyć sobie obraz jaki; ja wiem, że nigdy przedtem nie miałem, wyobrażenia o Neapolu, nie wiedziałem, jak ten Wezuwiusz stoi na straży z boku zatoki, otoczony u spodu białym wieńcem małych domków, nie wiedziałem, że można mieszkać o dwanaście kroków od brzegu morskiego i mieć morze dziedzińcem domu swojego, a Wezuwiusz latarnią stojącą u bramy. Szkoda, że dziś na tym latarniowym słupie żaden pan ziemski latarni zapalić nie może. Zachwycony jestem Neapolem a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Dlaczego? Wyznam ci, moja droga, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę. Wyznam ci także, droga, że mi braknie podpórki: podpórką nazywa się u mnie... trudno mi to wytłómaczyć, jest to coś, co mię kocha... coś co mię broni od myśli, że jestem samotny na świecie, jakaś postać, co mi patrzy ze łzami w myślące czoło i oczy; przywykłem nie do kochania czegoś, ale do lubienia czegoś na ziemi, dlatego jestem niespokojny, dlatego w Neapolu nie chce mi się długo siedzieć, a w Sorrento przywołaniem mocnych myśli będę się starał zapełnić tę czczość, która mię teraz nadto lekkim czyni i nosi po wierzchu wszystkich wrażeń. Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się a łzy miałem

w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem wiejącego na mnie z tamtego świata. Ale czy uwierzysz, droga, że Herkulanum i Pompei nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia! Chodziłem po ulicach Pompei z cygarem w zębach jak po spalonej wiosce: uliczki małe, brukowane przed wiekami, z dwóch stron grobowce i domki bez dachów i sufitów, uróżowane jak stare kobiety szczątkami czerwonych malowideł; małe framugi wylepione muszelkami, z których niegdyś lały się źródła wody, dziś nie płaczące; świątynia Izys mała, z wyrocznią, która dziś restaurowana, ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu; mały cyrk teatralny odkryty, ani przy jego kolumnach nie stoją zaschłe trupy aktorów, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Odgrywał na nim tylko Gaj komedyę, bo chciał wziąć z murów mały kamyk marmurowy na pamiątkę, i cicerone[1]) odkrył rzecz i pamiątkę wyjął czułemu, sentymentalizującemu wojażerowi z zanadrza. Ja na to wszystko patrzyłem, siedząc w loży. Wchodząc do domu poety, towarzystwo odezwało się do mnie po polsku, abym pierwszy, jako poeta, progi przestąpił. Cicerone nasz przebiegły zaraz zrozumiał, o co rzecz chodzi, zaraz powołanie moje wywąchał i dowcipnie się znalazł, bo przystąpiwszy do mnie rzekł: Ponieważ pan jesteś u siebie, więc mi coś daj! Na tak zgrabne przymówienie się, nie mogłem nie odpowiedzieć tylko brzęczącem słowem, które zaraz imię moje poety zamieniło w ustach cicerona na tytuł Ezzelenza[2]), i tak uradowany guid[3]) zaprowadził mię do najtajniejszych zakamarków poetycznego domu, pokazując mi różne bezwstydne i rozwiązłe obrazki. O! poeto starożytny, nie żal, że ciebie niepamięć zasypała a dom

---

[1]) Czyt. Cziczerone — przewodnik.
[2]) Czyt. Ecelenca — ekscelencya.
[3]) Czyt. Gid — przewodnik.

twój popiół przywalił! Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę, czy nie możnaby w jednym z tych domków szczęśliwe pędzić życie; trzebaby tylko z trzykroć majątku. Wtenczas ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów, ja miałbym także cichą i żaluzyami zielonemi zasłonioną pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potem może miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potem niechby choć popiół przysypał nasze grobowce!

Byliśmy także na Wezuwiuszu, wdrapaliśmy się w nocy po drodze pełnej lawy, oświeceni czerwoną pochodnią przewodnika, aż pod samą igłę góry, gdzie stoi mały domek pustelnika; było nas czterech, Filo, Gaj, muzyk Wański i ja; pustelnik dał nam kawał chleba, sera i trzy butelki wina Lacrima Christi; kazaliśmy podać podróżnych książkę i przypatrując różne wpisy z Filem, przepędziliśmy większą część nocy bezsennie, potem zasnęliśmy na kilka godzin i przed wschodem słońca ruszyliśmy dalej. Trudno było się drapać po osypującym się popiole, ale widok roztrzaskanego szczytu Wezuwiusza wynagrodził nam trud podjęty. Nic piękniejszego jak ten piekielny obraz żużlowych skał: niektóre czerwone się wydają jak ogień, inne złotym kolorem siarki umalowane błyszczą od wschodzącego słońca, z niektórych miejsc wydobywają się małe kosmyki domu. Dalej ogromna przepaść krateru, żużle jeszcze gorące, a ciepłe powietrze wydobywa się z ziemi jak z pieca. Z tej równiny żużlowej widzieliśmy wschód słońca; nieraz już ta gwiazda zastawała mię na szczytach gór; może już mię zna z twarzy, witając mię tak często pierwszego na ziemi.

Świeżym porankiem zstępowaliśmy na ziemię. Cela pustelnicza ocieniona lipami dziwnie się piękną i cichą wydawała; ksiądz spał jeszcze, bo go widać nie było. Usiadłszy na ławce kamiennej pod domkiem,

patrzyliśmy przez jakiś czas jeszcze na morze i Neapol. Cudowny widok. Zamiast domku małego, gdzie mieszka pustelnik obdzierający podróżnych, ludzie powinniby zbudować klasztor dla ludzi smutnych jak ja. Niechby stamtąd drugi wulkan modlitw leciał pod błękitne niebo. Na wulkanie przychodziły mi do głowy różne dziwaczne myśli: naprzykład, myślałem sobie, czy nie byłoby cudem wielkim przyrodzenia, gdyby trumny złych ludzi zakopane w ziemi, przerzynały się przez nią jak strumienie i wpadały podziemnymi drogami do żaru wulkanicznego. Gdyby się tak działo od stworzenia świata, jużby się ludzie z tem tak oswoili jak z płynieniem rzek, z kwitnieniem drzew i z lataniem ptaków.

W podróży teraźniejszej widziałem dwa miejsca, z któremi znałem się w operach na scenie. Jadłem obiad w karczmie Teracinie[1]), gdzie na genewskim teatrze w oczach moich rozbójnicy zabijali ludzi, i byłem w Portici, którą mi pokazywano na wielkiej operze w Paryżu, grając Niemą z Portici[2]).

W Teracino mieliśmy także niemiły i podobny do tatralnych awantur przypadek, o którym ci, moja droga, Fil, główny aktor z żoną swoją primadonną opery napisze. Nacierpieli się, namartwili, stracili dużo grosza, i teraz są jak żeglarz w Lamartinie, który siedzi na brzegu i patrzy na burzę przebytego morza. W Neapolu dobrze nam i spokojnie. Nie wiem co dalej będziemy z sobą robić, zależy to od paszportu Teofila. A dyrekcya moich wędrówek także może niespodziany weźmie obrót. W Neapolu życie niebardzo drogie, zdaje mi się jednak, że trochę droższe niż w Rzymie; obierając miejsce pobytu na zimę, będę na to dobrze uważał, czy życie tu bez kosztu przeniesienia się do Florencyi, czy życie w tem ostatniem mieście z po-

[1]) Czyt. Teraczinie.
[2]) Czyt. Porticzi.

dróżą taniej mię kosztować będzie; zdaje mi się jednak, że jeszcze, aby dożyć końca tego roku, potrzebować będę około 50 dukatów, a to żyjąc jak najoszczędniej, zwłaszcza, że w każdym razie mogą mi kazać zmienić doktorowie tutejsi miejsce pobytu. Teraz mam się bardzo dobrze na zdrowiu, zaświadczą ci o tem, droga moja, Filowie; jeżeli tak dalej będzie, spodziewam się lat metuzalowych. Ale ty, moja droga, w ostatnim liście donosisz nam, że ci się znów pogorszyło. O! moja najmilsza! chciej ty mocno i proś mocno Boga, aby cię zachował długo, długo na tym świecie, gdzie bez ciebie już dla mnie słońca nie będzie. Adieu, droga moja! Twój *Juliusz.*

(List Teofila Januszewskiego, objaśniający list poprzedni).

Przeprawę w Terracinie zapowiedział wam Julek rad nie rad muszę wam opisać szczegóły wypadku, który się wplątał do wędrówki naszej prawdziwie na to tylko, aby nam rachuby finansowe pomięszał! nie dziwcie się więc, że zacznę od prośby, abyście nam do Neapolu pieniędzy przysłali; myślimy tu zabawić lipiec, sierpień, może się i na wrzesień nieco zaciągnie. Nie mam tu żadnego bankiera znajomego, lecz spodziewam się, że pieniądze i listy adresowane Via St. Lucia da mare Nr. 28 znajdą mię, czy to będziemy w Neapolu, na Ischii[1]) lub w Sorrento. Otóż dla przechwalonej uroczystości Bożego Ciała, dla zabrania się z Julkiem i Gajami, wyjechaliśmy z Rzymu 4 t. m. dość kontenci, że opuszczamy kraj zbiedniony, że się przenosimy pod pogodniejsze niebo, że się zbliżymy wreszcie do ostatniego kresu wędrówki naszej, gdzie stanąwszy myślą powrotu osładzać sobie będziemy poniesione już i czekające nas jeszcze trudy i niewygody. Tak marząc, przejechaliśmy szczęśliwie błota

[1]) Czyt. Iskii.

pontyńskie, okolice zaludnione stadami, trzodami, przypominające bujne rozłogi nasze, zjedliśmy obiad w Terracino, minęliśmy wieżyczek kilka i bramę państw papieskich, i kiedyśmy w najlepsze wytrzeszczali oczy, aby zobaczyć, jak też Neapolitańskie wygląda, straż graniczna tego pożądanego wówczas raju zaczyna się wpatrywać na mój paszport, potem w jakiś papier, potem we mnie, zaczynają mi zadawać pytania, a po każdej uczciwej i sumiennej odpowiedzi mojej, ruszając głowami i wznosząc ramionami, powtarzają: e lui, e questo! po długiej i prawdziwie heroicznej scenie, wyjaśnia się rzecz cała. Zatrzymują Januszewskiego, bo im nie kazano wpuszczać Januszewskich i każą im wracać tam, skąd przybyłem, albo gdzie mi się podoba. Zostaję więc z Sylką na gruncie neutralnym, to jest pod progiem szałasiku strażniczego, na łasce dwóch mocarstw, na naszych dwóch tłumoczkach. Piszę do posła Matuszewicza, wyprawiam resztę towarzystwa jak najśpieszniej do Neapolu i w połowie śmiejąc się, w połowie się gniewając, powracam z Sylką do Terraciny. Pierwszą pocztą odbieram odpowiedź Matuszewicza, który ubolewa nad omyłką i zaprasza mię jak najprędzej. Z listem biegnę za granicę, aby się dowiedzieć, czy rozkaz wpuszczenia mię już odebrali. Papiescy, znając mię, puszczają na grunt neapolitański, lecz ledwiem dziesięć kroków zrobił, zawracają i jako przekradającego się pod strażą żandarmów każą mię do Terracino prowadzić. Szczęściem dla mnie przejeżdża generał żandarmeryi neapolitańskiej Lecca, który nas w hotelu w Terracinie widywał, gdyż tam mieszkał dni kilka, skupując konie, bierze mię w swoją opiekę, na granicy swego kraju każe mię puścić i tak nazajutrz z Sylką wyruszamy i drugiego dnia stajemy w Neapolu; opóźnienie to zabrało nam 7 dni czasu, lecz w życiu mieliśmy przyjemność, pierwszy raz w podróży naszej, wyjeżdżać do obcego kraju, gdzie nas

znajomi czekali, wyglądali... Dnia 23 rano powróciłem z Sorrento, gdzie Julek został i sam nie wiem, czy ruszymy na wiejskie, czy w miejskiem zostaniemy, bo wszystko drogo jak w Neapolu, a nie ma dogodności wielkiego miasta. Dnia 25 odwiedziliśmy Julka całem towarzystwem i powróciliśmy bardziej niż pierwej wątpliwi, czy w Sorrento, czy w Neapolu lato przesiedzieć, zwłaszcza, że koszt jeden. Dziś rozstajemy się z Gajami, do których jużeśmy byli przywykli. Po Rzymie, Neapol zupełnie odrębnie wygląda: jest to zebranie ludzi ruszających się wiecznie, wiecznie mówiących, zawsze wesołych, obojętnych na wszystko, łakomie pożądliwych pieniędzy. Mieszkamy na brzegu morza, na ulicy, która jest stanowiskiem marynarzy i lazaronów, widzimy tedy pospólstwo w różnych jego zmianach: rano ruszające się do morza za swoim powszednim pokarmem, a w południe wysypiające się na słońcu, w wieczór przy oświeconych szałasikach krążące koło butelki, makaronów, baraszkujące, wrzaskliwe, a przecież jeszcześmy się nie gniewali na tutejszych ulicz ników, tak jak nieraz bywało w Rzymie lub we Florencyi; widać więc, że tu lud lepszy, albo co bardziej do prawdy podobne, żeśmy się oswoili z ludem włoskim; ten krzyk, ciągły ruch i turkot powozów męczy i nudzi, i Julek jedynie uciekł z Neapolu, aby neapolitańskiego hałasu nie słyszeć. Co do zdrowia Sylka jak zwykle chuda, jednak nie jest gorzej; jeszcześmy się nie kąpali w morzu, bo lato spóźnione i dopiero łazienki na morzu budują; zaczniemy z początkiem lipca kąpiele, nie tak często jak w Liworno i nie tak długie; tu myślimy doczekać od was pieniędzy, a za odebraniem na Rzym, Florencyę, Medyolan, Munich do Wiednia wyruszymy, a z Wiednia ku domowi, bo zima nasza daleko cieplejsza pod piecem, jak we Włoszech przy kwitnących różach. Proszę więc was, abyście mi przysłali dość pieniędzy, tak, abym się o nich mógł zawlec do was. Teraz, po obrachowaniu

naszych zasobów, zostajemy od 27-go t. m. z 17 luidorami, niewielki zapas na taką odległość, przecież dostateczny na opędzenie miesiąca i większej połowy drugiego, bo wydatków niepotrzebnych dawno już nie znamy. Jeżeli można, przyślijcie 300 dukatów. Antoni, nie wyrzucaj mi ogólnikowych listów, przywiozę ci pierwszy lepszy wojaż, będziesz czytał a ja dopełniać będę, jeżeli zażądasz, opowiadaniem. Skibiccy was pozdrawiają; zamieszkali w Neapolu i tylko na krótko myślą do Ischii[1]) wyjechać. Także tu bawią Hermanowstwo Potoccy, z temi się nie znamy. Bądźcie zdrowi, kochanego ojca ręce z uszanowaniem całuję, pozdrówcie znajomych, uściskajcie bliższych.

50.

Neapol, dnia 3 sierpnia 1836.

Najdroższa moja! Oto przybliża się chwila mojego rozstania się z Teofilami. Już się nam blizkość pożegnania uczuć daje: mimowolnie rozmowy nasze dłuższemi się stają, całe wieczory czasem opowiadają mi o tobie i o twoim domu, a ja słucham tego wszystkiego ze spuszczoną głową do ziemi i milczący jako człowiek, który stara się każde słowo głęboko wryć w pamięć, bo wie, że ma znów zostać na długo sam ze wspomnieniami.

Przepędziłem miesiąc cały w Sorrento blizko Neapolu, sam jeden, bo Teofilowie miasta nie chcieli porzucić, ja zaś potrzebowałem przeżyć choć miesiąc jeden między drzewami, daleki od zgiełku brukowego i znalazłem sobie mały pokoik, z którego nic nie widać było prócz gaju cytrynowego i morza, za morzem w mgle oddalenia Wezuwiusz. Całe dnie przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem; z razu chodziłem się

---

[1]) Czyt. Iskii.

kąpać w morzu i te kąpiele przez miesiąc cały brane nie przyniosły innego skutku, oprócz czasowego osłabienia, które ustało, skorom kąpieli zaprzestał. Życie moje wiejskie w Sorrento przypomniało mi dnie samotne, przepędzone w Veytoux nad brzegiem jeziora, i to podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłem mi było. Pisałem trochę, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w blizkim kościółku grający organ dochodził do mojej cichej celi. Czasem, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich słuchałem, oparty na murze, grającej na gitarze dziewczyny: była to młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady; czasem, chodząc po górach, przypatrywałem się oryginalnym figurom Niemców i Anglików, którzy, przyrośli na grzbietach osłów jak centaury mitologiczne, zachwycali się widokami Sorrento. Zawsze widać mię było nad morzem w godzinę zachodu słońca, bo lubiłem słuchać powiewu wiatru, który, ciągle od morza na ziemię wiejący, w chwilę zachodu obracał się nagle i gonił za słońcem na morze, napełniony wonią drzew cytrynowych; i tak przeszedł mi cały miesiąc życia bez żadnej rozmaitości, oprócz dwóch listów od dobrej siostry genewskiej, które, pełne uczucia i smutku, przyszły mię szukać cichego nad cichem morzem. Jednostajność takiego życia nie znudziła mię i byłbym dłużej pozostał w mojej zaciszy, gdyby nie blizki wyjazd Teofilów i nie chęć przepędzenia z niemi ostatnich dni mojego tu pobytu, zwłaszcza, że dla braku funduszów nie mogę ich odprowadzić do Florencyi i tu będę musiał czekać na przysłanie mi nowych zasiłków; z ostatnich bowiem rubli, odebranych jeszcze w Rzymie, zostało mi tylko teraz 25 dukatów, a końcu tego miesiąca będzie tylko 20, a po zapłaceniu podróży do Florencyi, nie miałbym co na kilka tygodni życia. W nowem zaś miejscu pobytu zostać tak nie mogę i wolę, wypożyczywszy cokolwiek grosza od Filów, czekać, aż mi go droga moja nadeśle, adresując pod mojem imieniem do Neapolu, strada St. Lucia nr. 3.

Żądałbym, jeżeli można będzie, rubli 200, bo mi jeszcze wiele miesięcy do Nowego Roku zostaje, a chciałbym zawsze pojechać do Florencyi, gdzie jako w małem miasteczku życie przyjemniejsze, może nawet tańsze trochę niż w Neapolu. O dalszych moich projektach na wiosnę Filowie ci powiedzą, droga moja. Jeżelibyś, najdroższa moja, podług prośby w ostatnim liście moim zawartej posłała już dukatów 50 dla mnie do Neapolu, to niech mi doniesie Hausner, gdzie je mam odebrać, bo po wyjeździe Filów nie będą wiedzieli, gdzie mię z listem szukać i nie wydadzą mi bez zawiadomienia przesyłającego pieniędzy na imię Filów adresowanych, ale spodziewam się, że przed nadejściem tego listu nic jeszcze wysłanego nie będzie. Na tem więc kończę interesa, że czekam w Neapolu i nie wyjadę stąd, aż mi cokolwiek nadesłać będziesz mogła. Zresztą nie jest mi tu źle, mam mały pokoik z prześlicznym widokiem na morze i kiedy to piszę, pod oknami mojemi przesuwa się po wodzie bat illuminowany, pełny ludzi, z prześliczną muzyką; jest to bal wydany przez jednego z cudzoziemców na morzu, który tak po kolacyi promenuje swoje towarzystwo; śliczny to dla mnie widok: jasny światłami bat prowadzi za sobą kilka ciemnych czółen, na których także musi być część towarzystwa, i najszczęśliwszego, bo ileż to ściśnień dłoni, ile rumieńców noc pokrywa i ten księżyc niepełny, wschodzący nad Wezuwiuszem, nie zdradza światłem bladem ukradzionego szczęścia. Widzę, lecz nie zazdroszczę; wolę z okna mojego patrzeć na te pełne lamp mary weselne, niż być na nich położonym z założonemi na piersiach rękami jak umarli. Już bat odpłynął, księżyc tylko cichy z kolumną światła na morzu, i cichy plusk bijącej pod oknami mojemi fali... i nic więcej. Idę spać, bo już 2 godzina w nocy.

Powracam od Filów, u których co rano piję kawę, a potem kilka chwil mile przepędzam na gawędce, paląc z Filem lulkę; bo trzeba wam wiedzieć, że mszcząc

się nad nim za przybranie nieraz mentorskiego tonu, zamiast słuchania wujowskich nauk, nauczyłem go pławić myśli po falach błękitnego dymu i ziarno padło na dobrą rolę: dymi ciągle jak komin, a jeżeli Sylka wróci czarniejsza niż była, to nie od słońca neapolitańskiego, ale od ciągłego widzenia się przy tureckim tytoniu. Żałuję bardzo, że list mój dawny, w chwili jakiegoś spleenu pisany, zasmucił ciebie, moja droga, i dał ci zupełnie fałszywe wyobrażenie o mojem pożyciu z Filami; było to tylko przemijające nieporozumienie które nigdy tak daleko nie zaszło, aby nas rozdzielić i pogniewanemi rozłączyć. Jestem dosyć zły, nietowarzyski i wiele mam wad, nie tyle jednak, aby z kochanemi osobami pożycie moje niepodobnem było. Od lat sześciu z żadną się osobą pogniewany nie rozstałem, a jeżeli pomiędzy znanemi osobami mam jakich nieprzyjaciół, to nie charakterowi ani postępowaniu mojemu winienem, ale innym przyczynom. List nasz drugi z Neapolu pisany zapewne cię już, droga moja, uspokoił. Więc dosyć o tem.

Bywam tu na różnych teatrach, na które mię najczęściej ciągną moi znajomi. Opery tutejsze złe i nie bawią mię, komedya jeszcze gorsza, nudzi mię; raz zabawiłem się wesoło na teatrzyku St. Carlino, gdzie przedstawiają małe sztuczki ludu neapolitańskiego w neapolitańskim dyalekcie; oryginały wzięte z ulicy zdają się wchodzić na scenę i zupełnie w aktorach nie widać aktorów; z teatru tego można poznać ludu obyczaje; uczęszcza nań dobre towarzystwo, cudzoziemcy na nim bywają i wszystko się śmieje, skoro się kortyna podniesie. Nie zawsze jednak można trafić na dobrą sztuczkę. Prześmiawszy się czasem nad miarę, smutniejszy jestem potem, kiedy myślę o tej biednej mojej przyszłości.

Filowie za trzy miesiące będą ciebie ściskać, i łzy i uśmiech, i wykrzyknienie radości i powitania obcych lub przyjaciół napełnią wasz mały domek, a ja zawsze

nad mojem morzem sam jeden, tu albo gdzieindziej muszę tak przebyć długie jeszcze lata. Teraz jeszcze z głębszym żalem myślę o tem, żeś ty nie przyjechała do mnie, chociaż tak prędko i to szczęście musiałbym pożegnać. Nie wiem, czego żądać na tym świecie, gdzie wszystko się kończy i wszystko się krzyżuje jak te łódki, które teraz widzę na morzu, płynące różnemi drogami. Bądź zdrowa, droga moja. Filowie będą ci wkrótce opowiadać, jakim ja jestem w każdej dnia chwili: prędko ci opowiedzą wszystko, bo ani mój humor zmieniający się, ani rozmaitość wypadków w mojem życiu, nie czynią mię różnym w różnych dnia chwilach.

Powróciłem z Sorrento trochę smutniejszy niż przedtem; teraz znów spokojność jakaś wróciła równowagę w mojem życiu i zdaje mi się, że tak będzie zawsze, bo już przeszedłem w stan petryfikacyi. Adio! Chciałbym ci coś miłego i pocieszającego napisać na końcu tego listu, ale same (!) tylko słowo pożegnania nastręcza się myśli mojej, tak wszelkie szczęście i nadzieja jest nie z serca mojego.

Twój *Juliusz.*

51.

Neapol, dnia 24 sierpnia 1836.

Droga moja! Zdziwisz się zapewne, odebrawszy list ten, na wsiadaniu prawie pisany. Wyjeżdżam na wschód do Grecyi, do Egiptu i do Jerozolimy; projekt ten oddawna zrobiony i kilka razy odrzucony ode mnię jako nadto straszne przedsięwzięcie, przyszedł nakoniec do skutku; odbędę sześciomiesięczną wędrówkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego, i w Aleksandryi połączę się z dwoma moimi współtowarzyszami podróży, Hołyńskimi; będzie więc nas czterech żeglujących po Nilu aż do pierwszej katarakty. Nie lękaj się o mnie, moja droga, ani frasuj się o sposoby

dosyłania mi czego. Mam wszystko zabezpieczone a Filowie powiedzą ci, czego potem żądać będę. Wstrzymaj więc, najdroższa moja, wysłanie grosza, o który w poprzednim liście prosiłem, jeżeli zaś już wysłany, to niech zostanie w ręku Hausnera, do niego pisałem o to osobno. Filowie odradzali mi wojaż, ale kiedy się wahałem, czy go mam przedsięwziąć, czy nie, otworzona losem biblia zdecydowała mię następującym wierszem: „Kościoły azyjskie pozdrawiają was.“ Może to, droga moja, weźmiesz za przesąd, ale wierszowi temu zawierzyłem i on mię prowadzi w daleką drogę. Dziś wieczór o godzinie 12 w nocy wyjeżdżam z Neapolu do Otranto. Stamtąd do Korfu, z Korfu do Aten, z Aten do Aleksandryi; taki przynajmniej mamy teraz ułożony plan podróży; jak go dalsze okoliczności zmienią, nie wiem. Spodziewam się, że ta podróż będzie mi użyteczną, chociażby tylko ustaliła moc charakteru, którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy, połączonej z trudami znacznymi, to już dosyć będę z niej miał korzyści. Obaczę nowe kraje, nowych ludzi, będę żył z nimi, będzie mię nosił wielbłąd karawany i pomyślę o śmierci na grobie Chrystusa. Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potem z sercem pełnem pamiątek i obrazów wrócę do jakiej cichej europejskiej samotności.

Lękam się, moja droga, abyś mi ty za złe tej podróży nie wzięła, ale cóż robić było z mojemi kolegami, którzy mię tak zręcznie namówili i związali przyrzeczeniami, że się na odmówienie zdobyć nie mogłem. Zresztą, wierz mi, droga, że podróż ta, która ci się może nadzwyczajną wydawać będzie, widziana z brzegu Śródziemnego morza, nie tak straszną się wydaje; z Aten zapewne pisać będę. Smutno mi Filów rzucać. Ostatnie dni naszego tu pobytu prawie całe razem przepędzamy i mile nam przeszły na rozmowie smutnej ostatnie te godziny naszego widzenia się. Filowie zawiozą ci, droga moja, wanienkę z lawy na łzy

po Julku, a w tych łzach będziesz kąpać maleńkiego mojego przyjaciela niegdyś w dzieciństwie, Homera, a ja idę zwiedzić miejsce śmierci Hektora i wołać głośno Milcyadesa na pustych Maratonu równinach. Wyznaj mi, droga, że mię jakiś niewiadomy duch z miejsca na miejsce spędza jak zmordowanego gołębia, nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiej gałęzi usiędę. Pomimo uporu, jaki nieruchawość moja stawia tej niewidomej władzy, ona mię wystrychnąć gotowa na wielkiego wojażera.

Droga moja, dziś wyjeżdżam i wiele jszcze mam zatrudnień; nadto, ostatnie mi godziny zabiera obiad, na który z Filem proszony jestem; muszę cię więc krótko teraz pożegnać, pocałować myślą i ruszać w moją podróż.

Adieu! Przyrzekam ci, że w najpiękniejszych miejscach, tam, gdzie najwięcej wspomnień rzeczy marzonych w dzieciństwie będzie się cisnęło do mojej duszy, będę myślał o tobie, droga moja: bo kiedy o Grekach dawnych czytałem, to oczy moje zwrócone z książki co dnia spotykały twarz twoją; więc i dziś, patrząc na ich pomniki, będzie ciebie szukał w powietrzu oczyma. Adieu.

Twój *Juliusz.*

52.

Otranto, dnia 29 sierpnia 1836 r. Poniedziałek.

Puściłem się nareszcie w moją pobożną wędrówkę — przez Grecyę, Egipt do Jeruzalem i stoję już nad brzegiem morza Adryatyckiego tak, że podniósłszy nogę i wstąpiwszy w pierwszą falę bijącą o brzeg piaszczysty, mogę dać pożegnanie Włochom; czekam tylko na statek kuryerski, przypływający co tygodnia do Otranto i z tego miasta wracający do Korfu, aby się dostać do tego anglo-greckiego miasta. Nie rozumiesz

zapewne, moja droga, co mię do takiej nakłoniło podróży? Ja sam prawdziwie nie mogę sobie wytłómaczyć, dlaczego z takim smutnym zapałem rzucam się w świat nieznajomy pełny niebezpieczeństw, gdy w Grecyi rozboje, w Egipcie zaraza panuje? Myślisz, że chcę się coraz bardziej oddalić od ciebie — dlaczego?

53.

Bayrut, dnia 17 lutego 1837.

Najdroższa moja! Trzy miesiące upłynęło i pół, jak posłałem ci ostatnią wiadomość o sobie z Aleksandryi; ciągle w podróży, zawsze daleki miast portowych, w kraju, w którym nie ma regularnej poczty, nie było mi podobna prędzej uspokoić ciebie, moja droga, i teraz mam nadzieję, że list ten za pomocą mojego towarzysza podróży, który się zbliża do Konstantynopola, dojdzie rąk twoich i całą niespokojność zakończy. Ale ja, kiedyż o tobie wiedzieć będę? Sześć miesięcy włóczę się jak waryat po świecie, widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku; czułem wiele, byłem wesół, zachwycony, płakałem, miałem całe dnie pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności: to jest niepokój o ciebie, i drugą niespokojność, żeż się ty o mnie troskać musisz. Zaczynając ten list, jestem prawdziwie jak człowiek powracający z dalekiej podróży, który ściska za ręce, patrzy w twarze i nic mówić nie może, ale czeka, aż chwila spokojniejszza nadejdzie, aby zaczął opowiadanie.

Uważam już podróż moją za skończoną prawie; zwiedziłem Grecyę, Egipt, Syryę, Palestynę i przybyłem do miasta portowego Bayrut, skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Na miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Bet-

chesz-Ban. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne, towarzystwem mojem będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz Rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syryi. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzać trochę czasu w zaciszy na rozmyślaniu, bo chociaż podróż ta bardzo mię zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw, zdrowie moje służy mi przewybornie, i kiedy mój towarzysz, silniejszy stokroć ode mnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowej, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczył pewien nasz rodak, doktor w Kairze. Dziesięć dni ciągłej słoty wytrzymałem na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie.

Ale o tem wszystkiem napiszę ci, moja droga, obszernie w drugim listku, który cię trochę później dojdzie; ten zaś niech cię tylko uspokoi o mnie, bo prawdziwie, że nie ma się czego lękać wschodnich krajów: klimat najpiękniejszy, wreszcie wszelkie niebezpieczne przeprawy już przebyte, pieniędzy mi wystarcza, mam kilku znajomych w tych stronach, nawet jednego księdza rodaka, który mi do klasztoru towarzyszyć będzie.

O! droga moja! żebym to ja za trzy miesiące we Florencyi zastał świeży list od ciebie, żebyś ty zdrowa była, jak o to prosiłem Boga całą noc czuwając przy grobie Chrystusa i o wiele innych rzeczy prosiłem Boga, ale o nic dla siebie. Moja droga, do której ja z różnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z tobą podzielić każdym widokiem, każdem wrażeniem, dlaczego ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz, w tej chwili... abym mógł płakać, położywszy twarz na rękach twoich. Spokojności!... Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca.

Bądź zdrowa! Uściskaj ode mnie Sylkę i Fila, jeżeli już są przy tobie.

Twój *Juliusz.*

Ten listek przez Smyrnę, drugi zaraz przez Konstantynopol piszę do ciebie, droga!

Wstaję z rana, towarzysz mój przychodzi mi powiedzieć, że pisał, aby ten list przez umyślnego kozaka był wyprawiony, mówiąc, że kiedyśmy oba mogli na koniu jechać przez dwa miesiące, to kozaków już odtąd tłukących się na siodle żałować nie trzeba. Mam więc jeszcze trochę czasu pogawędzić z wami, i zacząć opowiadanie podróży, które w drugim liście zakończę.

Dnia 28 października przybyłem łódką do Kairu: pyszne miasto, piramidy z daleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach.

Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba byliśmy na małych osiołkach i dziwnie na tem stworzeniu maleńcy wydawaliśmy się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mię zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików, we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedłszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższej piramidy: cudowny widok! Szczyt Faulhorna, kopuła św. Piotra, Wezuwiusz, Piramidy, były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya tworzyła.

W Kairze uliczki małe, mnóstwo sklepów; przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie biały płaszczyk z wełny, robiony w Tunisie a zwany burnus. Wybrawszy najcieńszy, jaki tylko był na Wschodzie, kupiłem go dla ciebie, moja droga, myśląc, że ci dobrze będzie obwinąć się w niego, jak w lekkie i miękkie prześcieradło, i tak leżeć na swojej maleńkiej kanapce. Mój towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczyk tunetański dojdzie. Drugi taki płaszcz, ale gruby i pospolity, okrywa mię jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać krzyżaka.

Widziałem targ niewolników i jednę ładną Abissynkę, za którą dawano już 1000 fr.

Dnia 6 listopada, wziąwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy, jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, szukając spotkać się z dwoma Hołyńskimi, którzy nie doczekawszy się; puścili się przed nami w tę drogę. Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żórawi lecących po błękicie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl leżący na piasku, dla którego porwaliśmy się od stołu, aby mu się z blizka przypatrzyć, wszystko to tworzy teraz w imaginacyi sen bardzo piękny.

Spotkaliśmy Hołyńskich w Denderze; jakże to była wielka przyjemność obaczyć pawilon na łódce, spotkać ich, pójść razem do przepysznego kościoła w Denderze, obaczyć ruinę, o jakiej się nawet wyobrażenia nie miało: kościół ten zaledwo się ruiną nazwać może, tak jest cały, tak piękny.

Na drugi dzień pożegnaliśmy Hołyńskich, którzy już po odbytej podróży do Kairu wracali i pojechaliśmy sami do katarakty.

Opisać wszystkich wam gmachów niepodobna, wojaż jaki lepiej to uczyni jak list krótki.

Mnie miło było polować na piaskach, rysować szkice pomników, chatek, dumać i myśleć o tem, że jestem w Egipcie.

Przyjechawszy do katarakty, wzięliśmy na dzień jeden osiołki i ruszyliśmy, objeżdżając Nil, do Nubii, aby widzieć wysepkę Philae [1]). Śliczne miejsce, śliczne ruiny. Imieniny twoje, moja droga, 29 listopada, o których bardzo pamiętałem, przepędziłem na Nilu, zbliżając się do Thebów. Ruiny tego miasta przechodzą wszystko ogromem. Ale najbardziej mi się podobała statua Memnona i druga statua przy niej stojąca; widziałem je o wschodzie i zachodzie słońca, są to olbrzymy granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, siedzący cicho na ogromnem polu, twarzami obróceni na wschód. Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy; jeden z tych przed wiekami zmarłych wojażerów napisał na granicie: słyszę Memnona, i słowa te w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiej świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka. Osiołka braliśmy, zwiedzając Thebów ruiny; za osiołkiem moim biegła piechotą właścicielka jego, bardzo ładna bronzowa dziewczynka, która umiała jedno tylko słowo, nibyto włoskie: Mangeria, i z litośną minką o takie mangerie upominała się. Widziałem Arabów, którzy konno usiadłszy na łopacie, przepływają Nil, nie bojąc się krokodylów.

Oprócz jednej burzy Nilowej, podróż tę odprawiłem we wszelkiem bezpieczeństwie; konsul mój otrzymał mi firman Baszy, który z największem uszanowaniem Araby odczytywali. Dnia 10 grudnia, to jest

[1]) Czyt. File.

po trzydziestokilku-dniowej podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków, już dawniej znajomych, oraz Hołyńskich.

Pięć dni przepędziliśmy znowu w tem mieście i potem, wsiadłszy na wielbłąda, kupiwszy sobie namiot, z dwoma służącymi i beduinami puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie, droga, jak to dziwnie wsiadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi; lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy klęka, zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem, i beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab. Czas był najpiękniejszy.

Pierwszą noc spaliśmy w grobowcu świętego tureckiego: była to mała biała kapliczka z kopułką, święty nieboszczyk leżał po jednej stronie, my po drugiej. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka i przez te mieliśmy ze ś. p. komunikacyę. Wielbłądy leżały wieńcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kapliczką rosło wielkie czarne drzewo, w którem całą noc śpiewał puszczyk. Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez ośm dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wioseczkę. Małe różne wydarzenia takiej podróży stają się bardzo znacznemi i urozmaicają ją dziwnie. Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hyeny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynię i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada, nic z tych rzeczy nie jest obojętnem. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe palące się lekkim płomykiem jak koronki brabanckie, słowem przyjemna podróż w pustyni; ażeśmy przybyli do El-Arisch, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotami dni dwanaście kwarantanny.

Ale o tem i o dalszej podróży w następującym listku. Teraz jeszcze raz całuję ciebie serdecznie, droga moja, i proszę bardzo ciebie o list do Florencyi, bo za trzy miesiące będę tam, a jeszcze lepiej, żebyś mogła drugi list do Livorno napisać, gdzie mi go do kwarantany przywiozą. Tak, proszę cię, droga, napisz do Livorno poste-restante, i to nie bardzo spaźniając.

54.

Bayrut, dnia 19 lutego 1837.

Droga moja! Przed dwoma dniami wyprawiłem list do ciebie, moja droga, z opisaniem podróży egipskiej; inną drogą wyprawiono teraz tę ćwiartkę, spodziewając się, że jeżeli nie obie, to jedna przynajmniej rąk twoich dojdzie: z tamtego listu dowiesz się, jak pływałem po Nilu, jak przez pustynię jeździłem na wielbłądzie; teraz opiszę ci moją kwarantannę w pustyni przy maleńkiem miasteczku El-Arisch.

Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach, dano nam na odbycie kwarantanny dwunasto-dniowej równinę piasku, gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi do koła i nic więcej. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić i zostawiono na łasce Pana Boga. Wszakże do maleńkiego namiociku, który i z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można schronić było na przypadek deszczu, słowem miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem Śródziemnego Morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój

towarzysz w naszym własnym maleńkim rozłożył swoje graty i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia. Wieczorem towarzysz mój, dobywszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolendę, której słuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł. Wtem niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza ze wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu leżących w osobnych namiotach ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, blizkie i gęste. Świeca, kilkakrotnie zapalona, zawsze gasła. deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże podmywając nasze łóżka, położone na ziemi, zmusiły nas do zwinięcia wszystkiego w jeden pakiet i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć, co się z moim towarzyszem stało i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtem patrzę, aż mała rzeczka, płynąca przez dolinę, wzbiera, przerywa brzegi i białemi krągłemi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok tej nowej inondacyi nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo i zapomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świąt pochmurny przeszedł nam smutno suszącym się na górze; głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem; potem czas piękny wrócił i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy. Pod namiotem także na piasku zastało nas trzęsienie ziemi, które w Syryi do szczętu wiele miast pochłonęło: widziałem sam Tybe-

ryadę, w której blizko 500 ludzi zginęło, a domu jednego całego nie zostało.

Nie będę ci opisywał Gazy ani Jaffy; w tem ostatniem mieście miałem zastać Olesia Szpitznagla, będącego wicekonsulem, ale oczekiwanie moje zawiedzione zostało, pojechał był bowiem na greckie święta do Jeruzalem, a stamtąd miał się udać do góry Synai. Myśl, że go nie zobaczę, martwiła mię i śpieszyłem do Jerozolimy, aby go przed dniem wyjazdu choć raz widzieć i uściskać.

W Jeruzalem stanąłem dnia 13 stycznia o godzinie 9 w nocy: bramy miasta zamknięte, cisza grobowa, księżyc, szczekanie psów, odpowiadające na nasz stuk do bramy, niepewność, czy firmany nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować, jakieś wspomnienia krzyżackie... wszystko to pamiętnem mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie po 2 godzinach otwierają się bramy, zajeżdżam do klasztoru. Szpitznagel, słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół, biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: Oleś... nie poznaje mię. Pytam go po kilka razy: „Jak to? czy mię nie znasz?“ — odpowiada mi po trzykroć: „Niech pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie.“ — Nakoniec musiałem ze ściśnionem sercem wymówić moje imię i nazwisko... Jeżeli mi była przykrą ta chwila, to jeszcze przykrzejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem. Przyszedł do mnie i wziąwszy za rękę, powiedział: „do zobaczenia.“ Oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że jeżeli wyjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia żegnać się trzeba. Cały ten dzień było mi smutno.

Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa. Na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzucały mi się z oczu. Noc

u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblię, którą czytałem do 11 w nocy; o pół do 12 weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali kamień a potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mię w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleść. Wyszli, zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku pokrywającego grób święty, także, jak widziałem przez szczeliny, zaczął w swojej altanie dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, świergocąc o wschodzie słońca. Grecy na grobie odprawiali Mszą, potem Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze Mszą w imieniu mojej ojczyzny, a ja klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: N i e m a g o t u, z m a r t w y c h w s t a ł! — słuchałem całej Mszy z głębokiem uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.

Jeździłem do morza Martwego, do Betleem, gdzie na żłóbku Chrystusa także słucham odprawianej Mszy. Wszystkie te okolice Jerozolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością. Miło być w pro-

stej grocie, gdzie anieli zwiastowali pasterzom narodzenie się Pana. Miło widzieć wioseczkę Jerycha, niegdyś zrujnowaną głosem trąby wodza boskiego. Ale żeby opisać wszystkie te szczegółowe wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcąc ziemię Palestyńską, trzebaby na to dzieła...

A ziemia tu, o droga moja, jak piękna! Jakiemi ranunkułami ognistego koloru i błękitnej farby okryta, jakie narcyzy, jakie irysy, jak podobna do pięknego kobierca! Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, niepłodne, nadają temu miastu straszną fizyonomię; okropną jest dolina Józafata. Z pod oliw Chrystusa wziąłem ziemi na moje martwe oczy. Byłem w Nazarecie, w Napluzie, nareszcie przyjechałem do martwej a świeżo umarłej Tyberyady: w mieście ledwo trochę żywych ludzi a wszyscy kogoś płaczą... Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami, na jednej z tych stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów. W mieście, nie znalazłszy między ruinami miejsca na łóżko, nocowałem na murawie pod gołem niebem; a kiedym się obudził i odkrył głowę, widziałem księżyc późno wschodzący nad jeziorem genezaretańskim.

Stamtąd w 5 dni stanąłem w Damaszku: miasto podobne do Kairu i nieinteresujące, a jednak bardzo piękną ma okolicę. Nakoniec, przebywszy śnieżny Antiliban, znalazłem się między ruinami prześlicznemi Balbeku. Pamiętasz, droga moja, że kiedyś a temu bardzo dawno, leżało u nas na fortepianie dzieło wielkie, z ogromnymi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry; stojąc między kolumnami rzeczywistemi teraz, przypomniałem sobie te chwile dzieciństwa, kiedy je przeglądałem na obrazku i serce moje było pełne smutku. Liban, także śniegiem pokryty, przejechałem konno szczęśliwie; od wyjazdu mego z Kairu dwa miesiące jak jestem na siodle i dobrze mi z tem; śniegi gór także mię dalekiemi napełniały wspomnieniami;

teraz zjechałem do kraju, w którym najpiękniejsza wiosna: jedne drzewa nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały pruszą kwiatem, słońce pyszne, słowem, jest to prawdziwie ziemia obiecana. Nie wyruszę z niej, aż za dwa miesiące. Nie pojadę do Konstantynopola, bo mnie to miasto nie wiele interesuje; wolę jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów.

Powiedz, droga moja, Hersylce, że panny Malagamba nie widziałem, bo nie byłem w miejscu, gdzie mieszka; ale widziałem mnóstwo cudownie pięknych twarzyczek, niech więc mię bardzo o niestałość i lenistwo nie obwinia.

Z niecierpliwością czekam listu od ciebie w Livorno, droga moja. Czasem okropne myśli przechodzą przez moją głowę i serce, potem ufam w Bogu i spokojniejszy jestem. Napiszcie mi obszernie, aby mi list wasz wynagrodził tę długą niespokojność. Jeden tylko list z Genewy odebrałem w Kairze, zresztą nie wiem wcale, co się dzieje ze znajomemi i z miłemi osobami. Co też Filowie, powróciwszy, nagadali ci o mnie, droga moja? czy mię jeszcze trochę kochają? czy się im powiodło z ciotunią? A ty, droga moja, czy mię także kochasz i nie masz mi za złe tej podróży? Czy listy moje do tak dalekiego echa podobne, nie bardzo smutno brzmią w twoich cichych pokoikach? Bo powiedz, droga, cóż ja mam robić na tym świecie: trzeba lecieć, gdzie wiatr mię powieje i modlić się u Chrystusa, aby mi dał kiedyś ciszę i spokojność, a mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie, choćby tylko promień wspomnień takich pięknych miał upaść na starość moją, jeżeli dożyję starości... Kiedyś, usiadłszy z tobą na cmentarzyku krzemienieckim, będę ci opowiadał o grobach dawnych wielkich ludzi i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak

uśmiechać jak niegdyś, słuchając marzeń moich o przyszłości.

Bądź zdrowa i szczęśliwa, najdroższa! najmilsza moja! *Juliusz.*

55.

Na morzu, dnia 14 czerwca 1837.

Moja droga! Od czterdziestu dni jestem na morzu i mam nadzieję, że za dwa dni wylądуję w Livorno, gdzie będę musiał odbyć dni 30 kwarantanny, nim do Florencyi się udam. Tak długo bez żadnej od ciebie wiadomości! z niespokojnością zbliżam się do Europy i te czterdzieści dni, które będę musiał wysiedzieć zamknięty, są dla mnie prawdziwą męką, bo spodziewam się, że we Florencyi listy na mnie twoje czekają. A ty, droga moja! ile ja ciebie niespokojnych nabawiłem nocy moją podróżą? Ty mi nieraz wyrzucać musiałaś moją wędrówkę: tobie się zapewne strasznemi wydawały morza, które ja bez żadnego niebezpieczeństwa przebyłem. Piaski afrykańskie, gdzie mi tak było wygodnie jak na spacerze w lekkiej lektyce niesionemu, bo siodło kołysane na wielbłądzie do snu łagodnie kołysze; lecz ty wiesz już o mojej podróży, jeżeli, o czem nie wątpię, odebrałaś dwa listy ostatnie z Bayrutu pisane; wkrótce może dojdzie rąk twoich i dziwny płaszczyk tunetański, który przez Odessę wędruje z Kairu.

Ostatnie dnie mojego pobytu w Syryi po rozłączeniu się z Zenonem, który do Konstantynopola ziemią konie kupione poprowadził, przepędziłem w klasztorze na górze Libanu, zwanym Betcheszban, czyli spoczynek umarłym w języku syryańskim. Miejsca prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty, rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi, wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie.

Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego rzeczy ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radośny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku, lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żylastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bayrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włóczyć się z nim po świecie, więc go spijam, czyli raczej co niedzielę częstuję nim sześciu ojców kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z Ziemi świętej, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i, ponieważ są Hiszpanie, tytuł D o n[1]) do mego imienia.

Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zabytek składa się z 200 wokabuł bez spojeń słów i przypadkowych zakończeń. Nie raz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc, że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło. Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę, ci spokojni zostawali w swoich celach; dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczyniło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknienie do drzwi, które rozbu-

[1]) Don — pan, tytuł dawany wybitnym osobom.

dzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich, a ja wyjeżdżałem do Bayrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mię nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam. Siadłem na koń, przewodnicy i muły z rzeczami szły za mną, potem człowiek z butlem na plecach, i cała krotochwilność takiego orszaku rozweselić mię nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mię oczyma przeprowadzali. Dzień Wielkiejnocy przepędziłem w tym klasztorze i przyjechał umyślnie ksiądz jezuita, ofiarując mi się na spowiednika; z razu nie chciałem tego uczynić, lecz jego przyjacielskie nalegania tyle sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozpłakałem się jak dziecię, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność, wszystko, od czego mię później długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: „Idź w pokoju, wiara twoja zbawiła ciebie.“

W tym klasztorze kilka razy przyśniłaś mi się ty, moja droga, i te sny prawdziwie że mię w jakieś obłąkanie wprawiły. Powróciwszy do Bayrutu, nie znalazłem, jakem się był spodziewał, okrętu do Europy, i przez 40 dni w hotelu mieszkając, czekać na niego musiałem. Pierwsze dnie mojego pobytu w tem mieście były nieznośne: konsul mój dawał mi książki do czytania i w domu jego czasem kilka godzin wesoło przepędziłem. Nakoniec zdarzył mi los, że przyjechało do Bayrutu dwóch moich rodaków, w służbie baszy będących; ci krótko bawili, ale po nich, przyjechał z Jerozolimy starszy Hołyński, brat tego, który mię do podróży namówił. Nie znałem go i myślałem,

że w towarzystwie jego nie znajdę przyjemności, ale przeciwnie, on sam pierwszy zbliżył się i związał się ze mną: całe dnie potem przepędziliśmy razem, chodząc na spacery, rzucając spojrzenia ukradkiem na zakryte wschodnie piękności, słowem, dobrze nam było i mnie dobrze, bo znalazłem w nim przyjaciela. Kiedy miałem wyjeżdżać, Hołyński sądząc, że moja kiesa wypróżniła się, różnymi sposobami starał się wszcząć dyskurs o pieniądzach. Nareszcie jednego wieczora zaczął mówić, zająknął się i przestał; ścisnąłem go za rękę, kończąc sam zaczętą przez niego frazę. Dobry chłopiec rzucił mi się na szyję i rozpłakał się rzewnemi łzami, usiłując koniecznie, abym wziął u niego 2000 fr. Z największą trudnością wymówiłem się od tego i musiałem go przekonać, że mam pieniądze, wystarczające mi na powrót do Europy... Ale łez tych nigdy nie zapomnę i ty go, droga moja, za to, wiem, że kochać będziesz.

Ostatnie dnie przepędziliśmy razem. W wigilię mego wyjazdu, razem byliśmy na balu u mojego konsula. Ładna to jak na Bayrut była feta: fajerwerki, balon puszczony, dziedziniec zamieniony w salę do tańca, kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach, żony konsulów itd. Tańcowano przy pozytywku, bo fortepiany choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrument posyłać potrzeba. Muszę ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputacyę poety, więc wszyscy ubiegali się, abym z nimi gadał, i od czasu Lamartina naznaczyli pobyt mój pierwszą kreską. Dosyć mi to było miło, zwłaszcza, że po tym balu nazajutrz miałem wsiąść na okręt i puścić się w daleką podróż. Była więc w tem jakaś poetyczność, której wyrazić nie potrafię. Nazajutrz po balu odprowadził mię Hołyński do okrętu, chciał bowiem koniecznie do ostatniej chwili być ze mną i tak urządził swoją podróż, żeby po mnie ani godziny w Bayrucie nie zostać, mówiąc, że mu te (!) miasto byłoby nieznośnem beze

mnie: jakoż pożegnaliśmy się prawie ze łzami, ja wdrapałem się na mój statek a Hołyński, powiewając chustką, wrócił do Bayrutu i natychmiast wsiadłszy na konia, a rzeczy już był pierwej wyprawił, ruszył w góry libańskie do cedrów Salomona. Lecz tu nadzwyczajne zdarzenie... Okręt mój, zamiast do Europy, po ośmiu godzinach drogi zawija do portu Tripoli, gdzie miał jakieś interesa do załatwienia, ale bojąc się, aby się wojażerowie nie gniewali, nikomu o tem w Bayrucie nie mówił. Wysiadam więc w Tripoli, smutny idę prosić o mieszkanie w klasztorze, i myśląc o rozstaniu się świeżem z Hołyńskim, cały dzień smutny przepędzam w ogródku klasztornym, gdzie mała fontanna, cytryny i pomarańcze owocem okryte, nareszcie białe lilie kwitnące dziwnie balsamowały powietrze i klasztorowi temu romantyczną nadawały postać. Wystawcie sobie moje zadziwienie, do tego samego klasztoru nazajutrz wpada lokaj Hołyńskiego, którego pan w innym stanąwszy klasztorze i dowiedziawszy się o przybyciu mojem do tego miasta, szukać mnie rozkazał. Tak więc jeszcze jeden dzień z nim przepędziłem, dziękując Bogu, że go przez to samo miasteczko prowadził, gdzie ja byłem, i o zachodzie słońca na nowo uścisnęliśmy się i na nowo każdy poszedł swoją drogą: ja do Cypru, on do cedrów libańskich. Lecz ten dzień, ostatni w Tripoli przepędzony, był jednym z najprzyjemniejszych dni mojej podróży. Mało mieliśmy czasu, więc włóczyliśmy się po cudownych okolicach tego miasta, porównywając jego cmentarz ładny turecki z naszym ulubionym cmentarzem w Bayrucie, gdzie co wieczora siadaliśmy razem na marmurowym turbanie, patrząc na morze i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w oddawaniu czci zmarłym, wierniejsze niż nasze kobiety wspomnieniom. Marzyłem kiedyś, będąc

dzieckiem, o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy.

Otóż masz, droga moja, opisanie pobytu mego w Bayrucie, teraz kilka słów o morskiej podróży... Dziwnie, że siadając na okręt, nie przeszła mi przez głowę myśl nawet, że może być jakie niebezpieczeństwo: jakoż przez te dni 40 żadnegośmy nie doznali oprócz nieprzyjemności, jakiemi są cisze morskie i wiatry przeciwne. Życie moje na statku jest bardzo jednostajne: wstaję przed wschodem słońca i obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem. Potem widzę czerwieniące się niebo; koguty na rzeź przeznaczone pieją i głos ich dziwnie się wśród morza wydaje, przypominając spokojność życia wiejskiego; kot okrętowy wychodzi igrać ze mną, żywy i wesoły o godzinie porannej; potem wschodzi słońce a pokład okrętowy czerni się od habitów sześciu mnichów, rzucających spokojne łoże; potem kawa, ranne godziny, zajęte czytaniem, marzeniami, przy obiedzie nieraz mój butel budzi wesołość. Po południu o godzinie 5 cały okręt odmawia głośno różaniec Najśw. Panny, prosząc ją o wiatr dobry, i nakoniec wzywa swoją rodzinną Madonnę de Monte-Negro, aby się opiekowała nim i o wiatr pomyślny prosiła. Wieczerza i obserwacya gwiazd wschodzących dzień mój kończą. Czasem z którym z mnichów gram w warcaby. Nakoniec dzisiaj piszę ten list na mojej szkatułce na kolanach, siedząc na pokładzie okrętowym i ciesząc się, że po trzydniowej ciszy zawiał nam wiatr dobry i do portu Liwurny prowadzi.

Dnia 15 czerwca jesteśmy blizko Liwurny, nie widać jeszcze portu, ale pomimo ciszy morskiej, za dwa dni najdłużej licząc, wylądujemy, strzelając salwy z dwóch armat okrętowych, jak na rezurekcyę; widzimy teraz wyspę Elbę... Filo wędrował kiedyś tą samą drogą: patrzę na morze, jak gdyby mi coś



Droga z dworca w Jerozolimie.

o nim powiedzieć mogło. Jakem ciekawy, czy im się podróż powiodła? z jakiem uczuciem przybyli do rodzinnego miasteczka? jak im się teraz Italia wydaje? co tobie, droga moja, o twoim Julku nagadali? czy bardzo go obwinili? Smutno mi do Włoch wracać, myśląc, że już ich tam nie zastanę. Nie tak było, kiedym statkiem parowym gonił za nimi do Rzymu.

Wracam z mojej wschodniej podróży zupełnie odarty: jak babka mówiła: spanachawszy manatki; koszule moje noszą pięć ran Chrystusowych, będę się musiał zupełnie na nowo oszywać i opierać. Wiozę sobie na ranne wstanie zamiast szlafroka płaszcz arabski wełniany, wiozę także dywanik, który mi za pościel służył, w Kairze kupiony. Mam także s z i s z ę czyli n a r g i l l e; jest to rodzaj szklanej lulki, z której się pali tytuń: składa się z kryształowej butelki, w której zamiast korka, wkłada się gliniany garnuszeczek na tytuń, potem butelka napełnia się wodą, a przyprawiony wąż skórzany wyciąga z niej dym przechodzący przez wodę, która ciągle bełkoce i śpiewa jak słowik gardłujący; z takich lulek palą wschodnie damy i bardzo im z tem ładnie. Ubrany w arabskim płaszczu siedząc na tureckim dywanie, paląc z wschodniej lulki, będę ranne wizyty przyjmował: mam jeszcze skarpetki perskie z różno-kolorowej wełny, bardzo gustowne, które mi za meszty służyć mogą.

Na górze Libanu pracowałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędruje; myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na wypadek rozbicia można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić; a potem mię jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych, pomyślałem, że jeżeli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun.

Przyznam ci się, droga, że miło by mi było, zamiast do Florencyi, prosto do Genewy wędrować: spotkałbym tam znajome twarze, znalazłbym jak się spodziewam dawną przychylność, mój pokoik, do któ-

rego przywykłem, ogród, gdzie tak długo się przechadzałem; ale teraz nie wiem, kiedy zobaczę to wszystko, bo ciągle tak wędrować nie można i przenosić się z miejsca na miejsce kosztuje. Może też we Florencyi porobię jakie miłe znajomości, które mi tę zimę przepędzić pomogą. Podróż miała dosyć dobry wpływ na mój charakter: przywykłem być z kimś ciągle, nie mając osobnego pokoju, gdziebym się mógł zamykać... Przywykłem do wielu niewygód, przekonałem się, że obiad bez mięsa obejść się może i że należy czasem pościć, tak jak nieraz pościliśmy z Zenonem, żyjąc przez dzień cały ryżu garsteczką, przy niedzieli jedząc tylko kury. Zdrowie moje prawdziwie cudownie mi służyło: spałem nieraz na wilgotnej ziemi pod namiotem, na wietrze i zdrowszy teraz jestem po tem wszystkiem, niż przedtem: słowem, uznaję nad sobą samym opiekę Boga i ufam, że ją nietylko nade mną, ale i nad tobą rozciągnie, bo inaczej cobym ja robił na ziemi?

Dziwnem będzie bardzo dla mnie przejście z życia wschodniego do zwyczajów europejskich. Widzieć, że znakiem uszanowania nie jest już nakrycie głowy a zdjęcie trzewików, że obrusa nie kładą pod stołem ale na stole, że ludzie nie jedzą palcami, że pozdrawiając kogo, nie przytykają ręki do ust i do czoła, ani do serca, jak w ziemiach arabskich!

Wczoraj jadłem nową potrawę: był to żółw morski, któregośmy ułowili śpiącego na wodzie. Mięso jego dobre, wonnością wydawało się trochę do łososia podobne. Prowizye nasze wystarczyły nam do końca, woda się nie zepsuła, kury potłuściały, trzy barany, długo nas swoją figurą bawiące na pokładzie okrętowym, już nie egzystują, a śmierć ostatniego była opłakaną rzewnemi łzami przez okrętowego chłopczyka, który się był do zwierza przywiązał jak do braciszka i ze strony barana podobne przywiązanie pozyskał, tak, że baś biedny, póki żył, jak pies biegał za nim. Czasem widzimy

ogromne tłumy delfinów, igrających na morzu w dzień ciszy; wczoraj ciągle strzelały z fali wielkie szerokie fontanny, tak pełno było ryb nazwanych c a p o d' o g l i o[1]), które wielkością zbliżają się do wielorybów, wodę z paszcz na powietrze wypuszczają.

Oto są wszystkie rozmaitości, jakie się na morzu przytrafiają. Teraz, bliżej Europy, spotykamy okręty; przez pierwsze dni 30 żywej duszy nie spotkaliśmy, i dobrze nam z tem było, bo koło brzegów greckich jeszcze zdarzają się napady korsarzów. Napisz mi, droga, czy odebrałaś wszystkie moje cztery listy? jeden z Aten, drugi z Aleksandryi i dwa ostatnie z Bayrutu: opisana w nich była pokrótce cała moja podróż i cały ten rok błędnego życia, z którego nareszcie kontent jestem.

Tyle nowych obrazów tkwi teraz w mojej pamięci! przyszłość będzie się dziwnie w mojej głowie na takiem tle odbijać. Pisz mi, droga, do Florencyi. Uwiadamiam o moim powrocie Hausnera w Brodach. Potrzeba mi trochę grosza, list ten muszę zapieczętować, nim na ląd wysiądę, bo potem trzebaby go było jakiemu ze strażników kwarantanny powierzyć i nie być pewnym, czy go na pocztę odda.

Bądź zdrowa, droga moja... Oby twój pierwszy list zaspokoił mię zupełnie! Z jakiem biciem serca myślę o tej poczcie, gdzie pójdę szukać wiadomości od ciebie. Odpędzam od siebie wszystkie złe myśli, ale ta jednostajność morza rodzi przywidzenia i pokazuje oczom duszy dziwne obrazy... trzeba myśleć a myśląc, nie można być panem imaginacyi... Droga! bądź ty szczęśliwa, zdrowa, niech ta myśl, że twój Julek dalekie odbywał podróże, da ci choć chwilę przyjemnych myśli. Chciałbym kiedyś wszystkiego, com nabył pamięcią, na rozpłoszenie twoich smutnych myśli użyć

[1]) Czyt. Kapodolio — rodzaj delfina.

i być twoją książką wtenczas, kiedy już w innych przyjemności nie znajdziesz.

Ściskam ciebie serdecznie, droga moja, a ty Filów kochanych uściśnij ode mnie.

Juliusz.

56.

Liworno, dnia 11 lipca 1837.

Najdroższa moja! Dziś o godzinie wpół do czwartej rano wyszedłem z kwarantanny; z jakąż niecierpliwością czekałem godziny 9-tej, o której otwiera się okno pocztowe. Wybiła nareszcie, biegnę i odbieram dwa listy, jeden od ciebie, dnia 21 kwietnia pisany, drugi od Eglantyny. Idąc przez plac, otworzyłem pierwszy dla serca mego i słowa twoje takie jakieś zimne i smutne mi się wydały, że bałem się rozpłakać na ulicy i uciekłem prędko do hotelu zgryźć boleść, jaką mię napełniło takie powitanie, mię, co przez 10 miesięcy nie miałem słowa od ciebie, który wreszcie już nie mam w świeżej pamięci czulszych listów twoich i myślę, że jużeś ty mię kochać przestała... List Eglantyny powiększył moją boleść: z niego bowiem, to jest z daty widzę, że nie jest odpowiedzią na mój list ostatni, który przed wejściem do kwarantanny razem z listem do ciebie przed 25 dniami powierzyłem kapitanowi okrętu, aby go frankował i przesłał; łajdak! pewnie dla zatrzymania kilku groszy nie wypełnił zlecenia, i ty będziesz się jeszcze uskarżać na długie moje milczenie, a ja teraz dałbym część serca mego, żeby tylko ciebie uspokoić.

Droga! nie wystawisz sobie rozpaczy, jaka mię przenika... wierzę w przeczucia... Wyskakując z łódki na ląd Europy, upadłem, i wczoraj tak się bałem wyjścia z kwarantanny, że wytłómaczyć sobie tej trwogi nie mogłem. Nie chcę ci się usprawiedliwiać

z wyrzutu, który mi czynisz, że kiedy Zenon mógł siostrze o sobie wiadomość dawać, ja zaniedbałem korzystać z tej drogi. Gdybyś wiedziała, jak Zenona upraszałem, aby ciebie mój list z Aleksandryi i z Aten doszedł, jak mi przyrzekał, że ci go przez swego plenipotenta w Odessie prześle! Zenon winien, on się jeszcze zobowiązał przesłać ci biały płaszczyk tunetański, lecz i ten pewnie los listów mieć będzie. O, gdybym go w tej chwili zobaczył, ze łzami bym mu wyrzucał taką zdradę... Lecz stało się... Dziękuję Bogu, że ty zdrowa, a ty mu także podziękuj, że mnie spokojnie przez kraje różne i przez morza prowadził i nie chciał mnie nawet widokiem niebezpieczeństwa przerazić. Ta cała podróż, którą ci kiedyś obszerniej opiszę, była pełną przyjemności i zachwyceń. Jakżebym chciał, abyś mój list z kwarantanny odebrała, miałabyś tam opisanie mojej czterdziesto-dniowej morskiej podróży. Dnia ostatniego siedząc na pokładzie, kiedy się okręt zbliżał do błękitnych brzegów, pisałem do ciebie, myśląc, że ten list ci chwilę spokojności i cichego szczęścia przyniesie; zapieczętowałem go i odkryłem głowę, bośmy wpływali do portu, i cały ekwipaż i księża będący na okręcie śpiewali na kolanach ostatnią litanię do Najświętszej Panny na smutną jakąś nutę... łzy mi stoją w oczach. Przeczytałem drugi list twój, żeby się uspokoić i znaleźć w nim, jeśli można, co miłego... Pamiętaj ty, moja droga, że kiedy ja teraz płaczę, to mię nikt nie pociesza, nie tak, jak było w moim domku w Paquis, gdzie mię tulono, rozżalonego, jak dziecko. Pisze mi Eglantyna, że mnie dzieci nawet czule tam wspominają i pragną mojego powrotu; o, gdybym miał skrzydła gołębia, poleciałbym gdzieś daleko i znalazłbym spokojność; są to słowa Biblii.

Jestem w Liworno, w tym samym hotelu, gdzie 14 miesiącami przedtem przebyłem trzy dni, jadąc połączyć się z Teofilami; ten sam dano mi pokój; wszystko to podwaja jeszcze moje dziwne rozigranie nerwów.

Pisząc ten list, chciałbym papier pożreć, aby go czemprędzej wysłać do ciebie, aby dniem jednym pierwej ciebie pozdrowić i dać ci pocałunek duszy, najdroższa moja. Ale zaczynam rezonować z sobą i wmawiać w siebie, że powinienem być szczęśliwy, bo wczoraj w kwarantannie gdyby mi kto był tylko pokazał jedno słowo twoją ręką napisane, jużby mię to zaspokoiło... wreszcie może to tylko wewnętrzne usposobienie duszy, jakieś mimowolne rozczulenie, którego człowiek doznaje, powróciwszy z dalekiego wojażu i zaczynając nowe życie, jest przyczyną, że mi twój list się zmiennym i niepodobnym twojej miłości dla mnie wydał. Tak uspokoiwszy się nieco, chciałbym ci coś o mojej podróży napisać.

Grecya, pełna ruin przecudownych, podobała mi się bardzo i bardziej niż Rzym mię zachwyciła. Egipt zatarł Grecyę w mojej pamięci: nic cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące. W liście z Aleksandryi pisałem ci, jakiego wrażenia doznałem, widząc się pierwszy raz w oryentalnem mieście i żałuję tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby tego opisać, bo przywykłem powoli do Arabów, do wschodnich ubiorów, do ich miast i nakoniec żadna sprzeczność z naszymi zwyczajami nie uderzała mię... Może cię drugi list z Bayrutu pisany dojdzie, tam będziesz miała opis podróży mojej po Syryi; przepędziłem całą jednę noc sam jeden w Grobie Chrystusa, modląc się za ciebie i za naszych. Ale cóż to jest moja modlitwa! Gdybym był wiedział, że się modlić potrzeba o to, abyś ty dla mnie w przywiązaniu nie ostygła, zrosiłbym gorętszemi łzami tablicę marmurową, która pokrywa grobowiec...

Pyszny jest dzikością widok Martwego morza, zwłaszcza, że będąc tam, cała kawalkada nasza konna wjechała na trzęsawicę i konie zapadły z nami w ziemię aż po głowę; widok to był dla mnie, który wyrwawszy mego konia, postawiłem go dęba przedniemi nogami na krzaku, przypominający ustęp z Biblii, gdzie

pisze o pożarciu przez ziemię całego wojska; towarzyszący nam Arab na pysznym koniu walcząc z zapadającą się głębią, prawdziwie był podobny do dawnego jakiego bałwochwalskiego króla. Byłem w Betleem, w Jerycho, w Nazaret, nad jeziorem Genezaretańskiem, gdzie Chrystus mi był przed oczyma: zdawało mi się, że postać jego spokojna stoi jeszcze na błękicie fali, z głową otoczoną promieniami. Nad tem jeziorem spałem pod gołem niebem, bo się wszystkie domy przez trzęsienie ziemi były zapadły, i choć byłem z głową nakryty od rosy, obudził mię wschód księżyca; jaka to była chwila, ile pamiątek oświecał mi ten księżyc nad cichem Genezaretańskiem jeziorem, tego wypowiedzieć nie mogę. Przeczytaj ty, droga, Biblię, pomyśl, że ja widziałem Kanę Galilejską, te lilie, czyli raczej anemony czerwone, do których Chrystus równał Salomona, mówiąc, że nie był ubrany tak pięknie, jako jedna z nich, że te kwiatki, na które on patrzał, piękniejsze są od naszych purpurowych maków polnych. Pomyśl, że byłem w grocie, gdzie pasterzom anioł zwiastował Narodzenie Chrystusa, że wieśniak jakiś orał przed tą grotą..., że byłem przy żłobie Chrystusa i słuchałem Mszy odprawianej na nim za moją ojczyznę i pomyślawszy o tem wszystkiem, przebacz mi, że się włóczyłem, przebacz mi sześciomiesięczną twoją niespokojność i kochaj mnie zawsze i bądź dla mnie przyjaciółką dobrą w tych krajach, gdzie teraz może nie znajdę żywej duszy, coby mię trochę lubiła. O droga moja, dlaczegoś ty się lękała o mnie? czy ty nie widzisz, że ja mam jakąś gwiazdeczkę nad głową, dla której złe nieprzemoże nade mną, aż Bóg mnie zawoła?

Bądź zdrowa; na drugiej stronicy piszę do Filów a ty ją odciąwszy, odeślij. Adieu, najdroższa moja.

Twój *Juliusz.*

Eglantyna, do której tyle razy co do ciebie pisałem, wszystkie moje listy odebrała; lepiej nie spuszczać się na panów Zenonów.

A wy, Filowie drodzy, coście pocieszali moją drogą, a potem nareszcie nie wiedzieliście co jej płaczącej powiedzieć, wierzcie że z wielu względów już i z tej ostatniej przyczyny p. Zenon zasługuje na Mackdonalda utyskiwanie. Miałem dosyć z niego niepożytecznego towarzysza podróży i nie wiem dlaczego rozstaliśmy się tak mile jakby nas ten wojaż braćmi uczynił choć prawda, że nigdyśmy się nie rozumieli wzajemnie.

Ale dosyć tego. Oto jestem w znajomych wam Włoszech: gdybyś mi był w liście swoim adres Zeidlera[1]) napisał, zrobiłbyś mi wielką przyjemność, bo jutro wyjeżdżam do Florencyi i dobrzeby mi było, żebym się prosto do niego, nie szukając pomocy lokai i fakinów włoskich, mógł udać dla wyszukania stancyi itp. Będę więc we Florencyi, gdzie, jak mi pisze tak mile Hersylka, oczekiwanie dawniej mego przybycia zostało jak jakie światełko uczuciowe, rzucone na wspomnienie o tem mieście. Nie zaniedbam pójść do sklepiku modniarki i może szczęśliwszy już będę z moją panną Malagambą, dla której pojechałem do Syryi, a tu podług przyrzeczenia napiszę Sylci, jak los zawistny przeszkodził mi i zawiódł nadzieję.

Siedzę kwarantanną na pustyni w El-Arisch, odwiedza mię doktor młody, który widząc, że mi chleba dobrze upieczonego po europejsku brakuje, przysyła mi w prezencie chleb dość biały, mówiąc, że go własna jego żona piekła. Podziękowałem... i wyjeżdżając, chciałem coś zostawić brzęczącego panu doktorowi; nie przyjął, ale owszem zapraszał, abym wszedł do jego domku na filiżankę kawy. Wielbłądy stały okulbaczone i osiodłane, raczej klęczały; jakże się było oprzeć prośbom klęczących wielbłądów? Odmówiłem przyjęcia kawy i udałem się w dalszą drogę przez pustynie do Gazy. Nie pojmiesz tylko, co to wszystko ma za związek z panną Malagambą? Otóż dowiedz się, jakie nie-

[1]) Czyt. Zajdler.

szczęście: Panna Malagamba przez pewną metamorfozę stała się panią doktorową. Pani doktorowa podałaby mi zwyczajem wschodnim kawę i nawet pocałowałaby mię w rękę, bo taki jest zwyczaj na wschodzie... i to wszystko opuścić przez jakiś dziwny pośpiech. Ale przynajmniej jadłem chleb, jej najpiękniejszemi rączkami pieczony, a dyabeł że mógł wiedzieć, że jest teraz panią doktorową kwarantanny i że na pustyni mieszka między Gazą i Kairem.

Otóż tak uchybiłem jednego celu mojej podróży. Niech mię Sylli o niezgrabność i o małą domyślność serca nie obwinia.

Zazdroszczę wam, moi drodzy, waszej wioseczki i spokojności, żegnam was i życzę szczęścia. Nie piszę więcej, bo list ten cały nagłemi błyskawicami różnych uczuć pisałem i jestem jak z krzyża zdjęty i senny... chcę go jeszcze dziś oddać na pocztę. Do Hausnera piszę, prosząc o 200 rubli. Niech moja luba więc się na to przygotuje. Adio. Wasz *Juliusz.*

Wkrótce z Zenonem się zapewne zobaczę. Cholera w Neapolu, tutaj jej nie ma, więc już teraz z żadnego względu nie jestem wystawiony na niebezpieczeństwa. Młodszy Hołyński został w Kairze zakochany w Arabce, starszy wkrótce wróci; zyskałem w nim przyjaciela ze świeżem sercem. Kochajcie mnie.

57.

Florencya, Via dei Banchi[1]) *Nr. 4216 d. 21 sierpnia 1837.*

Najdroższa moja! Wysiadując z kwarantannowego okrętu, odebrałem twój list pierwszy i nie wiem dlaczego, ale tak smutne na mnie zrobił wrażenie, tak mi się zdawało, że serce twoje dla mnie ostygło, że jakaś kryzys obojętności przyszła na ciebie. żem ci na ten list po szalonemu odpisał. Drugi twój list odebrany tutaj uspokoił mię, był to bowiem jeden z tych

[1]) Czyt. Banki.

listów, z których dusza twoja, nowym smutkiem uderzona, rzuca jakieś dziwne błyskawice uczuć matczynych i takimi je maluje wyrazami, że nie można tylko głośnym i samotnym odpowiedzieć płaczem. O, moja droga! Bogu także wiadomo, czem ty jesteś dla mnie, i ta sama gwiazda, która mię strzegła na morzu, i na pustyni, świeciła także nad górą Bony. Dopiero kiedym się dowiedział, żeś ty zdrowa, dziękowałem Bogu, że mię od niebezpieczeństw podróży ocalił.

Od 35 dni jestem we Florencyi i Zenon przyjechał także ze Stambułu. Rozpamiętywamy więc z nim nasze podróże i znajomym je rozpowiadamy. Wyczerpie się to wkrótce w ustach, ale w pamięci zostanie zawsze jak sen letniej nocy. Ponieważ ty, droga, lubisz szczegóły, opiszę ci moje życie we Florencyi. Skorom przybył, stanąłem w tym samym hotelu, gdzie mieszkali Teofilowie, to jest w New-Jork; [1]) zaraz odpytałem mieszkanie dwóch Józefa i Hermana Potockich, do których wszedłszy, ujrzałem na wszystkich twarzach wielkie zadziwienie, nie wiedzieli bowiem, co się ze mną i z moimi współwędrownikami stało? (W nawiasie dla Fila umieszczam, że go ci panowie mile wspominają, dziękują za to, co dla nich uczynił i kazali mu powiedzieć tylko dwa słowa: „nie poskutkowało"). Na kilka zaraz obiadów zaproszony, musiałem często z łyżką podniesioną odpowiadać na mnogie o wschodzie pytania; to mnie tak znudziło, że przyrzekłem sobie po upłynieniu dni 40 nic już o Egipcie nie gadać, bojąc się, aby mi w nałóg to bajanie nie weszło i nie zrobiło ze mnie indywidualnej i nudnej machiny, która zawsze jeden kurant odgrywa.

Odpytałem potem Zeidlera, który mi wyszukał mieszkanie. Śliczne dwa pokoje kosztują mnie 27 fr. na miesiąc; nająłem sobie za 2 skudy bardzo dobry fortepian i najmując, myślałem o tobie, droga. Zdało

[1]) Czyt. Niujork.

mi się, że twojemu żądaniu dogadzam i miło mi było. Teraz gram po kilka godzin na dzień z nut, ale coś nie postępuję w łatwości czytania. Z okien moich mam widok na ładny plac St. Maria Novella i lubię patrzeć na ten kościół, zwłaszcza kiedy wieczorem oświeca go księżyc. Ulubionym także moim księżycowym spacerem jest jeden bok katedralnego kościoła: nieraz marzę sobie, że tak chodził po tych kamieniach zamyślony Dante. Wyznam ci jednak, droga, że mi często dystrakcyę sprawują zgrabne i ładne Florentynki: nigdzie podobnych figurek nie widziałem i wybrałbym łatwo sto dziewcząteк, w które żeby mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodobania, to w każdej ze stu mógłbym się dziś zakochać szaleńcie. Takie jak są, przyciągają moje oczy, ale nie serce.

Ładna, bardzo ładna Florencya, a jednak smutno mi w niej: od czterech prawie lat zawsze miałem koło siebie rodzaj familii, zawsze kilka godzin w dniu przechodziło z ludźmi, w podróży nawet zawsze miałem jedną różową i uśmiechającą się twarz koło siebie; to też teraz, często się znajdując w mojem samotnem mieszkaniu, zadziwiony jestem długością cichych godzin, zwłaszcza wieczorem. Kilka listów z Genewy przyczyniło się do tej niespokojności; tam przekonani byli, że ja wyszedłszy z kwarantanny, zaraz nad jezioro Lemanu polecę. Nie widząc mię, dziwią się, płaczą; nareszcie myśląc, że mi brak pieniędzy przeszkadza, nasłali mi przed kilku dniami jakąś osobę, która chciała mi koniecznie pożyczyć na konto pani Pattey tyle franków, ile bym potrzebował; ujęło mię to, choć nie przyjąłem pieniędzy. Teraz odbywam z sobą wielkie walki, czy jechać, czy nie, i chciałbym mieć kogoś, coby mi tę wątpliwość rozwiązał. Nieraz mię wabi mój spokojny kominek w Genewie, moje drzewa i fiołki, kwitnące w złotem zimowem słońcu. Nieraz zatrzymuje mię przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolniłem się.

Co do pieniężnych okoliczności, szala stoi na równi: tu oprócz mieszkania, które mam lepsze, życie daleko gorsze jak nad jeziorem, tyle mię kosztuje, a może więcej co tam. Filo będąc tu, wyznał sam, że pomimo największej oszczędności, nie można mniej niż 130 fr. na miesiąc wydawać. Rachunki nasze w Rzymie świadczą o tem. Obiad mój, złożony z dwóch albo trzech potraw, kosztuje blizko 4 pawłów, śniadanie pół, czasem wieczorem limonada, albo filiżanka herbaty, albo lody, wszystko wynosi więcej niż 3 franki; dodać franka na dzień na mieszkanie a będzie 4.; a ileż jeszcze małych wydatków, które koszt dnia do pięciu podnoszą, co robi 150 fr. na miesiąc. W zimie mieszkania podrożeją, opał bardzo drogi, zimno w samotnym pokoju, to wszystko dosyć jest smutne. Nie dziw się, moja droga, że ja niegdyś taki odludek, dzisiaj się lękam samotności. Dawniej sny moje i złote nadzieje na przyszłość otaczały mię w koło, dawniej teraźniejszość była dla mnie jak tylko sieni, prowadzące do czegoś lepszego; teraz to wszystko na wspak się obraca. Ale na Boga! jeszcze się nie poddam zniechęceniu i ty, droga moja, łagodnemi słowami dopomóż mi do tego, aby mi serce bić zupełnie nie przestało w piersiach.

Dziś zaproszony jestem na obiad do Zdzisława Zamojskiego syna tych, przy których mieszkał Odyniec. Jest on tu z żoną; żądał sam poznać się ze mną i teraz prowadzimy z sobą często rozmowy, podobne do platońskich, z żoną trudnoby prowadzić. Dziwnie, że kiedym ją pierwszy raz widział, tak mi przypomniała Julkę Jasiową, żem zmartwiał; podobieństwo to teraz znikło dla mnie, zawsze jednak, patrząc na jej czarne błyskające oczy, smutnego doznaję uczucia. Z Zenonem, który trzyma powóz, zwiedziłem śliczne okolice Florencyi; okolice te jednak dla piechotnego człowieka żadnych nie mają powabów. O jak zazdroszczę stawu, który jest zwierciadłem spokojnego

życia Teofilów! oni pewnie przy domie mają kawał murawy, na której po obiedzie położyć się mogą i słuchać dzwonienia wracającej trzody. Ja także myślę skończyć na takiej idyli i gdyby ty, droga, zgodziła się mieszkać w jakim drewnianym domku na górach szwajcarskich, tobym dziś zgodził się takie samotne życie. Ale ty, droga, lubisz towarzystwo osób miłych, a tutaj ani tak przyjaźnego, ani tak gęstego, jak w twoim rodzinnem miasteczku, nie znajdziesz; ja ci sam życia samotnego urozmaicić nie potrafię: nie, nie ma dla nas miejsca na ziemi, trzeba wziąć życia tak, jak je nam Pan Bóg dał. Wierz mi, droga, że ty szczęśliwą jesteś w twojem miasteczku, gdzie wszyscy cię znają i szacują, niż w jakiejkolwiek mogłabyś być stronie, gdzie znajomości szukać trzeba, gdzie te najczęściej nie po myśli i nie podług serca wybierają się; ale pomyśl, droga, czy nie moglibyśmy spotkać się gdzie i rok razem przynajmniej przeżyć? Myśl ta często mię teraz przez dugie samotne godziny zajmuje. Wszak ja dlatego gram na fortepianie, abym ci cokolwiek nowego mógł zabrząkać. Znalazłem w mym tłumoku zostawiony przez Sylkę polonez Chudoby, i ten z grzmiącym przyciskiem na klawiszach wybijam; gram także walca Szopena, nie wiem, czy go Hersylia zna. Ale ja wam piszę o tych wszystkich małych rzeczach życia, kiedy może w naszym domu znów był anioł śmierci, i wyszedłszy z niego, napełnił was okropnością. Więc już i ten starzec ubrany w kontuszu, którego pomarszczone powieki błyszczały łzami przy moim odjeździe, nie przywita mię powracającego. Nasza rodzina podobna jest do żórawi, które widziałem na pustyni egipskiej: jeden się porwał i wszystkie za nim poleciały długim szeregiem w błękit, i wkrótce jęku ich słychać nie było na ziemi.

Dnia 22. Stroją mi teraz fortepian i przy monotonnym dźwięku naciąganych strun piszę ten listek do ciebie, droga. Chcę go bowiem dzisiaj jeszcze

w drogę wyprawić. Wczorajszy wieczór przepędziłem na teatrze z kilku znajomymi i poznałem się z nową figurą komedyi włoskiej, to jest z rodzajem arlekina, który tu nosi nazwanie Stenterello. Nie wiem, czy go Filowie znają. Chodzę na teatr więcej dla nauczenia się języka, niż dla sztuk, które są nędzne i źle grane. Co do języka, na wschodzie znacznie poduczyłem się mówić po włosku i teraz możebym Sylkę i Fila prześcignął. Szkoda tylko, że tu nie ma z kim mówić. Bawią mię także dosyć kawiarnie, które wieczorem w niedziele tak są pełne ładnych kobiet i strojnych elegantów, że każdy salon ma pozór sali balowej. Filom donoszę, że Wański pojechał z jakimś Anglikiem do Anglii i niedawno przejeżdżał przez Genewę. Wiolonczelista zbiera koncerta w Paryżu i lata za olbrzymkami. Malarz (Suchodolski) z żoną wyjechali już przed moim tu przyjazdem do kraju i już są podobno na miejscu. Żona pana malarza zapewne już zapomniała o naszych spacerach nad brzegiem morza w Sorrento, ja także już bardzo słabo jej błękitne oczy pamiętam. Zeidler zawsze biedny, rozłączył się z godną małżonką i miał proces, z którego podobno przypadł na niego obowiązek płacenia pewnej sumy rozwódce. Otóż tak Filom donoszę o osobach, które ich interesować mogą jako wspomnienia podróży; proszę za to, aby mi Sylka doniosła co o osobie, która mię jeszcze niestety interesuje jako wspomnienie mego dzieciństwa, od której miałem na czole pierwszy pocałunek na górze Libanu: było to we śnie i w klasztorze, księża byli blizko i zaraz nazajutrz wyspowiadałem się z grzechu pamięci, a potem wszedłszy na jedną z największych skał, rzuciłem jej ogromne przekleństwo. A ty, droga moja, czytając to, nie śmiej się ze mnie, bo to trochę i twoja wina, że ja taki smutny waryat; kiedy to piszę, zdaje mi się, że Fok siedzi i stroi fortepian. Wczoraj od Zamojskiego dowiedziałem się, że nareszcie Baliński drukuje historyę

Giedymina; biedny człowiek, jak jemu źle być musi, kiedy jak tonący sławy się chwyta. Ja przynajmniej, że młody, to podobny jestem do Ofelii, która nachylając się po kwiaty, upadła w strumień, i długo ją szata napełniona powietrzem utrzymywała pływającą na wodzie, aż utonęła i pieśń jej ucichła. Ciągle ten smutny dźwięk strojonego fortepianu. O! piękniej było, kiedym sam siedział przy księżycu między kolumnami olbrzymiego kościoła Jowisza, u stóp Akropolis Ateńskiej: wiatr, przedzierając się przez te kolumny, grał na nich jak na organie. O! wiele ja miał cudownych chwil w życiu; na co więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojej duszy? gwiazda, co mi świeci, piękniejszą jest od wielu innych. Ty rano wstajesz, Filu, szukaj o godzinie 4-tej wschodzącej konstelacyi Oriona na wschodzie, a zobaczysz gwiazdę moją ukochaną, która mię przez cały rok prowadziła;

*
* *
*
* * * *

gwiazdy są tak ułożone. Pierwszy raz poznałem się w Grecyi z tą lutnią niebieską. Za dwa miesiące ujrzysz ją wschodzącą o 8-mej wieczorem.

Ale ja wam piszę o niewiedzieć czem, więc całuję cię, droga i kochana mamo, całuję was, moi gospodarze wiejscy, i myśląc o was, śpiewam: „Ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę“, ale to ty raczej, Filu, śpiewać powinieneś, myśląc o mnie. Droga moja, nie smuć się i kochaj mnie zawsze, bo ja prawdziwie nie znam nic droższego na tej ziemi.

Wiesz droga, że jutro moje urodziny. Starzeję się, pozajutro zaś rocznica rozłączenia się z Filami.

Twój *Juliusz.*

58.

Florencya, dnia 3 października 1837.

Moja najdroższa! Ożywił mię twój ostatni list, tak miły i pełny twojej serdecznej miłości dla mnie, napełnił mię także nową tęsknotą. Bo jakżebym chciał usiąść kiedy na trawie pod domkiem Teofila wtenczas, kiedy ty masz przyjechać wieczorem, widzieć na drodze pył zbliżającego się powozu, który mi ciebie przywozi, potem rzucić się w twoje objęcia, wypłakać się z wszystkich żalów na twojem sercu, wyskarżyć się tobie z wszystkich zawiedzionych nadziei i uspokoić się nareszcie przed słońca zachodem, aby widzieć jak ta złota gwiazda zachodzi nad Teofila łanami, cicha, rozpromieniona, podobna jasnemu żywotowi poczciwego człowieka. Za jeden taki spokojny wieczór, za jeden taki zachód słońca, oddałbym wszystkie dni zachodnie mojego życia. Ukarz droga, pszczółki mojego ula, bo one pomimo mojej woli, mimo mojej wiedzy, kąsały ciebie, bo za to z dalekich stron posyłam na nie moje przekleństwo, niech w ulu wymrą, niech róże wszystkie będą dla nich trucizną, niech je szerszenie wypędzą z ula.

Moja najdroższa! Ustęp twój o pani Felińskiej napełnił mię dla niej szacunkiem i wdzięcznością, że ona ci osładza samotne chwile i podziela to, co ciebie obchodzi. Ale cóż ty masz dla mnie za tajemnice, które mi chcesz przez ludzi obcych zostawić w przekazie? czy ja nie znam zupełnie twojej drogiej mi duszy? Więc jeżeliś co jeszcze dla mnie w jakim zakątku serca ukryła, to mi to wyspowiadaj smutnym i miłym listem a ten mię nigdy nie porzuci. Gdybyś ty wiedziała, jak ja na Libanie w klasztorze nadchmurnym wydobyłem cały pakiet twoich listów, z jaką smutną uwagą je podług dat sześcioletnich układałem, jak je potem odczytywałem ze łzami nad tobą i nad sobą!

Każdy człowiek ma jakiś skład, który w testamencie nazywa: moje papiery. Otóż ja, który w ko-

minie palę często mojemi bazgraninami, nie mam przy sobie nic więcej prawie, jak twoje listy, droga: te jedne błądzą ze mną po świecie, widziały Kair i były tam, gdzie pisano słowo Boże. Teraz pismo twoje jest prawie jedyną korespondencyą, po którą chodzę na pocztę: bowiem odbierając częste listy z Paquis, w których mię jak niewolnika naglono, abym koniecznie rzucał Florencyę i nad jezioro wracał, odpisałam tak nareszcie, że mi teraz nieodpisywaniem zupełną wolę zostawiają robić, co mi się podoba. Siedzę więc przez zimę tutaj, najmuję mieszkanie w domu Zeidlera na 3 piętrze: będę miał ładny salonik z terasem i statuami, sypialny pokoik ciepły, bo na południe i małe obserwatoryum, to jest wieżyczkę, nazwaną belwederem, w którym jest mała stancyjka z oknami na cztery strony świata, z najpiękniejszym widokiem na wszystkie góry Toskanii i na wszystkie gwiazdy nad Toskanią świecące; poetyczność tej wieżyczki złudziła mię, bo myślę w niej często, okrywszy się płaszczem, samotne wieczory księżycowe przepędzać. Widzisz, droga, że we mnie jeszcze coś romansowego tleje, a raczej ciebie naśladuję, droga moja, i już wpadam w nałóg chodzenia w kółko po pokoju, a to dla tego, że mam teraz pokój, który obszernością swoją zachęca mię do takich spacerów. Otóż we Florencyi przepędziwszy zimę i popracowawszy trochę, chciałbym na wiosnę pojechać do wielkiego miasta, z książką pod pachą, jak student z suknią splamioną atramentem, z piórem za uchem i znów oddać wielki ukłon mojej królowej sławie, jako wierny jej do śmierci błazen.

Przez ciąg mojego wojażu, papier mi uzbierał dotąd około 600 zł.; więc za to i za to, co jeszcze przybyć może, spodziewam się z małym dodatkiem zaspokoić moje głupstwo i miłość własną i miłość ojcowską, i dać dziecku mojemu wyprawę. Zdaje mi się, że go ty, droga, sama pokochasz, bo zupełnie inne jak przeszłe, i już mi pięknie rośnie i płacze, i ma jakieś rysy

bardziej regularne, i jak mi się zdaje, piękne i szlachetne.

Dnia 5. Otóż przerwano mi pisanie tego listu; na dwa dni Herman i Józef Potocki przysłali po mnie, prosząc, abym z nimi jechał do Walombrozy; chciałem się wymówić ale niepodobna było, tak usilnie i grzecznie mię prosili. Więc o 6-tej godzinie zabraliśmy się z dziećmi, z guwernantką, z guwernerem, już nie tym, którego znali Teofilowie, lecz innym z Okryńskim, w ogromny powóz, zaprzężony czterma mułami i pojechaliśmy na noc do miasteczka, leżącego u stóp góry, na której stoi Walombrozy klasztor; resztę wieczoru przepędziliśmy na graniu w wista i na jedzeniu; o 7-mej zaś z rana nazajutrz, wziąwszy małą koziołkę z koniem dla guwernantki i dzieci, i dla nas dwa konie, na których kolejno jechaliśmy, przybyliśmy o 10-tej z rana do klasztoru, przebywszy najpiękniejsze okolice Toskanii. Nie wiem, czy Filowie byli w tym klasztorze; prawdziwie, że miejsce samo zachęca do zostania mnichem. Podróż ta melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, przypomniała mi bowiem moją wędrówkę po Szwajcaryi: coś było bowiem w gwarze tej licznej familii przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, ale mojej młodej panienki czarnobrewej brakowało; przyjęcie zaś klasztorne mnichów przypomniało mi wędrówkę po ziemi świętej: tak w tej małej wędrówce jak w zwierciadełku widziałem różne najpoetyczniejsze godziny mego życia. Jak też mię Bóg wysłuchał! ja go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie; to też on wszystko teraz tak klei, żeby serce moje napełnił najpoetyczniejszemi wrażeniami, prowadzi mię, po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych, i na góry chmurami okryte i na szczyty piramid. Chwała mu za to i dzięki. Wczoraj o godzinie 10-tej powróciliśmy do miasta; wszyscy byli znużeni i senni, ja tylko jeden zahartowany wędrówkami, mogłem powiedzieć, jak dawniej

na rezurekcyi ks. Sobkiewicza, że byłem jak mur. Bardzo jestem kontent z dnia wczorajszego: piękne niebo błękitne, kryształowe powietrze jesienne, lasy sosnowe ogromne koło klasztoru, błękitne góry, w odległości, zachwycenie oddechem spokojności mniszej, wszystko to upoiło mię i w spokojne pogrążyło dumania.

Zenon, mój towarzysz, już wyjechał i około grudnia będzie zapewne w domu; zazdroszczę mu, ale on ze smutkiem porzucał życie ptaszka, i chętnieby się ze mną na wszystko, oprócz kieszeni, mieniał. Zdaje mi się, że mam w nim przyjaciela, nic bowiem nas nie poróżniło w podróży, i malutkie tylko chmurki nieporozumienia przechodziły między nami i nigdy dłużej dnia nie trwały. Czekam teraz dwóch drogich moich przyjaciół, którzy zapewne wkrótce z Grecyi powrócą. Zenonowi znowu przypomniałem płaszczyk egipski dla ciebie i obiecał starać się, aby ci był odesłany; boję się tylko jakiej zamiany, bo on siostrze dwa podobne lecz mniej piękne posłał, nie mogąc już w całym Kairze wyszukać tak cienkiego jak mój. Zenon się tu raz ubrał po wschodniemu i byliśmy z nim razem tak u Zdzisławów Zamojskich. I bardzo się im podobała ta Zenonka maskarada.

Całe godziny gram teraz z nut na fortepianie i bardzo w muzyce postępuję; zacząłem ją lubić i nabrałem cierpliwości; wziąłem abonament na nuty i coraz nowe przegrywam; muzyka i moje umysłowe prace zabierają mi dzień i wieczór cały; czasem chodzę rano do biblioteki czytać po hiszpańsku Calderona i usypiam się jego brylantową i świętości pełną imaginacyą. Życie takie w spokojnej i ładnej Florencyi jest bardzo miłe i od tęsknoty za mojem jeziorem już mię obroniło. Via Calzajolo[1]), którą znają Filowie, napełniona ładnemi osóbkami, co wieczór jest moją zwy-

[1]) Czyt. Kalcajolo.

kłą przechadzką. Czasem idę do kościoła Sta Croce [1]) i staję przed grobem Danta, a posąg jego ponury, patrzący z wysoka na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia. Czasem idę do galeryi i wpatruję się w Wenus medycejską, chcąc, aby piękność jej przeszła do mojej duszy tak, żeby się wszystko potem podług niej tworzyło. Słowem, że życie moje jest pełne i puste zarazem, nie bez jakiegoś jednak harmonijnego dźwięku, nie bez upojenia. Czasem myślę, z przyjemnością, że kiedyś mi małego Stasia przyślecie, że mi on będzie jak moje dziecko, że coś niewinnego będzie przy mnie kształcić się i wyrastać; już układam sobie, czego go uczyć będę, jak prowadzić? Trzeba, żebyś mi go ty sama, moja droga, przywiozła i wprzódy przekonała się, czy ja mogę być mentorem i czy dosyć już jestem poważnym.

Najdroższa moja! Wiesz ty o Fila do mnie przypisku, w którym on mię do równego działu po dziaduniu chce przypuścić? Kiedym ten list odebrał, był u mnie hrabia Józef, elegant, i skarżył się, że o nim zapominają; nie mogłem wtenczas wstrzymać się, ale pokazałem mu Fila przypisek, mówiąc mu, aby porównał moich ze swojemi i dumny byłem z waszej miłości dla mnie i z waszej szlachetności delikatnej. Jakaś wstydliwość zabrania mi o tem dłużej pisać, i potem, nie mógłbym znaleść słów na oddanie wszystkiego. Niech się wam za to wszystkie roją pszczoły i miód słodki znoszą. O Filach wszyscy tu z szacunkiem wspominają a biedny Zeidler jest dla nich z uwielbieniem i z wdzięcznością największą; mię także przed innymi wychwala i jest moim totumfackim i sprzyja mi bardzo. Żona go porzuciła i prawną ma seperacyę. Szukając mieszkania, byłem u gospodyni Filów; ta mię ze łzami prosiła, abym mieszkał u niej, ale pokoi rozdzielić nie mogła a miała ich dziewięć, uważajcie

[1]) Czyt. Krocze — Krzyż.

więc, w jakim byłem ambarasie; staruszka mocno nalegała na mnie, abym powiedział co ofiaruję, chcąc się koniecznie ze mną ugodzić, a ja widząc dziewięć pokoi, nie mogłem bez przerażenia zacząć z nią układów. Nareszcie wyrwałem się, zostawiwszy guzik od surduta w jej ręce i uciekłem, ale nędza tej biednej kobiety wzruszyła mię i żałowałem, że nie jestem panem, mogącym w dziewięciu pokojach mieszkać. Musiałem także odbyć drugą formalniejszą batalię z młodą babą, która mię koniecznie pod swoje prawa podbić chciała, myśląc, że jestem tak bogatym, jak ten, co w dziewięciu pokojach mieszkać może. Bogu dzięki, bez mentora żadnego wyszedłem zwycięsko i wolny jestem, nie żałując wcale, żem się nie dał zwyciężyć, chociaż użyła na mnie broni strasznej, to jest rzadkiej tu sentymentalności niemieckiej; a wyznam ci, droga moja, że ta sentymentalność jakoś bardzo mi się teraz podoba, a brak jej zupełny we Włoszkach pozbawia je dla mnie wszelkiego uroku. W podróży mojej wschodniej żałowałem trochę, że nie jestem dobrze złotem nadziany, bo mi przychodziła myśl romansowa: kupić na rynku Kairskim ładną Abisynkę, przebrać ją za pazia i być nowym Larą, z nową Gulnarą, ale nie mogłem tego uczynić i dobrze się stało dla zbawienia duszy mojej. Wyznam ci jednak, że to było jedyne i istotne zachcenie na Wschodzie; zdawało mi się nawet, że bym kochał szalenie tak nieszczęśliwą dziewczynkę, którąby nikogo oprócz mnie na ziemi nie miała. Czy ty się nie obrazisz, że ja ci piszę takie moje tajemnice i szaleństwa rozsądnego już na pozór człowieka. Cóż, kiedy we mnie na nowo jakiś wulkan zaczyna wybuchać: serce moje znów się napełnia jakiemiś nieograniczonemi zachceniami i znów muszę pracować, aby się stać panem.

Najdroższa moja, całuję ciebie serdecznie i Filów

kochanych. Bądźcie zdrowi, ja porzucam pióro, abym myślał o was i zawsze kochał. Adio, droga.

Twój *Juliusz.*

59.

Florencya, dnia 24 listopada 1837.

Najdroższa moja! Znów przez dwa miesiące żadnej od ciebie wiadomości. Kiedym był na Wschodzie, smutno mi było nie odbierać listów od ciebie, ale ta myśl, że to jest niepodobnem, ufność nareszcie w jakąś gwiazdę opiekuńczą, czyniły mnie spokojnym; lecz teraz, kiedy ty co miesiąca, droga moja, mogłabyś mię kilku słowy wesołym i szczęśliwym na cały miesiąc uczynić, a nie piszesz do mnie, smutek i strach mię przenika. Napróżno staram się moje myśli zająć pracą imaginacyjną, myśl o tobie wraca jak jakiś dzwon tajemniczy i wytrąca mi z ręki pióro, i nie śmiem pisać o urojonych nieszczęściach wtenczas, kiedy się lękam rzeczywistego. Czy ty chora? Dziwnie, że w jesieni, jak zapamiętam, zawsze się zdarzył brak twoich listów, a przez dwa miesiące w Paquis od 11—12 godziny z rana oczekiwałem, z twarzą przy szybach, na przybycie faktora, co listy roznosząc, wychodził z miasta przez orzechową aleję. Teraz trzy razy na tydzień stoję przed okienkiem florenckiej poczty i już oddawna od tego okienka smutny odchodzę. Pisz, pisz, droga moja! a jeżeli cię to nudzi i kosztuje, pomyśl, że niepisanie twoje wystawia mię na prawdziwe męczarnie. Z gniewem prawie odbieram inne listy, którymi teraz z różnych stron mię obsypują moi znajomi.

Co piętnaście dni przypomina mi się Paquis nad zwierciadlanem stojące jeziorem. Zenonek mi czasami z Wiednia hieroglifami o swoich zabawach pisze; z tejże samej okolicy przychodzą mi milsze listy od przyjaciela niegdyś mojego w Rzymie, który mi przypo-

mina przechadzki po willi róż, marzenia w Kolizeum i wszystkie inne smutne spacery po ruinach Cezarów. Czasem listy jeszcze mię dochodzą od człowieka, który się dziećmi mojemi opiekuje, nie bardzo miłe, ale dosyć pełne nieużytecznych i nierodzących żadnej nadziei wiadomostek.

Oto, droga moja, za kilka dni imieniny twoje, dzień tyle dla mnie święty; w Tebach go obchodziłem przeszłego roku, i stałem przy obelisku Luxoru, który także teraz samotny, zdaje się tęsknić po swoim rówienniku, wydartym z rodzinnej ziemi i przeniesionym świeżo do Paryża. Więc i wieże z granitu jednego wykute rozdzielają się i idą na wygnanie. Ludziom, co mają nogi na to, aby się błąkać po świecie, trzeba się pocieszać, patrząc nawet na obeliski. Co dnia teraz mam jakieś miłe wspomnienie z roku przeszłego.

Kilka dni temu była rocznica naszego spotkania się na Nilu z dwoma braćmi Hołyńskiemi, rocznica dnia, którymy tak mile razem spędzili. Wiedząc już, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu, wziąłem strzelbę na ramiona i z jednym Arabem puściłem się przed łódką naszą brzegiem, aby się mieszkańców wiosek o tych cudzoziemcach wypytać. Po godzinie drogi ujrzałem z daleka ich pawilony w jednym z kanałów nilowych i spostrzegłem dwóch młodych w europejskich ubiorach na piasku. Pędem biedz zacząłem do nich; młodszy brat skoro mię zobaczył, także zaczął biedz ku mnie i rzuciliśmy się w uściski obopólne, dumni ze spotkania się na tej ziemi cudów. Wkrótce nadjechała łódź z Zenonem, którego już mój Arab uprzedził, że znalazłem tych, za któremiśmy ścigali. Wszyscy więc razem, służącym powierzywszy straż łódek, poszliśmy do oddalonej o godzinę drogi Dendery. Największy ten po piramidach gmach w zachwyceniu nas pogrążył. Chodziliśmy między kolumnami jak odurzeni, siadaliśmy na ziemi admirując, rozmawiając z litością o wojażerach europejskich, którzy takich cu-

dów wystawić sobie nie mogą. Słowem, nakarmiliśmy oczy, serce i zamknęliśmy do serca dzień pamiątek tak cudownych, że nawet przyjaźń naszą między nami powiększył. Potem Hołyńscy zaprosili nas do łodzi na obiad a my ich na poncz wieczorem do siebie; po księżycu zaś spacer do blizkiego miasteczka Kenneh, gdzie egipskie Almee otaczały nos wiankami po ulicach, między palmami, gdzie księżyc w szerokim nilowym kanale odbijał się czarownie. O godzinie 1-szej w nocy rozjechaliśmy się, towarzysze nasi bowiem już wracali z katarakty, my zaś dopiero jechaliśmy do niej; łódki ich ze śpiewem majtków oddaliły się, szybko wodą niesione, nasz zaś okręcik przeciwko wodzie płynął z trudnością i łamał księżycowe fale: taki był dzień 19 listopada przeszłego roku. Teraz przepędziłem go smutnie sam jeden. Prawda to, co powiadają ludzie wschodni, że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, napowrót tam znów powraca, pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży; tak tam dziwne i lekkie życie, że mi teraz Europa ciemną się wydaje: poczerniały domy, zgęstniało powietrze, na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło. Chciałbym jeszcze raz być na Libanie. Tymczasem we Florencyi dosyć mi dobrze. Żeby Filowie wiedzieli, jak mi Zeidler umeblował 3 piętro swego domu, jak śliczny mam salonik, wysłany pięknym dywanem, z dwoma oknami i szklanemi drzwiami, które na ładny i obszerny teras wychodzą, gdzie w lecie, nastawiwszy kwiatów, można zrobić sobie prześliczny drugi salonik, zasłoniwszy się od słońca płóciennym dachem.

W saloniku moim pozawieszał Zeidler swoje obrazy, te w złotych ramach, bardzo się dobrze wydają. Filowie, co znają mego gospodarza, nie pojmą zapewne, jakem się od jego brudu, pyłu mógł obronić, ale powiadam prawdziwie, że salonik mój elegancki, kobiecie mógłby służyć do przyjęcia gości. Na przeciwko mam maleńki i skromny sypialny pokoik, dosyć ciepły, bo na

samo południe obrócony. Dalej zaś wschody prowadzą mię wyżej do małego belwederu: jest to kwadratowy w wieżyczce pokoik, skąd przez cztery okien widzę całą Florencyę i jej okolice. Z jednej strony zielona dolina między błękitnemi górami, gdzie widać Kaszin aleje, na północ góry piramidalne Fiezoli, mnóstwo domków po górach, te o zachodzie słońca wydają się rzęsistemi karbunkułami, płonącymi we mgle błękitnej. Na wschód bliższe mi gmachy i kopuły zasłaniają część horyzontu, i wieżyczka śliczna katedralna, jak cacko z cukru, na bladem rysuje się niebie. Na zachód widzę góry za Arnem będące: te najeżone cyprysami, jak horyzonty Rzymu, pięknie malują się na łunie zachodu. W tym belwederze często sobie przebywam i dziękuję Bogu, że mi w życiu mojem pozwala ciągle co raz to piękniejszymi obrazami karmić oczy, i samotności mojej odbiera tem żądło gryzące, albo raczej zamienia ją w słodką melancholię.

Ten sam Bóg pozwolił, że w tych czasach potrzebny byłem i pomocny dwom biedakom i zyskałem sobie w nich przyjaciół. Zresztą życie moje dosyć jednostajne. U Józefa i Hermana Potockich często wieczory przepędzam, grając w wista i trochę się zgrywam, ale nie wiele, bo po małej cenie gramy. Zainteresowałem tu trochę moją dzikością damy florenckie i pani Potocka mówi mi często, że gadają o mnie i chciałyby mię poznać: między innemi księżna Survilliers. Ta, spotkawszy mię raz na ulicy z Hermanem Potockim, żądała, aby mię ten ostatni jej prezentował, i musiałem więc z nią w karecie siedzącą zrobić znajomość. Nie wiem prawdziwie, czemu mi ten świat błyszczący i pusty natrąca się, bo ja z nim żadnej nie mam sympatyi, teraz zwłaszcza, kiedy od ciebie, droga, nie mam żadnej wiadomości. W każdej światowej rozrywce widzę taką czczość i nudę, że nie mogę się przymusić, aby zapomnieć i nie myśleć o tem, co daleko, a po szalonemu używać tego,

co blizko. Braknie mi tu bardzo towarzystwa młodych ludzi, nie mam z kim żyć po przyjacielsku, a ci, o których wyżej wspominam, choć są bardzo dobrze ze mną, tyle wad mają i taki niedostatek w uczuciowych skarbach, że zawsze między nami są progi do przejścia i nigdy ich nie przestąpimy.

Zeidler, od 16 lat za granicą będący, jest, ilekroć patrzę na jego postać straszną i zwiędłą, marą, która mię o moją przyszłość przeraża; on widząc mię często elegancko ubranego, powtarza mi jak dzwon grobowy: „i ja tak niegdyś byłem“, a ja odwracam się wtenczas od niego jak od straszydła nędzy. Nie uwierzycie jednak, jak różnymi sposobami podniósłem z prochu tego człowieka: żona go opuściła chorego, znalazłem go podobnego trupowi. Teraz powoli podniosłem jego czoło, i ci, co go znali pierwej, dziwią się jego odmianie, a Okraszewski mówi, żem cud zrobił. A Filom tylko to napiszcie, że ów Zeidler zrobił sobie piękny czarny frak i spodnie, że ma apetyt ogara, że jest wesoły i o nich wspomina jak o aniołach, którzy mu błysnęli litośnemi oczyma w ciemności; niechaj to będzie najmilszem wspomnieniem z podróży.

Przejeżdżał tędy malarz Brzozowski z Rzymu jadąc do kraju i prosił mię, abym się Filom kłaniał. Wielki pittore koni już dawno w swoich stronach; nic więcej nowego. Skrzypak do Anglii pojechał i nic o nim nie słychać. Florencya zawsze ładna i najmilszem podług mnie jest we Włoszech mieszkaniem. Gdyby nie interes, który mię wkrótce poprowadzi do wielkiego miasta, gdzie są dzieci moje, zostałbym przez całe przyszłe lato w moim ładnym i kwiatami jeszcze bardziej uładnionym saloniku i belwederze. Bo życie dosyć tanie i powoli porobiłbym może miłe znajomości. Teraz na pierwszem piętrze domu mojego i na drugiem mieszka siedm prostodusznych dziewczynek z matką i ojcem, z którymi już zrobiłem znajomość, aby gadać po włosku. Ale z innych względów bardzo

jestem ostrożny, mając zawsze przed sobą widziadło moje straszące: Zeidlera. Ten zasyła Filom ukłony, a ja ściskam cię i całuję, droga moja, a choć ten list późno po imieninach twoich przybędzie, niech ci powie, jak ja ciebie kocham, jakbym chciał kiedyś co zrobić, coby ci smutne czoło rozjaśniło i twoje mi przyniosło błogosławieństwo. Bądź zdrowa i nie zostawiaj mię dłużej w niespokojności o ciebie. Filów ściskam serdecznie. Niech wam wszystkim będzie dobrze i niech Bóg czuwa nad wami i nade mną.

Na całą zimę zostaję tutaj. Wasz *Juliusz.*

60.

Florencya, dnia 2 stycznia 1838.

Najdroższa moja! Otóż Nowy Rok a my sobie niczego powinszować nie możemy, a nie wiem, czegobym ci mógł życzyć, tak wszystko dobre niepodobnem jest prawie dla nas. Melancholia jest gościem moim we wszystkie prawie święta i rocznice pamiątek: to też i tego roku jest ze mną; coraz cichszy i smutniejszy, przyjmuję rzadkie rąk uściski, z któremi przychodzi do mnie małe grono znajomych, i myślę w sobie, że jeszcze kilka Nowych Roków, kilka świąt, a potem wszystko będzie tak, jak gdyby to życie upłynęło wśród najszczęśliwszych okoliczności, pełne wesela, głośnego śmiechu, różnych kolorów i jasności.

Wigilię jadłem z ziomkami w domu Hermana, na sianie. Sama gospodyni domu dała nam wszystkie dawne potrawy, w których wspomnienia były pieprzem i rodzynkami. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślałem o wilii u prefekta Jarkowskiego, którą kiedyś jadłem będąc dzieckiem; potem przyszła mi na myśl wielka babuni pierkania, czeladź śpiewająca kolędy, potem wertep krzemieniecki, któremu może winien jestem mój szekspirowski zapał. Nareszcie dawnym zwycza-

jem wyciągnąłem źdźbło siana z pod obrusa, i wyciągnąłem je bez kwiatka. Pani domu, widząc moje zasmucenie, ofiarowała się, że mi drugie wyciągnie, jakoż dobyła mi źdźbło krótkie bardzo, nie z kwiatkiem, ale z kłosem na końcu... Tłómacz więc sobie, droga moja, że dni moje będą krótkie, ale kłos zostanie po nich; ja tak tłómaczę sam i cieszę się.

Wczoraj na Nowy Rok oddałem kilka wizyt i wieczór przepędziłem u pani Zdzisławowej Zamojskiej w gronie ziomków; ona sama niedawno syna powiła, a ja mu zrobiłem horoskop, bo wiedzą wszyscy, że w mieszkaniu mojem mam wieżę astronomiczną, gdzie często z gwiazdami rozmawiam, więc wierzą we mnie jak w astrologa. Od jakiegoś czasu dałem się wciągnąć mimowolnie w świat, i już od kilku tygodni prowadzę życie pełne roztargnienia, co męczy i nudzi. Często, wyszedłszy z towarzystwa, gdzie wiele gadałem, przypomina mi się twój talent, droga moja, bawienia gości i dziękuję Bogu, że mi po tobie trochę tego daru gawędzenia spadło; lecz ta między nami jest różnica, że ty lubisz obudzać myśli w kole towarzyskim, i wyciągasz z niego iskry, jak z krzemieni, a ja nieszczęśliwy gawędzę i niczego się nawzajem od ludzi dopytać nie mogę; więc powracam zwykle zmęczony i pozbawiony moich marzeń, bo rozmowa z ludźmi jest to dla mnie pole, gdzie ja moje złote myśli, moje samotne marzenia na zdawkową rozmieniam monetę i rozsypuję. Skutek ten sam, zawsze moją miłą własność tracę. Tak mię to życie znudziło, że teraz żałuję, żem został na zimę we Florencyi, nic bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych: prawdziwie, że na skrzydłach mi wiek ucieka i chciałbym zatrzymać lata nie dlatego, abym się jakiego szczęścia spodziewał, ale żeby nie zejść ze świata niepłatnym dłużnikiem. Widzisz, droga, jak to prędko poszła w las nauka o próżnościach światowych, którąbym był po-

winien z pomników egipskich wyssać. Nietylko wizyty, ale znajomi moi dręczą mnie mnogiemi listami, na które nie wiem co odpisywać: tak wystawcie sobie, że nawet szambelan Skibicki z Pizy, gdzie teraz dla klimatu cieplejszego siedzi z żoną, ni z tego ni z owego wypalił do mnie list esencyonalnie poetyczny o nachylonej wieży, o Campo[1]) santo, o profesorze prawa, o Dancie i o wszystkich rzeczach, które jego są, a ja zaś biję się w czoło, myśląc nad odpowiedzią, a naprzód nad tytułem, który na wierzchu listu prześwietnemu korespondentowi należy się.

Ale dosyć już skarg... Nie, jeszcze jedna: oto muszę przerwać ten list do mojej drogiej i iść do galeryi Pitti, gdzie sześć bab chce mię koniecznie mieć cyceronem. Będę więc musiał suszyć głowę, aby coś nowego o starych obrazach powiedzieć, bo jeżeli nie, to całe grono mające za organ księżnę de Survilliers, powie, żem nie zasłużył na reputacyę przyjemnego człowieka, jaką mi niedawno te same osoby przyznały. O tortury! będę utrzymywał paradoksy, będę błyskał sprzecznościami, wskrzeszał umarłych malarzy, i to wszystko zje mi ranek, którybym mógł weselszymi zająć myślami. W galeryi tej jest jeden mały obraz, który mi łzy z oczu wycisnął, zapewne go Filowie nigdy nie uważali: jest to malowidło Pawła Veronese, wystawiające Chrystusa, który się żegna z matką, idąc do Jeruzalem, aby umarł. Twarz tej matki, pokora syna, który zdaje się ją przepraszać za to, że ją samą na świecie zostawia, prostota miejsca, gdzie się to pożegnanie odbywa, wszystko mię rozczuliło niewypowiedzianie, i kocham malarza, że mu taka myśl, nie wspomniana w ewangelii, przyszła do głowy.

Dnia 3 stycznia. Otóż przepędziłem wczorajszy ranek w galeryi z damami, i dosyć się dobrze zabawiłem; dziś za to siedzę w domu, deszcz czarny pada

[1]) Czyt. Kampo — cmentarz.

i melancholiczne światło panuje w moim saloniku. Przypomina mi to moje dnie zimowe w domku Paquis, i dziwna jakaś czcza melancholia dręczy mię; chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim. Filowie już ci musieli powiedzieć, droga moja, że to jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia; gadaliśmy o tem z niemi nieraz, siedząc na balkonie domu świętej Łucyi w Neapolu, czekając, aby się księżyc pokazał nad Wezuwiuszem i rzucił nam kolumnę światła przez morską zatokę.

Otóż rok przeszedł nowy a ja się nie kocham; co to będzie? Poznałem tu ładną jak anioł Amerykankę i to był kamień probierczy mojego ostygłego serca. Zdawało mi się z razu, że to była jedna z nimf Niagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem chwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mię odstręczyła od niej jej ciągła wesołość, ciągły prawie uśmiech na rozkwitłych ustach; włożyłem więc znowu jak ptak głowę pod skrzydło i pogrążyłem się w moje sny melancholiczne. Największegom doznał rozrzewnienia, czytając poważny, matczyny i pyszny początek ostatniego twego listu, droga moja, gdzie mi piszesz o godzinie 7-mej 1809 roku 22 augusta. Zdawało mi się, że mi stróż mój anioł ze smutkiem opowiadał, jak to było koło mnie w pierwszej chwili życia mojego. Słyszałem, jak po Mszy babunia wschodziła na schodki domu, koło których rosły dwie topole. Słyszałem, jak drzwi otwierała i pytała o mnie. Dzięki tobie za widzenie takie, choć smutne teraz dla mnie samotnego. Cały twój list był mi nieskończenie miły a zwłaszcza myśl, że nie jestem zupełnie obcy w mojem rodzinnem miasteczku; że wróciwszy, znalazłbym przyjazne powitanie od osób, między któremi i kilka nieznajomych zobaczyłbym twarzy. Wszak to wzgórze między górą Zamkową i Czerczą, gdzie miał biały stanąć kościółek, zawsze czeka na kamień pierwszy i kilka trumien. Król ba-

warski wystawił teraz kościółek podobny i nazywa go pałacem Walhalli. Niech więc nasze wzgórze czeka i co roku okrywa się wonną konwalią, i odbija echami śpiewania słowików, ukrytych w Czerczy zaroślach, a tymczasem synowie Ossyana mają mieszkanie w chmurach.

Chciałbym coś napisać, coby przekonało pannę Eleonorę Komorowską, jak mi jest szacowną jej pamięć i wiele wdzięczny jestem za przychylność jej dla ciebie, droga moja. Deszcz czarny pozbawił mię myśli i nie śmiem ciężkiemi wyrazami do nieznajomych mi z tak daleka odzywać się osób. Ty więc, droga, zastąp mię i powiedz jej tysiące i bardzo miłych rzeczy.

Teraz ciebie muszę pożegnać i złożyć ci nakoniec moje życzenia noworoczne i uściskać Filów także na Nowy Rok, a ten listek niech będzie dla was jak mój opłatek; rozłamcie go pomiędzy sobą i niech każde weźmie część, która się mu należy z mego serca, z moich życzeń, z mojego przywiązania. Jeden pocałunek posyłam wam wszystkim, a ciebie droga moja, jeszcze ukradkiem, kiedy się inni odwrócą, w nóżkę twoją całuję, na kolanach przed tobą. Adieu.

Wasz *Juliusz.*

61.

Florencya, dnia 22 lutego 1838.

Najdroższa moja! Oto tłusty dzisiaj czwartek. Florencya pełna masek, powozów, śmiechu, zgiełku, a ja także zabieram się wyjść na ulicę i przypatrywać się zabawom tych ludzi. Nim jednak wezmę rękawiczki i kapelusz, pomówię z wami, bo mi smutno, bo ostatni listek wasz a zwłaszcza opis zimowej chaty Filów, napełnił mię taką za wami tęsknotą, że się dotąd otrząsnąć z niej nie mogę. Śnieg lekki, który dziś w nocy

pocukrował dachy tutejsze, przyczynił się do mojej melancholii: wszedłem na belweder i ujrzałem z niego miasto, naszym miastom podobne, wszystkie domy z siwą głową, przyległe okolice jeszcze bielsze i gdzie niegdzie tylko smutna zieloność cichego zimowego drzewa. Dwa lata temu wjeżdżałem do Rzymu, ściskałem Filów i odświeżałem u nich moje familijne uczucia, tak właśnie jak gdybym kwiaty zerwane i już nieco uwiędłe wstawiał do wody, aby głowę podniosły. Dziś jestem w ulubionym Filów mieście i z chęcią oddałbym im wszystko to, co mię nie bawi, a co malarską Teofila ubawiłoby imaginacyę, to jest tę maskaradę włóczącą się po błocie. Oto jeden tłum masek wystawia tryumf Cezara. Na ogromnym wozie siedzi jakiś głupiec w laurach od stóp do głów i uśmiecha się dumnie wysokością swojego piedestału, porównany z pierwszemi piętrami domów; przed nim idą Rzymianie z trąbami w nadętych pyskach; przed nimi na nędznej szkapie jedzie jakiś Cocles, jakiś Brutus, który, że użyję kalamburu Szekspira w Hamlecie, nie Cezara w Kapitolu, ale kapitalne zabił cielę, maskowani ci bowiem są aktorowie albo rzeźnicy. Ci ostatni najbardziej, jak uważałem, skłonni są do maskarad i do przybierania na siebie rycerskich strojów. W Paryżu oni jedni tylko dają z siebie wzniosłe widowisko dawnych wieków w tłusty czwartek, prowadząc woła Apisa z wizytą do pałacu królewskiego; oprócz tego tryumfu Cezara, nie widziałem jeszcze innych tryumfów włóczących się po Florencyi, ale zapewne spotkam się z niemi.

Przyznam ci się, moja najdroższa, że mi w tym kraju tęskno za rozsądniejszymi krajami, gdzie kilka lat przeszłych przeżyłem. Zwłaszcza nudzą mię serca interesowne i głowy bardzo puste tutejszej płci pięknej; wystaw sobie, że w domu moim na pierwszem piętrze mieszka familia ze wsi, prawie chłopska, składająca się ze starego ojca, matki i sześciu panienek. Zaczą-



Kościół Grobu świętego w Jerozolimie.

łem u nich bywać dla włoskiego języka, bo żadna z nich innym językiem nie mówi, zaledwie czytać umieją. W domu ich ze skąpstwem połączony niedostatek. Chcąc te panienki ubawić, zaprosiłem je kilka razy do siebie i dałem im mały wieczorek w moim saloniku: tańcowały, jadły ciasteczka i dziwiły się, widząc moje eleganckie mebelki, moją lampę, którą dla nich zapaliłem, mój fortepian, moją posadzkę, wybitą dywanem. Mój kochany Zeidler, któremu się nie dziwiły, bo brzydki jak dyabeł, przepowiedział mi zaraz, że te Włoszki zaczną na mnie siatki zarzucać; byłem więc bardzo oziębie grzeczny; aż tu nagle jedna z nich robi mi oświadczenie miłości na wschodach i prosi o moją rękę. Rozśmiałem się tak, że się zatrzęsła moja wieżyczka z belwederem, i zostawiłem zmięszaną Cyrce z otwartą gębą. Dotąd pojąć nie mogę tak śmiesznego głupstwa tej rodziny, przekonany bowiem jestem, że matka sama należała do spisku dziewcząt. Na miejscu tych Włoszech Sabinek, w odwrotnem znaczeniu, dziewczątka francuskie albo niemieckie lubiłyby mię i wspominałyby długo, jak odjadę; a ja właśnie tego chciałem, bawiąc je, aby kiedyś, po kilku latach, wspomniały o mnie, zobaczyły oczyma wspomnień mój salonik, mój fortepianik, moją lampę przed lustrem, i powiedziały do siebie: „Jak my się dobrze bawiły u tego forestiere[1]); kto on taki? skąd? gdzie zniknął?“ Żadnej delikatności uczuć nie znają tutaj. Wszystko ma jeden cel: złapać cudzoziemca, jeżeli się da, a wszystko wypływa z jednego źródła, to jest, że osądzili już dawno Włosi w swojem sercu, że każdy cudzoziemiec jest Anglikiem, a wyraz inglese[2]) znaczy teraz u nich głupi. Otóż po tej deklaracyi Włoszek zamknąłem moje drzwi i czekam spokojnie, aż dziewczyna umrze z miłości, bo powiedziała mi wyraźnie, że nie przeżyje ciosu.

[1]) Obcy.
[2]) Anglik.

Ale dotychczas zdrowa i spuszcza oczy, ilekroć mię zobaczy.

Całą tę zimę bardzo się mało bawiłem; przejeżdżała tu pani Komarowa z córkami, dawna moja znajomość drezdeńska, bywałem u nich dość często; panny dwie zadziwiły całą Florencyę swoją pięknością; starsza podobna do Wenus medycejskiej, zakochana szalenie w bardzo brzydkim z twarzy adonisie, choruje z miłości i przypomniała mi wiele dawno znanych polskich dziewczątek, bo tylko Polki tak romansownie kochają i tak się nie kryją z miłością. Angielki także czasem z choroby serca giną, ale cicho, spokojnie pochłaniając wszystko w sobie, podobne różom białym, więdniejącym powoli.

Te dwie piękności z matką pojechały już do Rzymu; została mi więc mniej jedna wizyta co tydzień, zostały mi wieczory do środy u księżnej Survilliers, która dla mnie jest nadzwyczaj grzeczną i ujmującą. Zapewne, droga moja, czytając Memoiry[1]), wiesz, kto ona jest i dlaczego mi jej grzeczność miła. Co środy znajduję tam koło dobrze dobrane, starające się dowcipem naśladować paryskie zgromadzenia: jedni rysują szkice, drudzy gadają o literaturze i o sztukach pięknych. Muzyka tylko tam nie wchodzi; dobrze, bo gdzie muzyka się wciśnie, zwłaszcza we Włoszech, to zaraz bierze górę i staje się panem zgromadzenia i zamyka usta i głowy zasklepia. U Włochów pierwsza cantatrice[2]), c'est un grand homme[3]). Innej wielkości nie znają na ziemi, tylko wielkość gardła.

Tytuł mój wojażera egipskiego i pielgrzyma Ziemi świętej bardzo mi teraz pomaga w towarzystwie: mogę czasem poprawiać Lamartina, czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa, czasem robić

---

[1]) Czyt. memłary — pamiętniki.
[2]) Czyt. kantatricze — śpiewaczka.
[3]) Czyt. Se tę grantom — to wielki człowiek.

się mistyczną anegdotą rodzajem G i a u r a, czasem karykaturując siebie, włażąc na kark wielbłąda, słowem, że wyciągam różnymi sposobami korzyść z odbytych wędrówek, a te w moich samotnych godzinach bawią mię jak sen piękny. Lękam się mglistych obrazów przelewać na papier, aby nie straciły dla mnie wdzięku.

Dosyć mi dobrze we Florencyi, tylko mi brak jakiej miłej osóbki, coby mię trochę zelektryzowała, ale tego mi zawsze brak było, oddawna, ochwaciłem się. Do Zenona pisałem o płaszczyk, ale go mój list już podobno nie zastał w Wiedniu; ja mu także nie uskuteczniłem dotąd jednego komisu dla zarazy, która zamknęła port odeski, ale teraz morzem wszystko mu wyprawię. Widuję tu często na obiedzie Sandersa i przypomina mi bardzo Antosię Sandersównę z twarzy: zawsze czysty, ustrojony i przystojny, żyje skromnie, mieszka daleko od środka miasta; obaczywszy go, zdawało mi się, żem go już we śnie dzieciństwa widział, i zdziwiło mię to wrażenie; potem przypisałem je portretowi, widzianemu niegdyś na ścianie. Słyszałem niedawno u pani Komarowej jednego z pierwszych improwizatorów włoskich, któremu sam zadawałem temata do improwizacyi: z jednego nie mógł się wywinąć, drugie w grobach w Sta Croce wybornie mu się udało. Smutno mi było patrzeć na poezyę zniżoną do tego stopnia, że się nią ten biedak poeta za obiad wypłacał, i cały się pocił, improwizując, wtenczas, kiedy pani domu i inne osoby poziewały, nie rozumiejąc po włosku; przypomniało mi się wtenczas, jakem ja w Damaszku o towarzyszu naszym, księdzu Ryło jezuicie, improwizował tragedyę burlesque[1]). Zenonek wam kiedyś o tem powie. Dziwnie byłem wtenczas skłonny do improwizacyi, bo zazwyczaj głodny od obiadu klasztornego wstawałem. Teraz, Bogu dzięki, co dnia

[1]) Czyt. biurlesk — zabawną.

władze imaginacyjne przygaszam i przytłumiam tęgim bifstekiem i wcale jestem niepoetycznym.

Gawędzę o niczem, bo o niczem ciekawem, droga moja, napisać ci nie mogę, chyba o tem, że niedawno, na przypomnienie przeszłego karnawału, zaproszony byłem do domu Potockich na pączki przez kucharza polskiego robione; że był tu teatr amatorski, na którym osoby z najwyższego towarzystwa popisały się; że brzydki i zimny dotychczas luty, że mi tęskno i smutno. Bo cóż ja będę robił dalej? zawsze i wiecznie nic nie robiąc? Życie moje jest ciągle trwającą niedzielą; nie mam nikogo, coby mię ożywił i podniósł trochę.

Żal mi, że nie mam tu Zygmunta Krasińskiego, którego towarzystwo w Rzymie miało dla mnie, umysłowie mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki. Mój Zeidler ciągle teraz gitarą zajęty, okropnie rzępoli; dobry zresztą gospodarz i bardzo mi sprzyjający. Fortunata zawsze wspominamy, gwarząc wieczorem przy kominku.

Adieu, droga! Przyszedł do mnie znajomy Teofilów w Neapolu, który się chce koniecznie do nich przypisać; zostawiam mu więc miejsce i całuję ciebie serdecznie z całej duszy mojej i polecam się jak memu opiekuńczemu aniołowi na ziemi.

Twój *Juliusz.*

Filów kochanych ściskam, niech im skowronki wiosenne śpiewają nadzieje.

62.

Florencya, dnia 2 kwietnia 1838.

Najukochańsza moja! Dwoma twojemi listkami rozwidniłaś mi ten miesiąc tak, że uczynił się prawie jasny jak te, które przepędziłem na Wschodzie. Dzięki ci, droga moja; korzystałbym natychmiast z wolnych skrzydełek, aby przelecieć kawałek błękitnego morza,

dotknąć piórami szczytu Alp śnieżystych, i powędrować jeszcze dalej, gdyby mię nie zatrzymywały tu jeszcze niedokończone moje prace; przyrzekłem bowiem sobie, że z próżną teką nie pojadę do wielkiego miasta piszących waryatów. Doznaję prawie wyrzutów sumienia, żem dotąd nic ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie pisał; ale jak mówi dawna piosneczka: „Serce nie sługa, nie zna, co to pany“ itd., tak ja o mojej imaginacyi powiedzieć mogę; zrobiłem postrzeżenie, że dla nas, ludzi z pod zimnej gwiazdy Niedźwiedzia, Włochy są anti-imaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki pierwszy, bawiący tu dawniej, przez lat kilka nic nie napisał, i dopiero przybywszy między błędne żórawie, zaczął śpiewać i rymy lać obficie; z tego wnoszę, że imaginacyi potrzebne jest ojczyste a przynajmniej zbliżające się do ojczystego powietrza, potrzebna jest także atmosfera napełniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych, potrzeba nareszcie trochę poklasków, trochę cienia drzew niepospolitych i smutnych, jak są laury, a w niedostatku tych sosny i jodły litewskie; tego wszystkiego braknie tu, więc dobranoc marzeniom.

Ciekawa jesteś, droga moja, nieco detalów o księżnej Survilliers; ta, o której pisałem, jest córką Józefa, a wdową syna Ludwika: mała osóbka, bardzo mała, z twarzą dosyć przyjemną, bardzo bogata, bardzo wielka amatorka sztuk pięknych, dosyć dowcipna, ale czasem nieśmiała w rozmowie, przynajmniej ze mną. Jest to jedyny dom florencki, gdzie bywam wciągnięty, bowiem jestem i dotąd wciągany natarczywie i uprzejmie: ilekroć wychodzę, powtarza mi kilkakrotnie: kiedyż się zobaczymy? Przez inne damy przypominać mi każe kilka razy na tydzień swój wieczór środowy, wymawia mi, ilekroć nie przyjdę, słowem, że traktuje mię z wielką dystynkcyą, i zdaje się, że mię lubi. Cieszyła się bardzo ostatni raz, kiedy do niej do loży przyszedłem i zatrzymała mię przez cały akt „Normy“, z czego

nie bardzo był kontent Herman Potocki, kochający się w niej bez nadziei, a mnie bawiły jego oczki tatarskie, świecące w głębi ciemnej loży, jak ogniki w nieruchomej i bladej twarzy. Przy niej znalazłem moją dawną uszczypliwość w rozmowie i dziwi mię to, bom sądził, żem się jej już dawno pozbył na zawsze, przez pięć bowiem lat i więcej poważność jakaś zastąpiła była jej miejsce. Biada temu, którego w towarzystwie osądzą za przyjemnego człowieka: musi potem wszystkie zakamarki rozumu otwierać i wypuszczać z nich na świat władze, które trzymał za kluczem jak waryaty, aby nie chodziły po mieście. Niech cię ta uwaga przekona, droga moja, że umiem rozróżnić złe od dobrego i że tylko w ostatniej potrzebie używam moich szkodzących władz.

Powiem ci, droga, że na wieczorze u Potockich, gdzie się znajdowała księżna, miałem z nią długą rozmowę, radząc jej, aby przemieniła trochę postać swoich wieczorów, i zamiast tłumu napełniającego salon, żeby zasiadła na kanapie, gościom w koło usiąść kazała i wzięła berło rozmowy, kierując ją zgrabnie i rządząc nią jak Eol wiatrami. Spytała mię, czy się zgodzę być mistrzem ceremonii? odpowiedziałem jej coś nieznaczącego i znów dalej z maleńkiemi pochlebstwami wykazywałem jej różne dobre skutki tak urządzonego towarzystwa, a nakoniec powiedziałem jej, że znałem osoby dwie na świecie, które doskonale prezydować rozmowie umiały; wtenczas z wielką natarczywością księżna wypytywała mię o nie, musiałem jej nareszcie powiedzieć, że ty, droga, jesteś jedną z nich. Bywam u niej czasem z rana; wtenczas zastaję ją rysującą pejzaże i na rozmowie z nią przepędzam miłą godzinę. Pokój jej pełny jest medalionów, portretów, biustów familijnych, ze 20 przynajmniej bogatych sztambuchów pokrywa stoliki. Jakiś zapach dawnej wielkości napełnia buduar kobiecy.

Otóż to jest wszystko o niej i o mnie. Niepodobna

ci opisywać wszystkich rozmów o niebieskich migdałach; wstydzę się opisywać szarlataneryi, której używam czasem, abym jej nieznacznie pokazał dar twój, to jest moje pańsko-eleganckie wychowanie: czasem szkic ruiny w Egipcie pokazany zgrabnie przekonywa ją fałszywie, że gdybym chciał, to bym był malarzem. Raz na wieczorze u Potockich, kiedy była księżna w drugiej sali przy kolacyi, doszła ją jakaś fantazya Szopena, grana z melancholią na fortepianie i zgrabnie ucięta w tem miejscu, gdzie trudniejszy pasaż odkryłby z pod skóry wołowej moje oślątka uszy..., ale spostrzegam się, że ci tu czynię prawdziwą spowiedź i może nieznany ci jeszcze rys mojego charakteru odkrywam, to jest: que je pose quelquefois devant le monde[1]), jak gdyby do portretu, tj.: en trois quarts[2]). Żadna pasya nie odkrywa mojej draperyi, żaden wicher nie rozwiewa mi włosów, żadna iskra nie błyszczy mimowolnie w źrenicy, aż mi wstyd, że takim jestem, lecz to nie moja wina. Ale już dosyć o tem.

Dziękuję Filom za ich listy. Z Fila wiejskich opisów jakaś dziwna poezya Kochanowskiego wytryska i wprawia mię w dumanie: już sobie ułożyłem w imaginacyi obraz ich domku, już widzę grobelkę, staw, pasiekę; chciałbym tylko, żeby słoneczne punkta topograficzne opisał, dotąd bowiem nie mogę mieć dokładnego wyobrażenia miejsca, dopóki nie wiem, przez które okno słońce zaziera do jakiego pokoju, gdzie tenże, czy nad łanem, czy nad lasem?

Wynalazł teraz jeden astronom w Anglii kalendarz, przepowiadający pogodę i deszcz na cały rok: umieszczono jego przepowiednie na 15 dni marcowych naprzód w gazetach i sprawdziło się do joty. Komisya uczonych ludzi w Paryżu zajmuje się roztrząśnieniem

---

[1]) Czyt. Ke że poz kelkfia dewan le mąd — że pozuję czasem przed światem.

[2]) Czyt. An trła kar — w trzech czwartych, ułożenie, że większa część twarzy obróconą ku widzowi.

tego wynalazku; jeżeli okaże się proroctwo prawdziwe, gospodarze wiejscy, jak Teofil, szczęśliwi będą, a ja postaram się, aby ten kalendarzyk jak najprędzej w Pereniatynie błękitną okładką z poza lustra wyglądał pod wiankiem przeszłorocznym z kłosów i bławatków.

Nie skarżcie się na waszą zimę, bo i tu oto już kwiecień, a ja jeszcze na kominku muszę ogień zapalać wieczorem, abym nie marzł w ręce, grając na fortepianie lub pisząc. Co się tyczy fortepianu, przez tę zimę znaczne poczyniłem postępy w czytaniu nut, ale Foka przeklinam, że mię gamy, prostej gamy nie nauczył. Biegłości mi płynnej braknie; dlatego ludzie, którzy się na czuciu nie znają, a tylko sypanie grochu w grze lubią, nic nie uwielbią w moim melodyjnym talencie. Czy zna Sylka koncert z krakowiaka Szopena, prześliczny, ale trudny jak dyabeł. Mówią, że się Szopen z Maryą Wodzińską, a niegdyś moją Maryą ożenił; może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Szopen do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnemu temu, którego się pierwszą miłością kochało, stałość i niestałość harmonizują się z sobą w takiem zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch ale z trzech dusz robi się anioł jeden po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy, wolę się do innej jakiej światłej istoty w niebie przylepić; dla niej dosyć Orfeusza. Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów rąbki. Miło mi, że Sylka nie zapomniała mojego walca; dopiero po odebraniu twego listu, droga, gdzie piszesz, jakeś uścisnęła Chudobę, przypomniałem sobie o tym walcu i wnet też zagrałem go na fortepianie, aby grać to, co wy gracie, aby słyszeć to, co wy słyszycie. Takim sposobem znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami, i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezyi: „Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku i nosi ciągle wieści.“ Piszcie jeszcze tutaj do

mnie, drodzy moi, bo nie spodziewam się, abym przed dwoma miesiącami stąd wyruszył. Strach mi zmieniać miejsce, lenistwo pakowania wstrzymuje także.

Sylka, protektorka Eglantyny, wypchnęłaby mię gwałtem i zapakowała na statek parowy, ale ja się ociągam z tą chwilą, w której będę musiał, jak mówi Konrad Wallenrod, „przepraszać za wszystko, co ucierpiała dla niego.“ Listy między nami rzadsze są teraz: ona już utraciła nadzieję powrotu mego, a ja nie chcę jej ożywiać na nowo. Może to egoizm, ale nie chce mi się w domku Paquis znowu zastrzedz i głowę włożyć pod skrzydła jak łabędź senny; przelecę więc tylko przez ciemną aleję kasztanów i platanowych drzew i pójdę dalej. Mogiłka na Père la Chaise, w której leży mój młody przyjaciel suchotnik Zienkowicz, przyjmie mnie zapewne z cichą radością, i mnie też najmilej, bo najsmutniej będzie usiąść na niej i podumać o pięcioletnich wędrówkach. Zbierze się więc lat i wędrówek i łez i wspomnień, aż mi Bóg usiąść pozwoli pod tą śliweczką, która na grobie dobrej mojej babki teraz zapewne stoi, białymi kwiatami okryta.

Bądź zdrowa, droga moja, wpadłem na jakiś ton smutny mojego serca i uważam to, że to się zawsze dzieje przy końcu listów moich; ale łatwo mi znaleźć rozwiązanie tej psychologicznej tajemnicy: kończąc list, smutny jestem znowu, jak gdybym się po długiej rozmowie z przyjacielem rozstawał.

Adieu droga! Bądźcie zdrowi, Filostwo moi kochani. Wszystkim wam niech słońce wiosenne zaświeci i pszczoły wasze niech wam zabrzęczą wesoło. Adieu!

Wasz *J.*

63.

Florencya, dnia 19 maja 1838.

Najdroższa moja! Oto jeszcze moje marzenia nie ubrane w ciało trzymają mnie tutaj, i nie wiem praw-

dziwie, kiedy stąd wyruszę, dałem bowiem sobie słowo, że do moich kolegów z niczem nie powrócę. Tymczasem Florencya smutna dla mnie jak grobowiec: przywykłem widzieć zawsze wiosenne słońce, rozwijające się drzewa; w obudzeniu się tem nieraz melancholicznie mię ogarniały tęsknoty. Zdawało mi się, że jestem z rodzaju węży, zmieniających skórę i szaty. Tego roku ciągłe deszcze i niebo żelaznego koloru; rozwinęły się drzewa bez żadnej w sobie radości dlatego tylko, że przyszła na nie życia godzina; nigdy prawie słońce nie uśmiechnęło się. Patrząc na białe i różowe jabłonie, z belwederu mego widzę dolinę Arna przez wstęgi, przez warkocze deszczowe; od dalekiego morza płyną i wraz nowe nadpływają chmury; morze te (!), co takie dla mnie było przyjaźnie błękitne, co okręt mój kołysało jak sennego łabędzia, teraz przysyłają mi tylko smutki i chcą, abym ze splinu umarł. Nie dziw się, droga, że tak wyrzekam: oddawna moje przyjemności przywykłem czerpać z błękitnego tylko nieba i od dwóch miesięcy nie widzę gwiazd, chociaż teraz Orion, konstelacya podobna do lutni, którą ja ukochałem, widząc ją w pustyni nad moim namiotem, musi być na samym szczycie nieba, i wiem, że się chce ze mną zobaczyć; po deszczu więc, z parasolem chodzę po smutnych ulicach jak mara piekielna; często nuda napędza mię do pracy, ale wiecie, że między dziewięciu muzami nie położono nudy. Bogini tej nie widziałem w Panteonie, musiała się urodzić z popiołów bogów greckich.

Co jeszcze pomnożyło moją melancholię, zrozumiesz, droga, jak przeczytałem wyjątek następujący z listu Eglantyny: „Nous avons quitté le Paquis pour n'y jamais revenir; il y a huit jours que nous habitons la ville, il y en a quinze que j'ai pris pour jamais congé de cette maison et de ce jardin, dans lesquels pour quelques roses j'ai cuilli des boisseaux d'épines. J'ai habité notre chambre jusqu'au dernier moment, et j'ai

fait bruler notre pavillon pour que personne autre ne s'y mette à l'ombre; j'ai pris le chevrefeuille planté par vous et il est tout en feuilles maintenant; il orne avec d' autres vases une jolie terrasse sur le haut de la maison que nous habitons; de cette terrasse on découvre un panorama magnifique... etc.[1])

Droga moja! Nie wiem, czy ty pojmiesz, jaka mię od tych kilku słów napada tęsknota; więc już wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdzie sobie przez 3 lata marzyłem, zamiast odpocząć w pokoiku, gdziem przywykł był leżeć spokojnie, zamiast tej melancholii, jakąby mię przeniknął widok miejsc, gdziem latał po murawach z młodziutką Maryą, co mię kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczynki kochają: zamiast tego wszystkiego, znajdę dom w mieście czarnem i posępnem. Ogród mój dawny przez sztachety żelaznej bramy zobaczę napełniony innemi dziećmi może, co będą jak ja dawniej odsyłały sobie wolanta po błękitnem powietrzu. To smutnie. O, nie wrócę do Genewy, a nawet na krótko wrócić smutno mi będzie: ja chciałbym, latając, ażeby się wszystkie miejsca zasuszały, kamieniały w takiej postaci, jakie je zostawiłem i ażebym kiedyś drugą podróż mógł rozpocząć pełną pamiątek; lecz niestety, wszystko się odmienia.

Jak król egipski każę sobie historyę moich pamiątek niezrozumiałym językiem na obelisku napisać i na grobie postawić, abym, obudziwszy się po roku filozoficznym (bagatela 1400 lat, inni mówią, że jeszcze zero

[1]) Opuściliśmy Paquis na zawsze; od tygodnia mieszkamy w mieście. Przed dwoma tygodniami na zawsze pożegnałam się z domem i z ogrodem, w którym z kilku różami urwałam snopy kolców. Mieszkałam w naszym pokoju aż do ostatniej chwili i spaliłam naszą altanę, aby nikt inny nie siadł tam w cieniu. Wzięłam przewierścień (powój) zasadzony przez pana, cały zielony teraz; zdobi wraz z innemi wazonami ładny teras na górze domu, w którym mieszkamy; z tego terasu widać wspaniały krajobraz itd.

dodać potrzeba), mógł wszystkie moje wspomnienia na gruncie odczytać, i dopiero nauczywszy się ich na pamięć, nową wędrówkę życia rozpocznę.

Hieroglifek pierwszy, ciebie mi przypomni, droga moja, i może mi łzy czytać dalej nie pozwolą; przypomnienie o tobie czczość mi rzuci na wszystkie inne pamiątki, jak teraz często mi pokazuje błahość wszelkich innych smutków i tęsknot. — Przyjechał tu wiolenczelista Aleksander Potocki, który często w Rzymie do kwartetów Wańskiego używał; jak zawsze oryginał. Dwa wieczory przepędziłem z nim w jego loży w teatrze, ma bowiem teraz lożę i wcale już nie tak skąpo żyje jak pierwej, zawsze rysuje portrety; zabawi to Filów; był w Rzymie i tam go zaraz jego olbrzymie Nimfy otoczyły. Wański nasz w Anglii.

Mam do Fila prośbę: oto, aby napisał do Zenonka, towarzysza mojej podróży, jeżeli wie, gdzie się teraz znajduje, aby mu napisał, że grobowy jego kamień, dwa kominki marmurowe, obrazy i paka, czekają dotąd na okazyę do Odessy, albowiem od 5 do 7 septembra żaden dotąd okręt nie odpłynął, a to dla zarazy pierwej, a teraz nie wiem dlaczego. Zaręczcie Zenonka że to spóźnienie nie z mojej winy pochodzi; niech wreszcie dowie się w Odessie, czy prawdę mówię i niech wie, że na tem bardzo cierpię, że mu tak rychło, jakbym chciał usłużyć nie mogę. Mieszka on près de[1]) Tulczyn à Sokołówka.

Chciałbym ci coś, teraz droga, z szczegółów życia mego napisać, ale tak wszystko pusto koło mnie, że nie wiem, czy wszystko co mi się przytrafiło od miesiąca, na zapełnienie dwóch frazesów wystarczy. Oto święcone jedliśmy u Hermanów Potockich, na którem mała nas była liczba i mało jakoś wspomnień obudziło w nas to święcone: tak łatwo jest zimno rozrzucić na serca ludzkie, tak łatwo jednej osobie

[1]) Czyt. Pre-de — blizko.

wszystkie inne poziewaniem zarazić. Żadnej więcej fety, żadnego wieczoru, para obiadów zaproszonych i już wszystko, i cała zewnętrzna scena, co mię otacza, na tem się kończy. O życiu mojem w zewnętrzem także niewiele więcej mógłbym napisać: poczernionych atramentem kilka kartek, romans oczyma w kościele, ciągłe szukanie ideału, nad którym już wypatrzyłem oczy i zdarłem wiele podeszew, i to wszystko; kilka smutnych wiadomości: że autor, piszący niegdyś o stu sławnych ludziach, umarł, ów to, co niegdyś powróciwszy z wojażu do Wilna, zadziwił wszystkich krojem fraka i formą spiczastego kapelusza, a dziś pod kamieniem cmentarza Père la Chaise, zmęczony pracą robienia wielkich ludzi z niczego, spoczywa; wiadomość smutna, że Adam chcąc zarobić na kawałek chleba, dramę po francusku napisał i wyznał sam, że ją pisał jak szewc, co szyje buty, aby wyżywić żonę i dziecko, że pisał bez zapału, a teraz przechodzi przez męki tych autorów, którzy z nieznanem imieniem chcą reprezentacyę dla pierwszego dzieła na scenie otrzymać.

Czy znasz, mamo, list George Sand o tej dramie czy dramacie? Dosyć zimny, wszakże dosyć dla Adama przychylnie napisany.

Czy też ty, droga, znasz panią Sand i jej romanse lubisz? Ona dla mnie jest francuzkim poetą i podług mnie daleko przewyższyła panią Stael. Spotkałem ją raz ubraną po męsku na statku parowym, na genewskiem jeziorze, ale tak serce moje miałem wtenczas innemi rzeczami zajęte, żem się do niej nie zbliżył. A kto wie, czy w tej chwili słowa jej nie mogłyby nadać innego kierunku moim uczuciom: serce moje było wtenczas jak glina miękka i zdatna do przyjęcia innego kształtu. Teraz już późno na wszystkie metamorfozy. Mam jeszcze jednak jeden sen blady, który mi jest nadzieją i bańką z mydła, na którą dmucham; jeszcze nie pękła.

Cokolwiek bądź, muszę się wyrwać z tej dżdżystej Florencyi, chociaż tu raj prawdziwy dla ludzi ze szczupłym dochodem, ale raj materyalny, prowadzący za sobą dziwne uśpienie władz umysłowych. To dziwnie, że ja, co ze łzami prawie wyjeżdżałem z Libańskiego klasztoru, gdziem tylko dni 40 jak na pokucie przesiedział, a takiej, wyjeżdżając, doznałem tęsknoty, jak gdyby miło mi było życie z tymi dobrymi mnichami przepędzić, czuję, że z Florencyi bez żadnego żalu wyjadę. Pierwszy raz mieszkanie moje nie przywiązało mię do siebie, choć bardzo ładne i poetyczne, osoby przyjaźne mi nie utonęły mi w sercu; słowem, jest to dla mnie dziwny fenomen, ta oziębłość dla wszystkiego i dla wszystkich; czy to już starość? Lecz ja tak mało używałem serca mojego, że jeszcze młode być musi. Chciałbym się znów odhartować w jakiej nauce suchej i dającej mi co dzień nowe zagadki, jak matematyka; ten, kto doznał przesycenia idealnych marzeń, zrozumie i pojmie tę żądzę, że mi tęskno prawie za najsuchszemi godzinami życia, za moją niegdyś biórową pracą, że władza moich zachceń zwaryowała. Lecz dosyć jest tak pisać o niczem, nie przeto, aby mi to gawędzenie z tobą niemiłem było, lecz że tak pisząc, boję się, abym nie zasłużył na to smutne: a dobrze ci tak, a na co? Kończ sama, droga moja, tę wymówkę, na co poleciałem jak pliszka nad szerokie morza, kiedy dosyć szerokie były dla mnie stawy trzciną obrosłe, i na co się zakochałem w Wenerze medycejskiej, na co się zapatrzyłem na posąg Danta stojący w Santa Croce, dlaczego pokochałem orły gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich, na co strąciłem owoce Hesperyd, na pomarańczach wschodnich rosnące, kiedy mogłem tylko spokojnie iść do Żołobów albo nad Łysą górę i strząsać sobie przeźroczyste maryny w naszych rodzinnych ogrodach? Wyszedłem był na szeroki gościniec i ten mię odprowadził daleko, niewiedzącego gdzie idę, a teraz wę-

druję przy blasku słońca umarłych. Niech mi twoje błogosławieństwo towarzyszy. Życie jedno stracone jest tak małą rzeczą, że nie warto żałować, kiedy stracone na niczem.

Adieu, droga! Kochaj mię zawsze i pamiętaj o mnie z tęsknotą; chciałbym być twoją pociechą jakimkolwiek sposobem, choćbym się o nim miał od aniołów dowiedzieć. Adio.

Filów ściskam tylko, lecz oni wiedzą, ile w każdym liście do nich należy. Ktoby myślał z tych słów, że moje listy to skarby, z których wszyscy biorą, ile się komu podoba.

Twój *Juliusz.*

64.

Florencya, dnia 10 lipca 1838.

Najdroższa moja! Dawno już nie pisałem do ciebie, bo w tym miesiącu miałem różne zatrudnienia, które mię naprzód szałem a potem napełniły czczością. Zaczynając ten list, nie wiem jak pisać, bo się boję, abym otwartością moją nie zgrzeszył i nie obraził tej delikatności, jaka się w stosunkach listowych z tobą, droga moja, znajdować powinna; a na ten raz chciałbym, żebyś była młodym chłopcem szalonym, jak ja jestem w chwilach ekscentrycznych życia mego, wtenczas, kiedy wychodzę ze zwyczajnego omdlenia i lenistwa władz moich, kiedy wreszcie znajdę sobie jaką Fornarinę, piękniejszą od tej, którą malował Rafael. Kiedy, pomimo przestróg rozumu, zakocham się z całą pasyą serca mojego, owinę moje bóstwo w idealne szaty i nareszcie z rzeczy pospolitej bardzo zrobię sobie romans, kończący się łzami, a tak głębokie zostawiający wrażenie, że pamiątki jego wystarczą na zapełnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zimowych, które jeszcze trzeba będzie przebyć na ziemi.

A tu niech się Sylka nie uśmiecha, wspomniawszy

sobie na moje rzymskie bóstwo, bo dziewczynka, która mię teraz lubiła, odpowiedziała zupełnie pięknym włoskim okolicom; oczy jej szafirowe przy świetle wieczornem, czarnemi stawały się w dzień przy słońcu, jak kamienie w powieściach wschodnich; kształtna, wysmukła, z różowemi ustami, wyższa trochę od Sylki, trochę podobna do niej, nieco zimna z charakteru, coś czystego miała w charakterze, co ją zbliżało do Nimfy mitologicznej i do Najady, której mieszkaniem są strumienie.

Otóż admirujcie moją moc charakteru; zamiast ugrząść we Florencyi i przemienić się w jaki laur zaczarowany, wyjeżdżam 25 t. m. do Paryża, albowiem wysłałem tam przed mną jedno moje maleńkie dzieciątko, które już w tych dniach musiało się na świecie pokazać; nie wiem, jaki będzie los jego i bardzo ciekawy jestem, czy mu się powiedzie na świecie, zwłaszcza, że mu zamierzam wkrótce za przyjazdem nowych dać braciszków. Pierwszy z tych chłopczyków, którego już puściłem z opieki, nazywa się Anhelli: melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i niepodobny jest do niczego.

Zaczynam więc znów życie mniej opasłe, więcej dla mnie ciekawe będą dnie i godziny, interesują mnie także moi dawni znajomi, których od pięciu lat nie widziałem; jeżeli źle mi będzie między nimi, uciekam znów w góry Alpejskie lub Pirenejskie i osiadam w nich na zawsze jak pustelnik. Otóż takie są w kilku słowach moje zamiary na przyszłość. Pod koniec mego pobytu wszystkie miejsca wydają mi się milsze: okoliczności się tak składają, że opuszczając każdy kraj, żałuję go, bo mi pod koniec dobrze w nim być zaczynało; tak się dzieje i z Włochami, do trzech miesięcy wybieram się z nich w drogę i wybrać mi się nie chce. Teraz wreszcie naznaczyłem dzień wyjazdu i już sam siebie nie zawiodę: boję się nareszcie tego dziwnego zakochania się w prostej dziewczynie, które mię na-

reszcie mocy charakteru pozbawiéby mogło i do jakich szaleństw przywieść, mnie, który dotąd na uwięzi trzymam serce moje i czystsze życie wiodłem jak inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy. Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie, i że mię miał za oryginała nie do naśladowania. Natura moja jest pełna błyskawic, najwięcej dni ciemnych, lecz czasem wplatają się dni ogniste różnego koloru, które mi potem świecą w pamięci. Z tych wszystkich świateł zrobię sobie kiedyś wianek na czoło i tak zostanę.

Co ty powiesz, droga moja, na ten list dziwaczny? Nie mam żadnego przyjaciela, któremu bym o wszystkim mógł mówić otwarcie, więc niech te listy zastąpią mi wszystko; od tylu lat pisane co miesiąc, muszą być najlepszą historyą życia mojego, z nich musisz mię znać lepiej, niż ja sam siebie, bo nigdy żurnalu nie piszę i nie wiem, jak się i o ile od 7 lat odmieniłem w sposobie czucia i pod względem rozumu. Jeżeli widzisz, droga, co zdrożnego we mnie, jaką fałszywą dyrekcyę myślom nadaną, ostrzeż mię, bądź mi przewodniczką, światłością w drodze: już cię dawno nazwałem dziesiątą muzą moją.

Porzucam więc Florencyę, mój salonik z fortepianem, gdzie mi tak nudno schodziły smutne i dżdżyste dnie zimowe, mój ganek, gdzie dwie chude stoją pomarańcze, albowiem od dzieciństwa uważałem, że moje drzewa nigdy nie rosły, i kwiaty w moich wazonach nigdy nie rozkwitały, może dla tego, żem nadto patrzał na nie i mój wzrok ma palącą własność; porzucam mój belwederek, gdzie w zimie dla zimna a teraz dla gorąca siedzieć nie mogę, bo jest jak latarnia; i nie żal mi tego wszystkiego, choć wiem, że w Paryżu będę musiał w jednej maleńkiej stancyjce pomieścić siebie i manatki moje, ale za to więcej będę mieć towarzystwa, więcej zachcenia do pracy, więcej porady. Teraz nie miałem nawet jednej osoby, której

mogłem się zapytać, czy moje dziecko głupie jest, czy rozumne, albowiem sobie nie wierzę i niespokojny jestem, nie tak jednak, aby mi to sen odejmowało; o nie, daleko więcej dręczy mię ta myśl, że Florentynka moja opuszczona może w przeznaczeniu życia mojego jest ostatnią, że reszta dni moich skazana jest na suchą nudę wdowiego życia, że może nie trzeba było tak prędko zrywać ostatniej róży.

Niech się stanie jednak, jak się Bogu podoba; widziałem nawet przestrogę jego w małem zdarzeniu: oto przeszłego wtorku wziąłem jednokonny tilbury[1]) i pojechałem z moją Fornariną do Pratelino. Filo zna ten ogród angielski. Lataliśmy po murawach, kląby róż między ciemną zielonością błyszczące przypomniały mi Julinki; wchodziliśmy odpoczywać o południu do grot, w których mruczały strumienie, słowem, dobrze mi było i sądziłem się nowym Numą z Egeryą, ale koniec dnia tego wcale nie odpowiedział początkowi: wracając, koń mój w kabryolecie wziął na kieł i poniósł; widząc niebezpieczeństwo, wywróciłem umyślnie i tak szczęśliwie, że zostaliśmy na ziemi a koń z przedniemi kołami poleciał; nic złego się nie stało, ani mnie, ani mojej miłej, która na mnie upadła. Kabryolet się popsuł, koń się pokrwawił, i zapłaciłem za szkodę kilka skudów, i tak się skończyło dobrze, że bez żadnego przypadku, nawet bez siniaka. To mi potwierdziło, że nieszczęśliwy jestem do koni, ale że od nich nie zginę; widzicie więc, że można w Azyi i w Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratolino można się spotkać z królową ostatecznych przestrachów, jak Pismo święte mówi.

Niech cię tylko, droga moja, ten mały wypadek niespokojności nie nabawi, bo takie rzeczy, jeśli się źle nie kończą, uczą ostrożności. A wreszcie, to mi zapewnia podróż spokojną i szczęśliwą, albowiem jest to

[1]) Czyt. tilbere — powóz.

jakby jaki dług zapłacony nieprzewidzialnym wypadkom. Nie troszcz się o mnie, droga, bo mi wystarczy, jak się spodziewam, do końca roku z tem co mam; spodziewam się, że rachunki moje dobrze także pójdą z opiekunem moich dzieci. Co do braci Hołyńskich, towarzyszów mojej podróży, o tych nic nie wiem, gdzie są i zapewne się z niemi aż w pozaprzyszłym roku zobaczę. W mieście, do którego jadę, pełno było teraz zyskownych spekulacyi na akcyach, co mi dało myśl, że gdybym miał co grosza w ręku, mógłbym ostrożnie go sobie przysporzyć i na wszelki przypadek mieć w kieszeni. Pomyślcie o tem, ale tylko otwarcie ze mną i bez wszelkich ceremonii: chciałbym jakimkolwiek sposobem coś sobie zarobić, ale możem się nie zdał do tego i z przedsięwzięciami mojemi będzie jak z tymi kwiatami, które pomimo to, że je podlewam, nie rosną.

Śpieszę się ze skończeniem listu tego, aby się na dzisiejszą pocztę nie spóźnić i jeszcze o chwilę nie przedłużyć twojej niespokojności. Ale ty wiesz, droga, że ja się rozważnie prowadzę i wszelkich niebezpieczeństw z dziwną zręcznością unikam.

Mieliśmy tu na św. Jana piękne fety, iluminacye, fajerwerki, biegi konne itd.; wszystko to Teofilowie na swoje oczy widzieli, więc ich opisywać nie będę; wreszcie wiecie, że ja nic nigdy nie opisuję, bo przekonany jestem, że to są słowa stracone i niczego nie uczą. Mówię ci więc tylko, droga, o zatrudnieniach moich, o nadziejach, z których jedne gasną, drugie się zapalają, o burzach serca mojego, a powinienby ci mówić o wielkiem przywiązaniu mojem dla ciebie, o miłości, która się ciągle powiększa przez wdzięczność za wszystkie dobra, któremi mię obsypujesz, droga moja, czuwając nade mną. Odebrałem twój listek i potrzebny mi był, boś mi się w jakimsiś śnie strasznym była zjawiła, i wstałem zimnym potem oblany, myśląc o tobie; list twój, we dwa tygodnie po tym śnie odebrany, był mi wielką pociechą.

Adio! Śnij mi się, droga, ale w miłym śnie jakim, abym widział twarz twoją uśmiechającą się do mnie, i żeby mi to odświeżyło serce na długo.

Całuję ciebie, droga moja, i ściskam serdecznie Filów a kartkę do Sylki odkładam na później i za jej zgryźliwość kłócić się będę. Adieu! Twój kochający ciebie

Juliusz.

65.

Florencya, dnia 21 sierpnia 1838.

Cóż ty mówisz na to, najdroższa, że ja jeszcze we Florencyi? Nie jest to żaden kaprys, który tak długo mię tu trzyma, ale to, że znalazłem ludzi, którzy mnie lubią, kochają i chcieli zatrzymać, więc jeszcze na jakiś czas zostanę. Tymi ludźmi przyjaźnymi jest dom Moszczyńskich, kuzynów Zenona, i ta panienka, od której on odebrał niegdyś rekuzę, która w melancholię i w dalekie kraje zagnała. Sam stary Moszczyński, dobry i wiele gadający człowiek, do tyla mi robił grzeczności, że nareszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczaił mię do tego, że co wieczora prawie z nim na gawędzie czas tracę. Żona jego dla interesów pojechała na Ukrainę i chciała bardzo być w Kamieńcu, aby ciebie poznać i o mnie tobie mówić; czy jej droga przez nasze miasteczko wypadnie, nie wiem, ale jeszcze kilka dni temu Moszczyński mówił mi, że od ciebie, droga, spodziewa się upoważnienia, aby wziął nade mną opiekę i rząd samowładny. Jeżeli więc będziesz widzieć panią Moszczyńską, bądź, moja droga, dla niej uprzejmą i o mnie źle nie gadaj, bo mnie mają za bardzo dobre stworzenie, a nawet panna Moszczyńska, dla wszystkich dosyć zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem. Kuzynka ich, panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy

przychodzę: słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w Paryżu nie znalazłbym nikogo, coby mi sprzyjał, a tu są tacy, co mię z otwartemi rękami przyjmują? Otóż to cały sekret zostania mego we Florencyi.

Przedwczoraj miałem dzień miły dla mnie: oto przyszło mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo, o którem zaręczano mię, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę, więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się, poszedłem na śniadanie, ale mię coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać śpiesznie, ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie. Więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i stanąwszy w pośrodku, zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napełniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny. Potem poszedłem do Moszczyńskich pochwalić się i jadłem z niemi obiad wesoły, jak rzadko bywa.

Chrzciny tego nowego dziecka bez żadnego kosztu obeszły się, albowiem uprzednie moje na niego zapracowały i jeszcze mi coś zostało. Przyjemność ta, o której ci piszę, jest nieco zmniejszoną przez to, że od ciebie, droga moja, już dawno bardzo nie mam żadnej wiadomości. Pocieszam się i uspokajam tem, że w ostatnim liście piszesz mi o twojej podróży na Podole, więc zapewne, jak myślę, twoje zabawienie dłuższe w Wierzchówce pozbawia mnie listów, i zazdroszczę ci, że jesteś nad błękitnem jeziorem pod Julinkami. Zawołaj tam Julki, łabędzie niech przypłyną, niech zdziwionemi oczkami pytają ciebie o tę zgrabną dzieweczkę sma-

gławą, która je niegdyś o zachodzie słońca wywoływała z ajerów, i karmiąc je, dumała o miłości i o szczęściu. A teraz myśl się wzdryga, myśląc, czem jest, i przychodzi mi na myśl testament Abelarda, który trupa swego kazał zawieść do klasztoru kochance, pisząc do niej: patrz, coś ty kochała, kochając człowieka, a myśląc o Jasiu, przychodzą na myśl te słowa Hamleta, który porzucając kości na cmentarzu, zawołał: i kości te kosztowały matkom tyle trosk i starań na to tylko, ażeby teraz niemi grać w kręgle?...

Ale dosyć tego melancholizowania; wszyscy pójdziemy spać nie nabalsamowani. Dlaczego ja wpadam w smutek, kiedy piszę do ciebie, droga? czy z wszystkich zachceń, z wszystkich pamiątek dawnych robi się ta smutna harmonia, która mi dyktuje dziwnie brzmiące frazesy? Kiedy to piszę, w tym momencie zadzwoniono do mnie i głos pocztowego faktora krzyknął: list! Wyszedłem z bijącem sercem, myśląc, że to od ciebie, ale niestety był to tylko maleńki listek od Hermana Potockiego z Via Reggio [1]). Dotąd mi bije serce i smutno mi i zły jestem.

Przyjechała tu była na parę dni z wód morskich, gdzie teraz bawi, księżna Survilliers i zaraz u Moszczyńskich wypytywała się o mnie, a potem naznaczyła mi spotkanie się w ogrodzie Kaszyn. Zawsze grzeczna, za dobra a nawet ambarasująca mię komplimentami, na które nieraz nie wiem, co odpowiedzieć. Stary Moszczyński wielki komplimencista, wyręczał mnie jak mógł i dobrze gadał o mojej ostatniej pracy. Jakżebym chciał, żeby od ciebie co posłyszeć o tem dziecku, żebyś ty go prędzej pocałować mogła, bo wtenczas dopiero cel mój jest otrzymany, bo jak mówię wszystkim, ty jesteś dziesiątą muzą moją.

Przyjechali tu nowi znów ziomkowie, małżeństwo

[1]) Czyt. Redżjo.

młode i dosyć dobre dla nas, którzy tu nie mamy w czem wybierać, ale te wszystkie nowe przyjazdy uciążliwemi są dla mnie z tego względu, że mię zaraz nasze panie chcą mieć za Cicerona, a ja nie lubię się włóczyć ani rozprawiać o rzeczach, które każdy czuć powinien swojem czuciem i widzieć swojemi oczyma.

Projektowany mój wyjazd pozbawił mię fortepianu, który przedany został; więc teraz, nim się zdecyduję, czy tu mam pozostać na długo, nie biorę żadnego nowego piano i odpoczywam, a za to z większym potem do muzyki wezmę się entuzyazmem po pewnym wypoczynku. Skomponowałem był walec do tańcowania, który się bardzo wszystkim podoba, chociaż nie bardzo oryginalny; będę się starał, aby go przepisać i tobie, droga, posłać. Ale co dziwnego spostrzegam, oto że od czasu, jak nie mam fortepianu, imaginacya moja więcej buja i więcej tworzy: czy pewna część tej władzy musiała się wylewać przez końce palców na klawisze? Prawdziwie, jest to fenomen do obserwowania dla filozofów. Chciałbym, żeby nie tak było, bo wtenczas muzykę poświęcę, jak wiele innych rzeczy poświęciłem dla głodnego węża, co mię gryzie. Dawno już nie pisaliście mi nic o Zosi i o Ludwisi. Co się z niemi dzieje? Nadzwyczajne to jest, że jeszcze dotychczas moja dusza często bywa w tym maleńkim kąciku litewskim, gdzie one żyją, choć tyle teraz fal przebiegło przez ten piasek, na którym są pisane wszystkie miłości, przysięgi i wrażenia. Dziesięć lat temu, czułem o tej samej porze woń sosnowych lasów koło Oszmiany; jak to prędko przebiegło! Chciałbym kiedy o słońca zachodzie wjeżdżać z tobą, droga moja, przed dom ten żółty, drewniany, przed którym rośnie jarzębina, koralowemi gronami okryta, choćby tam już nikogo z dawnych nie było, bo ja wszystko sobie wskrzeszę w pamięci, a ty do zamyślonego mówić będziesz i odwracać się od łez, drżąc i żałować mnie będziesz, że mi się nie stało wszystko podług moich marzeń dziecinnych. Ale

oto już wieczór i ten, co na świecie, i ten, co się robi w czuciach i myśli człowieka; muszę więc ciebie dłużej nie smucić tą szarą barwą wieczornych pamiątek, ale pocałować ciebie i zakończyć ten list miłem jakiem pozdrowieniem, bo powracasz z podróży pamiątek do pustego domku twego wdowiego w Krzemieńcu i cóż w nim znajdziesz? Oby ten list był pierwszym z witających ciebie, obyś go tak jak zawsze przyjęła jak dziecko dziecka szalonego i marnotrawnego, któremu szaleństwa już zamknęły wrota powrotu. Między Czerczą a Bazylianami stoi dla mnie ta brama Danta, na której jest napisano: Lasciate ogni speranza[1]); ja też raz przeczytawszy napis, odwróciłem się łzami zalany i poszedłem dalej, i coraz dalej idę; więc tak oddalającemu się błogosław ty, droga, i wejdź na górę najwyższą i błogosław mu, ażeby Bóg ciebie widział bliżej i błogosławieństwo twoje, aby mi kiedyś jak anioł zły nie powiedział na wejściu do wieczności: smutna była, żeś ją opuścił.

Bądź zdrowa, droga i miła moja! Sylka i Filo niech także przyjmą moje serdeczne uściski; gadamy często o nich z Bernardem, który dotychczas zapomnieć nie może ich dobrotliwej grzeczności dla niego i z melancholią mówi, że już takich mu ziomków Bóg nie ześle. Bądźcie zdrowi, drodzy!

Wasz *Juliusz.*

66.

Paryż, dnia 24 czerwca 1839.

Zalany łzami i trzęsący się cały, nie wiem, jak zacząć list do ciebie, najdroższa moja, święta moja! czy opowiedzieć ci cierpienia duszy, których doznałem od ośmiu miesięcy, nie wiedząc, co się z tobą dzieje,

---

[1]) Laszate ogni speranca — zostawcie wszelką nadzieję.

czy zamilczeć o przeszłości i cieszyć się tylko, że nas Bóg poratował. Ośm temu miesięcy, przyjaciel mój Zygmunt, przyjechawszy z daleka, doniósł mi, że ty, droga, nowych doznałaś i niezasłużonych nieszczęść; a choć w sny nie wierzę, sen jednak dziwniejszy nad wszystko, miesiącem przed tą wiadomością, pokazał mi ciebie wypadającą z powozu, wywracającą się nad brzegiem przepaści, w głębi której płynęła przezroczysta rzeka; ja stałem na górze i widziałem ciebie usuwającą się szybko po stromym brzegu przepaści, nareszcie widziałem, jak upadłaś w wodę, jak szaty twoje nabrzmiały, jak szłaś coraz dalej i nareszcie zniknęłaś w głębinie. Sen ten... chwila ta była mi jak wieczność długa, a gdy ciebie straciłem z oczu, przebudziłem się w ciemności i usiadłszy na łóżku, płakałem. Odtąd co dnia wyglądałem czegoś złego; przyjechał nareszcie Zygmunt; na wypytywanie się moje powiedział mi, żeś ty nie bardzo spokojna i że cię jakieś spotkały kłopoty... Cóż miałem robić?... dawniej możeby mi rozpacz podyktowała jaką myśl rozpaczy względem siebie; teraz zacząłem tylko starać się, aby nie uledz złej fortunie; a ponieważ miasto i kraj, gdziem się znajdował, nie przedstawiały mi żadnego sposobu utrzymania się z pracy, wyjechałem do miasta, do mojej panny Kory, do dawnej tej dziewczynki, którą ty pamiętać musisz z kilku listów moich. Za przyjazdem tutaj napisałem do Hausnera, posyłając mu adres mój i pod tym adresem teraz mię list dochodzi. Nie wiem, dlaczego dawniej mi nie pisano i dlaczego mi, droga, wyrzucasz, żem zerwał z tobą stosunki i zapomniałem o tobie, i żyć mogłem bez ciebie?

Jak mi gorzkie było to życie, widać to było na twarzy mojej, a Boga widać było w sercu mojem. Zacząłem pracować nad cudzoziemskim językiem, aby się usposobić do jakiego zatrudnienia, a choć tysiączne przedstawiały się trudności, mam pewną nadzieję, że Bóg byłby mię nie opuścił, tak jak i ty mnie nie opu-

ściłaś; a że ty myślałaś o mnie, o tem nie wątpiłem ani chwili, więc brak wiadomości od ciebie tem bardziej strasznym był dla serca mego, bo wiedziałem, że ty cierpieć musisz. Nareszcie po miesiącach sześciu oczekiwania przynoszą mi list od panny Eglantyny: otwieram — twój charakter, ale list datowany 23 oktobra; czyś ty się, droga, pomyliła w dacie? o, gdyby nie ta data, jużby mi te parę słów były zupełną spokojnością. Miesiąc temu nareszcie przez drogę starej stolicy odebrałem pomoc i wiadomość pocieszającą; a od tego czasu już tylko prosiłem Boga, aby mnie zupełnie szczęśliwym zrobił, abym znów ujrzał kilka słów twoją ręką pisanych, i dziś nareszcie jestem szczęśliwy, bo na stoliku moim leży list twój otwarty, a ja prawie wierzyć nie mogę własnej radości, tak odwykłem od niej, tak przyzwyczaiłem moją duszę smucić się i wyglądać złego. Na wszystko cię zaklinam, droga, nie myśl ty, aby cokolwiek interesownego mieszało się do mojej miłości dla ciebie, a jeżeli tak myślisz, rzuć wszystko, przyjedź do mnie a zobaczysz, że pracą moją będę się starał utrzymać nas oboje: rozedrę serce moje, wypalę wszystko, co jest w mózgu moim, a dowiodę ci mojego czystego przywiązania. Ty może powiesz z gorzkim uśmiechem, że już zapóźno. O, nie mów tak i nie pogardzaj biednym, co z twojej łaski ma życie i spokojność... a pogardzasz mną, mówiąc mi ciągle: rób tak, jak ci do twego dobra potrzeba. Ja chcę, abyś ty nareszcie użyła kilka chwil spokojnych, abyś ty nareszcie zdobyła się na cokolwiek egoizmu. Pomyśl także, że mi ciężko na sercu, obarczonem coraz nowymi długami dla ciebie, że ja za to będę przed Bogiem odpowiadał. Niech to wszystko kieruje myślami twojemi na przyszłość.

Towarzysz mój dawnych podróży może przyjmie na siebie odebranie niektórych należytości, tych przynajmniej, które za moim kwitem wydane być mogą. O, gdyby tylko 200 dukatów na rok, żylibyśmy oboje w ja-

kiej willi otoczonej różami i pomarańczami we Florencyi; czasem posłuchałabyś śpiewów włoskich, czasem i ja bym ci sam za towarzystwo wystarczył, i takby nam upłynęły dnie niebardzo świetne ale miło i z błogosławieństwem Bożem dla obojga. Czyż i tyle skromnego szczęścia nie można uprosić u Boga? Myśl, myśl nad tem, droga moja, a choćby przyszło część tego, co mamy, stracić, ja tak życie nasze urządzę, że nam wystarczy. Wierz mi, droga, ja nie mam żadnych snów wielkości, a i ty może niebardzo chcesz złoconego szczęścia. Możeby Zenon podjął się odbierać za ciebie procenta, wtenczas wszystko się łatwo ułoży: on z tymi panami dojdzie ładu.

Przed 50 dniami pisał do Zenona przyjaciel mój od serca, pan Jules d'Avallon [1]), któregoś ty znała dzieckiem; mieszka w Paryżu przy ulicy des Pyramides [2]) nr. 6. Jeżeli są jakie listy do mnie, on mi je odsyła wiernie.

Zmęczyła mnie radość i uczucia, których od kilku godzin doznaję, i nie wiem, co ci mam dalej pisać, a chciałbym niecierpliwie, aby ten list już był na poczcie. Droga, ty pojmiesz wszystko, co się dzieje w sercu mojem. Biedni my! Panna Eglantyna dała mi dowody swojej przyjaźni w czasie mojego smutku. Nie potrzebowałem jednak pomocy innej, oprócz współczucia, bo miałem maleńki zapasik, który mi był wystarczył, i choć z trudnością, dociągnąłem aż do końca o własnych siłach. A jednak wiem, że jeszcze długo mógłbym znaleźć u przyjaciół moich potrzebny zasiłek. Więc drugi raz nie troskaj się mną, ale sercem mojem, bo te (!) jedynie może przez zły los ucierpieć i zepsuć się nawet, gorycz albowiem i łzy złym są dla niego pokarmem.

---

[1]) Czyt. Żjul d'Awalą — pseudonim Słowackiego.
[2]) Czyt. de piramid.

Bądź zdrowa, droga i ukochana mi nad wszystko, wierz mi, że na tych smutkach jakoś nie ucierpiało zdrowie moje; o, czemu ja ci się rzucić do nóg nie mogę i ich ucałować! Adieu.

Twój *Juliusz.*

67.

Dnia 6 sierpnia 1839.

Niespokojna jestem i smutna bardzo, bo nawet twoje starania, najdroższa, o zaspokojenie nadal losu twojej Zosi, i te dowody, które dałaś teraz twojej pamięci o wychowanicy twojej, napełniają mnie jakąś nadzwyczajną melancholią i lękam się, abyś ty uszczerbku jakiego w twoim bycie nie ponosiła, obdarzając tak Zosię, ty, która sama masz niewiele; do rozpaczy mnie to przywodzi i nie wiem, co począć. Spuszczam się jednak na wolę Pana Boga i na twoje przysłowie: jakoś to będzie, które się teraz mojem stało przysłowiem. List ten, droga, piszę w niepewności, czy cię mój list pierwszy doszedł. Chciałabym bowiem i poświęciłabym wszystko szczęście na ziemi, bylebyś ty o mnie, wychowanicę twoją, spokojną być mogła. Jeszcze raz nalegam i proszę, abyś starała się zdrowiu twojemu ulżyć i dopomódz wyjazdem do wód jakich, albo do cieplejszego klimatu włoskiego. Zabrałabyś wtenczas z sobą i twoją Zosię, której klimat ten takżeby służył bardzo i która się z miejsca teraz nie rusza oczekując, gdzie ty jej pośpieszyć każesz na twoje przywitanie. Biedna ja, jedyna to moja nadzieja, że ciebie jeszcze ucałować będę mogła i okazać ci moje przywiązanie i wdzięczność; jedyna, mówię, moja nadzieja, bo wszystkie inne, połączone z niespokojnością o twoje zdrowie i spokojność, zgorzkniały dla mnie i zbrzydły.

Krótko piszę, bo się boję, że ty może bazgraninę moją komu innemu pokazujesz, a ja nie chciałabym,

aby się z moich frazesów kto inny mógł śmiać i przekręcać wyrazy mojego przywiązania i wdzięczności dla ciebie. Smutno mi i bardzo smutno a jedynie listy twoje mogą mię rozweselić i olulać do snu. Nie opuszczaj więc, droga, żadnej okazyi, która ci się nastręczy, pisania do mnie, abym wiedziała, że ja zawsze w sercu twojem mieszkam, jak dawniej kochana przez ciebie, bo mię dręczy niespokojność jakaś o to, czy ty mię zawsze kochasz. Do widzenia się, oby jak najprędzej! Twoja wdzięczna i przywiązana *Zofia S.*

Pan Jules d'Avallon wyśle mój list.

68.

R. 1839. Paryż.

Moja najdroższa! Dawno już nie pisałam do ciebie, bo mi tak smutno, tak mię już dręczy ta ciągła samotność, ten brak wszelkiej nadziei, że coraz bardziej staję się leniwą do wszystkiego; czekałam więc weselszej nieco chwili, chwili, w którejby jakie słoneczko błysnęło mi choćby przez okiennic szpary, aby ciebie, droga, niebardzo swoją gawędką zasmucić, ale to trudno. Nie widząc cię tak długo, strach mię przejmuje, ilekroć piszę do ciebie, i twoje także listki wydają mi się zimniejsze; o, jak mię to gryzie, jak boli, tego ci opisać nie mogę.

Marysia, przyjaciółka moja, wzięła dla ciebie małą bagatelkę i zapewne ci ją odeśle, będąc bliżej jak ja o mil kilkadziesiąt oddalona: jest to mały pugilaresik ze słoniowej kości. Co do mnie, odebrałam do mego ogródka wszystkie tulipanów cebulki z przeszłego roku, a z tegorocznych 24 mi jeszcze brakuje. Staram się, aby się te kwiatki nie suszyły i rozrosły: ciasny mój ogródek, ale od wiatrów zasłoniony, nie bardzo dobra ziemia i nie bujnie rodzi, ale cóż robić? wreszcie może kiedyś przeniosę się bliżej stawu, gdzie jest czarnoziem.

Byłabym szczęśliwą, gdyby mi nie brakło familijnego życia: żyję bowiem jak mniszka a ty nie pojmiesz, jak to serce przez takie życie usycha, jak zamierają wszelkie uczucia, jakby sama natura mściła się, że się od jej zwyczajnych dróg oddalamy kobiety. Jednakże Bóg pomnąc, jak my słabe jesteśmy, jak to nie od nas zależy mieć dom, familię, dzieci, powinienby nas wesprzeć i pustelnię naszą jakiem słońcem objaśnić.

Mam teraz na świecie kilku przyjaciół takich, którzy mię szacują i bronią, ale ci wszyscy są ode mnie dalecy; a teraz otoczona jestem ludźmi, do których przylgnąć nie mogę: zazdrośni bowiem są, małego serca, niezdolni ani uczuć ani pojąć szlachetnych myśli, słowem, są to zatarte szelążki, zimne i spleśniałe. Najwięcej więc czasu przepędzam sama, pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego korzyść taka, że mi samej życie złocą i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych; czy życie takimi snami zajęte życiem jest, nie wiem, ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni i czasem przyjemność sprawia. Nie jestem ja podobna do lampy, która w szejnekatarynce siedzi i przez różnokolorowe szkła rzuca kilka bladych promyków? Dopóki więc jaki szczur łojem zwabiony nie gryzie tego, co świeci w mojej latarce, nie zgaszą mnie ćmy ani komary. Gdybyś ty, droga, wiedziała, jaki Bóg jest dla mnie dobry, jakie mi daje zdrowie, jaką wyrozumiałość i powiem oziębłość na wszystkie troski i nieprzyjemności urojone, to byłabyś spokojną o mnie. To, co ty mi piszesz o zazdrości twojej rodziny niepokoi mię. Cóż ta ciotka chce od ciebie? Jedna z moich przyjaciółek chciała teraz jechać do Krzysztofowiczowej, ale tyle miała przeszkód w gospodarstwie, że się wybrać nie mogła; mnie także gospodarstwo nie pozwala na teraz robić takich wojażów, ale może na rok przyszły, a zwłaszcza gdybym miała nadzieję, że się u Krzysztofowiczów zobaczę z to-

bą, możebym pojechała; nareszcie to od ciebie zależy: rządź mną i rozkazuj, bo mię to dręczy, że niczem nie mogę ci okazać miłości mojej, któram ci winna moje wychowanie i całe szczęście życia leniwego. Jak ja często teraz myślę sobie, że wziąwszy się pod ręce, idziemy gdzie na wzgórze Czerczy, albo przez pewną drożynkę, ogrodzoną płotami, na cmentarzyk, usiąść razem i opowiadać sobie nasze zdarzenia i uczucia. Kiedyś Bóg da, że to nastąpi.

Czekaj ty, droga, tej chwili, bo jeżeli znajdziesz, że mnie świat pozbawił uśmiechu, kolorów, to pewna jestem, że serce we mnie znajdziesz lepsze i mocniej kochające a w rozmowach naszych choć mniej będzie teraz marzeń i nadziei na przyszłość, ale więcej spokojności i czucia i wspomnień... Droga, droga moja, kochaj ty mnie, bo tego mi tylko trzeba, abym mogła kiedyś bez żadnego wyrzutu stanąć przed Bogiem... inaczej wszystko jest brzękiem i czczością... dla której nie warto było się rodzić i smutnieć... Adio.

Twoja *Zofia.*

69.

Paryż, listopad 1839.

Moja droga Sally, siedząc przy ogienku jesiennym, zabieram się do długiej gawędy z tobą, najukochańsza moja! Chciałbym nic nie opuścić i listkiem tym rozweselić ciebie samotną i smutną, ale nie wiem, jak to będzie, bo ja nie bardzo wesoły, a mgła jesienna skłania mię raczej do melancholizowania nad naszym losem. Zacznę więc od tego, co mi w listku twoim do cichego uśmiechu było przyczyną, to jest od rady twojej, droga, a raczej od zachęcenia, abym się żenił... a tu dziwi mię twoja przenikliwość: albowiem kilka słów moich niegdyś pisanych w przeszłorocznym liście, już ci dało do myślenia, żem się znajdował w położeniu aspiranta.

Było to, było, ale dalibóg nie z mojej winy. Opiszę ci, co się ze mną działo. Oto przyjmowany byłem dobrze w domu Moszczyńskich i przyjście moje każde sprowadzało rumieniec na lica panny niełądnej, ale dość kształtnej i uczonej i bardzo popsutej, była albowiem panią w domu i panowała nad ojcem i matką. Nie zwracałem na to uwagi, pojąć nie mogąc, aby ja, biedny chłopiec bez grosza mógł się posuwać tam, gdzie dwóch ładnych chłopców i bogatych otrzymało harbuzy; nie myślałem więc o tem i wyjeżdżać miałem, jak to wiedziałaś dobrze z moich listów. Trzema dniami przed wyjazdem wpada Zeidler do mnie z wiadomością, że przez trzecią osobę robiono mi propozycę, abym się zatrzymał i aspirował do tej panny. Zdziwiłem się i nie wierząc wcale, żeby to być mogło prawdą, postanowiłem wszakże zatrzymać się, abym kiedyś nie miał na sumieniu mojem, żem się po szczęście, w ludzkiem rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas, kiedy na drodze leżało. Tego samego dnia odwiedził mnie ojciec panny i rozmowa jego choć zgrabnie bardzo prowadzona, dała mi do zrozumienia, że zatrzymanie się moje we Florencyi miłem mu będzie. Zatrzymałem się więc a bywając często w domu mojej belli, w domu egoizmu i zimną napełnionym atmosferą złota, przechodziłem przez wszystkie niepewności kokietowanego człowieka, tak, że wreszcie udręczyło mię to, zwłaszcza, że serce moje było zupełnie zimne i wszystkie wady widziało. Może to był sen i przywidzenie z mojej strony, ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie np. słowa: popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię. Na co panna płonęła a ja nie wiedziałem co myśleć. Na nieszczęście moje wmieszali się inni ludzie do tego, a niedyskretność osoby użytej do pierwszych propozycyi była przyczyną, iż się ci ludzie wmieszali... potem wszystko oziębło, potem dowiedziawszy się o ambarasach twoich, musiałem wyjeżdżać, nie



Wnętrze Grobu świętego.

chcąc, aby sądzono, że będąc w biedzie, biedę moją chcę zataić ożenieniem się. Pożegnanie moje było zimne a cała ta awantura zostawiła mi tylko gorycz w sercu i niepewność, czy się nie urągano ze mnie. Może z mojej strony było nadto dumy, która się tej panience mogła opieszałością wydawać: gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby dlaczego tak nienatarczywie starałem się o nią. Ale to już przeszło: ona mię teraz widzi z nieba, bo już nie żyje. Choroby, z której umarła, nie rozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozuzmiałym, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał. Może być jednak, że ta, która tylu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą przez to, żem się nie oświadczył; a jednak pewny jestem, że byłaby mię odrzuciła; wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca. Przyznam ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jej śmierci dowiedział, cierpiałem. Bo choćby to było w niej chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu. Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i spuszczając oczy przede mną pyta się: dla czegoś mnie nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach. Nie wiem, co ty, droga, powiesz na to wszystko, lecz nie obwiniaj mię, jam był łudzony snem, w który uwierzyć nie mogłem; a ty nie mów o tem nikomu, bo to są rzeczy delikatne dla rodziny tej, o której piszę. Powiedz że mi, droga, czy teraz myśleć będziesz, abym się ja kiedyś ożenił? Dziwny mój los: on mię czasem psuje jak dziecko a potem szydzi ze mnie; trzeba się całkiem w świat umysłowy rzucić i w nim zostać. Do tego potrzeba mi bardzo mało d u p o s i t i f: gdybym miał 40.000 zł. w ręku, nie straciłbym kapitału i usadowiłbym się w takiem miejscu, gdzieby mi mały pro-

cent wystarczał; ale wiem, że i to jest żądanie niepodobne. Piszę ci otwarcie, albowiem samaś się przekonała, że oprócz ciebie nikt o mnieby nie myślał na ziemi; jest to rzeczą niezawodną a ja mam tu tysiączne przykłady ludzi zapomnianych nawet przez matki. Gdybym miał to, co żądam, kapitał zawarowałbym dla Stasia i nawet mu skrypt posłał, póki zaś niepewnym żyję dochodem, nie mogę się urządzić i nie mam nawet dosyć siły ograniczyć się w wydatkach, i teraz tracę więcej, niżbym powinien, albowiem zamiast kupić sobie mebelki i żyć w swoim kątku, muszę mieszkać w hotelu, gdzie wszystko drożej. Nie kupiłem zaś mebelków dla tego, że ty mi obiecałaś przyjechać, nie wiedziałem więc, czy tu będę mógł długo zabawić. Smuci mię to, że zamiast 1700 rubli odebrałem tylko 1200, a to w następujący sposób: 300 przez Staremiasto, 900 przez Hausnera, zaś 300 przez niepewną okazyę wysłane, nie doszły mię, ani resztka tych z Hausnera. Jeżeli te pieniądze zginą, szkoda. Niech cię, droga moja, nie frasuje, jeżeli nie pójdzie wszystko, jak chcesz, bo ja nareszcie nie jestem bez rąk, a kiedy trzeba będzie, to się zawezmę do pracy. Chciałbym jednak pracować tylko umysłowo, choć mi tego nic nie wynagradza, i owszem róże moje mają tylko ciernie; ale Bóg dobry i tem mi daje otuchę, że dusza moja będzie policzoną między jasnemi, bo niebyłożby to gorzko, gdybyśmy oboje z tobą, droga, weszli do kraju milczenia, zapomniani?

Jednotonne są listy moje, albowiem między mną a tobą nie może być inaczej: ja względem ciebie mam sumienie pełne łez i żalu, zwłaszcza gdy tobie winien jestem wszelką pomyślność i wszelkie dobro i wszystkie dni spokojne życia; żyję zaś z ludźmi, którzy są pełni zazdrości, głupstwa, i robią co mogą, abym ich nienawidził. Mam jednak i pomiędzy niemi pewną powagę, którą mi nadaje czystość moja wewnętrzna; wolałbym szczerą miłość, ale tej nie ma pomiędzy na-

mi, a stworzyć jej nie mogę. O! moja ty droga, w czarnym szlafroczku jakby mi było dobrze przy tobie, jakbym ja chętnie usiadł do twego obiadku i drwił wtenczas z tych, co mię nie rozumieją; wszystkoby odżyło wtenczas we mnie, znówbym zaczął płakać nad Homerem, a tybyś bajeczkom sens moralny dorabiała. Czy wiesz, że ja siedziałem sam jeden całą godzinę w grobie Agamemnona, i myślałem o moich blaszanych zbrojach, zalewając, się łzami, a świerszcze polne mówiły płaczącemu; csyt — jak gdyby nimfy przeszłości nakazujące milczenie.

Moja droga, trudno ci będzie, abyśmy się w domu państwa Lwowiczów zjechali, bo ja u nich nie bywam: żyją bardzo skąpo i w podejrzeniu mają ludzi młodych; bogaci są jednak i u nich lepiej mieć kapitały ulokowane, niż u twoich krewnych Rosienieckich. Gdyby panna Lwowicz wyjechała do Baden, tobym się z nią widział, ale to podróż dla niej daleka. Do wiosny czekać będę na jej decyzyę: jeżeli nie przyjedzie, pojadę sobie gdzie w skały nad morze, i będę siedział cicho jak mruk, potrzeba mi bowiem żyć w takiem miejscu gdziebym miał inne, niż z kolegów moich towarzystwo, bo ci zepsuci są biedą i życie z niemi bardzo niemiłe. Wystaw sobie, droga, ludzi znudniałych, którzy o niczem gadać nie chcą i nie umieją, ludzi, którzy się odłączyli zupełnie od towarzystwa jak wyklęci, i żyją między sobą, nudząc się wzajemnie. Ze wszystkich przyjemności, któreby mię jeszcze ciągnęły zostają mi najpożądańsze wiejskie: lubiłbym polować, chodzić po lasach, mieć jakie grono młodych panienek znajomych, grać im na fortepianie, uczyć po włosku, zakochać się w której; lecz to wszystko dla mnie jest jakby las zaczarowany, którego nigdzie znaleźć nie można. Nuda miejskiego życia, wyłączenie przez stan pieniężny z wszelkich towarzystw wywiera zgubny wpływ na umysł. Są dnie, których niczem zająć nie można. Człowiek się rzuca w kraj imaginacyi i żyje w nim,

ale są reakcye okropne, w których umysł nudzi sam siebie. Wtenczas ani wieczór przepędzony na graniu w wista, ani gawronienie po ludnych ulicach nie jest lekarstwem. Świeżość umysłu traci się a nabycie wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czyni umysł podobny do spiżarni, zawalonej spleśniałymi wiktuałami. Cóż robić?... Dzięki tobie, droga moja, pomimo to wszystko mam dnie miłe, t. j. dnie zakryte od wiatru i słoty, dnie ciszy umysłowej; czasem przeleci i ugryzie serce jaka myśl rozpaczy, kiedy pomyślę, że to wszystko twojem szczęściem kupione, ale to być musi tak w sercu mojem, póki się kiedyś dobrze u twoich kolan nie wypłaczę, i nie poskarżę, póki oczy twoje nie powiedzą mi, żeś mi egoizm mój wybaczyła.

Portret przyjaciela twego i wspomnienie jego ostatnie, rozdzierające na mnie zrobiło wrażenie; jestem ja sercem w tej pustyni, która cię otacza i nie śmiem nawet winszować ci imienin. O, niechaj zatrzyma się czas, niech nas tak prędko nie unosi w tym wichrze łez i żegnającemi napełnionym głosami. Nie poddawaj ty się smutkowi, ale żyj od wiosny do wiosny i tak zawsze, oczekując fiołków, które ja ci kiedyś z ukłonem Niemczyka i z powinszowaniem na różowym papierze oddam... całując w obie łzy płynące z obu twoich oczu szarych i modrych, droga i ukochana mi na zawsze. Twój *Juliusz.*

Henryczek dawno nie odbiera wiadomości i martwi się, że nic nie pisał jeszcze do mnie. Chciałbym mieć listę tych, którzy mi są winni, albowiem teraz jestem jak w rogu...

70.

Dnia 1 lutego 1840.

Najdroższa moja! Ty może już obwiniasz twoją Zosię, że ci tak długo nie dała o sobie wiadomości, ale

ja nie wiem, czy listy moje ze wsi pisane nie nudzą ciebie i czy warte są tych kilku złotych, które kosztują. Spodziewałam się, że ty mi także co o sobie napiszesz; wiesz bowiem, jak o twoje zdrowie jestem niespokojną i oczekując listu, nie pisałam, choć mi nawet od ciebie w tych dniach oddano resztę kwiatowych cebulek i nasion, których już część wprzódy zasadziłam w ogródku. Wszystkie więc teraz mam gatunki tulipanów z przeszłorocznej siejby i bardzo jestem kontenta. Gdyby to tak wszystko szło dobrze, jak kwiaty nasze; gdyby i nadal słońca mieć trochę, wazonów, ogródek, zgodziłabym się nareszcie być starą panną. Zdrowie mię twoje trochę niepokoi i nie wiem nic, czy twój projekt jechania do wód uskutecznisz; wtenczas i jabym wyruszyła dryndulą, aby się widzieć z tobą, tylko żądałabym wiedzieć o twoim wyjeździe wcześniej, aby na wiosnę gospodarstwo moje urządzić: nam bowiem pannom nie tak łatwo wędrować, zaraz ludzie źle mówią i reputacyę psują i gotowi pomyśleć, że jadę szukać męża, a ja tych plotek nie lubię i lękam się.

Zawsze siedzę na jednem miejscu, ani mię karnawał nie zwabi do miasteczka. Smutna jestem, ale temu los winien, nie ludzie; jestem jednak mniej smutną teraz niż dawniej i rozsądek bierze górę nad marzeniami, a byle tylko na mnie nowe nie uderzyło nieszczęście, będę wdzięczną Bogu za mój los, zsumowawszy wszystko złe i dobre. O! gdyby jeszcze z tobą się widzieć, droga moja, z tobą, jedyną moją przyjaciółką, którejbym wszystko mogła opowiedzieć i wypłakać i odetchnąć uspokojona przez ciebie, bo mi się zdaje, że i twoja dla mnie przyjaźń ostygnąć może, że wreszcie i ty mię mniej kochać możesz. Ale to jest bluźnierstwo, nieprawdaż?

Ja ci przysięgam, moja droga! iż w każdej chwili życia i w każdym postępku oczy moje obracają się za tobą jak słonecznik; chciałabym wiedzieć, co ty myślisz o każdej mojej myśli, a zrobiwszy co mniej do-

brego, drżę cała, jak gdybym słyszała, że ty mię, Sally, potępiasz. Może kiedy jeszcze Bóg mi pozwoli być przy tobie, a wtenczas niech mię ten sam Bóg ukarze, jeżeli ciebie rozważnie czemkolwiek zasmucę, jeżeli ci na kolanach posługiwać nie będę! Ciebie prawdziwie mogę nazwać matką moją, bo ta, której służę, ma prawo do życia mego, ale nie do mego serca; poświęciłam wiele szczęścia dla niej, czoło moje zmarszczyłam myślami, myśląc jak ją ślepą wyżywić i ubrać, jak jej łóżko kwiatami posypywać. Wypełniam moje przy niej obowiązki, jako należy się córce, ale już to mnie udręczyło; tobie nie służyłam tak a ty mnie kochasz. Bądź więc pozdrowiona co dzień przez aniołów niebieskich i niech ci Bóg da trochę tego szczęścia, które trochę już może w pole szaty swojej trzymał, aby je na moją biedną głowę posypał.

To są życzenia twojej Zosi, choć po Nowym Roku złożone.

Odpisz mi, droga! bo niespokojna o twoje zdrowie, nie mam chwili jednej miłej i tylko mam sny smutne.

Zdrową jestem jak ryba. O Filach myślę często i kocham ich bardzo.

Twoja najprzywiązańsza sługa *Zofia.*

71.

Paryż, w kwietniu 1840.

Najdroższa moja Sally! Dawno już nie pisałam do ciebie, bo lękam się, że cię może listy moje nudzą, a ty może długie twojej Zosi milczenie przypisujesz obojętności albo lenistwu. Bóg widzi, że chciałabym cię uczynić uczestniczką każdej myśli mojej i podzielić się z tobą każdem uczuciem, ale teraz stało mi się to trudnem przez długie nasze niewidzenie się i przez odległość miejsca. Ja, która tobie wszystko jestem winna, uważam się zupełnie za twoją własność i go-

towa jestem na wypełnienie wszystkich twoich żądań, ale ty mi nic nie rozkazujesz. Z jednej strony dobroć i łaska twoja są nieograniczone, z drugiej strony rezygnacya twoja i zrzeczenie się jakoby wszelkich praw nad twoją wychowanką, która cię tak kocha, są mi czasami bolesne. Może to odległość miejsca winna jest temu, że mi się czasem w fałszywem świetle nasze względne położenie wydaje, ale jednak ta niemoc wywdzięczenia się tobie jest teraz największą i może jedyną boleścią mego rozsądnego już na inne zdarzenia serca. Lecz bluźnię, bo powinienbym (!) ani myśleć o tym ciężarze, ale wdzięczną być jak najwyższemu opiekuńczemu bóstwu, ani się czuć upokorzoną. Pracowałam nad sercem mojem, a jednak widzę, że jeszcze jest takiem mętnem, takiem ludzkiem i tak wzdrygającem się od obowiązków wdzięczności, nawet kiedy ją dla tak czystej, miłościwej duszy jak twoja, musi uczuć.

Jest tu pan Gaszyński, kuzyn nasz, który ci niegdyś ze Lwowa sprowadzał fortepian; poznałam go i z nim ciągle gadam o tobie. Dobry ten człowieczek, potulny i skromny, jest mi z zapałem przychylny a ciebie ubóstwia; biedak wziął się do malarstwa, ale bez funduszów prawie, jak może, klepie biedę i utrzymuje się z dawania lekcyi cudzoziemcom.

Przyszła mi teraz myśl osiedlić się trochę stalej w miasteczku, gdzie panna Kora była mi niegdyś przyjaciółką: potrzebowałem, (!) aby mię coś powstrzymywało od ciągłego włóczenia się po świecie; zrobiłam więc — co? już może myślisz, że twoja Zosia poszła za mąż? nie, bynajmniej — kupiła sobie tylko meble i mieszka niby u siebie, a nie w zajezdnym domu; wypadnie z tego nakoniec jakaś oszczędność, a na zawsze większa daleko jest wygoda i przystojność. Do kupienia gratów pomagał mi dobry Gaszyński, z nim razem włóczyliśmy się po magazynach i licytacyach.

Bawiło mię to urządzenie się i wejście we własne gospodarstwo, a Gaszyński notował wszystkie moje

dziecinne uniesienia i będzie ci je kiedyś czytał z książki. I tak, najęłam sobie mieszkańko na szóstem piętrze (niech ci to dowiedzie, że mam dobre piersi i nogi). Na szóstem piętrze więc najęłam malutkie dwie klateczki, ale czyste i porządne, z widokiem na cudzy ogród, co jest tu rzeczą prawie cudowną, bo mało jest ludzi, którzy z okien mogą widzieć drzewa, zieloność i rozległy horyzont niebieski, a dla mnie to wszystko było nieodbicie potrzebne, zwłaszcza horyzont niebieski, w który utopiwszy oczy, czuję jakiś cichy smutek i dalekie wspomnienia, tak miłe mi teraz, odkąd wszystko, co kocham, jest w przeszłości.

I ty, Sally moja! Ileż razy, gdy w ostatnią błękitną widnokręgu zapatrzę się linię, zda mi się, że w tej mgle jest coś twojej istoty i myśli o tobie rozlanych. Nie dziw się, że dziwnie piszę. Mówiłam ci, że z okien moich widzę drzewa: wiosna je teraz rozwija, słońce złoci, ptaszki w nich świergocą. Dziś dzień moich imienin, dziś ludzie z palmami chodzą po ulicach, wszystko mię rozrzewnia, aż mi łzy zalały oczy.

O! moja... Świat ten, do któregom się niegdyś z taką niecierpliwością wyrywała z twoich ramion, nie dopisał mi, nie zaspokoił. Żadne moje uczucie nie wyrosło — strudzona, chcę wrócić do ciebie i nie mogę...

Przerwałam pisanie tego listu, aby się uspokoić i skończyć weselszemi myślami. Chciałabym ci opisać moje apartamenta, abyś ty się choć myślą czasem do mnie przenieść mogła. Otóż wchodzi się do mieszkania mojego przez maleńką kuchenkę, która mi jest wcale nie potrzebną, albowiem nie mam własnego gospodarstwa. W tej kuchence stoi machinka drewniana z robinetami, napełniona wodą, i to nazywa się: une fontaine[1]), sprzęt dla tak wysoko mieszkającej koniecznie potrzebny. Potem następuje salonik prosto-

[1]) Czyt. iun fontejn.

kątny, mający sześć kroków długości a pięć szerokości. Na kominku lustro w złotych ramach, przed kominkiem kanapka szafirowem suknem pokryta i para podobnych krzeseł...; używane już, ale jeszcze dobrze wyglądają te sprzęciki; stoliczek mały mahoniowy, zielonem suknem pokryty, na którym piszę; dwa bronzowe lichtarze na kominku — i oto całe umeblowanie mojej pierwszej klatki. W sypialnym pokoju, dwa razy większym od pierwszego, mam paradne łóżko z dywanikiem wschodnim pod nogami, z kapą szafirową, komodę, mały table de nuit[1]) okrągły i parę krzeseł takich jak w pierwszym pokoju. Wszystko to koniecznie było potrzebne i nic nie ma nadto... Ale wszystko porządne i cieszy mnie, albowiem mieszkanie najwięcej wpływa na mój humor. Płacę za nie dwadzieścia pięć dukatów na rok, co na tutejsze strony jest bardzo małą kwotą. Odźwierny mi usługuje, to jest: czyści pokoje i ściele łóżko, i dostaje za to 13 złotych na miesiąc. Tak uregulowawszy się, jestem cichą i spokojną w mojej klateczce ptaszyną, pracuję, rozmyślam; a Gaszyński teraz namówił mię, żem się wzięła do malarstwa.

Nie uwierzysz, Sally droga, jak mi papier naklejony, pędzel w ręku i kolory roztarte przypominały dawne dziecinne lata... ale niestety, nie ten już zapał do malowania, nie to rojenie tęczowe, które dawniej budziło mię rano do pędzla i zajmowało wszystkie myśli. Teraz rozsądek pyta mię co chwila o to, co ja sobie z pędzlem zamyślam i wyrzuca mi nawet, szydząc niby z dziecinnego czasu użycia. Tak, droga! nie ma jak dnie świeże uczuć i młodości: wszystko wtenczas wydaje się ważnem i dobrem, wszystko szczeblem do szczęścia przyszłego. Każdy dzień ma swoją radość i ndzieję i chwilę jakąś jaśniejącą między wszystkiemi chwilami, której człowiek obudzony czeka; lecz gdy ta świeżość wrażeń przeminie, wszystko mdłe

[1]) Czyt. tabl de nit — stolik nocny.

i bez smaku, a człowiek leniwieje nawet w poszukiwaniu szczęścia. Nie opustoszało jednak zupełnie moje serce; przywiązanie jego do ciebie, droga! czyni go ludzkiem, a praca umysłowa napełnia go co raz nowem ciepłem i ogniem. Obyś ty tylko, Sally, z Zosi twojej miała pociechę, a nie będzie ona Boga obwiniać o skąpe dary życia. Niech Mu będzie chwała, że mi dał zamiłowanie w tem, co nie przemija i co nie jest śmierci podległe. A ty mię, Sally moja, kochaj i ufaj mi i uśmiechaj się, myśląc o mnie. Cóż, że nie jestem szczęśliwą według ludzi, ani bogatą, ani otoczoną tłumem przyjaciół, lecz jakby zapomnianą i na ustroniu siedzącą dziewczyną; wszystko to wyjdzie mi na dobre, bo jest losem moim. Najgorszą część doli mojej ty dźwigasz, ty biedna, sama, bez pociechy żadnej i szczęścia. O, wierz mi, że nieraz jestem w sercu twojem i czuję to, co ty cierpisz samotna. Ty nie uwierzysz, jak mię teraz uczucia zbliżyły do ciebie, ani wiesz, jak cię kocham jedynie.

Kończąc ten list, chciałabym ci więcej o sobie napisać szczegółów, ale o czem pisać? odległość miejsca na wszystko rzuca jakąś zimną powłokę. Napiszę ci więc tylko, że za dni kilka będę jadła święcone i w duchu będę się z tobą jajkiem kraszanem dzieliła, oczekując tych dni festynowych. Przez wspomnienie moich peregrynacyi poszczę cały ten tydzień, przekonałam się bowiem, iż ten przepis religijny jest istotnie zdrowiu potrzebny i dopełniony być powinien, a to nie zasadzając go na umartwieniach, ale na zmianie istotnych pokarmów, która krew na wiosnę odmienia i czyści.

Nasz znajomy pan d'Avallon pisuje do mnie z ojczyzny swojej, mieszka teraz na r u e C a s t e l l a n e[1]) Nr. 11; jeżelibyś chciała, droga, od niego jakich sprawunków, to pisz do niego pod tym adresem. Zeni wrócił dawno do siebie i nie daleko wędrował. Co się też

[1]) Czyt. Kastelan.

z Filami dzieje? Będę się starała coprędzej Gaszyńskiego wyprawić stąd, aby ci był sługą i pomocą w interesach. On mię lubi i człowiekiem jest uczciwym. Bądź zdrowa, moja najdroższa. Kochaj mię, bo bez tego nie warto mi żyć na świecie. Twoja *Zofia.*

Odpisz mi, droga, bo niespokojna jestem o twoje zdrowie a lada sen trwoży na długo. Ściskam cię z całej duszy.

Niedziela Kwietna 1840 r.

72.

21 października 1840.

Najdroższa moja! Siadałam pisać do ciebie po tak długiem milczeniu, aby ci donieść, żem zdrowa i spokojna, gdy oto otwierają się drzwi i wchodzi człowiek z pakietem, w którym znajduję pamiątkę od ciebie — cudowną — ową to poduszkę włóczkową, której czekałam tak długo; jak piękna, jak cudnie kolorowa, jak pełna nawet natchnienia dla mnie, tego ci wyrazić nie potrafię. Patrzę na nią i przemyślam, czy poduszkę z niej zrobić, czy tę kanwę w złote ramy oprawić i powiesić nad łóżkiem mojem? i podobno że ten ostatni projekt uskutecznię. O jakże to miły obraz! Każde oczko było w nim przez ciebie, droga moja, dotknięte, wypatrzone, może czasami łzą skropione. On w moich pokoikach jest prawdziwą tęczą z twego miłośnego słońca i łez twoich; błyszczy i niechaj zawsze błyszczy nade mną. W pokoikach moich, gdzie dotąd same tylko potrzebne są rzeczy, on jest pierwszą fantazyą i rzeczą, do której się będę mogła przywiązać, jak do stworzenia żywego. Już teraz z tych dwojga ściskających się osób ułożyłam sobie w myśli jakiś poemat fantastyczny. Serdecznie, serdecznie całuję oczka twoje i ręce za tyle roboty, za tyle pamięci o mnie biednej i tak nad zasługi kochanej.

Przejeżdżając przez wioskę moją, pan Audley[1]) mówił mi, że widział ciebie, że widział gdy płakałaś i to mi serce rozdarło. Ale ty wiesz, że gdybym ja mogła porzucić moją kuzynkę ślepą i sparaliżowaną, już byłabym dawno z tobą, jużbym ci służyła z całą miłością biednej sieroty a twojej niegdyś wychowanki. Nieszczęśliwy ten świat, że nie pozwala nam robić, cobyśmy chcieli, ale nas wiąże i krępuje różnemi wymaganiami i obowiązkami. Oby przynajmniej twój brat nie był opuszczony w powszechnem jak słyszę ułaskawieniu, aby już był przy tobie. Co do mnie, zupełnie mi dobrze i spokojnie, bylebym o ciebie spokojną być mogła. Nie troszcz się więc, ilekroć mi starania około mojej sparaliżowanej kuzynki pisać nie pozwolą tak często, jakbym chciała. Cierpię ja na tem sama, bo mi potrzeba czuć, że mię ktoś kocha mocno i bezinteresownie. Dotąd od obcych ludzi mało takiej doznałam miłości: pochodzi to trochę i z mojej winy, a trochę i z tego względu, że staram się, aby mi ludzie nic zarzucić nie mogli, a takie postępowanie, broniąc od nieprzyjaciół, mało także przyjaciół robi, zwłaszcza między temi, którzy nie wiedzą, gdzie prawdziwa szlachetność. Spodziewam się jednak, że mi czyste moje postępowanie kiedyś szacunkiem będzie zapłacone, wtenczas kiedy będę starą i już tylko o szacunek będę dbała. Teraz żyję jak mogę, bazgrzę sobie i czas mi upływa, a tak prędko, że prawdziwie przerażam się jego szybkiem znikaniem.

Teraz ulubiona moja pora roku: jesień; patrzę na listki zwiędłe i żółte, ulatujące jak motylki złote pod memi oknami, i myślę o dawnych czasach, kiedym serce moje miała pełniejsze ognia i smutku. Teraz cisza mnie obwiała i żyję w atmosferze dosyć zimnej i rozsądnej. Cóżbym dała, aby pójść z tobą na spacer, gdzieś na wzgórze cmentarzowe i prowadzić ciebie pod rękę i mówić o wszystkiem, co się nam wydarzyło, cze-

[1]) Czyt. Odle.

gośmy nie dopięli, co było szaleństwem, co szczęściem, a co marą próżną. Ty musisz czuć, co ja czuję, to jest żal jakiś niewymówiony i tęsknotę, a nawet skargę jakąś cichą i pokorną ku Panu Bogu, że ci nie dał w miarę uczuć i serca twego; pocieszaj się, droga opiekunko moja, tem, że to nie z naszej winy wynikło — i gorzej byłoby, gdybyśmy byli wyczerpali całe czucie z dusz naszych i gdybyśmy już po nim czuli tęsknotę.

Zbliżają się twoje imieniny... życzę ci szczęścia i jakiej pociechy. — Wszystko jest w ręku Boga.

Filowie, jeżeli już ten list czytać będą, niech widzą, że ich kocham serdecznie: oni mię widzieli kiedyś i znają i wiedzą, że wszystko, co ja mówię, nie jest czczem słowem, ale prawdą i częścią serca mego; powiem im więc jeszcze, że lepszych i szlachetniejszych ludzi nie spotkałam na ziemi. Bóg im powinien być litośnym.

Żegnam was wszystkich razem i całuję serdecznie, prosząc, abym zawsze w myśli waszej była przytomną, ilekroć was smutek albo wesele zbierze razem. Ja o was często myślę, a z żalem moim łączy się jakaś dumna pociecha, że w takich sercach, jak wasze, mam miejsce i tyle miłości. Jak znajdziecie cokolwiek czasu, napiszcie mi o sobie, bo mi w wiosce mojej bardzo tęskno i bardzo samotnie, a nie wiem, czy was moje listy nie nudzą i dlatego piszę raz we trzy miesiące.

Adieu, droga Sally, kocham ciebie mocno, mocno, i powtarzam za ciebie tę, którąś mię jeszcze w dzieciństwie nauczyła modlitwę.

Twoja *Zofia*.

73.

Podhorce, dnia 16 lutego 1841.

Nigdym nie myślał, droga moja, że ty mię kochać przestałaś. Niestety tak kochać, jak ty kochasz, nikt nie umie na świecie; boli mię tylko, że ja ci mojej

miłości niczem dowieść nie mogę, dlatego w słowach moich jest czasem jakaś smutna niespokojność i rozpacz. Gdyby nie to, byłoby mi dosyć dobrze na ziemi, stałem się bowiem spokojniejszy, weselszy prawie, w wielu rzeczach mniej niecierpliwy, to jest rozsądniejszy, słowem, świat mi był nauką nie zbyt gorzką, pełną wspomnień i wrażeń. Nie darmo żyliśmy i tęskniliśmy; to przeświadczenie powinno i tobie osłodzić czasem marzenia szarych godzin. Nie mówię tego, abym cię chciał pocieszyć: wszak ja byłem przy grobie Racheli w Ramie i wiem, jakie tam było słychać po nocy płakanie nieuciszone. Lecz pomyśl, droga, gdyby nie tak a inaczej przeszło życie nasze, nie mielibyśmy tyle w przeszłości goryczy, a może mniej na przyszłość u Pana Boga nadziei. Któż wie, czyby nasze serca próżniejsze nie były. Ty wiesz, droga, jakem ja niegdyś nie lubił egzaltacyi próżnej i wielkiem nieszczęściem nieusprawiedliwionej. Lecz teraz nasze myśli smutne być mogą, a że kto nas zobaczy chodzących w ciemności, albo się patrzących na blade oczy księżyca, ten jużby szaleńcem był, gdyby się szydzić odważył. Tak więc najpiękniejszy stan duszy, to jest jej anielskość, stała się nam dozwoloną i zwyczajną, wszak nieprawdaż? A teraz bez egzaltacyi i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz pierwsze miejsce w sercu mojem; gdybym umierał, kazałbym spalić i odnieść ci cerce moje, bo jego popiół do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem. Najpiękniejszej z córek moich dam imię twoje chrzestne, i to imię długo będzie brzmiało owonione zapachem konwalii, która rośnie na Czerczy; to jedno mogę: dźwięk, głos, echo dać naszemu smutkowi.

Całuję ciebie, droga moja, niech cię smutek tego listu nie smuci, ale uspokoi i wiosnę uczyni milszą i zieleńszą. Niech przez twoje okno wchodzą kwiatów zapachy a przez drzwi twoje wychodzi na ulicę zapach święconego; niech girlanda szarych żebraków z obwa-

rzankami w ręku odchodzi od progów twoich, mój duch będzie wszędzie i z tobą na zawsze. Chrystus przyrzekł, że do skończenia świata.

Twój *J.*

Cebulki tulipanowe kwitną wszystkie, lecz ty czy masz ogródek? Może ci mróz ciągły wszystko zwarzył a ty bez bukietów na komodzie, o jeśliby tak było...

Ks. Kamila J. Kantaka

książki następujące ukazały się:

Naród, państwo, jednostka. Poznań 1907.

Obowiązki społeczne i narodowe. Poznań 1908.

Kronika Bernardynów bydgoskich. Poznań 1908.

Geschichte der Bromberger Bernhardiner. Posen 1909.

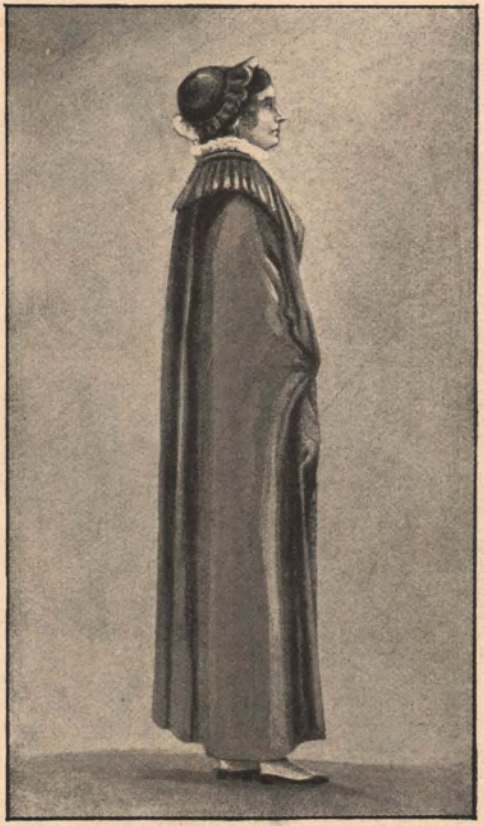
Mankietnicy i Mankietnictwo. Poznań 1910.

Przygotowują się:

Kronika Bernardynów poznańskich.

Kościół i państwo.

Juliusz Słowacki — synteza kultury polskiej.



Portret pani Bécu, matki Juliusza.

KORESPONDENCYA
JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

KORESPONDENCYA
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

TO JEST

LISTY DO MATKI I WSZYSTKIE INNE

WYDANIE ZUPEŁNE PIERWSZE

ILLUSTROWANE

W SETNĄ ROCZNICĘ NARODZIN POETY

ZEBRAŁ

Ks. KAMIL JULIUSZ KANTAK.

TOM II.

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1910.

LISTY DO MATKI
I TEOFILOSTWA JANUSZEWSKICH.
(CIĄG DALSZY.)

74.

1841.

Najdroższa moja! Napisałem ci list weselszy niż dawniej i rozjaśniłem nieco pociechą życia twojego ustronie; teraz gdyby mi trzeba było wytłómaczyć, dlaczego mi lepiej na tym świecie dziś niż wczoraj, nie umiałbym wcale tego uczynić. Są lata napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię; nic mu wtenczas w porę nie przychodzi, dobro każde na złe się obraca, usiłowanie żadne skutku nie bierze; są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień, zachceń, bólu, złe słowem i bezsenne lata. Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszem, że jedni ludzie zupełnie się przeciw nam deklarują, drudzy są naszymi przyjaciołmi; jest coś w sercu, co nas o tem ostrzega, może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym, ale dobrą ona jest i mnie teraz weselej. Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterystycznych humoru mego uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków; bo rozważywszy rzeczy, nic dla mnie bardzo szczęśliwego nie zdarzyło się. Jestem jak zawsze dość samotny, pracuję, dumam, ale ta czczość jakaś, która mi prace moje i dumania obrzydzała, zniknęła. Widzę, że mię Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwną, dumną spokojność.

Dzieci moje rosną na moją pociechę; kiedyś je obaczysz, jak znajdę człowieka, któryby im za mentora

w podróży mógł służyć, bo inaczej nie odważę się ich w podróż wyprawić; możeby ciebie nadto krzykliwą gromadą opadły. Poślę ci także z nimi siebie w dwojakiem odbiciu: jeden z bronzu, drugi przez jednego z braci metra mego angielskiego robiony w jego rodzinie, na papierze; oba przecudowne w wyrazie twarzy, a co mię cieszy, że trwałym robione sposobem. Lękałem się zawsze, aby mię na starość dzieci moje nie kazały rysować, wtenczas, kiedy mi już oczy zagasną; miałem w tem nawet, muszę ci się przyznać, pewną kokieteryę, która szczęśliwie teraz zupełnie zadowoloną została. Lecz wierz mi, iż myśl ta, że ty je widzieć będziesz, anielską mnie przenika radością; kiedy spojrzę na nie, a pomyślę o tem, że te wizerunki są dla ciebie, to prawie skaczę z radości i dziwię się, że jestem takim dziecinnym.

Zeno, mój współpodróżny, ożenił się, ale nie pisał do mnie, musiał o mnie zapomnieć. Maluję teraz rzeczy, które mię często w wasze strony myślą zawodzą i duch mój przechadza się po księżycu w Julinkach, i pływa z łabędziami po stawach. Czy pamiętasz ty pewną damę, która po Czerczy na osiołkach przed dwoma laty jeździła? Znam ją i bardzo miłe z nią przepędziłem miesiące tu i niedaleko Eglantyny, na północ. Zresztą wszystko po dawnemu, kocham ciebie, myślę o tobie najczęściej wtenczas, kiedy mi dobrze, śnię nawet czasem i to mię z tobą obznajamia; a jednak potrzeba mi koniecznie widzieć ciebie, droga, bo i dzieci moje niewytłómaczą ci tego, cobym ja sam mógł ustami na twoich rękach wycisnąć. Jednemu z moich znajomych, podobnego do mnie nazwiska, przytrafiła się dziwna choroba: sądzi, że mu grzyb w głowie rośnie; pamiętaj więc, że to nie ja, jeżeliby kto mi chciał tego grzyba w mózg wsadzić.

A teraz bądź zdrowa, spokojna i kochaj mię zawsze, zawsze.

Twój *Juliusz.*

75.

1841.

Nie mogę pojąć, droga moja, dlaczego znów tak długo zostawiasz mnie bez żadnej wiadomości w śmiertelnym niepokoju o zdrowie twoje; sądziłem, że cię cebulki i nasiona kwiatów moich doszły. Była między nimi georginia koloru bronzowego ze złotemi obwódkami, były także trzy gatunki czerwonych tulipanów, dosyć kosztowne, miałżeby jaki żydek pokwapić się o nie? albo może im zima zaszkodziła... Nie wartość tych kwiatków, choć sam je kupowałem w Holandyi, ale pociecha, jakąbyś mieć mogła i smutek z ich utraty dla ciebie wynikły, są mi bardzo bolesne; gorsze myśli odpędzam jak mogę, ale ciągle wracają i siedzą w moim pokoiku. Zresztą dobrzeby mi było, spokojnie, bo zdrów jestem, lepszego niż dawniej humoru, otwartych myśli, spokojniejszego charakteru, słowem, zmieniony tak, jak dla mojego szczęścia było potrzebne.

Przyjechała tu moja znajoma z Frankfurtu i mam u niej dom przyjazny, gdzie mi dobrze na rozmowie schodzą godziny; czasem idę do teatru, najczęściej w kasynie naszem siedzę, gdzie jadam obiady i które mi za rodzaj drugiego mieszkania służy. Nie weseliśmy wszyscy i tak niewesołością wzajemnie się trudzimy i męczymy, bo nie mamy rodzin, nie mamy związków familijnych: każdy do ścian pustych wraca, odzwyczailiśmy się płakać nad nieszczęściami drugich jak mnichy, rzadko kto zachował serce bijące i dar życia z ludźmi, ale inaczej być nie może, a inni na naszem miejscu możeby byli gorszymi. Gdy więc może się wam wydaje, że nasz los godzien zazdrości, myślcie, że w głębi jest to najsmutniejsza garstka ludzi, już bez nadziei i bez żadnych prawie wstrząśnień serdecznych. Co do mnie, zda mi się, że mię promień wracającej wiosny najbardziej cieszy, tak nie mam nic, coby mnie gwałtownie ucieszyć mogło; pomyśl więc, jakie to być

musi święto dla mnie, kiedy w tym bezbarwnym świecie i stanie duszy odbieram wiadomość od ciebie, choćby najkrótszą, choćby słów parę, znaczek tylko, żeś się papieru ręką dotknęła.

Bądź więc litośną i nie zostawiaj mnie dłużej w niepokoju, bo prawdziwie po roku życia mojego bym oddawał pocztylionowi za każdy list od ciebie. Filom napisz, że ich zawsze serdecznie kocham. Po tysiąc razy całuję nóżki twoje, droga i kochana.

Juliusz.

76.

1841.

Najdroższa moja! Dawno, dawno już nie pisałem do ciebie, ale ty, droga, wiesz, że mi to było boleśnie tak milczeć, ty wiesz, że ciebie kocham, ty wiesz, że serce moje ma coś w sobie wiecznie trwałego, że nigdy nie zapomina ani się zmienia. Teraz szczęśliwszy jestem niż kiedykolwiek w życiu: wszystko się tak składa jakby Bóg nade mną czuwał i kochał mnie, i błogosławił. Serce moje długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że jeszcze może wiośnianem oddychać powietrzem; charakter mój zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać, szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się jak człowiek szczęśliwy, żyłem. Z drugiej strony nabierałem także powagi i blasku; tych, co mi byli niechętni, przymusiłem, że otwarcie przede mną stanęli, i widząc mnie niedrżącego, z przed okna mego ustąpili ze wstydem.

Dziękuj Bogu, droga moja, bo on mnie widocznie broni i niczemu nie pozwala przemódz nade mną, a pomnąc na to, nie drżyj o mnie nigdy, nigdy. Otwarcie powiem ci, że za jedno dziecię moje wyzwany byłem na pojedynek, żem z największą zimną krwią stanął na placu, a ci, którzy się mieli stawić, nie przyszli, ale przysłali do mnie przyjaciół, a ja bez najmniejszego

ugięcia się, dumny i cały odszedłem do domu; piszę to dlatego, aby cię jaka plotka fałszywa nie doleciała i nie pozbawiła spokoju, a przysięgam ci na Boga, że piszę prawdę.

Wszystko to nie tyle mię cieszy, ile list od panny Maryanny z Gräfenberga, który mi wróży, że ciebie, moja droga, zobaczę. O, proszę cię, błagam, dbaj o zdrowie twoje i przyjedź tu do Galicyi: tobie wody potrzebne, mnie także doktorowie karlsbadzkie kąpiele radzili, miłoby mi było Drezno zobaczyć. Ty wiesz, że ze wsi mojej mało wyjeżdżałem, byłaby to więc podróż najrozkoszniejsza dla mnie, a tak teraz wierzę, że jestem w jakiej dobrej szczęścia epoce, że i ta nadzieja snem mi się nie wydaje. Tymczasem zbieram i sadzę tulipany i patrząc na te kwiaty, myślę o tobie ze łzami. O, ileżbym ja rzeczy miał do opowiadania, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli; jak często płakałabyś i uśmiechałabyś się radośnie, słuchając o moich przygodach. Wierz mi, że tak żyłem, abym o wszystkiem szczerze mógł mówić z tobą jak z Bogiem, i potrzeba mi, aby to wszystko, co we mnie dźwięk jaki wydało, odbiło się choć raz w serce twoje, abyś ty nie myślała, że daleki od oczu twoich, inną drogą, niż należy, poszedłem. Przyjedź, droga moja, a zapoznamy się na nowo i kochać się będziemy na wieki. W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienbym był o wszystkiem zapomnieć, myśl o tobie zachmurzała mi czoło i wtrącała mnie w tęsknotę. Trzeba mi koniecznie, abyś, położywszy rękę twoją na mojej schylonej głowie, rozgrzeszyła mnie z moich win dawnych, i z tej ciągle trwającej winy, że nie jestem przy tobie.

Ale ty mnie kochasz, twoja miłość wyprzedziła wszystkie ludzkie miłości i zapewne je przetrwa. Jeszcze ci raz powtarzam, bo wiem, że ci to serce rozraduje, że mi teraz na świecie lepiej i szczęśliwiej, a ja nie jestem jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy teraźniejszego dobrze nie czują i Bogu nie są zań wdzię-

czni. Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia; teraz z uśmiechem patrzę na to co minęło, i ty się, droga, uśmiechnij i kochaj mnie wesoło i z nadzieją. Twój *Juliusz.*

77.

Dnia 10 listopada 1841.

Najdroższa moja! Dziś odbieram list, który mnie zasmucił, jest w nim albowiem jakby echo żałosnej skargi, a co okropniej, zdaje się, iż udręczonej tylu cierpieniami, już i syn twój przestał ci być miły. Ilekroć chciałbym się bronić, nie mogę, bo wiem, iż jestem winny względem ciebie, ale ty pomyśl, że dziecko twoje oddało się całkiem tej zimnej, marmurowej kochance, która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków swoich dopiero po śmierci ma łzy i uśmiechy, a za życia z poświęcenia się często urąga; więc się lituj i pomyśl sobie że już jest późna godzina i już nic się nie odstanie. Wierzaj mi, że nie przez obojętność nie posłałem ci dzieci moich i teraz, kiedy wiem, że te krzykliwe ciebie nie udręczą, kazałem natychmiast im robić nowe koszulki i surduciki, aby jak najschludniej przed tobą stanęły. Jedno z nich zawiezie ci i mój portret: nie jest to taki, jakiegobym chciał, albowiem coś ma w wyrazie srogiego i oczu moich wyraz niedobrze w nim oddany; jako robota jednak na stali jest bardzo piękny. Tu wszyscy mówią, że nadzwyczaj podobny i wielką sławę robi rysownikowi; ale ja ci pod sekretem powiem, że nie wart jej, a mnie samemu żal, że takie dzieło zostanie tak trwale wyrobione. Inaczej się rzecz ma z medalionem bronzowym: patrząc na niego, będziesz na mnie patrzała i czuć to, co ja czuję, myśląc o smutnych i świetnych losach. Bronz ten już opisany był, a co najlepsza, z medalionu tego możesz kazać ile chcesz gipsowych porobić, bo to nie jest rzecz trudna

i Saunders dopomoże. To wszystko, jak sądzę, trochę ciebie pocieszy, nie mówię rozweseli, bo takie rzeczy zawsze jakiejś smutnej, dumnej melancholii rodzą uczucie. Patrząc na ten twardy czerep, zdaje mi się, że już umarłem, i dlatego medalion ten wisi w moim pokoju jak psalm Dawidowy; więc dobrze, że takie rzeczy będziesz miała, że ci one często szemrać będą o nicości szczęścia wszelkiego na ziemi. I cóżbyśmy dziś robili, siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy nie był rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno i dym w pokoju i na inne cierpkie życia trudności, a teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem. Może ci się te wszystkie wyrazy dziwnemi zdadzą, może nie będziesz wiedziała, że ja tę prostą filozofię pisząc, łez mam pełne oczy i łkaniem zadławiony oddech, ale z tego papieru wydobędzie się coś także, co ci płakać każe.

Dziwi mię to i boli trochę, że dzieci moje włóczące się po świecie nigdy się same u ciebie nie pokazały, ani ci o nich kto powiedział. Wiem ja, że ty mieszkasz odludnie, ale przecież i na zamek krzemieniecki są drożynki i ścieżki, wszak my dzieci waszych, choć nie bardzo po większej części ładne, widujemy.

A teraz, droga, nie sądź mię srogo i moim dzieciom wiele przebacz i napisz mi, którego ci twarzyczka najlepiej się podoba; wiem to ja wprawdzie bardzo dobrze, ale jednak ciekawy jestem i serdecznie ciekawy. Ostatni maleńki zły jest, ale był potrzebny, był konieczny, celu swojego dopiął i więcej jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się teraz strażą. Ten, co po nim, jeszcze nie znany, ale będzie lepszy i piękniejszy; zobaczysz w tym maleńkim mój obraz. Z jego powodu miałem zajście, o którem pisałem, nie z Adamem, ale z jednym mniejszym, lecz wszystko to od Adama poszło. Trzeba ci wiedzieć, że na jednym wieczorze oba improwizowaliśmy do siebie; co było, oba-

czysz i opowie ci to na końcu mój malutki; lecz trzeba, abyś wiedziała, że przyjaciele mego antagonisty, widząc, że z równą sławą wychodzimy, umyślili zaraz, aby mnie cokolwiek zbić i strącić, więc umyślili dwie rzeczy: 1. abym ja jemu za tę improwizacyę oddał puhar, co było niby uznaniem mego wasalstwa; 2. napisali zaraz do dalekich stąd pism wielkie kłamstwo, jakoby mi Adam powiedział, że nie jestem poetą. Z tego wszystkiego wyniknęły najgorsze dla nich skutki, a ja otrząsnąłem się zupełnie z tego ruchomego brudu, tak, że ich teraz wszyscy dyabli biorą.

Trzeba ci wiedzieć, że Adam o tem kłamstwie, dla niego uczynionem, niby nie wiedział, przynajmniej tak mi to teraz mówił, ale powinien był wiedzieć i odepchnąć, on, który w improwizacyi nietylko mi przyznał to, co mi należy, ale jeszcze chwalił się w niej, mówiąc, że mu ty sama moje małe próbki dawno, dawno pokazywałaś, a on tobie już przepowiedział, że mię wielka i świetna czeka przyszłość. Tem wziął mię za serce i tego wieczora byliśmy z nim jak dwaj bracia, ściskaliśmy się, chodziliśmy, opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi... Gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas zupełnie dobrze. Po tem tłómaczeniu obwiniaj mię, droga, żem nie był, podług twego w liście dawnym frazesu, zupełnym aniołem, ale pomyśl, że żar leży w ustach moich i że ja nie mogę nigdy ścierpieć niesprawiedliwości. Zresztą bądź pewną, że moja biografia będzie kiedyś zupełnie szlachetną, choć teraz kiedy idę po schodach ciągłych w górę, często muszę być w niektórych chwilach niepodobny do siebie. Dosyć, że przed malutkim moim uchylili czoła ci, którzy nigdy przedtem nie oddali mi pokłonu, a mnie smutno, żem zejść musiał z mojej podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, żem jest na niej.

Opisuję ci to z wielkiem znużeniem, bo te rzeczy już od kilku miesięcy ucichły w mem sercu i teraz

doskonale jestem usadowiony w mojem krześle ze słoniowej kości. Rzadko przed śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedliwych uznali, wydrzeć im to siłą, jest bardzo miło. Tymczasem, kiedy się mój malutki pokazał a ja byłem we Frankfurcie, gdzie przepędziłem całą wiosnę, jak szaleniec bardzo dręczony przez pewną osóbkę, zrąbani antagoniści moi zrobili koncylium, co ze mną robić, i przekonani, że ja w niebytności mojej dlatego wystawiłem na harc mego chłopczyka, aby strzałów uniknąć, postanowili wyzwać mię na pojedynek. Wiedziałem to bardzo dobrze i przepowiedziałem nawet, wyjeżdżając z Frankfurtu osobie, którą pomimo wszystkiego los mój cokolwiek interesował. Jakoż, skorom tylko powrócił do mego pustego domku smutny i rozpaczny, łając szalonemu sercu memu, stawił się poseł od jednego z wyśmianych w III pieśni, podając mi albo do podpisania bardzo głupio zredagowany papier, albo wyzywając na bój śmiertelny. Możesz się, droga, spodziewać, żem przyjął z najzimniejszą krwią to ostatnie. Antagonista mój wtenczas uczuł, że ma cokolwiek słabe nerwy: naprzód zwlekał a gdy ja nagliłem, przywieziono go nareszcie, bo bawił na wsi, ale przywieziono podobnego do trupa i zupełnie zdeorganizowanego, kiedy ja przez pięć dni bawiąc się jak zwykle z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potem, gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie bynajmniej tego nie spostrzegł: a jednak wyznam ci, że te pięć dni, w których pisałem do ciebie, do niej i do Zygmunta, były mi bardzo gorzkie. Nakoniec dnia naznaczonego, przespawszy się najspokojniej, wstałem o 5-tej z rana, ubrałem się, zjadłem kilka ciasteczek i napiłem się szklankę starego wina. Potem wyszedłem sam, bo mię mój sekundant miał czekać aż za miastem; ponieważ miałem dosyć czasu, szedłem więc piechotą. Przechodząc przez targ kwiatów, kupiłem sobie różę za grosz,

aby ją mieć przez cały czas w ręku, i potem w złym lub dobrym wypadku zrobić z niej prezent mojej dręczycielce. Potem wszedłem do kościoła, gdzie trafiłem na same (!) po skończonej mszy błogosławieństwo. Nie czekałem więc dłużej i wesoły poszedłem dalej. Szczerze ci mówię, iż ta rzecz miała dla mnie jakiś powab rycerski i piękność. Ale los mnie zawiódł u kresu. Albowiem, przez traf nadzwyczajny, jeden z przyjaciół sędziwych mego antagonisty, dowiedziawszy się o tem, wpadł naprzód do mnie i mnie już nie zastał. Pobiegł więc do nich i widząc, że bynajmniej nie mają ochoty, otrzymał łatwo, że od rzeczy odstąpili. Kiedy ja więc czekam ich, widzę przybywających parlamentarzy, którzy naprzód mnie chcą wypróbować i jeżeli można, do ekskuz jakich namówić. Ale wtenczas nie stało mi zimnej krwi: zacząłem łajać wszystkich, tak, że nawet sekundantowi memu dostało się. Wtenczas oświadczyli mi nareszcie temi słowy: „Z kimże ty się chcesz bić? czy z wiatrem? oni odstępują.“ Na takie słowa uśmiechnąłem się tylko; poznałem, że do końca byli lisami, i zapaliwszy cygaro, porzucałem ich wszystkich z wielką wzgardą. Ale tak się nie skończyło, bo wszyscy razem zaciągnęli mnie do jednego z parlamentarzy, gdzie mi podczas śniadania nadskakiwano jak zwierzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić. Przyprowadzono także mego antagonistę, któremu rozpłakanemu podając rękę, powiedziałem: „No, jeśli mamy się pogodzić i zapomnieć o tem, to trzeba zapomnieć na zawsze.“ Zapomnieliśmy więc i jesteśmy z sobą dość dobrze. Inni także, którzy go do tego podżegali, teraz robią pierwsze awanse; słowem, wyszedłem z tego zupełnie czysto i przekonałem ich, że zawsze jestem gotów poprzeć całą osobą to, co usta moje wyrzekną. Piszę to z takiemi szczegółami tylko dla ciebie, albowiem szlachetność każe mi o tem wszystkim milczeć i nigdy nie wspominać, chybaby z ich strony jakie kłamstwo wywołało otwartość moją.



Juliusz Słowacki w wieku dziecięcym
jako amor.

Teraz pozostawałoby mi opisać ci wypadki, dotyczące się serca mego ale na ten raz zamilczeć muszę, bo prawdziwie nie wiem, o czem pisać i jak pisać. Wszystko było snem smutnym, dość podobnym do wszystkich snów ludzkich. Ale dobre to, wyrwało mię z odrętwienia. Kiedyś, droga moja, i o tem ci napiszę, ale tylko dla ciebie. Chciałbym, ażebyś droga, chowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszczerszy ślad życia mego. Dziennika nigdy nie pisałem a może jeszcze Bóg da, że samemu miło mi będzie odczytać te wszystkie bez awantur przygody. Wysłałem więc wczora pakę maleńką, gdzie znajdziesz wszystko, co ja z siebie i co ze mnie zrobiono. Medalion w ramkach aksamitnych i trzy w czerwonych, złotych sukienkach książki, także dwa wizerunki na stali. Spodziewam się, że to wszystko dojdzie i chciałbym cię widzieć, droga, w pierwszej chwili.

Niech Bóg czuwa nad tobą i opiekuje się, a odpisz zaraz, bo jestem dziwnie niespokojny o dzieci moje i o ciebie. Całuję serdecznie. Chciałbym, aby to wszystko było ci na wiązanie, bo jeszcze dwadzieścia dni do twoich imienin. Twój.

78.

Dnia 16 maja 1842 roku.

Chcesz, droga, więcej o mnie szczegółów; ja sam czuję, że listy moje nie mogą ci wystarczyć, ale jakże mógłbym ci odrysować okolicę w której żyję? Kształty zupełnie ci nieznane osób, które mnie otaczają, ich oryginalności, ekscentrycyzmy, zajęcia się, myśli wszystko to przez tyle lat składało się w formę chwili dzisiejszej, że trzebaby cię, droga, o wszystkiem wprzód oświadomić, napisać coś nakształt romansu Waltera Scotta, a odwoływać się także do tego, co już napisane a czego ty dotąd nie znasz. Wszystko to jest górą

większą od krzemienieckiej i prawie nie do przebycia. Jak te zdarzenia trudzące domowego życia, które cię często popychają do egoizmu, tak ja mam równie niektóre nudne i smutne zdarzenia, a to np. Przyjechała tu dotąd p. Eglantyna i cały ciężar asystowania wodzenia po ulicach, kawiarniach i teatrach na mnie wkłada, a kiedy przez parę dni chcę odetchnąć, to zaraz widzę w oczach wyrzut niewdzięczności. Ze spuszczonemi więc oczyma muszę tę parafiankę wodzić. Jej ton kozacko-panieński, jej dezinwoltura starej panny jest mi torturą, bo ma coś w sobie z uczucia wykwintu i elegancyi prawdziwej co mi to wszystko obrzydza, ale za to mam także inne ładne sofy, na których odpoczywam. Pugilares mój napełnia się uschłemi kwiatkami, które gdybyś widziała, powiedziałabyś, że jestem głupie 15-letnie dziecko; wszystkie te sentymentalizmy nie dochodzą do śmieszności, bo mam także na ustach i czole wyraz zgryźliwy Jasia, który co chwila pokazuje, że szych umie rozróżnić od złota.

Miłą też jedną zabrałem znajomość i zawiązałem przyjaźń. Guwerner mój dawny, jak pamiętasz, z długim nosem, kochanek panny Teodory, wychował, ile ci wiadomo, drugiego pupila i wysłał go na uniwersytet. Na tym uniwersytecie uczeń ten poznał się z jednym moim kochanym, który mu tyle o mnie nagadał, że chłopczysko, przyjechawszy tu na wakacye do starych rodziców, szukał mnie, a dobrze już będąc o mnie uprzedzony, pokochał szczerze. Za nim poszli rodzice, którzy dotąd nigdy się do mnie byli nie zbliżyli, tak jak teraz. W oczach ich widzę, że mi chcą syna swego w przyszłości powierzyć, że im to miło wiedzieć, że za ich grobem syna ja będę strzegł i kochał bezinteresownie, jak kochają ludzie dumni i równi wszystkim. Do tego porównania się przyszedłem i sądzę, że to powinno być celem każdego człowieka; kto nie zdobędzie sobie tak miejsca w każdej ławie kościelnej, ten ma wiele do czynienia. Myśląc o tem

wszystkiem, szczerze i ogniście dziękuję Bogu za jego niewidzialną pomoc. Nieraz Jemu dziękując, myślę ze łzami, że to i tobie, twojej prawdziwie wysokiej duszy i wrodzonej szlachetności winienem. Zda mi się, żem nic nie zdobył na świecie, takeś ty mnie zaopatrzyła we wszystko: jeszcze każde moje ujęcie, każden ruch, każde prawie słowo wynika z dawnej jakiejś nauki, wziętej od ciebie. Słowem, miałem tu czas dać poznać ludziom, że umiem uszanować zasługę i umiem nawet kłaniać się, ale to wtedy tylko, kiedy wiem, że tego za pochlebstwo nie wezmą, bo wiedzą, że nic od nich nie oczekuję. Możeby na to inaczej całe życie w innych okolicznościach nie wystarczyło. Musiałbym był albowiem bronić mojej wagi osobistej i nigdy nie miałbym wolnych ruchów. Ileż mógłbym ci opisać maleńkich okoliczności, mało codziennych tryumfów, z których podobno, jakoteż i z małych trosk, składa się życie każdego człowieka; ale każde takie maleńkie zdarzenie wymagałoby arkuszowych listów i łańcucha całego okoliczności miejscowych. Zostawiam to więc kiedyś na nasze rozmowy wieczorne, jeżeli o moim przeszłym liście nie zapomnisz, tak jakeś w odpisie nań zapomniała. Twój suchotnik biedny martwi mnie i przeraża, i trochę gniewa, ale tylko trochę, bo wiem, że takie poświęcenie się jak twoje, odwilża oczy i sercu pewne czucia nadaje. Wierz mi, droga, że to daleko gorzej być tak jak ja, który przez tyle lat nie mogłem się dla nikogo poświęcić i po nikim prawdziwie płakać.

Dwa moje małe pokoiki nigdy nie były pełniejsze, jak są, i nigdy z nich nic nie ubyło, ani mi nawet kanarek ani pies nie zajęczał. Niedawno nade mną umarł syn jakiejś kobiety, któregom nigdy nie widział, i dopiero mi usługujący człowiek powiedział z rana, że śmierć była nade mną a jam spał; nie słyszałem nawet krzyku matki o 5-tej godzinie rano w chwili skonania. Czasem śmierć bierze tu kilkaset ludzi razem,

jak się to niedawno zdarzyło na wozach, a jam nie znał żadnego z umarłych. Lepiej więc żyć w małym swoim sadzie, gdzie wszystkie gruszki na drzewie są zliczone, wszystkie czereśnie siatkami wspólnej pieczy okryte. Smutniej może, ale lepiej. Tak więc żyjąc samotnie, jedyna rzecz, którą kocham w mojem mieszkaniu, która niejako żyje, jest to kanwowa twoja poduszka; kocham także bardzo słońce, ale go mam mało, więc się na zimę gdzieindziej przeniosę, bo się przekonałem, że bez słońca żyć nie mogę. Słońce działa na moją głowę i rozwesela ją, przy słońcu najśliczniejsze mi się roją obrazy; pamiętaj więc, żebyś mi kiedyś ze słońcem, moja droga, przygotowała mały pokoik.

Ja, co dawniej lubiłem samotne wieczory, teraz już sam wysiedzieć nie mogę, nuda mnie ogarnia, nie wystarczam sam sobie wieczorami... jak dawniej, kiedy w świeczce mojej paliły się różne nadzieje tęczowe i brylantowe. Gdybyś ty, droga, wiedziała, co ja tam śnił niegdyś w pokoiku moim naprzeciwko wież St. Michalskich, jakie kochanki, jakie korony i wieńce, jakie tysiączno-nocne wydarzenia i awantury na świecie.

Otóż to wszystko; teraz mi często obecność przedrzeźnia i często psuje rzeczywistość. Bo choć miałem piękne chwile w życiu, już mi nic tak nie było cudownem, jak moje dawne myślą błąkania się i wojaże. To wszystko czyni ten świat czyścem, nie niebem.

Dziękuję ci, droga, za wiadomość o Ludce. Imię to ma dla mnie dotąd czar dziwny. Niedawno miałem o niej sen śliczny: zdawało mi się, żeśmy się spotkali u stóp wielkich, olbrzymich schodów, w przysionku jakiegoś pałacu. Wiedziałem, że ją tam spotkam, zebrawszy więc całą moc i energię, przystępowałem do niej i spojrzawszy na twarz jej, niestety już zmienioną, założyłem ręce i chciałem do niej mówić. Ale zaledwie pierwsze słowa wyrzekłem, buchnął mi z serca

płacz gwałtowny i padłem na schody, jak Dante przed Franczeską. Wtenczas ona, stojąc nade mną z litością, ręką zdjęła ze swej twarzy tę niby maskę mglistą, która ją była odmieniła, i piękniejsza niż dawniej, przez kilka chwil patrzyła na mnie. Potem zaczęła iść po schodach zwolna, i słyszałem echo jej chodu coraz wyżej niknące, aż nareszcie znikło zupełnie. Lecz ten gest, którym ona z twarzy swojej zdjęła odmianę całą lat i smutków, był zadziwiającej piękności. Tak sen jest czasem cudownym malarzem i moralistą.

Otóż tak, droga, piszę ci sny moje, nie mogąc zupełnie opisać wszystkich chwil jawy i czuwania, bo dni i wypadki mego życia są takie, że jak Stern wydobywam z nich łzy i rozczulenie... ale te łzy, to rozczulenie wydobyte jest ze szczegółów, nie z ogólnego wydarzenia. Trzebaby więc imion i rzeczy, a to wszystko ciebie obchodzić nie powinno.

Posłałem ci moje wizerunki, twarz więc sobie będziesz miała oddaną. Teraz wiedz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancyą, jak to sobie kiedyś przyrzekłem za młodu, bojąc się, aby mnie zwykłe memu zajęciu się zaniedbanie kiedyś nie owładało. Otóż więc zawsze biorę dobrego krawca, który mi oszczędza niepotrzebnych wydatków; najczęściej chodzę czarno, z małymi wyjątkami w szarawarkach lub kamizelce, nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księżą.

Mam także jedną oryginalność, tj., że zawsze noszę żółtawo-białe rękawiczki; jest to mój luks, a nie bardzo kosztowny, bo cały czysto chodząc, nigdy ich prędko nie brudzę. Noszę także najczęściej lakierowane buty, co nie jest żadnym luksem wcale; zawsze tak staram się być ubranym, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie, a nigdy tak, aby wiedziano, żem się wystroił umyślnie. Taka jest moja polityka co do ubioru. Nie jestem wcale tłustszy niż byłem, ale jestem zupełnie weselszy: jakby po walce z ludźmi

odbytej, używam pewnej spokojności i to mi się w uśmiechu maluje; przez długi czas z zaciśnionemi zębami i ponurem czołem gotowałem się do życia, teraz żyję... Muszę ci także wyznać, że może tracę więcej niżby należało, ale cóż robić? Bóg dopomoże kiedyś, jak będzie potrzeba, i ludzie także nie opuszczą. Taki ci dałem obraz, wierz mi, droga, że najszczerszy w każdym detalu. Całuję ciebie, droga, w obie rączki.

Twój *Juliusz.*

79.

Dnia 2 sierpnia 1842.

Najdroższa moja! Znów nowy dowód twojej łaski, a już ani słów, ani łez mi nie staje na podziękowanie; czasem dobroć twoja przeraża mnie, bo myślę, że ty swój własny ogródek obnażasz i że jesteś bez bukietów w domu... ta myśl jest mi okropną! Okropną! Zaklinam cię na wszystko, szczerą bądź ze mną w tym względzie i nie dozwól, abym ja sobie kiedyś wyrzucał twoje cierpienie. Pomnij, że dowiedziawszy się raz o tem, a nie od ciebie samej, ale od drugich, już nie miałbym jednej chwili w życiu nie zatrutej, i z taką myślą dłużej żyć bym się nie odważył. Pamiętaj więc, droga, bądź szczerą, tak jak ty o mnie, tak ja będę mógł dbać o ciebie i pewny jestem, że Bóg by mi pobłogosławił. Bądź więc szczerą, zaklinam. Co do mnie, wiele nadziei zwiędłych boża miłość i łaska ożywiła we mnie, już nie wyrzekam, ale ufam. Otoczył mnie krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy, zdaje się, że błogosławieństwo Boże jest nade mną.

Wszystko to podobne jest do snu i do marzenia, i wytłómaczonem być nie może. Śniło mi się niedawno, że chodzę z tobą po gaju Czerczy, że mi pachnie konwalia, że widzę płomienie pieców ceglanych i słyszę

bazyliańskie słowiki, i odpowiadające im słowiki z żydowskich mogiłek. Ten sen tak jest porządny w zmianach, że obwiniać go nie można o niepodobieństwo. Cóżbyś ty, droga, zrobiła, widząc mnie u nóg twoich na ławie domku twego? Na samą myśl taką łzy zalewają mi oczy i serce leci ku tobie. Proszę cię, czytaj ewangelię i łącz się ze mną modlitwą.

Na teraz nic więcej. Spodziewałem się, że Filowie wrócą, ale widać, że nie ma nad niemi zmiłowania się. Częściej teraz niż kiedykolwiek myślę o nich i śnię o nich. Z tymi snami, z temi myślami dobrze mi. Dnie teraźniejsze pędzę, jak mogę, aby minęły i cieszę się każdem jutrem. Rozumiesz więc, droga moja, że świat glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg zupełnie zniknął z oczu moich, bo cóż z niego można wydobyć? Jest to próżny teatr dla igrających myśli, dla słów ulotnych, a mnie trzeba dziś być wewnętrznie człowiekiem, ile można doskonałym i dobrym. Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynie głębokiego. Tę zimę jeszcze tu spodziewam się przepędzić, nająwszy sobie dwa małe pokoiki, wyzłocone południowem słońcem, bo w mojem teraźniejszem mieszkaniu słońca mi brakuje, więc w dnie zimowe smutno, a jak smutno, to myśl ponurzeje, i latać nie może. Słońce jest jedyną moją niewolą, ono mię zmusza do migracyi ciągłych z ulicy na ulicę. Oddalę się więc trochę od mojej staruszki 80-letniej, sąsiadki, teraźniejszej, która już teraz nad tem ubolewa i ciągle zaprasza na obiady; zda mi się, że ci o niej pisałem: jest to wdowa po generale dawnym, stara i bardzo opuszczona przez ludzi, nawet przez krewnych; bardzo dobra staruszka, karmiąca wróble, które tysiącami zlatują się do niej i często w moje okno zaglądają, świergocąc. Wizyta jej oddana jest pewną ofiarą, bo już trochę ślepa i głucha, ale ja z pewną świętością odwiedzam ją i mówię do niej z uśmiechem, bo wdowa, opuszczona! Teraz nawet, ponieważ już dziś poczta

nie odchodzi, pójdę do niej. Ona mię pewnie najpierwej spyta, czy nie miałem listu od ciebie, bo tak się zawsze zaczyna rozmowa.

Choć czuję, że nic pisać nie mogę tak, aby ci to przyniosło radość, biorę jednak tę karteczkę, aby ci powiedzieć, że mi już bardzo, bardzo tęskno do ciebie. Marzę sobie, jak to my kiedyś zamieszkamy w dworku skromnym, z owocowym sadem, jak będziem mieli co wieczór kilku miłych przyjaciół, a czasem pojedziemy, do żydowskiej szopy, gdzie przy łojowych świeczkach będą włóczący się aktorowie grać komedyjki, umyślnie dla ciebie napisane; potem przy księżycu będziemy wracali do domu, a ty się, droga, jeszcze będziesz śmiała z jakiego Hrycia lub Hawryły. Ja ci nawet Ambrożego z suką Znajdą jak w zwierciadle pokażę, a ty obaczysz wtenczas, jak przeszłość została świeżą i żywą w sercu mojem.

Obaczysz, droga, że mi Bóg da jeszcze być twoim, a większego nad to szczęścia nie pragnę w przyszłości. Zda mi się, że czuję już teraz ciszę i szczęście tego przyszłego wypoczynku, a czuję także, że gdybym inaczej żył, nie miałbym nigdy ani ciszy, ani szczęścia. ścia. Iluż to samotnych godzin trzeba było na przełamanie mojej natury, ile pracy, którejbym nigdy nad sobą nie użył, gdyby mi życie było zwyczajnym trybem płynęło. Może nawet nie umiałbym, tak jak teraz, poznać ciebie i kochać ciebie. Błogosławion niech więc będzie Bóg za to wszystko, co zesłał dotychczas.

Dlaczegóż, droga moja, listy twoje od niejakiego czasu są tak głęboko smutne. Czy ty nie masz koło siebie jednego gorąco bijącego serca, któreby ci dodało nadziei? Jedź gdziekolwiek w pola, nad stawy podolskie, szukaj ludzi lepszych, jeżeli ci, co są blisko, nie są ludźmi, ale automatami: takie poszukiwanie musi się koniecznie odpłacić. Ja sam poznałem, że ludzie, którzy ustami tylko gadają a głową myślą, nic są niewarci i zaraźliwi są. U nas, ja wiem, ta-

kich pełno, ale być nie może, aby się i lepsi nie znaleźli. Weźmiesz to, moja najdroższa, za próżny morał: niestety, w mojem położeniu wszystko, co względem ciebie powiem, czczą gadaniną wydaje się, bo teraz nic czynić nie mogę, ale nie sądź mnie, aż obaczysz, i wierz, że obaczysz, bo ja sam w to wierzę.

Bądź zdrowa, najdroższa, niech anieli boscy straż trzymają przy domku twoim.

Kończę ten list, bo muszę na obiad iść do panny Eglantyny i brata jej. Biedna to dziewczyna i prawdziwie warta litości, bo czasem bardzo dobre strony serca odkrywają się w niej, mimo niejakie skwaszenie charakteru. Wczoraj mówiła mi, że kiedy File byli we Włoszech i ja z niemi, to ona haftowała śliczną chustkę, aby ci ją posłać; wtem jam wyjechał, ona zaś nie wiedząc, gdzie się Filowie znajdują, zniechęcona w pierwszym smutku, że ci chustki tej posłać nie może, w ogień ją rzuciła, aby nikomu innemu nie dostała się; uścisnąłem ją za to za rękę serdecznie. Addio, droga.

Twój *Juliusz.*

80.

Dnia 24 września.

Od wielu lat nie byłem tak rozrzewniony, ani tak dziękowałem Bogu jak teraz, odebrawszy list od ciebie, najdroższa moja, w którym mi donosisz, że Filowie nareszcie wracają. Zawsze bowiem ta myśl, że ty sama jesteś, brzęczała mi jak osa natrętna w każdej prawie godzinie życia mego. I Filów mię los przerażał. Jak więc teraz szczęśliwym jestem, tego ci opisać nie mogę. Spodziewam się, że już razem jesteście, więc myślą i duszą łączę się z wami.

Zosia twoja tak przywykła do koczującego życia, że teraz, nie mogąc bez zmiany wytrwać, przeniosła się z jednej ulicy na drugą i porzuciła swoje dawniejsze mieszkanie, swoją staruszkę sąsiadkę, wróble przez

nią karmione, i wzięła sobie kilka pokoików, dalej wprawdzie od środka miasta, ale za to obszerniejsze i nawiedzane przez południowe słońce. Teraz więc jej weselej, klatka jej obszerniejsza, widok rozleglejszy... w zły i słotny czas może piętnaście kroków wzdłuż swoich pokoików przemierzyć, i tak spodziewa się chodząc, dumając, przepędzić zimę bez szwanku, nie doznając innej boleści, prócz tęsknoty za wami. Od wczoraj już siedzi w nowem koczowisku i, widzicie, że od was zaczyna, bo mi pokoju nie dała, aż siadłem pisać o niej. Wyznaczyła już miejsce na ścianie na miniatury wasze i już myślą je sobie tęskną kreśli na ścianach, bo tak dawno nie widziała już twarzy waszych kochanych! Tak dawno już na obce tylko patrzy, że gdyby kamieniem była, to rozpłacze się, ujrzawszy je choć w obrazku. Bóg wam zapłać, żeście pomyśleli o takich odwiedzinach. Jeżeliby Fil nic innego w zimie nie robił, prosi go ona, aby jej wymalował kopię tego Chrystusa w czerwonej szacie i cierniowej koronie, który dawniej wisiał w ostatnim pokoju, i zwinąwszy go na wałek, posłał jej. Często ona sobie myśli, że gdyby tak jak Fil umiała kopiować, toby nic innego nie robiła, tylko jeżdżąc po różnych stronach, zdejmowałaby kopie obrazów, i z tego miała chleb lekki i przyjemny, ale ona zakazała sobie wszystkich rzeczy, oprócz jednej, i tego się ściśle trzyma, całą duszą do swego zatrudnienia przylgnąwszy. Fantastyczka, woli się na girlandy bocianów, ciągnących nad morzami patrzeć i płakać, krzycząc tak jak one na całe niebiosa. Tymczasem dzień po dniu przechodzi a dla niej nic, i gdyby nie nadzieja w przyszłem życiu, byłoby z czego nieraz oddać się rozpaczy, ale trzeba wytrwać! Nieprawdaż? droga moja, ty to wiesz; a ilekroć przez Pana Boga myślisz o swojej wychowance, a nie myślą ziemską do niej dolatujesz, to wiesz dobrze, że tak jak ona jest, tak być powinna. Próbowała ona nieraz inaczej grać, ale już jest do innych

głosów jak zepsuta gitara. Pogodziła się ona teraz z wielkim swoim przeciwnikiem, z którym ją nieraz różnili ludzie i on sam jej nie rozumiał; teraz zbliżyli się i dobrze im jest. Niedawno nawet przepędzili dzień bardzo miły, bo Zosia pojechała do niego na wieś, do wielkiego lasu, gdzie on teraz z żoną i dzieckiem mieszka patryarchalnie, na grzyby. Wielu innych także w tym dniu zebrało się, każdy coś z sobą wziął do jedzenia: ci co mogli wziąć więcej, wzięli dla tych, którzy nie mogli; i tak pod ogromnymi orzechami na trawie, gadając i śpiewając, z patryarchalną prostotą przepędzili dzień, dzień jesienny, błękitny i czysty jak kryształ, i bądźcie pewni, że więcej z wami myślą niż z okolicami, które nas otaczają, byliśmy. Stos borowników we mchach znaleziony, przypomniał twojej Zosi dawne, dawne czasy i miejsca jodłami zarosłe; kilka bab i szynka i pieczenie na dywanie rozłożone na ziemi przypominało święcone, ale święcone jakichś koczujących Tatarów, dziwne, jesienne i na prędce jedzone, jakby przed podróżą do nieba. Zapach takiego święconego inny jest, i gwar ludzi jedzących inny, i modlitwa poświęcająca je inna, trochę mniej radosna niż tamtych, co kiedyś dawniej święcili.

Ale to wszystko są rzeczy, które was zasmucą i Zosia mię za nie karci, mówiąc, że tylko piszę dla tego, abyście płakali, a ja chciałbym was rozweselić na całą wieczność, tylko słowa znaleźć nie mogę tak pięknego, aby się to stało. Tymczasem wiem, że gdybyś widziała Zosię, jak sobie wczoraj urządziła pokoiki i znosiła graty swoje i w saloniku wieszała nowe firanki czerwone z białemi i przyglądała się po raz pierwszy w trzech lustrach swojego mieszkania, uśmiechnęłabyś się, widząc ją taką babą. Ale to są rzeczy, od których jej humor zależy, a humor dla niej jest jak towarzysz małżeńskiego pożycia, trzeba się więc starać, aby zły nie był, bo inaczej piekło w domu. Zasmuciło to Zosię, że ty w liście twoim piszesz, ja-

koby ona już na zawsze chciała zostać i osiąść w domu obcym na komornem. Wierz, droga, że ona wróci do was, jak tylko zdoła się poprawić sama, bo teraz smutku by wam swoim charakterem złym i nieujeżdżonym do domu naniosła, i chciałaby się rządzić jak szara gęś, a wtenczas wy byście ją sami prosili, aby wyjechała precz nazad. Czuje to ona i pracuje nad sobą bardzo, bardzo, a czyni to podług pacierza, któregoś ty ją w dzieciństwie uczyła, prosząc o zdrowie, rozum, bojaźń Boską, miłość ludzką i o wszystkie rzeczy, które z chwałą Bożą są.

Eglantyny zajazd skończył się nareszcie; a trwał przez cztery miesiące nurtując mnie całym ciężarem urojonego do mnie koleżeństwa i przyjaznej wdzięczności. Chciano koniecznie, abym po całych dniach, stosując się do parafiańskiej ciekawości, do nienasyconej ciekawości, wodził ichmościankę po ulicach, sklepach, galeryach, właził po kręconych schodach na kolumny, wieże i inne belwedery, o 8-mej już z rana był na usługach, a kładł się spać aż po odbytym teatrze, niekiedy zaś wyjeżdżał za miasto na cały dzień dla zwiedzania okolic, które dla mnie wcale nie są ciekawe. Całej mi mocy trzeba było, abym się temu wszystkiemu oparł i wszystkie spacery do trzechkrotnych na tydzień wieczorów zredukował, tak się jednak stało, że nie uchybiwszy w niczem imości, oddałem jej tylko te usługi i grzeczności, które się należały, i bardzośmy się dobrze rozstali. Został mi tylko brat jej na karku, bardzo ograniczona figura, kupiec, ale dosyć dobry chłopiec, z którym żyłbym, gdybym miał choć jeden ton duszy wspólny, choć dwie myśli podobne, a jednak i tak żyję.

Listek załączam do jednego z przyjaciół... Syn także. Powiedz, droga, pani Eleonorze Sowińskiej, że jej list mi jest drogi i że ją zań serdecznie kocham. Z listu tego widzę, że do ciebie pisząc i do niej razem piszę, więc nietylko w tych ostatnich wyrazach, ale są-

dzę, że w całym liście jest jakaś tęskna nuta czucia i serca, która na jej wyrazy będzie odpowiedzią. Po tysiąc razy, droga moja. Twój *Juliusz.*

81.

Imieniny dnia 17 listopada 1842.

Najdroższa moja! Wczoraj był dzień imienin twoich, który przepędziłem święcie i z wielkiem podniesieniem ducha, pierwszy raz w życiu bez próżnej melancholii, a z prostotą boleści i serdecznym smutkiem: poznałem albowiem, iż nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłych, jako aktorowie grający każdy swoją sztukę smutną albo wesołą, ale dla chwały Bożej jesteśmy i dla pracy prostej a czystej i dla wywiązania ducha naszego i dla spełnienia tego; więc piszę tak, abyś i ty, droga moja, miała cząstkę tego spokoju, który jest we mnie. Jakoż odmieniło się już wiele na ziemi i jeszcze więcej odmieni się, a serca takie jak twoje, pełne boleści i czucia, nie napróżno teraz są na świecie i nie napróżno nas rodziły. Dotąd smutno nam było i gorzko, bo myśleliśmy, że jedynie dla kawałka ziemi cierpieć musimy rozłączenie i znosić tęsknotę, lecz teraz wiedz, droga, że nie tylko dla ziemi, ale i dla nieba cierpimy, a cierpienia tego nie uszliśmy, żadną drogą idąc, wszędy spotkałoby nas ono i zaszło drogę, ażby się duchy nasze w niem oczyściły i nauczyły nowych a potrzebnych im cnót i wiedzy dalszych rzeczy.

Nie potrzeba zaś, abym ja ci mówił, jakie te cnoty nowe i wiadomości są; zawołaj sercem i gorąco tych, którzy umarli a są jeszcze sercu twemu najbliżsi, a powiedzą ci i rozwidnią wszystko, a będą to lepsi i świętsi nauczyciele niż ja, któremu się należy u stóp twoich leżeć z pokorą i ze łzami. Przebacz więc, najmilsza, że tak piszę, ale wiedz, że piszę po spowiedzi i po

przyjęciu Sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył, bo rozumni wypędzają z domu św., oskarżając o walenie domu tego przedtem i teraz, a boją się o siebie i nie wiedzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie prawdziwe w czystości i pokorze. Gdyby tak nie było, nie opiekowałby się Bóg widocznie tymi, którzy pracują. Wszyscy, którzy niezdolni są wskrzesić siebie i oddać nowych nowej a wielkiej pracy, są przeciwko nam z wielkiem gniewem, i oskarżają, wynajdując różne fałsze, i stawią nam różne przeszkody: wiele więc może próżnych ech dojdzie do ciebie; więc jeżeli mi nie uwierzysz, będziesz się smuciła, myśląc, żem się zaparł rozumu mego i zszedł z drogi, na której mnie witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawość dawną, a na teraźniejszego i prostego człowieka utyskują, ale ja wiem, że mnie Bóg nie opuści, bom ja także nie opuścił żadnej pracy około świata, ale poznałem tylko drogę prowadzącą do niej, i już nietylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcej wnętrzem najczystszego uczucia; a tak czyniąc, nietylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracą i wiem, że go to raduje.

Zaklinam cię, droga, nie sądź mię zaraz po przeczytaniu tych słów i nie smuć się, aż przyjdzie anioł i rozwidni ci to pismo, które inaczej wydawałoby ci się naśladowaniem i próżną egzaltacyą, a ja fałszu teraz nienawidzę, i nic napróżnobym nie pisał: owszem wolałbym dawnym sposobem list mój usunąć, bo ty byś może wolała nad memi dawnemi skargami płakać, niż teraz spokój mieć i widzieć mnie takim prostym; ale w dawnym tonie moim była nędza serca, a tu jest zdobywane bogactwo i pierwsze garście wydane ze skarbu nowego.

Zasmuciłaś mię bardzo, pisząc mi na mój dawny list z trwogą i pewnem niedowierzaniem, myśląc, żem ja się jasnowidzącym oddał i w sny ich uwierzył; ni-

gdy nie byłem tak nizko, aby mnie lada kto mógł wziąć za głowę, ale drgnięciu wewnętrznemu ducha Bożego uwierzyłem i słowom prostym a Bożym dałem się przekonać: inaczej nie byłbym godzien miejsca mego na ziemi, i byłbym względem Boga tem, czem jest sługa, który od pana swego nabrawszy pieniędzy i podarunków, potem go opuszcza, kupuje wioskę i już dawnego dobrodzieja widzieć nie chce, aby nie być upokorzonym. Dusza moja była pełna skarbów Bożych od dawna, lecz nie było w niej miłości, i dlatego sama jadła wnętrzności swoje... nie mogąc skądinąd brać pokarmu. I tak będzie jeszcze z wielu, którzy są bogaci w duchu a nie pojmą, dla jakiego celu wielkiego wzięli talenta, ale z nich użytkują bez zastanowienia się, szukając tylko jak największego procentu: otóż duchy tych ludzi podobne są do snów, a duchy Boże są większej rzeczywistości i twórczości, niż ciała widome i dotykalne.

Zaklinam cię, droga, jeszcze raz, weź ten list z jak największą prostotą serdeczną i dziękuj Bogu, że zaczyna znów nas ubierać jak lilie łączne w piękność swoją czystą, a razem daje nieśmiertelność i przybliża do siebie. A teraz niech słowo miłości mojej przetworzy się tobie w pociechę i będzie z tobą, aż Boże obietnice spełnią się, albowiem pewien jestem, że wszelkie uciski przetrwamy. Co uczujesz po przeczytaniu tego listu, ja czuć będę, ufaj więc i wesel się, abyś mi nie ujęła — wesela. Twój *Juliusz.*

82.

1842.

Najdroższa moja! Jakiej ty mię nabawiła niespokojności, przez całą zimę nie donosząc nic o sobie: najokropniejsze myśli przechodziły mi przez moją głowę, nie wiedziałem, co robić; obwiniałem siebie, że moje

niewinne kwiatów przesyłki mogły cię nabawić kłopotu, tymczasem doniesiono mi, że te kwiaty leżą niewzięte, i tak muszą leżeć zawsze, nie wiem dlaczego. Zapewne imość, która trudni się warzywnym ogrodem i cebulą, mało dba o nieśmiertelniki i bławatki i tulipany, więc nie chcę się z wioski swojej ruszyć do miasteczka po odebranie tych nasion; jednak wolę, aby ich nie odbierała, niż gdyby zdrowiu jej zaszkodzić cokolwiek miało to opuszczenie domu i ciepłego kącika.

Co do mnie, dobrze mi się powodzi i spokojnie. Myślę tego roku jechać gdzie blizko do morza, aby się trochę wykąpać i nerwy moje osłabione cokolwiek ustalić. Zresztą nie można tak ciągle siedzieć w tej murowanej klatce, gdzie w zimie wilgotno, a w lecie parno jak w piekle. Tęsknię do szumu morza: natura moja nabrała jakiejś niespokojności nomadów; gdybym nie kupił był sobie mebli, które teraz mnie przywiązują do miejsca, byłbym już dawno gdzie był powędrował, ale wydawszy na nie kilkaset franków, nie chce mi się teraz je (!) za nic sprzedawać; trzymam się więc mojej klatki i tutejszego towarzystwa, które pomimo nudy właściwej ludziom pozbawionym nadziei i ruchu, jest jeszcze znośniejsze, niż gdzieindziej. Ty mi, droga, z innej strony zapewniłaś na długi przeciąg czasu spokojność, tak, że na horyzoncie tym dalekim, postawiwszy Boga opiekę i nadzieję, mogę spać spokojnie, bo już też to ciągle nie potrwa to rozłączenie się nasze. Tyle jest gwiazd na niebie świecących różnym ludziom, tyle dróg, tyle zmian, tyle łez zamienionych nieprzewidzianym wypadkiem w uśmiechy: nie wątpię o tem, droga moja, i z głębi serca cię proszę, abyś miała nadzieję i zarazem cierpliwość długą, a razem starała się o zdrowie swoje, i wyjechała gdzie do wód, bo wiem, że na twoją chorobę wody mineralne są najskuteczniejsze. Będę się starał, aby mi doktorowie przepisali te same, i pewny jestem, że mi przepiszą, bo nasze natury są podobne. Proszę cię więc i zaklinam, nie zwlekaj,



Juliusz Słowacki
w wieku młodzieńczym.

ale staraj się o wyjazd, jeżeli być może tego roku jeszcze, albo na zimę wyjedź do Włoch, to ostatnie i dla mnie byłoby najpożądańszem. Urządź tak interesa, abyś długo zostać mogła; wtenczas siądziemy sobie gdzie w ładnej ustroni, koło Florencyi, i ja ci się oddam cały jak wtenczas, kiedy byłem w kołysce, a ty może w moje spróchniałe serce wlejesz cokolwiek woni dzieciństwa mego, dasz mi trochę nadziei, przyzwyczaisz znów kochać — mnie, który jestem teraz zupełnie samotny i oduczyłem się wszystkiego złego, a i dobrego także wiele zapomniałem. Proszę cię, proszę, droga moja! myśl o tem i nie zwlekaj, bo to byłoby największem szczęściem w życiu mojem. Sama nie lękaj się podróży i puść się trochę na awantury: świat jest teraz bardziej otarty i wygodny, niż wam się zdaje w waszem miasteczku.

Całuję ciebie, droga moja, i proszę, proszę i proszę, jak dziecko ze łzami i natrętnie: przyjedź!

Twój *Juliusz.*

83.

Dnia 18 stycznia 1843.

Najdrożsi moi! Prosiłem, błagałem, abyście sercem, nie rozumem wzięli słowa moje; jakże mię więc boli boleść wasza i ta nieufność w świętości moich przedsięwzięć w opiece Bożej! Będęż-li wam pisał, że świat się zmienia, że garstka ludzi zaczyna duchem czystym z Boskim spełniać a raczej gotować się do spełnienia woli jego, że to nie sen żaden, ani guślarstwo, ani magnetyzm, ale proste obudzenie Boskości w sercach przez człowieka czystego i Bożego, który prowadzi nas małych i pracujących teraz nad sobą, abyśmy się zmienili w sobie, stworzyli duchem i cierpieniem to, czego nam potrzeba, ten cel wznioślej pojęty, niż wszystkie dotąd cele. Nie wątp ty, któraś mię urodziła, bo

wszelkie drgnięcie ducha mego powinno ci się dać uczuć, wszelkie podniesienie podnosić, wszelka ofiara cieszyć... Myślicież wy, że to pół śpiąc, pół bawiąc się, można być wielkim człowiekiem w oczach Boga?... Bluźnierstwo piszę, ale jest napisane, wielkim, mówię, to jest godnym opieki Jego, prawdziwem narzędziem, przez które On swoją wolę spełnia... Nie przydawajcie więc zimna do zimna i oporu światowego do oporu: dosyć jest ludzi strzegących mizernych swoich pozycyi i dumy własnej i czci światowej i fałszów, ale muszą być i tacy, co zapomną o sobie, a wtenczas będą silni i niepokonani. Nie mówię, aby mi to łatwo było, abym nie staczał walk z sobą i częścią dumną ducha mojego, który się ułożył i ustroił podług świata, ale ufam, że mię i modlitwy wasze nie odstąpią, a strach o mnie nie będzie trwożył, albowiem czegóż mi dowiedziecie? Że oto nie jestem w oczach waszych i w nadziei waszej takim, jakim być chcę. Że oczy wasze nie patrzyły nigdy na ludzi pełnych i nie przeczuwają, jacy ludzie być mogą. Niczego więc nie żądam od was teraz, tylko wiary w Bożą moc, miłość i sprawiedliwość. Niczego od ciebie, droga moja, tylko żebyś mię z zupełną ufnością oddała Bogu i poddała się zupełnie jego woli, a ja ci rozczulony aż do łez piszę, że mię nie stracisz, ale owszem zyskasz i całego mieć będziesz; gdzież jest albowiem moc, któraby ducha nieśmiertelnego zatraciła i nie oddała go kochającym? gdzie taki fałsz być może w łonie miłości, który się począł w łonie Bożem a spełnia się na ziemi? Egoizm tylko duszy rozdziela ją na wieki, kiedy oziębła i do gorących już powrócić nie może; a mając wiarę, miejcie i cierpliwość, albowiem niecierpliwość wasza zatrważa i obejmuje radość i spokojność duchowi mojemu. Jakże będę pracował, kiedy co chwila będę myślał o tem, jakby wam donieść: że postępuję, że lecę ku wam a nie cofam się od was. Rozlewanie się ducha mocniejszego na duchy z razu jest powolne, ciężkie i niewidoczne; listki na waszych

brzozach zadrżą, bo wiatr poczują, ale stare zgrzybiałe drzewa długo stać będą, nie pokazując żadnego wstrząśnienia... Tego szmeru listków, tego zadrżenia serc gorętszych chcę, a niczego więcej na teraz; i od tych co czują, chcę, aby mocniej i głębiej poczuli, a sercem siebie wypracowali na takich, jakich Bóg żąda, to jest na ludzi prostych, czujących, na nieprzyjaciół wszelkiego fałszu i wszelkiej rzeczy poczętej przez nienawiść, albowiem ta rzecz uledz musi przed tą, która będzie przez miłość poczętą, a wtenczas dopiero miłość dla sprawiedliwości Bożej będzie tryumfować. Czuję, że to wszystko jeszcze będzie nie zrozumiane, jeszcze za egzaltacyę wzięte, ale wam inaczej nie mogę wytłómaczyć siebie. Dzieci moje powiedziały wam, że cierpiałem; sąd pierwszy o nich trochę mnie przeraził i zasmucił. Drugie słowa wasze podniosły mnie. Są położenia, że trzeba z miłości własnej zrobić ofiarę, to jest nie ukrywać się z niczem i być otwartym, choćby serce przeczuwało, iż ludzie krzywo tę otwartość osądzą, nazwą ją złością lub zazdrością. Otóż dokompletowałem siebie czynem, to jest spotkawszy mego przeciwnika na wyższem stanowisku, podniesionego ku prawdzie, prawdziwie Bożej, już nie w jezuityzmie podałem mu rękę i teraz jesteśmy razem, jesteśmy ja, on i jeszcze trzeci, równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie. Życie takie podobne jest do życia aniołów, i nieraz ozłocone uśmiechem są twarze nasze, a prawie zawsze serca spokojne.

Nie miej więc, o droga! żadnej bojaźni o mnie, bo jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem, a nikt mię nienawidzieć nie może, bo wszystkich ukochałem i sercem zapragnąłem i muszą to kiedyś uczuć, chociażby już nigdy moich słów nie słyszeli. Dawne moje postępowanie z ludźmi, zimne i pełne powagi, zrobiło mi wiele szacunku, prawie ogólnego, ale na tem przestać nie można, ani lękać się na chwilę utracić nawet nieco po-

chlebnej opinii, mając przed oczyma jedyną prawdę i drogę Bożą, i tybyś mi tego nie radziła. Nie dręczcie się więc, i ty Filu drogi, wysławszy pługi twoje na pole, zamyśl się głęboko pod wiejskiemi lipami, wyrób w sobie spokojną miłość, miłość jak największą, ale pohamowaną, posągiem prawie będącą, niech ludzie nowego i różnego od siebie człowieka poczują w tobie, wylej z siebie to, co świat dał, a wszystko staraj się wyczerpać z głębi serdecznej ducha, z ducha, który jest Boży, a podług św. Pawła, jeśli się z Bogiem łączy, jedno jest. Z ducha tego wyprowadź swoje obowiązki, skupiaj się i pierwej uczuj miłość dla człowieka, nim zaczniesz z nim gadać; wiedz zaś i to, że nie sam duch twój zbawi cię, ale odpowiedzialność ma za wszystkie duchy, wypełnienie więc misyi twojej musi być w związku z całą masą duchów, wiedz i to, że cię Bóg chłostą zmusi do zrobienia tego, czego sam nie wypracujesz i czego się sam nie domyślisz. Wierz, że złączony twój duch z Bożym, twórczym jest, jeżeli czysto a nie dla siebie usiłuje stworzyć; a tak pracując, o Filu! wierz mi, że choć będziesz z sobą tylko pracował, nie naprożno będziesz pracował; a nie waż siebie lekce, bo teraz jest pora, która pokaże, że każdy człowiek ma dar swój własny równie potrzebny i wielki w harmonii ogólnej, ani grzesz tą fałszywą pokorą, którą mają ludzie, sądzący się za obojętnych Bogu, albowiem to rodzi oziębłość i zniechęcenie, które Bóg karze. A wierz sercu memu, że nie stracisz tych godzin pracy wewnętrznej, a ujrzysz sam, jak rość będziesz, i spokój twój wewnętrzny wróci i uczujesz moc nową, ani się będziesz kwasił światem, ale go ukochasz jak kapryśne dziecko, widząc to, co w nim będzie człowiekiem. Daruj mi, że piszę jak nauczyciel, ale ty wiesz, że z miłości piszę i nie dla nauczania piszę.

Błagam cię więc, niech ci żaden dzień nie będzie obojętny, a praca wnętrzna podnosi co dzień ducha, a modlitwa niech będzie sposobem do podniesienia du-

cha, nie zaś celem, jak to jest u ludzi formy, którzy modlitwą zaspakajają nieczynne serca. Modlitwa prawdziwa prosi Boga, aby wskazał drogi do spełnienia woli jego, aby dał niezachwianą moc i spokojne podniesienie serca nad serca ludzkie. O to cię błagam z największem wysileniem ducha. I Sylkę moją proszę, aby ci pomagała w pracy, i oboje was tak ściskam, jakbym już was widział czekających mię na ganku domu waszego z otwartemi ramionami. A przed wami jeszcze u kołowrota wiejskiego widzę tę, której uścisk jest najjaśniejszem marzeniem i najweselszą nadzieją w przyszłości pracy mojej. Bóg z wami.

Juliusz.

84.

Dnia 18 marca 1843.

Najdroższa moja! Nie tracąc chwili, odpisuję, abym cię wyprowadził z trwogi i uspokoił, bo pojmuję, ile cię taki straszny domysł zatrwożyć musi. Nie zostanę nigdy księdzem...: oni — to faryzeusze miłość udający, obrzydzali mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę maleńką i pełną fałszów, po której tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło. Żądza prawdy, sprawiedliwości i wiary zawsze trwała w sercu mojem, stąd moje nieraz gorzkie urąganie światu, stąd rozpacz i samotność serca, albowiem sądziłem, że daleką jest epoka, w którejby tłum cały lub garstka ludzi mogła się zebrać w imię Boże i otrzymać od niego obietnicę, że w pracy mi dopomoże, wydrzeć, że tak powiem, nowe przymierze z Panem Panu samemu. Otóż Bóg przyśpieszył tę porę, ludzie stanęli. Opieka Boża pokazuje im się widocznie, a oni według myśli Pańskiej tworzą w sercach swoich nową ojczyznę, gotowi na wszystko... lecz Bóg pokazuje im tylko pracę dnia każdego, a na każde jutro zapuszcza zasłonę. Kto więc

zapyta się tych ludzi: cóż wy robicie, nie otrzyma żadnej zaspakajającej jego rozum odpowiedzi. Mojżesz nie wiedział nigdy pracy jutra, wiedział tylko o celu, do którego dążył. A za każdą przeciwnością musiał się pytać Stwórcy o głos lub wewnętrzne natchnienie. Tak jest z nami. Chór duchów umyślnie przeznaczonych do wielkiej pracy rodził się Panu po różnych stronach rozsypany, stąd tęskne i rozmarzone, wy matki, widzieliście dzieci wasze i wy byłyście same pełne tęsknoty, podobne do Nazaretanki.

Otóż, gdyby te dzieci skończyły tylko na snach i marzeniach, byłaby to jedna z najgorszych komedyi dni teraźniejszych, ale widzicie, że to są dzieci prawdziwe nowego świata i prawdziwi słudzy Boga, którzy się gotowali przez cierpienie do wielkiej radości ducha. Niech więc wam słowa moje nie wydają się smutne, ale niech będą jako kolenda małych chłopczyków, którzy przychodzili pod okna dziaduniowi śpiewającemu także w piekarni: Chrystus się narodził... Piekarnią taką jest dziś Ojczyzna, a my stoimy pod oknami. Miejcie wiarę.

Nie odmieniło się nic w wewnętrznem życiu mojem, oprócz smutku, który gdzieś uleciał i wpuścił więcej niż nadzieję do domu mego. Przybyła także większa prostota, mniej zechceń ziemskich a więcej prawdziwej żądzy dobrego. Duch mój się podniósł i ciało nabrało więcej mocy, tak, że mnie ludzie zaledwo poznają. Nie dziwię się więc, że wy widzieć mnie nie mogąc, z samego głosu widzicie zmianę we mnie, zmiana bowiem jest realna, zupełna: Bóg mię obronił od tej strasznej godziny, w której przychodzi rozczarowanie na ludzi marzących o rzeczach anielskich, albowiem widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońc i tęcz prawdziwych, i ta mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata. Każdy czyn na tej drodze nie trudzi, ale pokrzepia. Wczoraj, droga moja, jednemu z takich czynów, związkowi serca naszego, poświadczył

Bóg srebrną tęczą na niebie, która przez ćwierć niebios rozwlekła się jak ogon olbrzymiej komety. Cudowny znak dla nas wiedzących co znaczy, dla innych prosty meteor. Miejcie wiarę. I tak będzie ciągle, że nas nie zrozumieją ludzie, aż uczują ducha naszego, a natenczas ukochają nas na wieki. Lecz teraz na nieczystych i leniwych ludzi spada trwoga wielka, albowiem czują, że tracą wszystko, co pozyskali, że przy nowem słońcu Bożem wielkość ich wyda się śmiesznością i małością: wszyscy więc są zatrwożeni i nie wiedzą, co mówić o nas. Ale ty mi ufaj, droga, że ja twej miłości matczynej nie wystawię na szwank, ani ją zamienię na wstyd matczyny; nie lękaj się więc o kroki moje światowe, bo te są proste, jak gdyby były chłopka krokami; nie lękaj się o serce moje, albowiem gdyby je kto chciał ranić, znajdzie wiele serc podobnych broniących i wiele piersi, które tak biją jak moje. Kiedy więc sam idąc po świecie, nie doznałem nieszczęścia, to teraz bezpieczniejszy jestem niż kiedykolwiek i rozumniejszy, bo Bóg nade mną. Przeszłego życia mego nie żałuję, ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z której mi teraz łatwiej postępować wyżej. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym, ale dzięki Panu, żem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całej duszy mojej, a to, co zostało, nie będzie stracone. Droga moja! Trudność mam wielką w pisaniu tem, albowiem nie jest to pisanie i uwiadamianie ciebie, ale przelewanie ducha, który mnie ożywia, w ducha twego. O czemżebym mógł uwiadamiać?

Nic się jeszcze około mnie nie stało odmiennego: mogę nawet powiedzieć, że nic mi nie grozi, chyba te próby, które sam Stwórca ześle na mnie, a najdotkliwszą z tych prób byłoby zesmętnienie twoje i trwoga twoja o mnie, bo cóż ja mogę zrobić, abym cię uspokoił? Zdrów jestem, pełen mocy ducha, pełen mło-

dości: często w uczuciach czuję nawet tę woń, która, mię dzieckiem owiewała; to są zyski nowego stanu duszy i nowej służby Bożej, którą odbywam w duchu; strat zaś jeszcze żadnych nie poniosłem, a ofiary, które z ducha dałem, uradowały mnie i podniosły. Tak będzie ze wszystkiemi, którzy się dadzą zagarnąć i owionąć chmurą duchów naszych, mimowolnie uczują się szczęśliwi i przeanieleni i pełni nowej mocy. Módlcie się więc, aby Bóg jak najprędzej raczył spełniać swoją łaskę dla świata i przybliżał czas odkwitu, każda godzina bowiem teraz jest ważna a lenistwo ducha grzechem jest. Gdybyś ty się więc opierała woli Bożej, droga moja, prosząc go o inne dobro dla mnie, niż to, które on duchowi mojemu przeznaczył, modlitwy twoje możeby przyniosły mi niepokój i nieszczęście. Zgodź się więc pierwej z wolą Bożą, a potem proś o dary Ducha świętego dla nas wszystkich, a tak najpewniej otrzymasz i połączeni będziemy nawet na ziemi. Mówię wam, że nagrodą moją jedyną jest prosty domek pod lipami i miłość świata, która go nam ogrzeje w dni zimowe. Ufajcie a to wszystko mieć będziemy. I ty, Sylko moja, prawdziwa siostro moja, będziesz się radować z nami więcej niż kiedykolwiek na łąkach nad Wilenką przy dawnych zorzach. Albowiem czas jest, że wszystko odkwita i duchem zdobywa nowe szczęście. A teraz, abyście porównali, co jest moja jasność teraz a co był mój smutek dawniejszy, posyłam na ostatniej karcie wiersz opisujący... Nie, po rozważeniu widzę, że go nie można posyłać i lepiej jest ostatnią kartę zapełnić czem innem. Otóż więc winszuję wam Wielkiejnocy... i wiosny. Ja mam teraz pod oknami mojemi balkon, i zamierzam sobie sadzić kwiaty na pamiątkę twoją, droga moja; mam także zbywający pokój, który przyjął ode mnie jeden z niepospolitych przyjaciół, jeden z posągowych ludzi, jeden z tych, na których ramieniu można się oprzeć śmiało. Przez ścianę go mając, czuję się weselszym. Trzeciem szczę-

ściem mojem jest słońce, zaglądające mi ciągle w okna. Słońce więc, przyjaciel, kwiaty na balkonie i zaufanie w opiece Bożej, oto są rzeczy, z których się przed tobą chwalę i chcę, abyś się ze mną razem ucieszyła. Oprócz balkonu i kwiatów, wszystko ze mną będzie, gdziekolwiek ja będę. Nie wystawiaj więc mnie sobie inaczej, tylko w promieniu słońca złotego, z przyjacielem i z Bogiem wchodzącego w sieni twoje na jaką nową Wielkanoc. Żadnym ślubem nie będę związany, a jeżeli ty mi droga przygotujesz jaką dobrą żonę i za rękę ją wprowadzisz i posadzisz przy mnie, przy wielkanocnym stole, nie odwrócę się od niej zmarszczony, chyba, że się ona zmarszczy, widząc mię cokolwiek podszarzałego na służbie Bożej żołnierza.

Jeżeli więc to będzie jaka Byronianka, to niech sobie idzie szukać cienia mego na skale Leukady, i pod kolumnami Ateńskiemi, i z przeszłym Julem niech się żeni, bo teraźniejszy chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca. Lecz to szczęście ziemskie jest tylko podrzędną rzeczą, wiedzą o tem wszyscy, którzy tylko za szczęściem gonili i którym ten owoc w ustach zgorzkniał, albo ci, którzy go nie otrzymali i dotąd cierpią. O, jakże mi śpieszno do tej chwili, w której będę mógł całym duchem przelać spokój w was i być prawdziwie w mojej rodzinie. Teraz nie piszę wam o ludziach, o których wieści mieć chcecie, bo nic o nich nie wiem a nie chcę listu tego opóźniać, wiedząc, jaka musi być niespokojność w sercach waszych. Proszę, radujcie się i weselcie, albowiem ten świat, co się we mnie narodził, rośnie i będzie waszym, i to spełni się za mały czas. Niech was Bóg strzeże.

Stroskanym siostrom powiedzcie, że brat ich Stanisław jest w Algierze — i nie dobrze mu się dzieje. Pomoc więc jaka byłaby potrzebną. O synu St. Cyr[1]) nic nie wiem.

[1]) Czyt. Sę-Sir.

85.

Dnia 5 czerwca.

Dlaczego wam się moje listy wydają tak niezrozumiałe? dlaczego ja sam wam się wydaję taki zmieniony? dlaczego silniejsze uderzenie serca mojego dla rzeczy Boskich przeraża was? Czyli rodzina nasza nie dosyć odebrała nauk z ręki Boga? Któreż z nas znalazło szczęście, szukając go zwyczajnymi sposoby, podług prawideł teraźniejszego świata na ziemi? Czy Jaś, którego głowa pełna błysku i nauki, śpi teraz w dębowym lesie pod konwaliami? Czy Fil, który teraz tyle razy na wsi osiąść próbował, jak wróbel, co usiłuje siadać na kłosach? Czy Sylli, taka teraz rozsądna a taka dla mnie kochana, której dzieciątko Bóg wziął i już nie odda? Czy ty nareszcie, droga moja, podobno najbiedniejsza z nich wszystkich? Lękaj się, droga moja, bo teraz najstraszniejszą nauką byłaby garść prochu mego i puste echo, któreby zaczęło gadać po górach imię moje.

Lecz tak się nie stanie, bo ty zaufasz Bogu i zgodzisz się z wolą jego. Chcielibyście, żebym był jak tłómacz Dziewicy Jeziora i Koranu, który chodzi po obiadach, tłómaczy poetów i skarży się na oschłą rzeczywistość a Sylli mu potakuje wykrzyknikiem: ale gdzie bo i ta ciągła poezya? Otóż poezya ta jest w ciągłej młodości ducha, który gdy zaśnie, trzeba go z najwyższem wysileniem budzić, krzepić, podnosić, a potem działać podług niego w każdej choćby najmniejszej okoliczności; poezya taka nie umiera, jeżeli cel, do którego duch dąży, jest Bożym; entuzyazm zaś dla rzeczy fałszywie zrozumianych, nie dość wysokich, gaśnie i zostawia po sobie śmiertelną nudę. Wierz mi, najdroższa, że ja wiele na tej drodze prawdziwego entuzyazmu mam do wypracowania i do spełnienia, i wtenczas dopiero, kiedy będę pełniejszy, będziesz mogła prawdziwie uradować się ze mnie. Nie słuchaj

więc tego, co świat mówi, ale czuj mnie sama duszą i sercem; ty nie wiesz, jak mi to współczucie, to ciągłe wspomaganie duchem pomoże nawet realnie na ziemi. Otóż znów piszę tak, jak nie chciałaś, abym pisał; ale cóż ja ci powiem o życiu mojem, o zamiarach moich, ja, co z każdym dniem odbierać muszę pracę moją w natchnieniu i nie wiem, co mi jutro czynić wypadnie, bom zerwał z wszelką systematycznością. To tylko czuję, że na tej drodze nie ma niebezpieczeństwa, i że ci, którzy się boją o mnie, grzeszą, i nie wiem, na co chcieliby mię zachować i ubalsamować w myrze zdrowego rozsądku. Boże! jak ja muszę was łajać, ja, który was tak kocham i tak czynię, abym dla was czynił i wasz był zawsze... *Juliusz.*

86.

Dnia 28 lipca 1843.

Najdroższa moja! Wyrzucam sobie, żem kilku dniom dał przejść po odebraniu drugiego z twoich listków, i dotąd nie odpisał. Ale wiedz, że ja pisać nie mogę zawsze i w każdej porze: dzień, w którym piszę, już zupełnie musi do ciebie należeć, więc zwykle, kiedy mię cokolwiek rano zaskoczy, już się nie mogę zebrać do pisania. Ale po co te wyrazy? ty wiesz, że to nie są zwyczajne wymówki, ale prawdziwy ból sumienia, który mi je dyktuje. Bogu niech będzie chwała, że cię czwarta Ewangelia po Wielkiejnocy natchnęła wiarą i przyniosła pewne uspokojenie. Jakże ty, droga, lękać się mogłaś o duszę moją? czy ty nie wiesz, jak my podobni jesteśmy duszami do siebie? Więc nie wątpiłem, że skoro się dobrze głęboko wpatrzysz w siebie, ujrzysz to, co się dzieje we mnie i zamiast opierać się, będziesz mi pomagać: bo wyznam ci, że to jest trud nad trudy, owo wymiatanie serca swego ze wszystkich brudów, owo oczyszczanie wewnętrznego człowieka, tak,

żeby tworząc innych ludzi podług siebie, był pewny, że dobrze i dla Pana Boga pracuje. Do takiej ja się pracy wziąłem i wielu ze mną braci. Wiara przychodzi nam w pomoc, a jasne widzenie pośmiertnych rzeczy, to jest rozwidnienie pozatrumniane losu naszego jest prawdziwym cudem nad tą epoką. Ty wiesz, droga, ile nikłych marzeń snuło się nam po głowie, kiedyśmy się zagłębiali w tę mgłę pełną melancholii, w którą kiedyś wejść musimy i zniknąć. Otóż wiele z tych myśli przelotnych było prawdziwemi natchnieniami: odrzucaliśmy je, nie śmieliśmy im wierzyć, sądząc, że są grą naszej imaginacyi, a chociaż spotykaliśmy się z temi myślami w innych ludziach, myśleliśmy, że to wszystko są tony fałszywe. A któż tak śnił? Oto piękniejsze tylko dusze, które zwano poetycznemi albo fantastycznemi.

A teraz... człowiek jeden jaśniej widzący rzeczy Boskie, odkrył niezgłębioną prawie czeluść przyszłości, w której wszystko to się znajduje, co my śnili, ale logicznie powiązane, ale religijne. Więc i ty kiedyś tam różyczki twego ogrodu zobaczysz na tym pniu, i ja gwiazdy moje już zobaczyłem. Bo świat cały jest fabryką ducha, wyrabiającego w sobie miłość dla Boga, więc wszystkie stworzenie ma to za cel, a nie kończy się to na człowieku, ale idzie wyżej, i tak kolumna ta duchów kończy się na najczystszych, na najbardziej wyrobionych, najwięcej miłosnych; więc, droga moja, można nie iść do celu Bożego, ale bawić się na świecie, robiąc różne rzeczy, ale życie takie nic nie pomoże. Można się wrócić nawet, ale życie takie jest grobem. Piszę to, droga, dla ciebie, i proszę, abyś tego imaginacyą nie brała, ale starała się uczuć sercem i wypracować, a to ci pomoże, bo obaczysz wielką sprawiedliwość Bożą, która nieszczęść i ucisków na to używa, abyśmy poznali, czego chce od nas; wystaw więc sobie, że duch każdy ma swoją misyę na ziemi, że duch każdy zawiązuje stosunki z podobnymi duchami bez

ciała już będącymi, które także podobną misyę mieli i o dokończenie jej dbają; możemy więc uczuciem łączyć się z niemi, a one wtenczas dają nam natchnienia, a według naszej wiary i czystości coraz wyraźniej je mówią do serc, a potem nieraz do uszu i oczu. Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami, i to jest obcowanie świętych, którego księża nie mogli nam wytłómaczyć, to jest wlać go w wiarę naszą. O, uczuj to, droga, i wypracuj a obaczysz, w jakiej my wielkiej rzeczypospolitej żyjemy, obaczysz, dlaczego jam po morzach wędrował i po pustyniach błądził, a nigdy mi się nic złego nie stało, bo wiedziały duchy, że ja może w swoim czasie będę potrzebny inaczej; wszakże dachówka spaść może i zabić człowieka. Droga moja, wierz mi, że najmniejsza rzecz nie jest trafem, ale dopuszczeniem Bożem i potrzebą do wielkiego celu, tym zaś celem jest sprawa jego święta, t. j. postawienie całej ludzkości na wyższym szczeblu, gdzieby wszystko z miłości płynęło. Wypracuj i to a obaczysz, jak wielkie odmiany w narodach zajść muszą, a narody, które najbardziej cierpiały, muszą przewodniczyć, bo wszakże nie wiele mają do porzucenia, a serca przebolałe są bliższe Boga. Ufaj więc, ufaj więc, i całą siłą, i całą miłością Bożą wołaj tej chwili, którą on podług wołania ludzkiego, a w braku wołania, i sam ze swej litości przyśpieszy.

Co do mnie, wierz droga, że tak jak było, nic wiele już miałem roboty na ziemi; teraz zaś robota jest za wielka dla mnie, czuję całą pokorę ducha przed tą sprawą, ale nie upadam i uzbrajam się w cierpliwość i w spokojność mocy. Komu serce uderzy dla Boga, jest z nami, a wkrótce cały świat będzie z nami. Z idei, która nam w sercu jak iskierka zatliła, można wydobyć wszelką mądrość na obalenie mądrości teraźniejszej świata. Choć jeszcze krótko ona gości we mnie, a już wiele rzeczy widzę lepiej, niż je dawniej przez teleskop i mikroskop widziałem. Cały świat mogę podług niej

sądzić i całą naturę, albowiem wiem, na co jest świat i natura, bo czuję, że tę naturę chciałbym podnieść przez podniesienie się ducha, i oddać ją całą Bogu w jednej modlitwie, a ty, droga, bądź prawdziwie jak imię twoje zdrowiem mojem i siłą moją, co ranka pomyśl, ale bez płaczu, tylko podniesionym do Boga duchem, poczuj wolę jego, poczuj i mnie razem ... i nas ... łącz się z nami, a to westchnienie gorące i silne, z głębi serca, nie z rozmarzonej imaginacyi wyrwane, wiele może, niezłamanego złamie i mnie samemu doda siły. Ach i tak czuję nieraz, że ty się do Boga wznosisz i o moją pomyślność modlisz się, ale módl się o moc moją, o przylanie mi ducha prawdziwego, a wtenczas wierz mi, że cały świat duchów ruszysz.

Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcej ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzać, żywić ciebie, rozmiłowywać w Bogu, który tak jest sprawiedliwy i miłośny. On mię wodził po kwietnych drogach i przywiódł do celu, nie katując cieleśnie, ale łagodnie prowadząc; on staremu memu duchowi, co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktownie przypomina z dawnych żywotów (ludzie to nazywają zdatnością do czego, owe przypomnienia) ... On pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między aniołów i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co idą za mną. Otóż to są dary, na które jeszcze wielu ludzi nie zasłużyło. Ci, choć usłyszą o prawdzie, nie poczują jeszcze i nie wierzą, bo kto nie gotów, aby uczuł, ten uczuć nie może i byłby to największy cud duchowy, gdyby uczuł. Nie dziw się więc, droga, że wielu ludzi odepchną od siebie te rzeczy Boskie, że będą je jeszcze brać za egzaltacyę, nie wiedząc, że egzaltacya prawdziwa ducha Bożego jest celem nawet wyrabiającym się już w kamieniu. Pisałem tak, żem się aż zmęczył i lękam się odczytać słów napisanych,

bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą; ale cóż robić? Ty dobra, ty miła jesteś wielu dobrym duchom z tych, co już poszli ze świata, będziesz więc miała wielu tłómaczów i tych, którzy prawdę potwierdzają, a prawdą jest, że Pan Bóg nad nami już się zlitował, i nieszczęściami wycisnąwszy z nas ton swój, już teraz głuszyć go nie będzie, ale dopomagać i wspierać. W duchu my nowym już zaczęliśmy nową ojczyznę, a czujemy, że ten środek pomimo całej natury oporu rosnąć musi i oblekać się w ciało, i być coraz większem świadectwem o podniesieniu na jeden jeszcze szczebel ducha ludzkiego na ziemi. Próżno bowiem tego, co my czynimy, żądanoby od dawnych księży i świętych, którzy jeszcze z ciałem walkę odbywać musieli: my już tylko do zwyciężenia mamy niektóre nieczystości ducha naszego, więc już możemy być użyci do budowy; jadło nas ziemskie nie znęci.

A teraz ten, co opowiada słowo Pańskie, jest czysty, dobry i silny: taki tylko duch mógł tyle naszych serc sprowadzić, tyle tonów połączyć. A sprawa Boża nie mogła dziać się przez książki, ale przez żywego posłańca. Mam wiarę, że wkrótce u was wszystkie piękniejsze duchy zadrżą po kątach jak arfy eolskie, gdzieś po altanach pochowane. Niespokojność je ogarnie. Oczekiwanie czegoś urodzi się mimo wiedzy, a tymczasem ludzie z kości i stalowych sprężynek, zegarki te społeczeństwa, często stojące, grać wam będą zwyczajne kuranty, od wieków słyszane na świecie o zdrowym rozsądku, rozwadze i rozumie. Tymczasem garstka ta ludzi z pomocą Bożą pracuje. A podług św. Jana Chrystus mówił: „Ojciec mój pracuje dotąd i ja pracuję.“ Otóż ta praca jest teraz panią i królową naszej pracy, i tak wszystko podnosi się aż do wielkiego Aleluja. Ciesz się, droga, i wyprzedź radością leniwych nawet w radości, a potem umiłuj Boga, zażądawszy zupełnie woli jego, i tylko woli jego. I pracuj, abyś ją zrozumiała. Oto jest list ducha mego do ciebie du-

cha, który cię jeszcze najmocniej z zamiłowanych na ziemi duchów miłuje.

Bądźcie spokojne. Cebulek pięć odebrałem, makatka obudziła we mnie wielką pożądliwość, przyślij mi ją, drogą, przez okazyę pierwszą, przez Hausnera także można: przesyłki od niego do mnie dyliżansem nie wiele kosztują, ale w takim razie lepiej adresować do Eglantyny, bo się uniknie opłaty na granicy i trudności. Miniatur nie odebrałem jeszcze. Od Zygmunta nie mam także żadnej odpowiedzi. Zosię Bobrównę pocałowałem w rączkę, że o cukierkach napisała i tem trąciła w echowe drzwi domku twego tak, że aż zagrały jak denko skrzypiec.

Zresztą wszystko dobrze i będzie coraz lepiej. Wkrótce, zda mi się, nowe dziecię w świat wyślę, gdzie jedna z osóbek chrzestnych nosi imię twoje. Może też dziecinę tę prędzej zobaczysz niż inne. Sylkę i Filka ściskam: jeżeli co było w liście moim złego, niech przebaczą, bo ich szczerze kocham i często myślę o nich; lecz kiedy zobaczę Sylkę, to widzę, że znów będę musiał z nią dysputować o świecie; spodziewam się, że przedysputuję i rozkocham w wielu rzeczach.

Bądź mi zdrowa! Bądź zdrowa, droga! i nie smuć się, ale się wesel. Bo na tej drodze, na której jestem, nie ma innych kwiatów jak nieśmiertelność i wielmożność. Bądź zdrowa.

Juliusz.

87.

Dnia 2 października 1843.

Dawno, najdroższa moja, nie miałem listu od ciebie i sam nie pisałem długo; sądzę, że jedna musi być przyczyna w spóźnieniu się naszych listów. Ty zapewnie pojechałaś odwiedzić Filów, ja także sprawiłem sobie rodzaj wakacyi i miesiąc cały bawiłem w miasteczku Pornik nad Oceanem, gdzie prawdziwie we-

seliłem się jak student, albo jak ptaszek, wyrwawszy się na wolność; albowiem miejsce zwyczajnego mego pobytu ciężkie jest w lecie, skwarne, rozpalając się prawie do atmosfery piecowej, niechłodne nawet w nocy. Więc ostatniego sierpnia, upakowawszy moje manatki, wyruszyłem prosto na zachód, drogami żelaznemi i rzekami, po których chodzą statki parowe, i obaczywszy po drodze różne miejsca, wlazłszy na różne wieże katedralne, aby odetchnąć szerzej, z jaskółkami zawędrowałem nareszcie do małej mieściny nad Oceanem, gdzie wiele ludzi zjeżdża się na morskie kąpiele; mnie samemu przypadały one do smaku i moje ciało-kwiat potrzebowało odwilżenia.

Com uczuł, droga moja, spojrzawszy na Ocean, tego ci wyrazić nie mogę. Między tem morzem a mną jest tajemniczy jakiś związek, sympatya, i ta musi być prawdziwa, albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku: zapach Oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku takie, jak widziałem je w imaginacyi, czytając Walter Skotowego P i r a t a, to jest szare, skaliste, okryte chwastami; natura obca, ale znajoma, bo widziana kiedyś przeczuciem, zapragniona sercem; wśród tej natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały: czasem motylek, za którym biegałem nad Wilenką, zupełnie taki sam, a gdym go obejrzał, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygzaczek jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana; czasem pliszeczka nad morzem, zupełnie do tej podobna, do której niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem; słowem, nigdzie od wspomnień uciec nie można, nigdzie od łez i tęsknoty; a ta cała natura, gdybyś ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna, otoczyła mnie skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia; jak ona mi wyrzucała, żem się długo gorączkowym myślom oddawał a o niej zapomniał; jak w płotach ćwierkaniem makolągiew, wonią malin orze-

żwiała mię, zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnieniu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy; jaka ona dobra i litośna dla strudzonych ludzi, podziękowałabyś jej, że cię wyręczyła na miesiąc przy twoim synu.

Skorom przyjechał do Pornik, dano mi zaraz mieszkanie w domu wiejskim, bo w hotelu już miejsca nie było; tak więc zaraz ujrzałem się w mieszkaniu chłopa pornickiego, panem sadu jego, gdzie drzewa od jabłek i gruszek gięły się do ziemi. Przez jedno okienko widać było morze, a to okienko opatrzone od wichrów zimowych ogromną okienicą z zaszczepką żelazną, podobną do młota bogów skandynawskich, dziwnie gadało mi o zimowych wieczorach tej izby, gdy chłopi, zamknąwszy się przed burzą, siedzą przy kominku i gadają, jak zwyczajnie ludzie spokojni we własnej ojczyźnie. Przez to okienko zaraz z rana obudziła mnie strzałka brylantowego słońca, zagrały mi gruchające gołębie; szczęśliwy byłem jak dawniej, wesoły, jak gdybym nie miał lat dwunastu na barkach; a potem inne tam zupełnie powietrze, woniące morzem, inny horyzont na tem morzu, horyzont, gdzie dla imaginacyi odchodzą zawsze w błękit Kolumba okręty szukające świata, oczy moje ciągle je widziały, ciągle szły za niemi.

Wyszedłem na brzegi: tam skały osypane złotą i srebrną miką paliły się na słońcu, niby tarcze ogromne, albo trony Oceanid; dalej chatka celnika morskiego, zamieszkana przez jednego żołnierza, zupełnie jak chata Norny, pusta, biedna, kamienna, otoczona wałem z czarnej darni, sama jedna na szerokiem polu, czarna na błękicie niebieskim; dalej wielkie piaszczyste wybrzeża, gdzie morze rzucało swoje srebrne pletwy z szumem miłym i rytmicznym. Rzuciłem się w wodę, położyłem się na falach i dobrze mi było, bo tam nie ma jeszcze sług kąpiących, chatek, gdzie trzeba się ubierać, jak w innych kąpielach, ale zupełna wiejska wolność zostawiona jest mężczyznom; kobiety mają

chatki, sługi, ubiory wodne, i podług mnie są przez to stokroć nieszczęśliwsze.

Dotąd żywot mój dziki i poetyczny, ale następuje śniadanie, table d'hote[1]) w hotelu, gdzie musiałem zasiąść z wojażerami, porobić znajomości i zupełnie żyć inną stroną serca mego. Otóż między temi znajomościami są mi niektóre bardzo drogie, bo prędko się zawiązały i dobrze się zawiązały, i może lepsze są, niż te, które na długiem przywyknieniu do siebie gruntują się. Znajomości te ożywiły także serce moje, bo mi dowiodły, że ludzie lgną do mnie łatwo, i, tobie to tylko powiem, są z pewnym rodzajem uszanowania, nie wiedząc nawet, czy mi się ono należy. Dobrze to więc mieć do czynienia z ludźmi, którzy bez bojaźni i zazdrości, wprzód imieniem człowieka obudzonej, podają zaraz rękę, szacują, skoro tylko poczują w piersiach szlachetne serce, i bez łez nie opuszczają.

Między takiemi znajomościami liczę teraz jedno młode małżeństwo hiszpańskie. Mąż zaraz uderzył mnie w oczy twarzą spokojną, miłą, uśmiechającą się i do mego ojca twarzy nadzwyczaj podobną; pierwszy raz widząc oczy jego czarne i włosy zczesane trochę na czoło, zupełnie tak jak na portrecie, powiedziałem sobie, że między naszymi duchami musi być jakiś związek, jakaś jednakowa natura: jakoż nie omyliłem się i człowiek ten prędko przylgnął do mnie, i rozstaliśmy się, przyrzekając sobie, że się tu znów zobaczymy, co między wojażerami jest nadzwyczaj rzadką rzeczą. Żona jego, Andaluzka, trochę otyła, ale bardzo ładna, także dobra, wesoła, pełna prostoty i serca, i trochę sentymentalna, pływająca po morzu jak Oceanida, także z siostrzaną dobrocią była dla mnie i pożegnała się ze mną.

Oprócz tych Hiszpanów poznałem się dobrze z doktorem miejscowym, który mógłby stać za model

[1]) Czyt. tabl-dot — stół dla gości.

do figury jakiego romansu: pokój jego pełny gratów starożytnych, jak zwyczajnie u człowieka, który w małej mieścinie życie bez żadnych burz przebył, i wśród tych gratów umrze zapewne, napełnił mnie dziwną melancholią... Gniazda takich spokojnych ludzi, dla duchów przelatujących przez ziemię, są nadzwyczaj niebezpieczne, wabią, zachęcają do spokojnego szczęścia, każdy grat przyczepia się do surduta podróżnego i chwyta, usiłując zatrzymać, jak te nasze ukraińskie bodiaki, czepiające się koni rozhukanych; ale któż się da zatrzymać bodiakom? Z tymi więc ludźmi i kilku innymi przepędziłem miesiąc, a choć wesoło, nie zupełnie jednak bez tej powagi, która znamionować powinna czoło zamyślone o większych rzeczach; i tam nawet w serca te rzuciłem czasem myśl błękitną, a starzy ci przyjmowali mnie nieraz za nauczyciela, bo czuli, żem ich kochał.

Tak wróciłem do siebie z sercem pełnem, wróciłem tu, gdzie mi zaraz ściany przypomniały obowiązki i prace. Ach! ściany trochę smutne i ciemne po rozwidnionych błękitach oceanowych, ale cóż robić? Wróciłem tu, gdzie mię czekał malarz przejeżdżający z naszego starego miasta Krakowa, aby wymalował kilku naszych gadułów; jeszcze więc raz muszę siedzieć jak szczur na ołtarzu Krasickiego, krztuszący się kadzidłem Bogu palonem, a piszę ci to, bo wiem, że takie wiadomostki, świadczące o życzliwości ludzi dla mnie, cieszą ciebie i umniejszają trochę cierpienia. Powitała mię tu także mała Zosieńka, której, jak wiesz, dałem cukierków; powita dziś staruszka, dawna sąsiadka, przyjaciółka moja; powitają nareszcie znajomi i bracia, bo jeszcze nie widziałem się z niemi, chcąc z tobą powitać się pierwej tym listem; wróciłem zdrów i nabrałem tęgości na długo.

Co do wioski, odpisał mi dawniej Zygmunt ni to ni owo, ojcem się tłómacząc, obiecując, że o tem pamiętać będzie i zrobi, jak się da zrobić w innem miejscu

i czasie. On nie winien, bo ja wiem, że się do niczego nie miesza i nie chce się mieszać, ulega a nie rządzi; otóż, droga moja, list długi, pełny detalów, list realności pełny; lecz zdaje mi się, że i te detale tobie składane świadczą o mojej serdeczności, i brzmią tak, jak słowa miłości dziecinnej.

Bądź zdrowa! Zaklinam ciebie, nie martw się niczem, a karm się jak najlepszemi myślami i tą wiarą, że nie zawsze ja będę jeździł nad Ocean, aby pomódz ciału i duszy, i nie zawsze dam się niańczyć cichej naturze, ale kiedyś Bóg mi pozwoli i przy tobie orzeźwić się i obmyć się z kurzawy różnych dróg i gościńców. Bądź zdrowa. *Juliusz.*

88.

Dnia 28 listopada 1843.

Moja droga! Odebrałem listki kochane, a że nie odpisałem zaraz, to dlatego, że w miesiącu tym byłem bardzo zajęty. Święta Salomea ciągle była ze mną i nade mną, przedwczoraj dopiero imieniowi jej wywiązałem się z długu, a z jaką radością, z jakiem zachwyceniem, tego ci wyrazić nie potrafię.

Imię to tylko i oczka zielone, więcej nic, ale chcę, aby to imię pachniało na wieki, aby odtąd rozkochało ludzi, aby dziateczki maleńkie odpowiadały matkom kiedyś na ten głos, którym stara Januszewska wołała wśród czereśniowych sadów na dziecko swoje.

Są cuda na ziemi i w niebie, o których się ani śniło naszym filozofom. Pod Krakowem jest pustynia św. Salomei: otóż ta pustynia musiała być teraz zupełnie pustą, bo to, co ją zaludniało, było u mnie; i dziw większy, że to w ten miesiąc, że to przed samym dniem imienin, bo wierz mi, droga, że sam kwiat myśli naszych jest podszeptaniem i tchnieniem nadniebieskich otworzony.

Wkrótce spodziewam się, że Zośka cukrzana pojedzie do was; przez nią może, jeżeli wyśpieszę, przyślę ci wspomnienie jednego popasu, któryśmy niegdyś w Barze odprawiali, gdzie ja, pamiętam, mocnom się na żyda z końmi rozgniewał, a tymczasem przypatrywałem się tej małej mieścinie, jak gdybym przeczuwał, że po dwunastu latach ona znów do mnie przyjdzie; otóż poślę to wspomnienie, a może, jeśli czas wystarczy, to i Salusię wyprawię.

Co do ciotki Krzystofowiczowej, chciałbym mieć adres jej, bo tak nie wiem, gdzie szukać; podobno pode Lwowem w Hubinie znajdę sposobność zrobić to, chociaż mało stąd sobie rokuję, lecz oprawię pięknie i poślę przez którego z lwowskich moich przyjaciół, który sam dotrze i przyłączy kompliment.

Zatrudniony jestem bardzo, bo mi znów jakby mocne pchnięcie od Boga przyszło do pracy, a mam te chwile, że niby z jakąś rozpaczą rzucam się do papieru, chcąc garściami duszę moją rzucać na ludzi, przemieniać ich w siebie, nadgryzać im ciało, aż ich urobię podobnych najpiękniejszym ze śmiertelnych. Słowem, podług słów św. Pawła: wyjść z tego więzienia, spłaciwszy ostatni szeląg z siebie.

Niechże to mój Fortunat wie, że tem spłaceniem jest tylko czyn, nie zaś bynajmniej prosta i wnętrzna świętość; niech wie, że wszystko na ziemi zrobić można, byle zawsze przed oczami mieć drogę prostą, jedną gwiazdę — Boga — zdobycie przez ducha swego czynami ciała nieśmiertelności ducha, wzrost jego ciągły, który rośnie przez cierpienie nad upadkiem drugich, i przez czyn każdy, który drugich z upadku podnosi.

Niech wie, że jego listek może był najdalej oddalony od świętości nowej epoki, bo był jak listek człowieka w cierniowej koronie, zbitego mocno pletwami, oczekującego spokojnie nagrody niebieskiej; ale za co nagroda? gdzie ten duch zostawił ślad swój przejścia, co naprawił, kto jego tchnieniem odetchnął i uczuł się

lżejszym i czynniejszym? kto przezeń zapalony pogardził wszelkim fałszem, wszelką ociężałością ciała, egoizmem ducha?

Drogi Fortunacie! pamiętam, jak zacząłeś od Russa, kiedy inni już go w krew byli zmienili i mieli w sobie, a już szli dalej; teraz stanąłeś u nóg krzyża, gdy inni już zeszli z Golgoty i myślą iść po świecie z wesołością ludzi, otrzymujących kwiat tylowiecznego cierpienia, ludzie, którzy nareszcie zrozumieli, że wszystkie wielkie duchy bohaterów i poetów były świętymi, i może świętszymi nad te, które po pustyniach żyły, bo więcej za fałsz cierpiały, więcej dla prawdy zrobiły, a moc miały, bo przez swoją wysokość były z Bogiem niewidomie połączone.

Chceszli więc świat zawrócić? prowadź go dalej, a jeśli nie wiesz gdzie, to cierp jeszcze, rośnij jeszcze.

Za kilka słów pani Eleonory najserdeczniej dziękuję; wykrzyknik chłopca jej do łez mię wzruszył, ale niechaj on wie, że ja jemu będę służył, bo już dawno ludziom służę i mam te szaty, które do usług są potrzebne, on zaś jako nowy, jest już z rodu książąt, co dla panowania duchem rosną; niechże więc czoło nosi wysoko i ubiera je w jasność rycerską, a ciała broni od wszelkiej zmazy i od wszelkiej obrazy, bo któż wina nowe wlewa w brudne czary? Cóż ja jestem, że tak do was gadam? Biedny człowiek, jeszcze nie zrozumiany, jeszcze nieraz pod fałszywym sądem stojący tylko z własnem sumieniem. Ach! jak mało jeszcze jest ludzi chcących tylko prawdy, miłości i wiary, jak smętno z tymi, którzy zobaczyli słońce prawdy, a jeszcze zostają gdzieś w dawnych nałogach, w nieufności, w zazdrościach małych! Droga moja, ty jedna przynajmniej wszędzie i zawsze bądź ze mną, ty wiesz, że cię nigdy nie oszukiwałem, a czasem nawet prawdziwym będąc, wydałem się twardym i srogim.

Cóż ja winien, że mię Bóg zrobił z jednego ka-

wałka, że ja często osamotniony aż do stóp matczynych uciekać się muszę o pomoc i błogosławieństwo! Ale nie smuć się, droga, Pan Bóg mię strzeże i tej zimy niby podwoił siły moje, i zdrowiem uhartował na nowo tak, że się lękam znów nadto długiej wędrówki po świecie. W lato bowiem upały nieco mię były zmęczyły; dopiero morskie kąpiele, powietrze i różne ostrygi i ryby odegnały ode mnie pewne osłabienie ciała, sprawione przez poty. Wierz mi, droga, że nic więcej nie było i że teraz jestem zupełnie w zwyczajnem zdrowiu, to jest takiem, że od lat 12 żadnego nie wzywałem doktora. Byleś ty więc, droga, zachowywała się dobrze, pewną bądź, że nam Bóg pozwoli przy sobie z sobą pożyć, odpoczywając i uśmiechając się na przyszłość. Droga! całuję nóżki twoje po tysiąc razy. *Juliusz.*

89.

Dnia 2 lutego 1844 roku.

Niespokojny jestem nad miarę, albowiem odebrałem dowód twojej pamięci, lecz rzucony mi z taką ciszą, że się zatrwożyło serce we mnie.

Czy ostatnie słowa moje miały co takiego w sobie, że odwróciły cię ode mnie? Pokój mi dałaś co do ciała, dajże mi dla duszy taką spokojność, otoczywszy mnie twoją ufną i nigdy niezmienną miłością, albowiem z głębi duszy ci mówię, że jestem godzien miłości twojej i Bożej opieki, nic bowiem nie czynię przeciw sumieniu mojemu i dlatego mam drogę twardą, często samotną, ale zawsze prostą; i czują to ludzie, albowiem uczucie wnętrzne człowieka czuć się daje wszystkim i wszędzie. Otwarcie powiem ci, że chciano mi tego wnętrznego spokoju ująć, dlatego prosiłem cię, abyś ty twoim niezachwianym duchem pomagała mi, albowiem twoje tylko zachwianie mogłoby mnie

zatrwożyć, ale to niepodobna, abyś ty, która znasz moje serce, wątpiła kiedykolwiek o jego czystości.

O jak mi smutno, jak boleśnie ten list pisać do ciebie, z całą trwogą, którą mię napełnia twoje długie milczenie; nie wiem, o czem mówić ci mam, i oczekuję z niecierpliwością wyjazdu tej małej Zosieńki, albowiem ona ci powie najlepiej i wytłómaczy wszystkie okoliczności. Wyjazd ten za miesiąc nastąpi.

Wierz, mi, droga, że się tu dla mnie nic nie odmieniło: zawsze mam mocną wiarę, że się wszystko dobrze skończy, że jeszcze będę mógł uściskać nogi twoje i przeprosić za wszystko, coś ucierpiała dla twardości mego charakteru, a z przyczyny też i tej Bożej, że duchy takie jak ja muszą cierpieć, aby zdobywać moc, muszą nieraz z małych drobnostek miłości własnej lub pokoju robić ofiarę, aby nie stracić ostatecznego tryumfu i nie wyjść, jak głupcy, na końcu tego żywota z kieszenią napełnioną samemi błyskotkami i szkiełkami świata: to jedyna byłaby dla mnie tortura, innej na świecie nie ma, albowiem nic więcej innego ma nade mną mocy, ani mi zadać może boleści.

Piszę ten list smutniej niż kiedykolwiek, bo pierwszy raz tej zimy śnieg pada, i zupełnie pokrywa galeryę przed mojemi oknami i wazony z kwiatami na niej stojące; widząc tę białość, przypominam sobie mimowolnie ów ogródek, gdzie ja niegdyś, u Filów mieszkając, po śniegu przechodziłem, aby się przez okno piekarni do ciebie dostać. Jakem ja wtenczas blizko był serca twego! a jednak może dziś bliżej jestem, bo miłość moja powiększyła się, bo rano i wieczorem w modlitwie na imieniu twojem zatrzymuję się zawsze goręcej myśl moja, i boleśniej woła Boga o łaskę.

Cudowny kilka tygodni temu miałem sen o tobie: oto śniło mi się, że cię widzę na Czerczy, na jednej ze skał nad leszczynami, rozszerzoną dziwnie

i niby od głowy fontannami lejącymi się okrytą tak, że miałaś kształt srebrnego szerokiego z wody lejącej się namiotu. Wytłómaczyłem sobie, że to jest prawdziwy namiot schronienia się z łez wylanych nade mną. Takie mi ty poły otwierasz? tak ty masz schować przestraszone dziecko pod spódnicę, taki ty mi domek wymiatasz na przyjęcie moje? Otrzyj te łzy, droga, i bądź matką Grachów chrześcijańskich, bo ja także pracuję o rozdział równy miłości na ziemi i muszę do końca...

Dostań sobie Plutarcha, ale prawdziwego Plutarcha dzieło, i odczytaj w nim życie Koryolana, proszę ciebie, bo mi niedawno serce z nim, za jedno czując, pękło, kiedy nie mógł wytrzymać na krześle siedzący wódz, ale na widok matki wstał i rozpłakał się i rzucił jej na szyję.

Ty, moja droga, weźmiesz stamtąd naukę, że czasem syna prosić o nic nie trzeba — nie, droga, fałsz napisałem, inna jest nauka w tej dawnej historyi i tej się nam trzymać należy.

Z rozrzewnieniem to wszystko piszę i ten list wiele mię kosztuje... Rozwesel mię, droga, niech ja nawet na śnieg patrzę bez boleści. Rozwesel mię, pisząc, że czekasz cierpliwie i z ufnością tego, co Bóg obmyślił, bo bez tej cierpliwości miłosnej, w Bogu złożonej, życie nasze byłoby codzienną męczarnią i musielibyśmy zniszczeć oboje na próżnych wysileniach.

Czekam na makatkę, względem której dałem Hausnerowi rozporządzenie. Tymczasem wiosna mi się zbliża a choć dziś śnieg, to za dni kilka słońce, bijąc w moje południowe okna, zupełnie mię ozłoci i rozweseli, kwiatki moje porozkwitają, a może i co więcej zazielenieje; wszystko ma przyszłość tajemniczą, a przeszłość dobra, bo świadczy, żeśmy cierpieniem zasłużyli na pociechę. Uściśnij Filów ode mnie,

którzy już, zda się, o mnie zapomnieli, i bądź mi dobrą i kochającą niezmiennie.

Juliusz.

90.

16 kwietnia 1844 roku.

Droga moja! Dawnom nie pisał, bo pisać teraz do ciebie, jest to dla mnie rzeczą wielkiej wagi... chciałbym bowiem w każdym liście dać ci uczuć prostą woń ducha mego, głąb myśli moich... a na to potrzebaby nam rozmowy długiej i długiej, potrzeba by, abyś ty uczuła ciepło moje ludzkie i razem spokojność anielską ducha, miłość wielką, która się we mnie rozwinęła, tę wiarę nareszcie, która mi odkryła wszystkie tajemnice, wszystkie, mówię ci — bo już dla mnie zasłona grobu uchylona jest zupełnie. A oto ty daleka, przeczytawszy te wyrazy, weźmiesz je za jakąś nową poezyę i marzenie, gotowaś je wziąć za udział poematu, a mnie za jaką nową osobę fantastyczną, która już żadnego związku nie ma ze światem... Tymczasem ja, prosty teraz człowiek, odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec, czar, który dawniej zostawiony był instynktowi i rozwijał się lub gasnął w człowieku jak lampa.

Teraz ja budzę się rano i wraz rozweselony jestem wnętrznie i już na cały dzień taki zostaję, gotów każdego, ci się przybliży, oblać jasnością ducha i rozradować go, aż się do harmonii ze mną ułoży. Zdobywcą jestem duchownym... i ty myślisz, że mi się długo opierać będziesz, że wkrótce nie porwę ciebie mimowolnie samym tylko szumem i wiatrem lotu lecących ze mną aniołów...

Co znaczy ten smutek twój taki głęboki? Ty silna jesteś, ty jesteś wielkim duchem; jedno słowo li-

stu twego: leć do mnie! porwało mię tak, że ledwiem utrzymał ducha mego w piersiach, tak pociągnęłaś silnie za ten łańcuch, który nas wiąże. Pomnij tylko, droga moja, że tylko pohamowana w nas siła jest siłą i zostaje darem Bożym... Zachwycenia więc i smutne i wesołe pochłaniaj w pierś matki, jak gdyby ta pierś była piersią mężczyzny.

Największą radość uczuję, gdy w listach twoich zobaczę siłę rosnącą, pohamowanie jej, spokojność... i moc Chrystusowej natury... Ta moc bowiem jest do zdobycia przez każdego ducha na ziemi: o nią prosić Boga, nią działać, jest to zadanie całe człowieka; przez nią stajemy się panami zupełnymi nawet okoliczności, zda się, zupełnie od nas niezależących. Skra jej a już człowieka czyni wielmożnym... O cierpliwość proszę cię, droga moja, we wszystkiem, co się mnie tyczy... a wierz, że nic mi się złego nie stanie. Piszę ci to głęboko z wiary mojej, i dlatego, że do ciebie piszę, inaczej byłoby to kuszeniem Boga. Ale cóż, kiedy w duchu moim jest ta pewność, ta wiosna niby druga życia i świeżości, i siła, której dziś jeszcze używszy na rzeczy świata, mógłbym zdobyć nią wiele rzeczy, za którymi inni ludzie gonią napróżno.

Był tu kochany Bieńkiewicz, który mi o tobie wiele rozpowiadał; on mię niejako obeznał z nowem życiem twojem: wiem, jak ty rano siedzisz w okienku otwartem, jak wtenczas jesteś wesołą i gotową do pogawędy... Widzę cię potem w zrujnowanym domku mszy słuchającą, widzę ciebie i tych, którzy cię kochają — i wszystkich kocham i z wszystkiemi jestem na zawsze... A ponieważ wiem, że żadna dusza samotna do nieba nie weszła i nie wchodzi, ale wszystkie podobne sobie razem się zabrać muszą, pomagając jedna drugiej, dopóki najmniejsza z nich potrzebuje pomocy, więc ufam, że z tą gromadką dobrych a cierpiących niejedną jeszcze pracę odbywać będę... Pamiętaj-że abym cię poznał po piękności Bożej... bo

inne charaktery łatwiej znikają... Piszę to na daleką przyszłość..., albowiem wierzę mocno, że cię tu zobaczę, i po łzach matczynych poznam... i po tych rysach, które mi się miło od dzieciństwa malowały w oczach będąc pierwszemi lalkami w mojej źrenicy... Nic cię więc z moich oczu nie zgubi: pomimo świateł i słońc i orlego blasku, zawsze ty się pojawisz w tych zamyślonych zwierciadłach, zawsze wywołana stajesz w oczach moich...

Ale pamiętaj na to, że my duchy jesteśmy nie na to tylko tu na ziemi przysłane, aby się raz po ziemsku połączyły, ukochały i jak najmniej o świata brudy zwalawszy się, odeszły nie wiedzieć gdzie, aby tam niedoskonałość swoją pokazywać w wieczności... W wieczności bowiem żaden jednooki, ani żaden chromy, ani żaden cokolwiek jeszcze drożdży światowych w sobie mający nie jest przyjęty. A ducha, który się sam ze wszystkiego nie wypierze na ziemi, nie opierają żadne anioły...

Daruj mi, droga, że ja tak niby z wysoka gadam do ciebie, bo wiedz, że gotów jestem w prochu leżeć przed tobą i słuchać wszystkiego, co mi ty z duszy powiesz. Lecz jeśli chcesz listów takiej gorzkiej a ładnej melancholii jak dawniej, to próżno... bo jakżebym ja mógł melancholizować, widząc w każdym kroku sprawiedliwość Bożą i przekonany, że sam duch każdy winien jest smutku, który go uciska.

Zosieńka pojechała do ciebie, ale nie wiem, kiedy zajedzie, bo zwykle jeździ dyszlem rzemiennym. Miłą mi była ta dziewczynka, ale zupełnego w niej zwierciadła ducha mego nie szukaj... Mało jeszcze bowiem jest ludzi, coby się chcieli zupełnie duchem przemienić, myślą bowiem, że to chodzi o porzucenie świata i jego przyjemności, gdy tu przeciwnie my zdobywamy świat i żadne uczucie światowe nie rozminie się z sercem naszem, i żadna miłość w nas nie gaśnie, niczego, się nie wypieramy, oprócz głupstwa i fałszu

i maskowanych rzeczy, i bałwanów zrobionych przez oszukaństwo ludzkie, i zapałów nie z serca idących, i szczęść zdobytych dla małego celu osobistego... i nauki, która nie jest mądrością; lecz wierz mi, że zaszczepione przez nas drzewo będzie miało wszystkie teraźniejszego drzewa kwiaty i owoce, a tem piękniejsze, że z jednego pnia wyrośnie a okryje świat cały...

Gdybym ci o niem mógł powiedzieć tak, abyś uczuła, klasnęłabyś w ręce i dziękowała Bogu że żyjesz teraz i żeś cierpiała... Albowiem podobnej radości, jak nasza duchowa, tem rozwidnieniem świata całego sprawiona, jeszcze nie było... Najwięksi bowiem ludzie o tem nie wiedzieli, o czem wkrótce będą gadać pastuszkowie polscy...

Droga moja, nabazgrałem ci wiele, a wierz mi, że bez żadnej egzaltacyi; więc jeżeli mię zupełnie nie pojmiesz, staraj się, aby serce twoje zupełnie się ze mną nie sprzeczało. Pomyśl, że to już ja nie mały Julo, nie to nudzące cię dziecko, prowadzone na pasku przez Byrona i innych, ale teraz człowiek prowadzący dalej... z tego właśnie punktu, do którego inni mnie rozpaczą i pięknością ducha dowiedli... Chcąc bowiem iść za mną, trzeba być i tam, gdzie ja byłem... albo zupełnie żadnej się goryczy świata nie napić i siąść teraz jak do gotowego stołu... Najwyżsi więc i najniżsi zrozumieją... średni zostaną długo jeszcze, gapiąc się na różne strony. Nie dawaj się więc zatrważać ludzkiemi głosami i tych średnich rozumem, ale wierz, że Bóg duchy podnosi i do swojej sprawy wzywa a ufających mu nie zdradza.

Juliusz.

91.

Dnia 14 maja 1844.

Pisałem do ciebie niedawno, najdroższa moja, a to było po długiem niepisaniu, które wyrzucam so-

bie, albowiem teraz odbieram list twój pełen niespokojności. Ta niespokojność twoja ciągła i ciągle odnawiająca się, jest mi prawdziwą męką, albowiem z jednej strony obawiam się skutków częstego pisania do ciebie, a z drugiej widzę, że ciągle by pisać trzeba, co dzień, co tydzień, ach co godzinę! Bo ty, droga, nie ufasz Bogu, nie masz wiary w niego, wiary tej, że jeżeli ja dobry a czystem sercem pracuję dla niego, choćby ta praca była łez pełna i boleści, to łzy te będą mi chlebem żywota i boleść ta będzie mi jako fontanna młodości, która mi zawsze ciało odkąpie i da zdrowie... Ale ty, droga moja, chciałabyś, abym ja wyglądał jak jabłko rumiane, i uśmiechał się do maleńkich rzeczy, i cieszył się z małych drobnostek; nie dziw więc, że w przeczuciach twoich czujesz mnie cierpiącym, bo cierpię jako człowiek, który serce ma pełne miłości, bo tego cierpienia nietylko mam na jeden dzień lub na dwa dni, ale mam go na wieki długie, jako duch nieśmiertelny i pracujący... Wieszże ty, droga moja, że jeżeliby mi co było niebezpiecznem, to właśnie szczęście ludzkie, szczęście jakie wielkie, ogromne a zupełnie ludzkie, spotkane na tej drodze, na której siły się moje zastosowały już do innego życia; póki walki, póki oporu, póki nadziei, póty ja jestem nieranny, jak to czuł kiedyś Homer, raniąc Achilesa w piętę.

Wierzaj, droga, jeślibym ja się w drugą stronę do odpoczynku już i do zwykłości światowych obrócił, to mię cierń pierwszej róży w piętę ukole i życia pozbawi. Wiarą mi więc siły dodawaj a nie wysączaj mi łez z oczu moich, nie przemieniaj mi krwi w tę wodę, w którą się mimowolnie najserdeczniejsza krew moja przemienia, kiedy czytam miłosne a matczyne trwogi twoje.

Oto napisałaś mi w liście, że chciałabyś przyłożyć rękę do czoła mego, że chciałabyś przycisnąć moją do serca twego, a ja, który wstałem z czołem pogo-

dnem i z ręką gotową do pracy lub uścisku, teraz czuję, że mi czoło płonie a ręka drży, tak ty je rozchorowałaś oboje... Droga i najukochańsza! jeszcze raz, bądź ty o mnie spokojna. Gdybym ja musiał po kładce jakiej wązkiej iść nad falą ognistą pożaru, a tybyś ciągle z daleka krzyczała: ach upadniesz! ach już upadasz! powiedz mi, nie odjęłażbyś mi tej przytomności, która jest potrzebną człowiekowi? Cóż zrobię na uspokojenie twoje? Gdyby to były dawne czasy, powiedziałbym ci, że kazałem sobie zrobić zbroję u pierwszego płatnerza i w tej będę chodził w wieczór i rano... ale teraz, droga moja, czując się zupełnie pod ręką Boga, nie wiem, czem ciebie mam uspokoić, jeżeli nie Bogiem. W imię więc jego proszę cię, uspokój się.

Jam odebrał przed tygodniem makatkę — jaka cudowna! jak ty nad nią pracowałaś! Ona jest tęczą mego bawialnego pokoju. Wisi nad kanapą a naprzeciw jest lustro, które mi ją siedzącemu przy stoliku odbija. Faworytką moją jest dziewczynka zadumana z kwiatem w ręku: zdaje mi się, że to jak w poemaciku Szwajcarya. Żebyś ty, droga, była w sercu mojem tego wieczora, gdym ja od... przywiózł do siebie, trzy świece zapalił, położył ją zwiniętą na kanapie, i uhamowawszy się z ciekawości, uklęknął przed nią i pomodlił się wprzód, nim zobaczył... Cały ten wieczór pokój mój był pełny ducha twego... Teraz przez większą część dnia przytomną mi jest w oczach praca twoja... Twoje kolory mi rozwidniają źrenicę...

Listek oddano Ksawerynie, która mi pisała z podziękowaniem, obiecując, że do ciebie napisze. Bieńkiewicz jest przy niej i pisał do mnie z Rzymu. Za półtora miesiąca i ja wyjadę do morskich kąpieli, bo mię przeszłego roku bardzo orzeźwiły tak, że całą zimę tą czerstwością żyłem. Morze także i dla myśli potrzebne. Spojrz ty na fale i rój sobie, że gdzieś na



Panorama Florencyi.

przeciwnym brzegu Jeruzalem, do której ja wędruję na koniu, bo tak było. Patrz na te fale i pomyśl, że ja przez czterdzieści dni na takich samych wahałem się, a nic mi się złego nie stało, owszem, spokojne było morze i wyzwierciedlone, jakby chciało mi duszę nauczyć pokoju. Ach, droga! piękny szeroki świat! lecz piękny aż wtenczas, gdy się człowiek uczuje duchem, panem jego.

Zazdroszczę ci Julinek i tej podróży z Filami wiozącymi pszenicę, zazdroszczę i tych kwiatów ukraińskich, i tych lasów dębowych, i tej cichości, która was owionie na stepie, zazdroszczę wam... nie sądząc jednak, abyście wy byli szczęśliwsi ode mnie, bo ja często w duchu mam teraz takie szerokie męskie uczucia, jak gdybym szedł na słońce. Lękam się, że File nieco dla mnie ostygli... ale nie dziwi mię to, albowiem tak być musi od czasu z wielu ludźmi, którzy przywykają łatwo do człowieka takiego, jak był a często im smętno widzieć go, że się transfiguruje... Fil nie lubił w Rzymie Transfiguracyi, a Rafael kazał ją sobie nad trumną powiesić, gdzie ciało jego było wystawione na widok publiczny. Za pierwszem ściśnieniem ręki zdobędę na powrót i odzyskam całe ich serce... czuję to i dlatego nie smutno mi, że Jul przestał im być tak miłym jak dawniej...

Lecz ty, droga, chociaż ciebie na początku listu trochę połajałem, wiem, że się nic a nic nie odkochasz z twego ukochania... ale mi zostaniesz zawsze wśród wszystkich kochających najbardziej kochającą i najukochańszą. Całuję ciebie.

Juliusz.

92.

Dnia 12 sierpnia 1844.

Najdroższa moja! Nad oceanem odebrałem twój list, najkochańszy, najmilszy z listów, bo pełny wesela, z rozradowanej duszy cały wyjęty, otwartemi ustami śpiewany Bogu, prawdziwie taki hymn, jaki się od duchów-aniołów Bogu należy.

Odebrałem go w pierwszych dniach pobytu mojego nad morzem i z tym listem poszedłem na wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczą bladych nadmorskich kwiatów malowane, szerokim morza błękitem obwiedzione, gdzie wszystko, smętne i miłe i szeroko błękitne, listowi twojemu wtórowało. Spostrzegłaś więc nareszcie, droga moja, że wszystko, co nam karą się zdawało, jest błogosławieństwem Bożem, że więcej odebraliśmy od niego, niż nam się należy, bo obejrzyj się na ludzi; oto są niektórzy szczęśliwsi niby od nas, ale im serc nie staje, i nieszczęśliwsi od nas, a dusz nie mają. Piszę ci to z krainy, gdzie ludzie we wszystko obfitują, ale miłość ludzka jest im zupełnie nieznana, nikt nie jest w niej uwielbiony, nikt podobnego tobie żywota nie prowadzi, bo i tu mówią o tobie (wczoraj słyszałem te słowa: żeś ty jest uwielbioną matroną); może ci się to wyrażenie wyda śmieszne i przesadzone, ale dla mnie słodkie było ono jak jaki napis monumentowy, wielkim językiem przeszłości pisany.

Pisz więc, droga moja, i utrzymuj ten stan wysoki duszy twojej; nie mówię, aby on trwać miał bezprzestannie, bo smętne i rozpaczne chwile muszą czasami powrócić i ducha rozhartować, ale radość i pokój Boży z większą siłą wrócić powinien i być niby dnem, na którem się inne uczucia malują.

Jam się przez miesiąc kąpał w morzu, odwiedzałem to samo miasteczko, które w zeszłym roku odwiedziłem; wszyscy mię poznali, wieśniacy nawet,

wszyscy uśmiechami jeszcze jadącego w dyliżansie witali, a cóż dopiero w oberży, gdzie oberżysta z żoną, staruszkowie jak Filemon i Baucis, otoczeni tłumem służących wieśniaczek, oblegli mię do koła, wszystkie pokoiki otworzyli, abym sobie wybierał między niemi najdogodniejszy, i radośniejsi, niż byli przedtem, odeszli... zostawiwszy dalsze przyjęcie falom morza, druidycznym kamieniom, które ulubiłem sobie dlatego że są od wieków na smętnej pustyni stojące.

Wkrótce po przybyciu mojem cała oberża się napełniła przyjezdnymi i stała się brzmiącą, bo z belek sosnowych i desek budowana, jak niby skrzypce jakiego olbrzyma, Mirmidonami napełnione; głos fortepianu, gwary dzienne a tupoty tańców wieczorne rozlegały się bezprzestannie, bo tu ludzie innego szczęścia nad rozrywkę nie znają, ani nawet domyślą się, że szczęście i wesele w duszy być może... O, chciałbym tu chociaż na chwilę sprowadzić Fortunata kochanego, aby się z ostatka swojej tęsknoty uleczył... a pewny jestem, że pobywszy miesiąc z figurami dzisiejszej Francyi, poszedłby ze łzami całować wszystkie dęby poważne puszcz naszych, i łzawemi oczyma patrzeć na fiołki, także czystemi łzami oblane.

Błogosławieni wy jesteście, bo żyjecie sercem i smutkiem; jużeście się przesycili i już go więcej w was wlać się nie może, bo pełni jesteście. Cały cud ducha i wszystkie boleści już są za nami, a teraz ciągle rozwidniać się nam będą niebiosa — obaczycie.

Co do mnie, coraz mi lżej, coraz mniej oporu ludzie mi stawią, a co mi głosu żórawianego od was zaleci, to wszystko na miłą nutę, wszystko płacące mi choćby za wieki cierpień, choćby za ofiarę ze wszystkich kropel krwi mojej, z duszy nawet zrobioną.

Sama nareszcie siła Boża zdaje mi się ciało moje hartować, naturę kości moich przemieniać, na dłuż-

sze trwanie mię przeznaczać, drugi niby żywot mi zapowiadać, nowy zupełnie, lepszy od tamtej burzy, która mię tak była zmordowała, żem prawie w grobie chciał być dla spoczynku. Teraz życie i śmierć jednakowo mi są ponętne i niczem się nieróżniące od siebie: wierzcie mi, że tak jest i tak być musi wkrótce dla wszystkich ludzi, którzy zdobędą uczucie nieśmiertelności ducha i wszystko jasno zobaczą. Aby zaś to się stało, pracować będę bez wytchnienia i bez pośpiechu niecierpliwości. Taka praca jest prawdziwym rajem na ziemi.

Dlaczego ty, droga, chcesz szczegółów życia mego i materyalnych okoliczności? Na wszystkie pytania, które by mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić, czy jestem szczęśliwy, odpowiedziałbym w takim sposobie, iż człowiek ten osądziłby, że mi wszystkiego, co do szczęścia należy, nie dostaje. Albowiem, jeśli szczęściem jest zabawa, tej ja nie znam; jeśli pieniądze, tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniej, niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło; jeśli szczęście jest w pochwałach od ludzi odbieranych i w oczy mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdrygam się, czując niby wstyd jakiś i uczucie upokorzenia. Gdybym ci opisał, droga, życie moje zewnętrzne, ty sama możebyś zwątpiła o szczęściu mojem... możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że ci dziecko twoje nie podług miary obdziela. A jednak, jeżeli ty prawdziwie szczęścia mego żądasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, żem jest pełen jakiejś wnętrznej radości, która się czasem aż w głosie moim tonem śpiewu przebija, jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mojego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko w przestrachu śmiejące się, bo pewne opieki. Pytasz mię, droga, czy jadłem wielkie święcone? A ja cię proszę, abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami

karmią tłum niewybrany i potem głośno mówią: daliśmy jadła i słudzy nasi pożarli je... albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić i serca przelać ogniem, upoiwszy je z palących kielichów, i stawiać ciągłe święcone pod nieba błękitem i takim jadłem wiązać ludzi, aby więcej nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, który karmi. Dla wiadomości twojej jednak powiem, że i na tamtem święconem byłem, ale smętny aż do śmierci, widząc, że przeszłość jadła, aby żyła.

Listy Ksawerynie dawno odesłałem; nic nie posyłam z robótek Hausnerowi, bo mię już za to dwa razy wyłajał, a ja nie mam prawa przeciwko woli jego czynić.

Droga moja, cierpliwą bądź, o cierpliwość proszę ciebie najmocniej, prawie ze łzami rozpaczy, bo nie ma większej tortury, jak czuć się ciągle napędzanym wtenczas, kiedy człowiek ostatnich sił dobywa i zupełnie jest wyprężony, a ludzie ciągle krzyczą: i cóż? i nic? a kiedy? odpowiedź na to jak w ewangelii: słabe ciało jest, ale duch wiele może.

Na krótki czas więc jeszcze bądź cierpliwą, proszę cię, nie chciej małych, małych rzeczy, aby ci się wielkie stać mogły i małych próśb nie zanoś do Boga, a małą prośbą jest prośba o ziemską pomyślność moją. Proś go więc za ludźmi, nie za mną, a za mną tak jak za ludźmi, nie rozłączając mnie w niczem z ich losem, bo jam jest we wszystkich, a wszyscy są we mnie. Mnie wolno jest osobno za ciebie się modlić, bo od ciebie mam wszystko ziemskie: i nańczenie w dzieciństwie, i pokarm, i łzy, i wszystko aż do tego czasu... Gdyby mi więc Bóg odjął co a dał tobie, byłby miłosny i sprawiedliwy.

Niespokojny jestem o ciebie, pisz mi prędko.

Twój *Juliusz.*

93.

Dnia 2 października 1844.

Moja droga! Dlaczego ja tak długo jestem bez listu od ciebie? Tak długo w niespokojności? i w jakiej jeszcze! Serce moje zupełnie zmieszało się. Niewypowiedziany smutek czuję na sobie.

Jeżeli ty przez lenistwo nie piszesz, toś bardzo przewiniła, boś ty mię ciągle miłością twoją wspierać powinna, wiedząc, że ja mam ciężką i samotną drogę — Boga tylko i ciebie — bo mi tak przeznaczono było, bo o takie życie cierpiące sam prosiłem aniołów, będąc dzieckiem... Ile by mi było lekko i radośnie cierpieć duchem czysto i dotrwać do końca, gdybym wiedział, że tobie dobrze, że ty Bogiem strzeżona.

Gdzież ty teraz? Może w Julinkach, na dawnych miejscach, gdzie tyle wspomnień, gdzie ja dziecko marzyłem o wielkich podolskich rycerzach, gdzie tyle georgiń gwiazdy kolorowemi około kląbów pali się, gdzie stoi krzyż drewniany i gada o Jasiu i Julce; może ty tam w cieniach pasiecznego lasku patrzysz spokojnie na złote światło jesienne i myślisz o mnie, a nie wiesz, że ja od dwóch miesięcy z niespokojności nie wychodzę. Wszystko mię dręczy, i Filowie, zdaje się, o mnie zapomnieli, niby z jakąś goryczą odwrócili się ode mnie, szukając lepszych, prostszych ludzi, myśląc, że już ja na mgłach oparty, już stracony. Cóż ja będę pisał? Kartka ta wydaje mi się tak długa, jak cała przestrzeń, która nas rozdziela, jak cały czas, który na odpowiedź czekać muszę, a ja radbym wydrzeć z powietrza, które mnie otacza, to jedno słowo, że ty zdrowa, i ot zaraz rozśmiać się sercem z próżnych bojaźni moich.

Zmiłuj się, droga! usłysz mię i odpowiedz prędzej, niż cię ten list doleci. Odpisz mi szczerze, lecz pamiętaj na to, pisząc, że list to nie słowo, że ja ci ani oczyma, ani wyrazem twarzy nie mogę się natychmiast

usprawiedliwić, ani łzami przekupić ciebie na stronę serca mojego. O! kochaj mnie i pozwól smutne ci listy pisać, kiedym smutny, bo by mi czasem siły nie stało na ten uśmiech serdeczny, który mieć muszę dla dzieciątek świata, coby z mojego smutku źle wnieśli o interesach Bożych na ziemi i aniołów.

Wierzaj mi, droga, że ten smutek jest to rodzaj szczęścia, na jaki dusza moja jest skazana podług swojej natury, a jeżeli chciałbym być czasem podług świata, szczęśliwy, to tylko dlatego, że wiem, iż to by ci szczęście przyniosło.

Pisz — pisz, a ja odetchnąwszy z tego tchnienia które niespokojność zaparła mi w piersiach, napisać przyrzekam list długi i pełny szczegółów... teraz nie mogę..., tylko modlę się do serca twego, które jest w ręku Bożym.

Juliusz.

94.

Dnia 8 października 1844.

Najdroższa moja! Jakże ja żałuję, żem ci posłał ten list smutny przed dwoma dniami. Jeszcze drży mi ręka i drżącą tak podpisywałem się na kartach Hausnera, który może się lękać będzie, czy to nie kto inny podpisał, a to było tylko wstrząśnienie na widok twego pisma, które jużem był rozpieczętował, już przelatywał oczami. Ja, który ci chciałem wlać wiarę niczachwianą w Boga, od wszelkiej przeczuciowej trwogi obronić, pokazałem się równie słaby i równie drżący i niespokojny; odpuść mi i ty, i Bóg niech odpuści.

Droga! dzięki ci za te listy, bo byłem z tobą w Odesie, widziałem to morze kirowe i ten miesiąc hostyą światów... i Staśka zadumanego, oczy-świetliki w ciemności; a ty, droga moja, ty otoczona takim żywych i umarłych wiankiem, ty nad tem morzem, co

dawniej tylko z dum było znajome ojcom naszym, którzy wiedzieli, że gdzieś tam ono szumi i przeważa się i pieni. Ty, droga moja, na tych bulwarach, jak ten człowiek bronzowy w Rzymie, nie u siebie siedzący... wymalowałaś mi się dziwnie, z jakąś boleścią pełną wielkości straszliwej.

Bulwary te pamiętam ja słabo, jako ludzi girlandę, uwieńczoną gdzieś nad morzem, lecz jak tam morze szumi? skąd księżyc wschodzi? już nie pamiętam; dalsze mi teraz morza więcej znajome, Bóg mnie otoczył jaśniejszemi księżycami, a dawne morza i gwiazdy palcem ukazuje w ciemności, abym je zdobył, abym do nich doleciał wiarą i miłością.

Powiem ci, droga, że niespokojność o ciebie niby jakimś ciężarem przybiła była myśli moje w tym ostatnim miesiącu. Bóg widzi, że go nie proszę o żadne ziemskie szczęście, jako o zachętę do lepszej służby, ale proszę go, aby moich miłych strzegł i bronił, abyś ty nie cierpiała, proszę go. Wszystko inne niech idzie jako chce, niech się fala ludzi zbliża do mnie albo się oddala ode mnie, to mnie bynajmniej nie trwoży; we wszystkiem wytrwałości trzeba, a cóżby to było, aby poświęcenie się i czystość miała być zaraz widocznie na ziemi dziennie płacona?

Widząc jednak, jak trudno jest budzić i miłością wskrzeszać umarłych, z większą jeszcze pokorą zaczynam pracować i ciągnąć dalej tę pracę, która nie jest dzienną, ale wieczną, bo wiesz ty, droga, że my od wieków pracujemy już a małośmy bardzo zrobili roboty: opatrz się na siebie tak, jak ja się na siebie opatruję i rozliczam z siłami mojemi; ach! nawet niezdolni jesteśmy ciągle czuć w sobie tej młodości silnej ducha naszego, która czuje się zawsze i wszędzie taką zdrową, że światy przeżyje. A wiesz ty, dlaczego tacy jesteśmy? oto dlatego, że często pozwalaliśmy, iż nas fala smutku gięła i kładła na ziemi, a często też mając jaką robotę, czyniliśmy ją własnemi siłami,

nie pijąc ciągle ustami z Boga siły i mocy twórczej, stąd to moc nasza wyczerpała się. Ileż razy cała moc ducha naszego poszła na fajerwerk spalony przed oczyma kochanej osoby, ileż razy oddaliśmy wszystko, co w nas było, a potem ze smutkiem wypróżnionego z ognia posągu czekaliśmy ponuro na stronie, aż się ciało rozsypie; dusza z takiego ciała wychodząca, rodziła się znów już smętna, już pełna rozpaczy i zachceń niewymówionych, i często prawie wzywała Boga, ażeby się przed nią usprawiedliwiał, dlaczego z taką ją na świat przysłał naturą.

Cóż teraz czynić, droga moja? oto uwolnić duszę jak najwięcej z pod wszystkich ciała ucisków, a iść jedynie po świecie tą duszą ciągle młodą, ciągle rosnącą w moc i życie. Wszak to jest proste, droga moja, wszak to cię łączy z najświętszymi duchami, które tak szły tak idą i niewidzialnie tak idącymi opiekują się. Cóż tu w tem jest niezrozumiałego? Czyż to nie jasno, że wiele tych wypadków, które my tu trafowi i losowi przypisujemy, stały się siłą niewidzialną, nam bratnią. Powiedz mi, kto szczepi w sercach ludzi miłość dla ciebie? oto natchnienie jakieś, które powiada tym ludziom, że w tobie jest anioł piękny, że za tobą albo z tobą iść trzeba, aby się dostać prędzej do szczęścia dusz.

Któż te natchnienia rodzi? kto sławę człowieka roznosi po świecie, albo drugiemu wszędy przeszkody stawia na drodze? Uwierz, żeśmy nieśmiertelni od wieków a pojmiesz, co to jest ta moc środkująca między nami a Bogiem, to nakazane przez kościół modlenie się do świętych i otrzymanie przez świętych wszystkiego... z tą różnicą między wiarą tą a wiarą teraźniejszą że ci święci nie są to tylko ludzie, którzy pościli i żyli po zakonach, ale wszyscy, którzy dla wielkiej duchowej idei z ciała, ze szczęścia nieśli ofiarę; na czele takiego kalendarza jest Leonidas, a na ostatniej kartce wielu, których ty znałaś, bo świat

cały i nadświat jest pełen świętych moich i twoich. Z takiem to uczuciem (już nie wiarą) wnętrznem nieśmiertelności i związku mego z nieśmiertelnemi jestem teraz i chodzę po świecie; wiem, że igraszką małą nie można wykupić się u Boga od ciężkiej pracy, wiem, że nie opuści nas z ziemi, aż będziemy piękni jako Chrystus i mocni duchem jako Chrystus.

Wszystkie te uczucia twoje, kiedy patrzysz na miesiąc biały, całe to duchowe rozlatywanie się twoje jest dowodem wezbranej duszy nad miarę ciała, jest znakiem, żeś ty już za wiele względem świata na dzisiaj woni w sobie i blasków niebieskich zaczerpnęła, a teraz nie wiesz, gdzie iść, co z niemi robić; więc ci smętno, że te skarby są nieużyteczne. A jednak, powiedz mi, chciałażbyś być bez nich? czy, odbieżona nawet przez twój smutek i boleść macierzyńską, nie przeraziłabyś się skamieniałością nagłą uczuć twoich, ołowiem myśli spadającej do wszystkiego, co ziemskie? Wierzaj mi, najdroższa, że te smutki twoje są siłą duchową, już zapłatą twoją za przeszłe męki i ofiary. One to pozwoliły mi, że z serca twego mimo smutków ziemskich i udręczeń, które cię otaczają, wyszedł głos dziękczynienia i śpiew radosny, który słysząc, utrzymywałem się nad morzem i słuchał, myśląc, że to gdzieś aniołowie śpiewają.

Wszystko dobrze... Jestem zdrów i pracuję a zatem jestem zwykle zamyślony; to zamyślenie przerwane jest niekiedy przez państwo Pattey (brat Eglantyny ożenił się z młodą dziewczynką), którzy mi przedstawiają widok miodowego miesiąca, lecz francuzko-miodowego miesiąca: bowiem pobrawszy się prawie nieznani sobie, od pierwszych dni zaczęli wzajemne odkrywać wady, a to z całą komicznością komedyi Moliera. Chciałbym, ile można, podnieść ich ducha i uszlachetnić oboje, albowiem małżonek zaczął od niszczenia w dziecku uczuć, które miało dla matki i dla powagi domowej rodzicielskiej.

Gdybyś ty widziała to straszne piekło ziemskie, które ja czuję w każdej strunie tej harfy, nie pojęłabyś nawet, skąd taki dźwięk wychodzi... Dosyć ci powiedzieć, że młoda małżonka przy mnie i przy mężu odezwała się raz głośno, że uwielbia panią Laffarge,[1]) sławną otruwaczkę tutejszą, która męża otruła i teraz w więzieniu napisała memoiry[2]) życia swego, a słowa te przy okolicznościach domowych tak strasznie w tym domu zaszeptały jak echo Makbetowego zamku, a że straszne były, to ci dowiedzie to, iż mąż się na nią oburzył, a zatem widać, że obaczył podobieństwo.

W takiej my ziemi jesteśmy, droga moja, czekając, aż nas Bóg z tego Egiptu wyprowadzi. Módl się więc całym duchem za mnie, bo w duchu jest życie i moc prawdziwa, a ja ciało trzymam duchem, prawie z wiarą, że póki chcę, to go utrzymam bez szczerbku. Bogu niech będzie chwała, że mi twój list zesłał dzisiaj do mego mieszkania, gdzie już smutek jakiś zaczął mi z kątów wyglądać, a teraz znów wesoło i cicho jak w wiejskim kościółku. Ściskam cię i dziękuję i całuję. *Juliusz.*

95.

Dnia 30 listopada 1844.

Dziwny dzień miałem po odebraniu listu twego, droga moja: z jednej strony widok tego domu, gdzie otoczono ciebie wspomnieniami o mnie, gdzie ten mały aniołek prawdziwie po anielsku śpiewał ci o duchu moim, bo zaprawdę, Bóg go natchnął i dał mu takie uczucie, jak gdyby coś z pośmiertnej chwały synowskiej zaśpiewał ci; z drugiej strony moje rozczarowanie względem Salusi, dawno przeze mnie przewidziane, spadło mi na serce ciężko, bo czemużbym miał przed

---

[1]) Czyt. Lafarż.

[2]) Czyt. Memłary — pamiętniki.

tobą brać tę spokojną i marmurową postawę, którą przed światem mieć musi ten, co ma coś większego do spełnienia, niż zajęcie kilku miejsc między zapyloną gromadą umarłych. Winien jestem i nie winien.

Wiesz, droga, co się stało po odkryciu Ameryki? w księgach tego nie piszą, ale ja wiem od samego Kolumba. Oto po tryumfalnem jego przyjęciu w ojczyźnie, królowa wezwała do swego pokoju jednego z towarzyszy Kolumba i pytała go, czy to prawda, że Kolumb jednej z wysp nowo odkrytych dał nazwisko Izabeli? Prawda, odpowiedział dworzanin i lice królowej wyjaśniło się jak słońce; z uśmiechem więc rzekła: „Wyspa ta, jak sądzę, musi być największa z wysp odkrytych?“ Dworzanin, który nie był jednym z przyjaciół Kolumba, ale owszem rad był zniżyć go, zwłaszcza, że uczynić to mógł bez fałszu żadnego, odpowiedział, że wyspa ta, imieniem Izabeli ochrzcona, wcale nie była wielką, owszem jedną z najnędzniejszych wysepek Oceanu. „Ale przecież, rzekła królowa, musiało się znajdować na tej wyspie coś czarującego, kiedy ją Kolumb mojem imieniem ochrzcił i zapewnie ogrody znalazł pełne róż i cynamonowych lasów? zapewne powietrze pełne ptasząt, których widok, jak tęcza z drogich latających kamieni, uderzył w oczy Kolumba i mój dyament królewski przypomniał?“ Tu dworzanin już milczał a królowa zachmurzona szła dalej: „to przynajmniej ludzie na tej wyspie odkryci muszą być wzorem elegancyi i rycerstwa, do dworzan moich tutejszych podobni wykształceniem i cywilizacyą?“ Dworzanin i na to nie odpowiedział a królowa dalej: „to przynajmniej mieszkańcy tej wysepki muszą być ludźmi z natury cnotliwymi?“ Tu dworzanin ukłonił się i rzekł: „Najjaśniejsza pani! wyznać muszę, że wyspa, twoje imię nosząca, zamieszkaną jest przez Antropofagów.“ Królowa odwróciła się i nic więcej nie rzekła, ale wiadomo ci, co się stało potem z Kolumbem.

Otóż to jest wyspa moja i całe tłómaczenie się

moje. Pamiętaj ty jednak, droga, że nie jesteś ty królową jednej, ale wszystkich wysp moich. Teraz ci powiem, droga moja, że ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłómaczyć nie mogę, nie wiem bowiem, skąd przychodzą i dokąd idą, ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy z światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą.

Widzisz ty, jak ja ukochałem Księcia Niezłomnego, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał, odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał mi różnicę, jaka między jego przeszłemi a przyszłemi zwycięstwami być powinna: w kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo.

W innym rodzaju, ale nie mniej dziwny wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy: oto w istocie w rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie, nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka; zabójstwo to zostało odkryte i ukarane. To dla mnie jest niby rzeczywistą krytyką, przez jakieś duchowe władze krwawemi literami napisaną.

Mniejszych mnóstwo mógłbym ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdym jechał do Nazaretu, nazywał się Kirkor, tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi, że gdyby był przy męce Chrystusa, to zbawiłby Zbawcę itd. Dlaczegoż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie?

Rzeczy te małe, uważane, dowodzą, że spełniamy jakąś misyę, że nas trzeba było, abyśmy byli, a nie będzie, jak nie będzie potrzeba. Spokojną więc bądź o to wszystko.

Droga moja, teraz dopiero odebrałem twój i ojca mego portrecik... i Fila rysunek... Kochani moi,

przyszliście mię otoczyć. Ojciec mój spokojny, ty uśmiechająca się smutnie, Filo gdzieś w stronę patrzący, z powagą orlą i spokojną. Ciebie mi jednak, droga moja, innej potrzeba było, ja ciebie w oczach mam piękniejszą. Jak jedna z tych Madon hiszpańskich, oczy ty masz wielkie, zielone a ciemne, pełne słońca w dołach czarnego smutku, świecące się jak lampy tajemnicze w Jozafatowych grobowcach; wierz mi, droga, że twoja piękność matki bolesnej jest najbliższą pięknościom aniołowym. Widzę ciebie czasem tak bolejącą, że aż surową mi się wydajesz, wtenczas ze strachem oglądam się na siebie i na moje czynności, i radbym być wielkim, bardzo wielkim... i radbym mieć jakieś twarde, po rzymsku na lwach posłane łoże, aby obraz twój taki mógł z roztwartych karmazynowych firanek wyglądać i odpowiedzieć świętemu strachowi, który powinien panować w sypialnym pokoju człowieka. Nie chcę więc, aby mi się teraz malarz jaki z takim to twoim portretem pokazał, bo nie mam milionów na kupno... musiałbym go odesłać z obrazem i zostać się z pamięcią. Jak to świat w niczem jeszcze nie odpowiada duchowi naszemu, i to jest właśnie wielki post nasz i wielkie nowe męczeństwo, przez które duchem przejść musimy, przechodząc jak dawniej święci przez pustynie.

Jeżeli będziesz widzieć Zośkę, droga moja, to powiedz, że bardzo smutny przechodzę koło sąsiedzkiego domu, gdzie mieszkała.

Biało dzisiaj od śniegu i to mię do was przybliża myślami. Nad tym śniegiem myśl moja zwykle ulatuje, więcej kolorowa, jak Nimfa gwiazdami i kwiatami sypiąca, ale na pół senna, dlatego i list mój taki.

Całuję cię i ściskam, droga moja. Przetrwaj wszystko co złego, a Bóg nam radośniejszymi kiedyś zobaczyć się pozwoli. List ten przyjdzie zapewne na wilię; udrzyj kawałek papieru, na którym usta moje

kładę, tu w dole na prawym rożku, i niech ten papier będzie opłatkiem. Prawdziwie, żem go ucałował i posyłam. *Juliusz.*

96.

Dnia 20 stycznia 1845.

Najdroższa moja! Odbieram w tej chwili list z wrzosem, który gdzieś blizko ciebie rósł i kwitnął, i pomimo zimy przyszedł mnie z rąk Zosieńki pozdrowić, a od ciebie już tak dawno nie mam słowa. Bóg wie, jakie tam między duchami naszymi są tajemnice, ja nic nie mogę pojąć, to ci tylko powiem, że widzę w wielu rzeczach błogosławieństwo jego. Ty, droga moja, przywykłaś do dawnego tonu, do błyskotnych szat, w których występowałem, do melancholii, do jęków, wszystko to uderzało cię jak echo, jak głos znajomy sercu twojemu; teraz przez długi może czas nie będziesz mogła przyzwyczaić się do człowieka, który z oskrobanej mojej figury pokazuje się. Świat także ten sam, ale na świecie jest jakieś niewytłómaczone zbiorowego ducha przeczucie, że jam jest godniejszy miłości niż byłem, z samej liczby tych, którzy się z moją myślą i czuciem teraz zapoznają, a pierwej byli obojętni, mam na to dowód... Zdaje się, że życie moje, podobnie jak ojca mego w pewnej epoce wieku, staje się łatwiejszem, fortunniejszem: wszak i on do profesorstwa swojego nim doszedł, wiele cierpiał; potem zaś zaczęło mu się dobrze powodzić, a on też, jakby wdzięczny Bogu, silniej jeszcze zaczął pracować, z większem zapomnieniem siebie ludziom służyć.

Od dzieciństwa coś mi wróżyło, że ten fenomen i we mnie się powtórzy. Od dzieciństwa lubiłem ten wypadek w historyi naszej, gdy Czarnieckiemu przysłana buława trochę późno a jednak przed zawarciem oczu przychodzi, więc zawsze w czas; i może tak jest najlepiej, kto wie bowiem, ile pomyślność i łatwo zdo-

byte serca ludzi w młodości zawracają głów na tym świecie i niszczą wielkich zarodów myśli w człowieku, który nie potrzebuje sił wszystkich z siebie wydobyć, a powierzchownemi tylko tęczami ćmi oczy.

Teraz ja, droga moja, człowiek dojrzały, już mię łatwy i mały poklask nie złowi, a choćby też i sklepienia drżały od krzyków, to mię nie zatrwożą. Ty jedna zwyczajnym, światowym sposobem obchodzisz mnie: na ciebie oczy obracając, nieraz mimowolnym dreszczem przejęty jestem; myśląc, że i ja przez te złe kładki przejść muszę, a ona widząc, będzie ręce łamała w żałości i rozpaczy. Wszystko można zwyciężyć, nawet żądze serca własnego, a nie można odmienić serca rodzicielskiego kobiety, która zawsze sobie szczęście dziecka podług zwyczajnych ludzi wystawia. O! to słowo straszliwe i wnarodowione u nas: zrobić karyerę ten wąż straszliwy! zdruzgotałbym go jak węża, gdyby on jeszcze gdzie leżał ukryty w twoich miłosnych dla mnie zachceniach.

Droga moja! ja ośm lat mając, przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał a za to za grobem o wszystko się upomnę, a ty chcesz... Ale co ja piszę!... głupi jestem i zapewne z duchami się biję mglistymi... Czyliż tam ciebie czasem nie zaleci dobra jaka wieść o mnie? czyż ci sam pisać muszę naprzykład dowód ten miłości jednego z naszych wsławionych malarzy, profesora w Krakowie, który mi teraz napisał, że synka swego nazwał mojem imieniem i pod ducha mojego oddał opiekę? Cóż, droga? czy ty nie pojmujesz, że to jest niby zapisanie już moje czerwonemi literami w kalendarzu ziemi naszej?... Jeżeli będziesz mogła kiedy, to poślij temu Julkowi Sztattler czapeczkę, albo kaftaniczek, albo cukierek, i pobłogosław go już teraz w duchu... to mój brat jest. Otóż widzisz, że i ja mam serce ludzkie, złożone w mojem sercu na składzie niby i opiece... A ty,

która tyle serc masz, nie zazdrość mi tej dzieciny. Tyś przywykła do takich okazów miłości; w domu Zosieńki ukochano ciebie i kilku słowy odmalowano mi ciebie doskonale, z poniżeniem nawet dla mnie; oto jest frazes: J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a! quelle sincérité d'esprit et de sentiments! etc[1]). Gdybym się bronił, powiedziałbym, że właśnie taka różnica między tobą a mną być powinna, to jest w tobie więcej czucia i zaraz wylewającego się umysłu, a we mnie mniej może tego wszystkiego. Właśnie różnica między kwiatem a drzewem.

Piszę obszernie do domu tego, gdzie Zosieńka otoczyła cię swoją różaną zorzowego aniołka atmosferą; widzisz to, i matka rośnie, bo zrozumiała matkę moją lepiej niż ja rozumiem. Dziwny mój los, że ja wonią dalekich serc żyć muszę, a tu samotny, zostawiony tak przez Boga wielkim wnętrznym boleściom, bo ja nad światem cierpię jak matka i pokarmu mi wszelkiego potrzeba, a czasem ludzie tylko karmią zdaleka, kwiatki rzucając... Nieraz, widząc ten ślaz różowy, rzucony mi pod nos, chciałbym powiedzieć: czy mnie za osła bierzecie? a jednak trzeba być pokornym w przyjęciu wszystkiego, co od ludzi przychodzi. Powszechnie sądzono, że ja cierpię, bo mam czoło smutne; a czoło mam smutne dla tego, że większym od siebie zazdroszczę teraz, a bez mojej w tem pomocy zaczynają się spostrzegać ludzie, że ja zupełnie z innego powodu czoło smutne pokazuję. Spostrzeżenie się to ludzkie jest prawdziwie łaską Bożą nade mną, w mojem wnętrzu cudem jest dla mnie. Wspomniałem ci o samotności mojej, jest to tylko samotność serca, bo co do ludzi, tych mam dosyć przychylnych,

---

[1]) Czyt. Że boku retruwe de wuzanel. Me-ke-de ker ela, kel-sęserite despri e de santiman. — Dużo w niej znalazłam z pana. Ale co ma za serce, jaką prostotę ducha i uczuć.

ale cóż, kiedy ze wszystkiemi muszę postępować jak z kryształowemi lalkami, bojąc się niszczyć tego, co w nich jest półdoskonałością, aby po zniszczeniu tego nie zostali zupełnie martwemi — szanować więc muszę wszystkie półtony, pół-szlachetności, pół-uczucia, pół-zapały, pół-energie i pół-miłostki, i czekam, czekam jak cudu, aż który z tych ludzi obudzi się nagle przede mną i zawoła zupełnie moim językiem. Czy ty wystawiasz sobie torturę takiego oczekiwania! Często już przecież zgodziłbym się pójść jak jezuita i zmagnetyzować jaką kobietę sercem, aby mieć coś podobnego do siebie, choćby ta dusza była tylko artyficyalną i omalowaną po wierzchu piękności złotem i kolorami, ale ta myśl bezbożna trwa krótko, wolę nic nie mieć, niż fantazmo i widmo.

Ileż to ja lat tłómaczę się tobie tak z serca mego; przychodzą mi na myśl te kamienie pod domem babuni, na które ja często patrzyłem w dni słotne, widząc jak krople wody dachowe wyjadają w nich żłobki i dziury; żłobki te jeszcze dziś widzę przed sobą, moje dziecinne oczy wmyślały się w nie głęboko... a różne wtenczas anielskie myśli przelatywały przez umysł słotą schmurzony. Otóż ja tak i serce twoje przejadam... i tak w posępne dnie życia staję zamyślony i patrzę na wyżłobienia jego... i tak duch mój nieśmiertelny pamiętać będzie wiecznie tę słotną porę żywota... i to serce, które było celem oczu jego... choć wiele innych myśli snuło się i błyskawicowało się w zamyśleniu... Pamiętaj, pamiętaj, że byłaś mi matką a będziesz mi siostrą na wieki, a może i córką, bo ta troska twoja o mnie zrobi to, że ja cię przelecę i będę się może opiekował tobą, prosto czując, żeś mi podobna. Ty tego nie zrozumiesz może, droga moja... więc zostawić muszę wytłómaczenie przyszłości...

Bądź zdrowa, droga moja, i jak możesz, odpędzaj smutek i zmartwienie, bo ja aż tu czuję to wszystko

i nic nie mogę. Filów pozdrów ode mnie, nie myśl o cebulkach, bo to cię troszczy, a ja z łaski twojej mam dosyć na długo... *Juliusz.*

97.

Luty 1845.

Jest zwyczajem Anglików, zwłaszcza w klasie piwowarów krwistej organizacyi, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obrośli sadłem, strawili wszelką myśl i energię. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk, a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest enerwującą muzykę Chopina.

Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało utrzymuje codzienne zwycięstwo, radź jej jedną lub drugą kuracyę. Lecz obu lękaj się dla ludzi wywiędłych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzucą, a po koncercie Chopina część duszy własnej utracą.

I ty, droga moja, czuła, dobra, litośna, miłująca, siadłaś pisać do mnie, wypłakawszy się w kącie z duszy całej, wypłakawszy się na próżno, więc grzesznie, wypłakawszy się dlatego, bo cię semitonami i dyssonansami polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach. Wiesz więc, co napisałaś? Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydałby się pełnym czułości, a dla człowieka prostego z sercem, jest listem zupełnie bez serca pisanym. Ja także, droga moja, bardziej teraz niż ty otwartym być muszę, bo tu o duszę twoją nieśmiertelną chodzi.

Otóż powiem ci, coś napisała. Zaczynasz od prostego wyrzutu, że marnuję moją zdolność, od wyrzutu, że nie piszę tak jak dawniej pisałem... Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedyś w szczęściu a dziś podupadłem, bo bogactwo myśli jest państwem w aniołów krainie, jeżeli więc prawdziwie (a ty wiesz, że bez winy własnej podupadłem), to powiedz mi, czy to do ciebie na-

leżało pokazywać mi, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mnie w swoim eleganckim Chopinowym salonie? Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiejący dobrodusznie a głęboko urągać, rzucił przed piętnastu laty, przeczuwszy, że ta plotka, gorsza stokroć niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegała po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne. Przez piętnaście lat stanowiła ona w niejednym niby szacunek mojej osoby. Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyi moich. Jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem, nie artykułami gazetowemi, ale samem wnętrzem pism moich. Ta plotka jak nietoperz czarny gdzieś ulatywała w kąt niebios, a ty mi ją z całą świeżością nową oddałaś w liście. Cóż następuje? Oto rada, abym się nie śpieszył z drukowaniem, a ochłonąwszy z gorączki, odczytał utwór mój, jak gdyby był utworem innego pisarza. Pomyśl, droga, jak ta rada jest złą i fałszywą... Więc ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, to jest emulacyjną zazdrość, postępował i tę brał za podstawę i duszę moich czynów? To jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: ach! teraz Adam pęknie z zazdrości, albo Szekspir wróciwszy z grobu, omdleje: to w takim razie powinienbym być kontent z siebie?...

Widziałem raz dziecinę, której na Nowy Rok bardzo ładne cacko matka kupiła, a ta uniesiona radością, wykrzyknęła: otóż teraz Józia pęknie z zazdrości! Ta Józia była to jej przyjaciółeczka, dziecię uboższych rodziców, które tak pięknem cackiem pochwalić się nie mogło... Teraz pomyśl ty, że natchnienie jest darem aniołów i zrozum, jakim ty sposobem zalecasz mi oszacowywać radość moją z podarunku.

Nareszcie piszesz mi, że chętnie do nóg byś upadła autorom artykułów i portretów. O, straszliwa rzecz! Do nóg, za takie artykuły i rysunki! Więc ty sądzisz

tylko, że ja przez miłość własną mogę być szczęśliwy, i chcesz dziękować ludziom, którzy mię pochwałą przesadzoną albo niedosadzoną obkarmiają? Lecz ty przeciwnie powinnabyś prosić Boga, aby wszystko, co u mnie jest, a jest bez doskonałości, było jak najprędzej zapomniane, albowiem czyliż jest gorsza tortura, jak płonić się przed niezasłużoną pochwałą, albo tę pochwałę mieć od człowieka, który na prawo dawania pochwał nie zasłużył u Boga?

Nareszcie koniec listu jest, że utwory moje dlatego ci są miłe, że w każdym mówię o sobie, a ty sobie moją postać przypominasz... Powiedzże mi, droga, jakże ja do tych przemawiać będę, którzy mi nie są matkami? Najokropniejszą to jest krytyką wierszy moich, droga moja, że one wszędzie o sobie gadają... Nareszcie ostatnią prośbą jest, abym się nie gniewał i nigdy za złe ci nie miał niczego... Boga na świadka biorę, żem ten list krytyczny skrytykował duchem, wiedząc dobrze, że on nie z głębi twojej wyszedł, ale z tej nieszczęsnej atmosfery, smętnej, błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali. Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już, nie sercem czujecie!... Lubicie, co wam nerwy rozczula a wstręt macie do zdrowych pokarmów. Widziałaś-że ty, aby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiem, przez Chopina muzykę sprawionem, stał się lepszym, piękniejszym, litośniejszym, wyrósł na bohatera?... Jedną mi osobę zacytuj a wyznam, żem nie miał racyi potępienia.

Ten list leżał przez miesiąc u ciebie, albo był przez dwa miesiące w drodze, bo między jednym a drugim listem, skarżącym się na książeczkę, trzy miesiące blizko milczenia miałem do przetrawienia myśli moich, i spodziewałem się, że na tem milczeniu długiem zakończysz wyrzuty swoje a nareszcie pozdrowisz mnie listem dobrym i spokojnym... nareszcie przeba-

czającym, bo nie jestem bez winy, bo winą moją jest użycie imienia świętego, a to wcale mi do głowy nie przyszło, kiedym pisał.

Lecz i tu, pomyśl ty, droga, gdybym ja napisał np. „Indianę“ stylem pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną, dwa razy oplamioną, biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał twojem imieniem, ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansową, kwaśno-melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów i błyskotnością kolorów posłał tobie? Rzekłabyś, że cud cudów!... Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, który je zamienia w anielskie?...

Droga moja, pomyśl nad tem, nim potępisz którekolwiek z moich wyrażeń, nim je nazwiesz niewłaściwymi i nie po polsku... a te nie po polsku co za wyrażenia? Więc jest kilka frazesów przyjętych, w które ja koniecznie muszę ubrać się, nim wystąpię?... Zamiast powiedzieć krótko: kocham cię, drukując to samo, muszę wyrazić się w bezokolicznym trybie, np. posiadasz serce twego syna. To okrągło i pięknie! Tak gadają i piszą umarłe narody... piszą językiem, którego potem w mowie potocznej użyć nie mogą; taką jest literatura włoska. Patrz, jakie cudowne poemata, patrz, jak łatwo Włochowi napisać sonet lub dytyramb, wszystkie frazesy ma gotowe, całe toki mówienia przeżute. Lecz wierz, droga, że Włoch ten sam listu napisać nie umie. Znajduje się w podobnym razie jak nasza sawantka, która musi użyć francuskiego języka. Inni więc krzyczą na użycie francuszczyzny, przeklinają eleganckie salony a ja staram się inaczej: o wyprawienie za drzwi tego jegomościa, to jest, daję wam w poezyi język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl jak potrawę ciepłą na stół podaje.

Słowem, widzisz, droga moja, że w tym liście twoim ani razu jednego nie byłaś opiekuńczym duchem,

ale córką moją, która mi zamyślonemu głęboko rady daje, a ja słuchać ich muszę, ale się we wnętrzu uśmiecham... Inaczej było z pierwszym listem. Był on prosto wypowiedzeniem uczucia twojego serdecznego i był świętym dla mnie. Odrysowałaś w nim poemat, o jakim marzyłaś, a to marzenie było prawdziwie piękne, a tak piękne, żem uczuł niemoc własną, jak architekt ogromnym planem budowy, podanej mu do wykonania, zatrwożony.

Widzisz więc, droga moja, że nie wtenczas, kiedy cię wyższą i piękniejszą od siebie samego duchem zobaczę, to smucę się; ale wtenczas, kiedy cię widzę za światem, gdzieś daleko za mną zostającą, to mię rozpacz bierze... Bo za tobą wprzód idącą ja zawsze dolecę kiedyś i będę przy tobie. Ale dla ciebie wrócić, ani ojczyzna, ani sprawa boża mi nie pozwoli. Pilnujmy się więc, droga moja, oboje i bądźmy zawsze tak otwarci, jak teraz. Bo świat nie na wzajemnem oszukaństwie stoi, ale na harmonii i na prawdzie duchów. Biada duchowi twemu, jeśli cię ten list obrazi albo zasmuci. Zatrwóż się wtenczas w sobie i pomódl się i odczytaj go znowu spokojnie i święcie. Odczytaj, mówię, te wyrzuty twoje i rady, i pomyśl, czyliby one mogły były dane być przez Chrystusa?

Z tym jednym tonem ewangelicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otóż ja ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapałem ani S z w a j c a r y i ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu Salusi, albo też Wernyhory dramę w piątym.

Więcej ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego, z rodziną już czytać umiejącą, za sto lat, w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie, szczęśliwy, ogień pali się w izbie a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta B a l l a d y n ę. Ten

utwór bawi go jak baśń, a razem uczy go jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze Lillę, to samo. Mazepa trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz ujrzał Godzinę myśli albo Lambra... i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego. Otóż dla tego chłopka jest Saly, X. Marek i Książę Niezłomny, ten książę, który mi kości wewnętrznie połamał, gdzie są pioruny poezyi a z którym ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy, ale na samo czyste czucie uderza nie melancholię, ale boleść obudza, nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi.

Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o poezyę dla żywych ludzi. Kto pierwej z taką poezyą przyjdzie, ja mu z wszystkich moich książek postument zrobię, i sam się położę pod nogami, aby stał wyżej i prawdę zawsze oglądał z wysoka. A póki takiego niema, nie równaj mię z nikiem, ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady, a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką.

Z listu twego wypadł naprzód obrazek Najśw. Panny, ale nie ten twój, tylko ów drugi, rycerzowi mojej tragedyi posłany. O! jakże mi widok tej prostej królowej w koronie, z berłem w ręku i z maleńkim Zbawicielem, a już z dzieciątkiem niby chudem i smutnem, w płaszczu, który mi się wydał błękitnym, liliami złotemi uhaftowanym; jak mi ten widok był rozczulającym i rodzinnym... a napis: Berdyczowska, ta sama, która nade mną sto dzikich koni niby na skrzydłach anielskich przeniosła, abym był żyw dotąd i służy łBogu... O! jak to wszystko mi łzy wydarło! Natychmiast w jednej chwili, te wszystkie wspomnienia, królewskość jej w tym sztychu, nawet jakaś święta niemoc prostoty uderzyła na mnie cudowną potęgą. A potem, w liście twoim druga... pięknie ubrana, z dzieckiem rumianem, w której nic

nie było świętego, tylko myśl twoja i chęć twoja i dotknięcie rąk twoich.

Wiesz-że ty, kto to jest Najśw. Panna? Oto przez cztery tysiące lat cała natura, wszystkie ludy przeczuwały, że raz przez kobietę rozmiłowaną w Bogu złamane będzie prawo natury najpierwsze. Poeci przeczucie to zamieniali w kształt i ciągle o tem gadali, bo przyszłość tego cudu dawała się czuć duchowi świata. Stąd tyle Nimf greckich lub dziewic, które z Bogiem są zamężne. Wielkość tego przeczucia zatrważa, powszechność jego zadziwia. Otóż duch Najświętszej Panny spełnił cud i ludzkość cała, jakby otrzymawszy to, czego się spodziewała, przestała marzyć o półniebieskich związkach. Jakiż to więc duch był wielki i zdolny cudownej Bożej miłości, kiedy zaspokoił serca bijące przeczuciem od lat tylu, w tylu ludach! A ta matka, ścmiona miłością Bożą, z jakim strachem i uszanowaniem musiała patrzeć na dziecko własne, ona jedna, która wiedziała, że miłością Bożą ducha Boskiego wywołała z niebios i ten duch siedzi na rękach u niej, dzieciątko małe a już cierpiące nad światem.

Ja, droga moja, byłem w Nazarecie i poszedłszy do lasu oliwnego, siadłem przy studni i czekałem, ażali mi się jaka postać podobna między Nazarenkami po wodę przychodzącemi nie zjawi... Otóż nie podług twego obrazku oczekiwałem czegoś podobnego do niej, ale podług tej Berdyczowskiej, tylko w tęczowych kolorach, z niebieską przezroczystością i blaskiem. Wiem ja, że wizerunek jest niczem, ale jednak powinien być duchem wybrany podług uczucia. A ja chciałbym, ażeby uczucie twoje było srebrne, jak gołębica. Kirkor może swój obrazek nosić na piersiach podczas batalii, i po batalii leżeć z nim cały krwawy twarzą do Boga. A ktoby zobaczył, zapłakałby, mówiąc: oto święta jakaś z jego ojczyzny przeniesiona. Ja mój obrazek za lustrem zatknąłem i jest mi drogi, ale nie odpowiada

memu smutkowi i często bolesnej twarzy... Ja często umęczony, a ty nie wiesz, że mi krzyża czerwonego przed oczyma potrzeba, ale nie sztychu z Włoch.

Zlituj się nade mną i bądź mi miłosną na wieki, bo nie wiem, do kogo się obrócić... Słudzy moi, którzy mię co dnia widzą, umiłowali mnie i ci jedni w pokorze swojej odkupują czasem całego świata, że mnie miłują. Oni wierzą, że ja mam moc nawet po śmierci wziąć je z sobą i chcą iść za mną; często proszą, abym pamiętał o nich, czy to do ciebie idąc, czy do Boga idąc, odejdę. Mamże ja mieć tylko tych dwoje wszędzie i zawsze braćmi mojemi, chociaż są dziś sługami mojemi?

Bądź-że ty względem mnie, jak ja względem tych sług, którzy mnie miłują; sam się podnoszę, abym je mógł podnieść i wziąć do niebios.

Juliusz.

98.

Dnia 14 marca 1845.

Droga moja! i udarowałaś mię i rozeweseliłaś ducha mojego dziwnem niby wiedziona przeczuciem... potrzeba mi było bowiem szczęścia i weselenia się z daleka w tych czasach, gdy mię tu różne niedorzeczności moich dawnych znajomych smuciły. Pan Bóg mię jak zwykle ratował i wyprowadził dawno z domu tych ludzi, którzy epidemiczną chorobę wpuścili do siebie; widząc ich jednak z dziećmi i z żonami chorujących, choć daleki, nie mogłem serca mego od żalu obronić.

Piszę ci to z domu państwa Mickiewiczów, z któremi wiesz, że długo żyłem po bratersku... oprócz tego smutku, nic więcej złego nie zlało się na mnie; owszem ciągle mi świat sprzyjającą twarz pokazuje, ze smutku odludnego chce uleczyć, zabawami różnemi znęca do wyjścia z siebie i do rozpierzchnienia się na wszystkie

błyskotne tęcze teraźniejszych światowych istotek. Wiem, że i ty, droga, połączysz twój głos z ludźmi i nie będziesz ucieszoną z tego, co piszę... ale cóż robić? żyję jak umiem a gdyby ludzie czuli, jak ja żyję, to pewnie inaczejby żyć nie chcieli.

Napisałem był długi list do ciebie, który po odebraniu twego listu z wizerunkiem Krzemieńca schowałem, a że był długi, to kiedyś chyba ci go przez okazyę poślę; nie myśl, że w nim co było ważnego. Zamykał tylko niektóre uwagi nad naszym sposobem widzenia rzeczy, i troszkę był gniewny za to, że ty nerwom swoim, czasem rozharmonizowanym polonezami Chopina, pozwalasz nad głębią duszy twojej panować. Ta dwoistość czucia twojego, niby dwie rzeki razem wypływające z serca, czasem mieszają się i są cudownie wspaniałe, czasami zaś oddzielnie płyną, a wtenczas ja biedny, chłostany tą wodą ze strun drgających, kurczę się i drżę cały jak biedne dziecko, wypędzone gdzieś na pustosz ciemną, na deszcz i na błyskawicę... ale ty potem sama przychodzisz, zdaje się, mówiąc: biedny on!... a ja jeszcze bardziej drżę upokorzony twoją wielką miłością, jak psiątko pogłaskane. Ale dosyć o tem, list ten piszę, abyś wiedziała, żem zdrów i że mi się dobrze dzieje; załączam list do Władysława i całuję cię serdecznie.

Juliusz.

99.

Maj, 1845.

Najdroższa moja! Chciałbym skąd dostać teraz melancholii, którą wiem, że ty lubisz, a która gdzieś ode mnie i ze mnie zupełnie uciekła. Duch mój obrócił się całą twarzą naprzód, w pracy, którą ma z ludźmi, zakochał się, a żadna kochanka nie jest tak piękną, jak to uczucie wnętrzne, które coraz dalej

prowadzi, nie do fantastycznych niebios, ani do kościelnych aniołów, ale do prawdziwej doskonałości przyszłego żywota. Jakże ja ci, droga, wytłómaczę ten wzrost nagły i to odmienne we mnie pojęcie naszego życia na ziemi? jakże ci dam uczuć te powiewy ogniste z niewidzialnego świata, które do mnie przylatują?... Módl się, droga moja, stojąc prosto przed Bogiem, i wierz mi, że są rzeczy, o których myśleć nawet dawniej nie umieliśmy. Gdy ci piszę tak, to lękam się znów, że mnie weźmiesz za waryata, albo za człowieka, co księdzem myśli zostać... Raz na zawsze odpędź te myśli od siebie... Natury, którą mi dał Bóg, nie wyrzeknę się, z drogi nie zejdę, nie odmienić się chcę, ale rosnąć; moce, które są we mnie, poznałem i tych przed nikim z zupełną niewolą nie ugnę, przed nikim żywym. Jedyną nędzą moją i boleścią jest to, że ludzie, których ja dawniej wielkimi i pięknymi sądziłem, ciągle i coraz bardziej upadają, a nikt nowy nie przyjdzie, coby mi ich stratę zastąpił; co dzień prawie czekam, czy się nie otworzą drzwi moje i czy twarz jaka nowej piękności nie błyśnie mi słowem rozweselenia; bo to niepodobna, aby mi nigdy za życia mego Bóg nie pozwolił ujrzeć prawdziwą piękność (?) na ziemi, serce rozweselone mocą i dobrocią, szlachetnością świętą i niezmienną... Wołajże ze mną razem, droga moja, aby mi takie braterstwo przyszło dopomódz, bo teraz choć powierzchownie nie sam, to rzeczywiście powiedzieć mogę, że samotny jestem. Serce zaś moje, na prawdziwe uczucia ludzkiej boleści otworzone, pęka codziennie, nawet patrząc na nieznajomych ludzi nieszczęścia. W tym miesiącu, dziwnym zbiegiem chorób, trzy razy śmierć weszła do domu, w którym mieszkam, i zaczerniła go. Ostatni zaś raz wszedłszy, zabrała ładną czternastoletnią panienkę, której rodziców okna o pięć kroków są przed mojemi oknami, oko w oko się patrzą na siebie... Ojciec, siodlarz dość bogaty,

i matka, oboje uczciwi nadzwyczaj ludzie, ale jak zwyczajnie teraz Francuzi, bez żadnej wyższej duchowej wiary, a w poczciwości jednej świętej cel żyżywota zakładając, wychowywali to dziecko z nadzwyczajną troskliwością, nigdy nie wypuszczali na ulicę, nigdy nie otworzyli jej serca żadną egzaltacyą... U nas dziewczyna tego wieku (a wyrosła jak łania i ładna była) kochałaby się już idealnie w jakim z daleka widzianym chłopcu, bo u nas wszystko gra w ludziach, żyje, płomieni się, a czy źle czy dobrze, zawsze rusza się i wybucha; tu przeciwnie, nigdy jeszcze nie widziałem zakochanej panny; czekają, aż pójdą za mąż, a i wtenczas nie kochają się, ale się bałamucą... Otóż moja sąsiadka, która tydzień temu zdrowa była i kwitnąca jak róża, nagle krwią uderzona w głowę, ciałem tem, strasznie wyrosłem w moc, w pięć dni zabita, poszła na cmentarz. W tymże samym czasie syn popadł się pod los, to jest losem naznaczony na żołnierza, i oto te ciche dwa pokoiki, w które ja mimowolnie, jedząc obiad w pierwszym moim pokoju, przez okna patrzeć muszę, puste teraz, wymiecione nieszczęściem... przez dwoje średniego wieku cnotliwych ludzi zamieszkane, czarne okna mają, które chyba już rozjaśni świętość Chrystusa.

Opisuję ci to, abyś ty, droga, tak jak ja z wielkiem ubolewaniem i miłością uniosła się sercem, niby gołębica do Boga... nad nieszczęściem ludzkiem górując, ale nie przez obojętność ani twardość serca, ale przez lot wysoki... Oto duch tej dziewczyny odszedł z ziemi niczego nie nauczony, nigdy nie cierpiał, miłości żadnej nawet ludzkiej nie poznał, o Bogu słyszał mało, w ostatniej nawet godzinie żadna świętość nie pokazała mu się na ziemi... Miesięcznej mu hostyi nie pokazano, gromnice jak gwiazdy i ognie nie pokazały się w ciemnem powietrzu ostatecznego oczu zamglenia, lotu mu żadnego nie dano. Gdzież ona jest? co teraz robi? gdzie się znów

widzialnie objawi? o czem pamiętać będzie? czy wdzięczną jest tym rodzicom, że ją w takie ciało słuszne ubrali byli i ubrawszy, o ubiorze myśleli, a nie zapytali czego chce? nie wydobyli z niej ostatecznego dźwięku, który może był cudownej mocy i piękności. Może nawet dlatego odeszła, że gniewała się na nierobotę dusza ta, że chciała czynić a sposobiono ją do tego, aby spoczywając, starała się być szczęśliwą. Nad nią więc ani chwili nie ubolewałem, droga moja, owszem rozweseliłem się w duchu, myśląc, jakie musiało być tej duszy rozweselenie, gdy się wolną i pracującą duszą ujrzała... Ale nad rodzicami głęboko i głęboko cierpiałem, że takiej nauki potrzebowali, że tego odebrania dziecięcia Bóg się winnym względem nich uczuł, a to dlatego, że ich kochał poczciwych. Przez taką pracę, jak widzisz i przez takie nieszczęścia przechodzą duchy nasze!... Przez okna moje i przez oczy moje patrzę na tę historyę duchów, której świat jeszcze nierozumie, z uczuciem nieśmiertelności widzę wszystko, jakby się w kryształowych ciałach odbywało, a wszystko jest dobre i piękne, chociaż smutne, dopókiśmy smutku warci.

Tą historyą, sądzę, że cię wprowadziłem do domku mojego i dałem ci uczuć powietrze, które w nim panuje... Cichość jakaś święta, pełna uwagi na świat zwróconej, ale nie bez łez dla świata, ani bez modlitwy za umarłemi, bom i część tej nocy, gdy ta dziewczyna umarła, tak blizko leżała, przepędził, modląc się i czytając głośno ewangelię z tą myślą, że dla ducha jej słuchającego czytam... Wystaw sobie tę ciszę, która wtenczas u mnie panowała, i zobacz światło świecy mojej i usłysz głos mój poważny, jak głos którego z dawnych ojców moich, i otwórz i przeczytaj który z najspokojniejszych rozdziałów ewangelii po polsku, a będziesz miała najwyraźniejszy obraz teraźniejszego ducha mojego.

List twój ostatni pełen smutnych nowin... wieść

o chorobie Pawła była mi powodem wielu uczuć podobnych tym, które oto wyżej zgon panny we mnie obudził... któż więcej jak on doznał cichego pokoju na ziemi?... Jego mieszkanie w ogromnym i echowym gmachu, ten milczący tłum duchów, który był w książkach i milionem szepcących głosów otaczał go... ta tęcza goździków, którą on karmił spokojne oczy swoje (kwiaty lubił i pielęgnował!) nareszcie najwyższy anioł milczenia, ta rozumowa rozwaga, która panowała nad uczuciami jego, to wszystko, a tak długo na ziemi trwające, prawie bez żadnej zmiany, teraz... może już zakończone... Milczenie wielkie rozbite jak dzwon pęknięty!

Wybijajmy się więc duchem, droga moja, z pod tych cielesnych uciszeń, które odejmują prawdziwą siłę duchowi naszemu i czynią, że podobny głupcowi rozpoczyna zawsze na nowo tę pracę swoją, przeplataną mękami, nie będąc nigdy mocniejszy nad to, co go czyni nieszczęśliwym. W ostatnim odlocie ducha naszego poczujmy siłę większą, niż była przed rozpoczęciem pracy a nie oszuka nas Bóg sprawiedliwy.

Niech za nami zostaną rzeczy ukochane wprawdzie, ale do których już nie tęskniliśmy tak, jak do jedynych rzeczy, z których mogła mieć szczęście dusza nasza; przyszłą moc ducha naszego ukochajmy... Te sny, które, mówisz, schodzą do ciebie i mocniej się czuć dają, dowodzą mi, że odzyskujesz związek z prawdziwym światem duchów, którego my jesteśmy członkami, a czasem tylko narzędziami nic niewiedzącemi. Takiem narzędziem byłem długo ja sam, narzędziem wichrów i tęcz niewidzialnych, teraz dopiero rządzony przez najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa; czy ty zrozumiesz to wszystko? Sądzę, że rozczuliwszy się tem, co piszę o umarłych i umierających, zrozumiesz. Jaśniej tłómaczyć się nie mogę, to tylko wiedz, że nie imaginacyą rządzon jestem, ale rzetelną siłą, tak wielką, iż zaledwie to pojąć mogą zmysły moje... Proszę cię,

wiarę miej, bo na tem wszystka moc nasza leży, a wierz mi, a tyś uwierzyć w to powinna, boś mię w łonie swojem niegdyś czuła, wierz więc, że się czuję w łonie nieśmiertelnej natury słowa... a nic ci nie piszę z zimnej myśli i z utworzenia rozumowego, ale wszystko z prawdy wnętrznej. Ściskam ciebie i całuję, zdrów jestem i nie wiem, czy kto jest w głębi duszy szczęśliwszym ode mnie.

Juliusz.

100.

Paryż dnia 19 lipca 1845.

Znów tak długo, droga moja, bez żadnej mię wieści zostawiasz, czyś ty chora? czy się gniewasz na mie, czy cię nareszcie owe (!) dziecko długo tak tobie niepotrzebne i nie rozweselające duszy twojej znudziło, że już chcesz nareszcie bez niego ułożyć życie twoje i z nadziei go twoich wymazać — jako rzecz która ciągle i wiecznie zawodziła twoje nadzieje?... powiedz droga co ja mogę zrobić dla twego szczęścia? Na łono Boga rzuciłem się z największą miłością i nie odrzucił mię, a tybyś mnie lepszego teraz kochać nie miała? Gdzież są ręce ducha mego, abym je wyciągnął i dostał aż do nóg twoich i uścisnął je... z pokorą dawnego człowieka? Gdzież jest promienny wzrok ducha mego, abym mógł widzieć teraz twarz twoją — i rozjaśnić ją, jeżeli smutna! — Może ty pojechałaś na wieś, może list twój zaginął... bo mi ze starożytnego miasta, donoszono żeś zdrowa, żeś krzyżyk posłała dziecinie malarza, więc z daleka wieści mię o tobie dochodzą — a ty milczysz?... Wpadam na jednę z najdziwniejszych myśli... czy w kwietniu około 20... nie zostałaś przerażoną — jakim znakiem widzialnym, duchowym — we śnie lub na jawie?... — bo (ale tego co piszę, nie powiadaj ni-



Sorrento.

komu) jam był — uderzony światłami niebieskiemi widzialnie — przy największej spokojności krwi i zmysłów — a z taką potęgą, że chyba po śmierci coś podobnego uczuję... bo w ciele więcejbym nie wytrzymał. Jeżeliś nic podobnego nie czuła, zapomnij o tem co piszę... a sama nie chciej modlitwą ani egzaltacyą prosić o takie rzeczy... bo grzech byłby może i niebezpieczeństwo. Proszę poważnie weź do siebie te słów kilka — a po świecie ich nie rozrzucaj — bo nie są dla świata — ale dla ciebie, którą sądzę świętą przez zasługę cierpienia i przez wrodzoną piękność duszy.

Tego roku nie odbywam mojej zwyczajnej podróży do morza, bo jej nie potrzebuję, wyjadę może na parę tygodni w okolice, aby pochodzić po lasach i trochę kwiatków łącznych zobaczyć, bo te które mam przed oknami, nudzą mnie pyłem zasypane... kwiatki od ciebie mam i nawet mi przyrosły... z tej więc strony i ze strony zdrowia bardzo mi dobrze, ale sercu memu braknie przedmiotów umiłowania — nie uwierzysz jak nieraz po waryacku szukam serca — i ile mi w tem szukaniu łez leje się z oczu... bo wiele jest umęczonych na świecie... Czemuż ci nie mogę opisać tych małych zdarzeń, za które wiem, iżbyś mię ukochała — ale nie mogę, bo tak błahe są i tak z okolicznościami i ze stanem uczucia mego połączone, że długich opisań by potrzebowały... Są one jakoby muzyką ciągłą, która mi czyni atmosferę — a ja w niej chodzę, ruszam się i żyję... są muzyką czucia — jakimś tonem miłości serdecznej rozlitowanej nad światem, nad temi mróweczkami ludzkiemi, które się po gościńcach małych wleką, każda ze swoim ciężarem... jak gdyby niosły trumny swoje... gdy ja taki lekki i tak obroniony od Boga od wszelkich trudów oprócz tych, które na sercu są... Mam jednak boleść jedną większą a tej trudno mi tobie wypisać — oto mi się zdaje że tobie czasem może kwiatków zabraknąć, a ty

się do mnie nie odezwiesz ani będziesz miała tej litości nade mną... Cóżby to było za upokorzenie dla mnie, gdyby kiedy tak się stać miało... co za boleść nie kończąca się aż ze mną razem!... Pamiętaj — pamiętaj... Bo co do innych trosk, które na duszę twoją spaść mogą — od tych ja ciebie obronić nie mogę, a Bogu zostawiam — ale od tej... w matkę bym się tobie zamienił... Wszystko co piszę — listy moje są spowiedzią — dlatego są święte...

Od Zosienki dawno już nie mam wiadomości. O Władysławie chciałbym wiedzieć i o Filach. O tych ostatnich lękam się, aby nie stracili na wsi tej piękności duchowej, za którą ja oboje ich tak kochałem... Fila błękitne oczy, gdy przyszedł na świat przesłonione były tęczą kolorów — duma szlachetna w sercu była — teraz z tej tęczy może nie zostać nic — a duma może się w próżność jeżdżącą na drynduli zamienić... Jam był już przyszedł do tego stanu, żem był zerwał wszelki związek z duchem piękności na świecie lat temu pięć nazad w jednej chwili, stojąc w ogrodzie frankfurckim, otoczony mnóstwem kwiatów, wśród brzóz i drzewek nagle uczułem się martwy — jakby martwą naturą otoczony... te brzozy, które mi dawniej na Podolu tak dziwne rzeczy szeptały, stanęły przede mną jak obce figury, myśl zimna poleciała po ich gałązkach — niebo i ziemia zatrwożyły się, nic nie mówiąc o mnie... Ta chwila była jedną z najstraszniejszych w życiu... ale mię zaraz Pan Bóg obudził — albowiem tego wieczora wicher taki wyjący powstał i tak przeraźliwie zaczął przewiewać przez okna czarne eleganckiego, w którym byłem, salonu — że mi nigdy dawniej niedoznane uczucie strachu — włosy podniosło na głowie i przez to wstrząśnienie obudzona była moja sympatyczna natura duchowa... A co ci piszę, droga, abym ci pokazał, że są straszne choroby dusz naszych, na które my często nie zwracamy uwagi... a które rozpoczynają mizantropię

czarną... Lękam się, aby ci kochani Filowie — nie przestali tak snuć tej cudownej girlandy wrażeń, która z ducha naszego snując się ciągle — jedynie o życiu zaświadcza... Sylli ta... którą ja ciągle w profilu widzę na błękicie niebios litewskich... Ten Fil... który w ciemnej malarni swojej wileńskiej — tyle mi słów o Rafaelu nastręczył... bom w jego małym pokoiku czuł jak dziecko jakiś zapach niewymówiony dawnego artystycznego włoskiego żywota... ze strachem prawie do tych pokoików, gdzie on skubent malował, wchodziłem... Niechże mi oni taką przeszłością ze mną powiązani choć w kilku słowach błysną sercem... I Fortunat także często myślę o nim... Więcej ja z wami niż się spodziewacie... A od ciebie która w modlitwach moich jesteś, każdy dzień zaczynam... pomnąc na to, że u was słońce wschodzi godzinę wcześniej niż tutaj, możesz myśleć, że co dzień około 9-tej imię twe jest na ustach moich... Bądź zdrowa — i odpisz mi jak najprędzej... bo mam ciężar niespokojności na sercu...

Juliusz.

101.

Dnia 10 września 1845.

Uspokoiłaś się nareszcie, droga moja, ale niezupełnie, bo wieść o twojej słabości i o tem, że File lecieli przerażeni, chociaż mię nie pozbawiła wiary i ufności w dalszą opiekę Boga, jednak przeniknęła mię dziwną strzałą; po odebraniu wieści o tobie wszakże, uspokojony na duszy, wybrałem się w zwykłą moją wędrówkę letnią, niby wakacyjną, którą czynię jako obowiązek i uważam za usługę ciału memu oddaną. Tego roku ruszyłem z jednym towarzyszem prosto ku klasztorowi Trapistów, abym zobaczył, czyli powietrze owiewające tych ludzi, prawdziwie złote jest i święte

i napełnione ściągniętemi modlitwą aniołami. Lecz są to ludzie dawnego, nie zaś nowego świata: uspokoili się bowiem i myślą, że wszystko z tem uspokojeniem tu i tam uzyskali, że im Bóg winien jest niebiosa... Takie to smętne duchy zwykle cmentarzom dają ten dźwięk i szelest, który jest podobny do skargi umarłych oszukanych, a który tak nas słuchających, gdyśmy po cmentarzach chodzili, zasmucał... Jeden tylko widok piękny i uczucie winien jestem tym księżom. Raz stojąc na polu, ujrzałem ich, że wracali z pola, drogą topolami wysadzoną, ku klasztorowi idącą, wszyscy w białych odzieniach, w czarnych kapturach i napierśnikach, wszyscy z sierpami, przeor na czele z krzyżykiem małym na piersiach, z kijem w ręku, jak gospodarz wiejski, i ten sznur biały wracał spokojnie ku klasztorowi i, zda się, że całą szeroką okolicę uspokajał, on cichy jak lud umarłych... gdy na odległem wzgórzu widać było zwyczajne jakieś żeńce, których niespokojność i wrzaskliwa rozmowa, krakaniu i wrzaskowi ptactwa podobna, uderzała mię w lewe ucho moje, na wiatr od ludu idący zawsze zwrócone. W klasztorze tym trzy dni pobawiwszy, rzuciłem mego towarzysza, czując się większym trapistą niż ci ludzie, bo do milczenia w myśli mojej i w sercu moim żądz cichości przyuczony, i udałem się przez różne miasta i miasteczka na północ, abym obaczył choć przynajmniej brzeg morza i falę jego wołającą: Bóg! Duch! usłyszał.

Wszak prawda, że o tem fale ciągle gadają? słyszałaś; a powiedz, czy nudzą? Byłem więc w Trouville [1]) miasteczku małem nad morzem, które otoczone jest wzgórzami dziwnej szmaragdowej zieloności. Kąpałem się raz w morzu, nie dla potrzeby, ale niby dla hołdu falom i zdrowia, chodziłem po murawach, po wzgórzach, ze wzgórz patrzyłem na szerokie błękity,

[1]) Czyt. Truwil.

po których statki parowe jak insekty chodziły, i zabawiwszy tam dni kilka, wracałem ku domowi z dziwnem przeczuciem jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa, które mi chowały duchy niby na bukiet, na dzień ostatni mego powrotu... Tłómacząc sobie myślą, gdzie to niebezpieczeństwo być może, wytłómaczyłem sobie, że na drodze żelaznej. Przeczucie było prawdziwe, ale myśl moja omyliła się w wytłómaczeniu; nim bowiem przyjechałem do miasta skąd droga żelazna zaczyna się, musiałem przez godzinę płynąć statkiem po rzece, a koło tej rzeki w tejże samej godzinie, gdym płynął i paląc cygaro mimo deszczu, chmurom i wodzie przypatrywał się, wtenczas o werstwę może ode mnie przechodziła ta trąba wodna, która trzem fabrykom po trzy piąter urwała, ludzi kilkaset na proch starła i prochy ich na wiatr rzuciła. A chociaż jam nie wiedział o niczem, przeczucie moje które jak ciągła piosenka przez kilka dni ciągle mi towarzyszyło, ucichło nagle, odbiegło i na drogę żelazną wsiadłem, raz nawet nie pomyślawszy o kotłach i parze. Tak przed każdą rzeczą spełnioną grają duchy ludzkie, a po spełnieniu rzeczy tracą piosenkę. Tak przed narodzeniem Chrystusa ciągle myślano, że tam lub ówdzie, ktoś z Boga i z ziemskiej dziewicy rodzi się, a nawet już się nieraz urodził, a gdy prawdziwie stało się ciałem przeczucie, to z serc ludzkich cała pieśń wybiegła... i nigdy już w postaci marzenia nie zjawiła się.

Oto masz historyczny opis mego żywota i teoryę przeczuć. Droga moja i najukochańsza, broń się od małych, pogardzaj osobistemi a słuchaj wielkich ludowych, bo są święte. Podziękuj pani Eleonorze Sowińskiej za list matczyny; odpowiedzieć teraz nie mogę na jej słowa, bo wszystko jest w zawiązaniu, a taka dusza jak ona, sama się może dowiadywać u Boga, wzniosłszy ręce i prosząc o światło ducha i żyjąc z ducha, prosto zeń żyjąc i czyniąc. List

o Pawle miły mi był i smętny, a smętny dlatego, że odchodził ze świata, nie dowiedziawszy się, co jest świat, odchodził z nauką bez mądrości, rzucał zagadkę, stawszy się kłębkiem różnych wiedz i opinii, bez przeczucia nawet nowej epoki: prawdziwy ogrodnik goździków i książka z książek rosnąca. Widzę twarz jego i uśmiech jego, a co mówię to w oczy. Dlaczegoż on nie wiedział matematycznie, że ja przyszedłszy na świat a mając lat sześć, koniecznie ubierać się mam w ornaty i mszę odprawiać? dlaczego nie wiedział, że po takim śnie w duchu moim, koniecznie potem drugi sen achillesowy i bicie się na tarcze blaszane nastąpi? Dlaczego nie wiedział, że potem ja muszę koniecznie rzucić zbroję tak, jakem był ornaty porzucił i wziąć się do malarstwa? Gdyby te trzy rzeczy i następstwo onych po sobie był zgłębił, byłby wiedział, co ja za jeden i skąd przyszedłem i co uczynię... a tak dziwił się tylko fenomenowi i uważał go, ten jednak wniosek uczyniwszy, żem jest dziecko nad dzieci mego wieku więcej wiedzące i pełniejsze niespodziewanych błyskawic. Miły mój i spokojny sen pod szepcącemi brzozami i kierunek ku gwiazdom.

A ty, droga moja, całując przyjaciół, nie płacz umarłych, nie dlatego, aby łzy, jak powiada Homer, próżne były, ale dlatego, że prawdziwszą jest dawna żmujdzka piosenka nad stosem śpiewana: „Idź na tamten świat, gdzie ci już ani sąsiad, ani Niemiec dokuczać będzie“... A przedziwną jeszcze będzie piosenka, którą my o umarłych zaśpiewamy, od umarłych nauczeni śpiewać. Bądź zdrowa, droga, a wesel się, a nie smuć się... abyś uśmiechniona pomogła mi, bo ja czuję przez i pomimo przestrzeni, każda twoja radosna modlitwa życie mi daje, a każda smutna jak ołów na skrzydłach. Całuję, kochana, ręce twoje i nogi twoje. *Juliusz.*

102.

Dnia 15 października 1845.

Najdroższa moja! W tej chwili odbieram twój list... przez cały czas czytania drżałem jak liść i żegnałem pierś, aby ją uspokoić duchem Chrystusa, aby serce nie biło tak mocno i tak po ziemsku. Moja droga, twoja miłość dla mnie jest za nadto wielka, przeraża mnie, jam nie godzień jej, ja biedny człowiek cierpiący jeszcze... a ty już oddajesz mi się jak tryumfującemu aniołowi, cała ze mną i cała przy mnie.

W twoim liście był jakiś ogień miłości, który mię pali, serce mi kurczy jak wilgotną gałązkę, ręce łamać przymusza... Grzeszę przeciwko duchowi i duchom świata, z którymi jestem, bo tracę spokojność... ty mię robisz niewolnikiem twoim i razem dajesz mi czuć, żem jest panem twoim.

Nie wiem, jak ty te wszystkie słowa rozumieć będziesz, ale to wiem, że po raz pierwszy tak silnie czuję związek nasz i przeznaczenie nasze, że wiecznie razem będziemy. Wiesz ty, droga, że wszyscy jesteśmy synami Bożemi, iż wszystko przez nas wypracowane nasze jest, a co więc stworzymy w sobie, to się nam staje tu i wiecznie... Na nieśmiertelność całą rozpłomień miłość twoją dla mnie... bo ja nieśmiertelnie potrzebuję twojej miłości... Nie trać siły całej w jednym matczynym wybuchu... Niech ja nie będę przymuszony z aniołami Boskimi brać ciebie świętą na ręce, i oddechem cię ogrzewać, do sił przywoływać i do piękności nowej rozświecać.

A jednak to wszystko, i to, co mi pani Eleonora pisze o tobie, upoiło mię jak wino serdeczne, głowa mi się zawróciła i tryumfuję przed Bogiem z miłości twojej dla mnie. Niechże więc te dwa nasze tchnienia razem złączone pracują nad światem, modlą się

za świat. Niech się nareszcie choćby z uszczerbkiem naszym, staną siłą ożywiającą świat.

Czyś ty nigdy nie marzyła, droga moja, o spiorunowaniu dwóch modlitw w jedną modlitwę, dwojga miłości w jedną miłość... dwóch sił w jedną siłę? Czy ty myślisz, że tego na wieki nie będzie?

Przestałem pisać, aby w spokojniejszą chwilę wziąć pióro, może tak wyraźniej i jaśniej dam ci uczuć czem jestem i co czuję...

Ty chcesz ode mnie opisu stanu mego, może nawet widzisz mnie z daleka w jakiejś nadzwyczajnej egzaltacyi, podobnym do ludzi, których zwykle mistykami zowią... Otóż raz na zawsze proszę cię, nie wątp o mojej wnętrznej ducha spokojności; rozmiłowany w prawdzie i w prawdach, któremi przez Boga nakarmiony byłem, czynię, co mogę, abym się czysty, szlachetny, niczem nieskalany, w obliczu i przed okiem Stwórcy mojego zawsze stawił; różnica moja z ludźmi jest ta, że z innego źródła niż oni biorę wiedzę moją, a stąd często przeciwko opiniom czynić lub mówić muszę, i ta jeszcze różnica, że kiedy oni obojętnie schodzą się dla zamienienia wzajemnego kilko-foremnych myśli, ja do każdego zbliżam się niby do brata... z chęcią, aby mu serce zapełnić, rozum zamienić w mądrość, wskrzesić go niby i dać mu pęd ku wielkim celom żywota... a siłę w nim zrodzić, rodząc w nim uczucie nieśmiertelności. Taka praca, trudna i wiekowa może, jest mi sądem i przeznaczeniem.

Opierają się ludzie, którzy się jako tako w formach dawnych uciszyli i niby zmartwiawszy, na pół spokojności dostąpili. Ja nie jestem spokojny, ale szczęśliwy jestem, że mi ta praca ducha zamiast pracy rąk daną była przez Boga, bo są dnie, że w ciągłem jestem upojeniu, w ciągłej niby harmonii z całem stworzeniem: drzewa mi się tłómaczą z tajemnic swoich; jagody usprawiedliwiają ze swoich własności;

kwiaty za swoją piękność memu duchowi dziękują, a wszystko gada dziwnym, nowym językiem rzeczy, które zapewnie nie prędko inni ludzie posłyszą... O tych ogniach, które mię widzialnie ochrzciły, pisałem tobie. Nie trwóż się, ani też uważaj tego za skutek krwi, za halucynacyę, bo srodze obraziłabyś w tem prawdę serdeczną, z którą piszę do ciebie... Ta myśl, że tego dawniej nie było, albo że to doktorowie wytłómaczyli, niech ci nigdy na drodze nie staje w wierze: ja ani pod doktorów sąd, ani pod sąd wiekowych doświadczeń nie schylę głowy mojej... Czego dotąd nie było, będzie, skoro mocniejszemi będziemy w uczuciu synowstwa Bożego, które Chrystus nam zostawił jako najpiękniejsze i najświętsze dziedzictwo.

Nieszczęśliwy wziąłem papier, ty może przebitego na dwie strony nie przeczytasz, a jednak przepisać tego na zimno, co napisałem, nie mogę, nie dlatego, że cierpliwości braknie, ale dlatego, że początek ten, w mocnem drgnięciu ducha pisany, straciłby woń i siłę, gdyby drugi raz pisany był przez naśladującą siebie istotę...

Twój list miał dziwną, cudowną, energiczną zaraźliwość miłości. Ty mi tam mówisz, że mi dałabyś wszystko, co masz, wszystko! wszystko! A ja ze łzami i z drżeniem pomyślałem: cóż ona mi dać może więcej nad to, co już dała?... ach, i znalazłem perełki twoje biedne... te perełki, które ja wiem, że ty byś mi nawet bez żalu i do piasku grobowego, co mnie kiedyś przykrywać będzie, wrzuciła. Dajże pokój sobie, biedaczko ofiarująca się i ofiarowana na ofiarę matczynej miłości. Nie wynajduj darów, którymi byś mię mogła rozradować... tylko mi daj tę wiarę, o którą proszę: uwierz, że ja cię kocham mocno i za największe sobie biorę szczęście to, żem był zrodzony przez ciebie, ja, ciągle na świecie oskrzydlony przez miłość twoją.

Złoty dzień jesienny i dlatego list mój w taki ton wpadł... czułość też moja, przez ludzi nieraz zata-

mowana, wylewa się z większą mocą, gdy piszę do ciebie... O rzeczach cóż ci doniosę? czy to, żem sobie w saloniku kazał wybić czarny w złotawe, to jest żółto-brudne kwiaty dywanik, chcąc się uchronić tego zimna w nogi, które często zapominającemu się przy stoliku pisarzowi katar sprowadza; czy też powiem ci, że między innemi kwiatami, wyrósł sam nieproszony szczep winny, co Francuzi za wielkie dziwo uważają, a jabym prawie za omen jaki rachowałbym go, gdybym wierzył w Bachusa. Cóż ci donieść?... Moje oczy zupełnie od świata oderwane a daleko gdzieś zwrócone, moje uszy, ciągle wielkich powiewów Bożych i głosów dosłuchujące się, nie widziały, nie słyszały nic domowego... z tej strony prawie człowiekiem nie jestem.

Umarła tu nam autorka nasza dla dzieci niegdyś pisząca. Odpoczynek jej, ale nie pokój, bo jeszcze wiele czynić pozostaje, nawet ona sama wiele z tego co uczyniła, sama wywrócić musi: tamy przeciwko egzaltacyi kładzione... serca przez nią na kluczyk od śpiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć na nowo. Bo nie na samych tylko prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują niż na nogach... Nie wiedząc, a sprotestantyzowała kobiety. Nie miej mi za złe, bo prawdę mówić muszę nawet o umarłych, abym w prawdziwych umarłych rozkochał żywych.

Całuję cię serdecznie, najlepsza i najukochańsza. Pani Eleonorze za list cudownej wzniosłości jak za dar drogi dziękuję. Reszta w przyszłości, przyszłość cała Bogiem jaśnieje i najlepszą jest z rzeczy najlepszych.

Juliusz.

103.

Dnia 8 listopada 1845.

Najdroższa moja! Odbieram twój list pełny rozpaczy, i wyznać muszę, że choć teraz zdrów zupełnie, byłem jednak nieco chory tej jesieni, a to z powodu fruktów, których postanowiłem był sobie tego roku obficiej niż zwykle używać, a one zaś z powodu dżdżystości lata były tak wodniste, że nietylko ja, ale wszyscyśmy tu za to musieli odpokutować; dla osłabienia więc wielkiego niektórych organów, przyszła była na mnie lekka gorączka, to jednak ci ze świętą szczerością powiadam, żem ani dnia jednego nie chorował obłożnie. Od piętnastu lat jestem ciągle na nogach: raz tylko grypa położyła mię była na trzy dni między kołdrami, ale temu już jest lat cztery. Nie chorobę więc, ale jakąś niemoc trudzącą mię tyś przeczuwała, iż byłbym dał wiele, gdybym mógł uczuć rękę twoją na czole mojem (zamykam oczy i staram się choć we śnie uczuć tę dobrą, kochaną, przebaczającą i wszystko, i opuszczenie, i smutki, i niespokojności żywota, i wszystko co choć niewinnie poszło ze mnie i ode mnie).

Prosto ci mówię, droga moja, nie mając tej ręki ciszącej czoło, chorować nie chcę i nie mogę: wszelka choroba z ducha się zaczyna, poddać się ciału trzeba, a wtenczas ciało zwycięża; ja zaś zawsze z łaski Bożej wyżej niż ciało moje, gardzę tą harfeczką kościaną, którą lada co może w proch rozbić i rozsypać na wiatry; mimo tej jednak wzgardy, lekko będąc słaby przed trzema tygodniami, zawołałem był kochanego mi Hłuszniewicza, a to dlatego, żem go kiedyś, dawno już widział idącego do ciebie na konsylium... a pamięć ta uczyniła mi go drogim i świętym... On i ów ośmdziesięcioletni Bernardyn, pamiętasz, doktor duszy twojej niegdyś... są dla mnie niby dwaj aniołowie, z których jeden przy mnie teraz, a drugi du-

chowy, zapewne już w niebiosach, ale równie przytomny. Uczciwy więc mój Hłuszniewicz kazał mi za jedyne lekarstwo pić wodę Bussang[1]), której same nazwisko powie ci, że to jest niby krew wypita, to jest wzmocnienie i razem ochłoda. Woda wcale niewinna, mająca w sobie nieco żelaza, trawiąca i miła do picia.

Długo ci piszę o tej niewinnej słabości, aby wszelką ciemność rojącą się po myślach odpędzić... Broń się tem przeczuciom, które w miarę podniesienia się naszych duchów ku Bogu, przychodzą od zawistnych a małych i nędznych ducha naszego nieprzyjaciół, dla zatrwożenia serc naszych; ja wiem bo takie miałem i dręczyłem się z niemi, a wszystkie się jak mgły nadranne rozsypały, a nie tylko we śnie, ale przy zbudzonych oczach i zmysłach miałem wyobrażenie o tych mściwościach małych szatanków... Ludzie, którzy nic nie robią i nie czują i nie przedsiębiorą, spokojni są i nienapastowani przez nikogo; ja sam tak byłem, póki cel ziemskiej sławy a małe miałem uczucie nieśmiertelności ducha mojego. Teraz i one są nieprzyjaciółmi mojemi...

Także i z tobą będzie, droga moja; mękę sobie gotujesz, jeżeli w święte wyższe potęgi niezaufana, w czystości jedynie twojej duszy nie położysz ufania, a dasz się zastraszać niższym od siebie, bo niżsi są ci, którzy matkę o syna zatrważają, a syna o matkę. Cóżbyś powiedziała, gdyby cieleśni byli? Wzgardziłabyś niemi. Także więc nie cielesnemi, którzy sny przynoszą, wzgardź. Ja ci, droga, we wszystkim szczerość przyrzekam, i teraz, widzisz, szczerze ci piszę o małej słabości mojej.

Odebrałem cebulki tulipanowe; moje tu trochę urosły, pomimo więc, że jem ciągle z ogrodu mego, on jednak prawie w tej samej mierze utrzymuje się,

---

[1]) Czyt. Blussan — krew wypita, woda mineralna.

a tem samem daje mi spokojność na przyszłość; o spokojność tę najbardziej mi chodzi, o więcej nie dbam. Wszystko dobrze, droga moja! wszystko zdaje się pod zorzę jeszcze lepszą idzie, nie martw się więc, ale sił na zmartwienie zużytych używaj ku miłowaniu ludzi, którzy cię otaczają; jeśli są jeszcze daleko od uczuć twoich, uważaj je za dzieciątka małe... ja tak czynię, i nigdy mię nic od ludzi przychodzącego nie gryzie. Ty zawsze sądzisz, że ja mam biednego ojca mego zgryźliwą naturę, ale ja mam więcej twoją duchową naturę, a raczej naturę tego ideału, o którym ty marzyłaś zawsze, nawet w pierwszych marzenia godzinach, bo ideałom matek podobne duchy są synami tych matek, a ideałom dziewic marzonych przez ojce podobne duchy są córkami matek. Powiadam ci jedną z duchowych tajemnic, wszystko ci to na świecie potwierdzi. Ja więc jestem twój więcej niż ojca mego, i dlatego mnie tak kochasz i czujesz przez świat ze mną rozdzielona... To współczucie nasze wieczne jest...

Kończyć list muszę, bo wyjść muszę a wychodząc, chciałbym ten list mieć w kieszeni i zaraz go rzucić, idąc inną ulicą, do ciebie, rozstając się z nim i będąc w nim... Bądź więc, droga moja, zdrowa i spokojna o mnie, odpędzaj złe przeczucia i sny, bo nic nie znaczą; księża by to powinni dziś czynić a umieć złe ostrzeżenia od dobrych rozróżnić, ale księża myślą po większej części, że świat cały jest to, co się rusza, a za tym światem jest przepaść, w którą zajrzeć ani wolno ani potrzeba... Nie tak jest, bo ta przepaść jest prawdziwym, ruszającym się, idącym ciągle do celu światem; a ten świat jest to dywanik na wywrót widziany, gdzie różne nitki wyłażą i giną znów niby bez celu i bez potrzeby... z tamtej strony są kwiaty i rysunek.

Dywanik twój wisi nad łóżkiem moim teraz i, obudzając się, widzę go, a budzę się teraz zawsze i wsta-

ję przed wschodem słońca, widząc, jak gwiazdy gasnące, brylantom podobne, grają na niebie. Czy ty także rano wstajesz? Wstawaj i bądź orzeźwioną ze snów złych i próżnych zorzą i słońcem.

Twój *Juliusz.*

List ten zapewne imienin ci powinszuje, pocałunek pokorny w nim.

104.

Dnia 10 grudnia 1845.

Droga moja! Przed miesiącem pisałem i teraz piszę, bo ty może ze szczerego wyznania mojej jesiennej słabości roisz sobie dziwne rzeczy i martwisz się, a ja zdrów i spokojny, zapomniałem już o wodzie Bussang. Chciałbym jakim sposobem każdy mój list nabalsamować prawdą, aby w tobie wiarę wzbudzał i utrzymywał w tym duchu oczekującej a jednak spokojnej ufności, który przez tyle lat jużby się był powinien urodzić między nami.

Chciałbym, ażeby z każdym dniem jakaś nowa w tobie urodziła się róża, złota, duchowa, jeden z tych kwiatów, które Duch święty w nas rodzi, a które są nieprzebranej liczby i niewypowiedzianej wonności. Gdybym ci to w darze dać mógł, byłbym spokojny o ciebie, wiedząc, że dnie twoje cicho płyną, a nigdy rozpacz nie zaziera w twoje szyby. Czegoż rozpacz? Możemyż w dzień jeden serca ludzi przemienić w aniołów silnych i potężnych? A wartoż jest nieaniołom dawać moc w rękę i siłę, z którą oni by dziwoty wyrabiali, bo tak jest, droga moja: ci, którzy teraz wzajemnie w domach jednych, ani przez dzieci i w imię rodziny, ani w imię Boga ukochać się nie mogą, jakżeby się mogli puścić na to morze, gdzie wszystko na związku serc miłosnym zależy, jeźli kara i strach ma

być wypędzony, a wszystko bez innej znów podstawy jak miłość.

Dlatego, o droga moja, tak długo nie jesteśmy razem i tak twardo pracujemy. Nie uwierzysz, ile te wieki przeszłe błota i żwiru w najpiękniejsze dusze naniosły; trudno! trudno! i piorą się i obmywają, a jeszcze obmyć się nie mogą. Ty czujesz to także. Nieraz wykrzyknik mimowolny w twoim liście zdradza to wstrząśnienie ducha, które ci przychodzi od ludzi.

Może ty nie wiesz, że na odmianę ludzi dany nam jest jeden tylko sposób, oto, wzbudzenie w nas wiary — że ci ludzie są nieśmiertelnemi aniołami, a zbrudzili się jak dzieci — i przelanie tej wiary w nich samych. Ile razy krytykujemy, albo skarżymy się na świat, albo wyrzucamy mu z gniewem wady jego, tworzymy sami wiarę w brud i w niedoskonałość, a każda wiara zamienia się w ciało i spełnia się. Czy ty wiesz, droga moja, że prawdziwymi zabójcami czasowemi nas dawnych, byli tacy prorocy z kazalnic i wysokich miejsc, od kilku wieków trąbiący śmierć wam (z dodatkiem: jeżeli się nie poprawicie). Wszak, gdybyś ty słudze twemu ciągle mówiła przez lat dziesięć, że kradnie, to na końcu by kradł, że chory, to nareszcie by zachorował. Przekonaj więc wszystkich około siebie, że są aniołami, ale wprzód uwierz w to, bo fałszywie mówiona rzecz byłaby pochlebstwem.

O! bądź ty pracownicą wieków! matką i siostrą moją wieczną, w wieki całe rozpuszczona myślami, w tysiące lat idąca lotem, aż wetchniętą w siebie siłą sakramentalaną Chrystusa przemienisz świat, nawet cieleśnie. Ja i miliony ukochamy cię i nie opuścim nigdy, a między sobą nigdy bać się nie będziemy o krótkie rozłączenie cielesne. Wierz mi, że prawdziwe rozłączenie się ludzi, jest tylko w duchu, gdy jeden naprzód idąc, mocuje się z czasem i łamie formy

istniejące, a drugi, zamiłowawszy rzeczy przeszłe, cielesne, a tęsknotą wabiące po szatańsku, zostanie i da się pochwycić tym wirem ludzi, który ciągle wiruje i burzy się, a nic z siebie nie wyrzuca nowego nad to, co było. Powiedz, droga, czy jasno ci piszę, bo czasem wątpię, czy ty słów tych nie bierzesz za jakąś figuryczną, mistyczną mowę, za proste kazanie o moralności, a to są rzeczy proste, ale pokazujące nowy świat i nowe pojęcie o świecie.

Po przeczytaniu takich słów, jeżeli cię nieco obudzą, weź ewangelię Wujka, a ujrzysz w niej nowe rzeczy, te, które dotąd poganie nowi za figury brali, jak gdyby Chrystus cośkolwiek nie potrzebnego mówił, albo niepotrzebnemi słowami starał się prawdę ukrasić. Nigdzie w ewangelii nie ma przenośni, nawet w tych słowach: „gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczyczne, a rzekli tej górze, rzuć się w morze, rzuciłaby się w morze.“ Jam tę górę widział a teraz wiem, że gdybym mógł uwierzyć w moc taką ducha mojego, ruszyłbym ją z posad swoich słowem... i palcem wskazującym prowadził aż do morza. Bo jest siła, ale jeszcze przez wiarę dopiero się rodzi i wydobywa. Dosyć-że teraz nam, że wolą naszą i zażądaniem, aby się cnota w ludziach rodziła, będziemy rodzić cnotliwych, że przez uwierzenie, iż są miłujący, zrobimy miłujących się prawdziwie aż do końca świata, dość na tych niewidzialnych, pierwszych użyciach potęgi czystej i Bożej, a z której najpokorniejszy człowiek, najsłabsza kobieta może się stać prawdziwą kolumną nowego świata. Niech nas tak działających ludzi ze śmiechem przeprowadzą, a włożywszy do mogił, jeszcze śmiechem pożegnają, wszakże już od tej chwili myśmy już zwyciężyli świat, a nikt na świecie nie żyje, jedno zwyciężce. Wszak tak widzialność sama pokazuje. Proszę i zaklinam cię, w różnych chwilach odczytuj ten list, aż kiedykolwiek w prawdziwą natrafi strunę duszy

i zadzwoni jak wieść dawno słyszana. Nie wiem, czyby ci milsze były cielesne różne opisy, szczegóły życia mego, ale ja tych nie mam wcale, a z nikim już nie prowadzę innej rozmowy, uważając życie za ważną bardzo sprawę. To też ci, którzy mnie odwiedzają, są to ludzie, którzy najczęściej z daleka przybyli, z ciekawości pszyszli, a z braterstwem odchodzą, przez jedną często godzinę tak uciśnieni, że wychodząc, łzy mają rozczulenia w oczach, a na szyję mi najdroższy łańcuch rzucają... uścisk, i to wszystko, co mam i czego żądam, teraz i po koniec wieku. I od ciebie tego, daj mi to duchem.

Juliusz.

105.

Paryż, dnia 1 lutego 1846.

List twój ostatni, droga moja, spokojny, pocieszył mnie. Obyś tak zawsze zdołała ufać Panu Bogu i nie bać się o wszystkie cielesne przypadki. Miłe mi było także opisanie chatki Antoniego, porównywałem ich los z naszym i wyznam ci, że korzyść nie była na naszą stronę. Oni spokojni, zadowoleni swojemi usiłowaniami, teraz używają życia jak ludzie zwyczajni: filiżanka herbaty, wist, pogadanka smętna, ogień wesoły, zapchane szczeliny domu, przez które wiatr świszcze, nadzieja, oto są ich szczęśliwostki. Wierz mi, droga, że my twardziej pojęliśmy życie: już są ludzie, dla których wszelkie szczęsnostki świata tego, choćby najbardziej rozpajające, są zupełnym nonsensem: praca ducha, męczeństwo ciągłe wewnętrzne i po tem męczeństwie otrzymana siła duszy twórcza, wylewająca się z ust i z oczu, oto są drugich ciągłe czyny.

Ty jeszcze, droga moja, tego może nie pojmiesz, ty nie pojmiesz, jak wczoraj, wracając o północy do domu z jakiegoś francuskiego zebrania, gdzie ludzie

niby ptaszki świegotali o głupstwach, kontenci, że tak jeden wieczór żywota zabijają, ja ujrzawszy się w mojej zaciszy, takiej teraz napełnionej przez myśli moje i stworzone niemi czyny przyszłego świata, z rozrzewnieniem myślałem o szczęściu mojem, o tej pełności serca i ducha, którą czuję w każdej chwili, tej łasce Boga, która rodzi we mnie świat nowy, i tak myśląc, obróciłem się myślą do ciebie. O! gdyby ona mogła uczuć i obaczyć we wnętrzu mojem zbudowaną już przyszłość nietylko moją własną, ale wszystkich bliźnich moich. Gdyby ona chociaż zdołała uwierzyć w to, że przeszłość nie może być jedyną miarą porównania między duchem, którego ona urodziła, a ludźmi, którzy już żyli. Gdyby ona przestała już sobie ciągle wyobrażać szczęścia ideału pod postacią wziętości, sławy, majątku, familijnego powodzenia a raz wystawiła sobie, że jest jakiś duch, który już nad to wszystko wyleciał, już dosięgł ostatecznych kresów szczęśliwości teraźniejszej, ludzkiej na ziemi, a widzi już przed sobą nowe ziemskie prace i większe szczęście, ale trudne do zdobycia, i ku tym celom widzianym idąc, napełniony jest rozkoszą. Gdybyś to pojęła, najdroższa, już nie czułbym żadnej zawady, jużby mi nic czoła nie zachmurzyło. Niestety! ty żyjesz otoczona ludźmi zwyczajnymi, którzy ci co dnia kładą w uszy swoje zdania i opinie, choć wyższa nad nich, jednak im hołdujesz; widzę to w zapytaniach twoich troskliwych o związki moje z przyjaciołmi, pytasz mię, czy nie zerwałem z tym albo z drugim. O! droga i miła! gdyby mnie kto chciał ku celom niższym zwrócić, karła znów duchowego zrobić ze mnie, gdyby mi przyjaźń swoją ofiarował za zraz pieczeni i kieliszek wina, albo mi kazał bawić siebie ciągłą o głupstwach pogadanką, gdyby kto ssał mi serce, a potem bezużytecznie upity krwią moją jak pijawka, odchodził i wylewał to, co wziął z ducha mego, a potem mi swój brud światowy, małe plotki, zawiści, podejrzenia przynosił, i takim sposo-

bem działając na mnie powoli zniszczył wiarę w anielstwo ludzkie i w piękność Bożą mego własnego ducha, a gdybym ja tego człowieka ścisnąwszy za rękę i pożegnawszy, na czas nie oddalił od siebie, ale dla jakiejś mojej korzyści żył z nim i ciągle się dziecinnił, chcąc odpowiedzieć jego muzykalnemu tonowi, byłbym wtenczas prawdziwie godzien pożałowania.

Kogo się dotknę teraz, dotykam go całą piersią moją; jeżeli nie może znieść człowieka a chce zamaskowanej figurki podług teraźniejszego świata, na model poety lub dowcipnisia, z którym wieczór przepędzić miło, zrobionej, od takiego człowieka odchodzę bez żadnego uczucia gniewu, ale też z czasową dlań obojętnością, bo silny dość nie jestem, abym jednem spojrzeniem duchy w anioły przemieniał, a nie mam też dosyć czasu, abym nad każdą taką istotą pracował jak dawni nawrócicielе. Z tej strony więc nie rań mnie, bo jeżeli zapytasz, czy wart jestem ludzi szacunku i miłości, to ci z sumieniem odpowiem, iż pracuję ciągle i krwawo, abym na to oboje zasłużył; lecz jeżeli będziesz pytać o ten fakt: czy mię taki a taki człowiek kocha, na to ci odpowiem, że serca są w ręku Boga, a ja mogę zasługiwać na nie a nie mieć ich. Bolałem więc mocno, gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje przyjacioły. Nikogo nie obrażam, ale praca moja tysiące ludzi obrazić może.

Dla takich to rzeczy mocniej niż kiedykolwiek boleję na rozdzielenie nasze. Czas płynął, jam może szedł naprzód prędzej niż ludzie idą, niż nawet ty sądzisz, że iść mogą, bo doszedłem celów ostatecznych, które Zbawiciel nam jak przez mgły pokazał, a ty zawsze, droga moja, chcesz ze mnie mieć jakiegoś byronistę, enerwującego już i tak wyenerwowanych. O! jakżeby to była rozkoszna droga dla dusz, którym się Pan Bóg odkrył, gdyby na tej drodze, po której do celów Bożych idą, nie znajdowały wstecznych albo zatrzymanych aniołów. Czasami najmilsze im dusze są

takimi zaprzeczycielami, pomyśl, jaka tortura! pomyśl, jaka boleść okrutna! Jeżeli więc chcesz mi prawdziwie ulżyć w boleści mojej, to przez Boga zobacz mnie, proś go o wiarę w ducha, proś go o to uczucie nieśmiertelności, którego jeszcze ludzie nie mają na ziemi. Niech ci da uczuć to Chrystus Pan świata, żeś ty w nim była już przed wiekami, a teraz jesteś z pracy własnej twojej jemu stworzona. Jeżeli tego nie uczujesz, dręczyć się będziesz wiecznie o siebie i o mnie, nie pojmując, jak to można przyjść do tego, aby nie tęsknić po młodości, pamiątek nie płakać, a ukochać to, co się już stało. Bez uczucia nieśmiertelności ducha pod sobą i nad sobą, świat jest zagadką. Z tem uczuciem zaś patrz koło siebie, a wszystko ci sprawiedliwość Bożą wytłómaczy. O! gdybyś ty przyszła do takiej wysokości, żebym ja ci mógł kiedyś napisać trzy słowa: Matko, oto, świat mię znienawidził! a ty żebyś wtenczas wykrzyknęła: Chwała Chrystusowi! widać, że ducha swego prawdy i miłości zlał na dziecko moje. — Ja do tego dążę; jeżeli czego innego będziesz oczekiwać, ciągle będziemy się dręczyć o siebie.

Daruj mnie Bogu i przyszłości, proszę cię na kolanach, zrób dar zupełny ze mnie, a ujrzysz, żem cię nie oszukiwał, ale prawdziwie do najwyższych uczuć szczęścia w duchu twoim prowadził.

Szczęście w nas jest. Bądźże mi tak rozweselona i upewniona, bez próżnych zachceń, ale pełna modlitwy o szczęście prawdziwe dla nas obojga.

Twój *Juliusz.*

106.

Sierpień 1846.

Nigdy tak mocno, droga moja, nie kochałem cię, jak w tym roku, widząc stałość twoją i cierpliwość i ufność i wiarę. Wszystko to oddziaływało na mnie

i spokojnie czekałem pory, aż mi pozwolisz, abym ci doniósł o mojem zdrowiu.

Ostatni twój list z cebulkami nie zawierał żadnego rozkazu, owszem kończył się tak, że pomimo najgorętszej chęci pisania musiałem się był zatrzymać; wierz mi jednak, droga moja, że wśród tego wstrzymywanego milczenia często były chwile, iż myśl o twojej niespokojności jak piorun przechodziła przez wszystkie moje nerwy; zastanawiałem się często śród pokoju jak wryty i miotałem głową w rozpaczy, ale cóż było robić? Szczęściem, że to wszystko minęło, że ty zdrowa i spokojna, że mnie kochasz i czujesz duchem swoim z daleka, a że tak jest, dowiodłaś mi tego magicznym sposobem.

Po tegorocznych upałach, zmęczony nieco słońcem, zmęczony także ciągłą tęczą kolorów, które biły na mnie od atłasów i aksamitów, bom przez miesiąc cały patrzał się jak Zosieńka cukrowa sprawiała siostrze swojej za mąż idącej wyprawę, a przewracanie się jak w piecu wulkanicznym różnych jaskrawych i drogich rzeczy, oszołomiło mię nadzwyczajnie; chcąc orzeźwić się, pojechałem nad morze, i od dni dziewięciu stałem jak czapla nad brzegiem, pytając się moich rozgrzanych nerwów, czy mi się w wodę rzucić wypada, czyli też tylko na wietrznej kąpieli poprzestać. Gdy tak w niepewności dumam i ważę się na dwoje, ty, najdroższa, z daleka w liście swoim dajesz mi rozkaz, piszesz mi prosto: kąp się w morzu. Czy pojmujesz, moja droga, jakie było moje zadziwienie, znalazłszy wśród innych nowin, te proste trzy wyrazy? W chwili przeczytania zdawało mi się, że stoisz przy boku moim, że twój głos nad głową słyszę; było to wczoraj... i zaraz wczoraj rozkaz twój wykonałem z niezmierną rozkoszą i, jak teraz czuję powtórzywszy kąpiel dwa razy, z niezmiernym to się stało nerwów moich pożytkiem. Ociężały nawet zanadto, bo ja, który wczora przed kąpielą list byłbym pisał może szalony

z jakiegoś rozmiłowania się w tobie i z wdzięczności, dziś siedzę z piórem taką spokojnością owionięty, że nie wiem, czy te wyrazy wymalują ci serce moje. Tak od serca do pióra daleko!... a serce moje, wiele teraz czuje dla ciebie i z tego powodu, że w ostatnim liście zdjęłaś z mego natchnienia to niby zaprzeczenie, któreś była na nim listami twemi położyła... odjęłaś mi wiele wiary, rzetelnie wiele mi sił było zabrakło. O! wróć mi droga, całego ducha twego pomoc, całą miłosną siłą przez Boga we mnie uderzaj, wystaw sobie, że ja okręt jestem i twojemi westchnieniami płynę, nie dziw się porównaniu, patrzę na morze z okien moich, jestem w małej mieścinie.

Wczoraj jedyny mój znajomy stąd odjechał, sam więc jestem, ale mi nie nudno, bo czas piękny i miesiąc swoje rogi zapełnia. W tym kościele, gdzie tyle modłów poszło za rozbitymi na morzu żeglarzami, anieli z tych modlitw są moim towarzystwem. Na tych skałach, gdzie żony tak często z rodzinami siadają, wyglądając mężów i ojców, którzy zwyczajnie na morze Północne na połów stokfiszu wyjeżdżający i większą część roku bawią, ja często siadam nocą i w Bogu utonąwszy, dziwne robię zaklęcia, dziwną pracę odbywam, pracę nad sobą samym, nad własną moją ubogą naturą, nad tym duchem, który nad światem cierpi, a pomódz mu jeszcze nie może. Wczoraj, gdym sobie w rozmowie z Bogiem dopomagał wspominaniem Mojżeszowej wielkiej rozkazującej modlitwy, z jednej strony kawał smętnego księżyca świecił mi jakby jeden ze świeczników zakonu, a z drugiej strony ciągle się błyskało jak na Synaju.

Oto masz, droga moja, opisanie mego stanu i okoliczności, które mię otaczają. O ludziach nie mam co pisać, teraz musiałem na chwilę odwrócić od nich oczy moje. Zapewne ci Zosieńka doniesie, że zdrów jestem, bo ją o to usilnie już przed miesiącem prosiłem. Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przy-

jaźni i mam czułe listy od niego; mówię o Zygmuncie. Nigdy nie myślałem go obrażać, ani mu szkodzić... teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i cząstką mego szczęścia szczęśliwi.

Kończy się papier... nic nie pisałem o Hubinie, zdajmy to na Boga... a Fil niech czyni potrzebne starania; bardzobym rad mieć go z tej strony, bo kocham ich szczerze i radbym wiedzieć szerzej zamieszkałych.

Całuję cię, droga, serdecznie. Niech Bóg będzie z tobą.

Juliusz.

107.

Dnia 14 grudnia 1846.

Najdroższa moja! Nie wiem, czy w tych złych czasach doszła cię ode mnie jaka wiadomość. Cierpię na tem, ale ufam, że ty przez tyle lat cierpliwie znosić wszystko nauczona, przez modlitwę w Bogu umiesz dowiadywać się o mojem zdrowiu i powodzeniu. Nic tu nie zmieniło się dla mnie. Duch mój zawsze żyw. Serce to samo, co było... a dla ciebie pełne uczucia i miłości.

Niecierpliwie czekam jakiej wiadomości o wioseczce, nie dlatego, abym się z cząsteczki właścicielstwa, które mi dajesz, cieszył, ale z powodów innych, tobie, droga moja, wiadomych. Zdrowie twoje potrzebowałoby wiejskiego powietrza, przejażdżki, roztargnienia. Chwil kilka pod czystym niebem, z miłemi ci osobami przebytych, możeby ci na długo sił nowych dodały.

Mnie by także tych rzeczy było potrzeba, potrzeba mi choćby na godzinę, na sercu, co mi życie dało odpocząć, abym mógł znowu innym życia udzielać. Teraz

mi trudno idzie. Sam siebie dźwigać i krzepić muszę. Bóg mię uciska, albo takiemi radościami napełnia, których innym, we wnętrzu ducha nieporuszonym, udzielić nie mogę. Pracuję, myślę, przygotowuję moje obrazy, na ekspozycyę. Malarstwo mię zatrudnia, chciałbym w tych płótnach światło wyrazić, więcej niż kolorowość natury. Światło, z którem w oczach Rafael zaczynał. Czemuż ty, droga, być ze mną i we mnie nie możesz. Czemuż to, co ja widzę, jest ci jeszcze zupełnie obce i za granicami pięknych i szlachetnych myśli twoich.

Mówiono mi, że ty mi ufasz, ale mnie nie pojmujesz; więc to tak jak inni, którzy sądzą, że ja gdzieś myślą zupełnie już w ideały uleciałem, nie chcąc uwierzyć, żem realniejszy od nich, bo pewny i z wiarą widzącą cele świata. Proszę cię, droga, zawsze o modlitwę wspólną ze mną, proszę o związek ducha serdeczny, nigdy nieustający, proszę o przebaczenie, proszę o sąd miłosierny. Nigdy może nie było na świecie tak trudno duchowi ludzkiemu jak teraz, nigdy mu Bóg tak wielkich celów nie pokazał, nigdy taką niemocą nie ścisnął. Wszystko to złamałbym, mając miłość. Wszystko mnie łamie, co nie z tego źródła poczęte. Cierpliwość mam jednak wielką.

Ty wiesz, ja ogień chodzący, ja, niegdyś dziecko niepohamowane, teraz żyję, jak gdyby we mnie nic ludzkiego nie było, ani krwi, ani żądzy, ani chęci, ani zawrzenia, ani wybuchu. Uśmiechać nawet mi się z ludzi nie wolno, trzeba wszystko zrozumieć, przyjąć, ukochać, ożywić, przemienić i Bogu na ziemi pokazać pracę anielską. Bądź-że mi dobrą i serdeczną. Złym o mnie wieściom, jeżeliby były, nie wierz i z dobrych nie raduj się, aż ja powiem, żebyś się z czego uradowała. Teraz wszystko mgliste i dawne kwiaty dokwitają na swoich łodygach.

Nie piszę dłużej, bo nie czas jest. Chciałem tylko,

abyś wiedziała, żem zdrów i zawsze jednakowo ciebie kocham i do ciebie uciekam się w serdecznych myślach ducha mojego.

Twój *Juliusz.*

108.

Paryż, dnia 10 Oktobra 1847. Niedziela.

Sally, Sylli, Filu!

Bądźcie mi pozdrowieni, drodzy i ukochani. Bogu niech będzie chwała, żeście zdrowi. Mocno mię wzruszył list wasz... Spadł nagle i niespodziewanie — tak nieprzyzwyczajony jestem do dobrych zmian w samotnem życiu mojem, że prawie się zląkłem myśląc o blizkiej nadziei zobaczenia się z karmicielką moją... Czemże ja ją przyjmę? jak ją powitam? Dziateczek przed nią nie postawię rzędem — żniw jej moich nie pokażę — stanę przed nią taki, jak wyszedłem od niej. Niech Bogu będzie chwała i jego wola we wszystkiem.

Dzień cały wczorajszy chodziłem myśląc — a o wszystkiem myślałem — na tem stanęło. Oto Fil korzystając jeszcze z ostatnich pięknych dni jesieni odprowadzi Sally do Drezna, Salka weźmie tam paszport do Wiesbaden około Frankfurtu nad Menem — albo do innych jakich wód — i będzie gotowa — ciepło ubrana bez wielu manatków z jednym tłómokiem — skrzynią, w której z pościeli nic — a jedynie dwie pary prześcieradeł i dwie poszewki przydatnemi być mogą — wolno jeszcze a nawet trzeba mieć ze sobą sac-de-voyage[1]) czyli woreczek zamykany na kłódkę z rzeczami do codziennego użycia — jeżeli można, niech także się zaopatrzy w kilka par sztućców srebrnych i łyżek. Oprócz zwykłej bielizny i zwykłego

[1]) Czyt. sak-de-włajaż.

ubioru niech niczem się nie obciąża — bo tej w każdych wodach niemieckiech znajdzie — dalej tak się stanie. Oto Sally uprzedzi mnie, którego dnia ma stanąć w Dreznie, a wtenczas, jeżeli ja sam nie będę mógł, to mój najbliższy przyjaciel będzie ją czekał w Hanowerze, Fil więc Salkę w Dreźnie na drogę żelazną zaprowadzi i do powozu zapakuje — a przyjaciel mój z tegoż samego powozu w Hanowerze ją wysadzi — i odtąd o niej myśleć będzie — aż ją zawiezie i mnie odda. Proszę Salkę niech się na mnie dalej zupełnie spuści, — ja nic nie przedsiębiorę takiego, co by jej zaszkodzić mogło — bo wolałbym jej nigdy nie widzieć niż, aby stąd jakikolwiek uszczerbek na zdrowiu poniosła — ale obmyśliłem wszystko, z wielkiej i długiej drogi odpocznie zupełnie u siebie, nie w żadnym hotelu — ale u siebie. Pan Bóg mi dziś już umyślnie nastręczył miejsce przyjęcia — które to miejsce wczoraj mocno mnie kłopotało. Słowem, niech Salka prędko się decyduje — donosi mi w dzień wzięcia decyzyi o swojem postanowieniu — a pamięta o tem, że niedecyzya najdrożej się w podróży opłaca. Niech więc zrezolwuje się — jedzie do Drezna lub, jeżeli chce, przez Berlin do Hanoweru prosto. Niech się memu przyjacielowi odda zupełnie w opiekę — a tak zimę przepędzimy oboje w miejscu nienudnem — familijnie — i odnowi się między nami to uczucie, które potrzebuje mieć świadomość miejsc i okoliczności życia naszego.

Gdyby jednak Salka chciała do Włoch, wtenczas ja wypełnię wolę jej — otwarcie jednak powiem, że w teraźniejszych niespokojnych czasach — nie będzie mi to łatwo. Niech także Salka rozważy, że w takim razie dwudziestodniowa czekałaby ją podróż w kraju nieznajomym i niebezpiecznym — a ja dziewięć dni musiałbym jechać — to wszystko przeraża mnie. Z reumatyzmu nikt się w ciepłym klimacie nie uleczył — owszem pory się otwierają a każde zawianie wiatru

szkodzi. Na reumatyzm jeżeliby co pomogło Sally, to zimne w Ihuzi kąpiele. Jeżeli będzie potrzeba po przepędzeniu razem zimy — pojedziemy gdzie do morza. Gdzie ja Sallę zapraszam, sama atmosfera żyć dopomaga — we Włoszech wszystko uciska — ruiny — ludzie, wszystko obce. Lepiej trochę gorzej jeść — trochę ciaśniej, albo ciemniej mieszkać, a żyć samym widokiem żyjących — niż chodzić z lornetką pomiędzy obrazy i potęgi. Niech się dzieje jednak wola w tem Boża, a wybór niech będzie Salki.

Spodziewam się mocno jednak, że na moją stronę los padnie. Piszcie mi więc jak najprędzej, a korzystajcie z ostatnich dni jesieni, proszę Was.

Z waszym przyjazdem do Ubienia wiele mi nadziei przybyło, spodziewam się już kiedyś i Fila, że go jak brata kiedyś u siebie przyjmę — lekko wysiadającego z wagonu. Wszystko teraz łatwiejsze... Samotność moją Bóg rozwiązał.

Piszcie mi o Ubinie, czy jest na czem gospodarować? a nie róbcie sobie z niczego raj (!) bo za to Bóg karze... Będziemy tu kiedyś z Filem myśleli o gospodarskich ulepszeniach — o zaprowadzeniu nowych nasion jarzynnych i kwiatowych. Agronomem w teoryi zostanę — on będzie praktykował. Lecz proszę — powoli rozszerzajmy tę nadto błyszczącą nadzieję.

Sylleczka moja niech przędzie — mówiono mi o niej niedawno, że cudnie gospodaruje, i domek swój uświetnia, tak, że się zawsze wyniosłym gmachem wydaje — masz coś Sylleczko, w sobie Nimfy — i taką cię zawsze widzę — gdy cię młodziutką pamiętam... i ty zapewno kiedyś przylecisz.

Bądźcie zdrowi drodzy — i donoście mi czemprędzej — abym wszystko podług waszej decyzyi mógł przygotować.

Z mojej strony nie będzie zawodu w niczem.

Wasz *Juliusz Słowacki.*

109.

Dnia 23 Oktobra.

Piszę przez Hausnera, bo się boję, aby moje częste listy młodego jeszcze Fila na wioseczce nowej, nie naraziły na jakie trudności... List wasz drugi zdaje się odkładać podróż do wiosny — widzę jednak, że — wszystko troje odważeni jesteście na podróż, a nawet daleką. Piszę więc tak:

Jeżeli macie ją odbyć — to lepiej teraz zabierzcie się we troje — a drogami żelaznemi przez Berlin ruszajcie nad Ren, bo to jest najlepiej — najprędzej — a taniej, niżby potem do Włoch było, bo w podróży to nie powóz, ale życie kosztuje, w którem trudno jest zaprowadzić porządku. Ja to wiem z doświadczenia — umiem jechać a jechać, stawać zaś nie lubię. Odpoczywać lubię po spełnionym trudzie... Gdybyście więc odważyli się na podróż, przyjedziecie w miejsce, które ja wybiorę, a w którem koszt będzie taki. Dziwnym trafem zdarza mi się w domu, pod bokiem mieszkanie umeblowane, wielkie, i nawet za wielkie, ale które kosztuje tyle tylko co najmniejsze tu dwa pokoiki... Mieszkanie to oddane mi będzie na sześć miesięcy za 500 franków. Służąca, jedna kucharka, na miesiąc 30 franków. Ta podług zwyczaju tutejszego wszystko zrobi, bo tu ludzie są inni niż u nas. Stół kosztować będzie po sześćdziesiąt franków na osobę — a może mniej nawet — bo ja jeden za 80 franków umiem się karmić — a jeden to nie czworo.

Więc troje was wyda na miesiąc:

Za mieszkanie	80 fr.
Za stół	180 fr.
Za kucharkę	30 fr.
Doliczmy na małe wydatki	110 fr.
Za miesiąc	400 fr.

Czy was to przerazi? — Wykarmić was za tę sumę ja podrad biorę — i usadowić dobrze; ogrzać...

Chociaż wprawdzie nie przyrzekam wam bardzo obfitych nut, ani bardzo gorących apartamentów... Przyliczmy teraz do tego sto fr., które czasem na teatr, czasem na fiakra wydacie — nie bardzo często wszakże — a miesiąc wypadnie dla trojga fr. 500 czyli po 160 na osobę... Więc zima cała — to jest 6 miesięcy fr. 3000. Ale zima warta widzenia. Co do innych okoliczności możecie być spokojni — tak wjedziecie jak w puszczę Białowiejską... ja, gdziekolwiek wskażecie, przyjadę i wprowadzę was — do mieszkania gotowego — a na to nic mi przysłać nie trzeba, bo z łaski waszej mam na ruszenie się każde dostatecznie...

Rozbierajcie to co piszę — lepiej w zimie być razem, jeśli mamy być razem, bo na wiosnę Fil będzie miał prace gospodarskie. Wreszcie nie wiem nawet, czy nie rachowałem za wiele — bo jako samotnik nie wiem o ile taniej się żyje, gdy się jest razem. To tylko wiem, że tu wielu oswaja się widząc jak łatwem jest to co trudnem sądzili. Fil odżyłby i nabrał mocy do pracy — bo jemu z listu widzę, trzeba, abym ja go serdecznie uścisnął — a zdjął mu z łona jakiś ciężar — jakieś dzikie spojrzenie wyrwał z oczu... Płakać będziemy Filu ale wesoło, gdy pomówimy z sobą. I ty Sylko — straszne mi jakieś głosy z ducha twego wydobyte w liście przysłałaś... Koniecznie chciałbym was... A Salli także zawsze się spodziewam że mi się odda w ręce... Gdyby nie piąte piętro na które włażę — a na które ona wleśćby nie mogła, przyjąłbym ją nawet u siebie — bo mam trzy choć źle i biednie umeblowane ale piękne pokoje. Wszakże niech o tem ani myśli — ja się do niej przeniosę do apartamentu, o którym pisałem. Oto jest wszystko. Odpisujcie mi prosto — wszak to dla was jest najdogodniej list wrzucić — a on mię dojdzie. Sally mojej drogiej dziękuję za opisanie wioseczki. O gdybym ja mógł być w tych pokoikach choć chłodnych, byłbym szczęśliwszy niż we wszystkich Pitti galeryach — patrząc na ten lasek

sad i staw — a poszedłszy sobie ze strzelbą na polowanie. Ale o tem ani myśleć. Rok nawet starań byłby daremny. *Juliusz.*

NB. Gdyby ten list przyszedł już po wyjeździe Sally do Drezna — lub Hannoweru przez Berlin, niech jej Sylka zaraz pośle wiadomość — i prośbę, aby się w tych miastach o listy adresowane do Fila Januszewskiego poste restante pytała... bo tam będę jeśli odbiorę odpowiedź wzywającą mię... Pierwszy list pisałem prosto do Lwowa. Jeśliby nie doszedł, powtarzam go w krótkich słowach... Sallę chciałem mieć w Dreznie, a z Drezna wyprawioną do Hannoweru, gdzie ją mój przyjaciel odbierze i w podróż zawiezie. Albo też niech prosto przez Kraków, Berlin do Hanoweru drogą żelazną jedzie. Niech z dni pięknych jesiennych korzysta, bo potem zimno i trudno... i trzebaby aż do wiosny odłożyć. Spodziewam się zresztą żeście to wszystko już rozważyli i że za dni kilka odpis wasz mieć będę.

110.

Dnia 20 listopada 1847 r.

Kochana Matko moja!

Piszę te słów kilka, bo niespokojny jestem o twoje zdrowie nie mając tak długo na listy moje odpowiedzi. Myślałem że podróż twoją przeciągniesz i przyjedziesz aż do Berlina, a w każdym razie o woli twojej mię zawiadomisz — a dotychczas żadnego nie mam listu — i mieszkanie, o którym ci pisałem, już mi uciekło. Wszakże niech cię to nie troszczy — syna ci kącik wystarczy. Gdybyś zimą podróżować nie chciała i nie mogła — to napisz mi, gdzie wiosną będziesz? Pisz, proszę. Niepodobna jest, abyś ty wyjechała nie zawiadomiwszy mnie o tem — a jednak ty może już

stęskniona do drezdeńskich doktorów jesteś w Saksonii, a ja nic o tem nie wiem! Od miesiąca już prawie co dzień listu od ciebie wyglądam — a te słów kilka piszę jak najkrócej — jako syn o zdrowie twoje troskliwy.

Twój *Juliusz.*

111.

Dnia 2 grudnia 1847.

Drugi list wasz pierwej niż pierwszy odebrałem i przeczytawszy ten frazes, żeście się obie z Syllą śmiały z moich projektów, zadziwiłem się z obojętności waszej, zacząłem więc wam odpisywać, gdy oto w tej chwili przychodzi mi list twój pierwszy, niepotrzebnie przez bankiera pisany, który zapewne u niego przez dni piętnaście zależał, bo mię aż po trzydziestu dniach doszedł. Czemu wy prosto na ręce do Ponthieu nr. 30 nie piszecie.

Możecie sobie wystawić, jak byłem przez czterdzieści dni niespokojny, co dzień czekając rozkazu. Patrzyłem ze strachem na dżdże i słoty coraz ciemniejsze. Skarbiłem sobie łaskę tego przyjaciela, który miał ci moją osobę zastąpić w podróży, o mieszkaniu także myślałem, a nie mogłem go zamówić ostatecznie.

Dobra moja portierka, która mi obiad gotuje, co dnia ze spuszczonymi oczyma przychodziła smutna, że listu nie przynosi; raz (patrzcie jej delikatność), wchodząc na schody do któregoś z innych domu mieszkańców, zrzuciła głośne drewniane trzewiki i szła boso, aby mi, jak mówiła, nie sprawić smętnego zawodu, to jest, abym nie myślał, słysząc krok jej, że list przynosi, gdy ona z próżnemi rękoma na wschody wstępowała. Mały to fakt, lecz ci najlepiej odmaluje to oczekiwanie moje, które się po całym domu rozniosło. Wszystko cię czekało.

Teraz ci powiem, droga, że istotnie lepiej jest, że oboje do wiosny zaczekamy. Od wczoraj przedsięwziąłem potrzebne kroki dla otrzymania paszportu do Carlsbadu;[1]) na wiosnę więc, spodziewam się, że z wszelką spokojnością i rozkoszą, zjedziemy się, tam gdzie ty zechcesz i czas jakiś z sobą pomieszkamy. Nie myśl, aby mi bardzo łatwo było wyjechać i jeździć, gdzie mi się podoba, zwłaszcza mieszkać i przebywać w wodach. Ułatwi się to jednak a bądź pewna, że żadne przeszkody przeciwko woli twojej oświadczonej nie zatrzymają mię. Staram się jednak, aby tych przeszkód nie było. Co do twego paszportu, weź go do którychkolwiek wód a wszędzie posłuży. Nawet z tym, który masz, wszędziebyś jeździć mogła, raz wyjechawszy za granicę kraju, w którym się znajdujesz.

O! gdyby nie ten kraj a którykolwiek inny, jużbyś mię dawno widziała wysiadającego z dyliżansu, bo ja ten sam, który niegdyś słysząc, żeś ty chora, we dwa dni przyleciałem do ciebie i w nocy zastukałem do furtki i u babuni na sienniku ranka doczekałem, pamiętasz? Ten sam ja zawsze, tylko dziś przez Boga podniesiony do godności sługi jego, a przez to gotów tak, jeszcze prędzej lecieć na każde jego zawołanie, choćby na końcu tej drogi była przepaść ciału mojemu, i owszem radośniej i prędzej lecieć gotowy, gdyby przepaść była. Opisanie wioseczki, lasków i wód rozradowało mię; saneczki mię wasze cieszą. Ale mię smuci brak, który się wam czuć daje.

Staraj się, droga moja, abyśmy tę podróż jak najmniejszym kosztem obyli, bo i to do szczęścia mego potrzebne, abym wiedział, żem ja was nie zubożył. Owszem, mam kilka tysięcy na papierach i gdyby nie to, że teraz papiery mocno spadły i przedawać je byłoby ze stratą, to chętniebym je wam ofiarował; lecz proszę, poczekajcie, aż się interesa tu handlowe za-

[1]) Czyt. Karlsbad — Karlowe Wary w Czechach.



Pompeja.

chwiane głodem przeszłorocznym poprawią, a wtenczas i mój trzosik może wam być pomocą w złym razie.

Co do mnie, skromnie bardzo żyję i bylebym nie był głodem zmuszony pójść w służbę ludzką, to nie dbam o resztę. O nasiona nieznane wypytam się.

Mianowski był u mnie, ze łzami i milcząc przesiedzieliśmy czas jakiś na kanapie. Miał do was pisać, nie widząc się ze mną, wyjechał. Widuję teraz wielu ludzi. Miłość mi ich sprowadza. Zimę tę więc, nudną oczekiwaniem wiosny, łatwiej niż inne zimy przebędę.

O dworku Hersylinym mówiła mi panna Teodora, siostra Reginy. Mówiła mi, że Fil niepospolity człowiek, ale ma jakieś smutki i gryzienia wnętrzne; ja to czuję i ciągle czuję, tak, jak gdybym mu ciągle od lat sześciu w oczy patrzył. On też oczy odwraca; ale ja ten jego kiedyś smutek wyciągnę z piersi jego i wyrzucę, tylko niech mi Bóg da wziąć go za ramiona i wstrząsnąć. Dzięki ci, droga za listy, zwłaszcza za odpis na pierwszy list mój, który tak długo gdzieś błądził. Pisać będę, abyś ty na pocztę na próżno często nie zaglądała. Bądź mi zdrowa, kochana matko moja, do widzenia się. Miłuj mię, ale z prostotą świętej matki, tak jak ja ciebie czysto i serdecznie miłuję.

Juliusz.

112.

U siebie dnia 28 grudnia 1847.

Najdroższa moja matko! Pisałem do ciebie list, który nie wiem, czy cię dojdzie, bo pisany był przez pośrednią osobę dla skrócenia drogi, a tymczasem ta osoba, jak się dowiaduję, mogła się z nim rozminąć. Dobrze się więc nawet stanie, jeźli cię to pismo nie dojdzie.

Pisałem bowiem w uniesieniu i rozżaleniu na niespokojność twego ducha, który, jak czuję go teraz, z całą słabością żądzy, już tylko cel jeden widzi przed sobą, już tylko o jednej rzeczy myśli, jak gdyby zaspokojenie naszego żądania było kiedykolwiek niebem na ziemi. Mówiłem ci w nim, że właśnie odwleczenie twego wyjazdu przyszło prawdziwie z Boga, bo mię w słotę i w zimno nie wyciągnęło na trzydniową i szybką a niespokojną podróż, którą byłbym odbył szczęśliwy, ale chory na grypę i cały flegmami zimnemi napełniony. A to pisałem ci dlatego, abyś i w tym razie, najdroższa, wiedziała, że ile razy Bóg nie spełnia naszej ziemskiej modlitwy, to tylko dlatego, że mędrszy od nas i wszystko wiedzący i czujący nas w sobie, wie, iż się o rzeczy złe dla nas modlimy. I tak, gdybyś była w duchu świętości pytała Boga, czy masz już pod koniec jesieni jechać, czy nie, byłabyś w świętościach duchowego świata usłyszała, że cię Bóg cierpliwą chce mieć do wiosny, a tę ofiarę złożyłabyś w natchnieniu, która była by mnie i tobie policzoną i u Boga zapisaną jako źródło przyszłej łaski, a teraz co? Ja smutny, że ty nie masz, czego żądasz z całem wytężeniem woli, i ty przez śnieg zatrzymana, nie przez piękność i świętość ducha twego, który czując się nieśmiertelnym, umiałby z cierpliwością o radość się modlić i całą przytomnością tej radości, jeżeli ją Bóg da, używać. Wystawić sobie, droga moja, nie możesz, ile ja jestem utęskniony do widzenia się z tobą, lecz to dlatego, abym choć jedną chwilę mógł się uczuć z tobą w jednem uczuciu, nie we wspólności tylko serc razem bijących, ani też w myślach wspólnie rozweselonych, ale w jednym mówię duchu, który rządzi sercem i myślą. Teraz serce twoje jest ze mną. Ale myśli często się mijają; ty innych rzeczy dla mnie pragniesz, o innem szczęściu dla mnie marzysz. Gdyby się spełniły prośby twoje,

za mną niesione do Boga, płakałabyś sama, będąc w Bogu i widząc, coś uczyniła.

Więc ty myślisz istotnie, że ja mam prawo siąść w domeczku wiejskim i zakładać ogródek? A skądżeś ty wzięła ducha mego, gdyś go rodziła? Czy z ogrodu jakiego wyszedł? czy bez czucia? czy bez zdolności? czy z naturą podłą człowieka starca, który przez czterdzieści lat myślał już tylko o brzuchu i o strzelaniu na kaczki? Wszak zda mi się, że przyszedłem zdolny czuć i podzielić z tobą całą piękność czującej i wykształconej nieszczęściami duszy twojej, a nigdy ciebie nie zawstydziłem ani upokorzyłem podłością jaką w mojej będącą naturze, bom gdzieś ofiary czynił, już przed światłem żywota — i teraz czynię — i jeszcze więcej chcę, abym czynił coraz idąc wyżej w piękności i świętości ducha mojego — oczekując chwili, w której się znów z ducha narodzę — jeżeli upokorzony to nie przez winę moją — bo wola moja jest iść przez Boga — nie przez ziemię. — Gdybyś mi powiedziała, że gdy się zestarzeję a oczy i nogi utracę — to ludzie, których ja uzdrowiłem miłością i pracą ducha, z miłości dadzą mi gdzie chatę ciepłą drewnianą blizko miasta, w której oni bracia moi, będą czynili i mieszkali — i tę chatę sadem obsadzą — i dbać będą, abym ja był o spróchniałe ciało moje spokojny, a spracowanym myślom wypoczął; więc oni będą za mnie dręczyli się sprawą świata... będą cierpieniami uzyskiwali natchnienie, a do mnie schodzić się będą czasami, aby mię biciem serc ogrzeli — twórczością myśli świętych ożywili — ruchem młodości odmłodzili. Gdybyś mi taki ideał uprosiła u Boga — upraszając Go, aby ten odpoczynek przyszedł jak najpóźniej — nie zaś jaknajprędzej — pojąłbym — a jeszcze byłbym smętny, że o spoczynek dla mnie prosisz — bo szczęście jest to ruch wewnętrzny ducha i wywieranie miłości na wewnątrz. Kto nic z siebie nie tworzy, nie wyciąga — ten nie zbogaci się na ziemi; sama

wiesz, że władza uczucia szczęścia jest szczęściem — wszak to wiesz dobrze.

Nie chcę jednak, abyś sądziła, że ja nieczuły jestem na wiejskie szczęście domowe, a tylko w miejskich jakich wesołościach zakochany. Owszem, wiejska, obfita ale nie elegancka uchrona byłaby teraz dla mnie największym kusicielem, najtrudniejszą do wyparcia się ponętą. Obaczysz, jak ja skromnie żyję w mieście, obaczysz ciche życie moje, uczujesz muzykę teraźniejszych uczuć i myśli moich, które są do piosenki wiejskiej na fletni granej podobne. Wcale nie światowe i modne. Obaczysz to wszystko i może i nad tem będziesz cierpiała, widząc, że ja równo na eleganckie jak na zmysłowe ponęty patrzę bez współczucia żadnego, ale spodziewam się, że uczujesz wewnętrzną moją wesołą i rozradowaną duszę, a wtenczas dasz mi się pokonać we wszystkich żądaniach twoich, które chcą dla mnie szczęść, których ja nie chcę, albo których mi już kosztować bez uniżenia mojej duchowej natury nie wolno. Nie chcę być jak Penelope i w noc złą pruć to, co przez dzień wyszyłem.

Nie miałem wcale zamiaru dziś pisać do ciebie, coś mię do pióra napędziło. Może śnieg, który dziś po raz pierwszy pada a ciebie mi i smutek twój przypomina; list ten nie wiem, co uczyni. Gdybyś go w duchu przeczytała, powiedziałby ci o mnie wszystko; tak jeśli go czytać będziesz, nie rozumiesz, czegom chciał od twojej miłości.

Cebulki twoje odebrałem i podziękowałem za nie listem hr. Gustawowi; on do mnie także przyjaźnie napisał. O jarzyny dla Fila pytałem się agronoma, ale dureń nic mi odpowiedzieć nie umiał nad to tylko, abym posłał les choux de Bruxelles:[1]) jest to mała bardzo jak orzechy włoskie w główkach kapusta; wszakże ja wiem, że nie o jarzynę chodzi, ale

[1]) Czyt. Le-szu-de-Brjussel — kapusta brukselska.

o jakie ziarno nowe, któreby z pól czy łąk obficiej rodziło; będę się więc wypytywał a pilnie czytał agronomiczne artykuły.

Fila, że pracuje, kocham, Syllę, że przez jakiś czas nie grywa na nerwach swoich i ludzkich, grając na fortepiano, w obie rączki dobre i święte całuję. A ciebie, matko, wyglądam, jak wiosny z jaskółkami, i raduję się, że słońce już się od kilku dni ku ziemi nawróciło i wyżej idąc, zbliża czas. Twój *Juliusz.*

113.

Dnia 22 stycznia 1848.

Kochana matko moja! Długo ci nie odpisałem, bo mi trudno było na twój list ostatni odpisać: kilka razy odpowiedź już napisaną podarłem a wolę ci to wyznać niż kłamać. Ostatni twój list zasępił mię. Miłości twojej, takiej, jaka w nim jest, nic we mnie nie odpowiedziało. Może to jest ubóstwo ducha mego, wtenczas płacz nade mną i przebacz. Ale, że cię kocham, to wiem, ile razy spowiadam duszę moją i pytam ją jak Bóg, czyliby życie za ciebie w potrzebie ofiarowała? Spróbuj mię, droga moja, jak człowieka, ale nie baw się mną jak dzieckiem. Gdy ci ksiądz mówił, że w stworzeniu kochać się nie wolno, nie czułaś prawdy tych słów, bo ksiądz je mówił jak papuga; ale gdy ci ja powiem, że wzdrygam się mimowolnie na taką miłość a zarazem powiem, że jestem spragniony miłości matczynej, może uwierzysz i uczujesz. Świętą jest rzeczą matce widzieć się z synem, ale mówić, że patrząc się na niego, będzie się rozpływała, że w tem znajdzie szczęście, mówić to i pisać takim tonem, jest to ściągać na siebie i na syna nieszczęście. Bo wolałbym być pod ziemią, niż być jakiemu człowiekowi celem żywota; wierzaj mi, że przez miłość dla ciebie radbym być teraz z zie-

mi zabrany raczej, niż być tobie dostateczną nagrodą i całych westchnień ducha twego zaspokojeniem.

I ty, droga moja, gotujesz sobie wielką boleść, bo sądzisz mię człowiekiem pełnym słabości ludzkich, żądz niezaspokojonych, nadziei na przyszłość, celów różnych chciwym, który wszędzie czemściś zająć się szuka, czas zwykł przepędzać mile, od nudy ucieka, rzeczami się bawi, ludzi naśladuje: wszystko to jest snem twoim o mnie, który ty strać z oczu, a wróć do dawnego pojęcia, któreś raz o mnie w liście wyrzekła. Jestem człowiekiem, który ma une idée fixe[1]) i w niej żyję, i żyję póty, póki w niej żyję, a bez niej żyćbym się nie zgodził nawet w raju, nawet w Polsce, gdyby ona tą ideą nie była.

Do jakiegoż ty mię stanu przywiodłaś? Oto muszę się fiksatem nazwać przed matką moją, abym wytłómaczył duszę moją! O, jak bolesny jest świat i bez wiedzy żadnej w wielkość, do której może urość człowiek z samą jedynie chłopka prostotą! Więc ty sądzisz, że ludzie będą zawsze tacy jak dziś, nic nie wiedzący, skąd przyszli i co robią na ziemi? Więc myślisz, że zebranie pewnej liczby talentów i pewnej ilości ludzkiego szacunku jest to wszystko to, do czego twój syn może dążyć na ziemi? A jeśli on ma od Boga to, o czem jeszcze świat nie wie? Jeśli on przyszedł umyślnie na świat, aby powiedział i uczynił to, czego inni ludzie jeszcze nie powiedzieli i nie uczynili, powiedz, czy ty go sądzić możesz? A jeśli sądzisz a nie rozumiesz, powiedz, jak mu to boleśnie? Droga matko moja, zmieniła się moja natura: jako ciało ani z rozkoszy żadnej ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć.

Spróbowałem tego ostatniego rwaniem okropnem zęba: uczyniłem to z zupełną obojętnością, a krzyczeć mi się nie chciało, tylko dla ostrzeżenia denty-

[1]) Czyt. Jun-ide-fiks — myśl obłąkana.

sty z uśmiechem wnętrznym krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie. Jadło mi jest obojętne: z dwóch potraw jem obiad a często taki, że jak np. kilka dni temu bifsztyk był z piaskiem a ryba nieświeża, więc obiadem mi była filiżanka rosołu i kawałek chleba i piwo; obiad zaś taki pięć złotych mnie kosztuje, bo go jem u siebie, bo wolę nic nie jeść albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać, włócząc go po publicznych traktyerach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc jak ulicznica na mieszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyświęcić, a wolą za jadłem chodzić, tak jak chodzą dorywczo za czem gorszem.

Osądź z tego, czy mnie się należy pytać, gdzieby mi czas przepędzić z tobą było miło? Wszędzie, co do miejsca jednakowo, co do rozrywek zewnętrznych, obojętnie. Z Drezna cię wezmę i pojadę z tobą, gdzie zechcesz i będę siedział póki będę mógł, bo w tem nie jestem zupełnym panem. O przyjemnościach więc nie myśl a wybieraj miejsce dla twego zdrowia. Najmiemy dwa pokoiki i będziem z sobą szczęśliwi, jeśli się zgodzisz na szczęście poważne, z wnętrzności ducha czerpane. W rozrywki jestem ubogi, bo sam rozrywania się straciłem uczucie, a wszakże będę się starał i ten obrazek w duchu moim ożywić, jeżeli ujrzę, że go potrzebujesz. Słowem, wszystkiem, czem mogę, będę ci służył, ale wszystko to mniej, niż jedność uczucia, w którem chciałbym widzieć się z tobą.

Co się tyczy słabości twojej, radź się doktorów tamecznych, bo taka choroba nieznajoma, a ja nie znam żadnego doktora, bo w nich nie wierzę i nigdy ich nie potrzebowałem. We wszystkiem uzdrawia mię duch mój, wzniesieniem się i wydobyciem z siebie prawdziwego ruchu; przekonałem się nawet, że ile razy cieleśnie chciałem sobie jakiem lekarstwem prostem dopomódz, to zawsze po chwilowej uldze była potem reakcya ducha, który zdawał mi się mówić:

„Zwątpiłeś we mnie, przeniosłeś nade mnie ducha rośliny, pijże teraz ciągle rumbarbarum i bądź sługą dekoktu, kiedyś nie chciał być swoim własnym panem i gospodarzem w domku ciała.“

Tak jest pewnie, droga moja. Nie ucieszyłoby mię wcale, gdybym cię widział przez wody do energii życia podniesioną, a jednak nie odradzam ci wód, jeżeli w nie masz wiarę, bo za wiarą iść trzeba.

Do widzenia się, matko droga. (Spróbuj prosto na pocztę pisać, bo tak lepiej, zawsze jak najprościej... Był u mnie Feliński, zdaje mi się godny kochania chłopiec). *Juliusz.*

114.

Dnia 13 lutego 1848.

Najdroższa moja matko. Nie otrzymując dawno listu żadnego od ciebie, piszę te słów kilka, abym cię zapytał, czym cię poprzedniemi listami nie obraził, a jeżeli tak jest, abym przeprosił. Przebacz mi, bo wiele smutków mam teraz i nie jestem silny przeciw wszystkiemu. A ciebie, jeżeli o miłości mojej nie przekonam czynami, to cię słowy przekonywać nie będę.

Widuję tu dosyć często młodego Felińskiego. Co czwartek do mnie przychodzi i zdaje mi się, że mnie kocha, a to mi rokuje, że i ty ukochasz mnie, jak przyciśniesz do serca i wspomnisz na wszystkie ofiary, któreś dla mnie poniosła. Wielkiego mizeraka syna oddam ci, zamiast tego, któregoś ty na świat wysłała, który był dumny i niezupełnie godny twojej miłości. Zobaczysz, droga moja, że ze mną teraz spokojniej czas płynie, a domek, który ja zamieszkam, cichszy jest niż inne — wiosna się zbliża.

Spodziewam się, że w kwietniu będziesz mogła do wód wyruszyć. Nie życzyłbym ci jechać wcześniej, bo

wiatry marcowe ostre są a dżdże chłodne i niezdrowe. Zresztą czasu mamy dosyć a powaga obojgu nam przystoi w czynach naszych.

Wszystko odkładam do widzenia się z tobą, droga moja, i sam ufam, że mi to lato z tobą w części spędzone sił doda, bo mówię ci, żem smutny, a ta zima bardzo mi złą była; niespokojność twoja także mi nie raz namroczyła brwi i rzęsów. Nie mam nic, w czemby mi teraz ludzie pomogli, w Bogu ufam i jemu polecam serce twoje, aby je uleczył, jeżelim je zranił.

Jeszcze raz proszę cię, droga, przebacz mi i kochaj mnie, bo oprócz tych prostych słów nie widzę żadnego sposobu uproszenia miłości twojej. Czekam na list twój z niecierpliwością. *Juliusz.*

115.

Matko najukochańsza! Te kilka słów piszę, abym ci doniósł, że zdrów jestem i widziałem się z panią Melanią, z którą długo się nagadałem o tobie. Względem wyjazdu twego do wód nic teraz nie powiem. Bądź cierpliwą. Ufaj, że cię kocham. Filowi za kilka jego słów czułych dziękuję. Pierwsze to słowa jego serdeczne od lat wielu. Niech się Pan Bóg wami opiekuje. Pod jego strażą jestem, wszystko się tu uspokoiło.

Pani Melania w kilku słowach lepiej moją duszę widziała, niż ty teraz, najdroższa moja, widujesz ją w listach moich. Od niej więc prawdziwsze o mnie wiadomości mieć będziesz, bo w jej oczach widziałem wyrozumienie i czucie.

Całuję cię serdecznie, droga moja, i proszę, abyś wierzyła, że dnia żadnego nie będzie, abym nie myślał o twojem szczęściu.

Twój *Juliusz.*

116.

Dnia 28 marca 1848.

Najdroższa matko moja! Nie raz ty zapewne teraz przed Bogiem na kolanach pytasz się go, jakiemi on drogami swoją świętą sprawę prowadzi. Ufasz teraz zapewne w obronę jego i widzisz, jak często innemi drogami, niż były nasze zamiary, spełnia nasze życzenia. Oto może wkrótce już nietylko zjadę się z tobą, droga moja, ale połączę się z tobą, dopełniwszy moich obowiązków i zrzuciwszy się z moich ciężarów. Każdy dzień teraz dla mnie nową mi pracę przynosi, znam twoje serce i wiem, że ty mi błogosławisz; nie miej żadnej trwogi o mnie, jestem już rozważnym człowiekiem, lecz siedmnaście lat pracy wewnętrznej i cierpienia duchowego winienem teraz w owocach pokazać. Módlże się ty za mną i bądź siłą moją i cierpliwością moją, bo mi teraz w zapale łagodnym być potrzeba, a gdybym uczuł troskę twoją, mimowolnie zapał mój możeby zgorzkniał. Pomóż mi być cierpliwym. Trwaj w ufności. Felusia ci polecam także, który jest ze mną, czystym brylantem i skarbem moim; prawdziwie mi takiego potrzeba było.

Dziś jeszcze o przyszłości pisać nie mogę, każdy dzień zmienia moje położenie i kierunek nowy czynnościom moim nadaje; choć się nie ruszyłem z miejsca, wszystko mię jednak ku tobie przybliża. Wczoraj przed zaśnięciem widziałem wyraźnie twarz twoją oczami ducha, tak wyraźnie jak nigdy jeszcze... Zdawało mi się, żem cię przed tygodniem porzucił i bez żadnej trudności w myśli widzę twarz twoją. Musiałaś się była w modlitwie ku mnie pochylić.

Cudowna to dla mnie wiosna. Może pączki, które się na drzewach w wioseczce Fila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują. Może usta moje kawałkiem chleba domowego, rodzinnego będą nasycone i napełnione. Może Sylli kochana z czareczką jakiego kwasu

przyjmie mnie w progu chateczki swojej. Choćby to najuboższe było, nie dbajcie, wspólnie pracować będziemy, byle nowej matce naszej nie być ciężarem. Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie choć na chwilę odpocząć duchem i ciałem wolno.

, Od czasu zmian nie odebrałem od was żadnego listu: list z karteczką Fila, na który odpisałem, był ostatni. Milczenie wszakże wasze przypisuję nieporządkowi poczt, i ufam w Bogu, że was strzeże i strzec będzie. Fundusze moje zapadły się teraz na czas jakiś pod ziemię. Mam wszakże za co żyć i za co wyjechać, gdy tego będzie potrzeba. Nie przysyłajcie mi więc nic, bo to byłoby na próżno i byłoby mi teraz nawet uciążliwe dla niepewności, jaka tu względem bankierów i pieniędzy panuje.

Ufam droga, że ty wiesz, iż z całą niecierpliwością dziecięcia twojego chce mi się lecieć do ciebie. Nie będę cię więc o tem zapewniał, tylko proszę, abyś wierzyła, że to mi jest zawsze przytomne i przed oczami. A jednak jeszcze nie wiem, jak się to stanie, bo mi droga moja jeszcze się zupełnie nie wyjaśniła. Skoro tylko zdecyduję co o sobie, wiedzieć będziesz.

Teraz proszę ciebie, cierp jeszcze chwilę i z wolą Bożą się zgodź, a mię jemu oddaj całkowicie, tak jak ja cały się z tobą poddaję Bogu i jemu się polecam. Całuję serdecznie nogi twoje. *Juliusz.*

117.

Poznań, dzień Świąt[1]) *1848.*

Najdroższa moja! Zdziwisz się zapewno, odbierając ten list z Poznania; ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina, że widzę chłopki pol-

[1]) 24 kwietnia.

skie na wozach i po kościołach. Bóg i Pan mój pozwolił mi widzieć to i uczuć, a ja używam tego szczęścia, o ile mi jest wolno, ważnością chwili teraźniejszej uciśniony. Jestem tu na gościnie w domu jakby rodzinnym przyjęty i traktowany. Nie wiem wcale, jak długo mi tu wypadnie zabawić, a ty, najdroższa, wiesz, że dłużej niż potrzeba nigdzie teraz nie zabawię, ale będę śpieszył i kierował się tak, abym jak najprędzej u ciebie stanął.

O, jakże spragniony jestem tego łóżka, które mi ty sporządzić każesz, gdzie się położę jako z długiej pielgrzymki życia wracający, strudzony wędrowiec, jednem odetchnieniem wypoczywający sobie i cały ciężar fatygi z piersi zrzucający. Jak blizko ta chwila? Nie wiem, bo mam obowiązki, od których sam Bóg tylko uwolnić mię może.

Proszę cię, bądź spokojna o mnie i wyrozumiałą na moje położenie, które mnie wiąże z ludźmi i samemu samolubnie kierować sobą nie pozwala. Nie odpisuj mi tu, bo może tak długo tu nie zostanę, abym list twój odebrał. Jeżeli możesz, staraj się z kraju mieć metrykę moją, bo mi ta może być potrzebną. Wszystko tu jeszcze mgliste i nierozjaśnione. Proś Boga, abyśmy byli światłem czasu i chwili, i miłością wszystko wiązali.

Pani Melania pozdrawia cię i dała mi odjeżdżającemu matczyne błogosławieństwo. Wkrótce spodziewam się czuć rękę twoją na głowie mojej, i serce Fila czuć bijące na sercu mojem, i Sylki uściśnieniem być umocnionym.

Teraz więcej nie piszę, bo jestem rozerwany na myślach i w uczuciu natężony. Proszę, módl się, aby wszystko było chwałą Bożą a sama bądź spokojna. Spokojność w Bogu budzi entuzyazm na ziemi.

Bądź zdrowa. Dziękuję Bogu, żem już tak blizko ciebie i prawie już niczem nie przegrodzony od ciebie.

Wesela się spodziewam i radości w domu twoim, i w tej nadziei całuję ciebie w nóżki po tysiąc razy, droga matko moja. *Juliusz.*

118.

10 maja 1848.

Kochana Matko moja.

Wyrwałem się nareszcie z Poznania, gdzie mi było nie bardzo wygodnie — teraz jestem we Wrocławiu i myślę na tym punkcie pozostać jako na miejscu, które mnie dziś najwięcej ku tobie przybliża. — Mam nadzieję, że cię zobaczę i bez zobaczenia się nie oddalę się.

Teraz piszę te kilka słów — abym cię uspokoił o moją osobę. — Filowie niech mnie nie zapominają. — Ściskam was. *Juliusz Słowacki.*

Szanowny ziomek mój Filowi ten list odda i o mnie powie.

119.

Wrocław, dnia 14 maja 1848.

Najdroższa matko moja! Od kilku dni jestem we Wrocławiu, tak blizko ciebie, a jednak rozdzielony nieprzebytą na teraz przestrzenią. Pisać ci, abyś tu przyjechała, nie mogę, bo sam nie wiem, czy mi co chwila rozkaz wyjazdu stąd nie zostanie dany przez władze miejscowe. Wszystko więc rodzinne a serca tyczące się zostawiam Bogu, który mnie prowadzi, i może w trudach moich choć chwilę szczęśliwą z tobą przebytą wynagrodzić mnie zechce.

Siedziałem przez miesiąc gościnnie przyjęty w jednym domu poznańskim, teraz siedzę w ciupie naję-

tej u Niemca... jak ptaszek uwięziony patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozsypanych braci moich i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne, serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za ducha nieśmiertelność. Boży czas zaczynają.

Miesiąc ten życia mojego pełny cudów: spotykałem się z ludźmi, z którymi spotkać się było życia mego zadaniem. Ostrzegany byłem przez Boga we wszystkim. Napełniony życiem rozdający siłę, gdy potrzeba. Na czas wszędzie stawałem. Wola się moja z dopuszczenia Bożego pełniła.

Ty może mi zarzucasz, droga moja, żem prosto nie pojechał do ciebie. Ale dowiesz się, co uczyniłem i przebaczysz mi tę niby oziębłość dla ciebie serca mojego. O, nie oziębłość, zaledwie nie śpiesznością by to nazwać można. Lecz zastanowiony byłem przez wypadki, które podług myśli Bożej przemienić i urządzić było potrzeba.

Jeden z waszych obywateli wziął tu pozawczora list do ciebie a do Fila na kopercie adresowany; był to list w pierwszej chwili przybycia mego pisany i nic niezawierający ważnego. Co Fil robi? Postępowanie ludzi oświeconych w mieście waszem jest straszne i ściągające na was okropne nieszczęścia. Dałbym wiele za to, żebym cię teraz widział w dawnem twojem siedzącą mieszkaniu. Bogu was polecam.

Od dwóch miesięcy, to jest od przemiany w Paryżu, listu żadnego od ciebie nie mam. Pisz więc, proszę jak najprędzej do Wrocławia poste-restante i wyraźnie adresuj.

Mam tu przy sobie jednego młodego człowieka, który mnie nie odstępuje. W tym i w wielu innych rzeczach Bóg mię wynagradza stokrotnie za trudy i za cierpienia moje duchowe. Za każdą ofiarę płaci mi

a wielu ofiar ode mnie przyjąć nie chce. Zapewne zachowuje mnie na późniejszą jaką wielką godzinę.

Nie zostawia mię także Pan mój bez zatrwożeń i pogróżek: i tak, przyjechawszy tu, przypadkiem się dowiedziałem, że człowiek, któremu powierzyłem w Paryżu interesa moje, umarł, podobno nagle a zatem może bez testamentu. Pisałem już o to i nie wiem, jaką otrzymam odpowiedź.

Pisz, droga moja, i donieś mi otwarcie i obszernie o położeniu twojem teraźniejszem. Z Poznania pisałem do ciebie, iż dobrzeby było, abyś miała moją metrykę i dowiodła nią, że jako syn twój mam prawo do kawałka ziemi w Galicyi. Nie jest to wszakże rzecz nader ważna i spodziewam się, że stanie się niepotrzebną.

Fila proszę o to tylko, aby niczego nie odkładał na jutro, a nic nie brał na zdrowy rozsądek, ale stało się w tych czasach jak dzieci słuchające natchnienia i wichru Bożego we włosach. Wróble wszystkie są dziś policzone u Boga i żaden bez jego rozkazu z błękitu nie spadnie. Nie bójcie się więc i o siebie i o mnie. Razem ze światem znajdziemy się w wyratowaniu świata tego, które jest postanowione u Boga. Święci Pańscy z wami i opieka Boża nad wami wszystkiemi i nade mną. *Juliusz Słowacki.*

Będę odtąd pisał poste restante, więc się czasem dowiadujcie.

120.

Wrocław, dnia 18 maja 1848.

Najdroższa matko! Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawionym, proszę cię jednak, jeżelibyś się na to odważyła, abyś wsiadła do dyliżansu i choćby na dni kilka tu przyjechała. Nie tak to jest droga długa dla ciebie, a ponieważ masz paszport, więc ją możesz odbyć z wszelkiem bezpieczeństwem. Wi-

dzieć się z tobą byłoby dla mnie wielkiem szczęściem w tych czasach, w których mię wiele rzeczy boli i udręcza. Choćby więc na tydzień przyjedź a ja cię będę czekał w dzień umówiony na drodze żelaznej, i postaram się dla ciebie o mieszkanie.

Pisząc to, strach mię jednak bierze, abyś się nie naraziła dla mnie na jakie niebiezpieczeństwo. Proszę, nie ryzykuj się, a prośbę moją spełń, jeżeli cię duch twój zapewni, że to uczynić z łatwością możesz.

Myślałem, że ja do ciebie przyjadę, teraz w tej myśli zachwiany jestem i lękam się, abym zamiast zbliżyć się ku tobie, nie był przymuszony znów się oddalić. Niech mi więc Bóg pozwoli jeszcze raz wziąć błogosławieństwo twoje, i mieć w pocałowaniu twojem świętem ochłodzone czoło moje.

Odpisz mi, droga, jak najprędzej i powiedz, czyli będziesz mogła przyjechać i czy będziesz dość silna, abyś mię znów mojej służbie Bożej i Bogu oddała, bez żadnego zachwiania się i bez żadnej boleści, któraby skruszyła siły moje. Gdybym zmuszony był stąd przed twoim przyjazdem odjechać, wtenczas w najbliższem miejscu zatrzymałbym się i czekał na widzenie się z tobą.

Całuję cię, najdroższa matko moja, i Filów ściskam serdecznie. *Juliusz Słowacki.*

Pisz poste-restante pod mojem imieniem własnem do Wrocławia.

121.

Wrocław, dnia 20 maja 1848.

Kochani moi! Piszę do was, ale widać, że was listy moje nie dochodzą, bo żadnej nie odbieram odpowiedzi. Chciałbym gwałtem choć na kilka dni przyjechać do was, ale mi bardzo trudno teraz, bo jestem w przeciwną drogę odsyłany.

Gdybyście mi mogli przysłać świadectwo, że jestem współwłaścicielem dóbr Ubienie pod Lwowem, rzecz mego widzenia się z wami nie miałaby żadnych trudności. Piszcie, proszę, piszcie, czyście zdrowi, jak się wam dzieje, co zamyślacie robić? Piszcie poste-restante. List niniejszy spodziewam się, że za staraniem przyjaciół moich dojdzie was. Piszcie mi także, jaki jest adres waszego mieszkania, abym w przypadku prosto mógł zajechać.

Czekam z największą niecierpliwością listu od was, bo się lękam, aby mi nie trzeba było stąd do Francyi odjechać bez widzenia się z wami. Całuję was po tysiąc razy, zdrów jestem i ze wszech względów bezpieczny. Oby Bóg dał pomyślność i błogosławieństwo!

Wasz *Juliusz Słowacki.*

Piszę do was poste-restante i wy tak do mnie piszcie.

122.

Najukochańsza matko moja! Już nie wiem jak pisać i gdzie pisać do ciebie. Widać, że cię listy moje nie dochodzą, choć różnemi drogami posłane. Odpowiedzi od ciebie doczekać się nie mogę.

Jestem teraz we Wrocławiu i będę się w tem mieście trzymał, póki można, czekając na ciebie, bo mi trzeba widzieć ciebie choćby na czas krótki, choćby przez jeden tydzień; trzeba mi żyć z tobą, zwłaszcza, iż dopełniłem obowiązków moich i mogę święcie u Pana Boga prosić o uścisk twój i błogosławieństwo. Kto wie, czy mi nie trzeba będzie znów powracać do kraju, gdzie się snuły smętne lata żywota mojego. Bóg cierpliwości żąda ode mnie a prowadzi ciągle kroki moje i opiekuje się mną w każdej godzinie. Jeżeli będziesz mogła, siadaj do dyliżansu i wybierz się lek-

ko, i donieś mi o dniu wyjazdu, abym czekał ciebie na kolei żelaznej. Gdybyś mię na niej nie znalazła, jedź prosto do hotelu Weisser[1]) Adler (orła białego) we Wrocławiu, a ja zostawię tam mój adres. Więc skoro powiesz nazwisko moje, to ci zaraz doniosą, gdzie mnie szukać. Wysiadając z powozu, zapytasz o to odźwiernego, który w bramie stoi ogalonowany, a ten będzie miał kartę moją.

Podróż z miasta, gdzie jesteś aż dotąd, nie jest utrudnioną dla kobiety; dla mnie jest teraz niepodobną, a choćbym ją nawet odbył, to nie mógłbym z tobą spokojnie i dni kilka bawić. I to mi utrudza, że nie wiem twego adresu, ani adresu Teofila. Gniewam się, żeście mię tak zostawili bez informacyi, bo nawet w posłaniu listów przez przyjaciół stoi mi to na zawadzie.

Najałem tu mieszkanie na dni czternaście, lecz przed końcem przyszłego miesiąca muszę wiedzieć, co mam robić ze swoją osobą. Gdybyś chciała prosto do mnie zajechać, to wiedz, że mieszkam na Neue Schweidnitzer Strasse[2]) nr. 3 na drugiem piętrze, dzwonek na prawo. Nie mógłbym jednak u siebie cię ugościć, bo mam jeden pokój, zawsze więc byś musiała zajechać do hotelu.

Proszę cię, droga moja, jak najprędzj pisz do mnie poste-restante pod moim własnym nazwiskiem, i donoś mi o sobie, bo spragniony jestem wiadomości tej i nadzwyczaj niespokojny. Całuję cię po tysiąc razy i proszę, abyś jeżeli to być może, przyjechała.

Twój *Juliusz.*

---

[1]) Czyt. Wajser.
[2]) Czyt. Noje Szwajdnicer Sztrase — Nowa Świdnicka.

123.

Dnia 25 maja 1848.

Do kochanej Sylki.

Mówiono mi już dawniej, Sylko moja, żeś ty się w wielu zdarzeniach pokazała mocną kobietą, wielkiej cnoty i ducha. Proszę cię więc, abyś mi matkę moją przysłała silną, a wyprawiła ją w czas dobry, pogodny, bez żadnego niecierpliwienia się — ani żadnej nerwowej bojaźni. Ty wiesz, droga moja, co to jest podróż — że to nie jest żadne wysilenie potęg naszych i rzecz żadna heroiczna — ale proste przeniesienie się z miejsca na miejsce, przez użycie powozów, które ku temu są najdogodniejsze. Tu gdzie ludzie ciągle jeżdżą — widzę tysiące kobiet samych różnego wieku, które z największą spokojnością jeżdżą z miejsca na miejsce, nawet kapryśne są względem konduktorów i osób znajdujących się po wagonach. Otóż ja, znając moją matkę drogą — lękam się, aby ona nie sądziła się wszędzie zgubioną — ostatnią — aby mówię, nie poddała się zupełnie pozorom, zamiast panować nad niemi. — Ciebie więc, Sylko, proszę, abyś ją nawet żarcikami podniosła, aż nad wagony i zahartowała jej serce, a te ptaszęce bicie serca, które ona ma na widok niebezpieczeństwa lub ludzi, wyjęła z niej. W tem jest ducha twego rycerstwo prawdziwe i za to ja ciebie kocham — boś ty nawet przede mną miała tę panującą powagę — i gardziła światem wypadeczków — a dlatego to pamiętasz, wyjeżdżając w daleką podróż, klękałem przed tobą i o błogosławienie prosiłem. — Siła twoja była ze mną i może jest jeszcze dotychczas — jak wonność jakiego kwiatu, na duchu moim. Dajże tej siły Salli. A potem roztęż się i z całą bezsilnością miłości uściskaj Fila ode

mnie, który niech sadzi, szczepi i buduje, jak za czasów Noego. Bądźcie zdrowi oboje. Kocham was jak dawniej.

Wasz *Juliusz Słowacki.*

124.

Wrocław, dnia 1 Junii 1848.

Kochany Teofilu.

Tyle listów pisałem do was bezskutecznie, że nareszcie adresuję ten list do Ciebie — do wioski twojej myśląc, że może cię dojdzie.

Od miesiąca blizko jestem we Wrocławiu — gdzie chciałbym, aby mogła przyjechać kochana matka moja — i to prędko — bo przed końcem miesiąca musiałbym wziąć decyzyę — i może odjechać do Paryża. Przez znajomych i przez bankiera kilka razy pisałem; w ostatnim liście donosiłem, że mieszkam na Neue Schweidnitzerstr. 3. Jeżeliby więc Sally przyjechała prędzej niż list jej z oznajmieniem, niech się każe zawieść do hotelu Weisser Adler i stamtąd niech po mnie wyszle z kartką człowieka — mówiąc mu, aby dzwonił na drugiem piętrze, dzwonek na prawo, to koniecznie powiedzieć, potrzeba, że zweiter Stock (drugie piętro), bo w domu nie wiedzą mego nazwiska, nie wiedzą nawet, że jestem w nim. Proszę cię i zaklinam, abyś chwili nie tracił, a Sally decydował. Mnie zaś donoś jak najprędzej pod mojem własnem nazwiskiem Poste-restante à Breslau. Gdybym wiedział dzień przyjazdu, czekałbym najdroższą moją na debarkaderze. Spragniony jestem jej przybycia. Sumienie by mi bowiem wyrzucało, żem nie tentował wszystkiego, aby być u niej — ale wy nie wiecie, jak mi to trudno. Trzebaż, aby teraz, gdy jesteśmy tak blizko, także trudności były w komunikowaniu się naszymi listami! Ty zapewne gospodarstwem zajęty — możeście do

mnie pisali do Paryża, dając moim listom nową dyrekcyę — a ja nic o tem nie wiem. Spodziewam się jednak, że ten list, choć do wioski pisany, jaki brief-träger[1]) odniesie tobie prędko. Ściskam ciebie i Syllę — i Sally, którą chcę widzieć tu koniecznie. Nie śmiem myśleć, aby ją co zatrzymywało. Boga proszę, by mi jej uścisk i błogosławieństwo wziąć pozwolił.

Jej syn *Juliusz Słowacki.*

125.

Wrocław, dnia 2 czerwca 1848.

Jestem we Wrocławiu — i chcę aby tu Sally (jeżeli być może) przyjechała. Niespokojny jestem, że was listy moje nie dochodzą. Sally przyjechawszy niech stanie w Hotelu Weisser Adler i niech zaraz po mnie pośle na ulicę Neue Schweidnitzer Strasse Nr. 3 d. na drugie piętro, dzwonek na prawo. Piszcie mi jak najprędzej pod mojem własnem nazwiskiem adresując poste-restante. Kocham Was

Juliusz Słowacki.

126.

Wrocław, dnia 25 maja 1848.

Najdroższa matko moja! Po różnych wędrówkach, od miesiąca już jestem we Wrocławiu, i różnemi drogami piszę do ciebie, prosząc, abyś się starała przyjechać do mnie. Pisałem pod adresem bankiera i Sylli, pisałem do Sylli poste-restante, pisałem do Teofila do Ubienia, pisałem przez trzy okazye, a w każdym z tych listów zawsze to jedno: przyjeżdżaj i pobłogosław mię, nim Pan Bóg porwie mię znowu na drogi swoje.

---

[1]) Czyt. Briftreger — listowy.

Jeżeli zaś przyjechać nie możesz, pisz, donieś mi, co się z tobą dzieje, bom już od miesiąca obumarły w oczekiwaniu i w tęsknocie. Po tylu moich listach, pojmij, jakie było moje zadziwienie przed pół godziną, gdym odebrał list od kochanego Stattlera, donoszący mi, że ty jesteś we Lwowie i że się o mnie dopytujesz. Sfinksowa to zagadka dla mnie. Chciałem w listach, abyś mi odpisywała poste-restante pod mojem własnem nazwiskiem, a teraz proszę dla większej pewności list twój do mnie zaadresuj: Herrn Stahlschmidt[1]) in Breslau, Bahnhof-Strasse Nr. 5.

Jeślibyś się w drogę wybrała, pisz, kiedy? abym cię mógł czekać na debarkaderze drogi żelaznej; jeślibyś się zaś ze mną tam rozminęła, to jedź do hotelu Weisser Adler i pwiedz, aby kto poszedł po mnie z karteczką na ulicę Neue Schweidnitzer-Strasse nr. 3 d., piętro drugie (zweiter Stock[2]), dzwonek na prawo, Proszę cię, uprzedź mię jednak listem, abym czasem nie ominął się z godziną przybycia twego. O! droga i umiłowana! wszystkie moje listy są jak ten. Nic nie zawierają, tylko to, co ten zawiera, bo w istocie o niczem innem nie mógłbym pisać do ciebie. Filowie zapewne są w Ubieniu a ja nie mam twego adresu, ani też wiem, czy do Ubienia adresować można. Słowem dziwnie się na wspak chęciom i sercom naszym powiodło, bo już od miesiąca mogliśmy byli być z sobą, a ja teraz zagrożony potrzebą powrotu, nie śmiem nawet przeciągać tego listu, abym dnia jednego w skomunikowaniu się z tobą nie stracił. Bądź więc zdrowa, najdroższa i odważ się na podróż, jeźli ci zdrowie twoje nie jest do tego przeszkodą. Bóg cię niech strzeże i niech mi cię da.

Twój *Juliusz Słowacki.*

---

[1]) Czyt. Sztalszmit in Breslau, Banhofsztrase.

[2]) Czyt. cwajter sztok.

127.

15 czerwca 1848.

Najdroższa.

Od miesiąca (codziennie chodzę bezskutecznie na pocztę), pytając listu od ciebie, i zrozpaczony i coraz bardziej rozpaczający, że tej zapory, która jest między nami, złamać nie mogę. Do Filów i do ciebie różnemi drogami pisałem i prosiłem, we wszystkich listach, abyś do mnie, tu starała się przyjechać... nigdy nie słyszałaś głosu mego... Wystawić sobie łatwo możesz moje straszne oszukanie, odbierając (!) dziś na poczcie twój list, droga moja, z dnia 10 czerwca tak długo oczekiwany. Trzymałem go w rękach drżąc z radości i mówiąc sobie: on zapewne o kilka godzin tylko bytność twoją tu poprzedza; oto ją dziś obaczę — dziś będę przy nogach jej — dziś na jej umiłowanem sercu odpocznę. O droga moja! jakże mi boleśny był ten list cały pełny wymówek — o! jak bolesny! Bóg to jednak sprawił, że z tylu listów pisanych jedynie cię te doszły; które pisałem w pierwszej chwili przybycia mego do Wrocławia; — bilecik, który odebrałaś przez przyjaciela, był pisany po pierwszym moim noclegu u nieznajomego ziomka, który mię na noc przyjął, bo nie wiedziałem, czy mi otwarcie zanocować pozwolą — inne dwa listy, które jak widzę, aż w miesiąc ciebie doszły, były także wtenczas pisane, gdy miałem nadzieję, że sam do ciebie pojadę, a trudów ci podróży oszczędzę... Oprócz tych listów, ileż jeszcze innych pisałem!... a (wszystkie bez odpowiedzi)... Lecz droga moja matko jest w (tem trochę i twoja wina) bo twój list ostatni, tak bladym bardzo pisany jest atramentem, tak niewyraźnie przytem adresowany, że go dopiero we trzy dni później wynaleziono — i mógłbym bezustannie chodzić na pocztę, a ten list nie pod literą (S jakby należało, lecz pod inną) albo H. włożony, mógł przez rok, lub

dłużej tam pozostawać. I teraz czemu mi nie przysłałaś nazwy tej ulicy, gdzie mieszkasz i numeru domu, czemu i ten list na poste-restante mi oddany, a nie przez brief-trägera rzucony? Ty myślisz, że wszyscy ludzie tacy są domyślni i pełni dorozumienia się i odgadujący boleść w listach zawartą. Ale dosyć o tem. Przyjeżdżaj droga — a nie opóźniaj się, bo chciałem już z rozpaczy, tak jak mi nakazano, do Paryża jechać — bo czułem, że wszystko, co mogłem dla skomunikowania się z tobą, byłem uczynił, a tyś w tem i Fil, gospodarstwem zajęty, — nie dopomagali. Niechże więc teraz jasno będzie tobie jak mnie znaleźć. Krótko ci więc i wyraźnie piszę te cztery punkta:

1. Przyjeżdżaj i zaraz mi listem donieś o dniu twego przyjazdu, abym mógł cię przez parę choćby wieczorów oczekiwać na debarkaderze drogi żelaznej;

2. List donoszący mi wszystkie inne adresuj: à Madame Sophie Mielęcka, Breslau Tauenzienstr.[1]) Nr. 69.

3. Przyjechawszy tu, gdybyś mnie na debarkaderze nie znalazła jakim dziwnym trafem to każ się natychmiast zawieść do hotelu Weisser Adler i stamstąd zaraz poszlij do mnie człowieka z karteczką którą niech zostawi, gdyby mnie w domu nie zastał;

4. Człowiek niech pójdzie po mnie na ulicę Neue Schweidnitzerstr. nr. 3 d drugie piętro, dzwonek na prawo, a jeśli nie znajdzie mnie w domu, to niech karteczkę twoją zostawi.

Cóż więcej do tego dodam? Z mojej strony nic więcej teraz dla widzenia się z tobą uczynić nie mogę — dowiesz się, że więcej nie mogłem... Oparłem się interesom, które mnie ciągnęły nazad do Paryża, rozkazowi wyższemu także — czekam od miesiąca z tęsknotą nie do opisania — z rozgniewaniem prawie na te (!) jakieś skrzyżowanie się listów, które mi ciebie

[1]) Czyt. Sofi... Talencinsztrase.

widzieć nie pozwoliło. A ty sądzisz, że ja obojętny i mówisz mi, że gdybym był pozwolił, tobyś już dawno była ze mną. Nie litośna ty jesteś, a gdybyś miała więcej wiary w serce moje, tobyś na pozwolenie moje nie była czekała, ale uczułabyś wołanie serca mego i rozpacz moją... O! proszę, skończ to wszystko i utul mię w rękach swoich wysiadająca z powozu... tu — jaknajprędzej Twój *Juliusz Słowacki.*

128.

Wrocław, dnia 24 czerwca 1848.

Po przybyciu tu mojem zdawało mi się być łatwem powrócić do was, drodzy, wkrótce i niesamej bo na chęciach mi nie zbywa, ale rozważając okoliczności rozmaite nasze familijne, co raz mi się to zdaje być mniej możebnem, a zatem posiedzę sobie tu, póki mi będzie można, a jak długo, to nie wiem.

Zdaje mi, że ciocia moja Rózia zajmie nasze mieszkanie, to jak mi rok wyjdzie, trzeba będzie powrócić do rodzinnego miasteczka albo Józefa prosić o przydłużenie pozwolenia pobytu tu mego, żeby się z tamtemi nie pogniewać. Żal mi teraz, że nie jestem swobodna jak ptaszek i może nie będę z wami mogła zimy przepędzić, jeżeli Mianowski mi w tem nie dopomoże. Napiszcie oto do niego, adres Niedzielskiego przyłączam — napiszcie proszę. Julo chciałby bardzo być w Ubieniu, chociaż tak jak i ja nie rości sobie do niego prawa i nigdy gospodarować nie myśli, tylko przy was niekiedy dla odetchnienia chciałby posiedzieć i przypomnieć sobie niejako wakacyjne czasy w Mickunach przebyte, bo mu tam było najmilej i znajwiększą przyjemnością rozpamiętywa, z jaką swobodą duszy przebiegał lasy i kąpał się w Wilejce; z jakiem uczuciem przebiegamy myślą upłynione czasy, z jakiem się zastanawiamy nad upływającemi i przy-

pływającemi, trudno wam to wyrazić. Wszystkim tu doznawanym uczuciom towarzyszy żal mocny, że Filowie i Fortunat nie podzielają ze mną tego szczęścia, którego doznaje, a które może niedługo potrwa, jak się przyjdzie rozjechać, i w niepewności, czy się kiedy znowu zjedziemy. Radabym wiedzieć, co się tam u was dzieje, a raczej co się z wami dzieje. Tu tak spokojnie, a nie wiele wiem, co się na świecie dzieje, gdyż gazet żadnych nie mam, tylko Julo wpada na pół godziny do cukierni, przebiega niektóre i powraca, abym nie traciła czasu nie widząc go. Odbierzcie portret zrobiony przez Gaszyńskiego, bo nic nie podobny i gamoniowaty, podobniejszy ten, co Filo robił, niech go nie stracę. Julo jeszcze teraz bardziej fizyognomię ma myślącą i więcej schudzoną, spokojny, poważny, chciałabym, żeby choć na kilka dni razem z Wami być mogliśmy...

Ale to trudno drodzy moi — bo chciałbym do Was z całą swobodą ducha przyjechać — aby pod waszemi drzewami odpocząć — teraz zaś — nie należę do siebie — ale mnie Bóg gna — i ciągłe każe składać ofiary. Ofiarą to także będzie wielką, jeśli teraz nie zobaczę się z wami, bo chciałbym choć noc jednę po tylu latach tułaczki przespać na łóżku — któreby mi Siostra Wujenka zasłała świeżemi i pachnącemi zielem domowem prześcieradłami — choć jednę ucztę zjeść w domu krewnych, którzy mię zawsze kochali. Wierzcie mi, iż wyświęcona moja natura, tego teraz jedynie pragnie, aby dary miłosne od ludzi odbierała i wdzięcznością za nie rozweseloną być mogła. Przygotujcie się więc na to, że mię kiedyś nie dzień jeden, ale całe miesiące w waszym Ubieniu gościć będziecie, bo ja z mego podróżnego stanu i charakteru już wyjść nie mogę — i tylko jako podróżny aż do śmierci być muszę. Wszelako wasz dom wydaje mi się zawsze piękną gościną i drzewem najweselszego odpoczynku... Oto więc was proszę — abyście zawsze

z lampami zapalonemi czekali na mnie, czekając aż do drzwi waszych zapukam... A niezawodnie zapukam, bo niema na całym świecie miejsca, gdzieby mnie podobne uczucie jak do was ciągnęło. Fil mi był zawsze miły, braterski — Syllę oddawna za siostrę moją mam i od niej tej wiary żądam, aby mnie bratem sądziła i w każdym wypadku dała mi to miejsce, które podobno jest jeszcze niezajęte przez nikogo — a które mi się tu od dusz takich, jak ona przynależy... W tych słowach macie wszystko, czego wymagam w przyszłości — jeśli tego nie dopełnicie, smętno mi będzie — ale wiem, że dopełnicie niezawodnie. W tych więc uczuciach proszę, łączcie się ze mną i kochajcie mnie jako brata waszego *Juliusz Słowacki.*

129.

Wrocław, sobota 8 lipca 1848.

Najdroższa moja! Dziś w sobotę, a zatem o dzień jeden prędzej, niżem się spodziewał, wyjeżdżam z Wrocławia, w którym z wielu względów bawić bym dłużej nie mógł. Wczoraj wieczorem przechodziłem koło domu, gdzieś mieszkała i patrzyłem w twoje biedne, puste okienka, twojej główki ciekawej nie było. Biedna ty i biedny ja! Dziś o piątej wieczorem jeszcze dalej od ciebie odjadę, ale ufaj w Bogu i ufaj memu bolesnemu sercu, że się do ciebie znowu przybliżę.

Bądź zdrowa, najdroższa! Tyle mam pakowania się, że mi te kilka godzin nie wystarczają; z Paryża pisać będę. Filów ściskam. O Fredrze pamiętaj, proszę, a stryja porusz. Fortunata pozdrów, mnie jeszcze raz pobłogosław w duchu i bądź ze mną zawsze nierozdzielną, umiłowana moja matko. Twój *Juliusz.*

Pisz zaraz do Paryża, czyś bez wypadku szczęśliwie dojechała, bo to mię mocno niepokoi. Strasznie tu

byli rozgniewani ci, którzy mi tu tak długo gościć pozwolili, teraz każą natychmiast ruszać; dobrze, że się to pierwej nie stało.

130.

Ostenda, dnia 14 lipca 1848.

Najdroższa moja! Otóż jestem w Ostendzie; dziś rano już się kąpałem w morzu, już obmyłem się z potu gorzkiego, który mi w udręczeniach moich na twarz występował: jużem znów odhartowany na służbę Bożą. Ale bolesną miałem drogę; ta myśl, że się znowu od was oddalam, ciągle mi siedziała na sercu. W Dreznie nie znalazłem pani Bobrowej, i dzień cały niedzielny przepędziłem w nudzie aż do wieczora; wieczorem bowiem napotkał mię jeden ziomek, o przybyciu mojem uwiadomił innych, tak że zaraz (już nie u Periniego), ale na promenadzie pod drzewem musiałem dawać posłuchanie licznej przyjaciół gromadce, a tak byli liczni, że pani Branicka, córka Hermana, siedząc daleko, pytała ojca, co to tam się dzieje, że się tak wszyscy zbiegli i tak się witają.

Nie uwierzysz, droga moja, jak mi było miłe to zapytanie młodej a znanej mi dzieckiem kobiety, która się liczbą miłujących mnie ludzi zdziwiła.

Z Drezna wyjechawszy, stawać musiałem przez dwie nocy na kilka godzin w hotelach, a w snach krótkich, w których na pół czuwał duch mój, tyś mi się ciągle śniła. Myślałem sobie, że ty może także podróżujesz, dojeżdżając do Lwowa i bezsenną będąc, myślisz o mnie, a myśl twoja przylatuje i czuwa nade mną śpiącym. Teraz nareszcie nałożyłem trzy godzin drogi, aby się orzeźwić morską kąpielą i zebrać ducha przed powrotem do Paryża. Za dni parę wyjadę stąd.

Oto jest cała podróż moja, smutna i milcząca: ust prawie nie otworzyłem, jadąc; powozy leciały ze

mną, leciały jak chmury. Niech mi Bóg będzie litośnym! Nie uwierzysz, droga, ile ty teraz zajmujesz miejsca w myślach i w uczuciach moich codziennych. Wierzę w słowa twoje ostatnie, wiem, że mnie czujesz i kochasz mnie takiego, jak jestem, a to mi zdjęło z serca najboleśniejszy kamień. Zawsze się lękałem, aby ci na oczach stanąwszy, nie być boleścią i dni twoich nie zatruć. Ale tyś się zgodziła z wolą Boga, oddałaś mię jemu — wszystko największe spełniłaś. Zwycięstwo twojej miłości nade mną jest zupełne. Nic nie ma we mnie, coby się nie skruszyło w ostatnich słowa twoich. Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła. Czuję teraz wielką miłość twoją, a już nie lękam się, aby serce twoje pękło z jakiejkolwiek ode mnie zadanej mimowolnie boleści, i to mi jest uspokojeniem.

Cóż ty teraz robisz? na co patrzą oczy twoje? Może ty na wsi pod pięknemi lipami, otoczona żeńców gromadą, a Fil leży spocony pod drzewem, a Sylli poziomki ze śmietaną przyprawia, a Fortunat jaką książkę czyta? Wszystko to mogło być i mojego życia godziną, ale ty wiesz, że nie mogło. Felusiowi już kazałem w Paryżu dać cokolwiek pieniędzy, lękając się, aby mu mój pobyt w Ostendzie nie był kilka dni stroskanych przyczyną.

Interesa moje poprawiają się. Do pani Bobrowej do Wiesbaden pisałem. Tu jednego tylko znajomego dość obojętnego mi spotkałem. Kąpiel morska mi posłużyła, bo katar nosowy wywołała. Oto są wszystkie realności mojej nowiny.

Bądź zdrowa, droga i ukochana moja, a przed Filami usprawiedliwiaj mnie, tak jak sama usprawiedliwiasz mnie w sercu swojem. Wierz, że jak najprędzej będę się starał, abym żył z tobą, i z wielką radością widziałem, że podróż z Wrocławia aż do Ostendy zaledwo mię do dziesięciu talarów za powozy kosztuje. Z Paryża mało co dalej, a zatem mało co wię-

cej będzie kosztować. Dawniej z Genewy do Paryża tyle trzeba było zapłacić, a przecież to mi się sąsiedztwem wydawało. Wszystko się ułatwia. Bądźmy spokojni a ty czasami czytaj ewangelię i Ducha świętego przyzywaj, aby ci dał mocy dla ciebie i dla mnie. Bądź zdrowa, droga.

Juliusz.

Namyśliwszy się, proszę, aby listy do mnie adresowała jak dawniej. Takie tylko, na które kwity trzeba byłoby dawać, niech będą do Słowackiego. Bo mój przyjaciel mógłby wpaść w wielkie trudności w tych czasach.

131.

Paryż, 1 sierpnia 1848. Ponthieu 30.

Droga matko moja! Już drugi list twój kochany odbieram i wstydzę się, że jeszcze nie zebrałem się pisać do ciebie. Pisałem z Ostendy, gdziem się kąpał, w morzu i kilka dni odpoczywał, chcąc zebrać myśli moje przed przybyciem do mego pustelniczego mieszkania. Mieszkanie to z nizkimi sufitami zdało mi się maleńkie i ciemne. Szerzej mi było i przestronniej w waszych stronach. Miletus mój dobry i zawsze jednakowy, przyjaciele moi niezmienieni w niczem, interesa trochę polepszone, ja sam nareszcie już do zwyczajnych prac umysł mój nagiąłem. Ale mi smutno, nie wiem czemu, energii zwyczajnej odzyskać nie mogę. Może to ty, droga moja, popsułaś mię twoją anielską dobrocią i słodyczą tych ostatnich chwil, w których z taką łagodnością postępowałaś ze mną. Któż mi ciebie zastąpi? Kto nawet przypomni? Interesa książkowe tak prędko mi załatwiłaś, że się aż zdziwiłem. Widzę, że ty żywa i umiejąca chodzić po świecie za światowemi rzeczami; ja przeciwnie, ciężą mi one, a co powiem więcej, przykrego doznaję uczu-

cia, posłać zmuszony te książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zrumieniony wydobywam ze składu te liczne arkusze, aby je oddać broszerowi: chciałbym przesiać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarnek czystego zboża dać moim miłym na siejbę. Nadto wysoko ważę teraz ducha Polski... Wstyd mi wielu melancholii Byrońskich, strach aby one nie zaraziły innych. Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, poślę wszystkie żądane książki, zniżywszy je tak w cenie, aby frank znaczył złotówkę, wtenczas większe tomiki po pięć złotych a mniejsze po trzy albo po cztery wypadną. Sądzę, iż to nie będzie za drogo, zwłaszcza, jeżeli księgarz po osobno dziełka te żądającym przedawać będzie.

Od Stattlera jeszcze żadnego listu nie miałem. Co do medalionów, te trzeba kazać odlewać na nowo, i to w znacznej liczbie, bo jednego, ani dwóch nikt się nie podejmie zrobić; skoro więc ułożę się o to ze snycerzem, poślę, jak żądasz. Wyznam ci jednak, że mi to z trudnością przychodzi, samemu o własnej twarzy myśleć; ty nie wiesz, jak to upokarza! jak szkodzi! uczynię to jednak niezawodnie.

Przyjechawszy, kupiłem żonie Miletusa suknię zimową, z której jest bardzo uradowana. Mój przyjaciel Francuz zdrów i łzawemi, radośnemi oczyma patrzy na mnie. Odebrał on list z waszych stron od Ujejskiego, który mu pisze, że wy tam czekacie na mnie i odgraża się, że mię raz złowionego już nie wypuścicie; czytaliśmy to z uśmiechem a ty mu powiedz, że choć teraz wymknąłem się jak ptaszek z rąk jego, to wkrótce dobrowolnie oddam się, aby mię przyjaciele w rękach swych mieli i przy sercu. Panią Reytzenheim znalazłem zdrową z dziatkami, mąż jej zaś u was jest, dziwię się, że go nie poznałaś. Pani Sobańska w Kilburgu. Feluś zawsze kochany, doznał twardej nędzy, wodę nosił i jeść gotował, teraz mu dobrze; widujemy się z nim często. Przybył tu także kuzyn

tych państwa, u których gościnnie byłem przyjęty przed dwoma miesiącami w Poznaniu. Miło mi było mieć go u siebie .

Otóż są wiadomości krótko zebrane, z których ty, droga moja, znając mnie, łatwo sobie odtworzysz życia mego teraźniejszego historyę. Co do ducha mego, ten stoi we mnie zamyślony i słuchający, myśląc, jakbyto usłużyć czem ludziom a nowej siły dodać, którąby we wnętrzności ludzkie wbiegła i działała. Pokoiki moje działały na mnie sposobem kaplicy, w której człowiek przez świętość jakąś jest wzmacniany i do zwyczajnego tonu podnoszony. Cicho mi w nich a zarazem coś takiego jest, co do czynności ducha mego natęża, że między czterema ścianami zostać nie chce, a na cały świat rozlać się pragnie. Pomóż mi częstem za mną westchnieniem do Boga.

Chciałbym mieć list od ciebie po widzeniu się twojem z Filami; lękam się, żeby mi nie wyrzucali mego powrotu, wtenczas gdy mi tak dobrą ofiarowali gościnę. Wyproś u nich, aby mi tę nieczułość przebaczyli. Wczoraj wieczorem ciągle myśl moja była w Fila gospodarstwie, i ciągle (sam się dziwię tej głupocie) ciągle coś mi kazało prosić Fila, aby cydr robił z jabłek i tego napoju używanie wprowadził między lud. Piszę to, bo zdziwiony sam byłem natręctwem tej myślątki. Zresztą jabłeczne to może zdrowie jest w tym ochładzającym napoju. Otóż Feluś do mnie przychodzi, kończę więc, droga matko moja i drodzy Filowie moi, wszystkich was z ukochaniem całując, i Fortunatowi dziękując za dobrą usługę.

Wasz *Juliusz.*

132.

Paryż, dnia 12 sierpnia 1848. Ponthieu 30.

Najdroższa matko! Trzeci twój list odbieram; ty utyskujesz, że rzadko pisuję, a nie pomnisz, żeś ty zo-



Juliusz Słowacki
medal ze zbioru dr. Baranowskiego.

stała na miejscu, ja zaś oddalałem się i listy moje co raz dłuższą drogę musiały przebiegać, i to nie żelaznemi drogami, ale kręcącą się po kraikach pocztą.

Radośnie mi było czytać twój list ostatni, już mówiący mi o Ubieniu, który ja sobie wystawiam, jak kraj jakiś słońcem bardzo złoty i świecący, a lipami ciemnemi nakryty; zwłaszcza miło mi było czytać to, co Sylli pisze, iż po pierwszym wieczorze twego przybycia, któryście przegwarzyli razem, zdawało się jej, że ja byłem między wami, stąd bowiem poznałem, żeś ty z miłością wielką dla mnie tę rozmowę prowadziła, zasłaniając to, co ci we mnie przeciwnem być mogło... a tylko o mojem miłującem cię sercu pamiętając. Jeszcze raz nogi twoje za to z upokorzeniem całuję.

Wypadki teraźniejsze na świecie dręczą mię ciągle tą myślą, iż ty się z nich smucić musisz, zatrwożona niemi o przyszłość; chciałbym być z tobą i pokazać ci te światła, które mi te rzeczy oświecają i w innym zupełnie kształcie pokazują: jest to prucie się źle zaczętej na drutach roboty, z Boga się inna rozpocznie.

Wszakże i mnie to wszystko smętnym czyni. Wczoraj wysłałem książki dla naszego księgarza, choć układ z nim zrobiony nie jest dobry... Odstępuję mu bowiem trzecią część ceny i egzemplarz trzynasty, on zaś bierze wszystko w komis, to jest, po wyprzedaży dopiero obowiązuje się za wyprzedane egzemplarze wypłacić. Byłoby to nic, gdyby brał wielką ilość egzemplarzy i rozsyłaniem ich po kraju trudnił się, ale komis miejscowy tyle, to jest 40 od sta, kosztować nie powinien. Co do ceny, zniżyłem ją bardzo, to jest poleciłem, aby frank po złotemu rachował. Książki więc moje będą najdroższe po pięć zł. polskich, inne po cztery lub trzy; po odliczeniu księgarskich zysków, zostanie dla mnie wcale nie wiele, tyle prawie, ile druk kosztuje. Dobrzeby jednak było, gdyby Milikowski, zachęcony wyprzedażą łatwiejszą i zyskiem zgodził się kiedyś zabrać resztę edycyi i uwolnił mię od pak, które mi są

nawet na oko niemiłe, bo chciałbym, aby niektóre z nich nigdy były nie wyszły. A następną edycyę robiąc, starać się będę niektóre z niedokończonych moich poematów zatracić.

Na ostatniej stronnicy listu posyłam kochanemu Filowi notatkę, w której znajdzie liczbę i cenę dzieł posłanych Milikowskiemu... ($^{26}/_{24}$ znaczy się dwa tuziny). Piszę to dla wiadomości Fila, który może nie wie, że się trzynasty egzemplarz nie liczy w porachunku.

Niech Fil prosi, aby mu Milikowski wyznaczył epoki, w których się będzie z wyprzedaży rachował, to jest raz lub dwa razy na rok i niech się już o zniżenie procentu komisowego nie stara, ani na teraz ani nadal, a prosi tylko Milikowskiego o rozpuszczenie tych książek po mniejszych księgarniach.

Wiecie zapewne o uwięzieniu Towiańskiego. Dziś doniesiono mi, że go nie będą wywozić na wygnanie, tak jak było postanowiono, ale sprawę jego pod głębsze rozpatrzenie wezmą. Była to ohydna niesprawiedliwość i bezprocesowe osądzenie.

Wszystko, co tu dzieje się, nic dobrego nie wróży. Feluś wyjeżdża do Munich, gdzie jest pani Brzozowska, starać się tam o przedłużenie paszportu. Przyjechał tu ten sam przyjaciel, który jeśli pamiętasz, ofiarował mi był 200 talarów. Miło mi było uścisnąć go, z nim teraz przepędzam wieczory.

Lenistwo moje sprawiło to, że nic dotąd nie pisałem do Wrocławia, i nie wiem, co się tam ze znajomymi moimi dzieje.

Ja wróciłem do mego zwyczajnego życia, z tą różnicą, iż na pamiątkę twoją jadam o godzinie drugiej obiad, na co się moja imość portyerowa chętnie zgodziła, a to mi zdrowiej.

Kawiarniczkę sobie kupiłem taką jak twoja, ale że trochę większa, więc mi co dzień, gdy patrzę na nią, żal, że jej tobie posłać nie mogę, bo miałabyś lepszą

porcyę kawy i zupełnie odpowiadającą twojej potrzebie. Uśmiech mi wystąpił na twarz, bom wspomniał o twojem gustowaniu i ciasteczkach, a teraz łza mi zastąpiła oczy, bo przypomniałem sobie o tem rannem śniadaniu, któreś ty jak służebnica dla mnie niegodnego syna gotowała. Oby ci Bóg oddał w słodyczy anielskiej i w jasnościach wiecznych ducha ten pokarm twój, który ja brałem od ciebie. Całuję ciebie moja najdroższa, i wszystkich moich miłych ściskam.

Juliusz.

Dla Teofila Januszewskiego. Notatka książek, które posłane zostały J. Milikowskiemu dnia 11 Augusta 1848 roku.

26/24	Poezye.	Tomów 3. Cena . zł. p.	15	
26/24	„	Kordyan	5	
13/12	„	Anhelli	3	
13/12	„	Trzy Poemata	4	
13/12	„	Balladyna	5	
26/24	„	Piast Dantyszek	3	15 gr.
13/12	„	Lilla Weneda	5	
26/24	„	Mazeppa	3	
26/24	„	Beniowski	4	
13/12	„	Ksiądz Marek	4	
26/24	„	Książę Niezłomny . . .	4	
26/24	„	Król-Duch	2	

Warunki są: Ustąpiony księgarni procent 33⅓ od sta i trzynasty egzemplarz.

Juliusz Słowacki.

133.

Paryż, dnia 25 sierpnia 1848 r. Ponthieu 30.

Najdroższa moja! Odebrałem dziś list twój czwarty z dnia 13 sierpnia, i głęboko mię zasmucił, naprzód wymówkami za moje późne doniesienie o przybyciu do Paryża i obrazem niespokojności twoich,

z tego powodu doznanych. O! Boże! ty wiesz, jak ciężkie są w sumieniu uczute te grzechy i przewinienia, których naprawić nie można. Grzech mój był, żem sądził, iż cię list pisany z Ostendy uspokoi: list ten drogą żelazną idący, a zatem o pięć dni krócej będący w drodze, zostawił ogromny przedział między listem drugim, stąd pisanym, który na samą drogę dwunastu dni potrzebował, lecz między pisaniem listów nie było tak długiego czasu; moja wszakże jest wina, żem na te okoliczności był niepomny i dał kołysać się smutkowi, który mię po powrocie do moich pokoików ogarnął, a bał się w tem usposobieniu ducha pisać do ciebie. Bo ty wiesz, że pomimo słów listu, jest jakaś w liście zawarta muzyka, która tajemnice nasze odkrywa, i smutku naszego albo wesela jest muzykantką w liście zaczarowaną. Ale oprócz tego smutku, głębiej mnie przeraziła twoja myśl nagłego powrotu do zarażonego miasteczka. Nie dlatego, abym sądził, iż choroby gdziekolwiek uniknąć można, jeżeli Bóg ją przeznaczy, ale chciałbym, abyś ty nie jechała sama jedna, jakby na taką karę wysłana w tę mgłę strachu i boleści, gdzie myśl moja za tobą odważyć się nie śmie. Dlaczegoż nie starasz się o przedłużenie paszportu choćby na trzy miesiące, samo podanie prośby, choćby bezskuteczne, byłoby zwłoką. Wreszcie ja nie wiem, coście z Filami uradzili i ufam, że cię Fil strzedz będzie i ofiarować się tak nierozważnie nie pozwoli... Co do mnie, ty teraz przekonana jesteś, że cię kocham i wiesz, jak byłbym rażony w rdzeń mojej biednej istoty, gdybyś ty mię na świecie porzuciła. Lepiejżeby mi było, żebym był ciebie nie widział i nie odnowił w uczuciu mojem i w myślach moich twego drogiego wizerunku. Bo cię teraz widzę jakby ze mną i zdaje mi się, że blizko jesteś, najlepsza dla mnie na ziemi. Proszę więc, najdroższa, nie hazarduj się, ale ze spokojnością czyń, co należy, pewna i ufna w Bogu, który się nad nami zlituje.

Ażem zadrżał, czytając, że tyś już chciała lecieć do Ostendy, gdy ja tu zdrów i spokojny, a jeśli co smutny, to tylko przez wasz smutek i przez odjazd kilku przyjaciół. Pettiniaud, o którym ci mówiłem, wyjechał do rodziców na wakacye jako artysta. Feluś przed czterema dniami opuścił mię i w Munich ma się starać o przedłużenie paszportu, którego gdyby mu odmówiono, to prosto do kraju pojedzie. Ukochany to jest chłopiec, już z chłopca człowiek; wszyscy go tu ukochali, szanując, postępki jego były anielskie, wiedza rozkwitająca stanie się kiedyś chwałą naszą. Przyjechał tu także, ale także w tych dniach odjeżdża, z innych stron, mój przyjaciel i brat, ten to, który mi był grosze we Wrocławiu ofiarował, sądząc, że jestem w potrzebie.

Gdy tak ja tu witam i żegnam znajomych, ty mi jakąś starą warszawską znajomość wynalazłaś, nazwiska dobrze przeczytać nie mogłem, ale drabując w pamiątkach moich, sądzę, że na jakiegoś filozofa natrafiłem, który mię znał i widział w pierwszych zapałach poetycznych.

Książki dnia 11-go złożyłem tutejszemu księgarzowi, a ten je prześle, ale zapewne długą r o u l a g e[1]) drogę, więc aż za kilka tygodni je mieć będziecie. O medalionach pamiętam, ale szczerze ci mówię, że jeszcze ich mieć nie mogę: jeden mam tylko, trzeba odlewać wielką liczbę, trzeba żeby się snycerz na to zgodził, a on nie wiem gdzie.

Nie żądaj ty tego tak silnie, co tylko umniejszy mi miłości w ludziach nieznających mnie, bo i czyn, posyłanie własnych medalów i wyraz twarzy na medalu wzgardliwy i dumny, będą mi zarówno serca ludzkie odpychać.

Nie jestem już z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć pamięć ludzką, a bolesna moja twarz na obrazie

[1]) Czyt. Rulaż.

Stattlera lepiej mnie teraz przedstawia. Cóż robić? Duchy narodu niezdolne są wielkich z ducha przedsięwziętych czynów, oglądają się na obce rzeczy, upadają z upadającymi i cierpią; ja cierpię także, ale inaczej, cierpię, że jeszcze się nie zaczęło, ale nie cierpię dlatego, żem się napróżno był radował.

Bądź pewna, najdroższa moja, że wszystko się przemieni tak, aby duchy nieśmiertelne postęp widziały. A jeśli nie, to albo świat, albo duchy jeszcze takiemu światu niepotrzebne, przez Boga rozwiązane zostaną. Amen. Świętych opieki wzywam nad tobą, aby światłości obrony rozciągnęły nad twoją głową. Ufam, że ci się nic nie stanie, jeżeli w ofierze i w pracy wytrwam, a nie dam się uwieść temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu pasyi duchowi, który mię nie raz do walki ze światem podmawia. O spokojność i miłość proś dla mnie Boga i sama dotrwaj mi w spokojnej miłości, jak od początku.

Juliusz.

134.

Paryż, dnia 29 sierpnia 1848.

Najdroższa moja! Przed kilkoma dniami pisałem do ciebie, teraz piszę znowu, bo mam do was prośbę, abyście się dowiedzieli, gdzie się obraca Józef Raytzenheym, który był we Lwowie u matki i pisał tu do żony, że 20 lipca zamierza wyjechać do was i tu prosto powracać, a tymczasem żonę i dziatki zostawiwszy bez żadnej dalszej o sobie wiadomości, nie wiedzieć gdzie się obraca. Nie jest to człowiek, któryby przez lenistwo nie dał o sobie zawiadomienia. Sądzę więc i wnoszę, że może się udał na południe i tam gdzie zawieruchą wypadków zatrzymany, pisać nie może. Proszę więc was a Fortunata osobno listkiem niby rekomendacyjnym opatrzę, aby miał pretekst o synie się u ma-

tki dowiedzieć, nie przestraszając ją, coby nastąpiło, gdyby ona sądziła, że syn jest od dawna w Paryżu i nagle dowiedziała się, że go tu nie ma.

Żona Józefa także pisała do niej, ale i od matki nie ma żadnej odpowiedzi. Biedna Angielka smuci się. A najstarsza córeczka aż schnie z tęsknoty po ojcu. Adres matki Reytzenheyma na listku do niego położę.

Ja, droga moja, zdrów jestem i w interesach o 2000 fr. poprawiony; dobrze i to odzyskać w przeciągu miesiąca. Zresztą nic nowego nie mam, cobym ci doniósł. Przepędzam najczęściej kawałki dnia z przyjacielem, który, jak ci pisałem, przyjechał z Gdańska i mocno mię kocha; dziś jest to dzień ostatni jego tu pobytu, odjeżdża bowiem do siebie, żenić największego swego przyjaciela ze swoją siostrzenicą ubogą, którą się opiekował i którą także bardzo kochał; tu odebrał niespodziewaną wiadomość, że się oświadczyli sobie i pobrać się mają, oboje szczęśliwi, on trzeci także radośny jak oni. I ja także, bo i tamten przyjaciel otarł się o moje serce, i dziewczynka także tu na kilka dni niegdyś przyjechawszy, z trwogą panienki polskiej kilka nauk ode mnie wysłuchała, a teraz, jak słyszę, w sąsiedztwie o nowych światłach gada, i w mężu przyszłym to ceni, w czem się on już rozbudził i czem od ludzi zwyczajnych się różni, celem i świętością już w duchu poczętą i umiłowaniem prawdy.

Widzisz, droga moja, że mi dobrze idzie na ziemi; rodziny się zaczynają, w których pamięć moja potrwa, dla których wspomnienie ducha mego nie będzie obojętne. W tej chwili odbieram list z Krakowa od jednego z młodych moich, w którym wyczytuję mnóstwo wieści o zaburzeniach w cesarstwie rosyjskiem. List ten byłby mię bardzo zgorączkował nadzieją, gdyby nie data, która mi pokazuje, że te wszystkie wieści są tylko kameleonem na mgłach północnych, promieniejącym się w kolory cudowne. Ty wiesz, droga, że ja światłości nie kolorów czekam. Pisz, najdroższa, jak naj-

częściej teraz, bo mię cholera czyni niespokojnym o was... Wszakże wypytując głębiej ducha mego, czuję, iż się nie lękam o was prawdziwie. Ściskam cię, najdroższa, i ciebie i Filów, i jestem wasz jak zawsze.

Juliusz.

Napisz mi, jeślibyś wyjeżdżała, jak mam listy adresować.

135.

Paryż, dnia 11 września 1848 r.

Droga moja! Znów listu dosyć długo od ciebie nie odbieram i w niespokojności jestem, nie wiedząc, coś postanowiła względem twego wyjazdu. Ostatni list pisałem do ciebie w obcym interesie i, chwała Bogu ten już załatwiony jest, bo pani Reytzenheymowa odebrała nareszcie wiadomość od męża i wkrótce go oczekuje z powrotem.

Co do mnie, zdrów jestem i przez kilka dni samotności, na którą mnie wystawił odjazd moich kochanych, Felusia i gdańskiego przyjaciela, pokrzepiłem się znacznie w sobie, bo samotność jest mi czasem potrzebną dla odzyskania wewnętrznej sprężystości. Omdlenia i zniechęcone duchy ludzi, którzy mnie otaczają, są mi nieraz zabójczą treścią; duch mój żyć z ludźmi bez zlania się duchowego nie umie: wiesz droga, że ich dla przepędzenia czasu, ani dla zabawy nie szukam, idę do nich jak siła po siłę i dla siły... czasem odchodzę rozbrojony... jak kropla karminu w wiadro wody wrzucona... już nieodzyskana. Ale ja, droga moja, odzyskuję sam siebie, bo zawsze jakąś część zostawiam w światłach najwyższych Bożych, która mi powraca i oświeca resztki pozostałych sił we mnie duchowych. Tak umocniwszy się, bardzo, i bardzo, z wielką żądzą myślę o przyszłej wiośnie, chcąc porzucić na

zawsze to oddalone stanowisko, a przenieść się bliżej i choćby pielgrzymować od kąta do kąta, byle tylko być pożytecznym.

Nie żałuję wszakże tego, żem wrócił i chociaż słyszę o wielkiej łatwości teraz przebywania w waszych okolicach, nie mówię, żem źle uczynił, teraz z niej nie korzystając. Dlaczego tak jest, z trudnością bym to wytłómaczył.

Odebrałem wiele listów z różnych stron, gdziem się włóczył, sam zaś pisałem do państwa Bukowieckich, u których, jak wiesz, gościnnie byłem przyjęty. Kuzyn tu ich był i wracając, list do nich zabrał. Miło mi, że w tym domu wspomną o mnie, bo mi byli nadzwyczaj przychylni.

Feluś pisał do mnie z Tyrolu list przecudnej piękności i wielkiej wagi dla mnie, bo pisał go już jako człowiek zupełny i pełny wiedzy; jest to więc skarb na przyszłość i jeden z tych, którzy mnie o przyszłość zaspakajają, bo w gwardyę naszą narodową nie ufam. Podobnież z Krakowa miałem od jednego z młodych moich braci piękne przypomnienie się.

Nigdy jeszcze tak listami nie żyłem, listy bowiem te już nie są prostą gawędą rozdzielonych znajomych. (Cóż po nich! trzebaby chyba znać kilkakroć sto milionów ludzi, którzy glob zamieszkują i z nimi korespondować). Ale listy od ludzi, już podobnych sobie wnętrznościami ducha Bożego, są prawdziwie zlewaniem się światłości i spromieniają się w duchu. O, jak dobrze módz odetchnąć odetchnieniami ludzi porozrzucanych po ziemi, którzy w westchnieniu o jedno proszą: aby duch prawdy i miłości wywiódł wszystkich na jedną wysokość i spodobnił sobie różne skarykaturowane ludzi natury, i miłość wzajemną szczerze podobną a nawet konieczną uczynił.

Nic mi nie braknie w tem uweseleniu ducha mego, tylko żebyś ty, droga moja, całkowicie ze mną była, bo mię to czasem zasępia, gdy myślę, żeś ty odjechała,

a o tej spokojności ducha mego niezupełnie przeświadczona, a zatem sama jej niemająca; twoje listy są pohamowane i nic się z nich nie wydobywa, tylko, że zawsze jesteś dla mnie miłująca i łaskawa. Błogosławieństwa twego zupełnego nie mam, w pociechach moich udziału nie bierzesz, chociaż wiem, że cierpiałabyś, gdyby mi się coś bolesnego przytrafiło.

Myśląc o Filach, także mi nieraz smutno, bo czuję, iż oni większego szczęścia są warci i zdolni niż to, na które teraz pracują. Przychodzi mi na myśl smętna karteczka Fila, gdzie mi się tłómaczy, iż w pracy swej cieszy go ta myśl, że ktoś po jego śmierci będzie z niej korzystał, a jemu wspomnienie poświęci, a może też (powiada) nie wspomni, ale od Fila szczęśliwszy swój los trzymać będzie. Zaprawdę, cóż odpowiedzieć sercu, które się najszlachetniejszych uczuć wysokością broni i zakrywa przed ducha napaścią; które w czułość uderza, aby rozbroić natrętne braterstwo. To jedno chyba, że zasępiając ducha swego, większą mi stratę przynosi na ziemi rzetelną, niż gdyby mi jakiego był uszczerbku powodem w fortunie mojej teraźniejszej. Bo jego zbytnia troska i zapatrzenie się w ziemi robi mi go obcym i dawno już pozbawiło mię listów jego serdecznych, które dawniej tak miłe mi były, że sam wzrok rzucony na charakter jego ręki sprawia mi dotychczas najżywsze wrażenie. Czuję to, ilekroć stare moje papiery przerzucając, znajdę który z listów jego; zda mi się, że w tych liniach tak prostych i kształtnych jest pełno ducha łagodnej wesołości i pełno kolorów. Teraz już dawno zapylone u mnie leżą a jednak zawsze uderzają oczy moje, jak kartki pełne właściwej sobie światłości, która mi młodszemu przychodziła od wuja przemieniającego się powoli na brata. Weź-że go ty, droga moja matko, rękami za ramiona. Oczyma wypytaj oczy jego a potem wstrząśnij i obudź z tego letargu, w którym on może tylko względem mnie zostaje, po-

dobny do umarłego, bez polotu wielkich żądz duchowych, które aż poza granicę ziemi wylatują z człowieka. A czynią to, że do ziemi tylko tyle człowiek sił zastosowuje, ile potrzeba, gwałtownością swoją nie strasząc i nie płosząc ducha cichego łanów, który chce pod spokojnością Bożą człowieka rodzić, jakby jakiemu Bogu błogosławiącemu poddając żniwa swoje.

Jeśli cię ta wioska dręczy, Filu, rzuć ją a przyjeżdżaj tu, pracą osobistą zyskiwać życie a szczęśliwszy będziesz, i ja ciebie jak brata mając, serce przy sercu, mocniejszy będę. Z niewoli się wydobywajmy, najdrożsi moi, a nad niewolę głodnego żywota straszniejszą jest jemu niewola żywota przysądzonego w rozpaczy aż do końca. Ale oto i papier się kończy.

Całuję was, najdrożsi, i proszę o zmiłowanie się miłosne dla mnie. *Juliusz.*

136.

Paryż, 9 października 1848 r. Ponthieu 30.

Kochany Teofilu! Wczoraj Reytzenheym przyniósł mi uściśnienie twoje, przyniósł tyle miłości twojej, takie dobre, serdeczne od ciebie zaprosiny, że cały rozweselony jestem, żałując tych tęsknoty wyrazów, które w liście ostatnim pisałem.

Nie przepraszam cię za nie, bo sądzę, że miłość twoja jest to rzecz, o którą mi się nawet srogo upomnieć wolno, bo nigdy nie zgrzeszyłem przeciwko tobie i kochałem cię serdecznie, szanując ciebie jako najszlachetniejszego człowieka, tak, że gdyby nawet nie rodzinne nasze związki, jeszczeby mi smętno było widzieć ciebie względem mnie oziębłym. Zdawało mi się, żeś podzielał z ludźmi zwyczajnymi tę pospolitą opinię, która mnie i moich braci ściga teraz zaciekle, bez wyrozumienia, bez sprawiedliwości, jedynie przez tę nieszczęśliwą duchów niższych chorobę, która wszelkiemu

wzniesieniu się idei nad powierzchnią jej teraźniejszą staje zawsze oporem. Smętno mi więc było, żeś nie starał się mnie samego wybadać, ducha mego w głębi znurtować, aleś niby odstąpił i powiedział: No, Julek teraz stracony. Bo wyznaj, Filu, że tak sobie powiedziałeś w sumieniu twojem, sądząc, że już wyegzaltowany nigdy się na nic nie przydam tej ziemi, ani się imę pługa, który innych ludzi tak ręce morduje. Otóż przeciwnie się dzieje, kochany Teofilu. Właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojej, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie, a ja teraz bliższy jestem poczciwych ludzi niż ludzi blichtrem świecących, a że nie jestem bez miłości sprawiedliwej, dowiodę ci kiedyś, przyjechawszy do domku twego.

Tak, Filu, najrzetelniej ci powiadam, że z najżywszą radością wybieram się do was na wiosnę; wszystko tak urządzam, ażebym tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny pozostało, bo mi coś bardzo ucieka. Teraz wszakże zdrów jestem i po napiciu się waszego powietrza ożywiony, ale zły i skłonniejszy do gniewu i dysput z ludźmi, co mi pokazuje, że duch mój stracił wiele z mocy wewnętrznej i z miłości. Źle także nań działały dzienniki wasze, które przywiózł mi Reytzenheym. Ciągły w nich materyalizm a co gorsza, że dosyć wykształcony i różnojęzyczny. Mądrości polskiej nigdzie. Człowieka także z siebie mówiącego nigdzie nie słychać. Nic twórczego, Duch święty nie wionął na waszę okolicę. Nikt nad szumem łanów nie wzniósł się i nie przeszedł się ze spokojnością Chrystusa. To cośmy zdarli na emigracyi, dawne buty nasze, u was są nowością, ciekawość macie i z nią tylko zbliżacie się do tej wolności, która na próby będzie wystawiona, jeżeli jej kto wam doskonale stworzonej i świecącej wprzód nie pokaże. Dlatego to, Filu mój, nie czułem się dość mocny, abym wpadł w to morze ciężkie i oło-

wiane, a jednak niby wzruszone i wałami swoimi gdzieś niby naprzód idące. Jeszcze nie czas na południowe prowincye. Ale już słońce wschodzi dla Polski.

, Chciałbym o tem wszystkiem obszerniej z tobą pomówić choć listownie, i spodziewam się, że nieco wolniejszy w zimie, pozwolisz mi obszerniejszej z sobą korespondencyi. Teraz nie wiem, czy cię ten list dojdzie, boście mi adresu swego nie dali, a poste-restante listy pisane, wiem, że często przez was reklamowane nie są? daj mi więc, proszę, adres nowy i powiedz mi, czy do ciebie pisane listy do matki mojej pójdą, czy zaś osobno do niej w listach twoich drugie listki zawierać mogą. Zawsze proszę cię, abyś listy rozpieczętowywał i patrzył co do niej, a co do ciebie. Mogą być albowiem różne rzeczy, które nie do ukrywania przed nią (bo nigdy kłamać nic matce nie mogę), ale potrzebuję wszakże mniej śmiałego języka.

Dziękuję ci za pomówienie z księgarzem; w zyskach jego nic nie chciej zmniejszać, owszem staraj się, aby miał zyski znaczne, któreby go do rozsyłania książek znęciły.

Ściskam ciebie i Sylli kochanej nóżki całuję.

Juliusz.

137.

Rue Ponthieu 30, dnia 25 listopada 1848 r.

Kochana Sylli! Bardzo jestem niespokojny pośród tych wszystkich wypadków, nie odbierając od was żadnej wiadomości: ani o sobie, ani o kochanej matce mojej nic mi nie piszecie, a ja się lękam i o was i o nią. Nie wiem, czy to mam przypisać nieporządkowi, jaki panuje w komunikacyach, czy też innej jakiej przyczynie. Nie przysłaliście mi adresu swego i to mię też dręczy, bo wy wiecie zawsze, gdzie mnie szukać listem, a ja muszę adresować listy do domu,

w którym może już o was zapomniano; adresować prosto na pocztę r e s t a n t e nie chcę, bo już raz byłem w tem zawiedziony, gdym z Wrocławia tak do matki pisywał a ona się o listy nie dowiadywała; upraszam cię więc, Sylko moja, wyprowadź mię jak najprędzej z tych niespokojności. Niech wiem zawsze i często, co się z wami dzieje. Choćby trzy słowa na kawałku papieru od was, co parę tygodni pisane, z wdzięcznością odbiorę. Wiem, że wam może ciężko pisać do mnie, który już od tak dawna nie mam żadnego udziału w wydarzeniach zwyczajnych waszego życia, nie wykluczajcie mnie jednak zupełnie z grona tych sercem zdobytych osób, które tworzą grona i wieniec podczas naszego tu na ziemi żywota; i wam i mnie trzeba wspólnictwa uczuciowego a stąd idącej siły i ciepła. Nie oziębiajcie tej atmosfery, która nas duchy otacza i żywi, choćby z pewną to trudnością wam przyszło, wzbudźcie w sobie miłości trochę dla mnie, a ja to poczuję i wypłacać się wam będę sercem, jak mogę.

Zasmuceni zapewne jesteście; jam przeczuwał, że ciężkie nadejdą czasy. Bogdajeście je w cichej waszej wioseczce spokojnie przebyli. U nas tu wszystko w zawieszeniu i w niespokojności. We mnie jednak niepokoju nie ma innego jak o was. O matkę moją drogą bardzo jestem niespokojny. Ściskam was po tysiąc razy i wyglądam wiadomości od was z upragnieniem a będę pisał obszerniej.

Wasz *Juliusz.*

Matce mojej kochanej napiszcie, żem zdrów, bo to jest rzetelną prawdą. O czemkolwiek teraz myślę i o niej myślę. Smętno mi, że się jej w dzień jej imienin przypomnieć nie mogę.

138.

Grudzień 1848.

Najmilsi moi! Niespokojność mię jakaś przenika o matkę moją. Tak rzadkie są wasze listy a w nich nigdy wzmianki, czy od niej był list, jak ona się ma? czy się nie dręczy biedaczka, w wielu rzeczach zawiedzione widząc swoje nadzieje. Bo wam zapewno to wiadomo, że spodziewała się widzieć Julka a znalazła spokojnego człowieka, w którym bicie serca zostało odmienione, umysł spokojny, cierpliwość i zarazem wielka obojętność na dniowe zmiany i smutki ludzkie.

Jeżeli w jakiem natchnieniu nie zobaczy ona doskonale tego nowego stosunku, który teraz jest między mną a światem, nieraz może dręczyć się będzie. Dotąd ją szczęście moje przyszłe utrzymywało, będąc celem jej myśli i westchnień, teraz może ona nie zupełnie w to uwierzyła, że szczęście moje jest we mnie, i tylko przez rozweselenie się ducha mego w miłości i w prawdach Bożych dopięte być może. Piszcie mi więc, a nawet prześlijcie czasem który z jej listów, abym choć dotknął się papieru, na którym święta jej dla mnie ręka wyrazy kreśliła.

Boże Narodzenie przeszło. W wieczór dnia tego byłem samotny i myślałem o was w lepiance waszej, chciałem nawet pisać do was. List wasz ostatni zrozpaczony o wioszczanem waszem położeniu mocno się zasmucił. Rozbierałem w sobie głęboko wasze położenie, czułem go boleśnie, bo wiem, co to mieć opodal gromadę ludzi, złą wolą ku nam wytężonych. Wszakże ufam, że się to opuszczeniem przez was wioseczki nie skończy.

Myśląc, jak ja bym sobie poradził, będąc w waszem położeniu, myślałem sobie tak (a przebaczcie, jeżeli w tem dziecinne są moje pomysły): myślałem, mili moi, że gdyby mi Bóg kiedy pozwolił być oraczem, co jest wielką łaską i dane bywa tylko duchom utru-

dzonym, którym Bóg wypocząć pozwala... gdyby więc pozwolił mi Bóg kiedy myśleć tylko o swoim i o moich bliźnich pokarmie, a dał mi kawał ziemi i jakikolwiek dach dla pokrycia głowy mojej, a nie dał nic więcej, starałbym się dom mój zamienić w dostatnią i zamożną prostego człowieka siedzibę; nie mając już ludzi pańszczyznę robiących, wziąłbym pewną liczbę (jak to w Polsce pod Warszawą wielu szlachty czyni) parobków z ludu tego, który teraz przez nadanie gruntów gospodarzom został jeszcze uboższym niż przedtem. Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtora sta zł. pol., karmieni przez pana, służyliby mi wiernie i stanowiliby niby piekarnianą rodzinę moją, rzeźką i dobrze życzącą.

Nieraz bym z nimi słodko wieczór przepędził przy ogniu, zawezwawszy do rozmowy i pastucha, i psa pastuszego przypuściwszy do udziału w tej wieczorynce. A wkrótce sam choć słaby, wywijając rękami tych ludzi, ująłbym i objął całą rolą moją. Nie na szerokość jej, ale na dobrą bym uprawę rachował. Nie na wielość bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystko bym łożył. A tak wkrótce stałbym się zdolnym powiększyć moją czeladkę i nie potrzebując już, mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczej, widząc mię słabym a wewnętrznie rozgniewanym, coraz gorzej by się pode mnie podsuwali.

Przebaczcie mi, kochani Filowie, jeśli w tem jestem jak dziecko radzące a niczego nieświadome, na domysł bowiem tylko mówię, bo stron waszych nie znam. To wszystko, co o Polsce pisałem, jest rzetelną prawdą, kilku się bowiem stamtąd przejeżdżających wypytywałem, a nadewszystko jednego z moich bardzo kochanych znajomych, który, nie będąc wcale wielkim właścicielem, z małych gruntów ma zawsze spory pieniądz, tak, że nawet często sobie podróżować pozwala i nawet zapomaga tu często innych swymi

pieniędzmi. We wszystkiem, chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić, trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywaniu rzeczy, które od nas odlatują w przepaść. A pańszczyzna i królowanie szlachty polskiej jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa polska na wieki utraciła. A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość, którą sobie u ludu zyskała.

Ja mieszkam pięć lat w domu jednym a pewny jestem, że portyer, który mi służy, po mojej śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem ciebie, Filu, gdybyś na mojem miejscu mieszkać przyjechał i miałby zaraz dla ciebie nadskakujące nogi. A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście? Któż winien? Świadczę się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł mieć i serca tych ludzi na wieki. Kto wam miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa. Powiedzcie więc sobie, żeście nowi i musicie się wydostać z tej przepaści własnemi siłami, a ja wiem, że Bóg wam pomoże. Ściskam was, drodzy moi.

Juliusz.

139.

W grudniu.

Najdroższa i najukochańsza moja! Ostatni twój list pełny czułości i dobroci był mi prawdziwie potrzebny, bo mi wiele rzeczy bardzo udręczało, a nadewszystko ta myśl, żeś ty nieszczęśliwszą, niż przedtem w miłości twojej dla mnie, do domku swego jechała niby zawiedziona i w tych resztkach nadziei, któreś z sobą jeszcze była przywiozła. Ale tak nie jest? nieprawdaż? Ty już szczęście widzisz w mojem widzeniu szczęścia — i poza uczuciem mojem nie szukasz dla mnie radości. Byłoby to próżno a ty sama wiesz, że

nie pozór szczęścia ale rzetelność jego, to jest uczucie, szczęściem jest. Idzie więc o to, abym był zdrów i taki, jak jestem, długo zachował się dla ciebie. Staram się o to wszystkiemi siłami a więcej nie mogę. Bóg może — i to abym był przezeń umiłowany — może mi przyczynić trwania na ziemi.

Proszę cię więc, nie obrażaj Pana naszego i Ojca naszego, a jeśli chcesz jakiej we mnie odmiany, jego proś o to, nie mnie proś... Bo co do mnie, wszystko czynię, abym ciebie kiedyś mógł choć cokolwiek rozradować i szczęśliwszą na świecie uczynić.

Matka Zosieńki jest tu i znajduje mnie znacznie poprawionym na fizyognomii od czasu, jak mnie w Ostendzie widziała. Piszę ci to, bo świadectwu obcemu prędzej uwierzyć można, niż własnym oczom i zwierciadłu. Wnętrze zaś moje zdrowe jest, do wiosny całym pędem myśli moje lecą, bo mi już do kaszy Filowej tęsknią i chcę, aby mię File choć trochę podźwigali na sobie, a ja za to będę ich mowami mojemi ruszał i gniewał, i burzliwością wnętrzną domku od smętnych za domkiem rzeczy odwracał.

Wiosna więc jest teraz celem moim a pierwsza to od wielu lat zima, która się dla mnie toczy z jakąkolwiek na końcu rozradowania nadzieją. I ty, droga moja, ufaj, że nie zawsze będziesz samotną. Teraz całuję biedne oczy twoje, zapewne zapłakane i na dawne ścieżki patrzące. Całuję cię, u nóg twoich.

Juliusz.

140.

22 stycznia 1849.

Drodzy moi! Skarżyłem się na rzadkość listów waszych, bo odebrałem dwa pierwsze, ale dwa listy w przeciągu sześciu miesięcy nie mogły zaspokoić serca mego. Brak listów od drogiej mojej był mi prawdzi-

wie bolesny. Teraz, gdym obaczył pismo jej kochane, już mi dobrze na sercu, zwłaszcza, że pismo to było niepojętej pełne uroczystości, o niebiosa rozognione odbite i podniesione w duchu tak, jak mi było potrzeba czuć ducha ukochanej mojej, który już wysoko wsłuchany jest w głosy niebieskie i czujny, i nie na samej już tylko ziemi dobra swego patrzący. Przemiany świateł poprzedzają przemiany dusz, a w tem jest cała tajemnica przyszłości.

W dzień wilii czułem wasz smutek, czułem was w domku waszym. Teraz widzę, jakeście rozesłali po chatach jadło i siedzicie samotni, oczekując, czyli się nie nawrócą ku wam serca ludzi. O, nie, nie nawrócą się te duchy, ale z urąganiem będą w brzuchy lać słodkie mleko makowe, miodem zasycone, ale sercem i duchem Chrystusa nie otchnięte, tak, aby prawdziwie we wnętrznościach zasmakowało. Nie, Sylli moja droga, nie przynęcisz ty ludzi prosem! Trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiej naszej naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. Znałaś miłość dziewiczą, panieńską. Miłość zawsze jest jednej natury. Jest to czar, który do nas pociąga, albo jakieś przekleństwo wewnętrzne, które od nas odpycha. Przełam w sobie to a nawet, choć bić będziesz kijem, ludzie kochać cię będą. I owszem, jeszcze mocniej nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorzką, wzgardą naszą fałszowi każdemu przynależną uderzyć, a gdy to czyniąc, nie czujemy w sobie żadnej wyższości osobistej tylko miłość rozważną i ojcowską.

O braterstwie gadają teraz ludzie i źle gadają. Bo od ojcostwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się z dobrocią wśród ludzi, którzy was otaczają a zwyciężycie wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie. Mocno, mocno chciałbym być z wami. Wypowie-

działem nawet mieszkanie moje, zawsze w tej nadziei, że można będzie was odwiedzić.

Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje. Byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie niby lekarstwo na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym was obaczyć i z wami pożyć potrzeba, a raczej powiem, chce się, tak jak się w dzieciństwie chciało Mickun albo innych jakich rajów, gdzie mi było obszernie, wolno i lubo.

Za miskę jednak soczewicy nie przedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło cieleśnie i w niedostatku przecierpieć. Swobodnie i otwarcie chciałbym być z wami. W snopku się ukryć i siedzieć już nie czuję mocy. Cóżbym robił? chyba jak świerszczyk pstrykał w której belce staruszce matce domku waszego.

Kochany Filu, pytasz mi się już po raz trzeci, czy mi groszy nie potrzeba; otóż szczerze ci mówię, że teraz mam zapas i nie jestem w żadnej potrzebie. Gdyby inaczej było, powiedziałbym wam, bo mi to teraz bardzo łatwo powiedzieć.

Radbym, ażebym nikogo nie obciążył, ale jeżeli przyjdzie potrzeba, to na was się oprę i wiem, że mi ze swego, co będziecie mogli, udzielicie. Wasze powodzenie jest zarazem spokojnością moją. Księgarza bardzo często nie napastuj, od niego zaś, jeżeli się zbierze cokolwiek, to mi przyślij, bo te pieniądze idą na potrzeby moje urojone, których ja sobie nie pozwalam, tylko w miarę przychodu. Skoro więc by sumka przeniosła sto franków, przyślij, nigdy jednak przez okazyę, ale drogą kupiecką wekslową.

Całuję was i ściskam, drodzy moi, prosząc, abyście ukochanej mojej przysłali w tchnieniu listu waszego moje pozdrowienie i ucałowanie rąk i nóg jej biednych.

Wasz *Juliusz.*

141.

Paryż, w lutym 1849.

Mój kochany Filu, mój najdroższy przyjacielu, raz na zawsze piszę ci, abyś wiedział, że nie jestem człowiekiem delikatnym. Czasem delikatność ugrzecznionego człowieka uważam za szaleństwo. Cóż to jest bowiem? Oto człowiek, poznawszy twoją słabość, zbliża się do ciebie i tak gada albo obchodzi się z tobą, aby nigdy rozranionej części charakteru twojego nie rozdrażnił; jest to więc w istocie oszust, który w głębi ducha wywyższył się nad ciebie, poznał ciebie, poznał ciebie do gruntu i obchodzi się z tobą jak z dzieckiem. Uchybia ci jako człowiekowi, którego na równi z sobą położyć był powinien. Szkodzi ci jako aniołowi nieśmiertelnemu, prawdę przed tobą zatajając; czyni to wreszcie dla powodów egoistycznych, chcąc się przypodobać tobie, aby cię miał jednym więcej człowiekiem w gromadzie ludzi, których podobną grzecznością i delikatnością zdobył i ma na swoje usługi. Nie sądź mię więc podług miary zwyczajnej ucywilizowanego świata, gdy czytasz listy moje. Ty bowiem często może sądzisz, że ja się ukrywam w sądach moich, że nie mam mocy powiedzieć ci prawdy, albo po prostu o pieniądze prosić ciebie, zażądać ich od ciebie. Po prostu, Filu mój kochany, pisałem i piszę ci, że mi teraz pieniędzy moich na życie wystarcza; jeżelibyś więc mógł ich lepiej użyć dla zagospodarowania się w nowej siedzibie, użyj. Gdybyś zaś chciał je na papierach umieszczać, to raczej przyślij mi je tu, bo zysk z nich większy i pewniejszy w tych czasach i większa łatwość zrealizowania w dniu jednym.

Co zaś do kupna i przykupna ziemi, najmocniej się temu oponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie pracą rąk własnych mógł wyżywić, (literalnie mówię) tylko wyżywić. Szczęście zaś człowieka,

zbliżającego się najbliżej do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego i w wolności połączonej z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały.

Panowie nasi najwięksi ziemni są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że je w każdym dniu mogę na jaki bądź czyn użyć, i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się niemi.

Ziemie obszerne robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi, ani o naród twój. Gdy przeciwnie, w kapitałach mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, który za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze życzyć każdemu ze współżyjących.

Gdy cię kto chce ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawią niby na gwiazdach, z których znowu na ujarzmiciela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko, co masz, a twej miłości zadość uczynić.

Mówię więc, kawałek ziemi miej, i to nie wioskę ale folwark bardzo obfity i zamożny. Jeżeli trzeba kilku jeszcze takich folwarków, zbuduj i puść chłopom parobkom w dzierżawę, ale nie zapuszczaj się w skupowanie wiosek, ani sądź, iż to jest pewne w dzisiejszych czasach. Owszem, najniepewniejsze to jest dla nas i w stronach tych, w których teraz mieszkasz, a które lada dzień mogą z tobą wrócić tam, skąd niedawno wyszedłeś. Powtarzam ci więc, raduj się tak, jak ja się raduję, że mając kawałek ziemi, mamy przy tem choć szczupłe pieniądze, przy których zostać możemy, albo które w razie czynu, pozwolą nam być ludźmi niezwiązanymi ziemią. Nie wrastajmy w grunt jak dęby, ani chciejmy podobnej dębom trwałości; duchy dębów cierpią, że sobie na lat tysiące piekielną nieruchomość u Boga uprosiły, ptakom zazdroszczą, komarom nawet, które chwilkę żyją wesoło, w złotym

słońca promieniu ulatując, gwoli duchowi, który ulatywać pragnie.

Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na długo w cielsku i w krwi i w głupocie ciężkiego szlachcica. A tyś przez cierpienia już godzien wolności.

Juliusz.

142.

Dnia 4 marca 1849.

Kochani moi! Po ostatnim liście, który, jak przypominam sobie, był bez daty, piszę tych słów kilka, abym was nie zostawił w długiej niespokojności. Słabość moja, skutek wiosny wczesnej i słońca gwałtownego, minęła i znów jestem w zwyczajnym stanie zdrowia, nieco wszakże osłabiony. Żyję więc jak kawał drewna, nie puszczając myśli mojej w żadne obszary, abym ciała mego nie mordował, i wyglądam z niecierpliwością, azali jakie wypadki pomyślne nie pozwolą mi przenieść się do was i odetchnąć waszem rzeźwem podlipowem powietrzem.

Napisz mi, co sądzisz o tem i jakie są twoje rady? Spodziewam się, żeście kochanej Sali nie zaniepokoili moją przelotną słabością. Chociaż mocniejszą jest ona teraz po widzeniu się ze mną i świętszą w duchu, i łatwiej z wolą Bożą zgodzić się umiejącą.

Proszę cię, Filu kochany, opisz mi, jakim sposobem uprawiasz teraz rolę twoją, wiele gruntu masz? na jakie zasiewy najwięcej rachujesz? gdzie przedajesz twoje zbiory? Bardzobym tył ciekawy wiedzieć sposób twego gospodarstwa i mieć wyobrażenie doskonałe tego, czem jest teraz wieś w waszych stronach. Sentymentalności wszystkie mało mnie obchodzą; życie ziemskie, jako podstawa życia duchowego i jako narzędzie wolności, którego duch używa dla dopełnie-

nia misyi swojej, zajmuje mnie. Dlatego nie przyjemnościami i tak nazwaną poezyą sielską karm mnie, ale mów o tych rzeczach, które cię jako człowieka obchodzą, a ja, widząc cię szczęśliwym lub nieszczęśliwym, rzetelnie wezmę serdeczny udział w twoim smutku lub weselu, i dopomogę sercu memu w tej miłości, która bez rzetelnej podstawy ludzkiej i bez opromienienia Bożego jest tylko głupstwem i semitonem uczuciowym, na nic aniołom i ludziom.

Podobno to, mój Filu, nieszczęście było nasze, żeśmy dotąd szukali nie umiłowanych, ale tylko miłych znajomych; stąd wysadziliśmy się na dowcip, na kwieciste konwersacye, z książek i z podróży czyniliśmy coś nakszałt kłaków i tem zapychaliśmy próżne serca i głowy napotkanych ludzi; oni też ogłaszali nas za dobrych bardzo lekarzy, głosili nasze pochwały, tęsknili nawet do nas, ile razy próżnia życia ich czem lepszem zapełniona nie była, a nakoniec z czasem zapominali o nas. Inaczej dziś z tymi, których ukochałem, którym prawdę ważyłem się zawsze powiedzieć, szorstką i bez żadnej grzeczności w wyrażeniu administrowaną. Ci, choć dalecy i nieliczni, są mi jednak szczęściem mego żywota. I ciebie proszę, Filu mój, traktuj tak twoich nowych sąsiadów, nie sil się, abyś ich pozyskał przyjemnością pożycia z tobą, ale prawdą wewnętrzną ducha twego uderzaj ich silnie, tak jak gdybyś dbał tylko o to, aby każdy z nich stał się pożytecznym przyszłości, a choćby na czas nieprzyjacielem nawet twoim.

Obaczysz, Filu, jak to dobrze tych gniewających się widzieć potem we łzach i rozczulonych, gdy się nam na serce rzucają. Psom do dyabła! rzuć dowcip, to dyabelskie narzędzie dumy, którem, jak wiem, zasłaniasz się, abyś serca twego wysokiego nikomu nie pokazał i nie dał. Nawet ze mną w listach to czynisz, a mnie smutno widzieć te podrzuty gwałtowne śmiechu nienaturalnego w listach, które na dnie są pełne

boleści, której ja ani zgłębić, ani uleczyć nie mogę. Bądźcie zdrowi. Wasz *Juliusz*.

Tylko dla Filów.

Proszę cię, kochany Filu, nie troskaj się zbytnio o jutro; wierz mi, że w ostatecznym razie, gdyby nam przyszło żyć z okruchów naszego mienia, gdyby naszym największym dochodem było parę set rubli z książek moich, to jeszcze i tak, byle razem, gdzie w miasteczku waszem osiąść można, żylibyśmy wesoło, z jednego garnka jedząc porcyę krupniku i zapiwszy ją szklanką podpiwku, a miłość ludzka ani poszanowanie ludzkie od nas by nie odstąpiło. Bo Bóg z nami. Zresztą, cóż to jest chcieć kogo na przyszłość materyalnie ubezpieczyć?... Oto ja, mój Filu (piszę to tylko dla ciebie, sam czytaj), kilka dni temu byłem mocno bardzo krwią zaatakowany, która mi się po wiele kroć razy z ust wypluwać dawała; teraz zamknęło się ujście i żywot mój w łono moje powrócił, ale widziałem z blizka Pana mego i Boga mego, który mię już chciał jak żołnierza od was wziąć, a na inne i może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół byłem, i teraz wrócony zdrowiu, znów jestem wesół, że jeszcze z wami zostać mi kazano.

Zrobiłem, będąc chory, testament krótki w dwóch paragrafach: w pierwszym zostawiam wszystko, co mam i przekazuję wszystkie prawa moje matce i tobie, Teofilu, mianując was wspólnie i solidarnie sukcesorami mojemi, z wyłączeniem wszystkich jakichbądź osób. W drugim paragrafie czynię egzekutorem testamentu względem moich paryskich pozostałości przyjaciela mojego, człowieka złotego serca, pana Charles Pettiniaud Dubos, mieszkającego teraz w Paryżu na ulicy de Londres[1]) 29, z tym warunkiem, aby zaraz wziął wszystko, co posiadam, przed wdaniem się rządu ochronił i spieniężywszy, sukcesorom oddał. Zapisz

[1]) Czyt. de Lądr.

wę sobie nazwisko tego kochanego Pettiniaud, i w razie każdym do niego się udaj po przyjacielsku, nie zawiedziesz się. Przyślę ci wszakże kiedyś notatkę moich sumek i moich żądań, chciałbym zwłaszcza, aby Millet, portier, nie był zapomniany, który spał przy mnie i po bratersku mi służył. A teraz proszę cię, wygluzuj z dziennej pamięci ten ustęp listu mego i tę kartkę wyrzuć za płoty. Niech z niej makolągwy Ubienia gniazdeczka sobie ścielą. Gdybym był umarł, już byłbym z wami. A tak trzeba mi będzie jechać do was a mam nadzieję, że pojadę. Z domu jeszcze nie wychodzę i bardzo się szanuję, a Bóg mię też leczy, przysyłając mi różne dowody z daleka miłości, którą mam u braci moich, pracą ducha zarobioną.

PRZYPISY.

LISTY DO MATKI I RODZINY.

Matka Juliusza Słowackiego Salomea z Januszewskich urodziła się 15 grudnia 1791 r. W 16-tym roku życia poślubiła Euzebiusza Słowackiego (ur. 1772) profesora literatury polskiej w liceum Krzemienieckim (na Wołyniu), a od r. 1811 w uniwersytecie wileńskim. Po śmierci Euzebiusza r. 1814 wyszła powtórnie za mąż za dr. Augusta Bécu również profesora wileńskiego, wdowca mającego dwie córki Aleksandrę i Hersylię († 1872). Hersylię brat pani Bécu Teofil Januszewski poślubił, malarz, później skarbnik liceum Krzemienieckiego i uniwersytetu Kijowskiego, wreszcie otrzymawszy w spadku wieś Ubień w Galicyi gospodarował na niej aż do śmierci roku 1865. Aleksandra wyszła za dr. J. Mianowskiego (1804—1879) r. 1830. Młodszy brat Teofila Jan zginął w powstaniu r. 1831. Ożeniony z Julią Michalską r. 1828 pozostawił syna Stanisława (ur. 1831), który zawiódł pokładane w nim nadzieje († 1865 w Ubieniu). Ojciec ich Teodor Januszewski (dziadunio), zarządca liceum Krzemienieckiego (1756—1837) ożeniony z Aleksandrą z Dumanowskich (babunią) (1774—1833). Pani Bécu po śmierci męża r. 1827 mieszkała w Krzemieńcu i umarła tam na cholerę roku 1855.

LIST 1.

Kaczkowski (1797—1867) medyk profesor w Krzemieńcu, od r. 1829 na uniwersytecie warszawskim.

W liceum Krzemienieckiem było trzech Jarkowskich: Paweł, znawca książek, Wojciech, matematyk, Antoni, prawnik.

Matką Julii Januszewskich była Karolina Michalska, właścicielka wsi Wierzchówka. Najmłodszą jej córkę nazywano Mniszeczką.

Tomasz Potocki (1809—1861) pisarz, gospodarz i ekonomista, polityk.

Ursynowo pod Warszawą było mieszkaniem letniem znanego poety Niemcewicza. Mokotów, przedmieście warszawskie na południe.

Lubańska, wdowa jednego z Radziwiłłów, wyszła za mąż za plenipotenta swego Lubańskiego, mieszkała w Wilnie.

Jan Śniadecki, matematyk i przyrodnik, rektor uniwersytetu wileńskiego.

Adolf Januszkiewicz, (1803—1857) towarzysz Mickiewicza w podróży r. 1829/30.

Julka i Jaś — Januszewscy.

Pułkownik po niemiecku Oberst, a śmietana w miejscowem narzeczu Obers.

LIST 2.

Jakób Gay (1803—1846) budowniczy, krewny rodziny Bécu, odbył później wraz ze Słowackim podróż po Włoszech. Jego siostra wyszła za Lapierra w Warszawie.

Starszemu Kaczkowskiemu imię było Karol, młodszemu Michał.

Antoni Edward Odyniec, poeta i tłómacz.

Melanka, córka Teofilostwa.

LIST 3.

Arya — rodzaj pieśni.

Eustachy Karp, (1820—1825), marszałek wileński, bardzo dobroczynny.

Byron (czyt. Bajron), poeta angielski, ponury i fantastyczny, stąd wyraz bajronizować.

Czerny, muzyk, ułożył ćwiczenia na fortepianie.

Ludwik Plater (1775—1846), leśnik i geograf. Brat jego Stanisław (1784—1851), geograf i historyk.

Ewa z Koczutskich Dobrzycka z Wielkopolski, umarła r. 1832. Córka Salomea była damą dworu saskiego.

Czacka Aniela (1795—1855), mieszkała w Dreźnie i w Rzymie, malowała.

Szwajcarya saska, górzyste okolice w Saksonii.

Dąbrowska, wdowa po sławnym wodzu legionów. Jej córka Bogusława wyszła za Mańkowskiego.

LIST 4.

Matylda z Poniatowskich, jenerałowa Szymanowska, Euzebiusz Słowacki jakiś czas zarządzał majątkami Poniatowskich.

W Dreźnie mieszkała wówczas Zofia Balińska, żona Michała historyka.

Otylda z Poniatowskich Grocholska. Mąż się z nią rozwiódł.

Joanna z Morzkowskich Bobrowa, krewna nie siostra Grochowskich, miała dwie córki Ludwikę i Zofię. Obszerna o niej wzmianka przy listach do niej.

LIST 5.

Protektorem Słowackiego był znakomity ks. Drucki—Lubecki (1778—1846), minister skarbu Królestwa Polskiego.

Fortunat Heryng, krewny, podobno cioteczny brat J. Słowackiego.

Kniaź — mowa o jenerale Karolu Kniaziewiczu, w następnych wierszach o sprawach związanych z powstaniem.

Portret ten malował Byczkowski († 1842).

W roku 1830/31 polacy cieszyli się wielką popularnością w Niemczech.

Autorką wierszyka prawdopodobnie Stefania Radziwiłłówna.

Zenon jest Michalski.

Memoires d'une contemporaine podpisane przez awanturnicę: Idę Saint Edme (cz. Sętedm) w rzeczywistości były spekulacyą księgarską.

LIST 6.

Gorzeński z Wielkopolski wręczył pismo Słowackiemu, aby udał się do Paryża i Londynu z polecenia Rządu Narodowego w Warszawie. Starano się skłonić generały Grouchy (czyt. Gruszy) aby objął dowództwo nad wojskiem polskiem.

Gryzomir w Myszeidzie Krasińskiego podróżuje na łopacie czarownicy.

Metz należał wówczas do Francyi.

Ludwik Plater był przedstawicielem Rządu polskiego w Paryżu.

Antoni Strzelecki, nauczyciel języka rosyjskiego w gimnazyum w Krzemieńcu, później w liceum.

Lach Szyrma (1791—1866) wydał r. 1828 książkę: Anglia i Szkocya.

Heyman Benedykt, lekarz.

Leitch Ritchie (1800—1865), ceniony publicysta.

LIST 7.

Broszurka, o której mowa, całkiem nieznana.

Westminster, kościół gdzie chowa się najsławniejszych Anglików.

Kean Edmund, sławny aktor (1787—1833).

Gorecki Antoni, poeta (1787—1861).

LIST 8.

Don Quijxote (czyt. Kichot) dzieło Cervantesa (czyt. Serwantesa). Kalderon, jeden z największych poetów na świecie, autor Księcia Niezłomnego tłómaczonego przez Słowackiego.

Dey czyli książę algierski. Wówczas właśnie Francuzi podbijali Algier.

Wojażer oznacza każdego podróżnika.

Tedwen Tadeusz (1790—1834), oficer napoleoński, szambelan dworu saskiego.

Miaulis, bohater grecki, (1768—1835). Wówczas w Anglii zaburzenia były z powodu reformy wyborczej.

Rymgajło i Podczaszyński Karol (1797—1835) architekci.

Michał Podczaszyński, publicysta.

Antoni Oleszczyński (1794—1879), znakomity rytownik.

Urbański, urzędnik w bibliotece w Krzemieńcu.

Makdonald, nauczyciel języka angielskiego.

LIST 9.

Tancerz, także nazywany kutasami u butów jest Lelewel. Zarzucił on dr. Bécu szpiegostwo. Por. też III część Dziadów.

Kuzynka — to zawsze Polska.

Antoni Hłuszniewicz, lekarz (1793—1861).

Jasiem jest Jan Januszewski, Henrykiem Chołński (1809—1881), brał udział w powstaniu r. 1831.

LIST 10.

Dobrowolski, lekarz i powstaniec.

Rakowski — marszałek powiatowy.

Morre, poeta angielski.

Teofil Januszewski miał wymowę wadliwą.

Władysław Plater (1808—1889) brał udział w powstaniu, po upadku w Paryżu wydawał czasopisma.

Cezary Plater (1810—1869), również powstaniec, ożeniony z Małachowską.

Wysogierdowa z Góreckich wyszła za Zambrzyckiego, swego siostrzeńca r. 1829. Umarł r. 1831.

Adam Günter, pisarz polski.

Romans francuski Słowackiego — to Król Ladawy. Istnieje tylko początek.

Szlachcic co obchodził święta Cerery, to Marchocki. Zachodzi w Beniowskim jako starosta.

Podróż do Turcyi odbywał Wacław Rzewuski (1785—1831). O nim Duma o Wacławie Rz.

LIST 11.

Michał Rola Skibicki, pułkownik Kolumbijski w Ameryce południowej. Na odgłos powstania wrócił do kraju, lecz za późno przybył.

Czernolówka i Korczówka na Wołyniu; Korczówka należała do Skibickich.

Anna z Sapiehów Adamowa Czartoryska, zmarła roku 1864.

Błotnicki, pierwszy guwerner Słowackiego, później kształcił dzieci Czartoryskich.

Jullien de Paris (1775—1848), publicysta.

Milton, poeta angielski.

Leonard Chodźko (1800—1871), uczony, wydawał dzieła Mickiewicza i Krasińskiego.

Jenerał Umiński z powstania r. 1831.

Porcyankowa, żona dr. Porcyanki (1793—1841), profesora w Wilnie.

Spartakus, wódz niewolników zbuntowanych w dawnym Rzymie.

Sterne, pisarz angielski.

Le prophète de Korashan, oszust z poematu Lalla Rookh.

Mohikanin, Ostatnia powieść Coopera.

Sawantka — uczona kobieta.

Wileńską kuzynką jest Litwa.



Dom w Poznaniu przy Piekarach Nr. 16,
w którym Juliusz mieszkał w roku 1848.

Lafayette, polityk francuski.

Wiceprezesem jest Cezary Plater.

Ks. Praniewicz (1793—1869) przygotował Słowackiego na śmierć.

Baka, autor lichych wierszy z wieku osiemnastego.

Pupilem Błotnickiego był ks. Witold Czartoryski (1822—1865).

Karol Sienkiewicz, publicysta i historyk (1792 do 1860).

Karol Mikulski, nauczyciel łaciny w liceum Krzemienieckiem.

Z tłómaczeń tych doszły do skutku tylko przekłady Lemaitra.

Franciszka z Słowackich Łukaszewiczowa, siostra Euzebiusza. Joanna z Dumanowskich Pałuska, siostra babki Juliusza.

LIST 13.

Antoni de Beaupré (1800—1872), lekarz w Krzemieńcu, przyaciel rodziny Januszewskich. Przez długi czas przebywał w Nerezyńsku na Syberyi na wygnaniu.

Perrier (1777—1832).

Okraszewski (1785—1865), nauczyciel domowy u ks. Sapiehów, później właściciel ziemski.

LIST 14.

Jaka to była księżna de Guiche, niewiadomo.

LIST 15.

Kościół antokolski (w Wilnie), hetman Pac stawiał r. 1668. Tutaj mowa o jego potomku Ludwiku, generale z 1830 roku.

Włodzimirz Potocki (1789—1811), oficer napoleoński ożeniony z Teklą a ks. Sanguszków. Pomnik jego, w katedrze na Wawelu.

Ludwisią jest Ludwika Śniadecka, córka Andrzeja, fantastyczka, w której jako chłopiec kochał się Słowacki bez wzajemności.

Korynna, powieść p. Stael, napisana roku 1807. Jedna z osób Oswald.

Pelham, powieść Bulwera napisana r. 1828.

Ems, rzeka w zachodnich Niemczech.

Petarda, rodzaj bomby.

LIST 16.

Julinki, gaik w Wierzchówce nazwany od imienia Julii Michalskiej.

Powozy w Anglii — koleje żelazne wówczas pierwsze.

Odyniec ożenił się z Mackiewiczówną r. 1832.

Patryarcha poetów — Niemcewicz.

W salonie dr. Bécu Jan Śniadecki bardzo ostro skrytykował poezye Mickiewicza, udawając, że nie spostrzegł autora. Był urażony o wiersz „Romantyczność", w którym Mickiewicz zaczepił osobiście Śniadeckiego.

Franciszek Malewski (1801—1870), uczony, założyciel „Tygodnika Petersburskiego."

Józef Straszewicz, publicysta (1800—1838).

Telegrafy wynalazł Chappe (czyt. Szap), (1763 do 1805), gaz Lebon (czyt. Lebą) (1769—1804).

Wolter, Russo, pisarze francuscy.

W Fornarine malarz Rafael się kochał i często malował.

Nagrobki dla Julii z Michalskich i Jana Januszewskich oraz dla Melanki córki Teofilostwa Januszewskich.

Towarzystwo litewskie i ziem ruskich.

List był od Ludwiki Śniadeckiej.

Antosia — Antonina z Sulistrowskich, żona Józefa, brata Ludwiki.

Julka — młodsza siostra Ludwiki.

Barateau, mierny poeta francuski.

Rzezią Słowacki nazywa wypadki w Warszawie 15 sierpnia 1831 roku.

Słowacki, sędzia.

Stryjem Słowackiego — Erazm.

Gliksberg, księgarz warszawski.

LIST 17.

Tragedya francuska — była prawdopodobnie Beatrix Cenci, napisana także po polsku.

Słowackiego drukowano w gazetach jako ucznia celującego.

Papież Grzegorz XVI wydał bulę zabraniającą Biskupom polskim mieszać się do spraw politycznych.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Bukinista — sklepikarz.

Sabina Olędzka.

Emigranci ciągle się między sobą kłócili. Brał w tem smutny udział Lelewel.

Wówczas w Paryżu Podczaszyński wydawał „Pamiętnik emigracyi“ a Januszkiewicz Eustachy „Pielgrzyma polskiego.“

LIST 19.

Patena o męce Chrystusa — Towarzystwo litewskie chciało uczcić Lafayetta medalem. Wykonanie powierzono Januszkiewiczowi. Ten chciał oszukać Towarzystwo, ale Słowacki przeszkodził. Odtąd nienawiść Januszkiewicza do Słowackiego datuje się nie kończąca nawet za grobem. Pieniędzy Słowacki dostał od Paca.

Przyczyną wyjazdu do Genewy było, że w III części „Dziadów“ Mickiewicz wprowadził dr. Bécu pod postacią Doktora. Niesłuszne były te zarzuty.

Perekładne — konie rozstajne.

Kucya — wigilia.

LIST 20.

Ferney, majętność Woltera, którą bardzo podniósł.
Grocholski Józef z Wołynia, później gubernator podolski. Kosielski także z Wołynia.
Ilkiewicz z Wołynia, lekarz.

LIST 21.

Korn, księgarz wrocławski.
Metodyści, sekta protestancka.

LIST 22.

Tom III Poezyi Słowackiego wydania paryskiego zawiera Lambra, Bogarodzicę, Kulig, Pieśń legionu litewskiego, Dumę o Wacławie Rzewuskim, Paryż, Godzinę myśli nazwaną poematem serca.
Lebrun, dobra znajoma p. Bécu.
Boston, gra w karty.
Mianowski Mikołaj, Rustem, Bogatko, profesorowie wileńscy i przyjaciele Euzebiusza Słowackiego.

LIST 23.

Dzieła Euzebiusza S. Zawadzki wydał.
Jelski Ludwik (1785—1843), minister skarbu podczas powstania r. 1830/31, finansista.
Teofil Januszewski wybierał się na urząd skarbnika przy wszechnicy kijowskiej.

LIST 24.

Mickuny, Wilenka itd., na Litwie.
Pelikan (1790—1873), profesor uniwersytetu wileńskiego ożeniony z Protopopową. Jej siostra Anna brzydka, stara, bez wychowania wyszła za prof. Onacewicza.
Sokołowski Marek, gitarzysta i kompozytor.
Burkut w Besarabii, kąpiele siarczane.

LIST 25.

Nowy poemat jest Kordyan.

Ojciec Odyńca — Tadeusz wicemarszałek powiatowy umarł 1833 roku.

LIST 26.

Potopowa, wdowa po dygnitarzu rosyjskim bardzo dobroczynna.

Nick, osoba z Maryi Stuart.

LIST 27.

Nad rzeką Rodanem (Rhone czyt. Ron) Genewa leży.

André Chenier, poeta francuski zabity podczas rewolucyi francuskiej. Książę Pückler-Muskau, pisarz niemiecki.

Bratem Aleksandra Mickiewicza jest Adam, który przejeżdżał przez Genewę w lipcu 1833 r. wraz z Garczyńskim.

Trzecie dziecko — trzeci tom poezyi.

LIST 28.

Jedna z córek p. Pattey poślubiła Farjona (Farżona).

Jedna z sióstr babki Słowackiego Krystyna z Dumanowskich wyszła za barona Krzysztofowicza w Ubieniu w Galicyi.

LIST 29.

Mowa o wrażeniu wywołanem przez III część Dziadów. Pisemko było Pielgrzym Polski. Autorem artykułu był rzeczywiście Mickiewicz. Januszkiewicz redaktor zapewniając, że tak nie jest, dopuścił się nieprawdy.

Słowacki nosił się wówczas z zamiarem napisania Kordyana.

Wodzińska żona Wincentego, jednego z zamożniejszych obywateli w Królestwie. Z jej córek Marya, w której kochał się Słowacki, wyszła za hr. Skarbka. W jej domu bywała kolonia polska i towarzystwo genewskie.

LIST 30.

Hawryszówka na Wołyniu, własność Michalskich. Sąsiednie miejsca — Austrya.

LIST 31.

Regnier (1805—1877), kolega szkolny Słowackiego, guwerner ks. Ogińskiego, później lekarz bardzo zasłużony.

LIST 32.

Czwarte dziecię — Kordyan.

Na początku r. 1834 kilkuset emigrantów pod wodzą Zaliwskiego usiłowało wzniecić powstanie — bezskutecznie. Z tego powodu obostrzono dozór nad emigracyą.

Wallas, bohater szkocki ludowy. Dzieła Słowackiego na ten temat niema.

LIST 33.

Jan Astronom — Śniadecki.

Heloiza, kochanka Abelarda w średnich wiekach.

Paweł Kukolnik (1795—1884), historyk i poeta rosyjski. Znakomitszy był brat jego Nestor, autor tragedyi o której mówi Słowacki: Ręka Najwyższego ojczyznę zbawiła.

LIST 35.

Mieścina Krzemieniec zmartwiała po zamknięciu liceum.

LIST 37.

W południowych Włoszech rząd istniejącego wówczas Królestwa neapolitańskiego nie wpuszczał wy-

chodźców polskich, podobnie w Niemczech nie cierpiano ich.

Kraj Inez de Castro — Portugalia.

LIST 38.

Wyszczerbione miasto — Kijów.

Achilles bitny — Józef Massalski, poeta.

Pan Józef — Korzeniowski.

Roussel uczył fechtunku w Krzemieńcu.

LIST 39.

O godzinie 7-mej wybuchło powstanie r. 30.

Pan Jakób — Wołoszyński, sekretarz liceum Krzemienieckiego.

Adama nowy poemat — Pan Tadeusz.

LIST 40.

Zenon — Michalski.

Mazepę Słowacki r. 1839, napisał ponownie.

Henryk Choński miał spór z St. Grabowskim o sprawy wydawnicze.

Edward Antoni — Odyniec. Giaur i Korsarz — poematy Byrona.

Ferduś — Ferdynand Szpicnagel.

Próby dramatyczne Korzeniowskiego.

Michał — Skibicki.

Agis — z Agezylausza, por. Dzieła pośmiertne Tom VI.

Dziecię — Kordyan.

Julka w Jaszunach — Śniadecka żartem nazwana narzeczoną.

Mądre miasteczko — Krzemieniec.

LIST 41.

Wieszczek wiejski — sztuka francuska (nap. Rousseau).

Jednooki gazeciarz — Antoni Marcinowski (1781 do 1855), redagował Dziennik Wileński.

P. Ossolińska chciała Wandę Wodzińską wyswatać za swego Kuzyna Darowskiego.

LIST 42.

Guwerner dzieci waszych — sam Słowacki.

Idalka Rakowska z Wołynia wyszła za Rościszewskiego.

LIST 43.

Prozą pisał Słowacki Horsztyńskiego.

Pisma pośmiertne Tom V.

Rigi, Faulhorn — szczyty alpejskie.

Aleksander Sobański, powstaniec, nabył zamek Kiburg w Szwajcaryi, później mieszkał w Paryżu.

Klaudyna Potocka (1802—1836).

LIST 45.

Kuzynko zamiast matko.

LIST 46.

Liryczne kawałki: „Rozłączenie“ i kilka innych w dziełach pośmiertnych tom VI, str. 105.

Januszewscy zamierzali osiąść w Galicyi.

LIST 48.

Słowacki wyjechał z Genewy w lutym 1836 do Marsylii, stąd statkiem do Civita Vecchia (czyt. Czi-wita Wekia) a stąd do Rzymu.

Tivoli pod Rzymem.

Podobieństwo do Spitznagla miał Zygmunt Krasiński, nazywany w listach zwykle Zygmuntem.

Keats, jeden z najwybitniejszych poetów angielskich.

Shelley, wybitny poeta angielski.

Krystyan Richthoffen ze Śląska pruskiego (1799 do 1870), żona z domu Obozierska.

Willa Borghese (czyt. Borgeze) w Rzymie.

Aleksander Potocki (1798—1868), syn Szczęsnego,

stracił w powstaniu r. 1830 majątki na Ukrainie. Bardzo dobroczynny.

Litografia — rodzaj pomnożenia obrazów i druków.

LIST 49.

Herkulanum i Pompeja, miasta starożytne zasypane skutkiem wybuchu Wezuwiusza, odkopywane obecnie.

Izys, bogini egipska.

Jan Wański, skrzypek.

Przez doktorów należy rozumieć władze neapolitańskie.

LIST 50.

Siostra genewska jest Eglantyna.

LIST 51.

Zenon Brzozowski z Podola († 1887). Matka jego z Trzecieskich była w przyjaźni z p. Bécu. Inni towarzysze bracia Stefan (1812—78) i Aleksander Hołyński (1813—1884).

Otranto we Włoszech, Korfu wyspa na morzu Jońskiem.

Milcyades, bohater grecki zwyciężył Persów pod Maratonem.

LIST 53.

Bayrut, miasto w Syryi. Dwa listy opisujące początek podróży zginęły.

Smyrna w Azyi Mniejszej.

Faulhorn, szczyt w Alpach.

Abisynia, kraj w Afryce.

Siut i Dendera, miasta egipskie.

Philae, na krańcu Egiptu. Teby miasto starożytne, dziś ruiny.

Firman, papier.

Gaza, miasto w Ziemi świętej.

Ze względu na zarazy srożące się w niektórych

miejscowościach Wschodu na pograniczu dwóch krajów trzeba było pozostawać czas niejaki, ażeby się okazało, że podróżnik nie jest chory.

LIST 54.

Tyberyada, miasto nad brzegiem jeziora Genezaret.

Jaffa zwykła przystań dla podróżujących do Jerozolimy.

Aleksander Szpitznagel, brat Ludwika.

Mszę przy Grobie Chrystusa ks. Ryłło odprawiał. Słowacki się z nim zaprzyjaźnił.

Dolina Jozafata pod Jerozolimą. Tam podług podania sąd ostateczny się odbędzie.

Antiliban i Liban, góry syryjskie.

Baalbek i Palmira, miasta starożytne, dziś ruiny.

Malagamba, córka wice-konsula Syryi, żona dr. Steblego, bardzo piękna.

LIST 55.

Konsul o którym mowa, Guys, francuski.

Podczas podróży morskiej Słowacki pisał Anhellego.

Delfiny — ryby.

LIST 56.

Siostrze Brzozowskiego imię było Ksawera. Wyszła za mąż za Grocholskiego.

Malarz Zaidler pochodził z Krzemieńca, dobry znajomy rodziny Słowackiego.

LIST 57.

Krzemieniec leży w dolinie otoczonej górami: Bony (Zamkowej), Łysą Czerczą itd.

Józef Potocki (1800—1863) brał udział w powstaniu r. 31, tak samo Herman brat jego (1801—1866).

Paweł, paolo równa się 22 fen. (11 kop. = 25 hl.)

Zdzisław hr. Zamoyski (1810—1855) z Galicyi.

Chudoba, nauczyciel muzyki w Krzemieńcu.

Na wiolonczeli (rodzaj skrzypiec) Aleksander Potocki grywał.

January Suchodolski, malarz, (1797—1875).

Jan Fok, organista w Wilnie.

LIST 58.

Ewa z Wendorfów Felińska (1793—1859) przyjaciółka p. Bécu, matka Szczęsnego.

Toskania, prowincya, dawniej kraj włoski w którym leży Florencya.

Ks. Kanonik Sobkiewicz, kapelan liceum Krzemienieckiego.

Wenus Medycejska, posąg Wenery bogini starożytnej.

Totumfacki — taki co czyni wszystko.

Lara i Gulnara, osoby z poematu Byrona L a r a.

LIST 59.

Kolizeum (Colosseum) ruiny cyrku rzymskiego.

Almee, tancerki egipskie.

Katarakta — wodospad.

Księżna Survilliers, Karolina (1802—1839), z rodu Bonapartych.

LIST 60.

Horoskop, przepowiednia z gwiazd.

Astrolog, przepowiadający z gwiazd.

Skibicki Franciszek (1796—1877), senator i szambelan dworu rosyjskiego, literat.

Piza, miasto w Toskanii, sławne z wieży pochyłej. Campo-santo — cmentarz we Florencyi, sławna galerya obrazów w pałacu Pitti.

Niagara, wodospod w Ameryce, największy na świecie.

Manfred, osoba z dramata Byrona.

Walhalla, pałac w stylu starogreckim pod Ratysboną (Regensburg) w Bawaryi.

Eleonora hr. Komorowska z Krzemieńca odznaczała się świętobliwością.

LIST 61.

Sabinki Rzymianie porwali, nie mogąc znikąd żon dostać.

Giaur, poemat Byrona tłómaczony przez Mickiewicza.

Sanders, syn profesora literatury angielskiej w Wilnie wyjechał r. 1819 do Włoch dla zdrowia.

LIST 62.

Przez Pierwszego Słowacki rozumiał Mickiewicza.

Swedenborg, uczony, filozof i mistyk szwedzki.

LIST 63.

Arno, rzeka nad którą leży Florencya.

Partenon, świątynia w Atenach.

Hieroglify, litery obrazkowe egipskie.

Dramatu Mickiewicza „Konfederaci barscy“ nie wystawiono w Paryżu.

Żołobów, przedmieście Krzemienieckie.

Maryny, rodzaj czereśni.

LIST 64.

Numa, król rzymski; Egerya, nimfa.

Słowackiego w Berdyczowie w dziecięctwie o mało konie rozbiegane nie zabiły. Ocalenie przypisywał Matce Boskiej.

Opiekunem dzieci Słowacki nazywa księgarza Januszkiewicza.

LIST 65.

Moszczeńscy z Ukrainy.

Abelard, pisarz i filozof średniowieczny. Sławna jego miłość do Heloizy.

Walca do tańca dotychczas nie znaleziono.

Zofią jest tutaj Michałowa Balińska, Ludwisią Śniadecka.

Oszmiana, miasteczko na Litwie.

Pod podejrzeniem udziału w sprawie spisku zawiązanego przez Szymona Konarskiego, osadzono panią Bécu w więzieniu w Żytomierzu, zesłano Januszewskiego do Kaługi, Antoniego Beaupré i Zenona Michalskiego do Nerczyńska. Skutkiem tego korespondencya się przerwała.

LIST 66.

Stare miasto, stara stolica, to Kraków. Był tam dom bankierski Bochenków pośredniczący w stosunkach z emigracyą. Jules d'Avallon — to sam Słowacki.

LIST 67.

Odtąd Słowacki czas jakiś pisywał pod imieniem Zosi, aby matki nie narażać, a ona adresowała: Jules d'Avallon.

LIST 68.

Krzysztofowiczowa, babka Słowackiego mieszkała w Ubieniu w Galicyi.

LIST 69.

Panna Lwowicz oznacza Lwów i Austryę, Rosienieccy zaś Rosyę.

Henryczek jest to Choński, Zeni — Brzozowski.

LIST 70.

Cebulki i nasiona, tulipany itp. oznaczają pieniądze.

LIST 71.

Tytus Gaszyński (1799—1874), emigrant dawał lekcye muzyki.

LIST 73.

Podhorce zamiast Paryż, wymienione z ostrożności.

Najpiękniejsza z córek zapewne Salomea w Horsztyńskim.

LIST 74.

Medaliony Słowackiego robili Oleszczyński oraz Hopwood podług rysunku Kurowskiego.

Dama jeżdżąca osiołkami po Czerczy to p. Bobrowa. W r. 1840 Słowacki z nią razem spędził kilka tygodni we Frankfurcie nad Menem.

LIST 75.

Kwiaty o jakich mowa, to książki.

LIST 76.

Maryanna z Grefenberga — Marya z Platerów to hr. Ożarowska. († 1864) zostająca w przyjaźni z p. Bécu.

LIST 77.

Na portrecie Kurowskiego i Hopwooda (czyt. Hopłuda) Słowacki przedstawiony w stroju wschodnim z odwiniętym kołnierzem od koszuli.

Ostatni maleńki zły jest to Beniowski. Pierwsze pięć pieśni poeta wydał r. 1841. Z powodu tego miał zajście z Witwickim.

24 grudnia 1840 r. z powodu pierwszej prelekcyi Mickiewicza w Collège de France (czyt. Koleż-de-Frans) uczta odbyła się na cześć Mickiewicza. Tam Mickiewicz i Słowacki pojednali się. Obopólni „przyjaciele", najwięcej Eustachy Januszkiewicz, wkrótce doprowadzili do zerwania i do gorszej niż kiedykolwiek niechęci wzajemnej. Por. książki o Słowackim Małeckiego i Hoesicka; u Tretiaka tendencyjne.

We Frankfurcie Słowacki przebywał razem z p. Bobrową. Do niej też pisał w ciągu swej pięciodniowej niespokojności.

Cerkl, do którego Słowacki należał, było Towarzystwo polskie, założone r. 1836 pod przewodnictwem hr. Ludwika Platera. Pojedynkować miał się z Ropelewskim. Dwaj inni przeciwnicy byli Witwicki i Januszkiewicz.

Parlamentarzami przy pojedynku byli Ludwik i Cezary Platerowie, sekundantem Ludwik Nabielak. Śniadanie odbyło się u Cezarego Platera.

LIST 78.

Guwerner jest Błotnicki, panna Teodora — Korzeniowska, pupil — Witold ks. Czartoryski.

Kilkaset ludzi zginęło przy wykolejeniu się pociągu między Paryżem a Wersalem.

Ludka Śniadecka. Franczeska osoba z poematu Danta: Boska Komedya. Tłómaczenie polskie Porębowicza.

Luks — zbytek.

LIST 79.

Pierwszy list napisany po przejęciu się ideami Towiańskiego, mistyka, który wywarł także wielki wpływ na Mickiewicza. Od tego czasu wielka przemiana nastąpiła w Słowackim.

Staruszka jest to pani de St. Marcel (czyt. Sę-Marsel) z domu Chauveaux (czyt. Szowo). Por. wiersz p. t. Wspomnienie (Tom VI, str. 153).

LIST 80.

Zosia to sam Słowacki, przeciwnik Mickiewicza, mieszkający latem w St. Germain-en-Laye (czyt. Sę-Żermę-an-Le). Obaj należeli do Koła Towiańszczyków i pozostawali w znośnych stosunkach z sobą.

LIST 82.

Na Rossie Euzebiusz, ojciec Słowackiego, leży pochowany.

LIST 83.

Trzej — to Słowacki, Mickiewicz i Seweryn Goszczyński, także Towiańszczyk.

Mąż wskazujący drogę — Towiański.

LIST 84.

U Słowackiego Goszczyński mieszkał czas jakiś do października 1842 roku. Wilenka poboczna rzeka Wilii na Litwie.

Byronianka, zwolenniczka poety Byrona, fantastyczna dzika i smutna. Poeta ma tu na myśli Ludwikę Śniadecką. Ze skał Leukady Safo, poetka grecka, rzuciła się w morze. St. Cyr, handlarz wina w Krzemieńcu miał synów we Francyi.

LIST 85.

Dziewicy Jeziora i Koranu tłómacz jest Odyniec.

LIST 86.

Mowa o Śnie srebrnym Salomei.

LIST 87.

Pornik w Bretanii nad Oceanem Atlantyckim.
12 lat Słowacki liczył od wyjazdu z Warszawy.
Kolumb, żeglarz hiszpański odkrył Amerykę.
Mika, kamień błyszczący.
Norna, bogini losu z podań skandynawskich.
Andaluzya w południowej Hiszpanii.
Malarz Wojciech Stattler, przyjaciel Słowackiego.

LIST 88.

Zośka cukrzana jest Bobrówna. W Barze siedziba była konfederatów w r. 1768. Por. Ks. Marka.

Russo (Rousseau), filozof francuski w wieku XVIII.

Syn pani Eleonory Sowińskiej był później księdzem, umarł w końcu wieku XIX.

LIST 89.

Plutarch napisał życiorysy sławnych Greków i Rzymian.

Koryolana prośby matki spowodowały, że odstąpił od obleganego Rzymu, za co go śmierć spotkała.

Makata — kobierzec wschodni.

LIST 90.

Jerzy Bieńkiewicz z Wołynia, dobry znajomy pani Bécu, obywatel ziemski.

LIST 91.

Ksaweryna Beaupré, siostra Antoniego, nauczycielka w Krzemieńcu.

Po powrocie z Kaługi Januszewscy wzięli w dzierżawę Wierzchówkę od Michalskich. Tam p. Bécu ich odwiedzała i odbyła razem z niemi podróż do Odessy.

Transfiguracya, obraz Rafaela.

LIST 92.

Filemon i Baucis z podań greckich, wzorowe małżeństwo na wzór Piasta i Rzepichy.

Mirmidoni (mrówki), naród liczny a dobry z podań greckich.

LIST 94.

Odessa nad Morzem Czarnem, o którem tu mowa.

Bulwar — szeroka ulica, osobliwie na wybrzeżu.

Leonidas, bohater grecki, poganin.

Molier (Molière), komedyopisarz francuski.

LIST 95.

Salusia — Sen srebrny Salomei.

Antropofagi — ludożercy.

Podług podania Kolumb umarł w więzieniu.

Kurdowie — naród azyatycki.

Madonna — Matka Boska.

LIST 96.

Zanim Euzebiusz Słowacki został profesorem, zarządzał majątkami Józefa Poniatowskiego na Wołyniu, był miernikiem itp.

Profesor w Krakowie — Stattler.
J'ai beaucoup itd. słowa Bobrowej o matce Słowackiego.

LIST 97.

Listu tego Słowacki nie wysłał.
Sonet, dytyramb — rodzaje wierszy.
Do listu p. Bécu dołączyła dwa obrazy św.: jeden dla Kirkora (z Balladyny), drugi dla syna.

LIST 98.

Skutkiem nieporozumień Słowacki wraz z kilku towarzyszami wystąpił z Koła Towiańszczyków.
Władysław, syn Erazma, brat stryjeczny Juliusza.

LIST 99.

Paweł Jarkowski, bibliotekarz.

LIST 100.

Malarzem ze starożytnego miasta jest Wojciech Stattler z Krakowa.
Władysław — jest to brat stryjeczny Juliusza.

LIST 101.

Trapiści, zakonnicy zajmujący się pracą rolną i milczący stale.
Insekty — owady.

LIST 102.

Omen — znak.
Bacchus — bożek wina.
Autorka pisząca dla dzieci — Klementyna z Tańskich Hofmanowa († 1845).

LIST 103.

Antoni Hłuszniewicz, lekarz.
Bussang, woda mineralna znaczy po francusku krew wypita.

LIST 104.

O. Wujek, Jezuita, przełożył Pismo święte na język polski w wieku XVI.

LIST 105.

Antoni Beaupré mieszkał w Nerczyńsku na Syberyi. Czynił wiele dla współwygnańców i dla ludności miejscowej.

LIST 106.

Ludwika, starsza córka Bobrowej, wyszła za mąż za Maurycego hr. Potockiego.

Zapewnienie o zdrowiu nie zgadzało się całkiem z rzeczywistością.

Hubin (Ubień) w Galicyi dostał się w spadku po Krzysztofowiczowej Januszewiczom po długich korowodach.

LIST 107.

Malarstwo, obrazy itd. wszystko to zamiast pisma, pisanie itp.

LIST 111.

Bankier jest Hausner w Brodach.

Portierka — oddźwierna.

Do wyjazdu z Rosyi dziś jeszcze potrzeba upoważnienia rządowego (paszportu); dawniej było to wszędzie.

Teodora, siostra Reginy Korzeniowskiej.

LIST 112.

Hr. Gustaw Olizar z Wołynia (1798—1865), poeta i pisarz.

LIST 113.

Zygmunt Szczęsny Feliński z Wołynia, (1822 do 1895), później Arcybiskup warszawski.

LIST 115.

Melania Sobańska.

Mowa o rewolucyi lutowej r. 1848 w Paryżu.

LIST 116.

Feluś jest to Szczęsny (Feliks) Feliński.

LIST 117.

Po wybuchu rewolucyi w Berlinie, Słowacki wraz z Felińskim i wielu emigrantami udał się do Poznania. Tam mieszkał w domu Bukowieckich (Piekary 12. X) i brał udział w obradach Rządu Narodowego. Po upadku powstania musiał wyjechać do Wrocławia.

LIST 119.

Przed wyjazdem z Paryża Słowacki wszelkie interesy i testament powierzył Lomanowi.

LIST 122.

Ugalonowany — w mundurze.

LIST 126.

Przyczyna nieporozumienia, że p. Bécu nie wiedząc, nie odbierała listów pisanych poste restante, dopiero porozumiała się z synem przez Stattlera.

LIST 127.

Nieznajomy ziomek był Darowski (1810—1889), oficer z powstania.

Zofia Mielęcka zob. list do niej tom X.

LIST 129.

Andrzej Fredro, emigrant razem z Słowackim przybył do Poznania.

LIST 130.

Ostenda, miejscowość kąpielowa nad morzem Północnem.

Jadwiga, córka Hermana Potockiego, wyszła za Konstantego Branickiego, († 1884) w Paryżu.

Powozy oznaczają kolej żelazną, która podróże ułatwiła i obniżyła koszta.

LIST 131.

Miletus — Millet (czyt. Mije) oddźwierny domu w którym mieszkał Słowacki.

Na medalionach miała być podobizna Słowackiego.

Przyjaciel Francuz — Pettignand — Dubos (czyt. Petinian — Diubo), malarz.

Ujejski Kornel, poeta, autor „Z dymem pożarów."

Reytzenheymowa (1813—1897), Angielka, żona Jana Alojzego, wojskowego i emigranta, piękna i bardzo wykształcona. Oboje małżonkowie przyjaźnili się bardzo ze Słowackim.

LIST 133.

Pieniądze Słowackiemu Komierowski ofiarował.

LIST 134.

Komierowski pozostawał w stosunkach pieniężnych z firmą Gdańską Makowskiego. Wychowanka jego, Kolbówna, poślubiła Młodzianowskiego z Płockiego.

LIST 135.

Pod wrażeniem rewolucyi wiedeńskiej i konstytucyi dla Austryi, Galicya uzyskała pewną swobodę. Utworzono zamiast policyi państwowej nieudolnej milicyę miejską i krajową (gwardyę narodową). Wkrótce jednak stłumiono ruch wolnościowy. Kraków i Lwów zbombardowano (listopad 1848). Absolutyzm przywrócono.

LISTY RÓŻNE.

LIST DO ERAZMA SŁOWACKIEGO.

Kochany Stryjaszku Dobrodzieju!

Czuję, że to źle, że tak dawno do stryjaszka nie pisałem, ale żeby tu kochany stryjaszek był i widział, jak dużo zatrudniony jestem, jak z jednej lekcyi na drugą idę, tak że nawet nie mam czasu pójść na spacer, toby mi to moje uchybienie łaskawie przebaczył. Do tego byłem chory na odrę i musiałem teraz nagradzać przez czas choroby opuszczone lekcye. Teraz zdrów zupełnie jestem i radbym, abym mojem zdrowiem i postępowaniem mógł kochanego stryjaszka pocieszyć po poniesionych stratach, które i ja czuję.

Z powodu następujących świąt składam obojgu kochanym stryjostwu i siostrzyczkom najszczersze moje życzenia i całuję serdecznie ich rączki najprzywiązańszy ich

synowiec
Juliusz Słowacki.

PRZYPISEK.

Jest to pierwszy list Słowackiego, jaki posiadamy pisany prawdopodobnie roku 1820 lub 1821. Erazm Słowacki, brat Euzebiusza, był w służbie rządowej. Później Juliusz nie utrzymywał stosunków z wujem.

LISTY DO ALEKSANDRY BÉCU.

1.

Kochana Olesiu!

Nie wiedząc jak prędko się zobaczymy i nie chcąc cię na długo pozbawiać drogich skarbów, odsyłam ci z podziękowaniem listy panny Julii a zarazem załączam 30 rubli, które mi oddał za meble Jaroszewicz. Może jak odbierzesz pensyę, będziesz mi mogła cokolwiek dla Witwickiego przysłać. Czarnoccy i Domański niezmiernie uradowani z wieczoru, dotychczas o niczem tylko o nim gadają. A ja jak zwykle doświadczam jakiegoś rodzaju znużenia, którego niczem rozpędzić nie mogę. Domański nazywa mię nudnym a w jego litewskim dyalekcie to samo znaczy co smutny.

Nie chcąc nikomu komunikować mojej nudy, nigdzie z domu nie wychodzę i dla ciebie jednej tylko mogłem zrobić tę ofiarę, że proszony od Jaroszewicza, poszedłem do nich i nudziłem się cały wieczór gadając, kiedy mi się milczeć chciało.

Adieu, bo czuję, że mój bilecik także bardzo nudny.

Juliusz Słowacki.

Raczysz oświadczyć moje uszanowanie wszystkim, a wreszcie tylko tym którzy je przyjąć zechcą. Odpisz mi, czyś odebrała pieniądze, które dla większej pewności pieczętuję. Właśnie tylko co lokaj mój nosił ten bilecik, nie zastawszy cię, odniósł mi go nazad, teraz go ci więc odsyłam przez twoją piękną Maryannę.

2.

Kochana Olesiu!

Bardzo się cieszę, że odsyłając listy panny Julii, masz powód zasłania paniom życzenia dobrego wieczoru. Listy Julki przeczytałem z uwagą i znalazłem w nich to zapytanie: Czy on tak czuje mocno, jak pisze? — Dziwi mię to bardzo, że ty mi to samo pytanie zadajesz; zdawałoby mi się, że osoba która mię zna tak długo, powinna raczej zapytać: Czemu on pisząc nie może wydać tego co czuje? — Wspomniała panna Julia w liście o jakiejś prośbie, którą ma do mnie, niech mi ją napisze, a jeżeli będę mógł, miło mi będzie zadosyć uczynić jej żądaniom, bo ją bardzo kocham. To łatwe wyznanie pokazuje już samo z siebie, o jakiej ja mówię miłości, o miłości braterskiej, takiej jaką czuję dla ciebie, moja kochana panno siostro. Adieu.

Juliusz.

3.

Krzemieniec 2 listopada 1828.

Kochana Olesiu!

Zawięta i straszna jesteś w twoim gniewie. Już kilka listów odebraliśmy od ciebie, a w żadnym o mnie ani wzmianki ani ukłonu. Zlituj się nade mną, jużem dość odpokutował, na najmilsze imię dla twego ucha zaklinam cię, przebacz mi obrazę twego majestatu.

Zdziwisz się zapewne dowiadując się, że nie chciałem być Jasia drużbą, ale czy ja waryat tłuc się po złej drodze w zimny czas jesienny, po to żebym był przytomny cudzemu weselu; przykry obowiązek pannę do ślubu prowadzić; zostałem więc w domu i wcale Teofilowi nie zazdroszczę uciech, które go tam spotkać

mogą. Przypadkiem wpadły mi w ręce wiersze Mikulskiego bardzo melancholiczne, już się był do nich przyznawał, gdy Hersylka zbiła go z tonu mówiąc, że nieosobliwe; zmieszany tym wyrazem, odtąd wypiera się ich jak śmiertelnego grzechu. Drugim wypisem byłby kawałek z Shakespeara, czytając Romeo et Julietta napadłem na opisanie snów; kawałek ten jest bardzo sławny w Anglii i nie wątpię, że ciekawa byś była dowiedzieć się przyczyny twoich codziennych wyroczni, które cię tak mocną trwogą lub nadzieją napełniają. Już widzę, że ten list pogorszy moją sprawę, kończę go więc wyrażeniem mego braterskiego szacunku i przywiązania. Adieu.

Juliusz Słowacki.

Kochana Olesiu, oświadcz ode mnie wszystkim ukłony, ja ciebie najczulej ściskam. W. Śniadeckim uszanowanie.

4.

Krzemieniec 14 stycznia 1829 r.

Kochana Olesiu!

Na ręce twoje posyłam list do pana Śniadeckiego Jana, jak mi się zdaje, dosyć grzecznie napisany, prosząc go o danie mi potrzebnych rad i o rekomendacyjne listy. Chciałem prosto do niego list adresować, ale nie wiedziałem, gdzie jest teraz, czy na wsi, czy w mieście; zajmij się, proszę ciebie, kochana Olesiu, przesłaniem mu tego listu, a jeżeli będziesz mogła, to proś, żeby się z przesłaniem listów nie spóźniał, albowiem ja lada dzień paszportu czekam i zaraz po odebraniu onego wyjeżdżam. Donoszę ci także, żem pisząc do niego, nie wymienił osób, którym chcę być przedstawionym; wiesz bowiem, że ani ja ani nikt z tutejszych nie wie, kto w Warszawie najwięcej może

być pomocny, ja zaś nietylko o takie listy proszę, które by mi w dopięciu jakiego planu dopomódz mogły, ale i o takie, któreby mi wstęp do dobrych domów otworzyły. Mając to wszystko na względzie, dopomagaj mi i bądź moim adwokatem u Jana Śniadeckiego, nadewszystko chciałbym mieć list do Czartoryskiego, i do Lubeckiego ministra.

Tak światło wyłożywszy ci interes, nie zostaje mi nic więcej, jak polecić się twojej pamięci i prosić ażebyś mnie wszystkim przypomniała. Smutno mi, że się z tobą mającą w maju odwiedzić Krzemieniec widzieć nie będę. Jeżeli się z Henryczkiem Chońskim widzieć będziesz, donieś mu, że ja patent swój z Wilna odebrałem i bardzo mu za jego fatygę podjętą dla mnie wdzięczen jestem. Donosiłaś mi, że bankier wileński obiecał mi pieniądze przesyłać, donieś mi więc, czy mogę być pewnym, że co dwa miesiące będę moje pięćdziesiąt rubli odbierać i jakim sposobem przesyłane one będą. Adieu, kochana Olesiu! WW. Państwu Śniadeckim, Balińskim, pannie Ludwice, panu Józefowi oświadcz moje głębokie uszanowanie. Przypomnij mnie także kochanemu panu Mianowskiemu.

Juliusz.

5.

Warszawa 25/10 lutego 1829 r.

Kochana Olesiu!

Tak jak miałem zamiar, ostatnich dni stycznia wyjechałem z Krzemieńca i już od dni dziesięciu warszawskie zbijam bruki. Nie mogłem się doczekać obiecanych listów rekomendacyjnych i bez nich wyjechałem, ale mama obiecała mi je przysłać na pierwszą pocztę, skoro tylko one przyjdą do Krzemieńca. Podróż mimo najtęższych mrozów miałem bardzo przy-

jemną i prędką; jechałem pocztą i we dwa dni po wyjeździe, zobaczyłem się na ulicach Warszawy, ale za pierwszem mojem na te ulice wyjściem miałem niepospolity wypadek; parę koni unosząc powóz i pozbywszy się już stangreta, w szalonym pędzie przeskoczyły przez sanki, któremi ja jechałem i przeskoczywszy przez nie, zaraz padły. Schylony aż do ziemi, cudem prawie niepojętym uniknąłem ich kopyt i ledwom się wyrwał z lejc, któremi mnie oplątały. Ty która w sny i przepowiednie wierzysz, osądź ten przypadek zdarzony przy pierwszem wyjściu na ulice Warszawy, dobry mi to w niej lub zły pobyt wróży. O przypadku tym bojąc się jakiego przykrego wrażenia, nic nie pisałem do mamy i ciebie proszę, żebyś pisząc o tem do Krzemieńca nie wspominała. Z Warszawą tak mało jestem obeznany, że ci nic o niej jeszcze donieść nie mogę chyba to, że bez porównania ładniejsza od Wilna. Mam tu znajomy dom Kickich, który w Warszawie daleko większą niż w Wilnie niegdyś gra rolę. Panny Biszping bardzo się wypytywały o ciebie, kochana Olesiu, a panna Teresa zrobiła mi zapytanie, czy nie idziesz za mąż? na które ja nie umiałem odpowiedzieć. Kochana Olesiu, postaraj się po skończeniu miesiąca lutego, żebym ja tu miał moją za dwa miesiące pensyę, przepraszam cię zawczasu za ambaras, jaki ci tym komisem zadaję. Dotychczas smutnie mi jeszcze w nowem mieście, tak mało mając znajomych i będąc tak od znajomych daleko; listami przynajmniej daj mi w oddaleniu zapomnieć, kochana Olesiu, i wierz zawsze przywiązaniu i przyjaźni mojej. Adieu. Uszanowanie moje i ukłony chciej między wszystkich łaskawych i kochanych i znajomych obdzielić.

Juliusz Słowacki.

6.

Warszawa 13/3 kwietnia 1829 r.

Kochana Olesiu!

Drugi to już list piszę do ciebie z Warszawy, kochana Olesiu, ale wątpię, czy poprzedzający rąk twoich doszedł, bo okazya, przez którą pisałem, długo swój odjazd zwlekała, a nawet teraz nie jestem pewny, czy już odeszła. Teraz znów przez Ignacego Lubeckiego, brata Pauliny i Teresy, odjeżdżającego do Litwy, mam sposobność przypomnienia się nadto prędko zapominającej Olesi. Najprzód proszę ciebie, kochana Olesiu, żebyś oświadczyła panu Janowi Śniadeckiemu wyrazy najszczerszej wdzięczności za przysłanie mi przez niego listów rekomendacyjnych; zjednały mi one najlepsze przyjęcie u osób, do których były pisane. Ks. Czartoryski był tak łaskaw, że mnie zaraz ks. Ministrowi Lubeckiemu polecił, i zostałem umieszczony w jeneralnym sekretaryacie Ministra skarbu.

Kochana Olesiu! Ty zapewne myślisz, że ja dostawszy się do Warszawy, jestem zupełnie moim w niej pobytem zachwycony. Zdziwisz się, gdy ci doniosę, że mi nigdy tak smutno nie było, jak mi jest tutaj. Nudzą mnie etykietalne wieczory panny Kickiej, która tu na wielkim tonie żyje, a jeszcze bardziej mnie nudzą w innych domach wizyty, najczęściej więc uciekam do mego samotnego mieszkania i znakiem Krzyża świętego odpędzam spleen[1]) i wszystkie mary, które mnie teraz częściej niż kiedykolwiek napastują. Kochana Olesiu, ty wiesz że twoje listy byłyby na to najlepszym lekarstwem, a jednak tak długo każesz mi na nie czekać.

Największem dla mnie teraz roztargnieniem i zabawą są kłótnie między poetami i recenzentami warszawskiemi, których wszystkich prawie poznałem.

[1]) Czyt. szplin.

Rozdrażniła ich i poróżniła na wieki przedmowa Mickiewicza w peterburskiej edycyi dzieł jego przeciwko recenzentom klasycznym napisana. Odyniec, kochanek Litwy, znów nad uwiecznieniem swego imienia pracuje, wydając nowy dramat pod tytułem Izora, dzieło wielkiej objętości a bardzo małych zalet; jeżeli je do końca przeczytasz, to będziesz mogła z księdzem tego dramatu zaśpiewać Te Deum bo tą pieśnią nabożną kończy autor z wieków rycerskich wziętą sztukę. Czy też znajdują już się w Wilnie dzieła, które teraz najbardziej w Warszawie są w modzie jak naprzykład Napoléon en Egypte par Barthélémy et Mérry, poema we Francyi uwielbiane albo dzieła młodego Wiktora Hugo Ody, Ballady a nadewszytko jego tragedya Cromwell bardzo oryginalna; podobno że temu autorowi pan Lamartine i Délavigne będą musieli pierwszeństwa ustąpić.

Teatr warszawski dosyć mnie bawi; będąc na pysznej wystawie Freischütza, przypomniałem sobie, jak niegdyś Kukolnik sam jeden rzucając się po pokoju, tę operę odgrywał. Miłe i smutne wspomnienia obudził we mnie widok Sokołowskiego; spotkałem się z nim na ulicy, on mnie nie poznał, że mu musiałem moje nazwisko powiedzieć; to mi dopiero przywiodło na pamięć, że już wiele lat upłynęło...

W jednym punkcie wymagam od ciebie kochana Olesiu prędkiego wyjaśnienia; słyszałem że H... został profesorem ordynaryjnym, to może dać do myślenia. Co?... Pisał mi o tem Teofil, pisał mi także, że Mianowski posłał ci urzędowy i statystyczny siebie samego opis. To musiało być ciekawe i radziłbym mu, żeby podobną kopię tego opisu do „Kuryera“ podał, to może prędko sobie znajdzie cokolwiek na miejsce przyjaciela, którego szukał.

Smutną ci muszę donieść wiadomość. Wilhelm



Grobowiec rodziny Januszewskich na cmentarzu Krzemienieckim.

Michalski, brat Melanki, któren tu był podoficerem gwardyi, za dany policzek jednemu ze swoich kolegów, został degradowany w proste sołdaty do liniowych pułków i odesłany do Brześcia. Jakie to będzie zmartwienie dla matki. Tego samego dnia w którym zrobił tę awanturę, był już przedstawiony na oficera. Wypadek ten bardzo mnie zasmucił, bo poznaliśmy się z nim bardzo dobrze i nie spodziewaliśmy się tak smutnego i prędkiego końca naszej znajomości.

Cóż się stało z projektem twoim, kochana Olesiu, odwiedzenia Krzemieńca? Czy myślisz przywieść go do skutku? Jak wam wesoło będzie, jak się wszyscy razem zjedziecie. Nie wątpię że kapelusze na Zamkowej górze gubić się będą, a mnie w Warszawie tak smutno, tak nudno! tak mi czegoś niestaje, tak mi wszystkiego nie staje! Pozajutro już w Warszawie Wielki Piątek, będę obchodził groby, będę się przypatrywał ładnym i ładnie postrojonym damom, jednakże po ukończonych świętach, chętniebym do Litwy na Wielkanoc pojechał. Czy wiesz, co mnie tam ciągnie?... to ten wąż, co się ciągle u Dominikanów przed katarynką obraca. Adieu, kochana moja Olesiu. Oświadcz uszanowanie moje domowi państwa Śniadeckich i donieś mi o wszystkich zdrowiu, ja takbym chciał wszystko wiedzieć co się w Litwie dzieje. Czy nie będę miał przyjemności widzenia pana Józefa w Warszawie? państwu Balińskim uszanowania zasyłam ukłony, a ładnym ich panienkom i grzecznym chłopczykom dobrych świąt Julek życzy. Adieu, kochana Olesiu, proś pannę Ludwikę, żeby po przeczytaniu Szanfarego Mickiewicza raczyła mi powiedzieć, czy tłómaczeniu poprzedniemu Szpitznagla, czy temu ostatniemu dać pierwszeństwo.

Panu Mianowskiemu, jeśli jeszcze jest w Wilnie, bądź łaskawa oświadcz moje ukłony, a sama bądź zdrowa.

Juliusz Słowacki.

NB. Jeżeli możesz, kochana Olesiu, to staraj się o przesłanie mi do Warszawy mojej za styczeń, luty i marzec pensyi, bo ja choć blizko sto dukatów wziąłem z domu, ale już się bardzo wysupłałem, jeżeliby była w przesłaniu trudność, to napisz do Mamy do Krzemieńca, to mi stamtąd pieniędzy przyślą, ale rób to jednakże jak można najprędzej. Mój adres jest taki: Na ulicy Miodowej w pałacu Paca Nr. 493. Numeru nigdy kłaść nie zapominaj, bo bez tego nie dojdzie. Jeżeliby przez okazyę będziesz pisać to do Odyńca listy adresuj, bo o niego prędzej dopytać się można.

7.

Warszawa, dnia 20 czerwca 1829.

Kochana Olesiu!

Wstyd mi szczerze, że tak dawno nie pisałem do Ciebie, kochana Olesiu, po części wymówką moją może być febra, która równie jak przeszłego roku na wiosnę, nie zaniedbała mnie odwiedzić i nie przestając na jednych odwiedzinach, po dziesięciu dniach powtórnie wróciła, a to zapewne dlatego, żeby mi dać uczuć niedostatek kochanego Mianowskiego, któren ją przeszłego roku tak skutecznie odparł.

Odebrałem już od Ciebie dwa listy; pierwszy, każący mi się wszystko domyślać, w niemałą wprawił mnie ciekawość, bo pamiętam jakeś w liście do Hersylii dowodziła, że nie czujesz żadnej inklinacyi do Mikulskiego, chociaż odgrzewanie i chowanie dla niego pączków zupełnie przeciwne rodziło w nas przekonanie; drugim listem rozwiązałaś tę zagadkę, choć wprawdzie ciekawość moja zaspokojoną już była listem Hersylii i Teofila, którzy mniej licząc na moją przenikliwość, prosto i bez ogródek rzecz mi całą wyjaśnili robiąc epizodyczny opis rozpaczy drugiego M. błądzącego nad przepaściami swego ogrodu, w które

dlatego skoczyć nie chce, że to nie zgadzałoby się z cechą angielszczyzny, tak głęboko w całej jego postawie wyrytej. Ale ty, niewzruszona dawniej jękami czterech Michałów, poświęciwszy małe westchnienie zgubionemu niegdyś na górze Zamkowej kapeluszowi, zapomnisz o nieszczęsnym Anglomanie, któren podobnież stłumi swój żal, gadając do ulubionego konia miłosnym językiem. Nie rozwodząc się dalej nad nieczułością płci pięknej i nad nieszczęśliwym losem opuszczonych kochanków, donoszę Ci, kochana Olesiu, że się cieszę bardzo z Twego szczęśliwego teraz jak piszesz stanu, i z miłych nadziei Twoich na przyszłość, z przyjemnością także myślę że jeżeli kiedy zdarzy mi się przejeżdżać przez Wilno, nie będzie tam wszystko obcem dla mnie, ale znajdę dom siostry miły, przyjemny, w którym wszystko będzie mnie interesować i cieszyć. Ale czy zobaczymy się kiedy?

List Twój do Odyńca przysłany pod moją kopertą, już go nie zastał w Warszawie, lecz schowany starannie, czeka jego powrotu, wątpię jednak, żeby się z niego wiele nowin dowiedział, bo spodziewam się, że będąc teraz w Litwie, nie zaniedba Wilna odwiedzić, a zatem będzie się widział z Tobą, a za powrotem będzie musiał wszystko mi opowiadać, a jeszcze mi więcej przyjemności zrobi, jeżeli mi list od Ciebie przywiezie.

Chciałaś, żebym Ci opisywał nasze fety koronacyjne, próżna była by to praca, bo już dawno i dokładnie wszystko gazety opisały, ogólnie Ci tylko powiem, że na koronacyi najładniej się wydawał amfiteatr dla dam wzniesiony, migający się mnóstwem różnobarwnych parasolików, między któremi powiewały strusie pióra i piękne od kapeluszów kwiaty; szkoda tylko, że nie mogę tu dodać, że piękność dam gasiła blask i świeżość zdobiących je kwiatów, amfiteatr tem lepiej się wydawał z daleka niż z blizka. Przy tryumfalnym wjeździe najlepiej się popisali szambelani,

kilku z nich z pierwszym wystrzałem armat pospadało z konia; prezentowane damy cesarzowi także dosyć niezgrabnie się przypisały; jedna wszystkie ukłony należne N. Panu oddawała mistrzowi ceremonii, druga, ściśniona od cesarzowej za rękę, pocałowała w ramię. Narodową ucztę, urządzono na wzór fet francuskich dla ludu, bo nawet wino rzęsiście z fontan płynęło, przerwał deszcz nawalny, tak że oprócz pijanych, nikt nie został na placu. Sam podczas swego pobytu w Warszawie, bardzo często dawał się widzieć, bez żadnej świty wychodził i wyjeżdżał na spacer, i dotychczas bawi w Warszawie, uradowany ze zwycięstwa Dybicza nad Turkami, na których zabrane chorągwie wożą teraz po tutejszych ulicach.

Dnia 23 czerwca. Powracam właśnie teraz z mostu nad Wisłą, jest to wigilia św. Jana, dzieci, którym dziewczęta tutejsze chcąc się dowiedzieć o prędkiem zamążpójściu, rzucają wianki na wodę, a za wiankami temi upędzają się na czółnach przewoźnicy i łapią, skoro dosięgnąć zdołają; to wszystko przedstawia bardzo ożywiony widok, często się zdarza, że psy do aportowania wprawne, podżegane od złośliwych chłopaków, wpław się za wiankami rzucają i wynoszą one na brzeg, a stąd zaraz dziewczęta źle sobie rokują na przyszłość i smutek przynajmniej na cały tydzień. Cała publiczność warszawska w dniu tym zbiera się na moście, mnóstwo dam ładnie ubranych łowi nie mające się na baczności serca. Przyznam Ci się jednak, że się dotąd oswoić nie mogę z przesadą, i kokieteryą, która tu już ładne i brzydkie ogarnęła.

W liście Twoim ostatnim pisałaś mi o nowym i interesującym romansie Le juif; poszedłem więc zaraz do Glücksberga, u którego abonuje się na czytanie książek i wziąłem romans tego samego autora, tłómaczony przez P. Co., także nowy bo 1829 roku wydany, pod tytułem „L'élixir du Diable." Romans ten, pomimo całej swojej oryginalności nie po-

dobał mi się, ksiądz Kapucyn jest jego bohaterem, a ja z wielką odrazą słuchałem zawsze i czytałem o awanturach i galanteryach księży: główny więc interes był dla mnie straconym, a ciekawość sama dyabelskich intryg nie jest zdolną zająć tak dalece. Cieszę się bardzo, że tłómaczenie „Szanfarego“ przez Ludwika Spitznagla przeniosłyście panie nad tłómaczenia Mickiewicza. „Szanfary“ w tego ostatniego tłómaczeniu stracił moc zupełnie, a nawet przybrał jakąś odrazy pełną postać. Dziwię się tylko, żeś mi Olesiu, tak pochlebne o „Meliteli“ napisała zdanie, najprzód oświadczam Ci otwarcie, że nie jestem autorem żadnych w niej zawartych wierszy, jak o toś mię posądziła. I zdaje mi się, że pismo dla dam poświęcone grzeczniejsze dla płci pięknej być powinno, wszystkie zaś tam zebrane ballady, bardzo niepochlebne o kobietach dają zdanie! jeden tylko Farys śliczny, bardzo mi się podobał.

Czy nie obraziły się Litwinki wierszami Korsaka, któren powiada o jakiejś śpiewającej aryjkę dziewoi, że z pierwszych wymówionych przez nią wyrazów poznał zaraz, że w Litwie zrodzona, mnie się zdaje, że chcąc powiedzieć grzeczność, musiał niejedną obrazić. „Alboż to my tak przeciągamy słowa, że nas po dwóch wyrazach poznać można?“ tak się muszą skarżyć na ten narodowy afront.

Chciałaś wiedzieć, kochana Olesiu, jak mi się w mojem biurze powodzi, donoszę Ci, że dotąd bardzo dobrze, praca moja choć niebardzo uciążliwa, bynajmniej nie machinalna, owszem użyty byłem przez moich naczelników do zdania sprawy z kilku dosyć trudnych i dawniejszych epok interesów, i zdaje mi się, że z nich byli kontenci. Zawsze pamiętny na udzieloną mi przy zaczęciu mego zawodu protekcyę pana Jana Śniadeckiego, chciałbym podobnie jak przeszłego roku, w dzień św. Jana złożyć mu moje życze-

nia, ale łatwiej było z Wilna do Jaszun, niż teraz z Warszawy do Litwy przyjechać.

Przy końcu tego miesiąca zapewne wyjedziesz do Krzemieńca, powitaj tam ode mnie wszystkich i wszystkie okolice, tak smutne wokoło równiny, że aż rozpacz ogarnia. Cóż dopiero kiedy nic i nikt w mieście nie wynagradza braku pięknych okolic. Teraz zupełnie sam jestem. Nie uwierzysz jak przykre miałem gorączkowe marzenia po każdym paroksyzmie febry, teraz niezmiernie jestem zmęczony. Mama pisała mi, że chce, żebym sobie kupił fortepian, i że już pisała Ci o tem; jeżeli więc możesz, przyślij mi z Mamy pensyi 30 dukatów, razem z moją pensyą za maj i czerwiec, zrób to, jeśli Ci co nie przeszkodzi, przed swoim wyjazdem do Krzemieńca, będę Ci za to nieskończenie wdzięcznym. Adieu, kochana moja Olesiu, kłaniaj się wszystkim ode mnie i podziękuj dzieciom pp. Balińskich, że jeszcze o Julku pamiętają. Bądź zdrowa.

Juliusz.

8.

Warszawa, 8 września 1829 r.

Kochana Olesiu!

Wymówka Twoja, że listy moje zawsze są interesowane, do żywego mnie dotknęła, przynajmniej chcę, żeby ten list na podobny nie mógł zasłużyć wyrzut; słuszniejbyś zrobiła, żebyś mnie obwiniała o lenistwo, a bardziej teraz wszystko mógłbym złożyć na chorobę. Wystaw sobie, że do połowy lata co dwa tygodnie powracała mi febra, wszystkie sposoby i lekarstwa były bezskutecznemi, teraz dopiero przychodzę do siebie i zaczynam oddychać, słusznie więc zazdrościć Ci mogę wesoło, jak mi się zdaje, przepędzonego lata.

W tych czasach miałem często okazye z Krzemieńca, ale Państwo Teofilowie bardzo mi mało o sobie donosili wiadomości, odebrałem także dwa listy od Mamy, jeden z Karlsbadu a drugi z Marienbad. Smutno mi, że wody żadnej ulgi w jej słabości nie przyniosły; pisze mi mama, że znalazła tam wiele znajomych a między innemi Podberezką, Chrapowiecką, Kościałkowską i Jelską starą; bywał także u Mamy często Mickiewicz i znalazła, że się bardzo na awantaż odmienił. Odyniec wyjechał za granicę i także w Marienbad widział się z Mamą. Tak więc Warszawa osierocona została po tym sławnym poecie, pocieszamy się tylko czytając „Izorę", którą tu na swojem miejscu zostawił. Dzisiaj właśnie odebraliśmy list od Odyńca, w którym nam opisuje wizytę z Mickiewiczem u Goethego w Wejmarze. Goethe najgrzeczniej przyjął i prosił Mickiewicza żeby mu pozwolił kazać zdjąć jego portret; jak to znajdujesz ze strony Goethego? Ale pisze nam na razie Odyniec, że daleko milszą wystawiał sobie podróż w imaginacyi, jak jest rzeczywiście, że nie myślał wtenczas o najmowaniu koni i innych ambarasach, które się teraz na niego zwaliły; i Mamie mojej podobno odpadł gust do podróży.

Nic mi nie piszesz, kochana Olesiu, jak idą Twoje interesa, wiem od Teofilów, że M. otrzyma katedrę, radbym od Ciebie samej czego się więcej dowiedział, ale prawda, że nie mam prawa wymagać listów od Ciebie, wtenczas kiedym się sam z odpowiedziami zadłużył. Mikulski, jak musisz wiedzieć, sprawił sobie piękne meble, na Wilno do Rygi pojechał. Ciekawy jestem, jak mu ten wojaż posłuży, czy zdrów i wesół powróci, powinnaś mu jakim sposobem osłodzić gorzki kielich, któren z Twojej ręki spełnić będzie musiał; żeby bardziej rycerski człowiek, to lękałbym się pojedynku, krwi rozlewu, porwania i tym podobnych zdarzeń, które wogóle miłości zawiedzionej towarzyszą.

Mamy tu od pewnego czasu trupę Chiarynich i sztukmistrza Bosko, oba te widowiska bardzo mi Wilno przypominają i miłe czynią wrażenie.

Kochana Olesiu, z wielką nieśmiałością piszę teraz do p. Jana Śniadeckiego; nie wiem sam, jak się to wyda po tak długiem milczeniu, staraj się mnie wytłómaczyć, że byłem chory, chociaż ja tego w liście moim nie piszę, ale jakaś niemoc i kręcenie głowy do wszystkiego mnie niezdolnym czyniły; wreszcie osądź sama, czy oddać ten list czy zatrzymać, a na wszystko się zgadzam.

Dziękuję Ci bardzo za przysłane pieniądze, kupiłem sobie pantalion bardzo dobry i z ładnym głosem, czasem więc grywam, ale to tylko dla swej przyjemności i nigdy innym uszu obrażać nie myślę.

Adieu, kochana Olesiu, serdeczne Ci zasyłam uściśnienia.

Juliusz.

Domowi WW. Państwa Śniadeckich i Państwu Balińskim oświadcz uszanowanie i ukłony.

9.

Warszawa, dnia 15/3 września 1829 r.

Kochana Olesiu!

Odebrałem Twój list, w którym mi donosisz o swoim kłopocie z prenumeratorami sławnego dramatu Izory, chciałem Ci w tem dopomódz i byłem u kilku osób, którym Odyniec wyjeżdżając swoje interesa powierzył, od nich dowiedziałem się, że Izora na Litwę przeznaczona złożoną została u Odyńca i że ten ma ją do Wilna dostawić, byłem więc u niego, aby się o jej wysłaniu dowiedzieć, albo ono przyśpieszyć, lecz kilkakrotnie nie zastałem Odyńca w domu, a zły czas i nareszcie przypadająca pora zmienienia pomieszkania i inne okoliczności stały mi na prze-

szkodzie, bądź jednak pewną, że w tych dniach będę się z nim widział i wysłanie Izory przyśpieszę.

Bardzo jestem teraz niespokojny o naszych krzemienieckich mieszkańców; od Mamy po jej powrocie jeszcze listu nie miałem, chociaż już trzy tygodnie upłynęły, jak ich mój list doszedł, prawdziwie nie wiem co mam o tem myśleć, napisz mi cokolwiek, jeżeliś miała listy z Krzemieńca. Dzisiaj właśnie byłem i widziałem dawną naszą znajomość a nawet kuzyństwo, to jest starą Gajową i jej córkę, która jest, za Lapierrem. Długo bardzo dla wiadomych ci okoliczności nie byłem u nich, aż się Gajowa dowiedziała o mojej bytności w Warszawie i przez Lapierra pracującego w tymże samym co ja wydziale, prosiła mnie, abym ich odwiedził. Stara Gajowa nie mogła mnie od razu poznać i musiałem jej powiedzieć moje nazwisko, dopiero wykrzyknęła: Ach! to Julek!... Sama Lapierrowa bynajmniej nie odmieniła się, znajduję nawet, że trochę poładniała, mają maleńkiego synka dosyć ładnego chłopaka, sam Lapierre jest Francuz, ale doskonale po polsku mówi i bardzo dobry człowiek, dom ich na mierną stopę po gospodarsku urządzony, jednak bardzo porządny, choć nie wykwintny. Wkrótce po mojem przyjściu matka wyjechała na teatr, ja zaś zostałem z Lapierrem i jego żoną, wtenczas zaczęły się różne pytania o was, o Pilerówny i o wszystkich znajomych. Młody Gaj wszedł na chwilę, bardzo przyjaźnie się ze mną witał, ale musiał wyjść wkrótce za matką na teatr, nie odmienił on się nic z postaci, ale odmienił sposób życia, poprawił się z wad młodości i ma także miejsce pomocnika architekta przy ministeryum skarbu. Widok ich przypomniał mi bardzo dawne czasy i Mickuny.

Bardzo mię list Twój, Olesiu, ucieszył, widać z niego, żeś teraz szczęśliwa, i jeszcze szczęśliwszą być spodziewasz się, braknie tylko katedry, a wszystko

będzie dobrze. Napisałbym osobno do kochanego Mianowskiego, ale w tych czasach tak jestem zatrudniony, że do Ciebie nawet nie tak długo piszę, jakby mi się chciało. Pokłoń mu się więc ode mnie, a jeżeli mnie zapomniał, to mu przypomnij, że to ten sam Julek, z którym razem do Prok jeździł.

Pisałem Ci, że teraz zmieniłem mieszkanie, muszę Ci donieść, że moje teraźniejsze apartementa są mi bardzo miłe z wielu względów; najprzód nam okna długie do ziemi z galeryjkami i często, kiedy księżyc świeci, opieram się o nie i zdaje mi się, że jestem w Wilnie i z tobą jeszcze gadam; pierwsze piętro, i dosyć ludna ulica, przypominają mi bardzo ulicę Zamkową. Nadto ostatni pokoik, w którym sam pracuję, mały, zielono pomalowany, z maleńkim piecem, któren się w pokoju pali, podoba mi się nieskończenie i dotąd ciągle w nim siedzę. Nie będzie Cię zapewne interesować ta wiadomość, ale ją napisałem, bo teraz najwięcej mi to robi przyjemności.

Wiesz zapewne z gazet, że w Warszawie otworzył się drugi teatr nazwany Rozmaitości, tańszy od pierwszego, złożony z młodych uczniów szkoły dramatycznej, którzy ciągle same farsy grają, nie tak jednak dobrze jak w Wilnie Damy i Huzary. Zresztą nic nowego w tych czasach nie zjawiło się w Warszawie.

Adieu, kochana Olesiu, nie mogę do Ciebie dłużej pisać, bo już 10-ta godzina i muszę wychodzić do biura, tam jak się spodziewam, czekają na mnie różne przyjemne prace aż do trzeciej godziny.

Bądź więc zdrowa i szczęśliwa, tego ci życzy Twój

Julek.

Chciej ode mnie wszystkim pełne uszanowania oświadczyć ukłony. Pannie Ludwice za jej łaskawą i zawsze drogą dla mnie pamięć.

Bądź łaskawa także odbierz moją pensyę, zalegającą za lipiec, sierpień, wrzesień i przyślij mi ją przez

bankiera, niezmiernie ci będę za to wdzięczny i przepraszam za ambaras, albo poczekaj do przyszłego 1 dnia miesiąca i pensyę za październik mi należącą odeślij, to będzie coś blizko 100 rubli.

10.

Warszawa, dnia 21 października 1829 r.

Kochana Olesiu!

Nie chcąc Ciebie narażać na częstą opłatę pół rubla za moje nudne listy, korzystam z przytrafiających się okazyi, i piszę, choć prawdziwie nie wiem co pisać, jestem nudny i niespokojny; wyobraź sobie, kochana Olesiu, że jeszcze po Mamy powrocie do Krzemieńca, nie miałem stamtąd żadnego listu; nie wiem czemu mam przypisać tak długie milczenie, tłómacząc sobie, że jakaś okazya wiozącа dla mnie listy musiała się zabłąkać.

List ten odbierzez przez Henryka Czarneckiego; przyjechał on niespodzianie do Warszawy, i jego widok wiele mi zrobił przyjemności, sam mię o list prosił, ażeby tym sposobem mógł mieć sposobność widzenia ciebie, będziesz więc mogła osobiście, jeżeli jesteś ciekawą, wypytać się o mnie, ostrzegam Cię jednak, że nic się ciekawego nie dowiesz. Wie on i mówił mi o twoim zamężciu, z tego wnoszę, że już to musi być dosyć głośnem w Wilnie, spodziewam się więc, że już teraz nie chodzisz po bulwarach, i nie dajesz staruszkowi sparaliżowanemu goździków, ani odbywasz spacerów dorożkami, jak to niegdyś bywało.

Mam tu jeszcze jednego znajomego w Warszawie, któren się bardzo o ciebie dopytuje, jest to synowiec prałata Cywińskiego, istny obraz stryja, równie jak stryj dyga, śmieje się, a nawet sądzę, że gdyby śpiewać spróbował, toby i głos miał równie cienki. Jest jeszcze drugi znajomy, który się jeszcze bardziej o cie-

bie wypytuje, a tym jest młodzieniec szanowny Zawirski synal; proszę sobie nie żartować, bardzo proszę. Pan Zawirski powrócił z peregrynacyi z obcych krajów, wyuczył się tam kłaniać, i teraz bardzo przyzwoicie prezentuje się, przez jakiś czas rezydencyę założył w Warszawie, póki mama nie przyśle na powrót pieniędzy, (i ciebie, Olesiu, w pierwszym tego miesiąca o podobną łaskę to jest o przysłanie pieniędzy upraszam) był u mnie z dziesięć razy a z tych częstych wizyt domyślam się, że jego afekta dla Warszawy jeszcze nie wygasły, i że za powrotem niezawodnie swoją suplikę u nóg jej złoży. Powinnaś więc, kochana Olesiu, myśleć o zgrabnej odpowiedzi, tak żeby jednym ciosem wszystkich jego nadziei nie zniszczyć, ale nadal w słodkiej i niepewnej zostawić go ekspektatywie. Nie mogę jednak bez drżenia myśleć o heroicznym charakterze jego matki, o mocy przekonywającej jej wymowy. Ostrzegam cię więc, strzeż się tak syna jak matki, ażeby cię pierwszy wdziękiem, druga perswazyą nie podbiła.

Przepraszam cię za ten styl przestarzały, ale zestarzałe traktując materye, mimowolnie słów korespondujących użyć musiałem. Nic ci z nowości tutejszych donieść nie mogę. Wczoraj zawieszono u fary chorągwie tureckie, jutro będzie koncert panny Neumann, która mając tylko lat 10 wieku i będąc dosyć ładną dziewczynką, doskonale gra na skrzypcach. Ale! ale! jeszcze jedno zapytanie; tego roku był podobno teatr amatorski w Wilnie, napisz mi, w jakim to było guście. Lubecki mówił mi o tem, ale grając sam rolę pijanego, naturalnie, że po przespaniu się zapomniał szczegółów. Czy nie byłaś jaką Sybillą albo Semiramidą? Zapewno ostatni mój list czytając, będziesz miała Olesiu, dobre wyobrażenie o mojej przytomności umysłu, napisawszy ci bowiem o zmianie mieszkania; nie napisałem nowego mego adresu, sam więc przeciąłem sobie odbieranie od ciebie listu dro-

gą... i natychmiast śpieszę poprawić omyłkę, donosząc ci, że listy nadal do mnie mają mieć adres: Na Elektoralnej ulicy w domu pod Nr. 755. Numeru nie zapomnij. Żegnam cię, kochana Olesiu, myśl dobrze o mnie, ja zawsze ciebie szacuję, innego wyrazu kłaść nie wypada. Wierz mi jednak, że nie zawsze list wesoły, wesołego umysłu znakiem, to chwila zapomnienia się. Adieu, godny Twój brat

Julek Słowacki.

Kohana Olesiu! Oświadcz moje uszanowanie domowi W. Państwa Śniadeckich i ukłony moje wszystkim, którzy są tak łaskawi że jeszcze czasem wspomną o mnie. Pisząc do państwa Balińskich, nie zaniedbaj także przypomnieć mnie ich pamięci nieskończenie dla mnie szacownej.

11.

Warszawa 1830 r. dnia 6 stycznia.

Kochana Olesiu!

W sam dzień Nowego Roku odebrałem list Twój, i bilet z powinszowaniem. Przyjemnie zostałem zdziwiony, gdy zamiast wymówek, których się spodziewałem, poczuwając się do przewinienia, znalazłem w nim tylko trochę eksorcyzmu a wiele interesujących mnie wiadomości, postanowiłem więc długo! długo! na Twój list odpisać, i w następujący sposób dopełniam postanowienia.

Piszesz mi na samym wstępie, kochana Olesiu, żem niegrzeczny, bom książki Mianowskiemu nie przysłał, donoszę ci więc, że list Mianowskiego pomimo wszelkiej trudności, jaką miałem w oddaniu, nie wiedząc kto jest ten pan Hube i gdzie go mam szukać, w kilka dni jednak dowiedziałem się i oddałem. Pan

Hube prosił mnie, żebym za kilka dni przysłał do niego po książkę, o którą prosił Mianowski; zaledwo więc trzy dni upłynęły, poszedłem sam do niego, lecz on mi powiedział, że już książkę przez kancelaryę Nowosiltzowa do Wilna odesłał. Dziwię się więc, że jej dotąd nie odebrał, będę jednak u Hubego i doniosę mu, że posłana przez niego książka jeszcze nie doszła. Szczerze ci mówię, że martwi mię to bardzo, żem nie mógł usłużyć, a raczej tak źle usłużyłem kochanemu panu Mianowskiemu.

Dziękuję Ci, kochana Olesiu, za radę, żebym się nie zarażał staroświecczyzną. Niestety, smutna pierwsza miłość dla pani Reszko, nauczyła mnie doświadczeniem, jak na tem źle wyjść można; wzywasz mnie, żebym Ci odkrył wszystkie tajniki serca mojego, mogę to śmiało zrobić, bo zupełnie próżne, pusto jak w śpichlerzu, i wszystkich panien boję się teraz i znam ich bardzo mało. Wigilię Nowego Roku przepędziłem dosyć nudno u panny Kickiej na uczonej rozmowie, pytała się jeszcze raz o ciebie i musiałem powiedzieć bez ogródek, że zabierasz się do stanu małżeńskiego, na co panna Kicka westchnęła i uśmiechnęła się; uśmiech był dla ciebie a westchnienie dla siebie. Bardzo u niej nudno tej zimy, mało bywa osób, wtenczas kiedy przeszłego roku salony były pełne. W chwilę po oddaniu Twego listu, przyszedł do mnie Cezar Plater i zdziwił się bardzo, gdym mu wyrecytował jego rolę eleganta na teatrze amatorskim tak dokładnie, że z Twojej łaski mogłem nawet dyrekcyę, w jakiej biegały jego oczy, opisać; westchnął również jak panna Kicka, a ja wyrzucam sobie, że tak niewinnie dwóch ciężkich westchnień stałem się przyczyną. Na warszawskim teatrze grają teraz raz po raz, nową a dla nas starą sztukę pod tytułem „Chłop milionowy", o której musiałaś już cośkolwiek z gazet słyszeć. Piękność tej sztuki cała zależy na dekoracyach, które prawdziwie są zachwycające, zresztą cała sztuka dosyć

słaba i bez sensu; chciałbym, żeby ją kiedy na teatrze wileńskim wystawiono, z waszą godną maszyneryą, dopieroby się ładną wydała. Zawiązał się tu mały teatrzyk Rozmaitości, w którym gdy brakło komicznych przedmiotów, nas urzędników ministeryum za przedmiot śmiechu wzięto, i wystąpiła komedya pod tytułem „Biuraliści.“ Ale Bóg nie pozwolił na to, aby tak godne osoby równie znieważone były, autorowi odebrał la verve poétique[1]) i z pióra jego wyszły same płaskie żarty, które bynajmniej godności naszej nie ujmują.

Chodźko Aleksander przysłał mi także tomik swoich poezyi z napisem, bardzo mu wdzięczny jestem za ten dowód pamięci zwłaszcza, że w wierszach jego znalazłem wiele talentu, ale krytycy warszawscy dwa razy okropnie go skrytykowali, mówiąc, że jest nędznym naśladowcą Mickiewicza, a na poparcie swej krytyki przywiedli wszystkie dziwne wyrazy i wyobrażenia, które Chodźko na konto poezyi perskiej poumieszczał. Nie wątpię, że krytyka tak ostra i tak niesprawiedliwa zmartwi bardzo poczynającego poetę. Pisał on w tych dniach, że cesarz najmiłościwiej zezwolił Polakom wydawać pismo patryotyczne w Petersburgu, do którego ma Chodźko, Malewski i kilku innych należeć, a w tem piśmie będą zapewne pisać na przekór krytykom warszawskim.

Romantyczność przemaga już nas. Goethe obranym został na członka Towarzystwa przyjaciół nauk i jedna tylko kreska, zapewne Koźmiana lub Osińskiego, była przeciwną temu obiorowi. Obrano także na członka Towarzystwa Korzeniowskiego, autora „Prób dramatycznych“, a spodziewam się, że niezadługo i pannę Korzeniowską wybiorą. Nic o niej teraz nie słychać, podobno, że wyjechała z Warszawy,

[1]) Czyt. werw poetik — polot poetycki.

ale pewno baba dobrze nie skończy, bo jak stare francuskie przysłowie mówi:

La femme qui parle latin,
Soleil qui luiserne au matin,
L' enfant qui est nourri de vin,
Ne viennent point á bonne fin.

Wystaw sobie, kochana Olesiu, jak raz zdziwiony byłem, gdy powracając późno około północy do domu, w jednym szynku na ulicę słyszałem Niemców pośpiewających chórem włoską barkarollę, którąście często z Hersylką śpiewały, jest to ta, która się kończy na fidelin-liu-la, bardzo mnie to ucieszyło, że już ta piosneczka tak stała się popularną i kilka minut słuchałem chóru, któren choć liczny i głośny, brzmiał jednak dosyć zgodnie.

Młody pretendent, to jest pan Zawirski, wyjeżdża w tych dniach z Warszawy i wkrótce do stóp Twoich upadnie, ale nie żartuj sobie z niego, bo po wojażu wcale do rzeczy chłopiec, i przystojny. Dymitra Włodka dawno już nie widziałem, jego ojciec ma w tych dniach przyjechać do Warszawy. Dymitr zawsze szałaput.

Wyjdzie tego roku znowu „Melitele" na poratowanie Odyńca w pieniężnych jego interesach. Napisał on sam do niej trzecią część „Tukaja" i wiele innych różnych poetów różnorodnych wierszów zebrano. Odyniec pisał teraz z Rzymu, a ponieważ list do nas mieścił się na krótkiej karteczce na końcu, więc dał w kilku słowach rys swego wojażu; i tak pisze, że w Włoszech nieźle, w Rzymie zimno i słoty, w Wenecyi pięknie, we Florencyi przyjemnie, w Medyolanie balet!!! Z tych trzech wykrzykników domyślaj się, jaki balet...

Bardzo wdzięczen jestem pannom Sanders, że są tak łaskawe i nie zapominają o mnie. Chciałbym widzieć ten mój portret, ażebym go znał, tobym mu złożył kondolencyę nad smutnym losem, któren go uczynił do mnie podobnym.

Mrozy już nas opuściły, a mnie się zdaje, że już się wiosna zaczyna. Wszystko to jedno dla mnie, a nawet wolę długie zimowe wieczory, niż długie dni letnie, które jak wieki powoli mijają. Nie wiem, do czego się ja śpieszę, lecz chciałbym, żeby czas jak najprędzej mijał, uciekał, aż....

Cóż myślisz porabiać, kochana Olesiu, tego lata, czy nie odwiedzisz Krzemieńca? Gdzie jest Lebrunowa? Gdzie pan Jakób i ciocia? kłaniaj się i uściskaj ich ode mnie.

Teraz, kochana i zawsze piękna (podług zdania Zawirskiego) Olesiu, napisz mi co o twoich projektach; najprzód, jaką będziesz miała na ślubie suknię, czy w kwiaty, czy w serca, gdzieniegdzie rozrzucone od niechcenia, czy ja będę na ślub zaproszony, czy mogę przez plenipotenta na ten obrządek stawić się, a wtenczas uproszę Piotra Orzechowskiego, żeby był moim reprezentantem.

Ale ty może się już gniewasz, kochana Olesiu, może cię już mój list znudził, kończę więc, winszując ci Nowego Roku. Domowi W. Państwa Śniadeckich i Balińskich również. Bądź zdrowa, i niech mi wolno będzie dodać że Cię serdecznie kocham.

Juliusz Słowacki.

Może nie przeczytasz mojej bazgraniny, ale to nie moja wina, śpieszyłem się.

PRZYPISY

DO LISTÓW DO ALEKSANDRY BECU.

Aleksandra Bécu, córka dr. Bécu, ojczyma Słowackiego, później wyszła za mąż za dr. Mianowskiego. Dwa pierwsze listy bez daty pisane w Wilnie przed rokiem 1829.

LIST 1.

W listach pani Julii Michalskiej między innemi krytyka utworów Słowackiego.

LIST 3.

Jaś — Jan Januszewski, wuj Słowackiego, ożenił się z Julią Michalską, zginął w powstaniu r. 30/31.

LIST 4.

Książę Adam Czartoryski, przyjaciel cesarza Aleksandra, kurator okręgu naukowego wileńskiego. Brał udział w powstaniu jako prezes Rządu narodowego. Na emigracyi przyjął ofiarowaną sobie godność króla polskiego (fikcyjną).

LIST 5.

Teresa Kicka prowadziła dom otwarty w Warszawie.

LIST 6.

Sokołowski.

O rękę Aleksandry Mikulski się starał. „Kuryer", jedno z czasopism wileńskich. Józef zawsze jest Mianowski.

LIST 7.

W roku 1829. W Warszawie koronacya cesarza Mikołaja królem polskim się odbyła.

Le juif i L'elixir du Diable (Żyd i napój dyabelski) przez Eugeniusza Sue.

W „Meliteli“ noworoczniku literackim wydawanym przez Odyńca, ukazał się Hugo Słowackiego.

Szanfary w tłómaczeniu Szpicnagla zaginął.

Farys — utwór Mickiewicza.

Okolice Wilna i Krzemieńca bardzo piękne są i górzyste, dokoła Warszawy jednostajna równina się rozciąga.

Pensya, o której mowa, to procent od majątku pozostawionego przez ojca.

LIST 8.

Karlowe Wary (Karlsbad) i Maryańskie łaźnie (Marienbad) wody czeskie, u których roku 1830 bawiła pani Bécu.

LIST DO WILHELMA BOGUMIŁA KORNA.

W. M. Dobrodzieju!

Znając od dawna rozległość i świetność stosunków księgarskich Wiel. P. Dobrodzieja mam honor przesłać mu jeden egzemplarz poezyi, wydanych niedawno w Paryżu z prośbą abyś je zechciał przejrzeć i donieść mi, ażali nie zgodzisz się Pan Dobrodziej, abym mu pewną liczbę egzemplarzy przesłał. Nie żądam za nie z góry żadnej opłaty, racz je tylko Wiel. Pan Dobrodziej przyjąć i mieć na swoim składzie, a za wyprzedane w pewnych oznaczonych terminach podług układu przysyłać mi pieniądze. Jeżeli prośba moja będzie przyjętą przez Wiel. Pana Dobrodzieja, racz mi donieść, jaką liczbę egzemplarzy mam dostarczyć, jaką je przesłać drogą i jaki na wyprzedanych zastrzegasz sobie procent? A ja mu z ufnością powierzę jakkolwiek wielką ilość egzemplarzy pewny, że Wiel. Pan Dobrodziej wszystko co będziesz mógł, dla wygnańca uczynisz. Pożądaną jest dla mnie rzeczą zezwolenie Wiel. Pana Dobrodzieja, albowiem zamierzając wkrótce nowe dzieło drukiem ogłosić chciałbym, abyś mi dozwolił również znaczną część egzemplarzy pod takiemi samemi warunkami Jego opiece powierzyć, a tak złożone blizko mego rodzinnego kraju łatwiej się do niego dostaną.

LISTY DO ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA.

1.

Warszawa, 21 maja 1829 r.

Kochany Edwardzie!

Dotrzymuję słowa danego ci przy wyjeździe, posyłam moje wiersze, choć się wstydzę, że tak niewykończone i niepoprawne. Wprawdzie mógłbym je wykończyć i poprawić, bo po ich napisaniu zostawało mi jeszcze kilka dni czasu, ale przez te dni kilka nie byłem zdrów zupełnie i pierwsze jak mi się zdaje paroksyzma febry, która i przeszłego roku w tej porze mnie dokuczała, połączone z mocnym bólem głowy uczyniły mię zupełnie niezdatnym do wszelkiej pracy umysłowej.

Odbierając list w tak wielkim formacie, pomyślisz zapewne, że ci już Witwicki twoją Izorę przysyła i nieprzyjemnie się zawiedziesz, czytając moją bazgraninę. Izora twoja przez dziewięć dni odpoczywała, Witwicki jej nie drukował dla braku papieru, dotąd więc jeszcze nie wyszła, ale spodziewam się, że się już wkrótce ukaże. Wiedzą tutaj wszyscy o twojem wywróceniu się zaraz po wyjeździe z Warszawy; gadają o tem wszędzie, twoje nieszczęście kładą na równi z nieszczęściem kilku szambelanów, którzy podczas wjazdu najjaśniejszego pana przy wystrzale pierwszym z armat pospadali z koni; Krasiński się cieszy, że nie był w ich liczbie. Zresztą niema żadnych nowin interesujących. Panna Kicka przyjechała kilka dni po twoim wyjeździe, byliśmy u niej z Hreborowiczem, ma się dobrze i zajęta ciągle koronacyą, same panny Biszpiny prezentowały się ce-

sarzowi. Fräulinami dworu zostały: panna Lubecka, Plater, Mostowska i Brzostowska i jeszcze dwie jakieś, których nazwisk nie pamiętam.

Jakże ci się podobał Petersburg? Czy odpowiedział twemu oczekiwaniu? czy zastałeś wszystkich znajomych? P. Mickiewiczowi oddaj pod sąd moją powieść, będę mu bardzo wdzięczny, jeśli zechce ją przeczytać. Nieskończenie byłbym mu obowiązanym, gdyby raczył choć kilka słów własnoręcznie o niej napisać; boję się jednak, żeby ta prośba nie była podobną do żądania dowcipnego Łopatty czynionego ci przy wyjeździe; rozważ więc sam moją prośbę i nie powtarzaj jej Mickiewiczowi, jeżeli ją zanadto śmiałą być mniemasz. Czekam z niecierpliwością listu od ciebie i spodziewam się, że przed wyjazdem twoim z Petersburga odpowiedź mieć będę. Hreborowiczowi mówiłem wczoraj, że ma pisać do ciebie, ale zleniwiał stary, ani go przypędzić do pióra, włóczy się tylko szukając oczu panny swojej; przyznał mi się, że ma zamiar włazić a przynajmniej tentować wydobycia się na słup mydłem oblany, na którym będzie 12 dukatów, proś więc tam za nim Boga, żeby karku nie skręcił.

Bądź zdrów, kochany Ewardzie, uściskaj ode mnie kochanego Aleksandra Chodźkę i Szpicnagla. Panu Mickiewiczowi, którego miałem przynajmniej szczęście widzieć kilka razy, oświadcz moje uszanowanie. A gdy odjedziesz do Litwy, pozdrów ją także całą ode mnie.

Adieu, nie zapominaj o mnie.

Juliusz Słowacki.

Listy wiesz jak adresować: do domu Paca, przy ulicy Miodowej nr. 493.

2.

Paryż, dnia 22 kwietnia 1832 r.

Kochany Edwardzie!

Oto kładę przed sobą ćwiartkę papieru i nie mając co robić, albowiem skończyłem drukarskie prace, już od dni kilku, zabieram się do pogadania z tobą. A najprzód odbierzesz od Toedwena egzemplarz moich poetycznych utworów. A co, nieprawdaż, że ładne? Tylko wydanie ładne, a wiersze, jakoś to będzie... i wiesz że nie bardzo się troszczę o los przyszły tych dzieci, które teraz na świat puściłem. Dotąd Bielecki robi mi reputacyę, a ludzie!... Gdybym chciał zyskiwać ich pochwały musiałbym się przerobić w poetę Jeziór. Prawdę powiedział Brodziński, że charakter Polaków sielankowy, sielankami karmić potrzeba. Wielu jest jednak, którzy Żmiję ubóstwiają, ja go sam lubię. Ale wiesz, że Paryż to dziwny Parnas: ludzie tu zajęci panną Taglioni, która w Sylfidzie po powietrzu lata, zawieszona jednak na sznurkach; ale spodziewam się, że wkrótce bez sznurków latać będą, tak są letcy, i zupełnie sprawdzają to, co o nich powiedział Trembecki, że gdy Bóg stwarzał ludzi z powietrza, ognia, wody i ziemi, i gdy przyszła kolej Francuzów składania:

Ci gdy pierwsze żywioły wzięli
Używszy onych jak ptak do latania
Z rąk się swojego Stwórcy wymknęli.

Otóż mówię ci, że sądu literackiego to trudno usłyszeć; bo jedni myślą o pannie Taglioni, drudzy o gruszce, inni zajęci głębokiemi myślami nad wynalezieniem machiny do wieszania arystokratów, a tej partyi przewodzi Gurowski. Inni niby to się uczą sztuki wojskowej, ale w nich nic nie można pochwalić, tylko dobry zamiar. A może chcesz wiedzieć co ja robię? O człowieku, patrz na owe dzieła, w dwuch woluminach zawarte!... A teraz wstydzę się powiedzieć

co robię: oto jak szatan obłąkiwam młodą 16-letnią panienkę, która już od dwuch dni ma gorączkę z maligną. Otóż to jeszcze dyament do moich wspomnień, braknie tylko, żeby zwaryowała. Bogdaj to zawsze Saksonki po francuzku uczyć! Dobre stworzenia, a ta co teraz w moje szpony popadła urodzona w Bordeaux, ma twarz Hiszpanki i krew hiszpańską i imię amerykańskie które znajdziesz w romansie Coopera: Les Mohicans. Ale dosyć tych bredni. Oto pytałeś się, co tu druk kosztuje? Moje dwa tomiki okrągło kosztują 2000 franków; w pierwszym jest 6, w drugim 7 arkuszy, wyrachujesz więc sobie cenę arkusza. Drukiem tych dzieł strasznie moją kasę nadwyrężyłem, i wdzięczen ci będę, jeżeli uprosisz Toedwena, aby się rozprzedaniem moich egzemplarzy trochę zajął, nie chciałbym bowiem znów mojej matce biednej być ciężarem, a chciałbym drukować Lambra; biedaczek on czeka i wygląda światła. Ale ty, kochany Edwardzie, winszuję ci jak Mickiewiczowi, że w tak pięknej szacie wystrojonych wydawają was w Poznaniu. Mickiewicz na portrecie do bociana podobny. Cieszę się myśląc, że moje błahe wiersze ujdą poznańskich luminarzy uwagi. Dobrze to czasem być i małą. Znam improwizacyę Mickiewicza o pannie Plater. Ale! ale! odebrałem list twój z wierszami Malarza, prawdziwie, że malowniczy jest, ale tyś już o nim pewnie zapomniał. Do poznańskiej edycyi nie zapomnij przesłać ballady o psie czarnym; wymagam jednak i rewindykuję dla siebie wiersz: Czy to pies, ale i pragnę, żeby moje imię w przypisku figurowało. Najlepiej tu żyję ze Skibickim adjutantem generała Paeza w Kolumbii, który (to jest Skibicki a nie Paez) chcąc pomódz Polsce z Ameryki przyjechał i przy wylądowaniu na brzegi Francyi wieść o kapitulacyi Warszawy odebrał.

Mama pisała mi, żeś na jej list ostatni nic nie odpowiedział. Postaraj się o przesłanie portretu, bo

wątpię, aby mnie korzystnie rylcem wystawiono, chyba na grobie moim wyryją pędzel, klapki i lirę. Pamiętaj że to trzeba na grobie wyryć, bo ja, jeżeli moja panienka umrze, myślę sobie w łeb strzelić, jeżeli mi co lepszego do głowy nie przyjdzie. Przeproś pannę Dobrzycką, jeżeli ją napis na książce obrazi, bo prosty i bez tytułów. Przeproś kochanego Toedwena, że go obarczam mojemi książkami. Koniecznie pilnuj, aby ze sprzedanych pierwszych egzemplarzy odebrał pieniądze, które za transport moich wierszy zapłaci, a jeżeliby żadnego nie sprzedał, to napisz a ja pieniądze przyślę. Koniecznie tego od ciebie wymagam, bo on tak delikatny, że z wielką bojaźnią do niego się udaję. Moja imaginacya próżna teraz i uśpiona. Cholera ludzi zabija, może i imaginacyę zabije a może i samego imaginacyjnego człowieka. W takim razie wspomnij czasem o mnie, ale wspomnij czasem i o żyjącym. Adieu. *Juliusz.*

PRZYPISY.

Tadeusz Toedwen, przyjaciel Odyńca, znajomy Słowackiego z czasów warszawskich.

Poeta jeziór — Henryk Werdsworth.

Taglioni, aktorka paryska. Por. Listy do Matki.

Trembecki, poeta polski z czasów Stanisława Augusta.

Gruszka, ironiczne przezwisko króla francuskiego Ludwika Filipa 1830—48.

Gurowski, emigrant, potem się zruszczył.

16-letnia panienka — Kora Pinard. Por. Listy do matki.

Bordeaux (czyt. Bordo) miasto w południowej Francyi.

Dobrzycka, dama dworu drezdeńskiego, znajoma Słowackiego por. Listy do Matki.

LIST DO EUSTACHEGO JANUSZKIEWICZA.

Genewa, dnia 20 lipca 1833 r.

Kochany Eustaszku!

Już też to wieki upłynęły, jak od ciebie nie mam ani słowa. Czy się to godzi? Zapewne teraz zajęty jesteś twoją księgarską entrepryzą — ciekawy jestem, czy na niej utyjesz — czy nam kiedyś bale i wieczorki wyprawiać będziesz, jak to niegdyś mi obiecywałeś... Wielmożny Editeur, Libraire! Kłaniam ci się aż do ziemi, jesteś jedna z muz poetyckich — i wzywam ciebie zaczynając poemat...

Nic tu u nas nowego nie słychać, oprócz kursu historyi polskiej — kurs takowy wykłada pan Thourel — z głowy i z Salvandego i z Ferranda — w historyi starożytnej mnóstwo było pomyłek, niedorzeczności i skaleczonych imion — teraz o podziałach Polski o rozbiorach lepiej prawi... Na biletach, które wchodzący po pięć franków nabywać muszą na zysk Polaków — litografowana jest skała — na skale orzeł — nad orłem chorągiew z Pogonią, nad chorągwią słońce — nad słońcem napis: Cours d'histoire de Pologne improvisé par A. Thourel[1]) — pod orłem na skale napis: Populo Resurgam[2]) — Zdaje się że około 500 franków do kasy emigrantów wpłynie z takowego kursu — nadto cudzoziemcy nauczą się, że Sobieski był największym z królów — że Trepka przez Turków na stosie palony Glińskiego napominał, — że Rosyanie konfederatów barskich w ziemię zakopywali i głowy kosili jak trawę itp.

---

[1]) Czyt. Kur distłar de Poloń ęprowize par A. Turel — kurs Dziejów Polski przez A. Thourela.

[2]) Narodowi zmartwychwstanę.

List twój Mokrzeckiemu posłałem — i od tego czasu nigdzie go nie spotkałem. Grużewski ma się daleko lepiej — i co miano za chorobę piersiową ustąpiło merkuryalnym frykcyom... strzeż się, ty kochanku naszych doktorów, bo prawdziwie że po konowalsku leczą.

Napisz mi, drogi, co zawiera się w pierwszym numerze le Polonais, nic im dotąd nie odpisałem, bo wprzód chcę pismo zobaczyć... Pielgrzym twój 1 nie przedany u mnie leży — proszę cię, abyś mi go na przyszły kwartał zaprenumerował. — Przyślij mi także poezye Stefana Garczyńskiego, bo z dziennika Bibliograficznego dowiedziałem się, że wyszły z druku.

Jak też tam moje interesa książkowe stoją — kasa moja ma się ku schyłkowi i wkrótce do Waszmościny udać się będę musiał — kochany, mój drogi, proszę ciebie, dopomagaj mi, jak możesz, bo prawdziwie, że moja rodzina w dosyć złem położeniu i nie śmiem ją w tym roku na nowe wydatki narażać. Smutno mi czas upływa — jakaś niespokojność ciągle mnie dręczy, bo też tyle jest do niej powodów...

Niedawno przytomny byłem obiorowi króla, zadziwi cię to.. otóż dowiedz się, że to był król strzelców... podobny niegdyś naszemu kurkowemu królowi w Krakowie. Pośród jeziora utkwiono wielki cel z płótna, wystawiający Negra z tarczą — i strzelcy płynąc na czółnach do tej tarczy strzelali. — Obrano najbogatszego, nie zaś najzręczniejszego — obrano brata bankiera Hentscha — ustrojono go w koronę i przeprowadzono po mieście z muzyką, a król za to za kilka dni wyprawia ucztę z muzyką — z fajerwerkiem na jeziorze i tak opłaca swoją godność... a potem — kiedyś będzie z niego nowy Wilhelm Tell — i z głowy sardyńskiego króla zestrzeli jabłko — nie naruszywszy włosów... Otóż to heroizm naszego wieku.

Napisz mnie co wiadomości paryskich — stęskniłem się po nich a jeszcze bardziej po was, ale obaczyć was, nie wiem, czy będę mógł, bo to kosztuje... jeżeli obaczysz Lemaitre'a powiedz mu, że go proszę, aby napisał do mnie, bo mi winien odpowiedź...

Adieu, mój drogi Eustaszku — kochaj mnie trochę, jeżeli możesz — bo prawdziwie że mię wszyscy opuścili...

Adieu! Twój przyjaciel

Juliusz Słowacki.

PRZYPISY.

N. A. de Salvandy: Histoire de Pologne avant et sous le roi Jean Sobieski. 3 tomy, Paris 1829/30.

Ant. Fr. Cl. Ferrand: Histoire de trois démembrements de la Pologne pour faire suite à l'histoire de l'anarchie de Pologne par Rulhière. 3 tomy Paris 1820.

Le Polonais Jornal des intérets de la Pologne, dirigé par un membre de la diète polonaise. Paris 1833/34. Pismo to wychodziło jako miesięcznik pod redakcyą Wład. hr. Platera.

L. Lemaitre jest autorem obszerniejszego artykułu o poezyach Słowackiego, wydanego także w osobnej broszurce p. t. Notice sur les poésies de Jules Słowacki (Extrait de la Revue Européenne de Janv. 1833 Paris 1833.

LIST DO IGNACEGO DOMEYKI.

Szanowny Domeyko!

Odebrałem list twój miły — z listem do Mickiewicza — właśnie w kilka dni po wyjeździe Adama z Genewy. Nie wiedząc gdzie się udał, nie mogłem listu odesłać. Rozpieczętowałem go więc — w bojaźni aby jakiego wekslu nie zawierał — a widząc że nic w nim pieniężnego nie było, list spaliłem. Wierz słowu polskiemu, że go nie przeczytałem.

Miło mi było, żeś mi kilka słów napisał — i dziękuję ci za nie. Odebraliśmy wiadomość o wypadkach, o których wiedzieć musicie — że Garczyński umarł... a Mickiewicz tylko co się nie utopił. — Szczęściem jednak Bóg nam zachował naszego pierwszego poetę. Co do mnie, siedzę spokojnie w Genewie — bawię się z Anglikami — i kwita. Pisano mi z Krzemieńca, że brat Adama wyjechał na profesora do Kijowa — i wyjeżdżając prosił mię, abym o tem Adamowi doniósł — racz mu więc tę wieść zakomunikować.

Żegnam cię kochany Radco — jeśli dotąd piastujesz ten urząd. Żal mi, żem od was wyjechał — i tylu moich kochanych i przychylnych kolegów porzucił.

Wspomnijcie czasem o mnie — a ty drogi! przyjmij moje uściśnienie. Adieu!

Juliusz Słowacki.

Genewa, dnia 15 Oktobra 1833 r.

Chciej oświadczyć moje ukłony wszystkim a szczególnie Goreckiemu, Zalewskiemu (!) Bohdanowi i Witwickiemu.

LIST DO NAKWASKIEJ.

Pani!

Oto wyrysowałem plan najdokładniejszy mieszkania, jakie pani Pattey przeznacza dla emigrantów Wewejskich — mieszkanie to znajduje się na 1-szem piętrze i zdaje mi się, że rozkład bardzo wygodny. — Kominy i piecyki przenośne zabezpieczą Jej dziatki miłe od zimna, a co się tyczy układów z gospodynią domu, ta jest tak godną i uczciwą osobą — że z jej strony żadnych państwo nieprzyjemności mieć nie będziecie. Wszak dla uspokojenia Pani załączony tu przesyłam odpis gospodyni domu na wszelkie punkta i zapytania, które nam Pani raczyłaś nadesłać — ja zaś kończę tu rozprawę o mieszkaniu i pokojach i prosto przechodzę do podziękowania z całego serca i duszy mojej — za prawie pewny już dla mnie paszport — po takim liście bowiem ministra nie spodziewam się, aby nowych nalegań trzeba było używać dla przyśpieszenia egzekucyi (sic) tej obietnicy, którą już raz uczynił. Czekam więc codzień z bijącem sercem faktora, przynoszącego listy do Paquis, i przedsięwziąłem zaraz po odebraniu paszportu ruszyć w drogę. Jeżeliby więc pan Nakwaski miał jakie polecenia do Włoch, niech mi je raczy wcześnie nadesłać, bo nie wiem ani dnia, ani godziny. — Wierzaj mi jednak Pani, że nie bez żalu opuszczę dom, w którym mógłbym szczęśliwe i przyjemne godziny przepędzać w Ich towarzystwie — a z tym paszportem stało się, jak

z wszystkimi oczekiwaniami na tym świecie — przyszedłszy za późno — przyniesie mi tyle smutku ile radości...

Racz Pani przyjąć wyraz głębokiego uszanowania.

Juliusz Słowacki.

PRZYPISY.

Wyjazd do Włoch wzbroniony był emigrantom polskim w roku 1835. Słowacki dlatego starał się o paszport francuzki, który otrzymał ostatecznie. List ten zawiera ślady ówczesnych kłopotów.

LIST J. SŁOWACKIEGO DO LEONARDA CHODŹKI.

Kochany Leonardzie!

Ponieważ jesteś tak łaskaw, że mi pozwalasz znów obciążyć ciebie książkami — posyłam 52 egzemplarze moich poezyi. Nie wiem prawdziwie, jak Ci mam podziękować za tyle przychylności... Wierzaj mi, że dobroć twoją dla mnie czuć umiem i wdzięcznym być za nią.

Do widzenia się!

Juliusz Słowacki.

PRZYPISY

Chodźko Leonard, por. Listy do Matki.



Aleksandra Bécu.

LIST DO ZOFII BALIŃSKIEJ.

Wspomnienie pani o Julku w liście do Hersylki pisanym pełne delikatności i uczucia — nie zastało go ani szczęśliwym ani już zapominającym o przeszłości. — Za kilka dni rozstaję się z Teofilami i wyjeżdżam na Wschód — będę w Grecyi, w Egipcie i w Jerozolimie. — Na grobie Chrystusa będę się modlił, aby odwrócił od pani kielich goryczy — i pocieszył ją — i przyszłość uczynił podobnie cichą i miłą jaką była niegdyś przeszłość w dobrze związanem gronie rodzinnem. — Niech pani wierzy, że w tych modlitwach nie zapomnę o żadnej z osób, które pani są miłe i pocieszają panią w smutkach... Teofilowie może kiedyś powiedzą pani, co się ze mną stało, niespokojność jakaś i tęsknota za niczem pędzą mnie z miejsca na miejsce — i na wszystko, co mnie otacza, patrzę jak człowiek senny nieruchomie i w milczeniu. — Nie tak było dawniej! Hersylka mówiła mi o Julce i Maryni, które teraz muszę panną Julią i panną Maryą nazwać — prosząc abyś je pani pozdrowiła ode mnie. — Żegnam panią, prosząc o kilka jeszcze rzadkich wspomnień.

Juliusz Słowacki.

Neapol 17 sierpnia.

PRZYPISY.

Zofia z Śniadeckich Balińska, młodsza siostra Ludwiki.

Julia Balińska w ostatnich latach życia mieszkała w Warszawie, umarła 1903 roku.

Marya Balińska wyszła za Grabowskiego, obywatela na Litwie.

LISTY DO MICHAŁA WISZNIEWSKIEGO.

1.

Paryż, dnia 6 lutego 1839.

Panie!

Wiedząc, żeś raczył kiedyś zaszczycać przyjaźnią swoją mego wuja Teofila Januszewskiego, z którym niegdyś w Rzymie częstośmy imię twoje wspominali, uprzedzony także od Macdonalda, nauczyciela mego niegdyś, o Pańskiej dobroci, teraz kiedy nowe nieszczęście spotkało rodzinę moją i pozbawiło mię wszelkich zasiłków z domu, śmiem się udać do ciebie, abyś mi jeżeli możesz, w moim autorskim zawodzie dopomógł... Wydrukowałem kilka nowych dziełek poetycznych, które tu daleko od was i zapewne wam dotąd nieeznane, leżą i wzdychają do ojczyzny. Anhelli je prowadzi smutny i z twarzą obróconą na księżyc sybirski, idą za nim inne poemata w czarnych szatach wdowom i płaczkom podobne, a wszystkie wzdrygają się na dotknięcie księgarzy, a wszystkie chciałyby jakiej przyjaznej opieki, którąby natchnąwszy odwagą w świat wypuściła... Nie możnaby to ułożyć je w cedrowe trumny i gdzieś w waszych nieskazitelnych świątyniach umieścić?... czy grobowce waszych kościołów nawet są niespokojne i azyliów prawo utraciły?...

Odbyłem podróż wielką, zwiedziłem Włochy, Grecyę, Egipt i Palestynę, chciałbym także, aby pamiątki moje i wrażenia przyszły do was, chciałbym obrazkami je umilić czytelnikowi, ale wzrastająca coraz obojęt-

tność, z jaką przyjmujecie prace nasze zatrważa mię. Walczę z nią jeszcze trochę, opieram się zniechęceniu, ale jeżeli głód przyciśnie, będę się musiał rzucić w zamęt francuskiej literatury, popsuć mój język rodzinny napływem obcych kształtów, a wtenczas już się nie poważę nigdy psuć polskiej mowy... niemym się stanę dla tej ojczyzny, od której jedynie chciałbym listek lauru otrzymać... Przyszłość jest to dla serca mego okropna... sama myśl o niej powaliła już z nóg moją samotną autorską dumę i proszę was, pomóżcie moim książkom nowym, jeżeli możecie.

O Teofilu i o drugiej jeszcze droższej mi osobie wieść was bliższa już dojść musiała; jeżelibyście co o nich wiedzieli, napiszcie mi... bo mi rozpacz serce rozdziera a niespokojność dawno snu pozbawiła. Rzuciłem Włochy i przeniosłem się do Paryża, sam nie wiem poco i dlaczego. Przywykły do niezależnego życia i do pracy wolnej umysłowej, nie umiem i nie wiem, jak pracy szukać innemi drogami. Przebacz mi drogi Panie, że cię tym smutnym listem nieznajomego nudzę... a jeżeli znajdziesz nieco współczucia dla mnie i łaskawej życzliwości, odpisz mi...

Przyjm wyrazy wysokiego szacunku i poważania.

Sługa
Juliusz Słowacki.

2.

Paryż, dnia 14 maja 1839.
Rue des Piramides 6.

Nie mogę wyrazić, kochany Panie, ile mię list twój uszczęśliwił — nie mówię nic o pieniężnych interesach i kłopotach, którym szczęśliwy przyniósł koniec, ale większem nadto dobrodziejstwem twojem Panie było, żeś mię nieco uspokoił o los matki. Od ośmiu miesięcy trawiłem bezsenne noce, pożerała mię niespokojności

gorączka, teraz dopiero oddycham, ale i to przejście ze stanu udręczenia do spokojności gwałtownie wstrząsło moją nerwową organizacyą... Jeszcze raz, kochany Panie, powtórz mi, że matka moja zdrowa, albowiem w krótkim o niej frazesie listu twego widzę jeszcze coś okropnego dla rozdrażnionej imaginacyi... Teofila los smuci mnie, ale i dla niego życie mojej matki wielce teraz potrzebne... Matka moja biedna jest filarem teraz naszej spokojności. Cobyś o niej szczegółów, kochany Panie, mógł wiedzieć, napisz mi, a więcej ci będę obowiązanym niż za wszelkie przysługi na świecie. Dzięki ci, Panie, żeś utwierdził trochę upadającą już we mnie wiarę w użyteczność prac moich... Od dawna przestaję na małem, a wyrzekłszy się przyjemności memu wiekowi właściwych ze szczupłych funduszów drukuję moje manuskrypta i ze świeżo nawet przysłanych mi pieniędzy już użyłem część na druk nowej tragedyi p. t. Balladyna. W roku tym jest to czwarte wydane przeze mnie poema — nie wiem czy o poprzedzających już wiecie... Mówię o sobie, albowiem żądałeś Panie, literackich wiadomości, a ja pomimo najszczerszej chęci, nie mogę nic wynaleźć, w nowej od trzech lat literaturze coby z wielką pochwałą wspomnianem być mogło... wyłączam tu Irydyona, który znajomym jest Panu. Autor jego jest największym moim przyjacielem, bawiliśmy razem w Rzymie, widzieliśmy się teraz nie dawno jeszcze we Florencyi... kto on taki, zapytać się trzeba innych, którzy tak jak ja do milczenia nie są zobowiązani. Wyszły tu nowe romanse Czajkowskiego Wernyhora i Kirdżali, te znać musicie, albowiem romanse prędzej jeżdżą niż żelaznemi drogami jadące powozy. Tygodnik poznański admiruje autora, radbym wiedzieć, czy wy podzielacie tę extasis.[1]) Bohdan Zaleski napisał sześć tomów religijno-poetycznych,

[1]) Zachwyt.

wszystko to wkrótce zapewne będzie drukowane, ale trzeba, żeby tam w Polsce wkrótce trochę czytać zaczęto... albowiem księgarnia polska straciła kilka tysięcy franków nawet na Tadeuszu!!! Straty podobne zraziły ją i teraz żadnego dzieła wydawać nie chce... zmuszeni są więc autorowie tak i ja biedny, być razem swojemi księgarzami... Jak na tem wychodzą, domyślisz się Panie. Błogosławiona ta, która mnie jak małe dziecko dotąd utrzymuje i od nędzy broni... a na grobie moim będę musiał położyć głupiego Szkota odpowiedź... która na kamieniu moim smutną będzie, to jest... że jestem synem mojej matki. I tak zaprawdę do końca będzie. Do literatury francuzkiej zawsze wstręt miałem, nie myślcie więc, żebym kiedy został renegatem, ale że jeszcze kiedyś księgi jakiego kupca będę utrzymywał albo przepisywać nuty jak Rousseau, albo kule do pistoletów kupował, to być może... Ufam jednak, że mnie Bóg nie opuści... Żegnam cię, łaskawy Panie, jeszcze raz najrzewniejsze ci składając dzięki za list i za przychylność twoją dla mnie.... Chciej wierzyć szacunkowi i przyjaźni mojej.

Juliusz Słowacki.

PRZYPISY.

Michał Wiszniewski (1796—1865) profesor uniwersytetu krakowskiego autor pierwszej „Historyi literatury polskiej“ pozostawał w przyjaźni z rodziną Januszewskich. Z powodu więzienia matki swej i rodziny Słowacki chwilowo znalazł się w niepokoju i niepewności o jutro. Dlatego pisze do Wiszniewskiego.

LIST 2.

Teofila Januszewskiego z żoną wywieziono do Kaługi, pani Bécu zostawała przez kilka miesięcy pod aresztem w Żytomierzu.

W r. 1839 Słowacki wydał oprócz Balladyny: Ojca Zadżumionych, w Szwajcaryi, Wacława.

Michał Czajkowski 1808—1886, autor wielu powieści historycznych niegdyś bardzo poczytny, dzisiaj zapomniany. Za niego wyszła Ludwika Śniadecka. Tygodnik literacki wychodził w Poznaniu od r. 1838—46 pod redakcyą Antoniego Wojskowskiego. Por. List do Wojkowskiego oraz Krytykę krytyki i literatury. Dzieła pośmiertne tom IV.

Księgarnia polska w Paryżu wówczas była własnością Januszkiewicza.

Renegat — człowiek, co wyparł się wiary.

Rousseau (czyt. Ruso) 1712—1788, filozof francuski.

LIST DO HIPOLITA BŁOTNICKIEGO.

Kochany Błotnicki!

Posyłam ci rzeczy przeznaczone przez damy florenckie dla bazaru polskiego w Paryżu, racz je złożyć księżnie Czartoryskiej. Spodziewam się, że się znajdzie regiestrzyk w listach, które ci wczoraj oddałem.

Między rzeczami temi znajduje się tabakierka, mająca inne przeznaczenie niż dywaniki włóczkowe, jest to dar księżny Survilliers dla pana Niemcewicza — zapewne i o tej tabakierce znajdzie się w listach wzmianka, inaczej wypadałoby względem tej tabakierki dokładniejszych zasięgnąć wiadomości, albowiem oddana mi była w chwili wyjazdu mego przez Hermana Potockiego, a choć mówił mi, dla kogo przeznaczona, głowę tak miałem zabałamuconą, że teraz nie jestem pewny, komu ją oddać. Zdaje mi się jednak zawsze, że Niemcewiczowi. Ściskam cię, drogi nauczycielu.

Twój *Juliusz Słowacki.*

N. B. Z donoszeniem o mnie Matce mojej ostrożnie! albowiem lękam się, aby ją gorzej nie skompromitować.

Flor. Niech to będzie świadectwem mojego roztargnienia — zacząłem pisać Florencya, a powinienem (niestety!) Paryż dnia 21 grudnia 1838.

Kiedy książę Czartoryski jedzie do Londynu, donieś mi.

LIST DO WOJKOWSKIEGO.

Szanowny Mości Wojkowski!

Nie wiedząc czyście z wierszy moich jaki zrobili użytek, nie chcąc się z mojemi bazgraninami natrącać, teraz dopiero, ujrzawszy list mój o Egipcie w gazecie porannej z Tygodnika jak sądzę przedrukowany, umyśliłem posłać Tygodnikowi co nowego. Znajdziesz więc, łaskawy Panie, załączony tu wyjątek z romansu, w którym opisać miałem podróż pana Radziwiłła Sierotki do Ziemi świętej i do Egiptu. — Rozdziały, posłane ci, mogą się jak rzecz odrębną czytać, życzyłbym tylko, aby bez przerwy i bez rozkładania na kilka numerów umieszczone być mogły. Proszę także o pododawanie komatów, gdzie potrzeba, albowiem ja na to nie mam cierpliwości dostatecznej.

Proszę łaskawego Pana, ażebyś raczył odwołać ploteczkę małą w Tygodniku uczynioną, jakobym do redakcyi Pszonki należał. A natomiast chciej donieść, jeżeli to kogokolwiek interesować może, że wkrótce wydrukuję tragedyę polską pod tytułem: Mazepa.

Nic więcej mi nie pozostaje, jak polecić się łaskawej pamięci Wiel. Pana Dobrodzieja i zapewnić go o wysokim z mojej strony szacunku.

Juliusz Słowacki.

Paryż 1839 r., dnia 21 listopada.
Rue St. Nicolas nr. 62.

Antoni Wojkowski wydawał w Poznaniu Tygodnik literacki. Słowacki niekiedy umieszczał tam swoje drobne rzeczy.

List o Egipcie — do Aleksandra Hołyńskiego wierszem.

Gazeta Poranna wychodziła w Warszawie od roku 1837—1841.

Pszonka — pismo satyryczne, wychodziło w Strasburgu i w Paryżu 1839—1844.

LIST DO GASZYŃSKIEGO.[1])

(Dokończenie.)

francuska. — Dla twego więc Anhellego najlepsza byłaby droga przez Chopina — do pani Sand — przez panią Sand do Revue des deux mondes.[2]) — Wydrukowany tam, mógłby potem odbity być osobno... Pani Sand zaś możeby sobie to dziełko upodobała, albowiem ona ma nerwy z siedmiu strun złożone. Oddałem list Słowaczyńskiemu, który się także zgadza, iż najlepiej byłoby tentować o umieszczenie tego dziełka w Revue. — Słowem — zobaczymy co dalej czynić... i zajmiemy się oba tą sprawą.

Co do samego dziełka potrzeba:

1. Przedmowy.
2. Not obszernych.

Przedmowę dobrzeby było, jak powiada Słowaczyński, wyrobić u pana Marka Girardin,[3]) który już o północnej literaturze pisał. — Wiesz, drogi mój, że we Francyi wszystko teraz, nawet w świecie literackim, protekcyi wymaga... ja niedawno przyjechawszy do Paryża, nie mam z żadnym literatem związków — jeden jednak o Anhellim artykuł żurnalowy mógłbym otrzymać — albowiem pan H. Latouche[4]) już mi ofiarował w tym względzie swoje usługi.

---

[1]) Początek listu na str. 265. Przez omyłkę nie położono tam całego tekstu.

[2]) Cz. Rewju de de mąd. Przegląd dwóch światów, słynne czasopismo paryskie.

[3]) Cz. Żirardę.

[4]) Cz. Latusz.

Co do not... potrzebaby je tak napisać, aby razem były rozbiorem dzieła. — Anhelli potrzebuje komentarza jak Dante, albowiem pisałem go umyślnie zwięźle i z wielką ekonomią detalów — kto więc nie popracuje imaginacyą własną nad każdym frazesem Anhellego, temu wszystko w nim będzie blade, literatura bowiem teraźniejszą w tem właśnie błędna, że się nad wszystkiem z wielką miłością własną rozwleka — i wszędzie fałszywymi sypie brylantami — ochwaciły się więc imaginacye czytelników — i leniwe są. — Szczegóły, których żądasz do not, są następujące:

Bonawentura Niemojowski umarł w Paryżu dnia 15 czerwca 1835 r. z obłąkania... Choroba ta pierwszy raz objawiła się w nim dziwnym sposobem i melancholią napełnia serce... Oto przyszedł raz do przyjaciela swego, jednego ze starych jenerałów, który się dosyć nędznie z żołdu francuskiego utrzymywał i stanąwszy zamyślony przy kominku z wielką powagą jak zwykle: pożycz mi — rzekł Niemojowski — milion złotych, albowiem już wszystko ułożone, i tylko sumy mi tej potrzeba... Zdziwił się biedny jenerał, że go o taką pożyczkę proszono... ale przypatrzywszy się błękitnym oczom starca poznał, że już w nim harfa myśli jęczała, rwąc się wszystkiemi strunami... Od tego czasu choroba melancholii ciągle gryzła tę wielką i milczącą postać — i nareszcie jak Hamlet powiedział ostatnie: The rest is silence.[1])

Ksiądz w rozdziale VII historyczną jest osobą — imienia jego nie wiem... wielu księży w Łucku wysyłanych było na Sybir podczas naszej rewolucyi, a to podobno dlatego, że w klasztorze znaleziono kije z wbitemi na nie ostrzami dzid. Omdlenie biskupa, a nie wiem, czy to był Cieciszewski, czy jego sufragan, prawdziwe jest... Otyłość nawet księdza i zgroza ludu,

[1]) Cz. De rest iz sajlens — Reszta jest milczenie.

kiedy widział, jak go kat z szat księżych obrywał i w ciasną wpychał siermięgę — prawdziwą jest.

Prorok w kopalni — jest fantastyczną osobą... i nie trzeba z niego zdzierać tajemniczości — może Zan — może książę Jabłonowski — nie wiem.

Co do niewiasty, która z mężem swoim cierpi za serce człowieka, jest to księżna Trubecka. — Ma ona siostrę w Petersburgu... (Podobno grafinię Lieven[1]), do tej listy pisze z kopalni, które cały świat wielki i modny Petersburg (!) czyta ze łzami... W jednym z tych listów pisała, że mężowi swemu co wieczora obmywa nogi skrwawione... ten szczegół dziwnie musiał i okropnie przerazić salonowe towarzystwo.

Biskup w rozdziale XI jest to Krasiński.

Kimbar na Sejmie grodzieńskim powstawszy z ławy krzyknął — Sybir! Sybir! straszą nas Sybirem... niech więc przyjdą, niech nas wiodą w tę krainę... wszak i tam żyją ludzie — zelektryzowany Sejm powstawszy z ław, zawołał: Na Sybir! Idźmy na Sybir...

Co do nocy sybirskich... trzeba zajrzeć do jakiego dzieła astronomicznego... do podróży Pallasa... Nareszcie z przeszłego numeru Revue des deux mondes z artykułu pana Marmier[2]) o Finlandyi — można coś napisać wyjętego o tej górze, skąd o północy widać słońce w dzień letni... Wreszcie Francuzi wiedzą bardzo dobrze o nocach sybirskich — a okropność zostawiona imaginacyi powiększa się.

Trzeba dać notę o Aniołach Piasta Kołodzieja — albowiem wtenczas dopiero przyjście ich do Anhellego stanie się pięknem poetycznie.

Rozdział X jest spoetyzowaniem kłóteń Emigracyi...

---

[1]) Cz. Lifen.

[2]) Cz. Marmie.

O wiadomość Eloi — odeślij do pana Alfreda de Vigny.[1]) Ale powiedz, że Eloe ta może jest pod zasłoną poetyczną — dawną jaką kochanką poety.

Trzy litery ogniste na chorągwi rycerza — wyświęć tylko domysłem swoim — mówiąc że znaczą lud.

Oto więc wszystko, drogi mój, nabazgrałem, co tylko można było nabazgrać — teraz donoszę ci, że się drukuje Balladyna — kochanka moja!... Nie spodziewasz się co to za dzieło... dosyć że jest to osoba, która nas z Zygmuntem Krasińskim zaprzyjaźniła mocno... on ją bowiem polubiwszy mnie polubił — oby mi i ciebie zyskała... Ale nie spodziewam się, bo to jest gorzkie dzieło, a świat w nim przez pryzma przepuszczony i na tysiączne kolory rozbity wymaga, aby się kto w nim szczególnie pokochał... Widzisz kochany Gaszyński — że ja drukuję i drukuję — i nie przestaję drukować... Co z tego na koniec będzie, nie wiem... Życz mi czytelników... i kochaj trochę przyjaznego ci

Julka Słowackiego.

A p r o p o s...[2]) Jest tu Francuz Boyer-Nioche,[3]) który wydał teraz Antologią polską — i który Anhellego zabrał się tłómaczyć... trzeba, abyśmy go uprzedzili, albowiem duda jest.

---

[1]) Cz. Wini.
[2]) Cz. A propo.
[3]) Cz. Blaje-Niosz.

LIST DO GASZYŃSKIEGO.

Paryż, Rue de Piramides nr. 6 dnia 22 maja 1839 r.

Kochany Gaszyński!

Odebrałem twój listek, w którym mi donosisz, żeś przetłómaczył Anhellego. Wdzięczny ci jestem, ale razem niespokojny o los twego tłómaczenia — to jest o jego księgarskie ochrzcenie. — Albowiem wątpię, aby się znalazł jaki księgarz, biorący na siebie wydanie dziełka. — O Księgarni Polskiej ani myśleć. Sparzyła się na tłómaczeniu Kirdżalego, którego się nawet jeden egzemplarz nie sprzedał... a bity na 1500 egzemplarzy!!! Księgarzom nie wmówisz, że to sam Kirdżał temu winien, nie zaś publiczność.

PRZYPISY.

Kirdżali, powieść Michała Czajkowskiego ongi bardzo popularna dziś zapomniana.

Fryderyk Chopin, sławny muzyk polski, pozostawał w blizkich stosunkach z Georges Sand (czyt. Żorż San), sławną powieściopisarką. Por. Listy do Matki.

Andrzej Słowaczyński, geograf polski, pisał różne dzieła polskie i francuskie.

Franciszek Girardin (czyt. Żirardę) 1810—1873, profesor literatury — polityk i historyk.

Henryk de Latouche (czyt. Latusz) 1785—1851, poeta i powieściopisarz.

Bonawentura Niemojewski 1787—1835, parlamentaryusz z czasów Królestwa Kongresowego. Brat jego, sławny Wincenty, ostatni prezes Rządu Narodowego

roku 1831, umarł w drodze do Syberyi w Moskwie roku 1834.

Kacper Cieciszewski 1775—1835, arcybiskup motylewski i metropolita, słynął nauką, wymową i świątobliwością, mieszkał i umarł w Łucku na Wołyniu. Sufraganem jego był biskup Piwnicki.

Trubecka z Lawelów żona księcia Sergieja, 1790 do 1861, zesłanego na Sybir za udział w spisku dekabrystów chcących wymódz konstytucyę czy republikę w Rosyi roku 1825. Zmarła w Irkucku na Sybirze roku 1853..

Adam Stanisław Krasiński, biskup wileński.

Józef Kimbar, poseł na sejm grodzieński r. 1795, opierał się rozbiorowi Polski.

Piotr Pallas 1771—1811, uczony Niemiec w służbie rosyjskiej, napisał: Podróże po różnych prowincyach państwa rosyjskiego (r. 1794).

Ksawery Marmier (czyt. Marmie) 1809—1892, literat i podróżnik napisał między innemi Listy o Rosyi, Finlandyi i Polsce (1843).

Eloe, poemat Alfreda de Vigny (przekład polski w r. 1895). Pod jej postacią Słowacki miał na myśli Ludwikę Śniadecką.

Boyer-Nioche[1]) rozbitek wojsk napoleońskich wydał słabe przekłady: Ody do młodości, II i III część Dziadów, Sonetów itp.

---

[1]) Czyt. Błaje-Niosz.

LISTY DO LEONARDA NIEDŹWIEDZKIEGO.

1

Wtorek — Frankfurt.

Otrzymałem twoje dwa listy — i oba przeniknęły mię radością — gdy pomyślę, że jesteś dyrektorem na moim miejscu, zajmując krzesło senatorskie w Kole, wznoszę głowę wysoko — cóż za osobistością jestem, kiedy potrzeba, aby mię zastąpić człowiekiem ważącym jak ty?! Kilka dni temu pisałem do ciebie a list mój pełen był skarg na stan nieszczęsny, w który sam się dostałem goniąc za tą bańką mydlaną co się zowie miłość. — Męczeństwo moje nie kończy się — jednak postępuję wolnym krokiem i spodziewam się, że uczyni przyzwyczajenie, czego nie mogła dokonać miłość. Wszakże nie żałuję, żem przybył... dni moje przyjemnie mijają... widzę ją, słyszę przyśpieszone bicie serca jej i mojego... twarz jej zabarwia się rumieńcem przypominającym mi przejrzystą jasność jutrzenki w Grecyi — uczę się mówić językiem miłości, żyję — i weselę się... czegoż trzeba jeszcze?

Przedwczoraj czytałem jej moją „Beatrix Cenci“ a wzruszenie elektryczne co nią wstrząsnęło, tylko może się porównać z tem, jakiego doznaje kąpiący trafiony torpedą... Znalazła, że namiętność odmalowałem dobrze; coprawda czytając wydobywałem z siebie odcienia głosu, które rozdrgały wszystkie struny jej duszy... Lecz co ciebie obchodzi miłość i wszystkie jej bajania? Więc wybacz moje listy nie mogące cię zająć... i wspomnij że jestem w mieście, którego opis nie zainteresuje cię bynajmniej. Nie jestem wcale pociągnięty, aby zawrzeć znajomość z literatami tutejszemi... to ludzie wyschli, zużyci i bez siły żywotnej. Wczoraj kiedy mi mówiono o uczonym, bardzo

poważnym, bardzo schorzałym — i bardzo głębokim myślicielu, a ludzie mówiący mi o nim spodziewali się, że cały przeniknę szacunkiem, odpowiedziałem im...

Adieu, kochany przyjacielu, odsyłam ci list Michelsena... jest dobry... Napiszę do ciebie dłużej wkrótce, dzisiaj muszę się ograniczyć na tych kilku słowach, aby nie spóźnić poczty. Adieu więc i kochaj twego *Kochanego.*

2.

Kochany Leonardzie...

Otrzymałem list, w którym mi donosisz, że wysłałeś egzemplarz książki polskiej, i dziwię się, że go nie mam jeszcze, ile że mamy teraz 22 miesiąca a książka musiała być wysłana 18. Może nie wiesz, że druki wysyłane za granicę należy opłacić, inaczej zostawają na poczcie, jak się mówi, cierpiąc podobnie do dusz w czyścu i oczekują aż jaka miłosierna dusza dopomoże im wyjść stamtąd... Hrabina polska, dla której sprowadzam te książki, oczekuje ich z niecierpliwością, a ja chcąc być uprzejmym dla niej niemniej niepokoję się z powodu opóźnienia. Upewnij się więc, mój kochany, czy książki, o których mowa, wysłano z Paryża albo lepiej przyślij mi jeszcze jeden egzemplarz a będzie może szczęśliwszy... Widzę, że Eustachy gniewa się na mnie; ja zupełnie nie jestem zasmucony — lepiej mieć otwartego nieprzyjaciela niż przyjaciela fałszywego i szkodliwego; myślę jednak, że da te 40 fr... mimo milczenia uporczywego, z jakiem przyjął to żądanie.

Nie mówisz mi, czy otrzymujesz regularnie moje listy, już pisałem ci dwa — i obawiam się, czy ich nie zaprzepaszczono... Twoje okropne nazwisko tak trudno pisze się i czyta, że będę może musiał pisać odtąd do ciebie pod kopertą twego przyjaciela Anglika albo tylko P. Leonard po prostu. — Powiem ci nawet, że nie umiem dosyć po polsku, aby zrozumieć twe listy. Uży-

waj więc jakiego języka mniej barbarzyńskiego, angielskiego jeśli chcesz lub Koczynczyńskiego, wszystko mi równo.

Pani moich myśli nie daje mi ani chwili odpoczynku a cisze rzadkie są na morzu, po którem płynę z rozpiętym żaglem... Cierpię i gryzę wędzidło, pieniąc się... Twoja rada ważyć się i wszystko ważyć nie dobra jest; sprobowałem i o mało co nie zginąłem — chwilę dłużej i wszystko by się skończyło dla mnie. Teraz jestem mędrszy i ona też. Niech Bóg nas strzeże i nas ocali!

Są dnie, kiedy jej prawie nie widzę; wtedy gdy jej córka wraca do domu — takie dnie są prawdziwem piekłem dla mnie — muszę je spędzać samotny z mojemi książkami niemieckiemi i moim fortepianem rozstrojonym i małą służącą Niemeczką co się kocha we mnie. Czujesz dobrze, że jestem wściekły i nie ruszam ani książek ani fortepianu ani dziewczynki, ale pogrążam się w moich czarnych myślach jak Korsarz lub Lara.

Dzisiaj w sobotę znajduję się właśnie w położeniu powyżej opisanem — mam jeszcze przepędzić dwanaście godzin, nie wiem jak... Szczęśliwy co może jak ty zostać spokojny i obojętny patrzeć na płynącą wodę i ulitować się nad przyjaciołmi zwaryowanemi. Adieu, kochany... Dziękuję ci po tysiąc i tysiąc razy za wszystkie usługi, które mi oddajesz z tak doskonałą przyjaźnią i proszę cię raz jeszcze, abyś się upewnił na poczcie względem mych druków. Wiem, że opłaca się s o u s za arkusz i że to robią w wielkiem biurze od południa do pierwszej; bez tego pakiety nie odchodzą. Ściskam cię. Twój kochający

22 maja 1841. *Pattey.*

Przysyłając im egzemplarz... urządź się tak, żebyś mi przysłał go w tym samym czasie co list z doniesieniem, abym mógł go reklamować. — Napisz mi co mówią o dziele.

3.

Mój najdroższy Leonardzie!

Nareszcie otrzymałem książkę oczekiwaną z taką niecierpliwością i pośpieszam ci podziękować za nią — jednak nie zamilczając, że liczne błędy drukarskie sprawiają mi pewną przykrość... Jest ich tyle i tyle, że czynią wrażenie pluskiew skaczących po prześcieradle... Zaledwiem otworzył książkę spostrzegłem tysiące i to grubych, upewniam cię... za mym powrotem przedsięwziąłem sobie poprawić egzemplarze ołówkiem, ile że często brak sylab i czasem nawet znaczenie zwrotki cierpi na tem.

Tak w ostatniej zwrotce pieśni drugiej t e ż zamiast ł e z. Tak w ostatniej zwrotce pieśni piątej g m y ł e m zamiast o b m y ł e m. Na tytule M i c h e i s o n zamiast M i c h e l s e n. Nakoniec, mój drogi, obawiam się, aby krytyka nie rzuciła się na mnie i wypłatała mi złego figla kładąc wszystkie te błędy drukarskie na karb autora. Ale ostatecznie rzecz jest zrobioną i jest tylko jeden sposób, jakiego możemy użyć, i to dać rozpłynąć się szybko pierwszemu wydaniu, aby urządzić drugie, którego aby cię ukarać, zrobię cię wydawcą i obarczę samego przedmową, w której będziesz musiał wyznać twój grzech i wziąć odpowiedzialność na siebie. Niech cię to nie zasmuca bardzo, mój drogi, sam przyjmuję tę sprawę z wielką filozofią i nie myślę, aby krytyka była głupia do tego stopnia, żeby się otrzeć o mnie po której jej dałem moją znajomością roboty i psią wściekłością. Zamierzam wkrótce wrócić do Paryża, różne przyczyny mną powodują. Życie, które tu prowadzę, nieznośne jest — jestem sam — dzięki jej — z wnętrznościami rozdartemi przez nią. Niepodobna cierpieć dłużej takiej męki, muszę wyjechać; więc za dni dziesięć najpóźniej — moje mieszkanko jaskółcze mię ujrzy. Oh, ileż rozpaczy w tej myśli!

Widziałem tutaj wiceprezesa naszego koła, przejeżdżał przez Frankfurt w drodze do Poznania, zawsze

wesoły, czerwony i w dobrym bycie; przywiózł mi najpierw nowinę o śmierci naszego dobrego staruszka J. U. Niemcewicza. Invideo[1])! I ja wkrótce się położę jak on — ale bez tego spokoju, który daje życie długie i przepędzone dobrze. Mój testament krótszy będzie jak dobrego starca-poety; westchnienie dla tych co mię kochali, przekleństwo tym co mnie nienawidzili, a moją szlafmycę Witwickiemu: aby sobie nakrył głowę, ile razy włoży na się szlafrok legowany mu przez Mojżesza. Tak ten okropny człowiek przeznaczony jest stać się spadkobiercą poetów. Szkoda tylko, że Niemcewicz nie pomyślał o tem, aby mu zapisać swe nogi, aby mógł iść na pogrzeb.

Jestem bardzo zły za Eustachego, że jego nadzieje małżeńskie były omylone tak okrutnie. Sawantki nigdy nic nie warte; wiem to z doświadczenia. Trzeba, żeby się pocieszył i zapomniał tego roku tak nieszczęśliwego dla siebie — wszystko mu poszło na wspak; tylko Romus mu pozostał i piękne mieszkanie... I to jeszcze dużo dla człowieka, którego bogi opuściły.

Pozdrów ode mnie Błotnickiego i proś go, aby nie sądził tak źle o mnie; jestem dobry na dnie. I moja namiętna swoboda nie powinna mi szkodzić, kiedy pokazuje się w wielkości i zapala mi gwiazdę na czole!

Napisz do mnie raz jeszcze, jeżeli myślisz że list twój może mię dojść przed 8 b. m., jeśli nie, zachowaj mi twoją przyjaźń i oczekuj mię z sercem przyjacielskiem. Potrzebuję go bardzo, bardzo! — Adieu

Twój ukochany.

1 maja 1841.

---

[1]) Zazdroszczę.

PRZYPISY.

Leonard Niedźwiedzki, emigrant, ok. r. 1840 pozostawał z Słowackim w stosunkach przyjacielskich. Kiedy w r. 1841 wyjechał Słowacki do Frankfurtu nad Menem, gdzie przebywała wówczas p. Bobrowa, pisywał do Paryża do Niedźwiedzkiego, któremu między innemi poruczył korektę drukującego się właśnie „Beniowskiego.“ Listów tych było zapewne cztery, ale pierwszy z nich, jeżeli istnieje jeszcze, nie jest ogłoszony. Wszystkie trzy listy przełożyłem z francuskiego.

List 1.

Niedźwiedzki był dobrej tuszy, stąd gra słów: człowiek ważący.

Słowacki kochał się w p. Bobrowej, stąd ciągle o niej w tych listach mowa.

Michelsen księgarz lipski, wziął Beniowskiego w nakład.

List 2.

Eustachy jest Eustachy Januszkiewicz, księgarz polski w Paryżu.

Cochinchina (czyt. Koczynczyna), kraj w Azyi. Cały ten ustęp odnosi się zapewne do niewyraźnego pisma Niedźwiedzkiego lub czegoś podobnego.

Pattey. Ze względów ostrożności Słowacki nie podpisywał się własnem nazwiskiem.

List 3.

Witwicki, poeta romantyczny, przeciwnik Słowackiego a wielbiciel Mickiewicza. Często poeta mówi o nim w Beniowskim.

List ten naprawdę pisany był 1 czerwca.

LISTY DO HR. LUDWIKA PLATERA.

1.

Sądząc, że jako jednemu z członków Towarzystwa Literackiego służy mi prawo petycyi (chociaż mi to inaczej przez jednego z członków wytłómaczonem zostało), odważam się zapytywać JW. Prezesa, czyli wolą jest ogólną i postanowieniem nieodzownem Towarzystwa, aby dzienniki polskie przez Towarzystwo abonowane, przez całe lato w bibliotece publicznej składane nie były; zda mi się bowiem, iż takie wyłączenie pewnej liczby członków, mieszkających w Paryżu, przeciwne jest szlachetnym celom Towarzystwa, któremu JW. W. Prezes z taką powagą przewodniczysz; a pozbawiając nas tu będących wszelkiej komunikacyi z piszącą Polską, uszczerbek przynoszą tym wszystkim, którzy tytułowi członka Towarzystwa Literackiego z całem usiłowaniem odpowiedzieć pragną. Racz Szanowny Prezesie niniejszą prośbę moją przychylnie i łaskawie wziąć pod rozwagę... Ten list albowiem zostawiony bez odpowiedzi, da mi uczuć, iż nadal w obojętnem dla mnie kole zasiadać nie mogę — i przymusi mnie, że się wyrzeknę chwały, która z uczestnictwa w pracach Towarzystwa na mnie spada.

Zostaję z najwyższym szacunkiem i uszanowaniem JW. W. Prezesa

Najniższy sługa *Juliusz Słowacki.*

Paryż, dnia 2 sierpnia 1840. Rue Castellane nr. 11.

2.

Szanowny Prezesie!

Kilka dni przedtem przyszedł do Klubu Polskiego z biura żurnalu Debatów okólnik, zawierający w sobie ostrzeżenie względem opłaty kwartalnej za tenże dziennik. Sądziliśmy, że okólnik takowy do wszystkich rozsyłany, nie dotyka bynajmniej nas, którzy z dawna Dziennik Debatów darmo odbieramy; rzecz się ma inaczej. Od wczorajszego dnia dziennik przychodzić do Klubu przestał, z wielkiem utyskiwaniem niektórych członków i z wielką trwogą dyrekcyi, aby nie była przymuszona budżetu swego nową opłatą ośmdziesięciu franków obciążyć; w tych groźnych okolicznościach udaję się do Szanownego Prezesa, prosząc o rozkazy. Winienem i to dodać, że członek Załuski ofiaruje się sam lub towarzysząc Prezesowi, pójść do dyrekcyi Debatów i za interesem Klubu przemówić, tentując, czy się nie uda przywilej nasz pod prawo przedawnienia podciągnąć. Co do mnie, jako kasyer gotowem płacić.

Racz, Szanowny Prezesie, przyjąć wyraz wysokiego szacunku i poważania.

Życzliwy sługa

Juliusz Słowacki.

Paryż, dnia 2 marca 1841 r.

PRZYPISY.

LIST 1.

Towarzystwo polskie literackie powstało 29 kwietnia 1832. Celem jego było zbierać i ogłaszać materyały dotyczące Polski, głównie ze stanowiska historyczno-politycznego. Z biegiem czasu przeobraziło się na to-

warzystwo historyczno-literackie z celami naukowemi. Z jego łona powstała Biblioteka polska, dziś Stacya naukowa Akademii Umiejętności w Paryżu. — Słowacki należał do towarzystwa od r. 1839.

Ludwik hr. Plater, dygnitarz Królestwa Polskiego, w roku 1831 emigrował, później osiadł w Psarskiem w Wielkopolsce, gdzie umarł.

LIST 2.

Mowa tu o „Towarzystwie Polskiem“ założonem r. 1836 z cechą arystokratyczną.

LISTY DO JOANNY BOBROWEJ.

1

Paryż, Rue Castellane 11, d. 16 czerwca 1841 r.

Pani!

Przebyłem nareszcie mój dzień Donkiszotowski, nogę silnie postawiłem na szali i podniosłem w górę całą zgraję Jezuitów, potem zdjąłem ją i poupadali w błoto, ale w błoto, z którego się już nie wygrzebią tak prędko — niech spoczywają. Gdybym wiedział, że cię, pani, opis dnia tego cokolwiek mógłby zabawić, nie lękałbym się pisać, bo wiem, że pani jesteś szlachetna i nie będziesz wątpiła, że to, co mówię, jest prawdą — staram się nareszcie tak żyć, abym o każdej chwili życia mojego mógł szczerze mówić, a teraz więcej niż kiedykolwiek dbam o to, aby tak było, — i na Boga tak jest! — Zaledwo przyjechałem do Paryża, wrogi moje, wychłostane w pierwszej i w trzeciej pieśni Beniowkiego, wydawcy Młodej Polski, jezuickiego dziennika, a obszerniej biorąc jeszcze rzecz Litwini — postanowili zabić mnie lub upokorzyć; jakoż na drugi dzień zaraz przysłali mi jednego z eleganckiej litewskiej młodzieży, aby mię wyzwał. Ten, z miną bardzo dumną, oddał mi bilecik, który tu w liście pani posyłam, abyś widziała, do jakiej otwartej wściekłości przyszli ci Jezuici, którzy mię dotąd bezimiennie po różnych pismach kąsali. Przeczytawszy bilecik, schowałem go do kieszeni i odpowiedziałem, że papieru wzmiankowanego nawet widzieć nie chcę i będę się strzelał, przyjmując wszystkie warunki, które mi podadzą. Jakoż nazajutrz posłałem do nich mojego sekundanta z poleceniem, aby na wszystkie pojedynkowe punkta, przez nich podane, przystał. — Przez dni pięć czekałem na ostateczną ich

decyzyą; w poniedziałek dopiero pod wieczór o jedenastej dowiedziałem się, że pojedynek ma być nie w St. Germain, ale koło Paryża, na placu, otoczonym pustemi murami, w miejscu zamkniętem; że schodzić się mamy do mety o 20 kroków i strzelać, kiedy się podoba. Dowiedziałem się o tem od mego sekundanta, że mój przeciwnik, ten sam krytyk Balladyny, który podczas improwizacyi mojej omdlał, przywieziony został z St. Germain, gdzie serce swoje u panny Pauliny Platerówny zostawił, przywieziony bez serca, blady, z czerwonemi obłąkanemi oczyma, bardziej do miłości, niż do strzelania się skłonny. Jest to młody, 28-letni chłopak — ładny, lecz chorowitej i nieco nalanej cery, możebyś go pani żałowała. Może byś..... sam nie wiem, ale pani i zawsze pani mieszasz się teraz do wszystkich spraw moich — myśl o pani jest zwierciadłem dla ducha mojego i duch mój musi być takim, aby się w nim zawsze bez wstydu mógł przejrzeć.

Teraz z dziecinnemi szczegółami opiszę pani ranek wtorkowy. Między 9 a dziesiątą godziną miał być pojedynek, aby zaś w razie napadu przez ludzi sądowych można się było od procesu kryminalnego obronić, — pojedynki teraz bowiem są karane we Francyi, i chociaż sąd przysięgłych zwykle przez wzgląd na opinię pojedynkowego zabójstwa, tak jak innych morderstw nie karze, zawsze jednak sześciomiesięczne więzienie i kara pieniężna spada na zabójcę i sekundantów, — dla zapobieżenia więc temu kupiliśmy królika, który miał nam służyć w razie napadu przez policyę za wymówkę... biedny królik! — on był śmieszno-tragiczną stroną naszego pojedynku. We wtorek więc o godzinie 5-tej rano obudziłem się — przysięgam Pani, zupełnie spokojny, — spojrzałem na drzewa, rosnące pod memi oknami, na słońce złote, wypaliłem cygaro, wypiłem szklankę starego wina, zjadłem dwa ciasteczka, i ubrawszy się cały czarno, tak aby żadnego celu na mojej osobie nie było, wyszedłem sam z domu o 7-ej

do ogrodu Luxembourg, gdzie o pół do dziewiątej miał się zejść ze mną Nabielak i zaprowadzić na plac, niedaleko od ogrodu będący. Przechodząc koło kościoła Magdaleny przez targ kwiatów, kupiłem za grosz różę, abym ją przez ten ranek w ręku trzymał i mógł potem zwiędłą posłać — komu? pani to odgadniesz. Idąc dalej, zaszedłem do kościoła Ascension [1]) i tam właśnie trafiłem, że ksiądz, kończący Mszę, żegnał; schyliłem pokornie przed błogosławieństwem głowę — i wyszedłem... W ogrodzie, na który pani patrzałaś, stanąłem znowu, i długo oczy moje zatrzymały się na dwóch dobrze znajomych oknach; ten dom teraz walą; okna były zamknięte, żaluzye pospuszczane — poszedłem dalej. — Pani nie wiesz, co to jest iść samotnie, bez przyjaciela, z różą w ręku, przez cały Paryż, nie pożegnanemu przez nikogo, w tej pewności, że nikt nie drży o życie hazardowane i może nikt żałować nie będzie? — Dobrze jest jednak użyć takiej przechadzki, w sercu siłę dumną i niezłamaną uczuć, nawet zachcenie krwi, w ręce czuć broń, na sobie samym oprzeć się i uśmiechnąć się czując, że dobrą jest podpora. W Luxemburgu o trzy kwadranse na 9-tą ujrzałem zbliżającego się Nabielaka. — Cóż, zapytałem, czy przychodzą?... Tu mi Nabielak donosi, że nowa się rzecz stała: że Ludwik kasztelan Plater — przyjechał z St. Germain za moim przeciwnikiem; że nabożny Cezar Plater mu towarzyszy: że oba są u Ropelewskiego i godzą sprawę; że oba mają natychmiast do mnie w prośby przyjechać. Zawrzała we mnie krew: postrzegłem, że Jezuici mi z rąk uciekają, — przeczułem, że ten bladozielony wróg, któryby pod moim pistoletem omdlał, nie pokaże mi się na celu u już zapalonego krwią oka mojego: spokojnie jednak rzekłem do Nabielaka, że jestem na placu boju i nie ulegnę. Nabielak prosił mię tylko o grzeczne z kasztelanem obejście się i o krew

[1]) Czyt. Asansią.

zimną; wkrótce zjawili się pacyfikatorowie. Kasztelan wziął mię pod rękę, Cezar wziął pod rękę sekundanta mojego i tak w głębokiem milczeniu szliśmy przez ogrodową aleję. Nareszcie kasztelan zaczął lisią przemowę, przeciwnika mego oskarżył o nierozwagę dziecinną, mnie i moje postępowanie zaczął wynosić pod niebiosa, skończył pokorną, ale bardzo podstępną prośbą, abym go u p o w a ż n i ł do medyacyi... Tu odbiegła mnie już zupełnie rozwaga. — Nie upoważniam Panów do żadnej medyacyi, — krzyknąłem — jestem na placu boju; jeżeli przeciwnik, który mnie wyzwał, odstępuje od pojedynku, to ja go przymusić do bicia się nie mogę, ale nie pozwolę na to, aby mnie każdy błazen wyzywał, zwlekał od dnia do dnia i na plac mnie wyprowadzał napróżno. — Tu obróciwszy się do Nabielaka, — Panie Nabielak — rzekłem, — proszę, aby mi wyznaczona była dziś, albo jutro, godzina pojedynku; ja na nią stanę i będę czekał. — Widząc Nabielak, że coraz bardziej w gniew wpadam, wydał nareszcie całą tajemnicę. — Z kimże ty się bić chcesz, rzekł do mnie, chyba z wiatrem; oni się już cofnęli. — Czy tak? — zapytałem kasztelana, — czy się już cofnęli? — A tak, już się cofnęli; — rzekł kasztelan z miną pokorną, spodziewał się albowiem, że jeszcze nie mówiąc mi nic o tem, dla Pana Ropelewskiego wyrobi, że mu dam jaką słowną przynajmniej ekskuzę; lecz obaczywszy we mnie wściekłość tygrysią, on i Cezar Plater zadrżeli o swoją bladą i drżącą lalkę — i prosto mi ją z pod pistoletu uchylili... Wtenczas poznałem co to są za wrogi, ci przyjaciele, którzy więcej dbają o życie, niż o honor człowieka — tryumfowałem! — Chciał mnie jeszcze kasztelan Plater wmówić, że o tak zakończonym pojedynku pod słowem honoru milczeć należy. Na to mu rzekłem prosto, że słowa honoru na to nie dam, bo do kilku osób o pojedynku już pisałem, więc gdybym dalej milczał i te same osoby strzałów pistoletowych nie słyszały, mogłyby myśleć, żem się ja upokorzył

i dał jaką wymówkę słowną lub na piśmie — będę więc mówił i pisał o pojedynku, jak mi się podoba. Kasztelan i to przyjął — i tylko obróciwszy się do Nabielaka i wzniósłszy oczy do nieba, zawołał litośnie: Jak on mnie traktuje! — Tu jeszcze nowa przeprawa: Cezar Plater zaprasza na śniadanie, chce koniecznie, abym się tego dnia z moim przeciwnikiem widział, zgodził się i kochał. Na to mu odpowiedziałem, że kochać można tylko człowieka, którego się szacuje, a ja dla pana Ropelewskiego jeszcze szacunku mieć nie mogę; że będę z nim grzecznie i nie dam mu uczuć wzgardy, ani go poniżę w towarzystwie, ale z kochaniem wstrzymam się, aż pan Ropelewski co dobrego zrobi. Od śniadania wyrywałem się, lecz Nabielak, który miał, jako sekundant, prawo rozporządzać moim czasem i rozkazywać mi, zawiódł mnie koniecznie do Cezarego Platera i tam z moim przeciwnikiem widziałem się. Plater Ludwik miał przemowę, w której dowodził, że do pojedynku racyi nie było, że to swoje przekonanie wpoił w serce p. Ropelewskiego, że pan Ropelewski wzruszył się i dał się nakłonić do cofnięcia wyzwania swego. Po której to mowie p. Ropelewski podał mi rękę, ja mu podałem moją, mówiąc mu zimno: Zapomnijmy o tem, ale jeżeli mamy zapomnieć, to zapomnijmy na zawsze. — Na te słowa, choć nie bardzo czułe, p. Ropelewski rozpłakał się, potem dano śniadanie, na którem jeden tylko z sekundantów pana Ropelewskiego był przytomny, drugi przez wstyd został w domu i teraz z wroga stał się moim, to jest mojego tryumfu, rozgłosicielem. Stało się tak, że klub się cały o pojedynku rano dowiedział, wieczorem przyjęli mnie więc wszyscy po bratersku i we wszystkich oczach widziałem błyszczącą przychylność, wszyscy o poemat się dobijają, wszyscy chcą czytać strofę, którą ja krwią moją pieczętować byłem gotowy, wszyscy się dziwią, że widząc mię przez pięć dni przed moim pojedynkiem, nigdy żadnej zmiany we mnie, nigdy żadnego cienia na czole nie spostrzegli;

ten mi przypomniał, że mię w poniedziałek wieczór o jakąś książkę prosił, a ja mu ją dać we wtorek obiecałem, drugi, że mi jakąś sztuczkę teatralną chwalił i we wtorek na teatr iść ze mną proponował, — słowem, wszystko się do mnie nawraca. Jeden z moich przyjaciół mówił mi, że mię postanowił był sposobem Ganala na wieki balsamować i włożywszy mi szklane oczy, w trumnie ołowianej złożyć, abym tak kiedyś do Polski cały i z otwartemi oczyma powrócił. Uściskałem go za to mocno, mocno, bo te oczy jeszczeby i na panią spojrzały z trumny ołowianej i możebyś przypomniała pani, żeś je często łzami zlane widziała... A teraz, choć się tak stało i ludzie mówią, że dobrze się stało, wolałbym był, przysięgam pani na tego Boga, który wczoraj do mnie przybliżył swoje łono i gotów był mnie wziąć w objęcia swoje, jak dziecko skrwawione, przysięgam, że wolałbym wroga mojego mieć przede mną i tam go nauczyć co to jest igrać z życiem człowieka temu, który nie gotów jest swoje zupełnie odważyć; ale i tak, nauka jest dana, a kara jego może jest gorszą, niż śmierć. Wrócił do St. Germain; panna Paulina mu dziś poda herbatę.

Ja samotny jestem, jak zawsze. Róży pani posłać nie mogę, bo w ogniu nie była. Jeżeli pani chcesz mieć o Aleksandrze Potockim albo o panu Coudère[1]) nowiny, to proszę mnie o nie poprosić, inaczej będę milczał, jak gdyby mnie w pojedynku zabito. *Jul.*

Przyjaciel, który mnie chciał balsamować, jest to ten sam, który do mnie do Frankfurtu pisywał.

2

Około godziny czwartej szedłem do pani w dwoistym zamiarze, naprzód — aby powinszować pannie Zosience, której patronka Zofia z trzema córkami stoi w polskim kalendarzu; a ponieważ i w niebie agitować

[1]) Czyt. Kuder.

się musi kwestya o niebieskiej słodyczy, kiedy na ziemi agituje się kwestya cukru, chciałem to z mojem miłem dzieciątkiem przemienić w kwestyę cukierków. Tak idąc, spotkałem pani służącą, która mi powiedziała, że pani pojechałaś tam, gdzie się woda leje. Wyrażenie tak było materyalne, że zrazu pewny byłem, żeś pani pojechała do pompy Grenille,[1]) czyli studni Artezyjskiej, i zdziwiony, chciałem jej czekać aż do obiadu, lecz powiedziała mi służebna, że obiad gdzieindziej jest obstalowany; wtenczas obróciłem kroki moje do domu i w tym to odwrocie przyszła mi nagle idea jasna, że wody się dziś leją w St. Cloud,[2]) że pani musisz być w St. Cloud z panią Audlej, z panem Audlej, z doktorem Dagobertem, z Manem i z połową Paryża, jeżeli nie z czem więcej... I dobrze się stało, że się tak stało. . bo to, co byłbym powiedział ustnie, powiem na piśmie. Oto żegnam panią! — Nic w mojem sercu niema, coby się mogło przydać pani, owszem, wszystko może odwiodłoby ją od egoizmu, od szczęścia... Jam ciągnął za panią dawny jęk przeszłości, ze mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienie, boleść dawna. — A ilem ja osobiście, jako środkowy kamień, cierpiał, tego trudno zliczyć i tej nuty może nigdy pani między różnemi tonami wspomnień nie znajdziesz. Lepiej więc, że się rozstaniemy, że ja zniknę, jak gdybym nigdy nie egzystował, nigdy nie żył. Wszystko zniknie! i wszystko się znajdzie w łonie Bożem, ale biada ludziom, co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów. Znikajmy więc, abyśmy się odnaleźli... Na ostatnią pamiątkę zaimprowizuję pani, jak gdybym żył jeszcze.

O! gdybym ja wiódł panią do kaskady!
To tak, jak ludzie przyjaciołom wierni,
Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci blady
Wśród leszczyn w Gisbach, a wśród laurów w Terni.

---

[1]) Czyt. Grenij.
[2]) Czyt. Sę-Klu.

Dzikiebym zrywał na murawie kwiaty,
A pani w skałach siadłabyś myśląca,
Jak Anioł, skrzydłem kaskady skrzydlaty,
Czekając z nad skał śpiewu — i miesiąca.

Gdybym ja panią do kaskady woził,
Możebym wieczną tam zatrzymał siłą —
Śpiewem skamienił i lodem zamroził
I kazał tęczom świecić nad mogiłą.

Dzisiaj siedzącej przed kaskadą w koczu
Sumienie pani powie samo głuche...
Że niegdyś łzy się tak sączyły z oczu!
A dzisiaj! oczy patrzą — takie suche.

Czyś tem przeklęta, czy błogosławiona,
Że serce zimne — oczy łez nie leją?
Powie ci kiedyś mogił druga strona,
Gdzie serca pękną, albo się rozgrzeją.

Co do mnie — wiem ja, jak to praca pusta
Serce kobiece na czas przeanielić! —
Dla tego odtąd — wiecznie zamknę usta,
I wolę nie być z panią — niż zgon dzielić.

Gdybym był duchem Wersalskiej natury,
A taką ciebie między tłumem zoczył,
Zleciałbym na cię jak kaskada z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył.

O! dosyć już, trzeba się rozstać — bez groźby — ze smutną cichością odchodzącego człowieka... Żegnaj mi pani — do jaśniejszych i wyświetlonych czasów. Lolly i Zosieńka, niech będą zdrowe.

Juliusz.

Dnia 4 maja (1842).
Paryż.

3

Sama myśl, że pani byłaś wczoraj w Wersalu, napełniła mnie nadzwyczajną trwogą. Patrzałem dziś

z niespokojnością na okna jej, zakryte firankami, byłem nawet u portyera, abym się dowiedział, czyś pani wróciła do domu szczęśliwie, wszystko to jednak nie jest mi dostatecznem. Przypominając więc sobie, że niegdyś w domu pani nie byłem zupełnie obcy, upraszam o kilka słów zaspakajających i te mi wystarczą i pomnożą liczbę szanowanych drogo pamiątek, które winienem pani dobremu sercu i szlachetności.

Paryż—Poniedziałek. *Jul. Słowacki.*

4

Wczoraj, po odebraniu listu pani, udałem się do panny Gedge [1]), którą natychmiast rezonowaniem zdobyłem — i jako rzecz zdobytą w poniedziałek wysyłam... Przypomnij sobie pani Donkiszota, który, uwolniwszy z kajdan krutów, każe im iść do Toboso i skruszone kajdany złożyć u stóp swojej królowej. Tak właśnie uwolniona od przestrachów panna Gedge, pokonana moją wymową, w piątek przyszły pokaże się przed tronem pani i powie jej, że ja zawsze sługą jestem gotowym na wszelkie rozkazy. A że w piątek panna Gedge będzie we Frankfurcie, o tem wątpić nie należy, albowiem obstalowane już ma miejsce na poniedziałek w dyliżansie i paszport już posłany do podpisów. Niechże więc pani raczy wysłać kogo do biura dyliżansowego, aby na pannę Gedge w godzinę jej przyjazdu czatował i uwolnił ją od błąkania się po oberżach; racz także na wszelki przypadek napisać do niej mały bilecik, z wymienieniem swego adresu i ten bilecik niech na nią w biurze Frankfurckiem poste restante czeka. Co do warunków z nią pieniężnych, są takie, jakie pani sama podałaś... Przyrzekłem jej tylko, że koszt podróży zwrócony jej będzie, zda mi się, że tak słuszność nakazuje, wydatek

[1]) Czyt. Dżedż.

ten nie będzie wielki. O innych drobiazgach zupełnie mnie nie zaczepiała. Wszystko to przekonało mnie, że wyglądam na bardzo poczciwego człowieka, albowiem, nie mając w ręku żadnego dokumentu, nie mogąc nawet pokazać listu pani dla żartobliwego tonu, który w nim panuje, pokazałem się sam tylko i zupełne zyskałem zaufanie... Teraz więc, gdyby mi się zachciało pannę Gedge wyprawić do wysp Kanaryjskich, albo do Australii, mógłbym to uczynić i udałoby mi się niezawodnie. Ale cóż mi z tego, że panna Gedge będzie się po morzach błąkała?... Zdaje mi się, że jest to osoba dobrego serca i wielkiej prostoty; ubiór jej granatowy przypomina mi greckie czernice, czyli mniszki, nie chciałbym jednak być kleftem na tej samej górze, gdzie klasztor, napełniony takiemi czernicami, girlandą okien księżycowych pomiędzy cyprysami błyszczy. Lecz ponieważ tu nie idzie o klefta, ani o poezyę, ale o panią i jej codzienne życie, sądzę, że panna Gedge będzie prawdziwie na swojem miejscu. Podoba mi się zupełne dziecinne prawie zaufanie, z którem do Frankfurtu wyjeżdża; żadnych ode mnie nie żądała zapewnień, ani przyrzeczeń, wzruszony więc, przyrzekłem sam, nieproszony i nieupoważniony, że w pani znajdzie trochę niespokojnego ale pięknego anioła, w pannie Zofinetce zupełnego aniołeczka, a w pannie Lolly model najpiękniejszej anielskiej cierpliwości i posłuszeństwa, najcichszą i najbielszą z liliów (!), które nad Menem rozkwitają. To ostatnie zapewnienie mówiłem nieco niepewnym głosem i ze spuszczonemi oczyma.

Okna pani nadzwyczaj są smutne i puste, trotoar pod kościołem z asfaltu płonie pod mojemi stopy, jak podłoga piekielna. Kolumny kościoła spoglądają na mnie litośnie, a św. Magdalena, stojąca na frontonie, już zda się płakać nie swoich, ale moich grzechów. Bo zaprawdę grzeszny jestem i pokutujący. Pana Berdona nie spotkałem jeszcze na widnokręgu ziemskim

i myślę pójść na Morgue,[1]) czy tam na płycie kamiennym (!) ten biedny nie leży. Olizar pewnie żyje, wiem że żyje, alem go także dotąd nie widział. Potocki jeszcze się nie ukazał, słowem, został się tylko po pani świat ducha, w którym teraz żyję, nie trącając o nic żywego, a jednak ciągle trącany przez coś, jak gdybym chodził po grzbiecie torped elektrycznych. Spodziewam się jednak, że to minie.

Kończę ten list, albowiem już godzina nadejścia poczty zbliża się, a chciałbym, ażebyś pani jak najprędzej o wypełnieniu przeze mnie rozkazów swoich i o przyjeździe blizkim panny Gedge była uwiadomioną... Spodziewam się, że mi pani raczysz donieść, czy wysłana przeze mnie osoba rąk jej dojdzie.

Zda mi się, że nic więcej nie zostało.

Żegnam panią.

Paryż, d. 3 czerwca 1842 r. *Jul.*

Rue de la ville l'Evêque 10 (bis).

5

Paryż d. 9 czerwca 1842 r.

Nazajutrz po wyjeździe panny Gedge, oddano mi list do niej z Frankfurtu. Lękając się, aby nie był przeciwny moim instrukcyom, otworzyłem go i znalazłem dyplomatyczną missywę, przez pannę Lolly redagowaną, prawdziwie krótko i węzłowato. Dziwny wiek! istoty, które do róż są podobne, podobne są także do ministrów spraw zagranicznych. I to dzieje się całemi familiami! Szczęściem, że w tym listku, który z pracowni domu pani wyszedł, oprócz mego nazwiska z pomyłką jednej litery napisanego, nic więcej nie znalazłem, coby mnie zadrasnąć albo upiec mogło. Suche listki harmonizują się doskonale z tą kanikułą

[1]) Czyt. Morg'.

skwaru i pyłu i rozpalonego asfaltu, po którym chodzę z sercem podobnem do zamkniętej ostrygi albo do muszli perłowej bez żadnego już wewnątrz ślimaka.

Na Boga! rzuć pani błękitnemi oczyma w stronę Paryża, niech mi tu od tego spojrzenia błyśnie i rozwidni się na chwilę ciemne powietrze! Połowę tego światełka i tej błyskawicy oddam, jak zwierciadło wierne, Aleksandrowi Potockiemu, który właśnie wczora przyjechał z Rzymu i błąka się tak błędnie, że ja, także błąkający się cień, dotąd go jeszcze napotkać nie mogłem. Słyszałem jednak, że jedzie do Frankfurtu, i tę wieść, choć nie pewną, pani donoszę. Chciałbym się z nim zamieniać, nie wiem, czy na ciało, czy na duszę, czy na te buty siedmiomilowe, które go ciągle przenoszą z miejsca na miejsce i po błękitnem morzu pozwalają mu chodzić suchą nogą, — czy na ten płaszcz krągły i krótki, który w moich oczach stał się tak cudownym, jak płaszcz Szecherezady, który człowieka czynił niewidzialnym, czy na ten choćby worek napełniony wiktuałami i sympatycznemi zioły, co mu jedna serca i zdobywa win przebaczenie. Proteuszowska jego natura wzbudza we mnie zazdrosne uwielbienie, zaprzęgam się do wozu tego bóstwa ekscentryczności z większym zapałem, niż student niemiecki berliński, idący na orczyku, przy Liszta[1]) rydwanie. Gdybym tego nie uczynił, smutek i nuda zjadłyby mnie do szczętu.

O! pani, która teraz nic nie robisz na świecie, gdybyś pani wiedziała, jak to jest boską i odpłacającą się pracą, podnieść z ziemi czoło w prochu już leżącego człowieka? Gdybyś pani wiedziała, jak oddalenie upięknia każdy ton głosu, jeżeli ten jest bez szyderstwa, a prawdziwie smętny i serdeczny — i z daleka budzić przychodzi; gdybyś pani wiedziała, jak mi tu słychać każdy szept w jej domu; każdy szelest sukni,

[1]) Czyt. Lista.

jak echo każdego jej kroku dochodzi do mnie uroczyste pod tą kopułą świątyni zrujnowanej, pod którą teraz siedzę. Gdybyś pani chciała religijnie być trochę dobrą i litośną? — jak święta, a jak łatwa byłaby ta praca.

Ostatnia to moja skarga, bo mi już wszystkie inne nie pomogły, ostatnia i wiem, że próżna. A jednak czuję, że sam winien jestem, że była we mnie jakaś siła nieużyta, jakieś wojsko duchów nie wyprowadzone do walki, jakiś grom piorunowy, który leżał w sercu spokojnie, jakaś głąb nie odkryta, coś takiego, co musiałoby pokonać a czego się ja sam lękałem wyprowadzić na jaw — i część zimna, marmurowa, mojej natury zwyciężyła.

Teraz już to wszystko jest za granicami władzy mojej i świata mojego i coraz się bardziej ode mnie oddala. Ileż razy, jeszcze tej zimy, te wszystkie moce burzyły się we mnie i chciały wybuchnąć; teraz wieczny odpoczynek sercu mojemu i niech światło wiekuiste świeci mu — i na ten cień cyprysowy, gdzie ono leży, spojrz czasem pani z uśmiechem, bo prawdziwie, że w tym cieniu unoszą się główki aniołeczków, różom podobne, na gołębich skrzydełkach i śpiewają mi także pieśni jak gdyby się moje lata dziecinne budziły i znów przechodzić miały... I powróciłem ze skał Manfredowych do łąk, gdzie słychać świegotanie jaskółek...

A teraz nagle odwracam się — i spostrzegam list do panny Gedge, który klnę, bo jest przyczyną tej całej gawędy o niebieskich migdałach. Przepraszam więc panią i żegnam.

Jul.

6

Pozawczoraj odebrałem list krótki, ale mężny i hartowny od Zygmunta; z listu tego dowiaduję się,



Dr. Józef Mianowski.



że jest teraz w Kissingen... mocno dosyć chory, ale umysłowie zajęty apokalipsą przyszłości, ideą, która tu już stworzyła piorunowy obłok nad błękitnem niebem paryskiem, która ma kapłana, sługi, proroctwa straszliwie spełniające się już teraz i straszliwiej jeszcze grożące przyszłości. Jemu więc w Kissingen, a mnie na asfalcie paryskim straszno i czarno. Świat zdaje się budzić, a my oba zmęczeni, stargani, na pół senni nie możemy się podnieść zupełnie, ani odrzucić przeszłej połowy nas samych.

...A gdybyśmy ją nawet odrzucili, to jeszcze straszniej i ciemniej będzie nam w oczach serca naszego, żal przeszłości, niemoc zupełna we władzach passyonowanych, serca podobne do czerepów zbitej porcelany saskiej, z kwiatkami tęczowymi i pozłotą, ale już nie podobne czarom całym i urnom, w które kwiaty wkładają. O! tak jest ze mną... może mniej gorzej z nim, ale pewna jest, że oba cierpimy. Jeśli więc pani piszesz do którego z nas, proszę i zaklinam, nie udawaj wesołości, ani cukruj słów swoich, ani mi odmawiaj tego szczęścia, abym jej prawdziwe i szczere serce mógł widzieć w każdem słowie; za jaką szczerość ja odpłacę każdą cząstką i całem sercem mojem, które jest ludzkie, ale nie serce arlekina światowego, które nie igra z nikim i z niczem i nie chce, aby z niem igrano. Tem sercem, które się tak teraz broni, piszę ten list i nie używam już bynajmniej strudzonej i biednej głowy mojej, owszem przeklinam ją, bo mi dotąd nic nie zdobyła oprócz pół urągającego pani uśmiechu i politowania. Niech więc to, co było zapisane, zostanie w powietrznych kartach księgi przeszłości, a teraz uważaj mnie pani za wiernego sługę, za dobrze nastrojoną harfę, z której ile razy zechcesz pani prawdziwy ton wyciągnąć, da Ci go, ile razy fałszu szukać będziesz, fałsz będzie winą pani — i głos wydobyty ze mnie, nie pocieszy jej. Nie uśmiechaj się pani! ten list, który trzymasz w ręku, zaczarowany

jest wolą moją, czuciem mojem, prawdą moją — zaklęty jest, ma moc i władzę uzdrawiania nawet serca. Serce moje jest jak źródło Syloe na dolinie Józafata, co trzy dni tylko wytryska; trzy dni, przez które nie było w niem wody, były okropne i długie; uczucia szczere nauczyły się jak jaskółki, odlatywać gdzieindziej po wodę... drzewa nade mną uschły, a tę martwość około mnie czułaś pani przeczuciem, a ja przez cały czas czułem także, że serce pani lękało się i cofało się ode mnie z przestrachem... Teraz ta tortura moja skończona, bo zmartwychwstałem... Teraz wiedz pani, że ją kocham jako pięknego ducha, który cierpi; co będzie we mnie mocy wskrzeszania, wydobędę z siebie, aby duchowi temu lżej było — i szerzej, i szczęśliwiej. — Widzę stąd, że pani zadziwiona ten list czytasz, znajdując w nim ton różny od zwyczajnego; wolę więc przestać, a może jaki anioł dośpiewa reszty w sercu pani, prowadząc ją za rękę par les jolis sentiers qui invitent à la promenade[1]) — oddaj się pani temu aniołowi zamyślenia, i tym ścieżkom ociemnionym; niech tam nie zalatuje niemiecka muzyka, ani zapach cygarów — niech powietrze będzie czyste i kryształowe, a konwalie pachną tak jak nam pachniały w dzieciństwie.

Dosyć — dosyć już — tak dalej pisać nie mogę. Panienki by się śmiały ze mnie. Panna Gedge by mnie nie poznała. Panna Gedge, która z taką dobrocią wspomina o mnie, choć się nasza znajomość wojną zaczęła wojną kocią. Byłbym natychmiast odpisał na jej list, pieczętowany sentymentalną niezabudką i czarnym lakiem, ale nie wiedziałem, gdzie mam odpis zaadresować: teraz osobnego listu pisać nie jestem w stanie... dunque: Pray to tell Miss Gedge I am greatly indebted for the letter she deigned to write to me, and that, in the first very busy and distracting

[1]) Pięknemi ścieżkami zapraszającemi na przechadzkę.

moments of her stay in Frankfurt. So great a proof of her remembrance powerfully shakes the botanical theory I had been forming of the longevity of a little flower called f o r g e t m e n o t which grows particularly in Germany, and is not, I think, very much employed in the garlands adorning the heads of my mother country, where a full blown rose or a white lilly is preferred to the sentimental Ophelia's wreaths. And when I think my theory being undermined by one who some days before addressed me with the very words of Shakespeare saying I was a c a t t o h e r in the very moment I had been endeavouring to play a part of a trusty dog and to serve her with the utmost of my serviceable powers I feel completely palled and know not how to reconcile the two extremes, that of her past hatred with her present graciousness. I conclude with asking her to forgive the joking tone of the lines, and to be assured, I will for ever be honoured and happy to occupy a plan in the rear of a long list of her most constant and most willing friends and servants. [1])

Przepraszam panią za ten rozszerzony pomimo woli mojej przypisek, ale nie wiedziałem jak zawrócić — bez upadnienia do nóg — skończy się jednak na tem, że muszę upaść do nóg... ale pani... i tak pożegnać ją.

Jul.

Paryż,
Rue de la ville l'Evêque N. 10 (bis)
dnia 15 lipca 1842 r.

[1]) Proszę powiedzieć pannie Gedge, że jestem bardzo wdzięczny za list, który raczyła do mnie napisać i to podczas pierwszych chwil zajętego i rozrywanego pobytu we Frankfurcie. Tak wielki dowód Jej pamięci silnie wstrząsa teoryą botaniczną, którą utworzyłem sobie o długowieczności małego kwiatka, zwanego *niezapominajką*, który często rośnie w Niemczech i zdaje mi się, nie bardzo często bywa używany do wieńców, ubierających głowy dziewic, z wyjątkiem prawdziwych Niemek, nawet w mojej ojczyźnie, gdzie wolą rozkwitłą różę

7

Paryż, d. 6 czerwca 1844. Ponthieu 30.

W Dreźnie, niedaleko kościółka Panny Maryi, blizko także Grüne Gewölbe i od Elby nie bardzo odległe, zostawiłem ja część mego tchnienia, — tchnienie to nie tak święte jak powietrze kościoła i nie tak tęczowe jak emaliowane złotem kruże i urny, w skarbcu saskim stojące, i nie tak spokojne jak Elba, a jednak coś z tego wszystkiego w sobie mające, zmieniło się w jednego z tych duchów familijnych, które za panią chodziły i latały, rozwiewając włosy i szepcąc dawne wspomnienia. — Pani temu może nie uwierzysz, ale ja mocno przekonany jestem, że Skierce winienem drogie dla mnie wspomnienie pani, — z drugiej zaś strony winienem je tu będącemu we mnie duchowi, sercu, które tęskni, myśli tej, która ściga za panią, oczom moim, które dziś jeszcze patrzały przy blasku brylantowym rannego słońca na zamknięte głucho okna dwóch domów Elizejskich. Pomimo wymówek w liście pani czuć w nim, że pani wierzysz w słonecznikową pamięć serca mojego, i dla tego ten list jest mi darem nad wszystkie dary, głosem nad wszystkie harmonie (nawet Liszta), słowem, prawdziwem mi jest szlachetnem dawno-polskiem udarowaniem. Ludzie świata zbliżają się teraz do kobiet jak drewniane figurki, ubrawszy się zupełnie w fajerwerki; oko pierwszej kobiety, czy czarne, czy błękitne,

---

albo białą lilię, niż sentymentalne wieńce Ofelii. Na samą myśl, że moja teorya została obalona przez osobę, która kilka dni temu mnie zainterpelowała słowami Shakespeara, mówiąc, że byłem kotem dla niej, kiedy starałem się odegrać rolę wiernego psa i usłużyć jej z najzupełniejszem poświęceniem. Jestem zakłopotany i nie wiem, jak pogodzić te ostateczności — jej przeszłą nienawiść z jej teraźniejszą uprzejmością. Kończę, prosząc, żeby wybaczyła żartobliwy ton tych kilku wierszy i chcę ją zapewnić, że będę zawsze szczęśliwy zająć miejsce, choćby ostatnie, na długiej liście jej najwierniejszych i najpowolniejszych przyjaciół i sług.

zapala odrazu te wszystkie młynki, sypiące skrami tęczowemi dowcipu, kręcące się na piersiach po szalonemu... znajdzie się czasami i słońce fajerwerkowe, palące się na czole u takiego człowieka, — a panie zaraz krzyczycie, że to wulkan, że to człowiek z gwiazd, że to istota, która przez całe życie będzie się różnokolorowym ogniem paliła. Jeżeli w Dreźnie spotkasz pani takie widmo, sprobuj go i każ mu pierwej skoczyć do Elby, nim w nieśmiertelność tych ogni uwierzysz; jeżeli z Elby wyjdzie równie jasny, to wtenczas możesz go pani użyć za latarnię. Ale dla czegoż ja pani daję tę przestrogę? pani, która już o tem przede mną wiedziałaś. Wszakże mnie samego przeprowadziłaś pani przez podwodne otchłanie, zostawiłaś mnie w nich tak długo między wielorybami, ślimakami, wśród gwiazd morskich nimfom świecących, żem zapomniał o ziemi i przywykł żyć w ciemni, wśród fal kołyszących ducha mego... Po takiej próbie co ja mogłem uczynić? Oto zbliżyć się znów do pani, pełny milczenia i zaklętej we mnie tajemniczej braterskiej miłości... to uczucie we mnie wezbrane działało na ducha pani, jak natchnienie, jak siła wspierająca, karmiąca, ożywcza; nie wiedziałaś pani co czynię, i nie opierałaś się wpływowi ducha mojego, to też nabalsamowałem niektóre ranne części serca pani, i rany się pozamykały — i powietrze wspomnień, chwytane ustami, już je nie tyle rani niż przedtem... Taka jest zasługa moja pokorna u pani i taka postać moja przed panią, i takie powinno wspomnienie zostać o mnie na wieki. Przekonałem się teraz, że wszystkie prace nasze na ziemi, choć pod różnemi formami pokazują się, nie są czem innem w głębi, tylko zdobywaniem duchów, których jak największa girlanda za nami idąca moc naszą stanowi, a mówię tu o umarłych i żywych. Gdybyśmy bowiem umarłych nie mieli, któżby nam dopomógł u osób dalekich? Któżby nam listy od osób, będących daleko, otrzymywał? Bez tego pod-

szeptu tych, którzy mię na niebiosach kochają, pani mogłabyś była żyć dwa lata w Dreźnie i nigdy o napisaniu listu nie pomyśleć, albo nie zdecydować się na rzecz, która dla pani jest tak miłej wagi, jest tak bladym epizodem życia pani nawet w Dreźnie, a dla mnie jest takiem wielkiem szczęściem, nawet wśród wielkiego Paryża. Widzę więc, że moi n i e b i e s c y usłużyli mi, i tylko część jedną wdzięczności za list pani posyłam, a drugą I m oddaję.

Pierwszego lipca wyjeżdżam znów nad Ocean do Pornik, i nie tyle dla zdrowia, ile dla pewnego Druidycznego monumentu, gdzie przeszłego roku zakląłem dawne cienie krwawych kapłanów... Uczucie to, z którem w noc miesięczną od tych ogromnych, na pustem polu leżących kamieni odszedłem, przywołuje mnie do nich napowrót. Sądzę, że nie krwi chcą te duchy, ale chcą człowieka, który przez lat tysiące nawet miłością przelecieć umie, i cienie bez imion przywołać... Nie strach mi tych krwawych kamieni, które mi się w myśli pokazują z całą czerwonością przedwieczną — owszem tęskno mi do nich, jak gdyby między krwią w dole a smętnym ołowianym księżycem na górze mój duch stanąwszy pośrodku najlepiej się harmonizował z temi bladościami. Ale cóż ja piszę!... jeśli pani tego duchem nie uczujesz, to zwierzenie się to z czucia, weźmiesz za akord waryackiej muzyki, za chromatyczną gamę ogromną ręką schwyconą w dwóch różnych światach tonów... A propos ręki — jest tu ręka jedna, nawet są obie ręce, prawa i lewa, z gipsu odlane i za oknem sklepowem leżące na ulicznym widoku... jedni mówią, że to są ręce fortepianisty, drudzy, że są fragmentem statuy nieodszukanej i nie odżałowanej, która wystawiała olbrzyma Goliata, czy też króla Katarachesa w naturalnej wielkości; dziesięć stóp miał w biodrach! Aleksander Potocki zapisał je sobie z przyczyny, że są wielkie, a pani?... kto wie, może już leżą na pani stoliku?

Zresztą nic więcej interesującego z Paryża — i ja i Małachowski bez listów jesteśmy. Plotek także niema. I dlatego list mój będzie się może pustym wydawał i za dobroć pani niewdzięcznym. Ale prawdziwie, że ja z całego serca służę i całem sercem radować się będę, widząc panią rozweseloną, szczerą, dobrą, wierną wspomnieniom małym i wielkim, słowem, odrodzoną podług natury dawnej i podług nowej już świtającej przed nami piękności, widząc panią zawsze niezmienną, a jednak przemieniającą się.

Nowina o pannie Lolly bardzo mnie pocieszyła, dobry przykład dla Sofinetki i dla mnie, którzy się nie możemy zaokrąglić... Upadam do nóg panienkom.

Nie opuszczaj mię pani i nie rwij tej cudownej jakiejś, małej niteczki, która podług listu pani związek nasz stanowi i bez nieświętości zerwaną być nie może; ile razy pociągniesz pani za tę nitkę, to odezwę się jak dzwonek, nawet z poza świata i po wiekach.

8

Pani! Aż z nad fal zielonego Oceanu, abym dowiódł, że nie są one wodą Letejską, ale owszem słonemi łzami Nimf wodnych, piszę ten list. — Bo pani jesteś jedną z tych osób, których wspomnienie, nie wiem dlaczego, sięga mię w najodludniejszych chwilach życia. Wczoraj, na pustych i wietrznych polach, zbierałem kwiaty dla pani, nie naśladując w tem nikogo, tylko poddając się myśli jakiejś marzącej i niewytłomaczonej... Potem ten bukiet tysiączno kolorowy niosąc nad głucho szumiącem i błękitnem morzem, chciałem, aby mi ono dało korali i pereł, aby te w bukiet być mogły wplecione... i zaprawdę, że taki bukiet ze stepu i z morza, stojący przed pani oczyma, oczarowałby podwójną siłą dwojga królestw natury. Wystaw go sobie pani myślą i niech duch tego bukietu zjawi się pani we śnie, lub w marzeniu, w oczach na pół przymkniętych, w tem półdziennem świetle, w któ-

rem jawią się nam wspomniane osoby... Co pani robisz? Czem jesteś zajęta? gdzie jesteś? Czy to jest dziełem farfadetów a sług pani, że tu zajechała do Pornik jedna osoba, trochę postacią i oczu błękitem i czarnem ubraniem panią przypominająca? Po co egzystują na świecie te fałszywe semitony podobieństw, które jak muchy brzęczą około ducha i ciągle go utrzymują w niespokojności? A ja — czemu ja zupełnie nie mogę obronić się od wszystkich brzęczeń i promyków, i łechtań jakiejś próżnej imaginacyi, a może skutków serca próżnego. Królestwa nie straciłem, a jak król Lear włóczę się po wietrznych wrzosach i polach ciernistych. Nikt mię nie zdradził, jak córki Leara, a ja jednak, jak gdyby za zdradę jakąś, wiatr wyjący przeklinam, i nic nie straciłem, a jednak za wszystkich tęsknię, wszystkiego pragnę, a nic nie wziąłbym, choćby mi wszystko dawano. Wytłomaczyłbym ja pani te wszystkie dyssonanse, gdybym mógł był pani jeden tylko klucz muzykalny mojego ducha wytłomaczyć, ale teraz muszę być względem pani także dyssonansem. Smutno mi w Pornic, smutno, że wrócę do Paryża i tam pani nie znajdę, bo pókim był w Paryżu, tom się był z tą myślą oswoił, a teraz podróż ta moja mało tak do przeszłorocznej podobna, gorzej mi czuć daje, że ten jedyny dom, gdziem się ja chronił z taką ufnością, gdziem szedł z taką wiarą po trochę ciszy i współczucia, zniknął i uleciał gdzieś do wschodu, jak chata Loretańska. A tu w Pornic nic się nie zmieniło: ten sam żebrak siedzi na drodze i każdy łachman jego jest taki jak dawniej. Moje druidyczne kamienie nie osunęły się do ziemi, mój doktór nie postarzał, oberżysta nie został deputowanym, sługi mnie poznali, żebrak, oberżysta, doktór nie zapomnieli, dla tych ludzi rok jest mgnieniem oka, chwilą — anieli jacyś przeprowadzają ich po ziemi, zmianę rzeczy zakrywając im skrzydłami. Nie tak dla nas, pani moją, czy prawda? a dlaczego? bo sami je-

steśmy własnymi aniołami, ciągle sami, za wszystko odpowiedzialni, zawsze cierpiący, ja dosyć spokojnie, pani, rzucająca się jak płotka w kryształowej rzeczce Litewskiej. Powiedz mi pani, ale szczerze, czy jeszcze są takie chwile, że się pani rękami chwytasz za włosy, gładzisz je a z takim gestem, jak gdybyś je wyrwać chciała? Opisz mi pani szczerze stan serca swego, i wymaluj mi wiernie swoją osobę, ja z daleka lepszym może będę doktorem niż z blizka; ja jestem dla pani człowiek daleki, w perspektywie niby jakiejś alei ciemnej, tam gdzie się ciemność kończy widziany... idź pani zwolna i licz wszystkie drzewa alei, i zatrzymaj się czasem, czytając na korze ich suchej napisy — te drzewa to ludzie, a pani właśnie między nimi teraz jesteś, a ja jestem daleko od nich, wszystkiemi siłami duszy mojej z pośrodka nich wyrwany, co dzień więcej czujący, że choć dla ludzi, ale zupełnie ludzki nie jestem. Czemuż ja pani pisać nie mogę o tych duszach, których tłum znajomy coraz mię wyraźniej otacza i ziemię zamienia w jakieś niewidzialne królestwo, w którem ja jestem sługą i królem? Gdybyś pani widziała te sprężyny, które ruszają człowiekiem, te dusze, które przez ducha jednego objawiają chęci swoje, tych umarłych, którzy przez jednego żywego są żywi; pojęłabyś pani, jaka to rzecz straszna być człowiekiem — i zrozumieć, że jest w powietrzu mnóstwo, które kocha lub nienawidzi. Ale co to wszystko panią obchodzi? Dlaczego ja to piszę — dlaczego ten list cały napisałem? Ja nie wiem pani — nie wiem prawdziwie. — Dalibóg nie wiem, bo ja z panią nie powziąłem żadnej nadziei, bo mi pani żadnej gwiazdy nowej nie zapalisz, ale nie wiem dlaczego — chciałbym — ot, abyś pani tu się zjawiła na dzień jeden... abyś usiadła na płycie granitu, który kościół podziemny Druidów pokrywa, abym ja stanął ze strony, gdzie włosy pani powieją, aby tak na nas cicho tam będących psy pasterskie zaszczekały, jak na

mnie szczekają; abyś pani słyszała i zlękła się na szelest trącej o kamienie paproci... abyś okiem obejrzała ten okrągły i smętnie blady horyzont, pełny morza i pustej ziemi. Takiej jednej chwili chciałbym teraz, albowiem pusty jestem jak te stepy, i rozkochany w pustyni serca mojego, które się ani poddało ani pękło.

Skarżę się i skarżę się bez końca, jak muszla z wymarłym w sercu ślimakiem. Ale pani mi ten szum i te szumowiny wybaczysz, — chcąc widzieć w liście moim to, co jest w nim na dnie — szczerą i wielką i pokorną przyjaźń, która nigdy nie przyrzeka więcej niż chce dotrzymać, ale dotrzymuje czasem więcej niż przyrzeka.

Jul. Słowacki.

Widziałem na wystawie zwierciadło srebrne Dyanny, pełne dyablików i jaszczurek, tak jak skała Pornicka w mojej imaginacyi; przejrzałem się w tem zwierciedle i lękam się, aby w niem cień mojej twarzy nie został i nie pokazywał się w nocy upornie, zwłaszcza że właścicielka przyszła tego lustra wierzy w pokazanie się widm zalustrzanych. Przeszedłem przed tem lustrem, jak może przed pani pamięcią, nie zostawiwszy na tem szkle żadnego rysu, ale oczy moje w niem były. Wiadomo zapewne przyszłej właścicielce tego wodnego kryształu, otoczonego jaszczurkami, że Guguś wstąpił w śluby małżeńskie i w jednym z najstarożytniejszych zamków francuskich połączył herby Jagiellonów z herbami nie wiem jakimi — ubrany, sprowadzony do ślubu przez swatkę guwernantkę, która go do tak szczęśliwego celu doprowadziła, wszakże nie bez szwanków na drodze. Lada chwila czekam, że panna Lolla odpowie podobnem echem Petersburskiego żurnalu na echo, które to małżeństwo w Paryskich ogłosiło. Kłaniam panienkom.

Pornic, d. 18 lipca 1844 r.

9

Paryż, Ponthieu 30. 1845, 18 styczeń, n. s.

Przeczytawszy drogi list pani, nazwałem panią wobec duchów, które mnie otaczają, wielką kobietą. Wyrażenie to niezwykłe może rozśmieszy, bo w całej Europie nie było dotychczas potrzeby takiego słowa, a odznaczające się dowcipem lub sentymentem damy nazywano sławnemi — wielkość jest zupełnie różną od sławności, a wielkość kobieca jest jakąś rzeczą serdeczną a tak posągową i ciężką, że nawet pani Sand upadłaby pod ciężarem takiego płaszcza ze złotej lamy i zobaczywszy się tak ubraną w zwierciedle, obaczyłaby całą śmieszność sławy kobiecej. Plutarch opisuje matkę Grachów, że ta po śmierci obu synów utrzymywała w Rzymie dom świetny, otwarty, dom pełny zawsze sławnych ludzi. Plutarch powiada, że ta kobieta, dla której świat stał się zupełną pustynią, bez żadnej przyszłości, bez echa żadnego, otoczona ludźmi różnego rodzaju i miary, z największą spokojnością opowiadała im różne szczegóły z dzieci swoich dziecinnego żywota, a jeszcze spokojniej, jeszcze z milszym na twarzy uśmiechem, śmierć synów swoich opowiadała, tak dalece, że ją niektórzy o nieczułość i twarde serce posądzali; ale powiada Plutarch, że źródłem tej spokojności była wielkość i piękność serca, które biło w piersiach smętnej Rzymianki. Tę wielkość więc Plutarch czuł i odmalował, ja czuję także w pani, ale odmalować nie mogę... W tym ranku mroźnym nowembrowym, obaczyłem czarną postać pani, niby większą, na horyzoncie pól czarnym wrzosem pokrytych, wobec tych firanek złotych i srebrnych, które aniołowie podnosili na niebie i niby na wałki zwijali... Widzę blask złoty strasznego słońca i twarz pani oświeconą, i oczy i usta wpół otwarte, strój nawet pani jakiś ciemny, obszerny, w złote ła-

miący się fałdy, i pytam się, jaki to żurnal poradził pani krój i kolor tej sukni, w której mi się pani pokazałaś w Paryżu? Tak ubierała się matka Grachów, ostatnia po prorokiniach dawnej Judei, a po matce Grachów już nikt przez dwadzieścia wieków płaszcza z błyskawicy wschodniej nie wdziewał, aby ukryć smutek i twarz zachmurzoną ozłocić.... Dzięki za ten obraz! — dzięki także za tę myśl pani o smutnym gdzieś człowieku, który na druidycznych kamieniach leży twarzą także do wschodzącego słońca obrócony — dzięki pani! że zamiast szukać go myślą po błotnych ulicach Paryża poszłaś o kilkadziesiąt mil dalej, nad morze grające, na smętne pola, gdzie on siedzi na białych kamieniach i drży jakąś krwawością ciemną podziemnych i przedpamiętnych ludzi. Na tych kamieniach zostawiłem jedną z najpiękniejszych postaci, kiedykolwiek oczom moim zjawionych, prawdziwą Normę, prawdziwą Adalgizę: słuchaj pani jej opisu... Raz przy zachodzie słońca... na tym kopcu druidycznym, z którego świat widać okrągło i pusto na wszystkie strony, opasany przez pół wężem błękitów morskich — dopaliwszy cygara, upity wonią tamarynów i chwastów, które mi u głów i nóg rosły... dwa kuszcze zielone, cyprysowym krzakom podobne — zamknąłem oczy i myślałem, że prawdziwie jestem już jako Malboroug w piosence umarły ale niezapomniany... Otóż, gdy z tego snu i letargu oczy otworzyłem na nowo, słońca już nie było nad morzem, tylko długa i smętna wstęga purpurowa łuny ciągnęła się na zachodzie, a między tą łuną i oczyma mojemi... postać sylficzna Druidessy, trochę biedna, trochę żebracka, ale cudownie ładna... i kształtna... zwłaszcza włosy jej, włosy złote, lekkie jak pajęczyna, w jedną stronę wiatrem morskim odwiane, jak struny harfy ossyanicznej, a pod nią... dwa półmiesiące z gwiazd, to jest chodaki ogromnymi ćwiekami w półmiesiące podbite, które, ku zachodnim

blaskom obrócone, prawdziwie paliły się meteorycznym blaskiem. Teraz więc pani z tych chodaków wniesiesz, że to była prosta chłopka, którą ja przez egzaltacyę moją podniosłem i uczyniłem jakąś poetyczną figurą. Sądząc tak, bardzo się pani droga omylisz... Ciało tej dziewczynki dziesięcioletniej było prawdziwie pastusze, ale duch i ducha tego głos, melancholia, delikatność, przeczucia, uczucia, reminiscencye, przenikliwość i mistyczność świadczyły prawdziwie o królewskiem pochodzeniu, w prostej linii od Normy i Adalgizy... Ona mi mówiła o wężach w złotych koronach, które siedzą pod tym kamieniem, na którym ja siadywał, a jam czuł pod sobą tętno i śpiewanie i świst strasznego królestwa. Nazwisko jej było proste, a jednak było dla mnie najbardziej czarodziejskim imieniem na świecie... Raz zastałem ją układającą ofiarę z małych błyszczących kamieni; ofiara była słońcu czyniona, bo te kamienie paliły się jak węgle rozżarzone w jej rączkach. I nie myśl Pani, żeby ta dziewczyna naśladowała lud tameczny albo się od kogo myśli swych nauczyła... lud albowiem nic nie wie, czarne są chłopcy — orangutanom podobne, a Woltera duch w karczmach i szynkach panuje, wygnawszy zupełnie Fausta i wszelkie Druidyczne wspomnienia. Dziewczyna ta więc była sama z siebie poezyą... z nią kilka wieczorów przegwarzyłem, a czasem do łez rozczulony, bo ona mi opowiadała czasem swoją mękę na ziemi, to lato na pracę przeznaczone a zimę jeszcze gorszą... Żeby zaś pani dać miarę delikatności jej domyślnej, przytoczę tylko jeden fakt z rozmowy. Widząc, że pasła krowę dość chudą, chciałem dowiedzieć się, czy ona jest córką domu, do którego ta krowa należy, czy tylko służącą... nie mogłem jednak prosto o to zapytać, tak dalece królewskość jej ducha panowała nade mną... zapytałem więc nie o nią, lecz o krowę, nie pamiętam już

jakim frazesem... ale tak nieobrażającym jej duszy, że pewnie żadne inne dziesięcioletnie dziecko nie domyśliłoby się, o co chodzi. Ona jednak — natychmiast jak jelonek wzdrygnęła się... i bawiąc się niby z medalikiem złotym, który wisiał na jej szyi, poddniosła drugą rękę do nieba i z dziwną melancholią odpowiedziała mi prosto na ducha pytanie... O! Pan Bóg nie pozwolił jeszcze, abym ja obcym ludziom służyła! Takie są tajemnice Norm... które od kamieni druidycznych duchami odlecieć nie chciały... Są to w pastuszkach dumne i piękne dusze, które raz może spotykają człowieka, z którym się rozmówić mogą... a widząc go, przychodzą śmiało — z prostotą gołębi — siadają przy śpiącym, czekają, aż oczy otworzy. Mówią do niego, jakoby go brały na świadectwo, że wiedzą czem są, i odchodzą spełnić swój żywot biedny i pracowity... Nie śmiej się ze mnie pani, proszę, ani posądzaj o żadną egzaltacyę wymuszoną i Sternostwo angielskie, głupio sentymentalne. — Ta mi dziewczyna była nauką — i pokorniejszy wstałem z tych kamieni, niżem był, gdym się na nich, jak marmurowy kto, rozciągnął. Lecz ta gołębica już dawno odleciała ode mnie, a jam ją dlatego tylko w tym liście umieścił, aby spełnić żądanie pani, i najważniejszy fakt z mego dwumiesięcznego życia nad morzem opisać... Inne mniejsze duchy w kitajkowych sukniach z falbanami, polkujące na zapylonych posadzkach oberży albo na osiołkach odprawiające pełne śmiechu podróże, nie warte są wspomnienia, nie warte aby pamięć zawędrowała tak daleko...

Żadnej błahej myśli nie ważyłbym się posłać do domu tego, gdzie matka moja, wszedłszy, musiała zaraz zalać się łzami — przez Zosieczkę rozczulona... Więc i w tej Zośce jest jakiś serdeczny aniołek, który wie, czego matkom potrzeba?... Więc to jest także fortepianistka, która z serca matczynego całe girlandy

tonów wydobywa, najczystsze perłowe nuty znachodzi?... W różowej jakiejś była ta dziecinka halucynacyi, kiedy matkę moją przyjmowała, otoczyła ją wszystkiem czegom się ja dotykał — pieskiem, sztambuchem... i jakąś dziwną litością, niby matczyną, nad matką zapanowała... To też zato kwiatek wrzosu, przez nią urwany, będzie mi świętym...

Co do Judyty, przez jedną nawet chwilę nie miałem za złe, żeś ją pani w tem miasteczku Izraelitańskiem zostawiła; owszem tak trzeba było, a ja tylko jeszcze raz to pani szczerze powiem, że, pisząc te rzeczy, ani razu nie miałem na myśli związku przeszłości z teraźniejszością, i teraz sam się dziwię, że jest niby jakaś czasowa okoliczność w rzeczy, która czasu mieć nie powinna. Czas więc to wszystko zatrze, co pod jego stopą prochem być powinno... a bogdajby i ta dziecina sławą swoją, jak karmazynową firanką, zasłoniła te kilka plam na imionach w przeszłości.

Gadałem długo, a pani poczujesz w liście, że mgła ciemna wisi nad Paryżem i od strony pól Elizejskich, gdzie mi dawniej jaśniej bywało, pędzi na ulicę Ponthieu swoje czarne kłęby z dymem zmieszane... Nic nowego nie słyszałem — z Zygmuntem zupełnie komunikacyę mam przeciętą jego miejscem pobytu, położeniem, a może też przez Fatum dawne, które stanęło pomiędzy nami. Sądzę jednak, że mi to serce nie uderzy fałszywie. Aleksander Potocki wyjechał do Rzymu, także trochę, jak mi się zdaje, na Zygmunta zażalony. Proś pani Boga, aby wrócił nam dawny dzień jasny, w którymby te wszystkie półcienie zniknęły, bo teraz wszystko na winę czasu złożyć możemy, — jam temu przypisywał długie milczenie pani względem najwierniejszego ze smutnych i niepotrzebnych przyjaciół.

Jul.

PRZYPISY.

Joanna z Morzkowskich Bobrowa z Wołynia. Nieszczęśliwa w pożyciu małżeńskiem, spędzała lata całe za granicą. Miała dwie córki, Ludwikę i Zofię. Słowacki poznał ją roku 1831 w Dreźnie. Roku 1840 w Paryżu nawiązał na nowo stosunki.

LIST 1.

Mowa o pojedynku z Ropelewskim.

Przyjaciel pisujący do Frankfurtu — Niedźwiedzki.

LIST 2.

Zosienka, córka Bobrowej.

LIST 4.

H. Gedge, angielka, nauczycielka.

Morgue, dom w Paryżu, gdzie wystawiają znalezione trupy, aby znajomi mogli rozpoznać.

LIST 8.

Semitony — półtony.



Wilno.

LISTY
DO ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

1.

Paryż, 14 grudnia 1842.

Nie wiem, jak pisać, kochany mój Zygmuncie, i gdzie ci pisać, ale postanowiłem szukać wszędzie serca twego, bo mi go potrzeba... Zaleniwiałem był, odebrawszy list twój z Kisingen i nie odpisałem; teraz więc za to srodze pokutuję, bo nie wiem, gdzie się obracasz... serca twego bijącego nie słyszę, a chciałbym, żeby tak biło jak moje spokojnie — ale równo i mocno, po człowieczemu. Otóż wiedz, że jest człowiek, który rozwięzuje duchy i stawia je nad ciałami, wkładając im wszelko-możne korony... wpajając w nie królewskość mocy, łącząc z Bogiem; a to wszystko prostą, ożywczą, Bożą siłą, jednem słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności Bożej... A nauka jego nie potrzebuje się rozwijać, bo ci którzy są gotowi, przyjmą ją, a ci na których czas nie przyszedł, odrzucą, a jednak odrzuciwszy, będą mieli targane sumienie i serce do krwi rozdarte... Otóż ta idea w świecie duchowym jest jak systemat naszego Kopernika... Dosyć było powiedzieć któremu uczonemu astronomowi przeszłości, że słońce stanęło... a on już sam w obserwatoryum swojem od lunet i teleskopów dowiedziałby się reszty. — Ale gdybyś ty jednak wiedział, jak ten szlachcic Litewski wśród sosnowych lasów wyciągnął z myśli Bożej wszystko — i wszystko odtworzył

na nowo — z prostotą pastuszą i z pohamowaną w sobie ludzkością, wziąłbyś go pewno za Pana i przewodnika... A nie mógłbyś inaczej... bo idąc do któregokolwiek ze słońc drogi mlecznej, napotkasz go między słońcem a ziemią, a jeśli przez niego nie przejdziesz, będziesz musiał wrócić się na świat, gdzie wiesz sam, co napotkasz?... co tworzyć... z czem walczyć będziesz?

On tworzy to koło, które przez wyduchowienie się swoje nie ma wyższego na ziemi, ale trzyma na ramionach duchy, wiąże się z niemi i działa za nie... Ty, który od dawna jesteś ogniem tych, którzy w okrąg ciebie stają musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam — i przyjść nam z legionem twórczo — duchów w pomoc... Wam wtenczas świat będzie musiał uderzyć czołem, a ja, choć już śród was bez życia i ruchu, będę się radował ze zwycięstwa nad światem i nade mną. — Przemowę twoją do Nieboskiej Komedyi wczoraj czytał z katedry profesor, wystawiając ją Francuzom za model — tego pojęcia jakie my nowi ludzie mamy o poetach i poezyi — dalej o Nieboskiej mówić będzie. Czas idzie — i kwiaty rozkwitają. Raduj się więc, żeś siał Ducha — i porzuć odtąd wszelki smętek, a bądź mężem według własnego ideału, a wtenczas przyjaźń żywego człowieka będzie świadczyła o mnie, bom jest z kamienia i padając przed Bogiem, skruszyłem się na kilka kawałków. — Między Aniołami a szatanami były miejsca dla wszystko wiedzących, teraz tych miejsc dla ludzi już nie ma: jedni muszą być z Aniołami, drudzy z innemi, a reszta policzona do trupów... O tem powiedział mi Bóg czuciem serca mego i odpowiedziałem, że tak jest. Zostało mi więc milczenie i ciemność i pokora i modlitwa. Ale ty, świeży, anielski, rozwidniony, proroczy, ty masz wyraźną drogę, robotę i uśmiech stworzonych rzeczy zapłaci tobie, wywołane przez ciebie rzeczy otoczą cię... tyś żyw jest i sam

wywołujesz życie. Nie stawaj więc, ale czyń, bo tu idzie o wielkie zwycięstwo nad światem. Poganizm cały krzyczy i jeszcze raz występuje do walki, palcem posągowym pokazuje wszędy formy swoje, zasłania się niemi i teraźniejszej chwili tylowiekowym głosem wyrzuca niewdzięczność. Jam go przeklął, ale jeszcze nie mogę zapomnieć, że mi był litośnym panem, że jego Dyanny były mi kochankami a jego światłość prawie wiecznością! Ale zwyciężyły go już piorunowe objawy ducha, a jam resztką czucia rzucił się dopomagać silnym i nieśmiertelnym prawdziwie. W tych kilku słowach jest cała moja historya. W „Anhellim“ ją na końcu przeczułem i oprócz Anioła, co siedział nad trupem i zabraniał budzić go, wszytko się sprawdziło, ale mojego snu nikt od budzących nie broni, wszyscy dotykają palcami piersi mojej martwej i wzdętej, wszyscy wywołują ducha, prosząc o prawdziwy płomień, o udzielenie żywota, jaki był w niej... Niech się spytają lasów sosnowych w Litwie o ten ogień i żywot, a teraz powiedz im, niech mnie nie dręczą. A ty bądź mi dobrym i nie strachaj się tej formy ludzkiej, której ja dziś używam jako karyatydy do podparcia rzeczy będących nade mną i ciągle schylam się... aż będę wbity do ziemi ciężarem słonecznych kopuł...

Bądź zdrów.

Juliusz.

Adres zmieniłem tak: Rue de Ponthieu 30.

2.

Rue de Ponthieu 30 Paris, 1843, 17 stycznia.

Kochany Zygmuncie!

Twój list Apokaliptyczny świeci mi jak lampa w gotyckim kościele, jak zożyca różnokolorowa, przez którą patrzy słońce, ale roztęczowane, niepewne...

Odgadłeś kilka kształtów i ze wzroku, który Adam czynił na jednego ze swych uczniów, kiedym mu o liście twoim mówił, widziałem, że Mistrz tak samo tłomaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami. Ale czy to starczy? Czy to jest wszystko? Czy nie czujesz, że ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czynioną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie... Sercami i rękami trzeba światu wytłomaczyć objawienie św. Jana, spełnić je, być gotowymi do spełnienia, inaczej epoka wypełniająca oddali się jeszcze tysiące lat, nie mając rycerzy pełnych, wielkich ludzi, to jest takich, którzyby dla prostoty i prawdy odważyli się, wbrew malowanemu fałszem światowi, zostać prostymi prawdziwymi. Wielki to trud i duchowie wziąwszy, podobny do tej pracy Herkulesowej, kiedy przymuszony był czyścić stajnie Augiasza; wystawiasz sobie tego Bohatera, po kolana w bagnie, walczącego z błotem, i strumieniami i zgnilizną? Otóż tak dzisiaj eleganckiemu światowi wydają się nowi pracownicy, których ideałem jest chłop i pastuch wierzący, a prawdziwy. A nie dosyć, nawet wszedłszy do groty lub stajni, gdzie tańcują pasterze, cieszyć się z przyjścia Królestwa Bożego, tańcować z niemi i uśmiech mieć na twarzy, trzeba koniecznie uczuć w sercu radość pasterską i być jak jeden z nich, tu więc jest trud... O — moje serce!!!! Ty wiesz, jaki to kawałek szkła błyszczącego to serce moje! A jednak musiało się ruszyć i nie stało to się bez przylewu do jego ducha — Ducha świętego, którego choć najmniejszą wziąłem perełkę, a już sądzę się skarbnikiem Bożym, już widzę postęp codzienny i światło nowe... Wszystko więc leży w tem nowem źródle żywem Ducha, z którego świat może brać, albowiem jest to otwór mały, przebity aż do dna, skąd leją się strumienie niewyczerpane. Wszakże wszyscy Enceladowaliśmy aż do nieba, i udało nam się czasem dla wielkiej boleści serc naszych zdobyć cokolwiek

ognia niebieskiego, ale dla braku prostoty naszej nigdyśmy źródła Ducha Bożego otworzyć nie mogli. W tobie także błyskało nieraz światło prorockie, ale straszne, a głos twój był podobny jękowi. Mówię ci więc, drogi! — że wkrótce szata z jęków a hełm z błyskawic wyda się aktorstwem i sprzecznością wśród prostoty i wypogodzonych twarzy i nagich piersi Bożych rycerzy... Ileż razy ja sam jeszcze jęknę z największą rozpaczą, myśląc, że mnie wszystkie mary tego świata odbiegły, i nie został mi jak Chrystus. Tak duch mój rzucony na różne drogi stracił prawdziwe uczucie nagiej prawdy i nieubranej w złotogłowie piękności! Widzisz więc, że pod chłostę idę i opieram się często... bo wolałbym się nieraz odwrócić znów w te gaje ciemne, laurowe, gdzie świecił księżyc i wspomnienia były drzew Dryadami. Ale już nie można! już nie można! — Nowe sumienie urodziło się z Ducha nowego, nowe cierpienie przyszło dla sfałszowanych serc, dla bohaterów świata przeszłego... A teraz realna jest moc zapisania się w cyrografie Dyabłu na służbę — bo też realnie można się oddać Aniołom.

Otóż jest garstka ludzi, której Bóg obiecał, że wypełni dzieło Ducha wielkiego!... Któż ma dostateczną pokorę, aby stał się cząsteczką, kamykiem w budowie?... Widziałeś ludzi, powiedz mi, czy mali przyjdą pierwsi i ofiarują się? — czy wielcy? — I gdyby jeszcze ofiarowanie się było kamieniem probierczym wielkości przed światem, ale jest tylko znakiem Ducha wielkiego przed Bogiem, a podług świata jest takie, że się wydaje jakoby zawrotem głowy, szaleństwem, składaniem koron, mieszaniem się królów z ciżbą... teatralną farsą, zniżeniem się czasowem dla celu ziemskiego, podkopaniem się pod dumnych, aby kiedyś wybuchnąć większej dumy wulkanem, z pod miast, z pod stosów hrabiowskich koron, księżych mitr i tyar, z pod posadzek salonowych. Wierzysz że temu?

Każdego z nas inaczej uderzyło mistrza słowo, z innej strony każdy wydobywa dźwięk swój, który się w pokornem kole braci układa do harmonii. Co do mnie, najmocniej mnie zajmuje twórczość Ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jedno jest... Uczuciem więc, ogniem miłości, ściągnięciem woli Bożej na ziemię możemy odbudować świat i postawić go w kształcie zupełnie nowym. Praca więc powinna się zaczynać w nas samych, to jest powinniśmy w sobie wyrabiać doskonałą moc czucia, zlewać go, spiorunować w sercu, a to wszystko z cichością i prostotą ludzi mocnych i mających wielkie rzeczy do wypełnienia. Stwórz sobie myślą takiego człowieka, postaw go sobie przed oczy, niech przemówi do Ciebie twarzą pogodną, wnętrznem uczuciem siły nieśmiertelnej, mocą magnetyczną wyższości prawdziwej — a ujrzysz nasz ideał. Każdy Duch z Boga wetchnięty w organizacyę ma misyę Bożą, to jest przebicie się przez materyę, wyrabiając ją twórczością swoją w coraz doskonalsze kształty, aż będzie mógł ostatecznie powiedzieć słowo przez Chrystusa wykrzyknione na krzyżu: wypełniło się! Uczucie to skończonej wypełnionej misyi zaczyna nową drogę Ducha, wyłamanego już z materyi, uwolnionego z organizacyi. Wierzmy więc w niedopełnioną pracę Ducha i w łańcuch żywotów... które podług tej wskazówki wyduchowiania się uważane, są ewangelią dowiedzione. Wierzymy w Narodowości, to jest w solidarne misye duchów, powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością, a stąd wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktowem uczuciem tej odpowiedzialności — a poświęcanie się za nią nie jest szaleństwem, ale koniecznością Ducha w świecie duchowym... tak jak, te materyalne pomaganie sobie, które stworzyło kontrakt socyalny. Wierzymy i w to, że kogokolwiek duchem zaczepimy, stajemy się Duchem odpowiedzialnym za Ducha... A tak, utworzywszy sobie świat wnętrzny i zrozumiawszy go,

otworzył się nam szereg cnót nowych duchowych i grzechów, które dotąd w konfesyonałach nie były słyszane... Albowiem lenistwo ducha w służbie Bożej wiedzie na potępienie, i ci którzy siebie lekceważą, a myślą, że są tak niewidomi wśród miryad duchowych, że jeszcze na stronie zostać mogą i pobawić się materyą, zdając sprawę Bożą na silniejszych, winni są jakoby krwi i morderstwa i kradzieży, albowiem dar ducha kradną Bogu... Więc że i dogadzanie każde duchowi podług świata, łechtając go uczuciami, zaspokajając sławą, grzechem jest i zbrodnią, albowiem jest to tańcować na balu, kiedy inni krew wylewają, broniąc wałów miejskich od nieprzyjaciela... Wszelkie więc wylewanie ducha na rzeczy małe ujmuje strumieniowi ognia, który się lać zaczyna przez środek świata, aby wszystkie kwiatki błahe, na brzegach rosnące, od jego siarczanego wyziewu powiędły.

Wszystko to jest proste i nie do rozumu twojego, ale do serca twojego pisane... Lecz powiedzże, czy sercom nie trzeba było takiej wiary? takiej religii? Czy ta myśl, że duch, już skończywszy misyę, a rozwiązany z organizacyi, jeszcze jest odpowiedzialny za duchy leniwsze, pozostałe w pracy, nie tworzy ci najcudowniejszej kolumny Świętych Pańskich, którzy muszą podszeptywać, pomagać, a przez łaskę czasem zjawiać się na ziemi wierzącym w nie, aby wypełnienie misyi narodowych przyśpieszyły... Zamyśl się z tą myślą, a usłyszysz cudowną harmonię między duchowemi pracami a boleściami ciał, które są chłostą niby Bożą i przymusem i nauką duchów. Jednej plagi, jednej choroby nie ma przesłanej na próżno... Narody wydają się jak indywidua, także słusznie karane lub wynagradzane. — Historya ta męka ciał, staje się nauką Duchów; wszystko się wyjaśnia, Bóg się pokazuje z każdej mgły, z każdej chmury. Taka więc jest ta metampsychoza, o którą nas księża katoliccy oskarżają.

O rozwinięciach dalszych tej idei będę ci pisał później, albowiem teraz strudzony jestem różnemi pracami i pełny jeszcze niby melancholii dla rzeczy pożegnanych wczora... Cień tej, który się za tobą ciągnie po księżycowym świetle w Kolloseum, także mi stoi na drodze... Nie uwierzysz, ile temu Duchowi oddać muszę Ducha, nim będę odeń uwolniony... a Duch ten straszny trefi teraz włosy — i rzuca się w świat z wrzaskiem morskiego ptaka... Ale coraz — mimo świata — stawać musi przed sąd mój, wypiękniać się Duchowi... — i składać skrzydła motylowe za ramionami, abym ich nie widział... Mam więc nadzieję, że kiedyś zobaczę ją spokojną — prostą — i cichą... Dobrą zawsze była... i teraz, gdyby w sercu mojem było więcej siły spokojnej, jużbym ją zdobył spoczynkowi. — Ale ja sam jeszcze pracuję nad sobą, wśród ludzi, którzy mię często nie rozumieją i ranią mimowolnie nieufnością i niewiarą w pracę Ducha mojego. To jest krzyż mój. Niech miłość ludzka wyprzedza cię i czeka cię na wszystkich drogach, abyś do gotowych serc przyszedł, a nie musiał sobie robić serc sercem twojem. Jam jest i byłem zawsze z Chóru twojego.

Juliusz.

3.

Roztwieram ten list bom się dowiedział wczora, że do Nicei wyjeżdża Izydor S. Kochany Izydor, który tyle lubi dobrego kapłona, ile tłomaczenie wersetu biblii, przez którego z błędnych rabinów dane mu. Otóż wiedz, że względem nas jest on jako człowiek, któryby widząc, że my ogromne beczki prochu znosimy razem, aby je potem w ostatecznej chwili jedną iskrą zapalić — on oddala się na pustynię. A ponieważ kiedyś był chemikiem, więc rzuca się z całym zapałem do retort,

aby sam proch wynalazł i to zrobił, co my zrobić mamy. Słyszał on Mistrza naszego — uznał go — ale potem oddalił się, — zamknął sam — i już od roku coś pisze, a z żadnym z nas nie komunikuje się — wtenczas kiedy my, za każdym krokiem w idei zastanawiamy się, zamieniamy ją w krew, w ciało, w naturę naszą i robimy ją czynem, a czyny te małe na teraz z rozgorzeniem w nas Chrystusowej natury, będą powiększały postać, aż zwyciężymy świat... i zaprawdę, że go zwyciężymy, a nie zostanie po nim nawet takich ruin jak Rzymskie, bo powiedz? czy kupy rozrzuconych pieniędzy w bankach bankierskich będą świadczyły o tych mamutowych figurach zmateryalizowanej, zwierzęcej ludzkości? Czy kupieckie księgi gdzieś gnijące wydobędą łzę z oczu nowej kiedyś Korynnie? A my jednak ani tych pieniędzy rozrzucać będziemy, ani z tych ksiąg robić kolumn dla siebie. Z ducha tworzymy lud nowy, Boży, twórczością ducha, który podług św. Pawła jest Boży, a kiedy z Bogiem złączony, jedno jest. R. VI str. 17. A kto się złącza z Panem, jednym Duchem jest. Wreszcie o zetknięcie się twoje z Izydorem nie lękam się, bo wiem, że cię te szczegółowe odkrycia sensu w wersetach biblii nie zdobędą Jemu, ale przestrzegam, że my nie jesteśmy w nim, ani on z nami. Nauka nasza żywa i do czynu prowadzi i filozofia nasza jest filozofią czynu, nie żadnych marzeń.

Uważaj więc Izydora jako osobny poemat, sercem weź to, co ci piszę, a jeśli tego żądasz, obszerny ci list drugi wyleję prosto z Ducha, abyś żadną cząstką ducha twojego nie był odstrychnięty od koła bratniego, które Duchem tworzy to, co potem już stworzone, weźmie jako swoją własność na wieki.

4.

Dzisiaj był u mnie Gaszyński — mówił mi, że w liście swoim dopytujesz się o mnie, (a gdybym mówił mu, iż ty sam ostatnim listem zerwałeś ze mną korespondencyę), obiecał uwiadomić cię o mojej przyjaźni i wyszedł, mówiąc, „za dziesięć dni zapewne będziesz list miał od Zygmunta.“

Postanowiłem ten list twój uprzedzić — do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jej... Kochałem ciebie, jak dziecko, jak gdybym dzieckiem był. Kochałem ciebie szczerze i nieraz ze łzami...

Szczerze teraz powiem, iż wiem, dlaczego do mnie nie piszesz, a sam nie wiem, czy możesz, czy nie, prostą ze mną podzielić się duszą — jeżeli twój duch stoi już na wysokości, właściwej jemu, powinieneś mnie kochać i szanować, jeśliś dotąd cielesny jest, a Centaura z orła i lwa, jak ów człowiek, o którym Platon w Respublice opowiada, powinieneś jak Centaur stratować, jak orzeł wszponić, jak lew roztargać — a ja powinienem ci się oprzeć jak Ecce Homo — dzisiejszy — to jest ducha mego wyraziwszy ciałem — a nie będąc niewolnikiem nawet przyjaźni...

Przed tobą wszakże, jedynym moim niegdyś, w złych czasach przyjacielem... przed człowiekiem który wtedy nizkość mojego ducha nieraz podnosił i stroił... muszę stanąć jako instrument, który, chociaż przez Anioły dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada.

Smętnej rzeczy więc dotknę... tak było:

W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzności, naturą moją wiedzony do tego, abym zawsze uosabiał myśl moją, chcąc koniecznie wytłómaczyć się nie z idei, bo ta tomów i wiekówby potrzebowała, ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei — wpadłem bezmyślnie na jedną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta swoje i zda-

rzenia swoje, mnie, to jest czego chcę i co pojmuję, wytłómaczyć. Obrałem księdza — a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennej nocy list, pełen dziwów i wulkanów napisze, a rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja, aż po napisaniu dramatu obaczyłem i wątłość dzieła i boleśniejsze jeszcze, różne, zeń prosto wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem! nie w twórczości godzinie ani przed tą świętą chwilą ze mnie wypadły.

Po napisaniu więc aż, ale przed wydrukowaniem, obaczyłem się na dwuch rozstajnych drogach — ducha i ciała. Z jednej strony mówiły duchy: „poemat z nas jest — nam potrzebny — jest formą, z której się będą rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy Duchem świętym nalewać:“ jako poemat zrujnuje sławę twoją u ludzi zimnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten dziewczynie wykradną i przy okularach czytają — ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, właśnie dla głupstwa, a jakiejś niewinnej słów przezroczystości — leje ogień w jej ducha — zwycięża ją może jedną tajemniczą, magnetyczną zgłoską — i kochankowi daje królestwo... Wydaj więc na wiatry list twój — zgub się, jako autor — jeżeli co więcej masz poświęcić, poświęć...

Odpowiedziałem: więcej poświęcić. Sto razy więcej!...

A one: co?

Odpowiedziałem: jest jedno serce, które może będzie myślało, iżem zapomniał o jego bolesnej naturze — jest człowiek, który, jeżeli kiedy o spoczynku i nagrodzie doczesnej myślałem, tom sądził — iż spokojna z nim gdzieś pod lipami miejskiemi jedna godzina będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota — teraz to wszystko muszę... Co duchy?

Była godzina, iż zamilkły... ja sam z własną wolą zostawiony, wybrałem — wiesz co wybrałem... Duchów nie było rozkazu — ofiara jest moją własną — ja za nią odpowiadam...

I tak będzie zawsze... Ile razy przyszło mi między pełną chatą a samotnością i potrzebą wyższą wybierać — zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjście przyjaciela nie dzwonił, a czyniłem, co muszę. — Teraz nawet... czynię, co muszę... bolesne rwanie się tego listu zaświadczy ci — ale ty jesteś wielki duch Boży i jeden z Aniołów narodu naszego — zakrwawiać ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać to byłoby grzechem przeciwko Duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar — ja ci dopomagam — kochaj — mnie — mówię ci, wart jestem... Więcej nadto żadnemu człowiekowi ode mnie się nie należy.

Odezwanie się twoje przez Gaszyńskiego choć ustne, dowiodło mi, żeś wyższy już nad zwyczajność... Uprzedzam Cię więc i pierwszy krok czynię, abyś się zaczęciem ze mną korespondencyi w oczach cielesnych dotąd ludzi nie poniżył... jako duch nic nie rozpoczęłem, ty masz do rozpoczęcia, przełamania w sobie wszelkiego ja, które ci do czystej miłości przeszkadza...

Bez miłości prawdziwej nic nie pisz, bo zakrwawiłbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym.

Jeżeliś przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział — nietylko iż ci to z ducha wymazuję — ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwiązający sumienia. Wszystko potrzeba rozwiązać.

Możeś słyszał, żem mocno był chory, teraz jestem zdrów do czasu... a żyję, póki chcę, bo mi to Bóg zostawia — w rękę mi dał nić żywota mojego — nie bez łez, jak widzisz, puszczam ją, aby szła jeszcze... Mocno byłem strudzony...

Alleluja znów! — wiosna — przydaj mi promieni do złotych dnień, które mi świtać zaczynają... Ukochaj mię...

Ode mnie masz list ten który świadczy:

Paryż, rue de Ponthieu 30, dnia 12 stycznia 1846 r.

Juliusz Słowacki.

NB. Powiem ci prosto, a może rzecz najważniejsza, iż mi się sprzeciwia teraźniejsza czynna i głośna dążność twoja — patrz, czy przeciwnika możesz ukochać — a nie możesz, nie przerósłszy go w sumieniu. — Oberwałem się ze wszystkiego, zostaje tylko ziarno.

5.

Pytasz mię z czułością prawie matki lub siostry, czy ja cierpię? — dawno już nie słyszałem głosu takiego — bo ludzie, którzy się do mnie przybliżali — to tak gdybym ja był koniem w karetach najemnych — każdy widział spracowane boki moje — i krew z obdartych skór moich — a każdy nie umiał nic powiedzieć, jedno słowo, które sądził, że jest zachętą i bodźcem do pracy, to: słowo, czemu nie ciągniesz? A sami nie chcieli się i palcem dotykać brzemion moich, ale odchodzili, roznosząc, po świecie, żem samotnik, tetryk, ludziom już niepotrzebny, we własnej dumie pogrążony — zaczęli nareszcie na mój karb wkładać słowa, sądy i nawet pisma nie moje, próbując jak głęboko leży we mnie ta spokojność, którą, jak ty sam nawet sądzisz, włożyłem przez dumę na czoło moje, niby maskę noszoną z potrzeby na tej ostatniej reducie tegoczesności...

Spokojność moja prawdziwa jest — nie jest jednakże bez cierpienia.

Cierpię — bo mam cel wielki przed sobą a sił mi braknie... Wystaw sobie, że ludzkość jest dziecię-

ciem mojem, a to dziecko choć chore jest i w konwulsyach — a ja wiem o pewnym lekarstwie uzdrawiającem, lecz myśl moja zmęczona boleścią, nie chce mi na ustach położyć nazwiska zioła onego, o którem wczoraj wiedziałem z pewnością jak największą — wyobraź sobie stan taki Ojca, a zrozumiesz, czem jest odosobnienie się moje i nad czem pracuje myśl, na inne rzeczy już obojętna.

Dziwię się, drogi mój, że po tylu latach nie urodziło się w tobie nawet przeczuciowe pojęcie sprawy tu zaczętej, nie jest ona ani idejką, ani zbiorem idejek nowych o świecie, ani dogmatycznym mistycyzmem, ani przepowiedniami, ani człowiekiem, lecz jest prawdziwem poczęciem świata nowego w cierpiących dawno matczynych duchach ludzkości. — Nie patrz ty, mój drogi, na sceniczną wystawę tej idei — ani tajemnicy szukaj w literze — ale uwierz mi, iż ta idea jest niby klucz nowy, rozwięzujący wiedzę w człowieku; — oskarżają nas o mglistość mistyczną — a tu przeciwnie, myśmy w sobie uczuli poniszczenie tajemnic; cóż my winni, że świat woli dotychczas hamletować się? — Dwie drogi są, któremi ta sprawa spełniona będzie, pierwsza żywa, a tę przedsiębrali bracia moi — jeżeli ich Bóg podniesie i z wielu charakterowych ludzkich niedostatków wybawi, to rozpoczną nową Epokę świata i tę epokę od sposobu działania nazwiesz Sancta. Jeżeli nie spełnią, to Sokratesowym sposobem będzie uczyniona rewolucya — powolna — bez żadnej doczesnej sławy dla rewolucyonisty — epoka taka sama, co do wypadków, ale z wielkim dla mocy uczuciowych uszczerbkiem — epoka Sacra.

Żałuj człowieka, któryby musiał na upadku pierwszych, drugą rozpocząć. — Nie dziw się, że człowiek ten stoi na stronie, oczyma przeraża zwichniętych, trzyma chylącą się tam i tu Sanktuaryuszów gromadę, a wszakże modli się za nich — im sprzyja, a sam się od brzemion swoich Bogu wyprasza... Biednaż to

była by sprawa, gdyby jej jedno tylko pióro i kałamarz służyło...

Spytasz mię, dlaczego na pierwszej drodze nie pracuję — odpowiem ci prosto: ciało mi nie służy... a bez ciała nie mam potrzebnej energii, braknie mi tej skry codziennej w oczach, któraby piorunowała krzywo idącą bracią moją; braknie mi tych lwich podrzutów, które są potrzebne do walki z usypiającą, sektarską ludzi niektórych gawędą... Trzebaby wziąć kij ostrugany w rękę — chodaki na nogi i pójść między młodzież pruską — ja nie mogę...

Przez trzy lata walczyłem o to, abym ciało moje postawił na nogi — a nie używałem do tego ani lekarstw, ani doktorów, owszem na wspak radom doktorskim jechałem po trzykroć nad morze — mocowałem się z falami, z wichrem; stołom obfitym kazałem przechodzić w krew moją — słońce piłem oczyma i ustami. Nic nie pomogło; ta jesień była ciężką dla mnie, ludzie jeszcze większym, niż jesień ciężarem — z obojętnemi rozbrat wziąłem — jeżeli mi Bóg nowych nie nadeśle, samotnym zostanę bez skargi.

Otóż masz szczerą odpowiedź moją na to zapytanie, co robię i co robić zamyślam — pozwólże teraz, że ciebie spytam, Zygmuncie mój — jakie są twoje cele ostateczne? bo ty, jak drudzy, nie możesz powiedzieć: „Polski chcę“ — a nie pomyśleć wprzód, jakiej Polski i komu potrzebnej...

Żaden Anglik nie mówi sobie: „wynajdę machinę lepszą od wszystkich machin wynalezionych“, a nie skupuje materyału wprzód, nim siłę jaką nową ruchu wymyśli... Bo każdy wie, iż samo przystosowywanie do siebie drewien, żelaz, sprzężyn i sznurów nic nie utworzy. — Choćbyś miliony wydał na materyały — a w duchu nie widział już, ku czemu służyć mają różne członki zebrane, nic nie uczynisz — poczęcie winno poprzedzać urodzenie... Czułbym, gdybyś już miał przyszłą Polskę w sobie.

Już z niewinnością prawdziwą Anioła wskrzesitelnego przesiębrał-byś mnóstwo środków, wiodących ku twojemu celowi — a z każdego drewienka ostruganego przez ciebie mądry domyśliłby się celu. — Już tu i tam ręka artysty malowałaby myśl twoją — czasem lepiej niż broszura albo gazeciany artykuł; czasem na jakim dawnym grobie podniósłby się posąg kamienny i zastraszyłby ożyciem grobowca. — Dlaczegoż myśl twoja piękna i ognista jak sen nie rozleje się nad całą martwością, nie otumani Polski... Wybacz mi, co powiem... Oto mi się zdaje, że zawcześnie zmateryalizowałeś środki twoje — i ująłeś żywotności siłom twoim — jeszcze trochę trzeba było iść na oślep, a iść tak, aż pókiby rzeczywiście jasny dzień ci nie błysnął... tyś wybrał półświt... i nie zaufałeś do końca kapryśnym duchom natchnienia... Źleś zrobił, Zygmuncie — bo ja cię wiem, kto jesteś — i znam się z duchami twymi... te same dawały już ludziom więcej niż korony. — Nie dziw się, że ich ręce są pełne kamelii, pereł i dyamentów... Źleś uczynił, żeś w bogactwo peruańskie nie uwierzył... tyś je miał w nowej ojczyźnie odkopać.

Wiesz, co to prawidło filozofii dawnej: poznaj siebie samego. — Nie jest to przestroga, ani zachęta, abyśmy poznawali moralną naszą naturę; błędy i wady charakterowe; owszem poznanie takich wad szkodziłoby człowiekowi... Nie powinien na nie patrzeć — ani przypadkiem odkrytych rozglądać i lubować się nad nimi — ale owszem powinien sam sobie zaprzeczyć, że je ma — a przeciwną wiarę w anielstwo swoje urodzić... Przestroga ta filozofów ściągała się do ducha tajemnic... Miałżeby obcy człowiek okrywać je tobie?

Ważę Ciebie wysoko — i dlatego pracowałem często nad tobą i wiem wiele o tobie... Wszakże wiesz sam — iż takie rzeczy w złą godzinę przychodząc — a na nieprzygotowanego trafiwszy człowieka, wy-



Seweryn Goszczyński.

szłyby na pośmiewisko... podobnie jak tajemnice światła całego, teraz wydrukowane, ubliżyłyby prawdy majestatowi.

O jedną cię więc rzecz proszę... Wynajduj sercu swemu ofiary — te ofiary składaj Bogu, aż cię rozkwilona twoja natura zacznie uczyć jak dziecko swoje własne, widząc, iż się ono dzieciątko obdarło z koszuli i trzewiczków się wyzuło a drży na zimnie.

Ty może nie zrozumiesz prośby mojej i głosu mojego... Wtenczas wybacz mi — a ja zamilknę.

Wielki by kamień spadł z ducha mego, gdybym ujrzał i uczuł wielkiego człowieka — od razu jako łuk rozprężony rozpuściłbym moce moje — odetchnął — i rozradował się, jakby przez aniołów tysiące otoczony... Bądź nim albo go wywołaj — tego chcę, po tobie, a prawie ci to rozkazuję... mówiąc jak człowieka, który już nic nie ma z ziemią do rozwiązania...

A nie tylko teraz, ale po śmierci nie spuszczę ci — ani oka nie spuszczę z ciężaru, który ty podług obrachowania mego masz nieść i dźwigać... bo czuję, żeś silny jest i za milion ludzi poniesiesz...

Nie sądź mnie pokaleczonym przez ludzi — ale sądź dźwigającym...

I słów moich nie przypisuj dumie — i stylu mego konwulsyom — tak będzie pisała kiedyś Polska, z myśli idąca ku formie, nie formą chłoszcząca się, aż myśl wytryśnie... Między anielstwem światła a szataństwem ognia ta tylko jest różnica.

Wreszcie jak ja cię sądzę — sądź mnie nawzajem w duchu miłości, a ja przyjmę wszystko z pokorą i z miłością — wskaż mi cele Boże i nie idącego ku tym celom, łaj — albo iść ku nim rozkazuj — a ja pójdę, albo na sądzie duchów stanę, jako dezerter.

Jedną rzecz wszyscy sprawujemy — i stąd każdy z nas ma władzę rozkazywania — lecz mocy musi dostać z wysokiego świata — aż od celów Bożych...

Ja te cele widzę — ale jeszcze do nich powołać nie śmiem, bom nie jest dość silny, abym doprowadził...

Oto jest list — oto jest jedna z kar piekielnych litera martwa i papier martwy pomiędzy duchem a duchem.

Twój
Juliusz Słowacki.

6.

Paryż r. de Ponthieu 30. Dnia 17 lutego 1846.

Kochany Zygmuncie!

List twój dla mnie od początku do końca prawdą jest — bo ja go mogę jako gałązkę, wyrastającą z drzewa Rajskiego, na ziemi posadzić i osądzić, którym jest listkiem — więcej powiem, już go za owoc uważam słodki i dobry. To mię jedynie smuci, że go inni ludzie muszą tylko wziąć z wierzchu, jakoby był opinią, bo z opinii wyszedł.

Prawdziwy ty Pan na Opino-górze; na górach bowiem Święto Jańskich zbierasz żniwa a z wiatrem natchnień zasiewasz (daruj mi ten kallambur), jaśniej się wytłómaczę.

Gdy mi jeden z księży katolickich pisze list, zupełnie podług Creda ułożony i pyta, zaliż nie tak jest? zaliż co ci piszę, nie jest prawdą? — odpowiadam mu to samo, że dla mnie prawdą jest, a dla niego opinią.

Więcej powiem, gdyby mi który z umarłych starożytnych napisał dziś list, zapytując: nie mamże uważać za Boga Saturnowe wyobrażenie, a wierzyć w Deukaliona, w Prometeusza, i w Danae i w porwanie Romulusa cielesne do nieba?! to samo bym odpowiedział, bo te rzeczy z rozwiązanej wiedzy w człowieku inaczej pojęte, stają się prawdami i są siostrami młodszemi prawd Ewangelicznych.

Tak twoja Siostra Chrystus — ojczyzna.

Bo wyznaj, iż człowiek w swoją ideę jako w dogmat uwierzyć musi — to jest przyzwolić na to rozumem, a potem po rycersku łamać kopie za opinię, która wiarą się stała...

Lecz z tą opinią, chcąc być doktorem,, trzeba się uczyć doktorstwa u Brussego — chemikiem? u Śniadeckich — astronomen? u Aragów — politykiem nawet chcąc zostać trzeba konstytucyjne rządy i formy przyjąć na nauczycielki. Słowem: ta biedna Polska Chrystus zasypana byłaby pod puklerzami nie Chrystusowych rycerzy — tak, jak Chrystus był kiedyś w Rzymie, ubrany w formy pogańskie, wpuszczony niby z łaski do przedpokojów filozoficznych.

A wszakże to, co mówisz, prawdą jest ale taką, iż powinno cię uczynić i naturalistą i doktorem i chemikiem i astronomem i pierwszym z polityków... Wtenczas będziesz prawdziwym przyszłym Polakiem.

Wiesz ty, że najstraszniejszy dreszcz trwogi, który przebiegł przez żyły moje, było to w tych dniach, gdy na Akademii scyentyficznej paryskiej wniesiono tysiączno funtowe żelazo, aby nim poruszyć jeden słońca złotego promyczek i z drogi go zawrócić... Słysząc o tem — nie odetchnąłem, aż wtenczas, gdy na końcu tej eksperymentacyi usłyszałem wniosek ostateczny Francuzów: posłuży to nam do odkrycia praw elektro-magnetyzmu. Chwała Bogu — Chrystus cało uszedł z rąk Rzymskich żołdaków, lecz jak blizko byli Jego przeświętej natury! jak straszliwie przerazili mnie, że odkrywają to prawo, które ja od czterech lat najprzód noszę w duchu moim, a czekam, aż godzina wielka uderzy — albo też gotów jestem z sobą wziąć w świat Ducha, jeśli sumienie moje przeciwko roztajemniczeniu wiedzy ludzkiej będzie zawsze w uporze.

I ty przypisujesz to dumie? — Wystaw sobie, że który z wielkich autorów (myślę o Chrystusie i siłach Ducha świętego) napisał i z wielkim kosztem przy-

gotował dramat bardzo zajmujący — tak natężony w intrydze, iż ostateczna scena jego jak wulkan, wybuchnąwszy z ziemi, ma poruszyć całym narodem. Lecz autorowi trzeba pięciu aktów — trzeba całego natężenia umysłów pięciogodzinnego. — Wtem zjawia się drugi poeta, który rozwiązanie dramatu w sobie samym odkrywa — i stanąwszy na ławkach, w prozaicznych słowach, przed sztuką jeszcze, sztukę całą parterowi tłomaczy... a wtenczas głupce parterowi, nie będąc uniesieniem poezyi z natur swoich odarci, odzywają się w większości:

„Więc to tylko to? dramat ów, zapowiedziany!? Idźmyż spać do domów, a nie nudźmy się przez pięć godzin, siedząc na twardych ławkach parteru.“

Mówisz, że ludzkość chce wiedzy — oczekiwa — gotowa jest i godna wiedzy. Ja ci faktami odpowiadam... Wszyscy mnie opuścili, choć przysięgam ci, że zmieniony jestem na dobre, rozkwilony, jak dziecko — bliższy ludzi, niż kiedykolwiek przedtem — sługa ich...

Po rocznem ze mną niewidzeniu przyszedł do mnie Gaszyński — zbiedzony, wyschły, kościany, usiadł przy kominie, i dał mi uczuć całą kamienność swego ciężaru, między innemi zaś rzeczami powiedział mi, jest szczęśliwy mocno z przyjazdu pewnego przyjaciela; a ten przyjaciel jest to jeden z Montalambercistów, jezuitów naszych — od których mi wiele teraz zła idzie, choć niewidomym sposobem... Wytrzymawszy tę rozmowę przez pół godziny, skoczyłem na mego poetę — łając go sierdziście za to, że napiwszy się herbaty poetą jest — a potem między ludzi chodzi nie w wieńcu bluszczowym natchnienia, ale w szlafmycy — sen rozdaje, siebie samego w natchnieniu wstydzi się, albo też naśladować lęka się — mówiłem mu nareszcie o idei — a nareszcie uściskałem go ze łzami, prawie mówiąc: „przebacz mi, żem się rozkrzyczał, ale nie mogłem.“ Cóż się stało?... Poczciwy

Gaszyński poszedł ode mnie do klubu, i zwykłym sposobem żartownisia powiedział przy obiedzie, że Słowacki kompletnie zwaryował... Jezuici byli przytomni — w kilka więc dni potem jeden z przyjaciół moich spotkał się z wieścią, już przez różnych powtarzaną, żem istotnie zwaryował...

Poznaj sposób postępowania ludzi i gotowość świata do przyjęcia prawdy. Oto największa część ludzi czyni tak, jak owi jezuici — sami nie skłamią, ani wymyślą rzeczy... lecz usłyszawszy tę rzecz, w tonie żartu mówioną, rozchodzą się po mieście, smutne biorą twarze i powtarzają: zwaryował; a gdy pytasz: „czy doprawdy?“ — odpowiadają: „słyszeliśmy od jednego z jego przyjaciół.“

Wieszże teraz, co taka plotka może mi zrobić, dostawszy się do uszu matki mojej... pomijam inne jej działanie na świecie, lecz o matkę mi chodzi... A dlatego i w listach nawet zamknąć pół ducha mego muszę, pisząc do innych, i do niej...

Dla tego mój Zygmuncie, trzeba abyśmy sobie jasno w oczy spojrzeli, ścisnęli się za ręce — a potem, jeżeli się zognią dusze nasze jednym dla sprawy Bożej zapałem, abyśmy choćby na skałach nadśródziemnego morza zatknęli kij, monument braterstwa wiecznego — i poszli każdy w swoją stronę, pamiętni na ów związek i miejsce rozpoczęcia. Dlatego to już mi się śni o jakiejś podróży w blizkie sobie strony, a czekam tylko na czas lepszy i jaśniejszy... bo terazbym kilku nocy w dyliżansach przepędzać nie chciał... — Nie uczynię jednak i tego bez twego współczucia — a nawet może zupełnie nie uczynię, pomny na straszną przemianę, którą idea robi w człowieku — przez żałość jakąś, którąby mnie zdjęła — gdybym cię widział rzucającego twój otęczowany świat — dla srogiej i twardej służby — jaka się nareszcie od każdego ducha Bogu należy. Dlatego cię pytam szczerze i otwarcie, abyś mi powiedział czy jesteś szczęśliwy

tak, jak jesteś? Niech listy twoje nie będą o nieśmiertelności ducha ani o innych skrzydlatościach idei — bo tak czyniąc, korepondencya nasza stałaby się zamianą rzeczy wiadomych — albo takich, o których sam duch z siebie dowiedzieć się powinien; lecz niech listy będą zamianą tonów naszych, dźwięku ducha naszego, a tak będziemy mogli na podobieństwo szalek ważyć się wzajemnie i podnosić w górę...

Szczerze, Zygmuncie — jako człowiek, ty jeden jesteś nadzieją moją...

Jednej ci rzeczy tylko niedostaje, a to masz we wspólnictwie ze światem całym — ambicyi, która wychodzi nawet z granic ziemi a o całym świecie się pyta i drży i dzień dzisiejszy półwiedzy za ostatni uważa... ufając, iż jutro który jej z braci pomoże, a rozwiązaniem małej niteczki, ostatecznie rozwiąże.

W czystości serca bierz listy moje, bo tak piszę i mocno ku tobie jestem sercem nachylony.

Juliusz.

Kochany Zygmuncie!

Jeszcze biorę tę ćwiartkę papieru, aby dłużej z tobą pomówić — powiedz mi święcie i sumiennie, czy Polska zdolna jest wyprzeć się tego słowa: chcę umieć, a zacząć od: wiedzieć chcę... to jest umiejętność analityczną wymienić na mądrość wnętrzną, widzącą? Znasz teraźniejszych Polaków — powiedz więc, czy te natury młode nie będą mocniejsze i skorsze do czynu, działając tylko instynktownie — od tychże samych natur, gdybyśmy je dziś od a do z zaczęli odbudowywać z wiedzy dawnej... Jam takie budownictwo odbył w przeciągu lat czterech; a oni dziś zacząwszy, wielu by lat potrzebowali? — Nie byłożby to grzechem czasu zaczynać?...

Dzieckiem jest Hamletowe wahanie się w porównaniu z tem, jakie ogarnia duchy, czujące w sobie

ojcowstwo narodu. — Usta się im pozamykają; błyskawic nawet z oczu rzuconych lękać się będą — otoczą się kołem wieków i cichością czasów przyszłych obalsamują się — trupami je nazwą teraźniejsi; w nich wszakże będzie żywot prawdziwy...

Powiedz: nie lepiejże młodzież zostawić pod Quinetowymi i Micheletowymi retorykami? nic w tych ludziach niema harmonijnego, ale jest spirytusowy pierwiastek; niech więc exaltuje krew — trzeba nam... trzeba mas jakkolwiek stworzonych... Niech Russo przeciw Rosyanom walczy... Niech wyznanie wiary Wikarego Wakfildzkiego Jezuitów wali, niech Jezuici walą cerkiew, dla nas nieśmiertelnych czas przyjdzie... teraz może milczeć wypada?

Oto są, Zygmuncie, powody mego milczenia i schowania się, a to jest dobrowolne; bo gotowe i napisane są rzeczy, do których napisania sumienie mnie wiodło, równie jak dziś sumienie tylko od drukowania wstrzymuje. Czekam, aż żądza wiedzy obudzi się, aż wiara w to, iż Bóg da Polakom broń nową i moc nową, wstanie w upokorzonych umysłach. Jakże mówić do ludzi, którzy sądzą, że wszystko, co wiedzieć ludziom potrzeba, już jest odkryte, a w dalsze rewelatorstwo prawdy wiary nie mają. Jakże ubogi chłopek, oddalony od braci swoich, może im w pomoc garścią brylantów sypnąć, kiedy wie, iż oni to za szkła czeskie wezmą — i szukać nawet w piasku nie będą, a mineralogów nie ma między nimi, nawet prostych, mówię, uczonych mineralogów nie ma — ani jednego nie widzę. Gdyby byli, poznałbym ze słowa jednego...

Nie myśl, że utyskuję na to. Nie, uznaję w tem prosty porządek świata, który chce — aby duchy same z siebie odkopywały prawdy, na dnie ducha każdego złożone i miały stąd zasługę.

Jeżeli skargę mam jaką, to ją niosę na siebie samego, żem nie jest dosyć mocen, abym to mocno uwolnił te duchy od pracy i cierpienia; dlatego pogardzam

sobą — nie tak, jako nas chciało nauczyć dzieło a Kempis, ale tak, jak duch po pracy wiekowej przed Bogiem teraz upokorzony. Nic nie zrobiliśmy po Chrystusie, ani kroku jednego w wiedzy chrześcijańskiej nie daliśmy naprzód... Same westchnienia nasze za prawdą przed Bogiem ważyły i u ludzi sławę uzyskiwały; patrz Goethe sam dziwił się z największą powagą, że wąż ma dowcipne oczy, a Bóg jemu nóg odmówił... ten sam Bóg, który Goethego z łaski swej nogami i oczyma i dowcipem obdarzył!... Powiedzże mi, jak tu nędznemu człowiekowi powiedzieć, że Goethe będzie musiał na ławce w pierwszej klasie w Polsce przyszłej od pierwszego bakałarza dowiadywać się, dlaczego wąż nóg niema.

Westchnij więc, aby prędzej były te szkoły i tacy bakałarze...

Sciskam cię.

Juliusz.

PRZYPISY.

Zygmunt Krasiński, znany poeta. Por. Dzieła jego. Słowacki poznał się z nim w Rzymie roku 1836. Korespondowali z sobą już od roku 1837 począwszy; pierwszych listów nie posiadamy jednak lub są niedostępne. Listy niniejsze podobnie jak do Stattlera pisane są po wielkim przełomie duchowym, któremu Słowacki podległ roku 1842.

LIST 1.

Kissingen, wody w Bawaryi. W tym liście mowa o Towiańskim i wpływie jego na Słowackiego.

LIST 2.

Gaszyński, znany poeta, przyjaciel Krasińskiego.

Ecce Homo — Oto człowiek, słowa wypowiedziane przez Piłata o Chrystusie.

Dramat o którym mowa — Ks. Marek.

LIST 3.

Brennus, wódz galijski rzucił na szalę swój miecz, przez co przeważył szalę ze złotem.

Podług podania domek Matki Boskiej z Nazaretu anieli przenieśli do Włoch do Loretu.

Murillo, malarz hiszpański.

LIST 4.

Zofia Węgierska por. list do niej.

LIST 4.

Konstanty Gaszyński, poeta-emigrant, serdeczny przyjaciel Krasińskiego.

Mowa o „Księdzu Marku", w którym jeden z Krasińskich wystawiony nienajlepiej.

LIST 5.

Hamletować od tragedyi Szekspira Hamlet mniejwięcej tyle co rozpaczać!

Sancta — święta, tak samo Sacra.

Towarzysze Słowackiego to Towiańczycy. Wszakże do Koła Towiańskiego Słowacki w tym czasie już nie należał.

LIST 6.

Opinogóra w Królestwie, majątek rodzinny Krasińskich.

Kalambur — dowcip.

Credo — Wierzę, Skład Apostolski.

Brusse, Śniadeccy, Arago, sławni uczeni.

Za czasów walki pogaństwa z chrześcijaństwem niektórzy uczeni pogańscy czcili Chrystusa jakoby jednego z bożków.

Montalambert, uczony francuski.

Nie mówi tu Słowacki o zakonnikach-jezuitach, ale o ludziach świeckich podszywających się pod religijność.

Quinet (czyt. Kine) i Michelet (Miszele), historycy francuscy celujący wymową (retoryką).

Wikary Wakefieldzki (czyt. Łejkfieldzki) powieść Goldsmitha (czyt. Goldsmisa) wystawia duchownego anglikańskiego.

Russo (Rousseau), filozof francuski.

Cerkiew oznacza kościół prawosławny.

Rewelatorstwo — objawienie.

Mineralog, uczony badający kamienie.

Tomasz à Kempis, autor sławnego dzieła: O naśladowaniu Chrystusa (wyszło nakładem Karola Miarki w Mikołowie na Górnym Śląsku).

Goethe (czyt. Gete), sławny poeta niemiecki.

Bakałarz, nauczyciel wiejski.

LIST DO BENEDYKTA KOŁYSZKI.

Paryż, dnia 6 listopada 1843 r.

Kochany bracie!

Przy sprawie to wam wszystkiemi siłami na drodze wskazanej mi przez Mistrza działać będę, póki mi tchu starczy. Ale odstąpienie i oziębłość braci, zaprzestanie zbierających się u mnie siódemek i małe inne okoliczności dyktują mi teraz, abym na zebrania Koła nie chodził, albowiem wolność ducha zachować pragnę, pod żaden indywidualny wpływ nie poddam się i póty będę trwał samotnie, dopóki nie uczuję, że całe Koło jest mi bratnie, że chce ze mną czystej wiary, prawdy i tylko postępu sprawy. W nieomylność bowiem Koła nie wierzę i formom przepisanym przezeń dla ducha nie dam się stropić, albowiem pragnę być żyw, abym jeszcze dla Boga mógł pracować ostatkiem tchu mojego. Inne z przyczyn wyznałem zastępcy mistrza na t. z. spowiedzi, której ustanowieniu trwałemu także duchem sprzeciwiać się będę. Oto jest veto duchowe brata waszego. Jeżeli ten brat jest w fałszu, nie zaszkodzi wam. Jeżeli Bóg dopuścił, abyście wy zgrzeszyli, przyjdziecie na porzuconą drogę, a wtenczas ja z wami do śmierci i po śmierci.

Brat *Juliusz Słowacki.*

PRZYPISY.

Generał Benedykt Kołyszko był przewodniczącym siódemki, na które Towiańczycy się dzielili a do której Słowacki należał.

LIST DO ANDRZEJA TOWIAŃSKIEGO.

Piszę do ciebie, bracie Andrzeju, abym ci wypowiedział z ducha mego słowa, które przed światem uczyniłem dotąd tajemnicą, ciężarem tej tajemnicy obciążywszy samego siebie, abym nie mógł być w żaden sposób przez ducha twego oskarżony przed Bogiem, jako odstręczający świat od sprawy Ducha wykryciem zgorszenia. Gdyś zjawił się, świadectwo braci moich o tobie świadczących przyjąłem, w dobrej wierze połączyłem cię z uczuciem ich — w czystość twoją zawierzyłem, wiernym byłem — w postępkach moich starałem się być bez poszlakowania — w pracy mojej pomocnym tobie — ku usłużeniu w sprawie pierwszym — w cielesnym Koła porządku ostatnim. Jeżeliś tego nie czuł duchem, dowiaduj się, a ludzie ust prawdziwych przyświadczą, że tak było. Wystąpienie moje z Koła ciche, a tobie bynajmniej nie uwłaczające, wywołało z ciebie sąd pismu powierzony, w którym ducha mojego osądziłeś. Odważnym będąc w sądzie, bezsilnym w osądzeniu...

PRZYPISY.

Towiański i Mickiewicz pozyskać chcieli dla sprawy Towiańskiego cesarza Mikołaja I.

LIST DO ADAMA MICKIEWICZA.

Bracie Adamie!

Przypominam ci, że przyjęty za brata w Kole waszym przez Andrzeja Towiańskiego, który publicznie mię bratem być wyznał, w dniu pierwszym października 1843 r. listem do Koła braterskiego pisanym, nie wyrzekłem się bynajmniej braterstwa ale położyłem veto z ducha polskiego przeciwko dążności rosyjskiej, która mszę i nabożeństwo publiczne za ducha nie naszej wiary i nie naszej idei podyktowała.

Przypominam, że jako pierwej tak i teraz veto moje nie zdjęte z Koła trwa na wieczność a tem samem czyni nieprawnemi i bezskutecznemi wszystkie kroki, które Koło w tymże duchu łączącym nas z Rosyą przedsiębierze.

I żądam aby ta nowa protestacya przeciwko ugięciu ducha polskiego przed cesarzem Mikołajem zakomunikowaną była w Kole dla wiadomości.

Zostawiając sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla ratunku ducha ojczyzny mojej.

W braku aktów, do którychbym wnieść mógł tę protestacyę, oświadczam, że powierzę ją pamięci narodu mego.

Brat *Juliusz Słowacki.*

(1845).

PRZYPISY.

W r. 1842 Słowacki przystąpił do Koła Towiańczyków. Wkrótce jednak przyszło do niesnasek między nim a resztą Koła składającą się z zapalonych zwolenników Mickiewicza, krzywdzących Słowackiego. Wskutek tego Słowacki wystąpił z Koła.

LISTY DO WOJCIECHA I JULIUSZA STATTLERÓW.

1.

Dnia 15 stycznia 1844.

Kochany i drogi mi! Długo bardzo zbierałem się pisać do ciebie, ale czekałem pory, któraby mi dozwoliła w dobrem usposobieniu wprzód obraz twój oglądać — ta pora przyszła aż dzisiaj... Złote zimowe słońce przypomniało mi miesiąc sierpień... ten miesiąc, kiedy dogorywając prawie i siedząc ci do portretu, nie jako człowiek ale raczej gasnąca lampa, jedna z tych lamp rzymskich ludzi, pamiętasz, co to dwoma lub trzema dziobami ogień leją (dzioby, podług ciebie, były to oczy moje). Otóż dwoma takimi dziobami palący się, uciekłem ci z rąk jak płomyk i pojechałem nad Ocean... Dzisiejsze, mówię, słońce miesiąc mi ten przypomniało. Poszedłem więc szukać śladów twoich, tej cząsteczki twego Ja, którąś nam zostawił w Paryżu... już jej nie było na ulicy Savoie.[1]) Poszedłem więc po nią do pana Baptiste, lecz już jej i u pana Baptiste nie było. Poszedłem więc do pana Lanta litografa i tam, wszedłszy do małego poddasza, ujrzałem nareszcie obraz, który w środku pracowni oparty o podłogę a wysokością dotykający dachu, zdaje się tworzyć przepierzenie między litografem a jego (nie wiem czem) płci żeńskiej osobą, która z poza obrazu wyglądała.

---

[1]) Czyt. Sawła.

Ale dosyć tej lekkości. Obaczyłem obraz i powiem ci, drogi, że po widzeniu obrazu szedłem prosto, pełny myśli, przed obraz Panny Najświętszej Litewki, aby tam uklęknąć i podziękować Bogu, że mi pozwolił widzieć (a może śnić) patrząc na twój obraz, brzask różany kiedyś przyszłego malarstwa polskiego. Szczerze mówić ci będę... albowiem wszelkie pochlebstwo byłoby zabijającą trucizną; ja sam nigdy się nim nie karmiłem i dziękuję Bogu, że mię od takich nadto dobrych przyjaciół obronił... Bo nie ma większego szczęścia, jak czuć przed śmiercią prawdę życia własnego... Otóż powiem ci, że obraz twój, choć z zakątka nieznanego historyi wydobyty i tem grzeszący, albowiem myśl trudzi się przypominaniem tego rozdziału Machabeuszów, ta myśl, która najwięcej sobie zabicie słonia — ów czyn powtórzony potem przez Wilhelma Tella — przypomina... czyn tak sławny, że aż w Skandynawii kroniki mówią o jakimś rycerzu Toaco,[1]) co podobnie jak Tell walczył.. czyn piękny równie jak wzięcie w pierś Winkelridową spis niemieckich. Opuściwszy więc tę historyczną ciemność, która leży w twoim obrazie, powiem ci, com widział; zacznę od krytyki. Grupa tych ludzi nie jest grupą Żydów, ale zmieszanej rasy tłumem... ach i w tem, drogi mój, jest piękność twego obrazu!... Ta głowa srebrna (zda mi się Matatyasza) ta głowa największa... jasna jakaś, srebrna, mówię, a nie tylko przez włosy, ale przez całą płeć srebrną jasność lejąca... to głowa Litwina! To Kiejstut, który mi się śnił tyle razy... a tam drugi podobny jemu jak bliźnia kolumna, to także jakiś litewski kapłan... Kurdów takich widziałem... ale nigdy (i mówiłem to litografowi wśród zadziwionych Francuzów), nigdy Francuz nie stworzyłby takiej głowy; to jest już zupełnie z nowej epoki, romantyzm dosięgający pięknością wykonania da-

[1]) Czyt. Toako.

wnej szkoły włoskiej. Camuccini[1]) nie zrozumiałby tej głowy... Ingrès musiałby się odrodzić, aby ją zrozumiał... Między temi dwiema kolumnami stoi (zda mi się) Judasz. To jest Żyd!... Żyd prawdziwy! ale srogi... Ale ci imię Judasza drugiego strwożyło ducha, kiedyś tę straszną głowę w profilu kreślił... Dziwię się, że Rzymianin, na którego patrzy, nie drży; gdyby się ku mnie obróciła, zadrżałbym jak listek... A tam, za nim kto?... Dziewica, kobieta... Na Boga! mój Stattlerze, to prawdziwa Rzymianka, prawdziwa dziewczyna z za Tybru, zabłąkana wśród tej gromady słowiańskiej... Oczy jej czarne jak aksamit, ale nie są skrzące jej karbunkuły Jerychońskich niewiast... Nie mówię ci nic o sędziwych matkach siedzących z przodu, bo ze łzami musiałbym sobie przypominać te dawne staropolskie niewiasty, które przędły... mężów wysyłały na wojnę, karmiły ubóstwo... a potem jakiem głębokiem nieszczęściem dotknięte, schorzałe a piękne, gasły zwolna... i niesione były na cmentarz wśród wrzasku całych miasteczek... Nic nie mówię o Rzymianach... bo zdaje mi się, że ci dowiodłem zupełnej polskości tego obrazu... Wiesz co on znaczy?...

Oto włóż na tę srebrną głowę Matatyasza hełm z turzymi rogami... i oprzyj go na starym mieczu... Oto z tej Rzymianki zrób żonę Witolda w złotym ruskim kokoszniku... Oto z tej siedzącej matrony zrób Birutę, staruszkę już a porwaną kiedyś od Boskich ołtarzy... Niech ten Judasz stanie się Witoldem i niech im donoszą ci (zamiast Rzymian) Polacy w skrzydlatych husarskich zbrojach, że Jagiełło już w Litwie myśli zaprowadzić Chrześcijaństwo, myśli tego boga Peruna wywrócić... a będzie polska epopeja...

---

[1]) Czyt. Kamuccini.

Lecz nie, drogi... niech to zostanie izraelskim obrazem... Prostota i piękność najwyższa obrazowi temu zapewniają wielką przyszłość... Nie uważaj na to, że jakie poznańskie gazety będą nadeń przenosić obrazy celujące ładnością, obrazy działające na nerwy, tak jak i w poezyi szukają tylko gorzałki chłopskiej i szarlataneryi językowej... Wierz mi, drogi... że zaczynając prawdziwe malarstwo polskie, sławnym za życia być nie można... W twoim obrazie widać, żeś wielką część życia swojego i miłości swojej weń włożył... Nie lękaj się więc... bo miłość i życie, choć w płótnie zamknięte, jest wielkim pośmiertnym człowieka mścicielem... a ludzie wielkich duchów są tylko rycerzami po śmierci... Oby ci Bóg ciągle wznosił ducha na taką wysokość, abyś z coraz większą łatwością mógł równie głębokie wykonywać prace, tego ci życzę na Rok Nowy, abym ci wet za wet oddał to życzenie twoje, które mi z Krakowa przyleciało w samą wigilię Nowego Roku, niby jedyny głos tęskniący za mną w ojczyźnie...

Jeszcze, mój drogi, do obrazu wracam: jak ty dziwnie i pięknie jesteś w niezgodzie z poezyą teraźniejszą polską... Wiesz ty, co to jest ta Muza nasza? — Oto dziewczyna uboga rzymska, siedząca gdzieś w ciemnym cytrynowym sadzie, pod wielką płótna tablicą na głowie, wśród róż, które wokoło palą się jak lampy dziwu w ciemności... dziewczyna tkająca szkaplerze... a z jej rąk wylewa się przędza różnofarbnych jedwabi pomieszana ze złotym bajorkiem... i ciągle wylewa się jak tęcza. Podobnie leje się z rąk poetów poezya — biedni! bezsenni! ciągle tkacze.. rzucają na wiatr, co tylko im w oczach błyśnie, bo sądzą, że wszystko jest potrzebne, bo dążą do zrealizowania jakiejś wielkiej rzeczy, o której jeszcze ucho nie słyszało, której oczy nie widziały... Któż ty więc jesteś, coś z tych ogromnych kamieni postawił monument druidyczny?... bo, patrząc na

twój obraz, to samo czułem, com czuł tego lata nad Oceanem w jednym z takich pomników, gdziem całe wieczory pełni księżyców przepędzał, zaklinając te krwawe, twarde duchy, aby mi powiedziały o czem one kiedyś za życia na tym posępnym cyplu, na tem odludziu marzyły? Otóż i ty z ogromnych kamieni wybudowałeś pomnik i myślałeś o Machabeuszach... Wieszże ty, o kim instynktownie myślałeś?... Zadumaj się a pojmiesz, że i u nas musi być ogromna część narodu do Machabeuszów podobna... Machabeusze, ostatni obrońce dawnego zakonu, twardzi, zakamieniali, zniszczeni... gdy te same im wydarte zwycięstwo odniósł tłum ludzi spokojnych ze słońcami na głowach... Boże! Boże! jakie tu okropne rozprzepaszczenie się ręki z czuciem... czy siąść na koń i choćby uklęknąć pod słońcem... a wywrócić go?... Czy tchem jednym duszy niewidzialnie zwiać sztandary z oblicza ziemi? — Lecz na to trzeba w ogniu miłości powietrze roztopić — a któż ma miłość?... Na Boga, miłujcie się... i wiążcie się bratnią miłością — oby doszła do tego Polska, aby każdy na widok bratniego dzieła tak się rozradował, jak ja dzisiaj radośny jestem z widzenia twego obrazu... Niech wiedzą nareszcie ludzie gryzący się po waszych pismach, że nikomu jednego prawdziwego listka z wieńca gwiazd, którym się duch jego owinął, ukraść ani zgasić nie można... Niech wiedzą, że każde zwycięstwo sztuki jest zwycięstwem ducha w krainie przyszłości. Zapewnie już za życia mego nie będę miał tego szczęścia, abym wśród grona tobie podobnych radował się i podzielał się sercem.. Ale wiem, że kiedyś w Polsce, moja rodzinna ziemia, ten to kawałeczek koło Wołynia, który zawsze i oddawna już wydawał duchy pełne entuzyazmu, choć nikłego dotąd, ziemia ta kiedyś stanie się jako Ateneum Chrystusowej sztuki. A skrzydłem tej ziemi będzie Kraków, gdzie ty swego ducha i swoje piętno położysz... Lecz

wierz silnie nie w sztukę, bo to wyrażenie jest ohydną arlekinadą Francuzów. Ale wierz, że każda sztuka jest narzędziem otrzymanem z łaski Boga, i danem duchowi dla finalnego celu, to jest dla spełnienia misyi swojej na ziemi...

Gdyby nie trwoga, że zadługo piszę... pisałbym bardzo dużo. Ale obaczysz wkrótce, żem się bardzo wiele i może za nadto wypisał... a zamiast obrazu... posłałem wam dwa obrazki i jeden dawny wielki obraz starego Hiszpana odlakierowany przeze mnie na nowo... Niech się więc mną ten Hiszpan, mnich srogi, opiekuje — bo się teraz zupełnie na opiekę Niebieskich spuszczam — a o ziemię zupełnie nie dbam... Chciałbym jednak, aby było choć kilka tak czystych duchów w Polsce, aby wierzyły, że zawsze i wszędzie wierny jestem... i tak jak mój Książę Niezłomny (tytuł hiszpańskiej tragedyi) srogo i twardo stoję przy dawno strzeżonej chorągwi — a może na straconej placówce... Na Boga! nie zadrżyj sercem o mnie, choćbyś mnie widział przez most Alzirahu, to jest po nitce, nad płomieniami piekielnymi idącego, choćbyś widział, że zda się, już padam, nie zadrżyj, ani krzyknij... bo by mi to pewność kroku i serca odjęło... Straszne życie! ale co do mnie, ufam, że zwycięstwo nad wszystkiem jest między oczami mojemi, nie wiem czy gwiazdą czy zmarszczką między brwiami zamyślonemi... ale jest... i świeci nawet teraz, kiedy patrzę w oczy twoje, i zda mi się, że ściskam za rękę — drogiego mi człowieka.

Juliusz Słowacki.

Paryż, Rue de Ponthieu 30.

Proszę pisz prosto pod tym adresem — a pisz długo... i często. Napiszę potem o litografii i o ekspozycyi tego obrazu.

2.

Rue de Ponthieu 30. Paryż, dnia 3 czerwca 1844.

Szanowny i drogi mi Stattlerze! — Oto Constitutionnel,[1]) Débaty i inne felietony wzmiankowały już o Machabeuszach; Trzeci Maj napisał o nich długo i po polsku — to jest, opierając się na zdaniu Pana Scheffera, który potrzebowałby także oprzeć się na zdaniu czyimkolwiek, a ja chciałbym, żeby to było jak najprędzej zdanie naszego narodu... Co do mnie, pisałem już otwarcie, co myślę o Machabeuszach i powtarzać tu moich przeczuciowych uwag nie będę, powiem tylko jeszcze kilka słów o malarstwie. Początkiem i źródłem malarstwa nie było naśladowanie natury, ale wizya, to jest, ta władza tajemnicza ducha naszego, która wzrokowi naszemu ciska jakieś dziwne błyskawice niewidzialnej piękności. Piękność bowiem nie jest tylko dobrem, jak to Sokrates powiedział, ale piękność każda jest jednym z kształtów świętości. Malarstwo więc poczęło się w duchu Świętych i błogosławione było przez Pana, dopóki sprawę Boską czyniło na ziemi. Lecz uważaj, drogi mój, że świętość nie zależy jedynie na malowaniu świętych przedmiotów, albowiem czyniąc to, może malarz być zupełnym materyalistą, równie jak każda dewotka, przywiązana tylko do formy kościelnej, mimo wiedzy swojej gorszą od Woltera materyalistką jest. Świętość więc w malarstwie jest zupełnie w duchu, nie w przedmiocie... Świętość w malarzu jest to zachwycenie się jego pięknością i zachwycenie piękności z powietrznej natchnień krainy. W krainie tej zaś są różne związki rzeczy istniejących na ziemi, rzeczy widzialnych, z myślą Bożą o świecie... tęcze te, girlandy słoneczne, krzyżujące się między sobą, łączące wszystkie zjawiska malarz

[1]) Czyt. Kąstitjusjonel.

w natchnieniach widzi... a czasem dopiero wtenczas, kiedy mu się z pod pędzla wyleją, spostrzega... Czasem więc malarzem jest Boskim z wiedzą, czasem zaś dziecięciem niewinnem, któremu duchy Boskie kilka tajemnic podszepnęły. Patrzajże więc, jak my poeci i malarze małą być możemy rzeczą!... jaką nikczemnostką i narzędziem mikroskopicznem w sprawie ducha na ziemi — a jednak krzep się, drogi mój, bo ziarnkiem ducha być w krainie ducha więcej jest, niż być skałą w świecie materyi.

Z listu twojego widzę, żeś przeszedł straszną rogatkę, za którą stoją tłumy materyalistów różnych wiar i różnego rodu, za którą cała teraz ekspozycya paryska wisi — co mówię! cała ekspozycya malarstwa klęczy przed ekspozycyą wyrobów kupieckich — krzyżem leży — prochem się zasypała; i zaprawdę godna jest tego, bo więcej ducha włożono w machiny niż w obrazy, a płótno na obraz robione większem się artystostwem odznacza, niż to, co później na nim malarz położy... Dobrze jest, żeś nie był w tem pandemonium kolorów i że teraz nie jesteś przy tem upokorzeniu ducha świętości przed duchem pożytku. Z radością myślę, że ty, drogi mój, w tym starym i spokojnym grodzie, jakby szlachcic dawny in fundo wieżę odsiadujący, albowiem takie to być musi uczucie wieżowej i podziemnej tęsknoty dla artysty, który spodziewa się co dzień, że zeń wyrok zdejmą i resztę niedziel wieżowych odpuszczą; z radością mówię, widzę ciebie stąd marzącego o najświętszej śnieżnej a zatem najbielszej... która ci się w rubinowych brzaskach wschodu pojawia; gdy spojrzysz głębiej, ujrzysz za nią drugą płomienną a za nią jeszcze dalej trzecią kwietną w rozpromienionej krainie stojącą. Rozmiłowuj się w natchnieniach twoich i we wszystkiem, co jest dobre i święte, albo nie będąc ani dobre ani święte, smutne jest; albowiem za temi dwoma pierwiastkami ducha tęsknij, a gdy natchnie-

niom formy nowe wynajdziesz, prowadź ludzi za rączkę do obrazów twoich, jakbyś to z maleńkiemi dziatkami uczynił, ciesząc się, że różne głupstwa maleńkie świegocą. Zaczaruj duchem twoim obrazy a potem bądź spokojny o nie i pewny, że one w swoim czasie czarować będą... kogo? ja nie wiem. Dłoń Boża jest pełna nowych duchów dla Polski i przyszłość nasza od otwarcia się tej dłoni zależy... Cierp więc, że żyjesz teraz i ciesz się, że cierpisz, bo ci, co nie cierpieli, w nic poszli i na długo nie rozradują się...

Nie odpisuję z osobna Strzeleckiemu, bo cierpię, że dotychczas polecenia jego wypełnić nie mogłem (on wie jakie). Racz mu więc tylko powiedzieć ode mnie, że to niespełnienie zupełnie nie z woli mojej pochodzi, ale z przerwania czasowego wszelkich listownych stosunków z osobą, która pisać ani odbierać listów nie może tam, gdzie jest, stąd, gdzie ja jestem. Zapory, którą mi położyła, przełamać (bez trwogi o nią) nie mogę. Jeśliby Strzelecki kochany nie był w Krakowie, racz mu te słów kilka, tak jak są, wypisać i przesłać, a on je zrozumie i sądzę, że mnie uniewinni i przychylność mi swoją zachowa.

A do ciebie, drogi mój, ufam, że cię z tej chmury, która przyszłość osłania, w którą już wielu duchów weszło, ciągła elektryczność ducha karmić będzie i że coraz głębiej ujrzysz się w mgle a między ogniami, gdzie blask o blask trąca a głos z głosem się zlewa, a ciepło serdeczne sercu ciepła dodaje... Idź więc i nie trwóż się, choćby na chwilę było ciemno i odludnie a jeżeliś uczuł, że cię kocham, to mi dochowuj przyjaźni, aż póki nie uczujesz, że zły jestem... to jest, że mnie pan Bóg opuścił.

Juliusz Słowacki.

Wkrótce wyjeżdżam nad Ocean, ale przy końcu sierpnia wrócę, czekając cię.

Pisz i nie frankuj listów, we wszystkiem bowiem trzeba wzajemności, nawet w małych rzeczach...

Jadąc do Paryża, dowiedz, się, proszę, o dwóch miniaturach ojca i matki mojej, które pani Szembekowa młoda dla mnie wiozła do Krakowa i podobno je panu Michałowi Wiszniewskiemu oddała, u którego być muszą, czekając okazyi... jeżeli je odszukasz, to proszę, zabierz je i przywieź.

3.

Nowy Rok. 1845. W Paryżu.

Juliuszowi Stattlerowi Juliusz Słowacki, przyjaciel Wojciecha Stattlera pierwsze pozdrowienie zasyła, jak dawni pastuszkowie wykrzykując radośnie, żeś się narodził, że jesteś z nami i zostaniesz po nas dziedzicem pracy naszej i wszystkich niepełnych radości naszych.

Słuchaj mnie teraz, bo łamiąc czas, nie będę mówił jak człowiek do dziecka, ale jako duch do ducha może większego od siebie.

Oto przyszedłeś z krain, gdzieś radował się radością wspólną duchów i cierpiał cierpieniem świata całego; na słońcach i księżycach opierały się ostatnie ramiona myśli twojej, a czucie cierpiało wszędzie, gdziekolwiekbądź przeciwko prawom miłości Bożej stała się jaka niesprawiedliwość. Teraz więc, gdyś oczki otworzył a pierwszy raz słońce złote zobaczyłeś, wyciągnąłeś rączki ku niemu myśląc i wierząc, że go dostaniesz, bo przed urodzeniem, myśl była rączkami twemi, a gdy uczujesz niepotęgę ciałka twego, niedługość rączek twoich, zapłaczesz w kołyseczce, i twój płacz będzie podobny do boleści ojca twego artysty, któremu często pokazała się święta słoneczna piękność i przed wyciągniętemi rękoma uciekła... Leż więc dzieciątko moje, spokojnie, jako duch ciałem spowity,

i ucz się praw, pod któremi siły twoje mają się objawić na ziemi.

Gdybyś przyszedł za czasów rzymskich, powiedziałbym ci: rozwijaj się tak, abyś doszedł do zupełnej harmonii z ciałem, rozlej elementa siły, czucia twoje pod równą miarą i wagą, do cnót twoich przydaj nawet wad nieco jak aptekarz, który nieco trucizny do swoich lekarstw przymieszywa; albowiem inaczej doskonałość twoja byłaby jako przeraźliwa białość nowego marmuru, ujmująca posągowi piękności... Lecz oto przyszedłeś w czasach nowych, w krainie, która te nowe czasy w kotle pełnym łez wygotowuje i trupów tam nawrzucała, i staremi kośćmi cmentarzy ognie pod kotłem podsyca, a wokoło jęk i wykrzyk oczekujących, którym się podług ich niecierpliwości nie staje zadość; jeszcze godzin kilka żywota a obaczysz to pandemonium straszliwe i od cie bie będzie zależało wybrać chór, do którego twój duch moce swoje przyrzuci; każdy bowiem z nowo przychodzących ma za pasem miecz Brennusa, który, jak wiesz, przeważył szalę tę, gdzie złoto ważono... rozpatrz się więc dobrze w głębi ducha swojego, bo może ty jesteś siłą sił, głosem głosów i ostateczną potęgą wszystkich potęg polskich. Tak pewny jestem, że ty jesteś z bratniej naszej gromady, że nam na pomoc przychodzisz. Stary ty żóraw może, bardziej już podarty od kul i wichrów niż owe sztandary, które od czasów Sobieskiego wiszą zapylone na Watykanie i pamiętają, że kiedyś z biciem serc polskich bywały zdobywane na Turku; może ty pełny snu o gwiazdach, jak Galileusz przychodzisz pogadać z kmiotkami polskiemi o astronomii. Może zaś powołaniem twojem będzie zawieszać niebieskie widzenia w kopułach. A może sam kopuły w chmurach przyszedłeś zawieszać... Któż ty jesteś dzieciątko moje? czemu ja mimowolnie gadam do ciebie jak do wielkiego człowieka? czemu chciałbym ci (jak umierający

a przywiązany do pana dóbr zawiadowca) zostawić doskonałe regestra wszystkiego, co pod moim było zarządem, spisać wszelkie informacye teraźniejszego stanu i czasu, abyś ty na przyszłość z mojej pracy i z trudów moich korzystał... Piszą mi, że ty już z wielką uwagą czarne oczy twoje obracasz. Gdybym ja wiedział, czego ty szukasz, dzieciątko moje, choćby ta rzecz była marą i rzeczą z ducha czystej krainy wyjętą... postarałbym się modlitwą albo siłą prostą poety dać ci w widzialnym kształcie tę myśl, to widzenie, jak cacko i podarunek Nowego Roku. Bo ja wiem, że w dzieciństwie tak szukałem duchów obracającemi się zwolna oczyma, a czarnoksiężnika przy mnie nie było, aż z rozpaczy zacząłem być samemu sobie dawcą rzeczy duchowych. To mówię o pierwszym noworocznym podarunku dla ducha twojego, bo gdybyś leżał, teraz przy mnie w kołyseczce i rączki twoje wyciągał, to w rączki te włożyłbym godny królewskiego dziecka podarunek — oto pomarańczę jedną, którą mi dziś szlachetny dawny żołnierz polski ofiarował na ulicy, jak pies do taczek z owocami zaprzężony, pomieszany z tłumem przekupników paryskich, między wózkami rzeźników, które psy ciągnęły — on! — żołnierz polski! jako jeden z nich, u którego ja z odkrytą głową tę pomarańczę kupiłem i sam zjem, aby mi sokiem czerwonym serce oblała... Pamiętaj i o tem jabłku Hesperydy, gdy wyrośniesz. Pamiętaj o nim, siedząc przy jakiej wielkiej uczcie narodowej, przy jakiej radosnej uczcie, abyś wiedział, jak przed tobą ludzie ducha ucztowali i żyli.

A teraz nie pójdę zwyczajem świata i życząc ci, będę ci życzył geniuszu — Geniusz — to Ojcostwo ludzi, w jednym duchu zamknięte i przychodzące na świat, aby świat umiłowało i przyszło tu samotne, aby z girlandą duchów zdobytych odeszło... Ojcostwo to już mające w sobie skrę tej radości, z jaką się po raz pierwszy słońca miłością ducha na niebiosach zapaliły.

Ojcostwo to, będące szerzynią ramion naszych i wysokością ducha naszego, jest najwyższą przedniebieską nagrodą duchów, póki tu na ziemi jesteśmy. Geniuszu więc ci życzę, geniuszu siły, która kiedy chce w słowie, kiedy chce w czynie, kiedy chce, w męce jak u Chrystusa objawia się a panuje zawsze nad słowem, czynem i męką, nigdy nie poddana temu, co czyni, ale Bogu jednemu w Niebiosach hołdująca — kto takiego geniuszu nie chce, ten nie wie, którą się drogą wchodzi do niebios. Wszyscy ludzie ostatecznie przez geniusz i cierpienie z nim połączone przejść muszą, albowiem po umartwieniu ciała naszego, po ubiczowaniu do krwi tego ciała, co jak pies głodny rwie się do jadła i posoki, gdy ono już ucichnie i stanie się sługą naszym. Duch wolny zaczyna czuć potrzebę podobnego ubiczowania się i zwyciężenia się w sobie samym, a zwyciężywszy się, zdobywa siłę najwyższą, która musi się objawić, czy to mieczem, czy słowem, czy tęczą kolorów; ta potrzeba wydania z siebie siły jest geniuszem, ona rysuje ducha takiego i czyni go widzialnym wśród mgły i zawichrzenia wypadków ziemskich. Ten duch, wyrysowany w pojęciu duchów, staje się modelem a stąd siłą czynną, przekształcającą niższych ludzi w wyższe istoty. Dla czegoż ty, dziecię moje, nie miałbyś wyobrazić ludziom na płótnie jak ojciec twój myśli ich i wspomnienia o dawnej Polsce, tej wschodnio-błyszczącej strony charakteru narodowego, która musi kiedyś wytrysnąć na wierzch obrazowością, podobną kolorytem do obrazów Pawła z Werony z równym zgiełkiem osób, z równą wrzawą kolorów na scenę świata wychodząca... Lecz jeżeli ty masz czarne oczy i głębokie spojrzenie, zostaw twórczość takich gobelinów jakiemu z wielkopolskich na to przysłanych pawełków... A weź za łeb tę szkołę malarską, która musi wejść tą samą drogą, przez jaką dumki ruskie do nas weszły. Widzę już, widzę stamtąd nadchodzącą szkołę niby wenecką, z ruskich

cerkwi wylatującą na nietoperzowych skrzydłach popiej sukmany, brodacze, na dnach, na złotych blachach, z pod topora Iwana Groźnego — uciekli i pochowali się w ciałach polskich, w których drżą jeszcze dotąd szataństwem jednego człowieka poprzerażani... Wysłów lub wymaluj to, o czem one wiedzą (nie wiedząc, że wiedzą) a będziesz nowym mistrzem Czyngiskanem malarstwa, przed którego czerwonym i czarnym pędzlem Wernety ulecą lub pękną jak bańka mydlana. Przeraź te duchy, lecz nie oddaj się im, bo zdradzisz czystsze.

Dzieciątko moje, ty wiesz o tem teraz, ale może zapomnisz potem, latając za motylami, grając w piłkę na tych dziedzińcach trawą zarosłych, po których niegdyś deptały stopy poważne królów, którzy byli powagą do Brutusów a czystością do Platonów podobni; przypomnę ci więc, że Polska jest to zbiorowisko najstarszych duchów, które całą przeszłość noszą w sobie. Każda więc myśl, każdy kształt z przeszłości wydobyty, rozweseli je. Każdą dawną piękność przyjmą jak siostrę wracającą z dalekiej podróży, ale przyjmą spokojnie, radośnie, bez entuzyazmu, bo dla nich głos nawet pani Sand jest starym głosem, nieco zachrypłym, dawnej kapłanki, która w Eleuzis śpiewała wierszami swoje kobiece skargi, na słabość własną kolcem zwrócone. Dla nich romans pana Sue jest to potrawa odgrzana składająca się z tych samych mięsa kawałków, co osieł złoty Apuleusza. Jakże więc je rozkochać? jak do nowego entuzyazmu zapalić?... Oto duchem trzeba odgadnąć ich pamiątki razem i przeczucia. Przeczuciom zwłaszcza nadać kształty widzialne, sny zamienić w rzeczywistość... a w tej pracy ciągle być na kolanach przed Bogiem ciągle pić siłę Boską i ciągle ducha swego urzeczywistniać sposobami, jakie są ciału naszemu zostawione...

Ty, dzieciątko moje, obudzisz się i znajdziesz pod ręką przez ojca twego roztarte kolory, obaczysz

wszędy myśl ojca twego ze ścian, z płócien na ciebie patrzącą, nie obronisz się pociągającym uśmiechom piękności, pójdziesz za nią i będziesz pracował dla nowej epoki, wspomnij wtenczas o mnie, a to dla następnej przyczyny...

Przed stu laty (blizko) urodził się w Krakowie Jan Śniadecki, ten człowiek po upadku i wymarciu Stanisławowskich czasów wziął Polsce berło ducha i utrzymywał je aż do roku 1831 nie słowem ani czynem, ale prosto siłą w sercu będącą — duchem, który w nim przybrał kształt bronzowgo posągu i wielkością jakąś tajemniczą działał na ludzi. Nikt nie zbliżył się do tego człowieka bez trwogi i poszanowania; on też, siwy, ośmdziesiątletni starzec, jak wulkan śniegiem pokryty, bo tak go słowy odmalowali sobie Litwini, stał dumny, twardy, niepochylony przed nikim, nawet przed Napoleonem nie drżący. Przy tym człowieku ja, dziecko, igrałem jak przy wielkim posągu, ale ten lew brązowy zdawał się nie uważać na mnie, nie wiedzieć, nie czuć, że ja egzystuję na świecie; jam też był przekonany, że oczy jego siwe mnie nie widzą, że ucho jego wyrazów moich nie słyszy, i nieraz wrzał we mnie gniew a serce gotowało się na jakieś straszne wysilenie sił duchowych, aby ściągnąć czynem albo pieśnią tego człowieka uwagę... Stało się jednak inaczej... Młokos jeszcze, skończywszy w uniwersytecie moje nauki, niczem nie odznaczony, opuszczałem Litwę na zawsze i wózkiem pocztowym leciałem na południe, do mego Krzemieńca do moich Aten, abym w nich szerzej odetchnął i przygotował się do walki żywota. Przejeżdżając około wsi brązowego Jana, wstąpiłem do białego pałacu w Jaszunach pozdrowić go raz ostatni i pożegnać... Czas był obiadowy; starzec, u którego ja często dawniej do stołu siadałem a zawsze jako dziecko zawsze widząc, że najpierwej Jowiszowi litewskiemu, potem gościom a potem mnie podawano

półmisek. Tą razą zaprosił mnie na obiad. Osób było cztery, siedliśmy do okrągłego stołu, miejscem więc nie odznaczeni. Lokaj stary, zwyczajem w domu zachowywanym, z pierwszą potrawę zbliżył się do pana Śniadeckiego; on wtenczas, poważnie, półmisek od siebie odsunął i pokazał lokajowi, aby ode mnie usługę swoją zaczynał... I tak szedł cały obiad w wielkiem milczeniu. Mój duch był pełen pokory razem i królestwa...

Piszę ci o tem, Julu mój, abyś wiedział, że między trumnami a kołyskami są wielkie tajemnice — abdykacye trumien — i ukoronowanie ludzi w pieluchach jak ty leżących. Oby ta kruszyna siły narodowego ducha, która we mnie była, poszła moce twoje pomnożyć. Oby ten list, za lat dwadzieścia pożółkły i na pół spróchniały, zachował w sobie trochę woni ożywiającej, i do ust twoich podniesiony był jak miód, i płomień za serce twe młodzieńcze chwytający. Piszę go dla ciebie tylko i piszę z trudnością, bo gram na instrumencie, który jeszcze mi nieodpowiada, bo siła twoja jeszcze ze mnie siły żadnej nie wyciąga. Ty jeżeli za lat dwadzieścia zechcesz mi odpowiedzieć, uczujesz podobną trudność, bo wtenczas ja ci nie odpowiem ani siłą, ani głosem.

Pokój temu domowi, który płaczem twoim nie smutnieje a uśmiechem twoim rozwesela się. Pokój tej willi, która jak loretańska chata skrzydłami złotemi z Włoch przyleciała i usiadła blizko trzech mogił — nad Wisłą... Przez ten dom, jak przez wrota ze słoniowej kości, przez które, podług Homera, sny ludzkie przychodzą na ziemię — piękność przechodzić będzie i osiedlać w Polsce swój lud cudowny ideałów. Ty maleńki odźwierny tych podwoi na gwiazdę zamkniętych, tęczą zaryglowanych, otwieraj je jak aniołek ojcu twojemu Wojciechowi; niech mu żadna godzina w ciemności duchowej nie mija... Kwiatków ma pełno w domu, i dzieciątek mu Bóg nasyła —

czegoż on się smuci? dla czego wątpi? O tym smutku i zwątpieniu będę długo kiedyś pisał srogo i groźnie. A teraz ściskam serdecznie i dziękuję za przysłane mi miniatury — o miniatury!!!

Przez trzynaście lat twarz mojej matki w sercu nosiłem... lice jej stało się w myśli mojej podobne której z madon hiszpańskich. Twarz straszna, bolesna, schorzała, w ogromnych oczach zielonych nosiła błyskawice i łzę Marty zaglądającej do grobu Chrystusa. A te oczy obwiedzione księżycami sińców, oczy oglądające się za synem nawet z krainy niebieskiej, oczy we mnie zawsze wryte, o moją boleść pytające się — oczy lekarki serdecznej — i świętej — i matki — zwierciadła, przez które duch królewski wyglądał — te oczy — ta twarz cała — ten koloryt w zmiłowanej pamięci mojej, który ją ociemniał i oświecał — i czynił podobną obrazowi świętemu, który gdzieś w alkowie królewskiej, z pod karmazynowych firanek na poły odsłonionych ludziom się pokazuje i strachem świętym przenika — to wszystko, mój Wojciechu, wiesz, widziałeś, w co się zamieniło pod ręką bezserdeczną jakiegoś malarza!... Ta miniatura wydarła z myśli mojej bezcenne płótno, na kawałki je potargała i chybaby teraz sam Murillo[1]) przyszedł obraz ten restaurować — a ja miał milion, abym go mógł za pracę wynagrodzić... Przyznaj mi, że taki miniaturysta, jak ów mój, jest szczurem gryzącym obrazy i płosz pięknością tych karykaturzystów natury. Ściskam serdecznie Wojciecha rączkami Juliusza.

Słowacki.

---

[1]) Czyt. Murillo.

4.

Wrocław, dnia 9 czerwca 1848.

Kochany i zarówno mi zawsze drogi Stattlerze.

Ze strony dobrych aniołów przyszedł mi twój list. Od miesiąca już siedzę we Wrocławiu, znużony wędrówkami, w których Bóg mię strzegł, ale w skutkach nie pobłogosławił. Od miesiąca już różnemi drogami piszę do mojej matki, prosząc, aby tu przybyła i żadnej od niej nie odbieram wiadomości. Sądziłem więc, że już Lwów opuściła — gdy nagle, list kochaną twoją ręką pisany donosi mi, że ona ciągle we Lwowie, bez żadnej o mnie wieści, dręczy się i smuci, równie jak ja niespokojna i w skomunikowaniu się ze mną bezsilna. Proszę cię więc, ponieważ i Bóg tak chciał, bądź mi w tym wypadku pośrednikiem i pomocą, a list załączony tu mojej matce prześlij. A nietylko o to upraszam ciebie, ale proszę, abyś jeszcze osobno, sam do mojej matki napisał, donosząc jej, że jestem we Wrocławiu, zdrów i jej przybycia, a jeżeli to być nie może, to choć na list od niej jestem oczekujący. Adres mój jest: Herrn Stahlschmidt in Breslau, Bahnhofstrasse, Nr. 5. W środku listu niech będzie moje nazwisko.

Daruj mi na ten raz, że ten list niecierpliwością synowską podyktowany tak mało, zda się, miłosny jest dla ciebie i tak nie wiele ku twemu duchowi nachylony. Ale wiesz, iż często i często myślałem o tobie i w duchu widziałem cię myślącym zwłaszcza nad obrazem Chrztu i pod światłem tej białej gołębicy, która nad wodą Jordanową wówczas świeciła. Teraz mi o innych twoich pracach powiadano. Myślałem, że sam je ujrzę, ale mię Bóg gdzieindziej odwrócił. W nim nadzieja. W ścianach twoich, tęczami

myśli świecących, także część w przyszłości rozweselenia mego, jeżeli się duch w pełności weselić będzie. Ściskam cię.

Brat twój *Juliusz Słowacki.*

List do mojej matki racz zaadresować podług wiadomości, którą masz o niej.

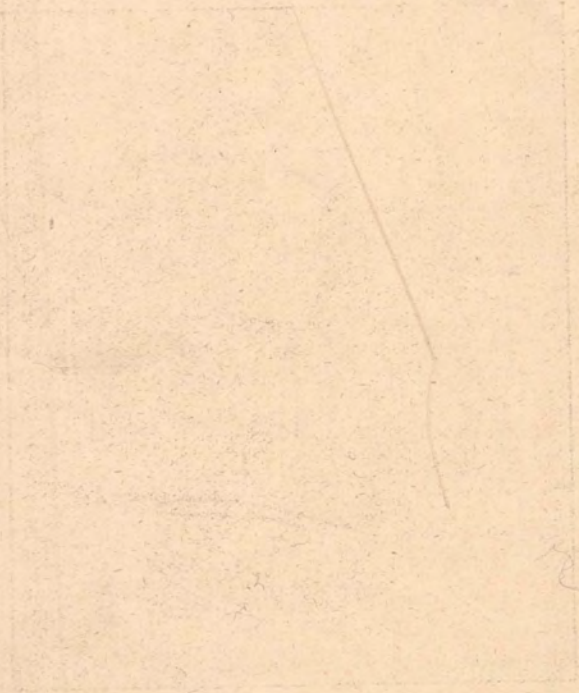
5.

Wrocław, dnia 22 czerwca 1848.

Daruj mi, szanowny i ukochany mój Wojciechu, żem ci w pierwszych dniach widzenia się z matką moją nie napisał, o ile ci wdzięczny za nią jestem. Chwile te jednak milczenia nie były stracone. Matka moja, przenikniona czcią i wdzięcznością dla ciebie, nie przestaje łączyć mię i zapoznawać coraz ściślej z pięknym duchem, który ulatuje nad tobą i nad twoją świętą rodziną. Wprowadziła mię ona w progi domu twego, zapoznała mię z pięknemi aniołami, którzy cię otoczyli i olśnionego blaskiem natchnienia i piękności prowadzą pod pachy w drodze żywota, niby drugiego Homera. Słyszałem z jej ust prawie jakiś dźwięk jaskółczany gzemsów domostwa twego. Oprowadziła mię wszędzie, pokazała nawet leżącą na pniakach postać umęczonego Słowianina, nad którym dłuto twego dziecka pracowało. Błogosławieństwo Boże, widzę, że świeci nad tobą. Cóż dodam? ja, który dla ciszy domu twego i dla świętości jego zostałem przejęty uszanowaniem i to milczenie ścian napełnionych obrazami z ducha twego stworzonemi uczciłbym także tylko milczeniem, gdyby mię Bóg w drzwi twoje kiedy wprowadził. Czuję się zupełnie bezsilny względem ciebie. Wdzięczny ci tylko za najradośniejszą chwilę życia mego, którą ty jako pośrednik między mną i matką sprowadziłeś... Wierz mi, kochany



Józef Komierowski.



Wojciechu, że mi ją było miło z rąk twoich, w ręce moje niby przeniesioną, odebrać... Zdawało mi się, żeś mi ją przez powietrze pełne Rafaelowych aniołów podał. A uczyniłeś to z taką czarodziejską artysty potęgą, że wsadzona przez ciebie do powozu, gdy wysiadała, pierwszego mnie na debarkaderze spotkała. — Ileż w tem cudu serca i woli dobrych ludzi widziałem! Jaką moc związku w duchach miłością związanych spostrzegłem!

Dzięki ci więc i raz i drugi i trzeci za dobre, stałe i poczciwe serce twoje, które raz zgodnie z mojem sercem uderzywszy, już się bić wspólnie z sercem mojem nie oduczyło. Dzięki także całej twojej rodzinie, która mi matkę moją rozradowała samym widokiem wzrostu i rozkwitania talentów, które się dzieje przez ducha w dziateczkach twoich. Dziękuję ci i z dziateczkami twemi ściskam cię, prosząc, abyś chciał uczuć dla mnie to, co czuje dla ciebie teraz serce moje radosne, że ciebie kocha.

Twój *Juliusz Słowacki.*

6.

Paryż, r. Ponthieu. W dniu Bożego Narodzenia.

Tobie i domowi twojemu szczęścia życzę, kochany Stattlerze. Przez pięć lat pracowałem tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki tej pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe są to ziarnka i nie wiem nawet, czy Chrystus Pan zechce kiedyś światłością swoją dopomódz, aby wyrosły i kłoski swoje prosom podobne porodziły. A jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja żywa lepszą jest niż praca moja umarła, która już w foremkach się swoich glinianych pokazała i nazywa się poezyą moją. Proszę cię, kochany przyjacielu, wierz w to, iż odoso-

bnienie moje od ludzi nie jest z woli mojej. Ale stąd pochodzi, że jeszcze zasiew mój nie godzien jest pola większego. Czasem zaś osobność moja jest wstydem, takim samym jak był wstyd Ewy i Adama, po wyjściu z rajskiej krainy. Straciwszy moc wskrzesitelną, boję się, wśród ludzi, śmierci przydawać mocom śmiertelnym i umarzającym. Boję się, abym nie rozweselał graniem na piszczałkach — tych, którzy przez wiek swój cały nigdy się muzyki anielskiej nie dosłuchali, ani mają w to wiarę, iż się odemknąć mogą nagle niebiosa, a na uszy nasze spaść może harmonia sfer nie do wytrzymania. Wszakże w tem odosobnieniu, w którem żyję, częściej niż mniemasz, byłem z tobą, bo w to wierzę, iż dalekie od siebie duchy, wspólnie razem pracować i wspomagać się mogą — świętem przyzwaniem — i wysoką modlitwą stchnięte. Więc z tobą, który także wiem, iż często krwawym potem oblany, z wnętrzności ducha twojego radbyś wydobyć na chwałę Panu twemu jaki kwiat świeży i złoty, któregoby piękność o twórczości wnętrznej ducha świadczyła, z tobą, aniołem stworzycielem globowym, w skorupiance tu glinianej uciemiężonym, często bywałem. I serce moje w tem żadnego mi wyrzutu nie czyni. Bom w przyjaźnej miłości stały jest, sądząc ją nawet wieczną. Innej bowiem nie znam jak ta, która w nieśmiertelny związek dwa duchy wiąże i dopiero w słońcach złotych celów ostatecznych dopiętych rozwiązać się musi. Takim przyjacielem a raczej bratem jestem tobie, dla twojej woli dobrej i świętej, która nad ludzkie drogi cel sobie wyższy obrała i ciągle do niego dąży.

O przyjacielu mój, więc zgromię cię za upadek twój, o którym piszesz, a zgromię za to, żeś uwierzył w to, iż upaść można. Ja bowiem wiem, iż Pan Bóg nie opuścił ciebie, a nawet widzialnie łaskami cię natchnienia obdarza. Wielu z młodych braci mówiło mi z uwielbieniem o twoich świętych obrazach, a ci, któ-

rzy obrazów nie uczcili zachwyceniem, zostali shołdowani tobie pięknością dzieci twych tak, że mi teraz, kilka dni temu, będąca tu Pani Bobrowa o zjawieniu się dzieci twoich w oknie jak o zjawieniu się aniołów mówiła. Patrzajże w tem znaków Bożych i zrozum to wyświęcenie domu twego, które jest znakiem łaski i zapowiedzią chwał duchowi twemu zgotowanych. A sprawami przemiennymi świata nie martw się i nie brudź kolorów ducha swego. Sprawa Boża postępuje, my się porwiemy do życia, jej światłością rozbudzeni.

Wylawszy tak jednym ciągiem pióra moją serdeczną myśl i wolę dobrą ciągle ku tobie zwróconą, żegnam cię, drogi przyjacielu, i proszę, abyś do pracowni swojej wchodził z tą wiarą, że światło z twoich obrazów wybłyśnie i odda ci tę moc ducha, którą ty w te zwierciadła natchnień włożyłeś. A wtenczas nowa c moc będzie daną — o co Boga proszę i przyjaźni sę twojej polecam.

Juliusz Słowacki.

Lis do Adama przez jednego z braci zaraz odesłałem.

Jescze ci raz całem sercem dziękuję za ugoszczenie trzdniowe matki mojej. Odjechała ona do kraju z wymarzwanym w sercu obrazem domu twego. Czemże ja ciodsłużyć mogę?

Jescze prośba. Nieraz przed panią Zofią Węgierską chwaliłem się z tej miłości, którą mnie serce twoje darować raczyło; teraz ona, będąc w Krakowie, zechce zapewne odetchnąć powietrzem twojej artystowskiej dziedziny. Może nawet odwołać się zechce do imienia mojego, proszę, abyś był przychylny tej osobie, która wierzyć w ludzi i wiary od ludzi potrzebuje. A jest piękną i zdolną zapału i uwielbienia. Chciałbym, aby wszystko to, co ma w sobie pierwiastek życia, zbliżało się, stawało w jeden wieniec wza-

jemnie pobudzający się do ruchu i do wspólnej harmonii. Obracajcie się w krąg, jak dawne greckie godziny, piękne i śpiewające, a nie dawajcie się uciemiężać starym formom, które stoją dlatego, bo są spróchniałe, i wszelkiej twórczości świętej zaprzeczają. Ty, kochany Wojciechu, bądź regulatorem tego zegara i pomagaj ruchowi godzin, a nie pozwalaj, ażeby która wykroczyła. Czyń to, co ja, bądź z miłością ale groźny.

PRZYPISY.

Wojciech Stattler, malarz i profesor malarstwa w Krakowie. Z Słowackim poznał się za pośrednictwem Goszczyńskiego w Paryżu roku 1843. Stattler malował Słowackiego i dał synowi swemu na imię Juliusz.

LIST 1.

Stattler wymalował obraz Machabeusze wystawiony w Paryżu.

Kurdowie, naród azyatycki.

Camuccini, Ingres, malarze.

Biruta, żona Kiejstuta — była w młodości kapłanką pogańską.

Szarlatanerya — mydlenie oczu.

Ateneum oznacza tutaj przybytek.

Arlekinada — przebranie błazeńskie.

Podług wiary muzułmańskiej dusze umarłych przechodzić muszą most Alziraku opisany jak w tekście.

LIST 2.

Scheffer, malarz ówczesny.

Wolter, bezbożny pisarz francuski.

Ekspozycya — wystawa.

Pandemonium — całe piekło.

Wiszniewski Michał, profesor krakowski wybitny uczony.

LIST DO WŁADYSŁAWA SŁOWACKIEGO.

14 marca 1845 roku. Paryż.

Najukochańszy Bracie!

Ośmnaście lat blizko czekałem, aż się ta dziecina, którą ja niegdyś widział na ręku piastunki, odezwie się do mnie... List twój drogi mi był, ucałowałem go, jak gdyby to było czoło twoje, albowiem jak na czole człowieka, malowała się na nim męska duma, dobre serce i szczere jakieś braterstwo. Niechże ci Bóg rozjaśnia te stepowe pola, po których ty z dumą na ustach lecisz za biednym zającem, niech ci będzie dobrze w tym domku twoim, którego ja nie znam, lecz maluję sobie myślą, oczami duszy mojej, że jest drewniany, otoczony zielenią drzew, a cichy wewnątrz i przeświecony często strzałami brylantowego słońca... Ty masz godziny spokojne; ja, mój drogi, mam tylko uczucia wypełnianego ciągle obowiązku, a tyś to jedyne uczuciowe szczęście pojął — boś mi w liście wyraził, że mnie za to kochasz, i że to praca moja połowicę całej miłości braterskiej zyskała u ciebie, do której ty drugą połowę pokrewnej a zawsze w szlachetnych sercach odzywającej się miłości dodałeś... I tak całego mam w sobie brata — na sercu twojem nieraz oprę znużone czoło ducha mojego — z ufnością myśli moje do twego domku poślę w odwiedziny...

Duchy ojców naszych przytomne ci były, kiedyś powziął myśl odwiedzenia matki mojej... Oni oba wiedzą i widzą teraz i chcą związku między nami — i wiedzą że ten tylko być może, kiedy się w bolesnym sercu tej wdowy spotkamy i umiłujemy. Do niej więc zbliż się, mój Władysławie, i ukochaj ją. Bez niej, drogi mój, oto ja przez piętnaście lat walczyłbym nie o sławę imienia naszego, ale o nędzny kawałek chleba, który tu na bruku leży — błotem nieraz okryty — a jednak celem jest walki ludzi zgłodniałych. Bo wiedz, że dopiero po dziesięciu latach książki moje zaczęły tak jak twoje łany, ziarno mi posiane oddawać. Ona więc, mnie starego, drugi raz piersią karmiła, a cóż powiedzieć o łzach i boleści za mną uronionej... Na tę pamięć zaklinam cię, mój Władysławie, bądź dla niej jako syn, a ja wiem, że ona ci będzie matką. A ty przy niej, chłopcze stepowy, skraśniejesz, bo dzieci przy matkach mają rumiane twarze i rosną prędko... Co do mnie, proszę cię, niech ja będę przytomny w domku twoim, czy to doń szczęście, czy niepomyślność jaka zapuka. — Serce moje które teraz dziwnie odkwitło i pełne jest miłości dla ludzi i pełne cierpienia nad światem, wierz mi, że całe serce twoje pojmie i z wielkiej piękności w tobie odkrytej uraduje się... Nie zmieniaj się, bo z listu twojego i z poezyi twoich widzę, żeś pięknym jest i wzniosłym duchem, ale rośnij... Z tych niebios szerokich, nad tobą rozwieszonych, pij Boga i tym Bogiem w siebie wetchniętym działaj. Niechaj Władysławem otchniona otoczy cię gromadka przyjaciół, którzy w tobie Erazmową i Euzebiuszową (ich ojców) razem potęgę myśli i czucia poczują, a tak dusze nasze chociaż przestrzenią rozdzielone, zbliżą się do siebie a nie rozłączą się na wieki... Gdybym cię tu miał, przez ogień serca mojego przepuściłbym ciebie i stopił, jak kawał ołowiu, albo z tego uścisku

oddał ludziom złotem szczerym i godnym choćby uwieńczać najwyższych świata... Daruj mi ten wykrzyknik. — Są to nieraz krzyki ducha mojego, kiedy walczy ze światowej formy oporem...

Twój *Juliusz.*

PRZYPISY.

Władysław Słowacki (1826—1858), syn Erazma. Mieszkał na Ukrainie. Mimo niepospolitych zdolności nie doszedł daleko, dostawszy się w kółko złotej młodzieży — w ówczesnej zabójczej atmosferze ukraińskiej. Melancholia odziedziczona doprowadziła go do samobójstwa.

LISTY DO SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO I RUTKOWSKIEGO.

1.

26. XI, 1847 r.

Kochany Bracie Sewerynie!

Głęboko dziękuję Bogu, że mi w Twoim duchu braterstwo tworzy i zachowuje — jest to dla mnie czas łaski — wiele mi serc, do których kołatałem, otworzyło się — samotność moja została ze mnie zdjętą — z różnych stron ludzie odzywają się do mnie. Duch prawdy i świętości, któremu służę, daje mi moc — że ze stratą płuc moich ciągle nad sprowadzeniem światłości w duchy ludzkie pracuję.

Sam pojmiesz, ile mi drogą była teraźniejsza odezwa Twoja. Nie zapomniałem nigdy o Tobie, bo wewnętrzną wartość czuję i poświęcenie się Twoje sprawie Bożej wdzięcznością mnie dla Ciebie napełnia. Jak nieśmiertelny wiem, że z Twojego zasiewu nieraz owoce zbierać będę w przyszłości — w wiekach odezwie się nieraz echo głosu Twojego — i z ducha Twojego uczynki urodzone spotkam po wielekroć na drodze pracy mojej — dopokąd mnie Pan spracowanego od męki głodowej nie uwolni. To samo, jak sądzę, czujesz już, widząc trud, który nas na drodze świata spotyka. Mało nas jeszcze i nie silni jesteśmy. Czas opiera się na naszej duchowej potędze — wszystkich sił z ducha naszego wydostać musim, abyśmy mgłom i ciemnościom zewnętrznym zupełnego panowania nie dali.

W tem przeświadczeniu od dawna staram się już, aby jakakolwiek materyalna pomoc głoszącym prawdy duchowe, przyjść mogła z kraju. Staram się, aby dla wydawnictwa dzieł prawdziwie rozwidniających cele Epoki nowej, jakie fundusze złożono. Osobiście jeszcze o to ziomków prosić nie mogę, bo dotychczas samotny i bez żadnego miłości bratniej poparcia — osobą moją i przykładem chcąc służyć sprawie, nie mogę jeszcze o wysokim tonie, i bez zdrady niejako ogólnego ducha sprawy — o pomoc pieniężną u narodu mego upomnieć się. Ufam jednak, że mi to Bóg wkrótce łatwem uczyni — a wtenczas wezwę Cię do braterskiego na tej drodze piśmienniczej udziału — sam zaznaczysz granice, w których będziesz mógł udzielić mi współpracownictwa Twego — a wolność Ducha twego uszanuję — i nic nad dobrowolne Twoje schylenie się ku mnie, nie będzie dla Ciebie warunkiem. Ta myśl o której piszę, prawdziwie urodziła we mnie z prawdziwego i świętego westchnienia nad niedolą Twoją i nad uciskiem cielesnym, z którym ty się, syn ojczyzny najstalszy, tak długo mocujesz. Bóg widzi, że mię to boli, jak brata.

Posyłam Ci teraz na razie 60 franków, prosząc, abyś w duchu swym tego posłania nie liczył i nie zapisywał... Mianowskiego widziałem przed kilku dniami — teraz trochę chory będąc, nie wychodziłem z domu i nie wiem co się z nim dzieje, bo do mnie nie przychodzi. Spodziewam się jednak, że to nie z obojętności pochodzi, bośmy się ze łzami witali. Niech Cię Bóg strzeże i opiekuję się Tobą.

Twój brat *Juliusz Słowacki.*

(P. S. I.) Proszę Cię — jeżeli widujesz, pozdrów brata Rożyckiego ode mnie, ale tylko wtedy, jeżeli sądzisz, że mu braterskie moje i pełne miłości

wspomnienie, nie będzie obcem — i uczuciu duchowemu przeciwnem. Bóg Ojców naszych niech będzie nad Wami!

(P. S. II.) Proszę Cię, nie zostawiaj mię długo bez wiadomości o sobie — mów jak do człowieka, który przez 5 lat pracował nad sobą srogo i bez przebaczenia dla win własnych.

2.

Paryż, dnia 5 Decembra 1847 roku.

Kochany Bracie Sewerynie!

Nowy Rok następuje — pozdrawiam Cię w Duchu świętym sprawy łącząc się z Tobą w oczekiwaniu i w trudzie teraźniejszej pracy. Czuję Ciebie, choć daleko jestem od Ciebie — i proszę Boga, aby na drogach prawdy, w dopełnieniu czynu zbliżył nas i razem postawił. Zmęczony jestem wielce pracą z ludźmi, a jednak czuję, że nie bez owocu za moje usiłowania. Wielu się przybliżyło i rozjaśniło w Duchu nowej epoki — braknie tylko wspólnictwa serdecznego od Was, któreby mię samego wzmocniło i do swego usiłowania mocnym czyniło. Ufam jednak Bogu, że wejrzy w głąb duchów i usprawiedliwi sumienia ludzkie.

Pisałem do Ciebie dnia 26 Nowembra — nie wiem, czyś odebrał list mój i posyłkę. Teraz, chociaż nie wiem, czy Cię pod tymże samym odresem mój list dojdzie — piszę i posyłam, co mogę — a przed Nowym Rokiem niewiele mogę — wolę jednak upokorzyć ducha mego nędzą tego czynu, niż zostać bez ofiary — zwłaszcza że śnieg widzę padający i — i smętek wielki powietrza i ucisk zimna — a sam od tych wszech rzeczy obronion jestem przez łaskawość Boga.

Upraszam Cię, abyś mi odpisał choćby słowo jedno — dla uspokojenia mojej myśli.

Mianowskiego poszedłem zaraz był odwiedzić, abym go pozdrowił od Ciebie, lecz Bóg tak chciał, że go nie zastałem i że ten człowiek, kuzyn mój — bez pożegnania się ze mną wyjechał z Paryża.

Wybacz mi że krótko piszę — milczenie Twoje względem mnie nie upoważnia mnie do dłuższego pisania. Ściskam Cię więc serdecznie i proszę, abyś mię wspomagał modlitwą Twoją i dobrą wolą Twoją. Sam to czynię.

Załączam franków 20.

Twój brat *Juliusz Słowacki.*

Rue de Ponthieu, 30.

3.

Kochany Sewerynie!

Byłem u Ciebie i w piątek i dziś po dwakroć, chciałem odwiedzić Ciebie i prosić, jak mi polecił Stattler, malarz nasz godny, abyś mu jutro, to jest w poniedziałek, posiedział do portretu. Mieszka on na ulicy Savoie Nr. 5. — zwykle rano oczekuje na swoje oryginały — jeżeli więc czas mieć będziesz, daj mu się.

Życzę Ci zdrowia.

Juliusz Słowacki.

4.
DO RUTKOWSKIEGO.

Brat Seweryn Goszczyński w imię miłości braterskiej wezwał mię, abym Ci ten list załączony odesłał. Temu jedynie Duchowi posłuszny spełniam jego żądanie, oświadczając, iż mam polecenie ażebym pisma, o których jest rzecz, jeśli będą u mnie złożone, podług adresu porozsyłał. Racz więc w tym razie sam osądzić, jak Ci w tem duch sprawy postąpić rozkazuje — i wierz, żem Ci jest zawsze życzliwym sługą i w Duchu Chrystusowym Bratem.

5.
DO GOSZCZYŃSKIEGO.

Jużem był napisał list do brata Rutkowskiego przesyłając mu pismo twoje, gdy po głębszej rozwadze Duch Chrystusa zabronił mi udziału wszelkiego w sprawie, do której w Duchu miłości i prawdy nie zostawszy użyty, teraz powołany do niej nie w imię Boże, musiałbym jej jako narzędzie cielesne służyć, przez Ducha rozszczepienia powiększyć rozdział, którego winien nie jestem. Przez zatrzymanie pism waszych uważam rzecz za spełnioną — z wyjazdem zaś brata Adama oddanie tych pism, nie mogących go już zatrzymać, stałoby się nie w Duchu prawdy, ale w duchu legalności, któremu ja służyć nie mogę, albowiem jest marą i oszukaństwem człowieka, którego zwodzi z drogi, zaspakając i uwalniając go od prawdziwego czynu.

Do Mistrza należy powiedzieć otwarcie, jeżeli krok Adama jest lub nie zgodny z natchnieniem Ducha świętego, pod którym on Koło swoje postawił

i w najwyższym duchu utrzymać obiecał. Wy bracia na braci cząstkowo sądu zwoływać nie możecie, a jeżeli mnie za brata prawdziwego nie uważacie, to mnie jako instrumentu używać wam nie wolno, zwłaszcza używając mnie za narzędzie w oddaniu aktu, na którym podpisu Mistrza nie widzę, tak że mnie od odpowiedzialności żaden urząd nie zasłania. Do takiego czynu mógłby mnie wezwać którykolwiek z braci w upadku będący, a wtenczas samibyście mnie potępili. Azali brat Adam jest za swój czyn od Mistrza potępion?

Cierpię ja mocno za wszystkie rzeczy, które się przeciwko Sprawie dzieją, a jeszcze straszniejsze jej męczeństwo przewiduję. Wszakże nie wewnętrzną i ciągle żywioną kłótnią w Kole, która żar fałszywy rozżarza i ducha w zamknięciu trawi — ale publiczną i otwartą Ducha Sprawy twórczością. Czynem, zasiewaniem Ducha prawdy, zaradzić złemu usiłuję spodziewając się, że tem najlepiej przeświadczę braci o mojej miłości, jeżeli ze mnie tylko pożytek a nigdy zgorszenia mieć nie będą.

Teraz czyn, którego po mnie, kochany Bracie Sewerynie żądasz, choćby w duchu usprawiedliwiony, wyszedłby na publiczne zgorszenie — tak jak uchylenia się moje dawniejsze z Koła przez was samych zamienione było w akt żółci i zazdrości — i utraciłby tę niewinność wewnętrzną i zewnętrzną, za którą ty sam brata Adama napominasz mówiąc, „że go o złe zamiary nie posądzasz, ale o to tylko winujesz, że stan, w jakim on się znajduje, obróci czyn jego przeciwko Sprawie.“

Dlaczegożeś względem mnie nie miał tej braterskiej miłości, a nie rozsądził równie, czyli położenie moje względem paryskiego Koła pozwala mi być skarg wznosicielem ... i podżegaczem sporów, choćbym w duchu swoim żadnej nie miał winy?

Oddaję to, bracie Sewerynie, pod twoją braterską rozwagę prosząc, abyś w miłości twojej dla mnie usprawiedliwił mnie, a jeśli mnie winnym w Sprawie sądzisz, modlił się za mnie i dla mnie o światło. Teraz światło właśnie przeciwko ziemi radzi mi polecenia twego nie spełnić, a nie obalając wiary w Koło, która jest w Adamie — a rozsądzenie ostateczne czynu — duchowi, który wszystkie wyświeca, na końcu pozostawić. W oświecenie mocno wierzę i w oczekiwaniu tej godziny strawię w boleści ducha mego boleścią dobrowolną nad światem, ile razy upadnie.

Wzywam was nareszcie z najwyższą żałością; nie przez spory ludzkie, ale przez naukę i czyn postawcie otwarcie i wysoko ten sztandar, którego już nie widać, do którego już ja nawet w pracy mojej z ludźmi powoływać nie ważę się, bo części jego widzę rozdarte i po wszystkich wiatrach latające Mowy brata Adama od roku w Kole miewane...

PRZYPISY.

LIST 1.

Karol Różycki, jeden z najdzielniejszych generałów w r. 1831. O nim wiersz Słowackiego p. t. Proroctwo.

Mianowski, patrz „Listy do Matki."

LIST 3.

Stattler, por. listy do W. i J. Stattlerów.

LIST 4 i 5.

Słowacki należał od r. 1842 do Koła Towiańczyków, ale z powodu odmienności zdania wystąpił z Koła. Z niektórymi członkami Koła mianowicie

z Goszczyńskim utrzymymał nadal stosunki. W Kole tymczasem spory i niesnaski wrzały. Kiedy Mickiewicz r. 1848 wyjechał do Rzymu, przeciwnicy wyjazdu, osobliwie Goszczyński i Rutkowski założyli przeciw temu protest i chcieli Słowackiego skłonić do współdziałania. Słowacki wszakże nie dał się spowodować do czynnego wystąpienia.

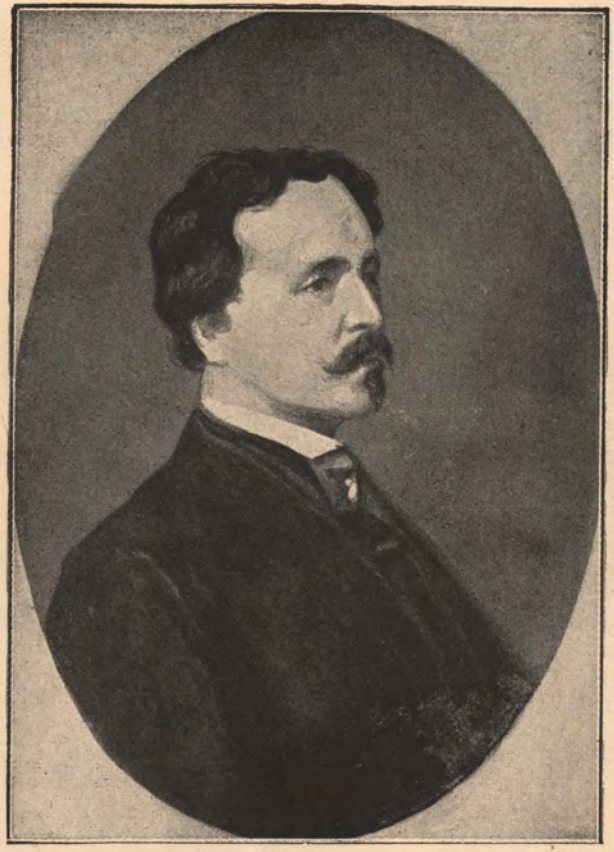
LIST DO GEORGES SAND.

Pani!

Kiedy Polska zmartwychwstała wywiera wpływ ożywczy na ducha europejskiego, pozwól pani, że nieznajomy będzie ci mówił o idei tajemniczej poruszającej ten męczeński naród i popychającej go, zdaje się, koniecznie do nowych ofiar. Zwracając się do tak wielkiego umysłu, jakim jest twój, pani, myśli że niepotrzeba się tłómaczyć ze stylu swego. Sądzono czyn krakowski jako akt podniosłego obłędu; dozwól, pani, że go pokażę, jako wysiłek konieczny.

Narodu co instynktownie pragnie urzeczywistnić nowy porządek rzeczy w Europie... Polacy są tylko sługami nowej idei Boskiej. Ta idea będąc w prawach postępu, popycha nieodzownie natury Boskie do ofiary... Złożona w duchu narodowym nie pozwala mu długo zostać bezczynnym... Rzekłbym więcej, gdybym nie obawiał się być płytko oskarżonym o mistycyzm, rzekłbym, pani, że ta idea pracując w świecie dusz wciela się z każdym dniem bardziej w ciało narodowości polskiej i każe mu się poruszać podług praw niebieskich... Postaram się być jaśniejszym wykładając ideę polską przez tę, która, jak myślę, wkrótce zapanuje we Francyi...

Wierz, pani, że idea zawsze jest owocem umysłu natchnionego i intuitywnego. Żadna forma rządu nawet nie może być pojęta od razu myślą zimną, jeżeli poprzednio nie istniała w formie snu, pragnienie — tego co zowiemy powszechnie ideałem. Aby zrozumieć



Kornel Ujejski.

myśl moją, racz pani, powrócić myślą aż w czasy Homera i Hesyoda a zrozumiesz jak ludzie byli pierwszymi ojcami rządów konstytucyjnych.

Homer tworząc Iliadę widział już ideał rządu lepszego od tego, co władał Grekami wówczas... ustrojem swoim przewyższającego nawet rzeczypospolite Sparty i Aten... Ten ideał... poeta sądził, że taki piękny i tak trudno urzeczywistnić go przez ludzkość tegoczesną lub czasów przyszłych, że zamiast przypisać go jakiemu narodowi nieznanemu, jakiemu ludowi starożytnemu lub bajecznemu, zamiast przełożyć go w wiek złoty, gdzie starożytność umieszczała utopie, Homer rzekł, że istnieje w niebie i przypuszcza, że nieśmiertelni używają go, aby sami sobą rządzić... Zaiste ten Jowisz, pan Olimpu, poddany sam karcie losu i nie mogąc praw przekroczyć spisanych w księgach śpiżowych czyli nie jest, że tak powiem, królem konstytucyjnym wszechświata jak my widzimy niektórych także na tronach europejskich? I przypomnij sobie, pani, tę izbę deputowanych składającą się z bogów olimpijskich i podzieloną na dwa zdania, że jedni pomagają Trojanom a drudzy popierają Greków — czy nie wydaje ci się, pani, podobną do tej wielkiej mównicy europejskiej co właśnie dzisiaj wyraża swą indywidualną sympatyę dla Polski, kiedy jej upadek mogła postanowić i przewidzieć większość... przeciwny niechęci, którą rząd głosi dla sprawy wolności...

Idźmy dalej... przypominasz sobie, pani, próbę mocy królewskiej i konstytucyjnej olimpijskiej Jowisza, co niegdyś podniósł jedną ręką bogów olimpijskich, zawieszonych na złotym łańcuchu... i pokazał tym sposobem bogów gadającym ich niemoc wspólną przeciwną władzy najwyższej głowy rządu... Otóż nie zechcesz uznać, że tę próbę czyni się wciąż we Francyi i że bogowie olimpijscy są tak samo słabi jak tamci za czasów Homera i że kruszec łańcucha olimpijskiego nie zmienił kosztownej natury posiadającej zawsze te

same właściwości silne i przyciągające... Nareszcie... upadek Wulkana, którego Jowisz zrzucił z wyżyn niebieskich i który zakulał na całe życie, nie przestając pełnić swego rzemiosła podczaszego i dworaka, nie przypomina ci, pani, jakiego ministra przedsiębiorczego, kowala małych myśli topiącego śpiż napoleoński, aby go wrzucić w mały młynek swych pojęć. Oto naraz znajdzie się zepchnięty z wyżyn Tuileryów i podniesiony przez nimfy Constitutionela, aby od nowa wstąpić na schody wiodące do władzy.

Taki był, pani, wid natchniony Homera, takie zawsze będzie działanie poezyi na rzeczywistość... powolne, cierpliwe i mocne... posługując się wiekami, aby się uwidocznić, używając na to trzech ludów; ukazuje się w Grecyi jako marzenie, przechodzi Rzym jako ideał i zatrzymuje się nakoniec we Francyi na gruncie wypracowanym robotą idei... urzeczywistniona przez dusze, które chrześcijaństwo podniosło do godności olimpijskiej... Słowem... Olimp jest na ziemi a ludzkość winna teraz poszukiwać nowego ideału, który poeci jeszcze wieszają w powietrzu, który urzeczywistnić w czasie teraźniejszym ludzkość uważa za niepodobne, tego ideału nie mniej nie pełni, a jednak pożądany i zdolny wzbudzić powszechne pragnienie w duszach wszystkich.

Pokazuje się więc, że Francuzi mający się za chrześcijan, pracowali dotychczas tylko dla pogaństwa — młyn głównej formy, która jest rządem a która wywiera swe działanie zniekształcające na dusze indywidualne, okazuje się homeryckim; księża trudnią się tylko wydzieraniem kilku dusz z tego wielkiego ucisku, co działa fatalnie i materyalizuje tłumy. Na nieszczęście księża sami nie uniknęli działania idei naczelnej; są materyalistami nawet każąc przystępowanie do Sakramentów... Tak, kult formy... wiara w formę w polityce tak samo jak w religii... Kilka tylko słabych dusz obsługiwanych od Jezuitów spodziewających

się uchronić od świata unikających troskliwie zetknięcia się z ludźmi, pojmującemi życie jako obowiązek czynu. Te dusze myślą, że idą do nieba... zamykając oczy na drogę, co je wiedzie tamdotąd... Są także dusze niektóre jak twoja, pani, które rozpacz zawiodła na pogranicze możliwości, co oczekują zmartwychwstającego ducha ludzkości... Te dusze muszą zwrócić oczy ku Polsce i oczekiwać, aż nie będzie wygrzebana z pyłu wieków; ten drugi ideał, którego pierwszy zarys znajduje się już w starożytnej formie rządu polskiego...

Powiem ci, pani, w krótkich słowach, na czem opierała się forma starożytna; lub raczej jak był zbudowany posąg olbrzymi i Memnoński który wystawili ojcowie nasi... Składał się z trzech części...

Z jednomyślności wymaganej przy obiorze głowy państwa;

Z prawa, które miał każdy zaprzeczyć woli narodowej.

I z możności prawowitej, którą przyznawała Konstytucya obywatelom, że mogli stanąć po stronie zaprzeczyciela i utworzyć związek (Konfederacyę) na obronę idei wypowiedzianej przez zaprzeczyciela.

Otóż trzy główne prawa, pod któremi żyliśmy, dopókiśmy byli godni takiego rządu, co nie może być urzeczywistniony, jedno przez anioły.

I rozważ, pani, zanim potępisz tę formę i przypiszesz jej nieszczęścia nasze, że jeśli wierzysz w postęp ludzkości, inny niż materyaliści, musisz przyznać śmiało, że przed nadejściem Królestwa niebieskiego, cała ziemia winna dojść do celu, który już osięgli nasi przodkowie... Nie można wyobrazić sobie ludzkości inaczej jak starającej się i osięgającej nakoniec, że uczyni z dostojności indywidualnej przeciwwagę woli tłumów, ile razy ta wola ujawnia się przez natchnienie Ducha św. i przeciwstawia swoją świę-

tość woli niższej i bardziej ziemskiej kraju... W trzech słowach...

Tylko w Polsce Chrystus mógł narodzić się w kołysce i wypowiedzieć się publicznie przeciwko mocy Heroda ogłaszając Królestwo Niebieskiego Ojca — a nie mogąc być wezwany przed trybunały jako przestępca praw krajowych...

Tylko w Polsce Apostołowie opierając się na zaprzeczeniu Chrystusa prawowicie mogli zawiązać konfederacyę zbudowaną na veto Boskim...

Tylko w Polsce nareszcie ta konfederacya działając prawowicie mogła dojść do jednomyślności i ogłosić Syna Bożego królem wszechświata.

Widzisz więc, pani, że było nam dane natchnieniem dojść do tego kraju nieznanego, którego napróżno jeszcze szukają statyści europejscy... To już nie sen homerowy któryśmy namalowali na obłokach i ubrali w kolor brylantowy natchnienia jak starzec... Ale raczej świątynia prawdziwie cudowna zbudowana ludźmi rżniętemi w nowym młynie, chrześcijańskim, któryśmy dźwignęli przez czas niejaki ponad ciemnościami średnich wieków, aby wskazać przyszłe cele ludzkości... Uczyniliśmy to instynktownie i dlatego to instynktowną miłość inne narody czują dla Polski... Duch ludzkości czuje długo potem i przeczuwa długo tych co prawdziwie są mu potrzebni, by ulżyć jego ciężarom i otworzyć mu nowe perspektywy. Rząd, świątynia zbyt idealna na to, aby służyć długo za mieszkanie ludziom z gliny, upada zabijając tych co go zbudowali, ale Polacy już go odbudowują na rynku wewnętrznym myśli, ich dążenia zwracają się ku temu celowi... Forma konstytucyjna dla nich będzie jedynie zaporą, znosić ją będą z żałością a znosząc mniemać będą, że uwłaczają swej szlachetności politycznej... Tak jesteśmy, że tak powiem, szlachetni zarówno w Chrystusie... Prze-

czuliśmy ostateczną formę ludzką, ponad którą jest tylko światło i jasności apokaliptyczne... Wyślij więc, pani, tego ducha polska pragnącego tworzyć, wzbudzaj wiarę w niego, przedstaw go Francyi ubranego w jego wysokości królewskie i niebieskie... Niechże już przestaną nas uważać za niepotrzebnych w świecie myśli, dobrych co najwyżej po to, by dać kilka przykładów odwagi i bohaterstwa Europie zmateryalizowanej. Byliśmy poprzednikami wolności indywidualnej sumienia; nasi ojcowie czuli w sobie siłę stwarzać nowe formy ludzkie podług praw Boskich... Upadli cierpią, nie że byli mali i nizcy, ale jedynie że nie wytrzymali wymagań własnego ducha... Nie mogąc jednomyślności otrzymać przez miłość, żądali jej zrozpaczeni od środków ludzkich; veto — posługiwali się nim jak aniołowie ogniem niebieskim — na swój własny upadek. Chodzi tylko o to, abyśmy wznieśli się duszą i stali się zdolnemi rozpocząć pracę idei tam gdzie ją zostawili ojcowie nasi... Pomyśl, że groby, że krzyże dzielą nas od tych co w testamencie za jedyny spadek zostawili nam ideę. I nie dziw się miłości, jaką okazujemy ojczyźnie, widzisz, że co miano u nas jedynie za instynktowne, da się już wytłómaczyć rozumem i stawia się samo między wieczyste prawa postępu. Pomyśl, że trudno nam pochwycić ogniwo łańcucha wysuwające się ze skrwawionych rąk naszych ostatnich konfederatów.

Rozgrzej wreszcie tchnieniem swem to, co ci daję martwe i bezduszne. Twój głos ukochany jest w Polsce i wiesz, że Polska szuka jeszcze macając by sobie zdać sprawę z własnych natchnień... Dopomóż jej więc sfermentować ideę... Choć Francuzka i wiedziona geniuszem swego narodu, pokaż Polsce jej własną gwiazdę i odradź jej pójść drogą naśladowczą a oducz obawiać się wzruszeń własnego serca... O ten czyn proszę cię z pokorą ale jako brat co wie-

rzy, że może nawet rozkazywać duszy szlachetnej i zdolnej czuć, że rozkaz dany jest tam wszędzie gdzie w zgodzie z głosem wewnętrznym duszy.

Podpisuję nareszcie ten list nadto długi imieniem które ci jest zupełnie nieznane, w nadziei że mi przebaczysz, iżem się udał do ciebie.

Mniemałbym że obrażę, pani, twój wysoki umysł i twoje serce kończąc ten list komplementami zwykłemi...

PRZYPISY.

Georges Sand (Aurora de Dudevant), słynna powieściopisarka francuska.

List pisany po francusku nie był wysłany. Adresatki Słowacki nie podał.

Czyn krakowski — powstanie z roku 1846.

Homer i Hesyod pierwsi poeci i pisarze greccy.

W Iliadzie, poemacie Homera, Grecy walczą z Trojanami.

LISTY DO JÓZEFA KOMIEROWSKIEGO.

1.

Wrocław 27 czerwca 1848 r.

Kochany Józefie!

Jestem tak zajęty matką moją, która kilka dni temu, po ośmnastoletniem niewidzeniu się ze mną, tu przyjechała, że zaledwo mogę tę parę słów napisać do ciebie — abym ci podziękował za pamięć twoją i zatrzymał dobrą rękę twoją w sypaniu na mnie gradem srebrnym — którym zgodziłbym się chętnie być oblanym — gdyby mnie Bóg był w tej chwili z soków owych, karmiących ciało, wysuszył. — Prosto i szczerze i bez figur mówiąc — szlachetnyś jest i rozrzewniłeś mię ofiarą twoją — i troskliwością twoją czujną, która mnie nieprzygotowanego znalazła bom nie przywykł, aby się tak ludzie w usługach względem mnie kwapili — i dla tego nie wiem, jak mam daru nie przyjąć bez obrazy dającego...

Najszczerzej więc powiem — że pieniędzy mam dosyć — że zamierzam wrócić wkrótce do Paryża na kilka miesięcy — i tam spodziewam się ciebie zobaczyć — że chciałbym na nowo i silniej zrealizować jedność i braterstwo, które już nas wiek łączy, a potem znów uderzyć... i tak czynić — aż nowy światły sztandar zacznie być widzialnie przytomny na globie. — W tym duchu i z wytężeniem ku celowi jednemu zawsze pracuję — a z idei, które wiesz że są mną, nic nie utraciłem. — Taki więc idealny — i taki

więc kochający Cię jak zawsze czekam ciebie — i wyglądam — gdziekolwiek bądź na ziemi, abyśmy się zobaczyć mogli — a oną zimę w Paryżu przebytą — nieco rozjaśnili. Ściskam ciebie — i Młodzianowskiego ściskam serdecznie. — Piszę ten list jak na dyszlu. — Do widzenia się.

Juliusz Słowacki.

Brat Czarnowski przyłącza tu list swój — żądania jego spełń, jeśli możesz.

Pisz do Wrocławia na poste restante.

2.

Kochany Józefie. — Obudziłes mię twoim listem — ale ocknienie moje było pełne przestrachu; wyczytałem bowiem w nim wieść okropną. Piszesz mi zimno i spokojnie, że w Polsce urodziła się już myśl o połączeniu się chwilowem z Mikołajem przeciw Niemcom... Od dawna już w powietrzu i we mgle przedstworzonych światów widziałem tę marę zarazy... jak rosła, czołem przenosiła już nasze lipy wiejskie takie dobre! takie poczciwe; a sama, z całym urokiem Skandynawskiego widma, jawiła się oczom zatrwożonym, chustami skrwawionemi wiejąca... Miecza dobyć — i rzucić się na świat... i panować siłą... któż się oprze takiej tentacyi dyabolicznej? — Dopomódz temu który jednem tchnieniem teraz wywrócił Austryę, pracą szesnastoletniej emigracyi posłużył się jakby wojskiem własnem, demokratami chłopy rozigrał — arystokratami szlachtę podczupurzył — Meternichem jak swoim knutem klasnął, i rozmoczył we krwi zeschłą skórę ministeryalną niemiecką... a z drugiej strony we Włoszech posiał z fartucha żony swojej, (na miejsce dawnej siejby republikańskiej) — myśl już nie senną, lecz praktyczną — protektoratu

sardyńskiego — która to siejba już sama teraz krzewić się będzie, i podgryzać Meternichową potęgę — aż nareszcie Dunaj lecąc do morza o paszport moskiewski poprosi...

Drogi mój! — Kto w duchowym świecie widzi to Rosyi działanie — ten musi, albo uczuć w sobie, że jako drugi duch globowy stanie, i przeciwko Rosyi wichrowym ramionom równie wielkie i potężne ramiona podniesie; albo też... musi... (jako ci nędzarze, o których piszesz) zachwiać się... i cząsteczkę swojej duchowej tęgości — oddać z ust — w usta wichrowe Moskala... Że ta myśl w Poznaniu się urodziła, nie dziwię się — jest ona bronią polityczną — i przez jakiś czas dobrą na Niemców... ludzie którzy ją głosić zaczną z dwóch stron będą głaskani... Król pruski rozpieści Poznańczyków — a car przez granicę każe ich wonią różaną przez sikawki oblewać... tak wyniańczeni doczekają się lat Mathuzalowych — a potem grobów, które są na rozstajnych drogach narodów — przez obie strony wyklęte...

Lecz Polak z ducha — jednej chwili uronić nie może... z oblicza jego nigdy zejść nie powinna szczera otwartość... złagodnieć mu wolno względem ludzi wrogów — ale dla narodów nigdy twarzy mniej groźnej mieć nie należy... Dziś lub jutro — dotrwajmy — a wszystko nasze...

Dedykacya mi twoja była miłą — choć wprawdzie zarumieniłem się nazwany publicznie c n o t l i w ym... Wyraz ten już tak dawno nie słyszany — a taki wielki! spadł na mnie jak cały Pantheon... pod ciężarem posągu Katonowego rozkruszony... Księgarz nabożny, który ma twoją książeczkę, z uśmiechem ją drwiącym przedaje, właśnie dla tego to staropolskiego wyrazu, i dla tej wskrzeszonej nagle idei — która już między trupami leżała..

Ponieważ o księgarzu piszę... powiem ci iż trzeba koniecznie, aby wszystkie wolne pióra piszące w Po-

znaniu, zaczęły drukować w Paryżu — zaraz inaczej myśleć i pisać będą skoro zrobią ofiarę z imion... a na duchy ludzkie jako duchy niewidzialne i wolne z daleka uderzą. — Na to trzeba koniecznie aby się tu księgarnia utworzyła niezależna i szlachetna... tyle młodzieży biednej przy druku mogłoby zarobić... a Poznań małą ofiarą coroczną pieniędzy mógłby to wszystko utrzymać — aż dzieła wydane same opłacać się zaczną. — Oto jest myśl lepsza od ogólnego związku naukowego, o którym piszesz... Zrób to, a wielką potęgę na przyszłość urodzisz... Zbieranie bibliotek to rzecz trupia — nam trzeba koniecznie stworzyć przyszłość — trzeba koniecznie, mówię ci — Bóg tego chce, i Aniołowie Niebiescy pomogą.

Cała Polska widzi teraz że nie dosyć chcieć Polski — trzeba wyrobić w sobie narodową ideę... Niechże przez jakiś czas Sokratesową bronią nie pogardza... Niech słucha... proś wszystkich i zaklinaj, niech słuchają głosów wolnych... inaczej roztargani będą myślami — i to będzie podział kraju prawdziwy — gorszy niż ów na ziemi jego dokonany. Proś — pracuj — każde słowo jest czynem.

Obaczysz zapewne Zygmunta Krasińskiego, pozdrów go od mnie.

Miłe mi, bardzo miłe było to miejsce listu twego, gdzie mi piszesz że wiecznie i zawsze duchowi memu dasz jakiś udział — w myślach i czynach twoich... Ja też pracując nieraz zadumam się i — oprę się na tobie, jako na wiernym i dobrym i chcącym celów Bożych współpracowniku — a sława twoja będzie moją sławą — tu ukrytą — widzę w niebiosach —... Tam bowiem jasno się okazują te nici, które tu miłością i współczuciem nazwane, wiążą duchy i do jednych je celów prowadzą. Nie zasypiaj więc proszę cię, abyś mnie o sen nie przyprawił. — Mówisz, że Poznań śpi..., teraz więc czas jest, że słowa życia powinny mieć ogromną potęgę... Jeżeli w zwyczaj-

nym czasie za grosz przedają czterech wróblików, to wróbliki te same żywe i wolne, w czasie zupełnego wystrzelania ptaszków, powinny mieć cenę kanarków... Ufaj Bogu — lada świegotem ptaszka obudzony — duch narodowy wstanie groźniejszy niż przedtem. Słów takich kilka żywych Młodzianowski w Rzymie powiedział — a one aż tu do Paryża zaleciały — i wieść o wskrzesitelnej jakiejś potędze — której nagle usta młodzieży polskiej dostają — zadziwiła starce i trupy. Pisano o nim z zadziwieniem; pisano, że wielkie rzeczy gada — a wszakże nie Towiańszczyk... tajemnica go owiała — Pan Bóg dalej poprowadzi... bądźcie razem i kochajcie się...

Co za rozkosz, drogi mój, jeżeli za lat kilkanaście — usłyszysz głosy nasze w głosach ludzi — jeżeli sobie w duchu i przed Bogiem będziemy mogli powiedzieć żeśmy się sercem naszem rozdzielili — niby chleba łamaniem — a wszyscy jedli i najedli się — i jeszcze zostało dla przyszłych pokoleń... Zaprawdę — jeżeli tej wiary nie wyniosłeś z Paryża — toś stąd biedny wyjechał — bo obdarty z wielu, jak widziałem, politycznych illuzyi... a cóż dopiero gdybyś słyszał głos pewien na obiedzie londyńskim — gdybyś świadkiem był tych ogłupień, w które teraz wszystkie zawiercone głowy wpadają...

Bądź zdrów — kończę list bo mię upał dociska... jeżeli będziesz pisał do Cybulskiego pozdrów go... bo tak jakieś przewidział — szczerość jego naprzód na usta moje uśmiech wywołała... a w tym uśmiechu jakaś dziwna miłość pełna szacunku dla niego urodziła się, tak jak się to zdarzało Olimpijskim bóstwom — że ze mgły lub z uczucia wylęgały się jako z jaja — skrzydlaci amorkowie. — —

3.

Dnia 30 Septembra 1848.

Kochany Józefie!

Wychodzi teraz ode mnie jeden człowiek — któremu, gdy utyskiwał nad obecnym stanem rzeczy — tłómaczyłem, jak w rewelacyjnej potędze ducha polskiego rozkochamy kiedyś całe Słowiaństwo — i za Słowiaństwem pociągniemy Słowiany dla samej dziś tylko s ł a w y w braku s ł o w a żyjące. — Otóż i tobie, na cały twój list, tym odpowiadam — bo widzę, że różnych dotknąłeś się ludzi — i zesmętniałeś nigdzie pewności nie widząc. — A wszakże jesteś w blizkości tej wieży toruńskiej, gdzie niegdyś jeden człowiek począł w sobie całą dzisiejszą syntezę światowej fizycznej wiedzy — i wszystko dzisiejsze postawił — bo nawet na grawitacyi stoi dzisiejsza industrya około jednego centrum narodowego usiłująca obracać jak największe kręgi — bo nawet Zollverein[1]) pruskie — i zjednoczenie Włochów dzisiejsze w jedność — na myśli słoneczno-fizycznej gruntuje się — i za ojca swego Kopernika wyznaje. — Nie troszcz się więc — a tylko myśl nad tem — jaka to bieda była niegdyś, że ten Kopernik musiał sam sobie strugać te linie drewniane, których do rysowania odbiegu planet używał — dziś każdy fizyk — może o narzędzia udać do rzemieślnika — lecz w Polsce nie tak jest — każdy słysząc o wynalazku — oddala się i myśli, aby sam podobnego czegoś został wynalazcą — a tymczasem narody postępują... Patrz jak Lerroux[2]) w Izbach francuskich na Trójcy chce konstytucyę nową i Francyę nową budować — a wszakże to ta trójca z nas idzie — a od izb francuskich jako wygnanka do nas będzie powracać przymuszona

[1]) Czyt. Colferajn.

[2]) Czyt. Leru.

— i zamieniać się w trójce inne — dawno wywoływane... Niechże się dzieje wola Boża — więcej nie mogę.

Nie martw się jednak, bo wszystko dobrze idzie. Pan Bóg sam stróżem jest skarbów ducha polskiego i nie pozwala, aby przez Francuzów ręce były roztrwonione — tak jak Chrystusowe były niegdyś przez Rzym — pomieszane ze śmiercią ateńskich kościołów. — Nie — czysta i świeża i po chłopsku mówiona prawda Ducha — przez Izby francuskie nie przejdzie — ani na bagnetach czerwono-nożnego wojska będzie rozdawaną ludom... Nabożni będziemy w duchu — w najstraszniejszych nawet czynu godzinach.

O dramacie twoim mówię zawsze to samo. — Chciałbym abyś go logicznie zakończył — i zrobił zeń wielką alegoryę — a wtenczas będzie potrzebny. Wszystko, co teraz się pisze, z potrzeby powinno wychodzić. W Grecyi się tak kiedyś wszystko rodziło. Gdy cię więc potrzeba przyciśnie pisz a nie dbaj o to jak piszesz — wszystko dobre będzie — i czci ciebie nie pozbawi.

Kolbe, który pisze listy ciemne, nie ode mnie ma zaćmienie, bo się rzadko ze mną widuje. — Siedzi i duma — ale sądzę że z niego będzie niepospolity człowiek.

Serce twoje złote poznałem stąd, że o perłach myślało.

Proszę cię — nie wątp, żeś ze mną w najświętszym duchu ściśle złączony — że wszystko co się osłabia mnie osłabia — a każde silne drgnięcie ducha twojego jest mi mocą i do nowego rycerstwa zapala.

Kolbe przysyła po list — ściskam więc ciebie serdecznie i polecam Bogu.

Juliusz.

PRZYPISY.

LIST 1.

Józef Komierowski (1813—1861) z Królestwa zapoznał się i zaprzyjaźnił z Słowackim w ostatnich latach życia tegoż. Napisał dramat August z Kości i inne dzieła. Siostrzeńcem jego był Tomasz Kolbe (1828—1864), obywatel ziemski, który zginął w powstaniu.

O przysłudze przyjacielskiej nie omieszkał Słowacki donieść matce swej, bo po powrocie do Paryża pisze w liście z dnia 12 sierpnia t. r.: „Przyjechał tu ten przyjaciel, który, jeśli pamiętasz, ofiarował mi był 200 talarów."

Franciszek Młodzianowski, właściciel dóbr Łoniewo w pow. płockim. W roku 1848 poślubił Krystynę Kolbe, siostrę Tomasza, zmarł 1859 roku.

Czarnowski Jan, krewny Komierowskiego, urodzony na Podlasiu, był w 12-tym pułku liniowym wojsk polskich.

LIST 2.

Cybulski Wojciech, uczony polski, ur. 1808 roku w Koninie, 1867 roku we Wrocławiu. Kształcił się w Poznaniu, a następnie w uniwersytecie berlińskim, poczem dwa lata przepędził w Austryi, aby nauczyć się języków słowiańskich. Od roku 1841 był profesorem języka i literatur słowiańskich w uniwersytecie berlińskim, a od r. 1860 we wrocławskim. W r. 1848 uczestniczył w kongresie słowiańskim w Pradze, zaś w roku następnym był deputowanym do drugiej izby pruskiej. Ogłosił sporo cennych prac historycznych i literackich w języku polskim i niemieckim. (Estreicher Bibl. Polska, I. 226).

LIST 3.

Piotr Leroux (ur. 1798 zm. 1871 r.) filozof, publicysta polityk francuski, redaktor i współpracownik wielu czasopism, jak: „Le Globe", „La Revue encyclopedique", „Revue des deux mondes", „Revue indépendante", „Revue sociale" i dzieł treści filozoficznej oraz socyalnej, między któremi najznakomitsze jest: „De l'humanité, de son principe et de son avenir" (1839, 2 t.) W dziele tem przeprowadza ideę ustawicznego postępu człowieka i natury do doskonałości. Doskonałość ową, idąc drogą myślicieli dawniejszych, pojmuje jako pewnego rodzaju troistość, tajemniczą Tryadę, prawo powszechne, potrójną harmonię wrażeń zmysłowych, uczucia i wiedzy. — Po rewolucyi lutowej wybrany na członka Zgromadzenia Prawodawczego wygłosił w miesiącu wrześniu 1848 r. kilka sławnych mów o polepszeniu losu robotników, o równouprawnieniu politycznem i społecznem kobiet, o tryadach itd. Dnia 25 września t. r. zaprojektował odrzucony przez Zgromadzenie wniosek o „urządzeniu władz publicznych, tworzących konstytucyę Rzeczypospolitej według zasady troistości, opisywanej przez wszystkie wielkie religie i wszystkie wielkie filozofie." Po zamachu stanu (2 grudnia 1851 r.) powrócił do swych zajęć naukowych. Wydał też bezimienie przekład „Werthera" Goethego (1843 r.) poprzedzony przedmową Georges Sand.

LISTY DO KAROLA PETTINIAUD.

1.

Drogi przyjacielu!

Odkąd wyjechałem z Paryża, nie mogłem pisać do pana; pozostawałem przez miesiąc prawie w stanie, który mi dawał tylko połowę mojej wolnej woli. Dzięki Bogu, duch mój nie poddał się stanowi i uzyskał od Boga, że życzenia jego nie były bezpłodne. Jestem obecnie w mieście niemieckiem ale wolnem i republikańskiem, gdzie jestem spokojny nie będąc zresztą pewny, czy mię policya nie wypędzi. Kiedy całą emigracyę przerzucano jako pakę towarów do Berlina i stamtąd do Krakowa, skąd ją znowu zapakowano i wrócono do Prus, ja wybrałem drogę samotną i zostałem cały czas ubiegły w okolicach które obecnie są teatrem wojny najwznioślejszej i przypominają Termopile. Ludność 700,000 dusz walczy z całem królestwem mimo szlachty chcącej pokoju za wszelką cenę i neutralizującej ile możności siły wulkaniczne ludu. Ach, mój drogi, co za lud. Nigdy nie śniłem o podobnym. Zawiera w sobie ziarno nowej epoki. Jego wychowanie to dar Boży — jego powstanie to cud. Dwa lata temu w Polsce miano ten lud za najbardziej zgniły i najwięcej materyalistyczny. Dzisiaj mówię ci, że przewyższa towarzyszów Leonidasa — a że zawstydza tych blanbeków szlachciców, co chcą nim komenderować. Nasi bracia sami, mój drogi, znaleźli klucz otwierający dusze te o pierwotnej świętości — z niemi tylko zaprzy-



Grób Juliusza Słowackiego
na cmentarzu Montmartre w Paryżu.

jaźnili się ci ludzie nieokrzesani przypominający swym poważnym wyglądem i męstwem heroicznem starych żołnierzy gwardyi napoleońskiej. Także ochotnicy stali się już postrachem wojsk nieprzyjacielskich...

2.

Kochany przyjacielu!

Oto jestem od tygodnia w Polsce, ale położenie moje nie dozwalało mi dawać ci wiadomości. Cztery dni temu opuściłem Poznań i pozwoliłem sobie odetchnąć trochę spokojniej. Jednak nie jestem pewien, czy jutro, nie zmuszą mię znowu rozpocząć moich wędrówek. Do wszelkich niepokojów napełniających mi serce dochodzi jeszcze jeden, od których ty jeden możesz mię wybawić.

Wyjeżdżając z Paryża zostawiłem tytułem depozytu p. Lomanowi mieszkającemu w Batignolles Rue des Corrières Nr. 7 cały mój mająteczek składający się:

1) z biletu kasy Lafitte.
2) z drugiego biletu.
3) z 30 akcyi kolejowych.

Pan Loman dał mi pokwitowanie, któreś pan sam zaniósł, jeżeli sobie przypominasz, do zapisu w biurze stemplowem. Teraz dowiaduję się, że Loman umarł i obawiam się, aby mój mająteczek nie zawikłał się w spadek, zanim będę mieć czas upomnieć się o niego. Proszę cię więc, drogi przyjacielu, pobiegnij, póki czas jeszcze, do domu zmarłego. Dowiedz się, czy zostawił testament, i kto są wykonawcy testamentu. Jeżeli nie znajdziesz domu nieboszczyka i gdybyś nie miał nikogo coby ci dał adres, idź, drogi przyjacielu, do pana Eustachego Januszkiewicza rue de Moscou Nr. 1 i powiedz mu ode mnie o co chodzi.

Jako przyjaciel pana Lomana będzie mógł sam dać ci wszelkie informacye potrzebne. Bilety kasy Griu nie mogą być stracone, bo są nie na moje nazwisko, a że dom ten likwiduje, nie można ich tak łatwo sprzedać, ale akcye kolei lugduńskiej wydane na okaziciela mogły już pójść na sprzedaż, jeżeli nie są zapisane w papierach zmarłego. Weź więc, drogi przyjacielu, do serca sobie tę sprawę dotyczącą pod pewnym względem mej przyszłości i staraj się donieść mi jak najprędzej informacye otrzymane. Przyznam ci się, drogi przyjacielu, że ten nagły zgon człowieka, na którym oparłem się z ufnością, o którego zgonie dowiedziałem się nadzwyczajnym wypadkiem, był dla mnie tem, czem dla generała musi być wiadomość o utracie bagażu, kiedy przedsięwziął jakąś rzecz trudną i rozpaczną. Doprawdy nie wiem, jak zapatrywać się na to zdarzenie pochodzące od Boga, podczas kiedy mu służę z całym zapałem, do jakiego duch mój jest zdolny.

Przepraszam cię, mój drogi, że ten list pierwszy który piszę do ciebie, cały zapełniony jest interesami i tak mało odpowiada uczuciom jakie poruszają teraz nas obu. Ale od dwóch miesięcy jestem w ruchu nieustannym i potrzeba mi jakiegoś wyniku prac moich, abym mógł...

3.

Ostenda 14 lipca 1848.

Kochany przyjacielu!

Oto jestem w Ostendzie, dwanaście godzin drogi tylko oddziela mię od ciebie, wkrótce upłyną a po przebyciu drogi spodziewam się, że w poniedziałek uścisnę cię i podziękuję za dobrą przyjaźń, jakąś mi okazał.

Wszystko dobrze. Jednak nie mogłem po długim umęczeniu moich podróży udać się wprost do Paryża podobnego chyba do mrowiska — którego ruch byłby mi przykry. Potrzebowałem kąpieli w Oceanie a raczej chrztu elementarnego coby mi przywrócił siły.

Proszę cię, mój drogi, jeżeli masz trochę czasu nazbyt, idź do naszego przyjaciela Felińskiego (dowiedz się Rue des Franco Bourgeois S. Michel Nr. 8 u pana Karola Rogawskiego o jego pomieszkaniu, bo wiem że mieszkają w sąsiedztwie jeden drugiego) a kiedy znajdziesz Felińskiego, zapytaj go, czy mu nie potrzeba ze stu franków i ofiaruj mu je ode mnie jako zaliczkę — dano mi tu trochę pieniędzy dla niego — a nie chcę, by cierpiał przez małą zwłokę spowodowaną moim pobytem w Ostendzie. Poczciwy Feliński wyjeżdżając rozdał cały majątek pomiędzy przyjaciół i znajduje się może w niedostatku. — Owszem, zrób to, mój drogi. Dwa dni czekać to wiele dla tego, co jak on rozdawca jest swego majątku a musi jeść codziennie.

Widzisz, kochany przyjacielu, z jakiem zaufaniem do twojej dobroci rozporządzam twoim czasem i zmuszam cię biegać po ulicach paryskich. Prawie że wstydzę się tego. Przebacz mi — i kochaj mię — bo po powrocie do Paryża liczę na ciebie przedewszystkiem, aby pobyt mój nie był tak bardzo próżny a jakoby zapełniony i jakoby pełen braterstwa. Do widzenia więc za dwa lub trzy dni.

Szczerze ci oddany

Juliusz Słowacki.

Dołączam bilecik do Felińskiego.

PRZYPISY.

Karol Pettiniaud, Francuz, przyjaciel z lat ostatnich Słowackiego, malarz i rzeźbiarz. Podług jego projektu nagrobek paryski Słowackiego stanął. Listy do niego przełożyłem z francuskiego.

LIST 1.

List ten pisany zapewne z Wrocławia. Mowa w nim o ludzie wielkopolskim i o powstaniu r. 1848.

Leonidas, król spartański poległ broniąc ojczyzny przeciw Persom w wąwozie górskim Termopilów.

List ten nie ma dokończenia.

LIST 2.

List ten pisany zdaje się także z Wrocławia; końca niema.

LIST 3.

Biletu do Felińskiego, jeżeli istnieje jeszcze, dotychczas nie ogłoszono.

LIST DO ZOFII WĘGIERSKIEJ.

Bracie Najmilszy Sofossie — dla czegoś wątpił? Temi słowy któremi Pan Jezus zgromił tonącego Piotra odpowiadam ci — bom cię spotkał także w morzu świata tonącą — i rzekłem do ciebie. Chodź — i stań ze mną razem na fali najwyższej żywiołów — zapatrz się ze mną razem, w światłości ostateczne — a niewzruszeni i święci przetrwamy na wieki — coraz większych dolatując zachwyceń — ale ty najmilszy bracie zwątpiłeś — i niby obumarłeś był i probowałeś sił moich ziemskich — a grożąc mi, że toniesz, wyzywałeś mię, abym cię ratował — co więcej, ciekawą cię widziałem i patrzącą we mnie z ciekawością — czyli znajdą się we mnie cnoty bohaterskie dawnego świata z któremi na ratunek się rzucę — czy nareszcie ciebie zginionej płakać będę?

Dla tych to przyczyn z wielkiej i prawdziwej miłości ku tobie poszło, żem cię opuścił nierozgrzeszoną. Nie uwolniłem ducha twego, nie zostawiłem pokoju w domku twoim, skazałem cię na smutek równo dzielony z kwiatami jesiennemi — na zatrwożenia senne na szczerości serdeczne — na niemoce anielstwa, oddałem ciebie — a to dla tego, abym cię miał wróconą Duchowi świętemu przez boleść.

Bogu więc niech będzie chwała, żeś przełamała dumę kobiecą — żeś rozjaśniła schmurzenie się ducha twego spojrzawszy w moją stronę. Bo zaprawdę, że

w świętem tylko rozweseleniu się duchów ku światłu wędrujących wolno nam zbliżać się do siebie — i spotykać się — pókiśmy oboje smutku i boleści wzajemnej zdolni.

Dobrym więc sądzę list twój najmilszy bracie — nic przez to z prawdziwej piękności ducha nie utraciłaś — owszem woń wdzięczną — owszem światło przyjemne dorzuciłaś aż do mnie tak, że niby w półśnie — i w otchnieniu przyjemnem ducha twego pogrążony — odpisuję.

Tę widząc dobroć twoją i wspomniawszy na piękność twoją — nazwę ciebie jasnym bratem — u chłopka polskiego pożyczywszy tego tytułu — którego on — smuklejszym i widniejszym od siebie paniczom udziela — ani braterstwu prawdy ani elementowi piękności nie ubliżając. A tak ja — dla któregoś ty jest świętą pięknością — przed którym za tę usługę ducha twego stoisz, jak za tarczą dyamentową — nieobrażona.

Pamiętając na to wiedz — że się uniżyć nie możesz jako kobieta... a jednak przez prawdę możesz być spiorunowana — i spalona — aż — aż do garsteczki prochu. Panuj mi więc, ale się bój jak dzieciątko.

Ton listu twego wysoki i przyjemny napełnił mnie serdecznością nieopisaną — powiedz co mogę dla ducha twego?

Ty, najmilszy Sofossie — wiele możesz dla mnie — podnosząc się do tych sfer transfigurujących postacie — w których trwająca piękność staje się nam elementem światła. — Wjaśnić się w ciebie chciałbym tak — aby olśnione moje oczy nieraz ślepemi zostały spojrzawszy na inne niższe cielesne sprawy i kształty.

O taką wysokość więc, w duchu trwającą, proszę — mego Jaśnie Brata Sofossa — któremu zasyłam tu pozdrowienie najserdeczniejsze.

Juliusz.

Paryż. Rue Ponthieu 30. D. 8 września 1848 r.

PRZYPISY.

Zofia z Kamieńskich Mielęcka później Węgierska żyła od r. 1825—1869, pisywała do różnych czasopism. Słowacki poznał ją r. 1844. Wywarła na nim wielkie wrażenie. Ją to miał na myśli, kiedy pisał w Królu-Duchu o Wandzie i Dąbrówce oraz we wszystkich prawie dziełach z lat ostatnich twórczości poety.

LIST DO PANI BUKOWIECKIEJ.

Pani!

Po wielu wędrówkach niespokojnych, po wielu usiłowaniach bezskutecznych, wróciłem do mego spokojnego schronienia w Paryżu, gdzie od miesiąca już przeszło zostając, często przemyślałem, jakimby sposobem przypomnieć się domowi, w którym z taką łaskawą gościnnością przyjęty byłem. Wiele na tem cierpiałem, żem przymuszony był wyjechać z Poznania i porzucić dom, nie pożegnawszy wszystkich osób tej rodziny, z których każda ma wieczne prawo do mojej wdzięczności i uwielbienia. — Lecz nadewszystko smutno mi było i smutno jest dotąd, żem głowy mojej nie mógł schylić głęboko przed pani osobą, że tej czci, którą dla niej przejęty byłem, w ostatniej chwili pożegnania wyrazić nie mogłem. Bo wierz mi pani, szczerze to powiem, nigdy jeszcze charakter matki Polki nie stanął przede mną w takim majestacie, jakim był, gdyś pani, wśród nieszczęść rodzinnych, mimo łez wylanych, całem światłem i całą powagą patryotyzmu świeciła. Nigdy nie zapomnę ani żałoby, którąś była okryta, ani tej energii, z którą syna twego oddawałaś obowiązkowi i Bogu. I dlatego to, błogosławię okolicznościom, które mię pod dach pani zaprowadziły, które kilka chwil pod jej opieką przeżyć mi dały: bo widzenie tak wielkich cnót zostało mi skarbem wiecznym w pamięci i przez uczucie czci, ciągle mię łączy w duchu z jej domem.

Przy tem głównem uczuciu uwielbienia, które tu wyrazić musiałem, wierz mi pani, że serce moje prawdziwie gotowe wziąć udział we wszystkiem co się do-

mu pani dotyczy, jak serce domownika. Dlatego to, byłbym szczęśliwy dowiedzieć się, czyli Bóg raczył już ułagodzić boleść pani Korzkowskiej — ani też obojętną byłaby mi wieść, choćby najmniejsza, dotycząca się osób, które składają jej szanowną rodzinę. — Z nieśmiałością więc zanoszę prośbę, nie do pani, bo jej powagi taką pracą trudzić bym nie śmiał, ale upraszam młodych synów pani, jako braci moich, aby mię choć w krótkim liście o teraźniejszem powodzeniu domu pani zawiadomili.

Nie śmiem przedłużać listu tego; bowiem się lękam, aby wspomnienie osoby mojej, z tylu smętnemi zdarzeniami połączone, nie wywołało jakich bolesnych wspomnień w sercach, które radbym uleczone widzieć zupełnie i szczęśliwe.

Racz więc przyjąć, pani, wyznanie moje najgłębszego uszanownaia i chciej mi co polecić jako życzliwemu słudze swemu.

Juliusz Słowacki.

NB. Nie śmiejąc osobnym listem utrudzać Wielmożnego Bukowieckiego — składam tu wyznanie głębokiego poważania i szacunku.

Paryż, dnia 5 września 1848 r.
Rue de Ponthieu Nr. 30.

PRZYPISY.

W domu pp. Bukowieckich Słowacki mieszkał podczas swego pobytu w Poznaniu r. 1848.

LIST DO JÓZEFA REITZENHEIMA.

Kochany Józefie!

Oto już, jak sądzę, przekonywasz się, że moc wzruszająca lud polski nie jest już w haśle powstania — ale wyżej daleko — leży w zrozumieniu tej Woli Bożej, która nie chce, aby się lud tak wielki, czysty i święty napróżno robaczliwością śmiertelną kaził — ale ten lud — do ruchu i do pełnienia spraw nowych na globie powoływa. Z listu twojego czuję — a zwłaszcza z tych słów, w których sąd tak miłośny o chłopka polskiego niewinności rdzennej wydałeś — czuję — że ty rośniesz w Duchu — i wielkimi krokami przybliżasz się — do tego stanowiska, które wprzód zająć musim, nim walkę cielesną wydamy. Cieszę się więc — i dziękuję Bogu, że cię światły, jeszcze niewidzialnemi tobie, osłania i podnosi, i sądzę, że tam gdzie teraz jesteś — jesteś potrzebny.

Był tu u nas Józef, przyjaciel nasz z Gdańska...

PRZYPISY.

Reitzenheim — przyjaciel Słowackiego.
Józef jest Komierowski.

LIST DO KORNELA UJEJSKIEGO.

1848. Boże Narodzenie, Paryż.

Kochany Kornelu!

W wigilię Bożego Narodzenia odebrałem twój list — w święto same odpisuję ci spędzając wieczór na rozmowie z tobą. Drogą mi jest miłość twoja — kilka chwil razem w Bogu przebytych związało nas mocniej niż długie, razem przebywane pustynie życia ludzkiego. Bośmy zachwycili w bratnie usta Niebieskiego tchnienia a teraz ile razy nam ciężko na sercu, znowu do takiego wspólnictwa wzdychamy. Sądzę nawet, że mi w twoim duchu urosła cząstka braterstwa, bo silniej cię czuję tęskniącym.

Dopisałeś mi w liście prawdziwy koniec Anhellego, lecz proszę, lękaj się tego głosu rozpaczy, który w tem dziełku słychać. Takiego jęku nikt nie wydał; rozpacz Byrona jest dzieckiem w porównaniu rozpaczy Anhellego, bo w Anhellim jest rozpacz niby Chrystusa. Niechże więc ten siew straszny będzie daleko od ciebie. Niech ta przepaść, w którą Izraela pchnęły proroctwa lamentujące Izajasza, Jeremiasza i innych ostatnich wieszczów, ciebie teraz, że się w języku polskim pokazała, nie zwabia. Duch mi to podyktował wczora; gdy już do serca wpuszczałem słodką truciznę harmonijnych słów twoich — i oto widzisz, że przeciwko sobie powstawszy, spełniam mój obowiązek względem ciebie. Bo cię w duchu moim mam za wysokie światło, które za mgłami niknąć nie powinno, ale rozweselić się ma i stać ró-

żaną pochodnią oświecicielką tych stron, w których teraz zamieszkałeś. Aby na gody Pańskie przyszły ludności tych stron z muzyką wesela serca twojego, chwiejąc się na nogach niby spokojne harmonią radości świętej, tłumy ludu twego krzycząc: Hosanna! Hosanna Panu, że oto Barankowi dana jest chwała i moc i cześć i panowanie a czasu już nie będzie, boleści już nie będzie i otrze Bóg wszelką łzę z oczu ich.

A do takiego hymnu i krzyku jakże dojść, mój drogi bracie, jeżeli się w rzetelności cierpień naszych nie skąpiemy? w rzetelnej krwi, która z męczeńskich czasów wylana jest? jeżeli nie znajdziemy w rzetelnym bólu wnętrzności naszych rzetelnego Pańskiego wesela? Gdzież jest kochana szyja twoja, abym ją obwiązał ramionami i słyszał znów na sercu rzetelne tchnienie twoje i słowem Bożem mógł cię ucieszyć jak dziecko? Baranku mój, zaprawdę nie trać białości twojej, a wszystko tobie dla niej przydane będzie.

Pamiętasz wieczór on, gdy przy bladej świecy nas trzech było, a jeden z nas prorok-rzemieślnik, z łkaniem histerycznych mdłości wyrzekł imię miasta, które on już we krwi i w ogniu zobaczył, a my słuchali. Pamiętasz, żem wtenczas zgromił tego ducha i nakazał mu, aby nie wyjawiał przyszłych nieszczęść, bo te powinny być w duchach, jak dzieci w matczynych łonach, ruszające się, lecz nie narodzone, aby serc ludzkich nie przestraszały. Otóż teraz gdy się spełniło, wspomniałem sobie na ów wieczór — i twoja postać smętna, siedzącego przy kominku, jasno mi się w oczach powtórzyła, boś ty miał być widzem spełniającego się proroctwa. I ciebie znów duch natchnienia spotkał, gdy się spełniało. Po takich znakach moglibyśmy logicznie wyprowadzić prawdziwą linię naszej drogi na świecie, i widzieć jako duchy, którędy idziemy.

Uważaj że, mój drogi, abyś nie pobłądził a czasem przez gwiazdy i na mnie patrz jako na brata, abyś w tem silniejszy będąc nie zwątpił. Co do mnie, Bóg widzi, że często przy gwiazdach w nocy, zawieszony na ganku moim, twarzą obróconą ku waszej stronie, modlę się za wami i z wami i w duchu mi słychać wzdychające duchy wasze pod uciemiężeniem, a często coś jakby szmer pługów waszych, które już u was prędzej wschodzące słońce wyprowadziło i niby głos pewnych ludzi biednych z pracą wstających, do Boga się modlących.

Wszystko co uciemiężone, cierpi — we mnie cierpi. Przez gwiazdy i błękit jestem z ojczyzną moją i z wami. Lecz jeżeli przyjdę, to bez łez lecz ze słowem prawdy, jeśli mię Bóg z natchnienia Swego nie wyłączy a przez godniejsze apostoły Swoje nie zacznie czynić misyi odnawiającej nasz żywot.

Takiego mnie, mój Kornelu, przyciągaj sercem twojem — a czyń duchową rzecz z taką pracą jak majtek, który sznur ciągnie, aby gdzie jedna z łódek dalekich okrętowi z morza wielkiego wróconą była. Za każdą kroplę potu twego, gdy spracowany sprawę prawdy czynić będziesz jak za łzę wdzięczny ci będę.

A ciągnąć sznur, jest to pracować dla sprawy świętej Ducha, dla której jak wiesz, jam się poświęcił, stojąc z lampą zapaloną na piersiach moich tam gdzie dawniej tylko serce krwi pełne było.

Całuję ciebie i ściskam, drogi mój bracie, i dziękuję za wspomnienie twoje.

Juliusz Słowacki.

PRZYPISY.

Prorok-rzemieślnik, jakiś nieznajomy emigrant, przepowiedział napad wojsk austryackich na Lwów, bombardowanie i pożar miasta w roku 1848.

LIST DO LUDWIKI REITZENHEIMOWEJ.

Poniedziałek.

Pani!

Nie wiem, jak ci dziękować ani co ci powiedzieć. Niech twoja wola się stanie; wiesz dobrze że nie przed tobą zamkną się drzwi moje. — Jestem bez sił. — A jednak, jaki jestem, mogę trwać jeszcze nie wiem jak długo. —

To smutne i trudno to znieść.

Adieu, Pani, bądź moją dobrą strażą przed aniołami. Twój sługa

Juliusz Słowacki.

PRZYPISY.

List ten Słowacki pisał w swej ostatniej chorobie do żony Reitzenheima w roku 1849 po francusku.

LIST OSTATNI.

Pani!

Bardzo i bardzo źle z mojem zdrowiem. Jeżeli wyszedłem kilka razy, to w istocie tak, jak upiór, zdolny tylko szklane rzucać wejrzenia na to słońce, które wkrótce przestanie przyświecać snowi.

Przechodząc koło progów pani, jakaś niemoc i zarazem smutek nieprzezwyciężony odwrócił w inną stronę kroki moje. Wejść nie mogłem — na serce się moje klnę, że nie mogłem. A jednak niech mi pani wierzy, że z prawdziwem rozrzewnieniem myślę o tej dobroci, która i teraz tak troskliwie dopomina się o tę cześć smutku, którą wiem, iżby wzięła na siebie, gdyby mi tem ulżyć mogła.

Ale wszystko próżno, pani droga, przynajmniej w tych dniach takie jest przedświadczenie moje. Gorączki mię trawią, bicie serca powiększa się ciągle a wewnętrzne uczucie osłabienia już mi bardzo mało nadziei zostawia. Proszę więc pani o modlitwę i myśl dobrą któraby wspólnie łącząc się z moją myślą, pomogła mi w tem weselu ostatecznem ducha, który półsenny widzi pęki otwierające się na drzewach i coraz głębiej zasypia — aż do nowej wiosny i dnia pełnego, w którym znów podniesie czoło i rozjaśni się nowe radością.

Żegnam panią i obiecuję przyjść, jeżeli Bóg jeszcze pozwoli. Wierny sługa

Juliusz Słowacki.

PRZYPISY.

List niniejszy Słowacki pisał na łożu śmierci. Do kogo był zwrócony, nie można powiedzieć z pewnością.

SPIS RZECZY.

Str.

Listy do Matki. Tom IX i X do str. 213.

Listy różne.

List do Erazma Słowackiego 217
Listy do Aleksandry Becu 218
List do Wilhelma Bogumiła Korna 244
Listy do Antoniego Edwarda Odyńca 245
List do Eustachego Januszkiewicza 250
List do Ignacego Domeyki 253
List dc Nakwaskiej 254
List do Leonarda Chodźki 256
List do Zofii Balińskiej 257
Listy do Michała Wiszniewskiego 258
List do Hipolita Błotnickiego 263
List do Wojkowskiego 264
List do Gaszyńskiego 265
Listy do Leonarda Niedźwiedzkiego 267
Listy do hr. Ludwika Platera 273
Listy do Joanny Bobrowej 276
Listy do Zygmunta Krasińskiego 305
List do Benedykta Kołyszki 331
List do Andrzeja Towiańskiego 332
List do Adama Mickiewicza 333
Listy do Wojciecha i Juliusza Stattlerów 334
List do Władysława Słowackiego 357
Listy do Seweryna Goszczyńskiego i Rutkowskiego . 360
List do Georges Sand 368
Listy do Józefa Komierowskiego 375
Listy do Karola Pettiniaud 384
List do Zofii Węgierskiej 389
List do pani Bukowieckiej 392
List do Józefa Reitzenheima 394
List do Kornela Ujejskiego 395
List do Ludwiki Reitzenheimowej 398
List ostatni 399

Skorowidz.

Tom I.

A.

Abelard 358.
Adam p. Mickiewicz.
Afryka 354.
Agamemnon 371.
Akropolis 319.
Albion p. Anglia.
Aleksandra z Bécu Mianowska 10, 19, 22, 47, 54, 71 74, 77, 85, 111, 184, 223.
Algier 75.
Allerd 87.
Alpy 265, 341.
Ambroży 263.
Ameryka 40, 49, 61, 170.
Anais p. Barateau.
Aniela, dzieło, 225.
Anglia 25, 35, 37, 51, 53, 62, 83, 85, 95, 97, 105, 110, 156, 160, 170, 190, 213, 318, 343, 348.
Antiliban 297.
Antoni p. Beaupré.
Antoni Edward p. Odyniec.
Arab, dzieło, 60, 64, 94, 124.
Arabia 47, 96.
Arno 236, 329, 346.
Arwa 189, 194.
Asthon 21.
Ateny 284, 285, 307, 309.
Audley 380.
Austrya 144.
Awignon 171.
Azya 354.

B.

Baden 371.
Bagnocavallo 39.
Bajazet 18.
Baka 61, 174.
Balbek 297.
Baldyni 14.
Balińska 18, 94, 235.
Baliński 318.
Balladyna 218, 222.
Barateau Anais 73, 74, 77, 87.
Barateau, poeta 95.
Barbara, dramat 76.
Bayrut 287, 293, 299, 300, 301, 302, 303, 304, 310.
Bazylianie, klasztor 360.
Beaupré Antoni 65, 70, 152, 184, 209, 280.
Bec 233.
Bellini 62.
Berlin 14.
Bern 202.
Bernard p. Zeidler.
Bernarda św. klasztor 198.
Betcheszban 287, 299.
Betleem 296, 311.
Będziński 65.
Białopiotrowiczowa 60.
Biblia 195, 209, 309, 310, 311.
Blücher 12.
Błotnicki 51, 61, 62, 96, 106.
Bobrowa 18.
Bogarodzica 16, 34, 124.
Bogatka 130.
Bona góra p. Zamkowa.
Borghese 267.
Boulogne sur mer 25.
Bravo, dzieło 40.
Brienz 200.
Brody 17, 122, 243, 255, 307.
Brodziński 166.

Bruksela 214, 258, 259, 263, 264.
Brutus 336.
Brysnitz 21.
Brzozowski, malarz 330.
Brzozowski Zenon 284, 299, 306, 309, 311, 312, 313, 314, 316, 323, 326, 327, 339, 348, 356, 363.
Bulwer 78.
Burkut 141.
Byron 32, 50, 51, 86, 142, 143, 156, 171, 180, 188, 251, 252, 267.

C.

Calais 25, 29, 30.
Calderon 323.
Cambacères 90.
St. Carlino 283.
Cestiusza piramida 266.
Cezary p. Plater.
Chalons sur Marne 24.
Chateaubriand 36, 191, 205, 225.
Chavanes 155.
Chéfs-Ecossais, dzieło 177.
Chenier 155.
Chillon 198, 252.
Chmielnicki 112.
Chodźko 52, 55, 57, 58.
Choński Henryk 40, 71, 83, 89, 105, 111, 223, 372.
Chopin 87, 317, 343, 344.
Chudoba 317, 344.
Chwalibóg 16.
Cirque Olympique 46.
Clarens 182, 223, 233.
St. Cloud 68.
Cologny 156.
Cooper 40, 43, 72.
Coppert 108, 198, 229.
S. Croce 324, 339, 350.
Cypr 303.
Czacka 42.
Czacki 151, 174, 247.
Czarnolesie 170.
Czartoryska 50, 58, 66, 95, 96.
Czatyrdach 15.
Czciciele ognia, dzieło 87.
Czercza 334, 335, 360, 367, 382.
Czernołówka 50.
Czerny 15.
Częstochowa 8.
Czterech Kantonów jezioro 202.
Czy to pies, wiersz 102.

D.

Damaszek 297, 339.
Damy i huzary, dzieło 180.
Dante 218, 315, 324, 333, 350, 360.
Dauphiné 230.
Dąbrowska 16, 18, 22.
Delavigne 56.
Demidow 90.
Dendera 290, 327.
Fra Diavolo 156.
Dijon 117.
Dobrzycka, pani 16, 18, 22, 42, 85.
Dobrzycka panna 18, 21.
Dole 116.
Donnellan 149.
Dover 25, 29, 30.
Drezno 11, 13, 14, 15, 16, 17, 19, 20, 21, 22, 23, 30, 31, 34, 40, 42, 44, 50, 53, 56, 60, 85, 86, 102, 103, 126, 128, 136, 170, 190, 206, 232, 250.
Dudevant 180, 206.
Duma o Emirze Rzewuskim 77.
Dumas 50.
Dziady 103.

E.

Egipt 223, 284, 286, 287, 291, 310, 314, 343.
Eglantyna Pattey 118, 123, 126, 130, 131, 132, 136, 142, 146, 147, 149, 151, 157, 164, 167, 168, 171, 172, 175, 180,

185, 186, 187, 188, 193, 194, 196, 203, 216, 217, 234, 237, 250, 254, 264, 270, 308, 309, 311, 345, 346, 362, 363.
Eisenach 23.
El-Arisch 292, 293, 312.
Elba, rzeka, p. Łaba.
Elba, wyspa 304.
Eliza 134, 135.
Ems 79.
Eneida 163, 267.
Erfurt 23.

F.

Faulhorn 200, 241, 289.
Felińska 320.
Ferduś 223.
Ferney 117, 229.
Fétis 62.
Field 140, 166.
Fiezoli 329.
Fil p. Teofil.
Florencya 238, 271, 276, 279, 281, 282, 288, 293, 298, 305, 306, 307, 312, 313, 314, 315, 316, 320, 321, 326, 328, 329, 330, 331, 332, 335, 336, 338, 339, 340, 345, 346, 350, 351, 352, 353, 356, 357, 368.
Fok 318, 344.
Fornarina 91, 351, 354.
Fortunat 99, 106, 181, 186, 191, 209, 212, 216, 230.
Français 101.
Francya 24, 41, 45, 46, 74, 82, 107, 116, 140, 141, 151, 156, 180, 207, 213, 230, 235, 236, 267.
Frankfurt 24.
Freyschütz 41, 50.
Fulda 23.

G.

Gaj 12, 13, 270, 272, 274, 275, 277, 279.
Galicya 55, 96, 160.
Gall 155.
Garczyński 171.
Gaszyński 375, 377.
Gaza 292, 294, 295, 312, 313.
Genewa 16, 108, 112, 115, 117, 118, 120, 122, 125, 126, 127, 132, 136, 137, 142, 145, 146, 147, 152, 153, 156, 157, 158, 164, 168, 172, 175, 176, 181, 186, 189, 190, 191, 194, 196, 203, 205, 208, 210, 213, 221, 228, 229, 230, 235, 238, 243, 254, 258, 298, 305, 315, 318, 347.
Genezaretańskie jezioro 311.
George 101.
Gessler 202.
Getynga 21.
Ghemi 199.
Giaur, poemat 171, 223, 339.
Giedymin 319.
Giesbach 200.
Giulio Romano 39.
Glücksberg 98, 129.
Godzina myśli 256.
Goethe 23, 61, 153, 199.
Gordon 26, 83.
Gorecki 30, 44, 47, 79, 85, 86.
Gotard 201.
Grecya 284, 286, 287, 310, 319, 323.
Grimsel 201.
Grindelwald 200.
Grocholska 18.
Grocholski 118, 119, 120, 130, 158, 233.
Gryzomir 23.
Guiche 74.
Guigon 246.
Gulmara 325.
Günter 47.

H.

Hamilton 149.
Hamlet 337, 358.
Hausner 17, 22, 23, 49, 111, 122, 157, 232, 243, 282, 285, 313, 361, 370.

Hawryszówka 170, 175.
Hektor 286.
Helespont 250.
Heloiza 182, 198, 228, 232, 250.
Herkulanum 274.
Herman p. Potocki.
Herschel 193.
Hersylia z Bécu Januszewska 11, 13, 15, 17, 19, 23, 26, 31, 37, 55, 64, 70, 75, 81, 99, 106, 112, 127, 137, 141, 152, 163, 167, 210, 228, 253, 271, 278, 279, 283, 289, 298, 312, 313, 317, 318, 344, 345, 351, 352, 356, 360.
Heryng, Heryngowa 20, 31, 66.
Heyman 26.
Hiszpania 35, 72.
Hłuszniewicz 40, 67, 71, 105.
Hołyński, Hołyńscy 284, 290, 291, 292, 301, 302, 303, 313, 327, 328, 335.
Homer 174, 286, 371.
Horacyusz, Kokles 86.
Horacyusz poeta 102.
Hotentoci 138.
Hrehorowicz 10, 97.
Hryć 35, 232.
Hugo Victor 40.
Hyéres 235, 236.

I.

Idalka 238, 239.
Iliada 163.
Ilkiewicz 119.
Indiana, powieść 180, 207, 215.
Indye 221.
Inez de Castro 206.
Ischia 277, 280.
Izora 102.

J.

Jacotot 41.
Jaffa 295.
Jakób Wołoszyński 220.
St. James Park 30.
Janiszewski 278.
Januszewski p. Teofil.
Januszkiewicz 10.
Jarkowski, matematyk 19, 331.
Jarkowski Paweł 7, 11, 19, 23, 37, 70, 106, 129, 152, 184.
Jaś Januszewski 10, 40, 44, 49, 55, 57, 77, 84, 105, 177, 207, 358.
Jardin des Plantes 76.
Jean d'Acre 72.
Jelski 136.
Jerozolima, miasto 284, 286, 288, 290, 295, 296, 297, 301, 333.
Jerozolima Wyzwolona 103, 128.
Jeruzalem p. Jerozolima.
Jerycho 297, 311.
Jezierska 211.
Joaś p. Lelewel.
John 71.
Jozafata dolina.
Józef Korzeniowski 214.
Józef p. Mianowski.
Jules d'Avallon p. Juliusz.
Julia, z Nowej Heloizy 232.
Julinki 84, 174, 200, 227, 354, 357.
Juliusz Słowacki, Julo 8, 11, 18, 43, 58, 59, 63, 65, 66, 75, 78, 84, 91, 93, 99, 100, 124, 128, 131, 141, 143, 146, 153, 155, 158, 163, 168, 172, 173, 174, 176, 186, 191, 209, 211, 216, 217, 221, 228, 238, 243, 248, 249, 260, 265, 277, 284, 286, 289, 299, 305, 307, 308, 311, 313, 326, 331, 335, 340, 351, 356, 360, 363, 364, 365, 367, 372, 374, 378, 379, 381.
Julka Michalska 10, 75, 77, 84, 85, 149, 316, 357.
Jullien 51, 52, 60, 72.
Jungfrau 200.
Jura 116, 117.

K.

Kaczkowski 7, 13.
Kair 288, 289, 290, 291, 292, 297, 298, 299, 305, 313, 321, 323.
Kambell 105.
Kana Galilejska 244.
Kanterbury 25.
Kapitol 336.
Karlowe Wary 10, 22, 211.
Karlsbad p. Karlowe Wary.
Kaszin 329, 358.
Kean 28, 29.
Keats 266.
Kenneh 328.
Khorafan 57.
Kichote 32.
Kijów 97, 210.
Klara z Nowej Heloizy 232.
Klembowski 155, 168.
Kłajpeda 183.
Kłębowski 13.
Kniaziewicz 76.
Kochanowski Jan 103, 128, 145, 158, 159, 164, 166, 167, 170, 183, 195, 215, 217, 246, 255, 260, 343.
Kochanowski Piotr 103, 128, 183, 195, 255.
Kolizeum 327.
Komarowa 16, 22, 53, 338, 339.
Komnena Anna 44.
Komorowska Eleonora 335.
Konstantynopol 44, 287, 289, 298, 299, 314.
Kopczyński 144, 145.
Kora p. Pinard Kora.
Koran 18.
Korczówka 50.
Kordyan 183.
Korfu 285, 287.
Korn 122, 152.
Korsarz, poemat, 86, 223.
Korynna 77, 87.
Kościuszko 131.
Kosielski 118, 119, 121, 158, 179, 180.
Kraków 204, 231, 370.
Krasicki 23, 209.
Krasiński Zygmunt 266, 267, 268, 340, 361.
Kremnitz 12.
Kromer 242.
Królestwo Polskie 66.
Królewiec 86.
Krzemieniec 7, 13, 17, 18, 21, 31, 36, 39, 84, 118, 130, 152, 184, 220, 232, 356, 360.
Krzysztofowiczowa 366.
Kukolnik Paweł 184.
Kukulnikówna 148.
Kulik 16.

L.

Lafayette 59, 108, 174, 191.
Lahnsen 7.
Lalla Rookh 45, 58, 87.
Lamartine 40, 105, 276, 302, 338.
Lambro 55, 58, 59, 97, 98, 110, 120, 122, 125, 126, 128.
Lapier, Lapierre 13, 111.
Lara 325.
St. Laurent 116.
Lauterbrunn 200.
Lear 218.
Lebrun 130.
Lecca 278.
Lelewel 214.
Lelia, powieść 180.
Lemaitre 60, 64.
Leman 315.
Lenormand 112, 113, 245.
Liban 297, 298, 299, 305, 318, 320, 328.
Lido 267.
Lina p. Morin.
Lipsk 18, 23, 55.
Litwa 10, 30, 67, 77, 78, 86, 88, 170, 195, 206.
Liwurno 234, 253, 293, 298, 304, 308, 309.
Londyn 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 37, 105, 126.
Louis XI, dzieło 56.

Lozanne 138.
Lubańska 8.
Lubecki 20.
Lucern 200, 202.
Ludka, Ludwisia Śniadecka 37, 54, 77, 83, 94, 95, 99, 102, 110, 127, 141, 145, 170, 359.
Ludwik XIV 37, 68, 69, 199.
Ludwik XV 68.
Ludwik Filip 45.
Ludzio 66.
Luèche 199.
Lulli p. Juliusz.
Luter 18, 245.
Luwr 38, 39, 101.
Luxembourg 114.
Luxor 327.
Lwów 160, 375.
Lwowicz 371.
Lyon 132, 136, 138, 230.

Ł.

Łaba 16, 20, 21, 190.
Łysa góra 350.

M.

Macdonell 37.
Makdonald 37, 312.
Malagamba 299, 312, 313.
Malczewski 143, 144.
Maleski 87.
Malet 197.
Manfred, z Byrona 334.
Maraton 286.
Marguerite, Królowa 261.
St. Maria Novella 315.
Mars panna 101.
Marsylia 74, 79, 234.
Morze Martwe 296, 310.
Marya p. Wodzińska Marya.
Marysia 214.
Matuszewicz 278.
Maurycy, majtek 143.
Mazepa 211, 223.
Mazowsze 8.
Medyolan 279.
Meilleries 198, 250.
Melanka Januszewska 13, 17, 19, 22, 31, 37, 41, 55, 57, 64, 75, 84, 97, 137, 158, 261.
Memel p. Kłajpeda.
Memnon 291.
Metz 24.
Meyerbeer 42.
Mianowski Józef 54, 111, 120, 271.
Miaulis 34.
Michalska 7, 84, 170, 227.
Michalski Zenon 22, 41, 55, 75, 223.
Michał p. Podczaszyński.
Michaś p. Skibicki Michał.
Mickiewicz Adam 13, 30, 45, 53, 76, 78, 79, 83, 86, 88, 94, 96, 103, 107, 136, 137, 164, 166, 170, 182, 183, 195, 206, 214, 220, 223, 239, 272, 349.
Mickiewicz Aleksander 96, 157.
Mickuny 138, 193, 246, 251.
Mierzyńska 8, 52.
Mijou 117.
Mikulicz 16.
Mikulski Józef 62.
Milcyades 286.
Mills 266.
Milton 52.
Mindowe 9, 58, 76, 86, 212.
Mińsk 97.
Mnich 60, 94, 96.
Mniszeczka (Michalska) 7, 227.
Moguncya 24.
Mohikanie, powieść 58.
Mokotów 8.
Mont Blanc 123, 143, 153, 161, 167, 184, 185, 187.
Monthoux 121, 188.
Montreux 250.
Moore 58, 86.
Morin 124, Lina 120, 124, 193.
Moszczyńska Helena 356.
Moszczyński, Moszczyńscy 356, 357, 358, 368.
Munich (Monachium) 279.
Murray 50.

N.

Napluz 297.
Napoleon 45, 72, 96, 198.
Nazaret 297, 311.
Neapol 20, 55, 58, 171, 250, 266, 267, 270, 271, 273, 276, 277, 279, 280, 282, 283, 284, 313, 334, 340.
Nelly p. Pinard Nelly.
Tour de Nesle, dramat 101.
Niagara 334.
Nicea 204, 235, 236.
Nick 152.
Niema z Portici, opera 50, 276.
Niemcewicz 8, 9, 29, 35, 47.
Niemcy 141, 204.
Niepokojczycka 134.
Nieśwież 22.
Nil 284, 290, 291, 292, 293, 310, 327.
Norma 341.
Nubia 291.

O.

Oberhassli 201.
Odessa 25, 127, 141, 299, 309, 348.
Odyniec 13, 14, 15, 18, 19, 22, 30, 45, 56, 58, 86, 103, 128, 136, 145, 146, 178, 190, 195, 206, 223, 239, 242, 316.
Ofelia 319.
Ogiński 178, 182.
Okraszewski 70, 253, 330.
Olesia p. Aleksandra Bécu-Mianowska.
Oleszczyński 35, 64, 112.
Ossyan 335.
Oswald 78.
Oszmiana 359.
Othello, opera 62.
Otranto 285, 286.

P.

Pac 76.
Palais Royal 24, 33, 40.
Palestyna 105, 224, 287.
Palmira 297.
Panteon 90, 346.
Paquis 121, 198, 288, 309, 321, 326, 334, 345, 346, 347.
Paryż 16, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 30, 31, 32, 33, 34, 37, 38, 42, 43, 44, 49, 53, 54, 55, 56, 60, 61, 65, 66, 68, 69, 70, 71, 72, 74, 75, 79, 80, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 90, 91, 95, 99, 100, 101, 103, 105, 106, 108, 109, 110, 111, 112, 115, 116, 122, 125, 126, 127, 128, 131, 134, 140, 144, 151, 174, 182, 187, 194, 196, 206, 220, 230, 242, 248, 249, 255, 259, 318, 327, 336, 343, 353, 357, 360, 363, 365, 367, 374.
Pattey pani 118, 120, 121, 122, 123, 127, 129, 130, 135, 136, 141, 142, 150, 160, 166, 167, 171, 173, 175, 178, 183, 185, 211, 232, 251, 253, 258, 259, 262, 315.
Pau 213.
Paweł p. Jarkowski.
Pelham 78.
Pelikanowa 139.
Père la Chaise 33, 90, 93, 125, 345, 349.
Pereniatyn 344.
Perrier 70.
Petersburg 140.
Philae 291.
Pinard 52, 57, 58.
Pinard Kora 57, 58, 61, 62, 72, 77, 78, 79, 84, 87, 95, 112, 126, 249, 361, 375.
Pinard Nelly 77, 87.
Piotra św. Kościół 90, 289.
Piramidy 289.
Il Pirato, dzieło 62.
Pireneje 213.
Piza 234, 236, 238, 333.
Plater Cezary 47, 87.
Plater Ludwik 16, 24, 51, 53, 58, 60, 77, 78.

Plater Stanisław 15.
Plater Władysław 47.
Plauen 18.
Podczaszyński Michał 35, 45, 75, 82.
Podhorce 381.
Podole 145, 357.
Pompei 274.
Poniatowscy 17.
Poniatowski, Józef 61.
Pont Neuf 115.
Polska 10, 144, 174.
Porcyankowa 56.
Porte S. Martin 101.
Portici 277.
Potocka Klaudyna 242.
Potocka Włodzimierzowa 77.
Potocki Aleksander 267, 348.
Potocki Józef 314, 322, 324, 329.
Potocki Herman 280, 314, 322, 329, 331, 340, 342, 343, 348, 358.
Potocki Tomasz 7, 9.
Potocki, pieśń o nim 34.
Potopof 148, 150.
Potopowa Aneta 148.
Poznań 86, 146.
Poznańskie 45.
Pradier 229.
X. Praniewicz 61, 67, 174.
Pratelino 354.
Próby dramatyczne, dzieło 225.
Prusy 11, 86.
Pückler-Muskau 156.
Pułaska 64, 113.

R.

Rachela 382.
Rafael 39, 351.
Rajocki 262.
Raj utracony 52.
Rakowski 44.
Rama 382.
Ramenghi 39.
Regner 175.
Ren 24, 34.
René 195, 205.
Revue Encyclopedique 51, 60, 64, 72.
Revue Européenne 124, 128, 133.
Rezygnacya, wiersz 88.
Rhine p. Ren.
Richthoffen 267, 269.
Righi 201, 241.
Leitch-Ritchi 27.
Rizzio 99.
Robert le diable, dzieło 41.
Robert de Paris, dzieło 43.
Rodan 142, 153.
Romain de Maremnes 87.
Rosenlauen 201.
Rosieniecky 371.
Rossini 62, 63.
Rosya 148, 150.
Rotszyld 89.
Roussel 216.
Rozalia, mniszka 137.
Rubini 62, 63.
Russo (Rousseau) 90, 108, 229, 232, 250.
Rustem 130.
O. Ryłło 339.
Rymgajło 35.
Ryszard II 218.
Ryszard III 29.
Rzym 35, 67, 90, 160, 234, 265, 266, 267, 269, 270, 272, 277, 279, 281, 305, 310, 316, 326, 329, 330, 336, 340, 348, 353.

S.

Sabina 106.
Salève 142.
Sally 164, 367, 374, 376, 377, 378, 381.
Salomea z Horsztyńskiego 242.
Salomon 311.
Sand George 180, 207, 223, 349.
Sasy 61.
Sanders 339.
Sandersówna Antonina 339.

Sandersówna Julia 262.
Schelley p. Shelley.
Walter Scott 27, 43, 47, 220.
Seidwitz 148, 150, 156.
Sekwana 53, 74, 82, 83, 101.
Shakespeare p. Szekspir.
Shelley 267.
Siarczyński 129.
Sienkiewicz 62, 84, 86, 107, 184.
Sismondi 225.
Siut 290.
Skibicki Michał 49, 51, 52, 53, 54, 55, 57, 61, 62, 63, 71, 75, 76, 79, 83, 84, 91, 93, 96, 103, 112, 114, 115, 124, 131, 141, 144, 145, 164, 175, 226.
Skibicki szambelan 280, 333.
Skrzynecki 63.
Słowacki Euzebiusz 63, 130.
Słowacki p. Juliusz.
Smith 72.
Smuglewicz 63.
Smyrna 289.
Śniadecka Antonina 94, 110.
Śniadecka Julia 94, 110, 228.
Śniadecka Ludwika p. Ludka.
Śniadecki Jan 8, 9, 63, 86, 89, 179, 182.
Śniadecki Jędrzej 63, 133.
Sobański 242.
X. Sobkiewicz 323.
Sokołowski 140.
Sokołówka 348.
Sorrento 273, 277, 279, 280, 281, 284, 318.
Sowiński 35.
Spartakus 56.
Speare 159.
Spicnagel Aleksander 295.
Spicnagel Ludwik 184.
Stael 108, 180, 270, 223, 349.
Stambuł p. Konstantynopol.
Stanisław August 8.
Stany Zjednoczone 170.
Stare Miasto p. Kraków.
Stary Konstantynów 242.
Staś Januszewski 55, 84, 179, 209, 227, 233, 242, 324, 370.
Staubach 200.
Sterne 138.
Straszewicz 87.
Strogonow 91,
Strzelecki 25.
Marya Stuart 76, 99, 124.
Suchodolski 318.
Survilliers 329, 333, 338, 341, 358.
Swedenborg 344.
Święty Boże, hymn 165.
Sybir 165.
Sylli p. Hersylia.
Synaj 295.
Syrya 287, 288, 294, 299, 310, 312.
Szantyr 47, 139.
Szaszin 148, 149.
Szekspir 39, 115, 218, 219, 251, 280, 336.
Szwajcarya 20, 136, 145, 170, 176, 185, 201, 242, 322.
Szwajcarya 16.
Szymanowska 17, 18, 214, 220.
Szyrma 25, 26, 29.

T.

Pan Tadeusz 195, 206.
Taglioni 50.
Tamiza 28.
Tańska 103.
Tarquini 14.
Tasso 338.
Tastu 87.
Teby 291, 327.
Tedwen 33, 40.
Tell 117, 143, 202.
Teofil (Teofilostwo) Januszewski 7, 11, 13, 17, 19, 23, 26, 29, 31, 37, 46, 49, 55, 64, 75, 83, 84, 90, 91, 92, 97, 98, 102, 111, 112, 121, 125, 127, 129, 132, 133, 137, 141, 145, 152, 163, 167, 169, 170,

175, 177, 181, 191, 196, 202, 203, 209, 210, 215, 216, 223, 225, 227, 228, 230, 233, 234, 235, 236, 237, 238, 240, 242, 243, 244, 245, 250, 251, 253, 254, 255, 257, 258, 259, 260, 261, 263, 264, 265, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 275, 276, 277, 278, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 289, 298, 304, 308, 309, 311, 312, 314, 316, 317, 318, 320, 322, 323, 324, 325, 328, 330, 331, 333, 334, 335, 336, 340, 343, 344, 345, 348, 351, 353, 355, 360, 374, 381.
Teracino 276, 277, 278.
Teresa 50.
Terst 35, 234.
Testament Nowy 160.
Testament Stary 160.
Thoune 200.
Tivoli 265.
Tonnerre 111.
Toskania 321, 322.
Trembecki 37, 103.
Treny 166.
Trianon 68,
Tripoli 303.
Tryest p. Terst.
Tuilleries 33, 56, 73, 82, 87.
Tulczyn 348.
Tunis 290.
Turcya 47.
Tyberyada 295, 297.

U.

Ugolino 223.
Ukraina 47, 356.
Umiński 53, 76.
Urbański 36.
Ursynów 8.
Uwarow 139, 142.

V.

Valentine, powieść 180, 207, 215.
Vaux-hall 29.
Vendome 45.
Veronese 38, 333.
Vevey 198, 242.
Veytoux 249, 254, 281.
Villeneuve 198.

W.

Walhalla 335.
Wallas 177.
Walombroza 322.
Wański 275, 318, 348.
Warszawa 7, 8, 14, 15, 16, 26, 30, 31, 66, 97, 98, 205.
Weber 63.
Weimar 23.
Wenecya 35, 40, 192, 234.
Wersal 68, 69, 74, 78, 79, 85, 88, 97.
Westalka 56.
Westminster 28, 128.
Wezuwiusz 82, 272, 273, 275, 280, 282, 289, 335.
Wiedeń 35, 131, 234, 279, 326, 339.
Wierzchówka 55, 85, 193, 200, 207, 227, 251, 356.
Wieszczek wiejski 229.
Wiklef 18.
Wilenka 138.
Wilno 8, 15, 26, 47, 56, 58, 81, 85, 88, 111, 139, 192, 211, 349.
Wirgiliusz 267.
Witwicki 96.
Władysław p. Plater.
Włochy 38, 55, 139, 149, 204, 206, 234, 235, 236, 253, 255, 258, 259, 279, 286, 287, 305, 312, 315, 330, 339, 341, 352.
Wodzińska pani 166, 179, 196, 197, 205, 208, 223, 224, 237, 240, 242, 245, 250.
Wodzińska Marya 197, 231, 247, 249, 344, 347.
Wolf 157, 160.
Wolter 90, 108, 117.

Wołyń 7, 77, 210, 211.
Worms 245.
Wrocław 11, 12, 13, 14, 17, 109, 122, 156.
Wujek 209.
Wysogierdowa 47.

Z. Ż.

Zaleski 73, 83.
Zamkowa Góra 31, 247, 334.
Zamoyski Zdzisław 316, 318, 323, 332.
Zawadzki 152.
Zawierski 74, 82, 105.
Zegatowicz 88.
Zeidler 238, 312, 314, 318, 324, 328, 330, 331, 337, 340, 368.
Zenon p. Brzozowski.
Zenon p. Michalski.
Ziemia święta 300, 338.
Ziemkowicz 78, 79, 81, 345.
Żmija 63, 76, 89, 102, 111, 124.
Zofijówka 21.
Żołoby 350.
Zosia, pseudonim p. Juliusz.
Zszantyr, p. Szantyr.
Zulau 12.
Zygmunt p. Krasiński.
Zygmunt III 129.

Omyłki drukarskie.

TOM I.

Str. 41. Przyp. 1 zam. Żakot czyt. Żakoto.
Str. 87 w. 18 zam. Koryanna czyt. Korynna.
Str. 103 w. 23 zam. to czyt. tu.
Str. 105 w. 24 zam. Rambell czyt. Kambell.
Str. 111 w. 23 zam. Jaszczunach czyt. Jaszunach.
Str. 118 w. 24 zam. Kamieńca czyt. Krzemieńca.
Str. 118 w. 11 zam. Kościelski czyt. Kosielski.
Str. 119 w. 4 zam. Kościelski czyt. Kosielski.
Str. 121 w. 7 zam. Kościelski czyt. Kosielski.
Str. 121 w. 12 zam. Lonthoux czyt. Monthoux.
Str. 198 w. 2 zam. Coppot czyt. Coppet.
Str. 207 w. 21 zam. Wierzchowie czyt. Wierzchówce.
Str. 278 w. 14 zam. Januszewskich czyt. Janiszewskich.

Skorowidz.

Tom II.

A.

Achilles 63.
Adalgiza 300, 301.
Adam biblijny 354.
Adam p. Mickiewicz.
Afryka 77.
Aleksandra Becu Mianowska 218, 219, 220, 221, 222, 223, 224, 225, 226, 227, 229, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 236, 237, 238, 240, 241.
Algier 41.
Alzirahu most 339.
Ambroży 24.
Ameryka 76.
Anglia 220.
Anhelli 163, 258, 265, 307, 395.
Antoni p. Beaupré.
Apostołowie 378.
Apuleusz 347.
Arago 323.
Ateny 41, 348, 369.
Audlej 282.
Australia 285.
Austrya 376.

B.

Bachus 106.
Balińscy 221, 225, 232, 237, 241.
Balińska Julia 257.
Balińska Marya 257.
Balińska Zofia 257.
Ballady, dzieło 224.
Balladyna 87, 163, 260, 277.
Baptiste 344.
Bar 54.
Barthélemy 224.
Baucis 67.
Beaupré Antoni 113.
Beniowski 163, 276.
Berdon 285.
Berlin 122, 124, 126, 384.
Białowieska puszcza 125.
Bielecki 247.
Bieńkiewicz 60, 64.
Biruta 336.
Biszping 222, 245.
Błotnicki 263, 271.
Bobrowa 156, 157, 276, 355.
Bobrówna Ludwika, Lolly 281, 285, 295, 298.
Bobrówna Zofia 48, 52, 54, 57, 61, 78, 79, 81, 98, 117, 118, 178, 281, 283, 285, 295, 303.
Bordeaux 248.
Bosko 232.
Branicka 156.
Brennus 344.
Breslau p. Wrocław.
Brodziński 247.
Brusse 327.
Brutus 347.
Bruxelles (Bruksela) 132.
Brześć 225.
Brzostowska 246.
Brzozowska 162.
Brzozowski Zenon 8.
Bukowieccy 169, 392, 393.
Bussang 108, 110.
Byron 62.

C.

Carlsbad p. Karlowe Wary.
Beatrix Cenci 267.
Chiaryni 232.
Chłop milionowy, sztuka 238.
Chodźko Aleksander 239, 246.
Chodźko Leonard 256.
Choński Henryk 231.
Chopin 83, 84, 85, 86, 91.
Chrapowicka 231.
St. Cloud 282.
Constitutionnel, pismo 340, 370.
Coudère 281.
Cromwell, dzieło 224.
Cybulski 379.
Cywiński 235.
Czajkowski 260.
Czarniecki 79, 235.
Czarnoccy 218.
Czarnowski 376.
Czartoryski 221, 223, 263.
Czercza 8, 22, 57.
Czyngiskan 347.
Czy to pies 248.

D.

Dagobert 282.
Damy i huzary 234.
Danae 322.
Dante 21.
Psalm Dawidowy 13.
Debatów dziennik 274, 340.
Delavigne 225.
Deukalion 322.
Dobrzycka 249.
Domański 218.
Domeyko 253.
Dominikany 225.
Drezno 11, 121, 122, 126, 135, 156, 292, 293, 294.
Dunaj 377.
Dybicz 228.
Dziennik bibliograficzny 251.
Dziewica jeziora, utwór 42.

E.

Edward p. Odyniec.
Egipt 75, 257, 258, 264.
Eglantyna Pattey 8, 18, 25, 28, 48, 74.
Elba p. Łaba.
Eleonora p. Sowińska.
Eleuzis 347.
Elixir du diable, powieść 228.
Eustachy p. Januszkiewicz.
Ewa 177, 355.
Ewangelia 44.

F.

Farys 229.
Faust 301.
Feliński 136, 138, 157, 159, 160, 162, 164, 168, 387.
Ferrand 250.
Fil p. Teofil.
Filemon 67.
Florencya 33, 40, 105, 108, 240, 260, 263.
Fortunat Heryng 54, 55, 67, 99, 157, 160, 166.
Francya 67, 145, 248, 277, 368, 369, 370, 373.
Franczeska 21, 159.
Frankfurt 9, 15, 121, 267, 270, 281, 284, 285, 286, 287, 291.
Fredro 155.
Freyschütz, opera 224.

G.

Gaj 233.
Gajowa 233.
Galicya 11, 143.
Galileusz 344.
Ganel 281.
Garczyński 251, 257.
Gaszyński 154, 265, 314, 316, 325.
Gdańsk 167, 394.
Gedge 284, 285, 286, 288, 290, 291.
Genewa 158, 250, 253.
St. Germain 277, 278, 281.
Germany p. Niemcy.
Giesbach 282.
Gliński 250.
Glücksberg 229.

Godzina myśli 88.
Goethe 231, 239, 328.
Golgota 55.
Goliat 294.
Gorecki 253.
Goszczyński 360, 362, 363, 364, 365, 366.
Grachy 58, 299.
Grecya 257, 258, 267, 370, 381.
Grenille 282.
Grill 386.
Grużewski 251.
Guguś 298.
Gurowski 247.
Hr. Gustaw p. Olizar.

H.

Hanower 122, 126.
Hausner 48, 58, 69, 71, 124.
Hawryło 24.
Hentsch 251.
Herman p. Potocki Herman.
Herod 372, 373.
Hersylia Bécu Januszewska 37, 40, 42, 48, 99, 121, 123, 125, 126, 127, 129, 133, 138, 140, 147, 149, 155, 157, 161, 173, 174, 179, 220, 226, 240, 257.
Hesyod 369.
Hiszpania 51.
Hłuszniewicz 107, 108.
Holandya 9.
Homer 63, 102, 352, 369, 370.
Hrehorowicz 245, 246.
Hryć 24.
Hube 237, 238.
Hubin p. Ubień.
Hugo 224.

I.

Ihuzia 123.
Iliada 369.
Indiana, powieść 86.
Ingres 336.
Irydyon 260.
Iwan Groźny 347.
Izabela 76.
Izajasz 395.
Izora 224, 231, 232, 233, 245.
Izrael 395.
Izydor S. 312, 313.

J.

Jagiełło 336.
Jakób 241.
Jan Januszewski 18, 42, 70, 219.
Jan św. 47, 308.
Januszewska Aleksandra 53.
Januszewski Teofil p. Teofil.
Januszkiewicz Eustachy 250, 252, 268, 271, 385.
Jarkowski Paweł 95, 102.
Jaroszewicz 218.
Jaszuny 230, 348.
Jelska 231.
Jeremiasz 395.
Jerozolima 65, 77, 257.
Jozafat 78, 291.
Józef 221, 225.
Józef p. Komierowski.
Józef 153 p. Mianowski.
Józia 84.
Judasz 336.
Judea 300.
Judyta 303.
Le juif, powieść 228.
Julinki 8, 65, 70, 84.
Juliusz 77.
Juliusz Słowacki, Julo 8, 10, 12, 22, 25, 26, 27, 29, 31, 33, 37, 41, 42, 48, 53, 56, 59, 62, 65, 69, 71, 75, 79, 82, 90, 91, 96, 102, 106, 113, 116, 119, 121, 123, 126, 127, 129, 133, 136, 137, 139, 141, 143, 144, 145, 146, 148, 150, 153, 154, 155, 158, 160, 166, 168, 171, 172, 173, 174, 176, 178, 180, 185, 217, 218, 219, 220, 221, 222, 230, 232, 234, 237, 241, 246, 249, 252, 253, 255, 256, 257, 259, 261, 263, 264, 273, 274, 281, 283, 284,

:6, 288, 298, 303, 307, 312,
:7, 322, 325, 326, 328, 331,
:3, 339, 342, 350, 351, 352,
:3, 359, 361, 363, 376, 387,
)1, 393, 397, 398, 399.
Jula z Michalskich Januszewska 70, 218, 219.

K.

Kaaryjskie wyspy 285.
Kalowe Wary 11, 128, 231.
Kalsbad p. Karlowe Wary.
Kaaraches 294.
Kenpis 328.
Kiika Teresa 222, 223, 345.
Kijstut 335.
Kijów 253.
Kilburg 159.
Kirdżali 260, 265.
Kirkor 77, 89.
Kissingen 289, 305.
Klub polski 274.
Kolbe 381.
Kolloseum 312.
Kolumb 50, 76.
Kolumbia 248.
Koło Towiańczyków 331, 332, 333, 364, 365, 366.
Kołyszko 331.
Komierowski Józef 375, 376, 380, 394.
Kopernik 305, 380.
Koran 42.
Kordyan 163.
Korn 244.
Kornel p. Ujejski.
Korsak 229.
Korsarz, utwór 269.
Koryolan 58.
Korzeniowska Regina 129.
Korzeniowska Teodora 18, 129, 239.
Korzeniowski Józef 239.
Korzkowska 393.
Kościałkowska 231.
Koźmian 239.
Kraków 52, 53, 80, 87, 126, 167, 169, 251, 338, 342, 343, 348, 355, 384.
Krasicki 52.
Krasiński Zygmunt 15, 48, 52, 119, 288, 305, 307, 314, 319, 321, 322, 325, 326, 327, 378.
Krasiński 245.
Król-Duch 163.
Krzemieniec 7, 18, 91, 219, 220, 221, 222, 225, 226, 230, 231, 232, 241, 253, 349.
Krzysztofowiczowa 54.
Ksaweryna Beaupré 64, 69.
Książę Niezłomny 77, 88, 163, 339.
Kukolnik 225.

L.

Laffarge 75.
Lafitte 385.
Lamartine 224.
Lambro 88, 248.
Lant 334.
Lapier 233.
Lara 269.
Lear 296.
Lebrunowa 241.
Lemaitre 242.
Leonard p. Niedźwiedzki.
Leonidas 73, 384.
Lerroux 380.
Leukada 41.
Lilla Weneda 77, 88, 163.
Liszt 287, 293.
Litwa 223, 224, 225, 227, 229, 230, 232, 246, 307, 336, 348.
Loman 385, 386.
Londyn 263.
Lubecka Paulina 223.
Lubecka Teresa 223.
Lubecki Ignacy 223, 236.
Lubecki minister 221, 223.
Ludka Śniadecka 20, 221, 235.
Luxembourg 278.
Lwów 54, 126, 145, 156, 166, 351.

Ł.

Łaba 293.
Łopatta 246.

M.

Macdonald 258.
Machabeusze, księga 335.
Machabeusze, obraz 338, 341.
Makbet 75.
Malboroug 300.
Maleski 239.
Małachowski 295.
Man 282.
Manfred z dramatu Byrona 288.
X. Marek 88, 163.
Marienbad p. Maryańskie Łaźnie.
Marta 350.
Maryanna 218.
Maryanna z Gräfenberga 11.
Maryańskie Łaźnie 231.
Matatyasz 335, 336.
Mazepa 88, 163, 264.
Medyolan 240.
Melania p. Sobańska Melania.
Melitele 229, 240.
Men 121, 285.
Merry 224.
Meternich 376, 377.
Mianowski Józef 129, 153, 221, 224, 225, 226, 231, 234, 237, 238, 361, 363.
Michalska Melanka 225.
Michalski Wilhelm 225.
Michał 227.
Św. Michała Kościół 20.
Micheison 270.
Michelsen 270.
Mickiewicz Adam 13, 14, 84, 90, 224, 225, 229, 231, 239, 246, 248, 252, 308, 333, 355, 364, 365, 366.
Mickuny 49, 153, 180, 233.
Mielęcka p. Węgierska Zofia.
Mikołaj cesarz 333, 376.
Mikulski Józef 220.
Mikulski Michał 226, 231.
Miletus 158, 186.
Milikowski 161, 162, 163.
Mirmidoni 67.
Mistrz p. Towiański.
Młoda Polska, pismo 277.
Młodzianowski 376, 379.
Les Mohicans, powieść 248.
Mojżesz 38, 118, 271.
Molière 74.
Mostowska 246.
Munich (Monachium) 162, 164.
Murillo 350.

N.

Nabielak 278, 279, 280.
Nakwaski 254.
Napoleon 348.
Napoléon en Egypte, utwór 224, 268.
Nazaret 77, 89.
Nazaretanka 38, 88.
Neapol 257.
Nicea 312.
Nieboska Komedya 306.
Niedzielski 153.
Niedźwiedzki 267, 270.
Niemcewicz 188, 263, 271.
Niemcy 291.
Norma 300, 301, 302.
Norna 50.

O.

Ocean 48, 49, 53, 66, 76, 294, 295, 334, 342, 387.
Odessa 71.
Ody, V. Hugo 224.
Odyniec Antoni Edward 224, 226, 227, 231, 232, 240, 245, 246, 247, 248.
Ofelia 291, 292.
Olesia p. Aleksandra Becu Mianowska.
Olizar 132, 286.
Olimp 369, 370.
Orzechowski Piotr 241.
Osiński 239.
Ostenda 156, 157, 158, 164, 165, 178, 386, 387.

P.

Paez 248.
Palestyna 258.

Paryż 96, 113, 121, 142, 143, 152, 155, 156, 157, 158, 160, 163, 166, 168, 171, 181, 258, 259, 263, 264, 265, 268, 270, 273, 276, 277, 282, 283, 284, 286, 287, 291, 292, 294, 295, 296, 299, 300, 303, 305, 307, 317, 322, 331, 334, 339, 340, 343, 353, 355, 357, 362, 363, 375, 376, 378, 379, 384, 385, 387, 391, 392, 393, 395.
Pattey 74, 254, 269.
Paweł p. Jarkowski.
Paweł św. 36, 54, 310, 313.
Paweł z Werony p. Veronese.
Perini 156.
Petersburg 239, 246.
Pettiniaud 164, 185, 186, 384.
Piast Dantyszek 163.
Pielgrzym polski, pismo 251.
Pirat, utwór 49.
Pitti galerya 125.
Plater Cezary 238, 278, 279, 280.
Plater Ludwik 273, 278, 279, 280.
Platerówna 246.
Platerówna Emilia 248.
Platerówna Paulina 277, 281.
Platon 314, 347.
Plutarch 58, 298.
Podberezka 231.
Podole 98.
Polonais, pismo 251.
Polska 134, 159, 173, 176, 248, 250, 261, 273, 281, 319, 320, 321, 326, 338, 339, 342, 347, 348, 349, 368, 369, 371, 372, 373, 376, 378, 384, 385.
Północne morze 118.
Pornik 48, 49, 50, 294, 296, 298.
Potocki Aleksander 281 287, 303.
Potocki Herman 156, 263.
Poznań 139, 141, 143, 160, 248, 270, 377, 378, 385, 392.
Proki 334.
Prometeusz 322.
Próby dramatyczne 239.
Prusy 388.
Pszonka, pismo 264.

R.

Radziwiłł 264.
Rafael 65, 99, 120, 353.
Regina p. Korzeniowska Regina.
Ren 124.
Republika, dzieło 314.
Reszko 238.
Reytzenheim 166, 167, 171, 172, 394.
Reytzenheimowa 159, 168, 398.
Rogawski 387.
Romeo et Julietta, dzieło 220.
Romulus 322.
Romus 272.
Ropelewski 278, 279, 280.
Rossa 30.
Rozmaitości Teatr 234, 239.
Rózia 153.
Różycki 361.
Russo (Rousseau) 55, 90, 108, 261, 327.
Rutkowski 361.
Ryga 231.
Rzym 64, 65, 72, 240, 258, 260, 287, 299, 303, 370.

S.

Saksonia 127.
Sally 121, 122, 125, 126, 147, 148, 149, 183.
Salmon 77.
Salomea z Horsztyńskiego 88.
Salomea ze Snu Srebrnego 54, 75, 87, 88.
Salomea św. 53.
Salvandy 250.
Sand Georges 86, 299, 347, 368.
Saunders 13.
Saundersówny 240.
Scheffer 340.
Scott Walter 17, 49.
Seweryn p. Goszczyński.

Shakespeare p. Szekspir.
Skibicki Michał 248.
Słowacki Erazm 217, 358.
Słowacki Euzebiusz 358.
Słowacki Juliusz p. Juliusz.
Słowacki Władysław 91, 98, 357, 358.
Śniadecki Jan 220, 221, 223, 229, 232, 237, 241, 323, 348, 349.
Sobańska Melania 137, 140.
Sobański 159.
Sobieski 250, 344.
Sofos p. Węgierska Zofia.
Sokołowski 224.
Sokrates 340.
Sowińska Eleonora 28, 55, 101, 103, 106.
Sparta 369.
Stanisław 41.
Staś Januszewski 71.
Stattler Juliusz 80, 343, 349, 350.
Stattler Wojciech 159, 166, 334, 340, 343, 349, 350, 351, 352, 353, 356, 363.
St.-Cyr 41.
Stern 21.
Strzelecki 342.
Sue 347.
Survilliers 263.
Sylli p. Hersylia.
Syloe 290.
Synaï 118.
Szanfary, poemat 225, 229.
Szembekowa 343.
Szekspir 84, 220, 291.
Szpicnagel Aleksander 246.
Szpicnagel Ludwik 225, 229.
Sztattler Julek 80.
Szwajcarya 64.
Szwajcarya, poemat 64, 87.
Szymanowska 214, 220.

T.

Pan Tadeusz 261.
Taglioni 247.
Tangier 77.
Tatarzy 27.
Te Deum 224.
Tedwen Tadeusz 247, 248, 249.
Tell 251, 335.
Teodora p. Korzeniowska Teodora.
Teofil Januszewski, Fil 10, 23, 25, 26, 36, 42, 48, 57, 58, 65, 70, 77, 78, 82, 98, 99, 119, 121, 122, 124, 125, 126, 129, 132, 133, 137, 138, 140, 141, 142, 143, 144, 146, 148, 149, 151, 152, 154, 155, 157, 160, 162, 163, 164, 168, 171, 172, 176, 178, 180, 181, 183, 184, 185, 219, 224, 226, 231, 257, 258, 259, 260.
Termopile 384.
Terni 282.
Thourel 250.
Toaco 335.
Toboso 284.
Towarzystwo literackie 273.
Towarzystwo Przyjaciół Nauk 239.
Towiański 162, 308, 313, 331, 332, 333, 364, 365.
Transfiguracya 65.
Trapiści 99.
Trembecki 247.
Trepka 250.
Trouville 100.
Trzeci Maj, pismo 340.
Trzy poemata 163.
Tuilerye 370.
Tukaj 240.
Tybr 336.
Tygodnik literacki 260, 264.
Tyrol 169.

U.

Ubień 54, 119, 123, 145, 148, 153, 154, 161, 186.
Ujejski 159, 395, 397.

V. W.

Warszawa 220, 221, 222, 223, 224, 225, 226, 227, 229, 230,

231, 232, 233, 234, 235, 236, 237, 239, 240, 241, 245, 248.
Watykan 345.
Weimar 231.
Wenecya 240.
Wernet 347.
Wernyhora ze Snu Srebrnego 87.
Wernyhora, powieść 260.
Veronese 346.
Wersal 283.
Vevey 254.
Węgierska Zofia 152, 355, 389, 390, 391.
Wiesbaden 121, 157.
Wikary Wakfildzki 327.
Wilejka, Wilenka 40, 49, 153.
Wilno 221, 222, 224, 225, 227, 230, 231, 232, 235, 236, 238.
Wisła 228, 349.
Wiszniewski 258, 343.
Witold 336.
Witwicki 218, 245, 253, 271.
Władysław p. Słowacki Władysław.
Włodek Dymitr 240.
Włochy 25, 33, 90, 122, 123, 124, 240, 258, 259, 349, 376.
Wolter 301, 340.
Wołyń 338.
Wrocław 141, 142, 143, 144, 145, 146, 148, 149, 150, 151, 155, 157, 162, 164, 174, 351, 352, 375, 376.
Wujek 112.

Z. Ż.

Zaleski Bohdan 253.
Załuski 274.
Zamkowa góra 227.
Zawierski 236, 240, 241.
Zenon p. Brzozowski.
Ziemia św. 264.
Żmija 247.
Znajda 24.
Zollverein 380.
Zosia pseudonim p. Juliusz Słowacki.
Zosienka p. Bobrówna.
Zygmunt p. Krasiński Zygmunt.

Omyłki drukarskie.

TOM II.

Str. 34 w. 6 od dołu: zamiast obejmuje czyt. odejmuje.
Str. 59 w. 8 od dołu: zamiast ci czyt. co.
Str. 217 w. 22 zam. wujem czyt. stryjem.
Str. 223 przyp. zam. szplin czyt. splin.
Str. 231 w. 26 zam. M. czyt. Mianowski.
Str. 245 w. 1 od dołu: zam. Biszpiny czyt. Biszping.
Str. 249 w. 22 zam. Werdsworth czyt. Wordsworth.
Str. 307 w. 2 od dołu: zam. zożyca czyt. różyca.

Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.

180 - 45J653/1867.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu
4017 S
001-004017-00-0